

M. D. Lachlan

Synowie boga

Przełożył Kamil Lesiew
Tytuł oryginału WOLFSANGEL

Mojemu synowi, Jamesowi, dedykuję

*Mało wiesz, miody książę, o dawnych dziejach,
Gdy szlachetnych mężów nieprawdą obrażasz
(...)
Tyś rzucił się na żarcie wilków,
Tyś brata własnego stał się zabójcą,
Często ssaleś rany zimnymi wargami,
Czołgałeś się, wszystkim obmierzły, do kupy kamieni.*

Pieśń O Helgim Zabójcy Hundinga I
(*Edda poetycka,*
przeł. Apolonia Załuska-Strömberg)

*Gdybyż to było takie proste! – że są gdzieś te czarne charaktery,
w czarnych zamiarach wykonujące swoją czarną robotę i że trzeba tylko
umieć je rozpoznać i zniszczyć. Ale linia podziału między dobrem a złem
przecina serce każdego człowieka. A kto gotów jest odciąć kawałek
własnego serca?*

Archipelag Gulag, Aleksander Sołżenicyn
(przeł. Jerzy Pomianowski)

1. BIAŁY WILK

Varrin ścisnął drzewce włóczni i omiółł wzrokiem ciemny horyzont, z trudem utrzymując równowagę na pokładzie smaganego wzburzonymi falami niewielkiego langskipa. Był pewien, że tam płynęła rzeka, którą opisał jego suzeren. Szerokie ujście pomiędzy dwoma przylądkami, jednym w kształcie smoczego grzbietu, drugim – przypominającym wyciągniętego psa. Niezgorzej pasuje do opisu, pomyślał. Jeśli spojrzeć na to z przymrużeniem oka.

– Lordzie Authunie... Królu, zdaje się, żeśmy na miejscu.

Siedzący tyłem do dziobnicy mężczyzna w opończy przebudził się. Jego długie włosy zdawały się niemal lśnić bielą w jasnym niczym lampą blasku półksiężyca. Wstał powoli, zeszywniały od bezruchu i chłodu. Odwrócił wzrok ku wybrzeżu.

– Zaiste – potwierdził. – Dokładnie tak, jak przepowiedziano.

Na wzmiankę o wieszczbie Varrin, potężne chłopisko, o półtorej głowy przewyższające króla, dotknął amuletu u szyi.

– Czekamy do brzasku, a potem wpływamy, królu?

Authun przecząco pokręcił głową.

– Teraz – postanowił. – Odyn jest z nami.

Varrin skinął głową. W normalnych okolicznościach pomyśl, by w ciemnościach manewrować langskipem po nieznannej rzece, uznałby za szaleństwo. Ale u boku swego konunga czuł się na siłach sprostać każdemu wyzwaniu. Authun był Wölsungiem, w prostej linii potomkiem bogów, uosobieniem ich potęgi¹.

Płynęli wolno, acz z falą, a dzięki kilkudniowym pomyślnym wiatrom załoga wypoczęła i teraz ochoczo chwyciła za wiosła. Wszystko szło po ich myśli. Nie dziwota, skoro na pokładzie przebywał ich pan i władca. Varrin nie wątpił, że królewska magia sprzyja

¹Według legend ród Wölsungów ma się wywodzić od syna lub prawnuka Odyna, a jego potomkowie, Sigmund, Sinfjötli, Helgi i Sygurd - należeć do największych bohaterów nordyckich sag; nazwa rodu pozostaje w związku z wilkiem [ten i dalsze przypisy popełnił tłumacz].

pomyślności wyprawy.

Ludzie zginali karki, wiosłami dając odpór falom, miarowo posuwając łódź ku ujściu rzeki. Kołysanie langskipa było o wiele mniej odczuwalne pod wiosłami niż pod żaglem. Ustabilizowany okręt zdawał się odzwierciedlać niezachwianą determinację, którą Varrin odczuwał, kierując łódź przez przybrzeżne wody. Choć nie wątpił, że czeka ich potyczka, był gotów. Wprost drżał z niecierpliwości.

Załoga okrętu liczyła sobie dziesięciu wojów. Zaledwie dziesięciu, włącznie z królem. Varrin nie odczuwał jednak niepewności czy choć odrobiny niepokoju. Pozostawał wszak u boku swego władcy, króla Authuna, zwycięzcy niezliczonych bitew, pogromcy monstrialnego Gota, Gyrda Potężnego. Skoro Authun uważał, że dziesięciu ludzi podola zadaniu, to niechybnie tak właśnie będzie. I pomyśleć, że taki mąż nie doczekał się jeszcze dziedzica! Ludzie gadali, że Authun wywodzi się od Odyna, najwyższego z bogów. I że ten miłujący wojnę poeta, czując się zagrożony przez swego krewkiego potomka, obłożył Authuna klątwą, by płodził same niewiasty. Z obawy, że syn okazałby się jeszcze potężniejszy od ojca. Iście boska to przewrotność.

Varrina przeszedł dreszcz na samą myśl o konsekwencjach, gdyby Authun jednak nie spłodził chłopca. Musiałby wówczas wyznaczyć dziedzica, a to by ich plemieniu tylko biedy napytało i polałaby się krew. Frakcje królestwa trzymał w ryzach wyłącznie autorytet władcy. Gdyby go zabrakło, nie obyłyby się bez krwawej jatki, a potem już nie opędziliby się od wrogów. Varrin spojrzał na króla i uśmiechnął się do siebie. Głupiś, skarcił się w duchu. Wszak nam wszystkim i tak kiedyś umrzeć trzeba.

Przypatrywał się skapanym w mroku wzgórzom, dumając, po cóż przybyli do tej odległej krainy. Najwidoczniej chodziło o coś więcej niż o zwykłą grabież, bo ich łódź odbiła od brzegu sielskiej plaży odległej o dzień podróży na północ od ich dworu. O nie. Wojom nie dane było pożegnać się z bliskimi czy poucztować przed wypłynięciem. Cel ich misji znamionował tylko zabrany na pokład wojenny oręż, błyszczące żeleźca toporów, tarcza ozdobiona malunkiem wilczej głowy i inna, z podobizną kruka. Symbole owe zwiastowały wrogom: „Wasze truchła posłużą za żer dla tych stworzeń”.

Rychło osiągnęli ujście rzeki, ale zwolnili, gdy wpłynęli na

płytsze wody. Nie zmniejszyli tempa, by wysondować dno; Authun jedynie podszedł ku dziobowi łodzi i nachylając się nad taflą, wydawał polecenia sternikowi. Varrin uśmiechnął się znacząco do wioślarza naprzeciwko, podczas gdy łódź gładko, niczym nóż do pochwy, wśliznęła się w nurt rzeki. Chłopak ów, młodzian około siedemnastoletni, który nigdy wcześniej z Authunem nie pływał, wyszczerzył się w odpowiedzi. „Miałeś rację, on jest niesamowity” – malowało się na jego obliczu. Byli dumni ze swego króla.

Fala przypływu poniosła ich w górę rzeki. Przesmyk stał się zdradliwie wąski; wrzynał się w łąd wśród ostrych klifów i twardych głazów. Lecz król obrał właściwy kurs. Po godzinie przeprawy po atramentowych falach w głąb krainy, oświetlanych wyłącznie bladym sierpem księżyca wysoko na firmamencie, prąd ustał i przestał posuwać łódź, zmuszając wioślarzy do wyteżonej pracy. Naprzeciwko nich, pośrodku nurtu, z mroku wyłonił się piaszczysty brzeg. Authun dał znak, by łódź doń przybiła. Konstrukcję niewielkiego langskipa obmyślono na taką właśnie okoliczność, toteż osiedli na piasku łagodnie, z ledwie zauważalnym drżeniem.

Authun odwrócił się ku swym ludziom i po kolei wypowiedział ich imiona.

– Vigi, Eyvind, Egil, Hella, Kol, Vott, Grani, Arngeir. Jesteśmy pobratymcami i zaprzysięgłymi druhami. Między nami łgarstwo nie przystoi. Żaden z was nie powróci z tej wyprawy. Jedyne Varrin, samowtór ze mną, dotrze na wybrzeże, by pokierować łodzią. Nim wstanie świt, wszyscy uctować będziecie z przodkami w komnatach Odyna lub Freyji.

Większość drużyny zapowiedź nieuchronnej zguby przyjęła bez mrugnięcia okiem. Byli wszak wojami, wychowanymi w poczuciu nieuchronności śmierci w bitwie. Ten czy ów uśmiechnął się, rad umrzeć u boku swego króla.

– Skonam wraz z moimi braćmi – sprzeciwił się Varrin.

– Jeszcze nie nadszedł twój czas. Ale wkrótce będzie ci to dane

– odparł Authun.

Spojrzał na swego bez mała najlepszego druha. Ten olbrzym był mu jeszcze potrzebny do ponownego zepchnięcia łodzi na wodę. I pomocy przy zwalczaniu wszelkich niebezpieczeństw czyhających na

szlaku wieloryba², na drodze ku domowemu siedlisku. Dopiero wtedy pozwoli mu umrzeć.

– Nie mam obowiązku klarować wam, czemu musicie umrzeć. Wystarczy wam znać, że taka jest ma wola. Ale wiedźcie, że po kres czasu wasze czyny opiewane będą w pieśniach. Znaleźliśmy się tu bowiem, by zagarnąć magiczne dziecko, które przejmie me dziedzictwo i zapewni świetlaną przyszłość naszemu ludowi.

– A co z dziećciem, które nosi w łonie twa żona? – zapytał Varrin.

– Nie ma żadnego dziecka – odrzekł Authun. – To podstęp górskich czarownic.

Ludzie głośno wciągnęli powietrze. Authun był dobrym królem, sprawiedliwym i szczodrym, hojnie rozdającym pierścienie i zaszczyty. Nigdy nie zdarzyło mu się nawet zabić po wypitce niewolnika, jak mieli w zwyczaju inni suzerenowie. Ta nowina ich jednak zszokowała. Podwładni króla brzydzili się łgarstwem, zaś podstęp czarownic zakrawał na kłamstwo. Nadto, noszące znamiona magii. A co gorsza – niewieściej.

Woje niespokojnie wiercili się na siedziskach. Śmierci śmiali się w twarz; towarzyszyła ich życiu niby wierny pies. Górskie czarownice jednak budziły w nich trwogę. Jedyne król, sam będąc półbogiem, mógł rozmawiać z tymi wiedźmami, acz nawet on musiał mieć się na baczności. W przeszłości ich rady okazywały się trafne, choć przychodziło za nie płacić wysoką cenę. Czarownice żądały straszliwej ofiary, niezmiennie tej samej. Ofiary z dzieci. Chłopców brały na służbę, dziewczynki zaś przyuczały na kontynuatorki ich osobliwych tradycji.

– Wiadome dziecko uwięziono w tutejszym siole, odebrawszy czarownikom z dalekiego zachodu – rzeki Authun. – Jest synem bogów i poprowadzi nas ku potędze. Kmiecie nie zmiarkowali jeszcze, co stało się ich udziałem. A pozbawimy ich tego, nim się zorientują. Siola bronią tylko chłopci. Trzeba nam się jednak spieszyć, bo woje znajdują się o dwie godziny jazdy stąd.

Popatrzył w mrok. Na niebie, w oddali, majaczyła bladuróżowa

²Staronordycki kenning (rodzaj poetyckiego omówienia), w tym przypadku oznaczający morze.

łuna.

– Rozpalili sygnały ogniowe – skonstatował. – Możemy spodziewać się oporu. Dziecko znajdziemy przy kapłanie ich boga. Szukać nam trzeba budynku oznaczonego tak jak wszystkie ich święte przybytki. – Złożył palce w znak krzyża. – Podążajcie za mną, a wywalczymy sobie drogę do świątyni, a potem wyrąbimy odwrót do łodzi. Atoli nim to nastąpi, los się odwróci. Nastanie godzina waszej chwały. Dziś przejdziecie do legendy, a wasza sława trwać będzie po wieki. Jeszcze pięć zakrętów rzeki i będziemy na miejscu. Pora się sposobić.

Podwładni skinęli głowami i bez słowa zabrali się do pracy. Odsnurowali włócznie na rufie łodzi, wyjęli z beczek hełmy i grube tuniki, zaś topory bojowe wypakowali i przymocowali na plecach. Varrinowi i Egilowi przypadł zaszczyt odziania króla. Pomogli mu wzuć jego nieoceniony hauberk, kolczugę z długimi rękawami – zwaną w ich stronach „byrnie” – i założyli mu na głowę złoty hełm, stylizowany na głowę wilka – symbol jego rodu. Wykuty przez najlepszych płatnerzy, odkryty na przedzie, nie licząc lśniących osłon policzków, wywoływał u patrzących złudzenie, jakby tył głowy Authuna znajdował się w paszczy ogromnego wilka. Z oddali, we wspaniałym hełmie, z podmalowanymi sadzą oczami, król zdawał się przerażającym wilkogłowcem. Woje umieścili naramienniki na rękach władcy, przewiązali go złotym pasem, zdjęli używaną na morzu opończę, miast niej zakładając inną, przetykaną złotymi nićmi.

Varrin podał królowi tarczę ozdobioną wizerunkiem łba rozwścieczonego wilka. Potem przyszedł czas na miecz, jedyny na całej łodzi, schowany w wysadzanej białymi klejnotami pochwie. Gdy Varrin wyciągał broń z beczki, zaiskrzyła w świetle księżyca. Był to oręż jedyny w swoim rodzaju. Wikińskie miecze miały zazwyczaj krótkie i proste ostrza, nadające się do walki w zwarciu, z wykorzystaniem tarczy. To jednak było długie, cienkie, o wyraźnie zakrzywionej głowni. Mocniejsze nad inne i, choć lżejsze, już nieraz kruszyło żelazo dzierżone przez wrogów. Authun nabył ów oręż od kupca z południa, utrzymującego, iż broń pochodzi „z przedświtu” – co w mniemaniu Authuna oznaczało wschód. Jakakolwiek by była jego proveniencja, król miał pewność, że miecz jest zaklęty, wykuty – jak mówił handlarz – przez magicznych płatnerzy z legendarnych królestw piasku. Kupiec

zwał go Szamszirem, a Authun przejął to miano, gdyż w dźwięku oręża zdawały się igrać poszumem pustynne wiatry, a przynajmniej tak podpowiadała królowi wyobraźnia. Jego podwładni jednak zwali tę broń Księżycowym Ostrzem.

Król był gotów. W bojowym rynsztunku prezentował się przerażająco i okazałe, niczym bóg. Prawdę mówiąc, w odróżnieniu od swych pobratymców, Authun nie przejawiał przesadnego upodobania do ozdób. Jego ostentacyjny przydzwiewek obliczony był na wywołanie określonego efektu – napełnienia serc przeciwników nabożną trwogą.

Niebawem również pozostali stanęli w pełnej gotowości. Authun własnoręcznie napełnił trunkiem ich rogi. Varrin spojrzął na władcę. Zachodnikom w osadzie przyda się odwaga, pomyślał.

– Za nieustające uczty w komnatach poległych – zawołał Helia.

– Za nieustające uczty w komnatach poległych – zawtórował mu chór głosów. Szeptem, na wypadek, gdyby wróg znajdował się w pobliżu. Upili po głębokim łyku, później – kolejnym. Rogi napełniano raz po raz, podczas gdy łódź, odepchnięta wiosłem od brzegu, ruszyła w dalszą drogę, meandrując ku upatrzonej wiosce. Zgodnie z przewidywaniem Authuna, przybycie najeźdźców nie pozostało niezauważone. Zachodnicy nie byli bowiem głupcami i wystawili zwiadowców u ujścia rzeki. Już teraz, nim jeszcze osada znalazła się w zasięgu wzroku napastników, wikingowie dostrzegali migoczący na niebie blask sygnałów ogniowych. Będą musieli się sprężyć i uderzyć na przeciwnika, nim ten zdoła zwołać pod broń hurmę ludzi, by stawili im czoła. Ale dla nich to przecież nie pierwszozna.

Kiedy minęli ostatnie zakole, Varrin odniósł wrażenie, jakby ktoś ich ubiegł i łupił tę wioskę w najlepsze.

Sygnały ogniowe błyskały na całej długości plaży i w górze, na zboczu. Światło wydobywało z mroku coś, co Varrin uznał za całkiem pokaźną osadę złożoną z około dwudziestu domostw ciągnących się aż po budynek z krzyżem na dachu. Cóż, przynajmniej nie trzeba będzie długo szukać.

Zachodnicy okazali się całkiem zmyślni. Na szczycie klifu podejścia do plaży broniły zaostrzone drzewce wysokości człowieka. Do osady prowadziła tylko jedna droga, przez szczelinę tak wąską, że z trudem pomieściłaby wóz z zaprzęgiem, choć łatwą do obrony dla znajdujących się na rzeczy. Ale nawet z pokładu łodzi, w nikłym świetle

ognisk, Varrin zorientował się po sposobie, w jaki dzierzono włócznie i tarcze, że ci ludzie bardziej nawykli do orania zagonów niż do wojaczki. W murze tarcz pełno było luk, a kilka grotów mierzyło w niebo. O wiele lepiej by zrobili, celując nimi w najeźdźców. Wszak to nie księżyc zamierzał ściąć głowy obrońców.

Król pierwszy wyskoczył przez burzę, z pluskiem zanurzając się po kolana w wodzie. Brodził przez płyciznę w tempie właściwym raczej tragarzowi objuczonemu koszem małży, a nie wojownikowi zmierzającemu na spotkanie nieprzyjaciela. Reszta poszła jego śladem. Trzech bezpośrednio za Authunem, dalej kolejnych czterech, z tarczami ustawionymi w klin. Dwóch zostało na pokładzie, by bronić łodzi.

Z grubsza dwadzieścia metrów przed pierwszą linią obrony wódz przystanął, a jego ludzie uderzyli włóczniami o tarcze. Zaczęli ujadać i wyć niczym dzikie zwierzęta. Ci, którzy wciąż mieli w swych rogach choć kroplę trunku, dopili go i odrzucili puste naczynia na bok. Cztery pełne łyki – dość dla kurażu, za mało, by stać się niezdarnym. Authun postąpił naprzód, obnażając Księżycowe Ostrze, a na głównej zaigrały iskierki światła pochodni, przemieniając metal w ogień. Królewski hełm zdawał się żarzyć, a klejnoty wilczych oczu rozgorzały żądzą krwi.

Król podniósł miecz w górę i zakrzyknął:

– Jam jest Authun Wilk, król walecznych mieczy Horda³, grabieżca pięciu grodów, syn Odyna, władca bitew! Żaden człek, co przeciw mnie stanął, nie doczekał jutra. Zoczcie łupy, którym zagarnął!

Zakreślił orężem, ostrze załśniło w świetle księżyca i ognia. Pochodnie rozjarzyły klejnoty wilczych ślepi i przeobraziły naramienniki króla w gorejące węże. Na pochwie miecza zatańczyły ogniki, opończa zamigotała rojem iskier. Nawet zdobiące zęby Authuna małe czerwone szafiry zdawały się żarzyć. Tylko okolice oczu sprawiały wrażenie martwych. Martwych i bezlitosnych.

Zachodnikom Authun jawił się jako dziwaczny, błyszczący, bezoki obcy. Wiedzieli, że taką majętność osiąść można tylko w jeden sposób. W wyniku bitew, nadto wielu.

³Lud wikiński, zamieszkujący niegdyś ziemie dzisiejszego okręgu Hordaland w zach. części Norwegii. Przed zjednoczeniem w państwowość – jedno z licznych niewielkich wikińskich królestw.

2. ŁASKA

Dotychczas Authun postrzegał skon jako błahostkę, toteż wcale nie poczuwał się do żałoby czy rozpacz po dokonaniu żywota przez jego towarzyszy. Ich śmierć znaczyła tyle, ile życie w innym miejscu.

Jednak jej okoliczności to już inna kwestia. Varrin musi umrzeć, ale powinna być to śmierć godna wojownika. Prawda o nowym królewskim dziedzicu powinna pozostać niezgłębioną tajemnicą, zabraną do grobu. A pozostawienie przy życiu jakichkolwiek świadków wiązałoby się z ryzykiem, że prawda przeniknie do szeptów w cieniach biesiadnych sal, szumu pośród gwarliwych rynków, wtórować będzie śpiewowi wiatru na żaglach okrętów wojennych. Jednakże Authun nie zamierzał zabijać swego druha, o nie. Króla wychowano w przeświadczeniu, że zabójstwo pobratymca sprowadza na sprawcę wieczną klątwę. To nie tak, że postanowił własnoręcznie uśmiercić Varrina, a potem zarzucił tę myśl. To mu po prostu w ogóle nie przyszło do głowy.

Śmierć Varrina była problemem, z którym zamierzał się uporać w jedyny znany sobie sposób – po radzie i w porozumieniu z drugą stroną. Wikingowie głęboko wierzyli w potencjał rozmowy.

Stały łąd pozostawał w zasięgu wzroku; łódź mozolnie pokonywała opór morskich prądów. Nawet przy pełnej obsadzie wiosł trudno byłoby płynąć szybciej. A na samym żaglu i przy tylko częściowo sprzyjającym wietrze manewrowanie langskipem graniczyło z niemożliwością. Lecz dla Authuna była to ostatnia szansa. Varrin musiał umrzeć niebawem, by jego ciało powędrowało z prądem drogi wieloryba na północ. W przeciwnym razie istniało bowiem ryzyko, że fale wyrzuciłyby je na brzeg ojczystej ziemi, a to wywołałoby wiele kłopotliwych pytań. Tych zaś król za wszelką cenę pragnął uniknąć.

– Varrinie.

– Panie, wiem, iż wrócić nie mogę. – Stary woj dobrze znał swego króla i nawet stojąc w obliczu śmierci, starał się zdjąć mu kamień z serca.

Authun pochylił głowę.

– Cóż mówić o mnie będą, panie?

– Przyjaciele cię kochali, a wrogowie truchleli na twój widok. Ze wszystkich ludzi na ziemi, tyś wyrósł na najmniej tchórzliwego. Czyż można chcieć więcej?

– A śpiewać o mnie będą?

– Już cię opiewają, Varrinie. Twa śmierć jedynie odkryje przed nimi nowe pokłady słów, którymi słać będą twe imię.

Varrin wstał i zaczerpnął powietrza, jak człowiek wdychający zapach pięknego poranka. Wbił wzrok w morskie odmęty.

– Panie mój, widzę węża morskiego, bestię jadu i gwałtowności wielkiej, co mogłaby pożreć samego żmija Midgardu. Przyznaj mi zaszczyt wypróbowania na nim mej włóczni.

Krocząc ku niechybnej śmierci, Varrin zdawał się już teraz wpisywać siebie samego w strofy heroicznej sagi – wspinał się na wyżyny elokwencji, umiejętnie naśladowując słowa pieśni skaldów. Authun zawtórował mu w podobnym duchu, oddając honor swemu druhowi.

– Prawdę powiadasz, mężny Varrinie. Walcz i okryj się chwałą. Przeciwno takiemu wężowi przyda ci się mocna zbroja. Twym barkom powierzam nynie tę kolczugę, udatną osłonę przed ciosami losu.

Authun wyjął z beczki swoją koszulkę kolczą i uniósł ją do góry. Varrin skłonił się, z pokorą przyjmując zaszczyt, i pozwolił królowi się przyodziać. Gdy kolczuga szczelnie okryła ciało towarzysza, Authun wyciągnął złoty wilczy hełm z rubinowymi oczami, stanowiącymi część góry łupów zdobytych na Frankach z południa, założył go przyjacielowi na głowę i zawiązał rzemienie. Potem okrył Varrina swą bogatą opończą. Na końcu wetknął włócznię w jego prawicę.

– Przekaż mej żonie, iż była najprzedniejszą z niewiast, które kiedy bądź nosiły klucze⁴ – poprosił Varrin. – I że, choć została mi dana, to ją kochałem. Niechaj synowie moi służą ci tak, jak ja tobie służyłem. A me córki powydawaj za mąż wedle własnego uznania.

Opodal dziobu kobieta spała z dziećmi w objęciach.

⁴Skandynawskie kobiety z epoki wikingów cieszyły się wielkim poważaniem, czego wyrazem był m.in. przywilej noszenia kluczy do wszystkich zamków w gospodarstwie, zwyczajowo eksponowany przez nie w stroju codziennym.

– Ucztować będziesz po mej prawicy na dworze Odyna – zapewnił go Authun.

– Będziem pijani na wieki – uradował się Varrin.

Odwrócił się ku burcie i postawił jedną stopę na okrężnicy.

– Gotuj się, zmiju! – zakrzyknął, głosem niskim z determinacji. Bez rozglądania się na boki, wyskoczył z langskipa, w locie bodąc włócznią morskie fale. We wspaniałej zbroi i hełmie Authuna o pływaniu nie było mowy i po chwili woja pochłonęła otchłań. Król głośno przełknął ślinę i się odwrócił. Śmierć Varrina była nieunikniona; niepodobna się nią teraz frasować.

Na dziobie kobieta i dzieci poruszyły się niespokojnie, choć, ku zaskoczeniu Authuna, Celtyjka się nie zbudziła. Podczas podróży prawie nie zmrzyła oka, teraz jednak wydawało się, że bliskość lądu zesłała na nią otuchę i spokój. Koniec końców – zmorzył ją sen.

Authun podczas wszystkich swych wojen ani razu nie uśmiercił niewiasty. Tłumaczył sobie, że były zbyt cenne jako niewolnice. Ale to tylko część prawdy.

Stanął nad kobietą, obserwując, jak dwa pacholęta zażywają snu u jej piersi. Położył dłoń na nożu. Niebawem użyję go, by ją zabić, pomyślał, może gdy spotkamy się z czarownicami, a może tuż przed powrotem do żony. Tak czy owak, Celtyjka umrze od noża. Księżycowe Ostrze zabijało wyłącznie wojowników i Authun nie zamierzał kłaść go krwią niewieścią. A mimo to czuł, że to się nie godzi, by zgładzić ją za pomocą tego samego narzędzia, którego zwykł używać do patroszenia ryb. Była matką, a to, jego zdaniem, zasługiwało na pewien szacunek. Statystował przy narodzinach pięciorga swych dzieci i za każdym razem zastanawiał się, jak wielu podległych mu mężczyzn zniosłoby ból, jakiego doznawała jego żona.

W więzi między matką a jej dziećmi zdawało się tkwić coś cennego i godnego uchwycenia – to ciepło, którym zdawała się emanować. Authun Bezlitosny poczuł jakieś poruszenie w piersi, które, choć nie mógł o tym wiedzieć, było nikłym, migotliwym zwiastunem zmierzchu jego życia.

Kobieta miała przy sobie talizman, подарowany przez ojca chłopców, osobliwego tułacza, w czasach, gdy wyprawy w pojedynkę zdarzały się nader rzadko. Tylko nieliczni ośmielali się podróżować samotnie, nieraz padając łupem wrogo nastawionych chłopów,

urazonych wielmożów, rzezimieszków, dzikusów, trolli, elfów czy wilkoludzi. A jednak ojciec bliźniąt się na to poważył. Talizman – zwyczajna wilcza głowa wydrapana na otoczaku – miał zapewniać ich matce ochronę, jak powiedział na odchodnym. Dotychczas nie przyniósł jej żadnego pożytku, ale i tak tuliła go do siebie we śnie. Gdy Authun Wilk, pogromca monstualnego Gota, grabieżca wschodu, budzący grozę pan i władca białych pustkowi, dotknął noża i spojrzał na swoją brankę, poczuł litość. Pierwszy raz w życiu ogarnęło go takie uczucie. Może za sprawą amuletu, kto wie? Każdemu człowiekowi, prędzej czy później, brzydnie rozlew krwi. Jej żądza płonie niegasnącym płomieniem wyłącznie w duszach bogów.

Langskip, zostawiony sam sobie, skrzył gwałtownie, brutalnie rzucony w bok przez fale. Authun zaparł się nogami, zachowując równowagę, lecz kobietę z dziećmi zarzuciło na skrzynię. Cała trójka przebudziła się z trwożnym krzykiem, zdezorientowana, a Celtyjka przez chwilę świdrowała Authuna poparzoną okiem. Król, choć mógł porazić wzrokiem każdego oponenta, natychmiast się odwrócił, by zmienić kurs. Działanie, jak zwykle, pozwalało odegnać nieprzyjemne myśli.

Kobieta przyglądała się, jak Authun przewiązuje rumpel i ustawia żagiel. Król wydawał jej się drugą najgorszą rzeczą, jaką w życiu dane było jej widzieć. Poznała się na nim, na jego prawdziwej naturze wojującego egoisty, który wszystkie swe obawy rzuca wrogom w twarz, porywacza, mordercy i bohatera.

Ojciec jej synów rzekł niegdyś, że śmiertelnie nudzą go dzielni farysi, lecz Authun bynajmniej nie wydawał się nudny – prędzej straszliwy, krwiożerczy, niemal boski. Gdy porywał ją z kościoła, pośród świstu strzał, huku buzującego ognia i wszechobecnej wrzawy, jawił się niemal jako oaza niesłychanego spokoju, niby twarda skała w kipieli przemocy. Był w swoim żywiole. Jeśli kiedykolwiek pisane mi będzie spotkać boga wojny, pomyślała, z pewnością będzie wyglądał jak Authun.

Jednakże prawdziwi bogowie byli znacznie bliżsi jej życiu.

3. NOCNY GOŚĆ

Matka miała na imię Saitada i była niegdyś wielce urodziwą niewiastą, za młodu uprowadzoną od swego ludu i sprzedaną w niewolę. Przedtem zwali ją Badb. Gdy dorastała, jej właściciel, pewien kowal, zapragnął ją posiadać – nie tylko materialnie, ale i cieleśnie. Jako człek wielkiej szczodrości, ochoczo dzielił się nią ze swymi przyjaciółmi. W wieku lat trzynastu Badb przeklęła swą urodę, wyjęła rozgrzane żelazo z pieca i przyłożyła je do policzka.

Kowal zeżlił się okrutnie. Próbował ją uderzyć, ale jakoś nie potrafił się na to zdobyć. Pragnął wziąć ją w ramiona, całować jej wargi, zapewnić, że wszystko jej powetuje, lecz wiedział, że dziewczyna nigdy już nie zbliży się doń z własnej woli. Przez cały czas, gdy ją miał w posiadaniu, żył w przeświadczeniu, że łączy ich pewna więź. Że pomimo łez, oporu i wreszcie ponurej rezygnacji, ona coś do niego czuje. A może nawet, że on jest dla niej kimś wyjątkowym. Wówczas jednak dostrzegł na jej twarzy krzywdę, którą jej wyrządził, a będąc członkiem małego ducha, nie mógł znieść takiego widoku we własnych progach. Toteż bezceremonialnie zaciągnął ją na targ. Choć wskutek rany majaczyła z bólu, pamiętała tamto miejsce, gdzie stała otoczona kozami i wieprzami, w odchodach i smrodzie, by można ją było do woli omacywać, taksować i – w końcu – odsprzedać.

– Ta tutaj – osądziła żona kmiecia, którą w słabszym świetle można było wziąć za całkiem słuszną maciorę. – Ta się nada, ani chybi.

Kmieć zaś, któremu sędziwy wiek ani nie wyostrzył rozumu, ani nie osłabił chutliwości, szczerzył się od ucha do ucha, wyraźnie ukontentowany. Gdyby tylko właściwie ją ułożyć, zyskałby sposobność do zabawy z nie lada pięknnością, rozumował. Wtem jednak ujrzał to felerne oko i z miejsca poniechał swych zamiarów. Jednak poczuł się winny swych lubieżnych myśli i zdjęła go litość.

– Ajuści – zawtórował. – Udatna będzie z niej służka.

Zagadnęli ją, jak się nazywa, a ona, pragnąc zerwać z żywotem krasnolicej, pohańbionej młódki, wybrała dla siebie inne miano z jej

rodzinnych stron. Saitada.

Baba zdecydowała się na dziewczynę z powodu jej obmierzłości, lękając się utracić względy męża na rzecz nadobniejszej niewiasty. Wiedziała, że szrama nie zniechęci mężczyzny, bo ten w jurności podobny jest dzikiej bestii, i żadna, ale to żadna, szpetota nie ostudzi jego zapału. Tym, co miało zapewnić kobiecie mężowską wierność, było poparzone oko, które zdawało się przewiercać człowieka na wylot, wydobywając na jaw każdy grzeszny uczynek. Żaden człek, pomyślała, nie może czuć na sobie tego spojrzenia i ludzi się, że jego wszeteczność ujdzie kary.

Żona kmiecia była guślarką, toteż opatrzyła rany dziewczyny i namaściła je wyciągami z żywokostu i rumianku. Nie mając własnych dzieci, wszystkie matczyne uczucia przelała na służkę; czesała i zaplatała jej włosy, uszyła jej piękną suknię, a nawet przeznaczyła łóżko. Saitada spędziła u kmieci złote lata swego życia, choć poprzysięgła sobie, że już nigdy nie położy się z innym mężczyzną. Dochowywała wierności postanowieniu, póki nie skończyła siedemnastu wiosen.

W dzień, w którym miała uchybić swym ślubom, nawiedził ich chłop z sąsiedztwa, by przestrzec przed – co niezwykle – grasującym w okolicy wilkiem, który zeszłej nocy zagryzł trzy jego owce. Na obszar zwartej wspólnoty niewielkich zagonów wilki zapędzały się rzadko, odstraszone liczebnością ludzi. Stąd miejscowi chłopcy nie mieli większej wprawy w radzeniu sobie z nimi.

I tak kmiecie wraz z Saitadą zapędzili inwentarz do zagrody opodal chlewu i przeczekali noc w towarzystwie psów, włócznie trzymając w pogotowiu. Doświadczeni łowcy umieją obchodzić się z wilkami, ale nienawykli do tego ludzie mogą sobie z nimi poradzić na dwa sposoby: zapalając pochodnie i śpiewając piosenki z nadzieją, że hałas zniechęci zwierzęta, tudzież zasadzając się z włócznią i robiąc z nimi porządek raz na zawsze. Żadna z tych metod się nie sprawdza, lecz obie dają człowiekowi choć pociechę, że coś przedsięwziął. Użycie siły sprawi, że wilk czmychnie i spróbuje następnego dnia. A jeśli się poczeka, on poczeka dłużej, aż w końcu ludzi zmorzy sen. By ująć wilka, potrzeba sprytu i siła, czyli akurat tego, czego chłop nie miał.

Chciało mu się spać i pragnął mieć to już z głowy, nakazał tedy kobietom milczenie. Sam jednak nie zastosował się do własnych

poruczeń, pod tak wielkim był wrażeniem ciężaru swej włóczni. Mężczyźni, którym nigdy nie było dane walczyć, darzą oręż głębokim afektem. Uwielbiają trzymać go i ważyć w rękach, roztrząsać, jakież to uszczerbek mogliby nim uczynić, gdyby mieli ku temu okazję. W każdym tchórzliwym człeku drzemie zabójca, czekając na sprzyjający zbieg okoliczności, kiedy po wypróbowaniu wszelkich półśrodków, przychodzi pora na działania ostateczne. Ten chłop nie stanowił wyjątku, a siedząc w błogim ciepłe nocy, poczuł ważkość włóczni, którą mu przydzielono, i wbrew własnym nakazom zmacił ciszę.

– Gdym małym był, ludzie gadali, że nikt nie rzuca włócznią lepiej ode mnie.

Żona kmiecia przewróciła oczami, bo już nieraz słyszała te przechwałki, gdy jej mąż sobie popił.

– Myślałam, że cichać mielim, z myślą o wilku – stwierdziła.

– Tak tylko mówię – ciągnął chłop – że gdybym wrodził się w jakiś zaciejszy ród, to byłby ze mnie chłop na schwał i woj niezgorszy. Za młodu miałem nie lada smykałkę do broni. Sam wielmożny jarl zoczył mnie niegdyś i rzekł, iż życzyłby sobie, aby choć połowa jego wojska potrafiła strzelać z luku tak celnie jak ja. Był ze mnie całkiem...

Raptem zamilkł. Z gąszczu drzew opodal siola wyzierała na nich para olbrzymich gorejących ślepi. Mniej wilka, zdawało się, a bardziej jakiegoś piekielnego pomiotu.

Kmieć płynnie przesunął się za plecy swej niewolnicy. Ta ani drgnęła – nie takie rzeczy w życiu widziała, by miał ją wystraszyć byle basior.

– To nie jest zwykły wilk – z przestraczem pomiarkowała baba.

– Bij na alarm, kobieto. Leć po pomoc, ino chybko!

– Sam se leć. Tyś w końcu chłop.

– Jak się poruszę, może mnie zoczyć – burknął kmieć.

– Mnie też – ofuknęła go baba.

– Jam potrzebny do radła. Kto, jak nie ja, zaopiekuje się biedną Saitadą?

– Ja pospieszę po pomoc – zaofiarowała się służka.

– Za późno. Wilk już jest między wami – ozwał się głos blisko ich uszu.

Troje domowników odwróciło się w popłochu, atoli nie dojrzało niczego. Wtem, tak jasny i biały w świetle gwiazd, że nie mogli wprost

uwierzyć, że przeoczyli jego nadejście, objawił się przed nimi mężczyzna. Około dwudziestoletni, uderzająco przystojny, długonogi i sprężysty. Zdawał się przyciągać blask księżyca, a skąpane w nim mięśnie falowały niby tafla srebrzystego morza. Dopiero po chwili pomiarkowali, że jest nagi. Jego skromność okrywała jeno pokaźna i zboczona krwią skóra wilka opinająca plecy. Trzymaną w dłoni tylną wilczą łapą bezczelnie zasłaniał tę część, która żenuje mniszki. Jego gęsta czupryna lśniła jasną czerwienią i sterczała w górę w bezładzie.

– Na rany Chrystusa! – zakrzyknął kmieć. – Przez waszmość omalże nie wyskoczyłem ze skóry!

– A ja ze swojej i owszem – odezwał się nieznajomy, nagłym ruchem odsuwając łapę sprzed słabizny i równie prędko ją zakrywając.

– Jak śmiecie się tak obnażać na oczach mej żony! – zaperzył się chłop, który, jeśli mu to pasowało, w swej pobożności mógł iść w zawody z samym Bogiem.

– Wilk za tobą! – zakrzyknął przybysz.

– Gdzie? Boże, te oczy.

Chłop już się odwrócił, gotów salwować się ucieczką, ale osaczyły go posępne, gorejące ślepia w lesie naprzeciwko i ten nieznajomy straszny młodzik za plecami. Nie miał gdzie umknąć, a jego mózgowi wyczerpały się pomysły, co zrobić z ciałem. Tedy po prostu klapnął na ziemię.

– To nie ślepia – rzekł mężczyzna – tylko pochodnie pozostawione przez pewnego życzliwego wędrowca.

Kmieć zmrużył oczy i wbił spojrzenie w mrok. Teraz wszystko stało się oczywiste – to były zwykłe żagwie.

– Tak żem myślał – odparł hardo.

– Ogień – ciągnął bladokóry nieznajomy – to sposób, by wilka odpędzić. – Zanurzył się w chaszczę i powrócił z dwiema zapalonymi pochodniami. Teraz tylne łapy wilka miał związane na podbrzuszu.

– Spowiłem tego węża, co Ewę kusił – rzucił.

Uniósł pochodnie i uważnie przyjrzał się wieśniakom.

– Kmieć, jego nadobna locha, ale, ale... Cóż to za piękność tu mamy? Nic dziwnego, że strach cię obleciał na widok takiego lica.

– Żaden tam strach, panie, ja jeno... ja jeno teren chciałem spożytkować. To dlatego żem się na ziemi znalazł.

– Zdaje się, że ta tutaj wie znacznie lepiej od ciebie, że ogniem

można wilka odpędzić – rzekł mężczyzna, wyciągając rękę ku brodzie Saitady i przyglądając się szramie na jej licu.

Saitada nie wzdrygnęła się na te słowa, bo ludzką pogardę miała za nic. Nieznajomy delikatnie odwrócił ku sobie niepokalaną stronę jej twarzy.

– Takowe piękno bywa przekleństwem – rzekł – bowiem żadna tarcza przed nim nie chroni, a nawet najzwinniejsi pośród wojów nie potrafią mu się oprzeć. Tym bardziej ty, staruszk.

– Dworujesz sobie ze mnie, panie – ozwała się Saitada – alem rada temu, jeśli to oznacza, że zatrzymasz ręce przy sobie.

– Skądże znowu, miła panienko. Dla mnie jesteś piękna nad wszystkie piękności tego świata! Pochwyciłaś nici przeznaczenia z rąk Norn i własnoręcznie uprzedłaś pasmo swego życia.

– Pięknie prawisz, panie – pochwalił kmieć.

– Niegodnym takich pochwał z ust tak wielkiego męża – zakpił wędrowiec, lekko się kłaniając.

– Ze mnie drwisz, przybłodo jeden!? – zełził się chłop, który, jak większość starych ludzi, na ogół przyswajał sobie tylko te, fragmenty rozmów, które dotyczyły go osobiście. – Drzewiej żem raz rzucił włócznią na całą wiorstę. I wbiła się w błoto aż po drzewce!

– Bez obaw, o pani – rzekł mężczyzna do żony kmiecia. – Z jejmości zadrwię dopiero, jak skończę z szanownym małżonkiem. Azaliż skończę aby kiedy z tak udatnym indywiduum? Ależ nie, o pani, nic ci nie grozi, boć z nim kresu nie widać.

– A co z tym wilkiem? – zapytał kmieć, który od przybycia nieznajomego miał nielichy mętlik w głowie, choć wypił tylko kapinkę.

– Zgładziłem tego nocnego gościa, tego leśnego sobiepanka, tego sierścią pokrytego osobnika, o kmieciu, mój ty gnoju oraczu, mój ty parobku plugawy, mój ty kowalu gównianego losu – zapał przybysz. – Lecz przypłaciłem tę walkę ubraniem w strzępach. Użyczysz mi trochę ze swego przyodziewku, bym mógł zakryć ten przepych, który kapłani orzekliby naszą hańbą?

Już miał zdjąć z siebie wilczą skórę, lecz zmitygował się w ostatnim momencie.

– Skoroś, jak widzę, zabił wilka, to jestem ci winien opończę – przyznał stary. – Tam w domu mam taką, co służyła mi przez niejedną zimę.

– Wolałbym tę drogą, co ją nosisz na sobie. Wyszła bowiem spod najprzedniejszej ręki, co kiedy bądź dotknęła kądzieli.

– To ja ją utkałam – wtrąciła Saitada.

– Wiem, o pani – odrzekł mężczyzna i skłonił się uniżenie.

– Jaka tam znowu pani? Przecie to zwykła niewolnica – zaoponował kmieć.

– Ona cieszy się wolnością, której ty nigdy nie dostąpisz – uciał przybysz. – A teraz przynieś mi swą opończę, nim obedrę ci plecy ze skóry i nią się otulę miast szata.

Umysł kmiecia zdawał się niemal skwierczeć, trawiąc słowa nieznajomego. Sam chłop czuł się jakby smażono go w sosie jego przechwałek, roszczeń i słabości. Zrobił, jak mu polecono. Błądy przybysz wyciągnął rękę ku Saitadzie, a ona miała wrażenie, że wokół niej jęły płaszać malutkie plamki światła, srebrne kuleczki, nie większe niż nasiona, połyskujące w skrzącej się pajęczynie. Przyoblekł się w opończę, którą uszyła, otulił się nią i zaczął śpiewać.

Księżycowi podobna, na poły swą pięknością,

A zrodzi tego, co księżyc pożre z lubością.

Ach, słońce, co się cieniem w południe zasnuwa!

A wilk, co w snach swych majaczy, wciąż czuwa.

Ostatnia linijka najwyraźniej setnie ubawiła nieznajomego, bo jął się trząść ze śmiechu, a Saitada, nie mogąc się powstrzymać, poszła za jego przykładem niby dziecko, które poznało jakiś rubaszny sekret. Chichot wzmagał się i narastał w jej trzewiach, aż pomyślała, że już nigdy nie ustanie.

Stało się jednak inaczej i wśród nocy zapadła cisza. Wszystko się zmieniło, i to na zawsze. Saitada miała wrażenie, jakby tkwiła pośrodku polany skąpanej w srebrzystym blasku rozżarzonego księżyca.

– Obacz piękno odzienia, któreś uprzedła – rzekł mężczyzna.

Stał przed nią, atoli nie miał na sobie opończy, którą zrobiła, a utkaną z piór podobnych raczej srebrzystym językom płomieni czy plamkom światła. Szata otuliła go i uniosła w powietrze; zdawał unosić się na wysokości zydła nad ziemią. Kmieć i jego żona gdzieś przepadli.

– Nigdy nie zaznałaś miłości – stwierdził wędrowiec.

– Masz rację, panie.

– Potrafię pokochać tylko niewiasty twego autoramentu. Azali

któż mógłby miłować księżęta i bohaterów, co kalają swe członki zabójstwem i wojaczką?

– Nie znam ni jednych, ni drugich, panie.

– Wszystko w swoim czasie. Nim dokonasz żywota, będziesz miała z nimi taki zgryz, że aż cię zabolą trzonowce. – Posłał jej uśmiech. – Ty, moja droga, jesteś doskonałością.

– Moje oblicze temu przeczy, panie.

– Sama wybrałaś niedoskonałość – a cóż może być bardziej doskonałe? Zmiarkowałaś, iż twa niedoskonałość jest doskonałością, toteż zaradziłaś temu, wymuszając na sobie niedoskonałość, dzięki czemu na powrót stałaś się doskonałością. Logika to zaiste niedoskonale bezbłędna.

Opadł na ziemię, a opończa, którą nosił, przeistoczyła się w kobierzec z białych piór, pokrywający polanę niby głęboki śnieg w środku zimy. Ona zaś położyła się na nim; zaznawszy wcześniej jedynie słomianych posłań, z rozkoszą przyjęła przytulność tego leża.

– Dążenie do bycia najlepszym, do dominacji, tak by skaldowie sławili twą chwałę. To sens życia ich wszystkich. Cóż udatniejszego niż plunąć na to, co nadali bogowie, i uczynić na złość losowi?

– Zrobiłam to, bo nie zamierzałam pozwolić, by ci ludzie nadal mieli ze mnie uciechę.

– Już nigdy jej nie doświadczą. Chcesz poznać ich los?

– Tylko, jeśli jest nieszczęsny.

– Odpląciłem im – oświadczył gorejący piękności bóg. Saitada nie miała już wątpliwości, że nie stoi przed nią zwykły śmiertelnik. – Żałuj, żeś nie widziała miny kowala, gdy odezwałem się do niego z płomieni. Tak się wystrachał, że przewrócił kocioł z roztopioną rudą wprost na swe klejnoty. Dość powiedzieć, iż teraz nosi kuškę na wierzchu z całkiem innego powodu. Wdzięcznaś?

– To za mało.

Wyciągnął rękę. Saitadzie ukazał się kowal śpiący w swym łożu. Wymizerowany i blady. Atoli coś przesłaniało jej widok. Dym. To strzecha się paliła. Dawny ciemniejszy dziewczyny przebudził się i starał się podnieść, ale oparzelina do cna krępowała jego ruchy. Gdy dom zajął się ogniem, Saitada dojrzała w jego oczach paniczny strach.

Patrzyła na to z uśmiechem.

– W tobie drzemie moc, pani. Moc, powiadam – rzekł bóg. –

Elfy opiewają twą sławę, a karły w swym podziemnym królestwie rozpaczają, bo wiedzą, że żadne dzieło ich rąk nie zdoła dorównać twemu nieskończonemu pięknu.

– Zdradź mi swe imię, panie – poprosiła. Miała wrażenie, że otula ją coś dziwnego, coś, czego nigdy wcześniej nie zaznała od żadnego mężczyzny – coś obecnego i intensywnego, czysta miłość ponad samo jej pojęcie, taka, jaką mogła odczuwać jej zapomniana matka hołubiąca swą małą dziewczynkę.

– Me imię? – zdziwił się wędrowiec. – Imię? Pani, jako i w twym przypadku, mej świetności nie sposób oddać li tylko jednym mianem. Najsampierw musisz lepiej mnie poznać. Zrozumieć, z kim mi nie po drodze.

Powietrze na polanie zatechło od odoru krwi i ognia. Rozbrzmiał łoskot i szcęk, niby odgłosy kuźni po tysiącokrotnie zwielokrotnione, metalu uderzającego o metal, o drewno. Saitada domyśliła się instynktownie – bitewna wrzawa. Na skraju polany stał wysoki siwawy człowiek z brodą i w kapeluszu z szerokim rondem. Jedno oko przesłaniała mu przepaska, u stóp spoczywały dwa ogromne ziejące basiory o zębach wielkich niby noże. Minę miał przerażającą. Saitada już nieraz widywała podobne. Wyraz twarzy mężczyzn przyglądających się walce kogutów lub szczujących na siebie psy, by nawzajem porozrywały się na strzępy. Grymasy na twarzach druhów kowala, gdy ją przyduszali do ziemi. Widome oznaki niezaspokojonej żądzy przemocy i rozkoszowania się zadawanym gwałtem.

– Oto Odyn, król wszystkich bogów, wiecznie nienasycony – przedstawił wędrowiec. – Obacz, jak chce wiedzieć, pochłaniać i nadzorować wszystko i wszystkich. Ojcze, odpuśćże sobie!

Starzec nie odezwał się nawet słowem, tylko stał w miejscu, zastygły w złośliwej euforii. Wędrowiec podszedł do niego i pstryknął go w nos, ten jednak nie zareagował.

– On nawet świat jest gotów pożreć! – zakrzyknął. – Dowie się wszystkiego, pochłonie każdą tajemnicę, aż w końcu całe stworzenie świata będzie miał na zawołanie. Trzeba ci wiedzieć, że on jest szalony. Głęboko zaczerpnął ze studni wiedzy, lecz woda chlusnęła na jego palący głód i zagotowała mu olej w głowie. A mimo to chce wiedzieć wciąż więcej i więcej.

– A ja chcę zapamiętać – rzekła Saitada.

– Oczywiście. Tak trzeba, by nie zwariować. To ignorancja dodaje światu uroku. Boć któż wie, dlaczego promienie słońca na kropli rosy w majowy poranek tak bardzo radują serce, że ma się ochotę śpiewać? Tylko ten degenerat, rzecz jasna! Wolałbyś, aby miłość nie istniała, ty stary pierniku? Stłamsisz nawet sekretne pragnienia niewieściego serca wobec olśniewającego płomiennowłosego kawalera i wyplujesz je na stół w postaci map i run? Nakreśliś porywy kobiecego serca? Cóż, pani, sądzę, iż powinniśmy tego chciwego wiedzy pożeracza, tego plugawego tuczniaka mądrości, solidnie ugryźć w rzyć, nieprawdaż?

– Tak, panie – zgodziła się Saitada, choć nie bardzo rozumiała, co przybysz ma na myśli. Wiedziała tylko, że chce za wszelką cenę przypodobać się nieznanemu.

– I tak oto dochodzimy do nas samych – stwierdził wędrowiec.
– Czy chciałabyś poznać me niedoskonałości, pani?

– Wiem już wszystko, co trzeba, o ludzkich niedoskonałościach – odparła – choć ty, zdaje się, człowiekiem nie jesteś.

– Cóż, ach cóż, cię do tej myśli przywiodło? – zapytał.

Tymczasem rozgorzały księżyc przyoblekła zielona poświata, a po polanie jeły płaszać szmaragdowe cętki światła. Starzec zniknął, a za nim jeden z wilków, następnie drugi – wpierw ciało, potem głowa, z wyjątkiem pyska. Na końcu wilczy język strzelił niby bicz między kłami, a chwilę później polana opustoszała.

– A to, że cię pragnę – odparła.

– Zawsze to jakaś wskazówka, czyż nie? Nigdy nie kochałaś i nie pokochasz żadnego mężczyzny, a jednak mnie miłujesz.

– To prawda.

Bładoskóry bóg wziął ją w ramiona i pocałował. Poczuli się jednością ze światłem księżyca, z gwiazdami w niebiosach. I, co najdziwniejsze, miała wrażenie, że nieznanomy wędrowiec pochłania wszystkie jej obawy i marzenia, a potem karmi ją nimi na nowo, słodkimi niby miód na jego wargach.

Przyciągnęła go do siebie i objęła, a gdy ich ciała się złączyły, zdało się, iż to samo stało się udziałem ich umysłów. Trzewia palił jej paroksyzm śmiechu, coś pomiędzy złośliwością a dziką rozkoszą. Ale też z nutką miłości. Czulią więc ze wszystkimi stworzeniami na ziemi, czulią poruszające się pod jej stopami dżdżownice, rojący się od

zwierzyny las, a zimna przestrzeń między gwiazdami jawiła się jej jako doskonała i piękna. Świat zdawał jej się skarbem, bogowie zaś, których obecność odczuwała jako ucisk z tyłu głowy, z ich żądzą krwi i bitwami, wydali jej się groteskowi, okropni i godni pogardy.

Musnęła skórę wędrowca – była mokra od krwi ściekającej z wilczego futra. Saitadę zafascynował szkarłat pokrywający biel jego cery. Jej ręka poczerwieniała od posoki. Oblizwała dłoń, a smak zaszumił w jej krwi, jakby drobne bąbelki buzujące w całym ciele, od ust po kolana.

Bóg włożył na głowę wilczy czerep. Patrzył teraz na nią zimnym wzrokiem poprzez zakrwawione oczodoły zwierzęcia. Spomiędzy zębów martwego wilka wypełził długi i lubieżny jęzor.

– Jak cię zwa? – zapytała.

– Miana są niby odzienie, pani. Mam ich wiele.

– A które z nich nosisz dzisiaj?

Bóg się uśmiechnął. Widziała, że spodobały mu się jej słowa. Przygarnął ją do siebie, przycisnął wilcze wargi do jej ust i rzekł:

– Mym imieniem jest Niedola. A powiedziec ci coś jeszcze?

– Tak – odparła niewiasta, wdychając jego aromat; woń czegoś pięknego, osobliwego, o zapachu spalenizny. – Chcę wiedzieć.

Smyrgnął jej wargi koniuszkiem języka i wyszeptał:

– Twoim też.

Gdy Saitada obudziła się ranem, nieznajomego już nie było – zniknął wraz ze swą wspaniałą wilczą szatą. Z szyi zwisał jej dziwny kamień, owinięty w pasek skóry. To symbol, powiedział nocny gość, mego uczucia i ochrony. Jednak dużego pożytku talizman dziewczynie nie przyniósł.

Zwierzęta w gospodarstwie zostały zarżnięte. Psy zdechły, a Saitadę obarczono winą za to, że dogadzała sobie z nieznajomym, podczas gdy wilk zagryzał i pożerał świniaki. Żona kmiecia chciała to puścić w niepamięć, znów czesać jej włosy i nazywać córką, lecz chłop, ośmielony światłem dnia, w którym nie uświadczysz wilków, pałał żądzą zemsty.

Tedy sprzedał ją tak, jak stała, w samym jeno ubraniu i z talizmanem z otoczaka, podarowanym przez nieznajomego na pamiątkę nadanego jej imienia. Kapłani, którzy kupili dziewczynę, rzekli, by uznała swe cierpienie za cnotę. Gdy zmiarkowali, że jest brzemienna,

już szykowali się do oćwiczenia jej batogiem, ale skończyło się na zamiarach. Coś, być może amulet, a może oko, które zdawało się widzieć wszystkie ich grzechy, spętało im ręce. Uszła kary, a oni pozwolili jej żyć między sobą.

I wtedy pojawił się Authun.

*

Co zatem odwiodło Authuna od morderstwa, tam, na łodzi? Kamień u szyi branki był jeno zwykłym otoczakiem z wydrapaną głową wilka. Może król dostrzegł ten mały nierówny ryt – symbol własnego rodu – i poczuł głęboko zakorzenioną obawę, że ta obcoplemienna jest mu pokrewną duszą. A może po prostu zrobiło mu się jej żal?

Spojrzał na północ, podnosząc wzrok na majaczące w oddali ośnieżone szczyty, gdzie miał spotkać Gullweig⁵, królową górskich czarownic, to pomyłone dziecko. Gdy po raz pierwszy stanął przed nią latem zeszłego roku, nie liczyła sobie więcej niż dziesięć wiosen.

Authun znał krążące o niej legendy. Gdy stara królowa czarownic znalazła się na łożu śmierci, ukazała się ojcu Gullweig, wojowi na dworze Króla Halfdana Prawego. Nakazała mu zabrać ciężarną żonę pod Ścianę Trolli, bym tam powiła. A ten, wiedząc, że odmowa byłaby głupotą, oddał swą małą wiedźmom i podziękował za pomyślność, którą ta ofiara miała przynieść jego rodzinie. Gullweig spędziła więc dziesięć lat w mroku górskich jaskiń, chłonąc magię niby dzieci rybaka morską sól z powietrza.

Authun zwrócił wzrok ku matce, kołyszącej swe bliźnięta w ramionach. Nie, nie potrafię jej zabić. Oddam ją czarownicom, pomyślał. Wybrany chłopiec jakoś przetrwa podróż bez karmienia spod Ściany do domu jego żony. Dziewczyna nie rozumie choćby słowa w języku Authuna, przeto nawet nie pomiarkuje, co stało się z jej dziećmi. Jakoż mogła mu zaszkodzić, pozostając na służbie u czarownic? Wszak im nie ucieknie – nikomu jeszcze nie udało się odnaleźć właściwej

⁵ Mitologiczna Gullweig to pochodząca z rodu Wanów mądra wieszczka, nazywana też Heid („wiedźmą”), epizodyczna bohaterka staroeddaicznej *Wieszczby wólwy*. Miała ponoć czarami demoralizować ludzi, zwłaszcza kobiety łaknące rozkoszy i radości. Z jej powodu wybuchła pierwsza wojna w dziejach świata, gdy Wanowie starli się z Asami.

drogi bez przewodnika.

Tym sposobem Authun Bezlitosny, co puścił z dymem już pięć grodów, przyznał przywilej życia tej oszpeconej niewolnicy, którego poskąpił swym pobratymcom. I tym samym przypieczętował swój los.

*

Gdy zeszli na brzeg, ich oczom ukazała się przepiękna dolina skapana w letnim blasku, rozbrzmiewająca melodią płodności. Authun jednak nie potrafił czerpać przyjemności z piękna scenerii. Od kolebki stapał twardo po ziemi, robiąc to, co było trzeba i nie ulegając rozterkom. Był bezlitosny, ale cechę tę traktował jak środek prowadzący do celu, nie zaś cel sam w sobie. Im marniejszy był los jego wrogów, tym większą daninę mógł ściągać z innych, nawet nie podnosząc włóczni. Atoli pod wejrzeniem osobliwego oka kobiety, zdającego się śledzić każdy jego ruch, nie mógł wyzbyć się obrazu twarzy Varrina, w obliczu śmierci mówiącego o swej żonie. Authun postawił sobie za punkt honoru, że przekaże wdowie ostatnie słowa męża natychmiast, jak tylko odda dziecko swej połowicy.

Pomiędzy wybrzeżem a Ścianą Trolli płynęła rzeka. Authun najchętniej właśnie nią popłynąłby do celu. Atoli, mając do dyspozycji jedną parę rąk, musiałyby dokonać niemożliwego. Zresztą czarownice za sprawą czarów zagroziły nurt kamieniami, rzeka była więc nie do przebycia nawet przy pełnej obsadzie łodzi. Ruszyli tedy na piechotę.

Authun puścił kobietę przodem, by stale móc ją mieć na oku. Jej włosy zwisały swobodnie, bowiem zakonny kwef, który kazali jej nosić kapłani, spoczywał na dnie Morza Północnego. Przyodziana w przenoszony habit z piątej ręki i w przydługi płaszcz należący niegdyś do Helli, wyglądała niczym żebraczka. Król, w swej przyprószonej solą opończy i futrze używanym podczas morskich wypraw, prezentował się wcale nie lepiej. Księżycowe Ostrze niósł schowane na plecach. Nie chciał wszem i wobec obnosić się ze swym dobytkiem, wiedział bowiem, że na wzgórzach aż roi się od trolli i wszelkiej maści grasantów.

Na swej drodze od morza w głąb lądu nie napotkali żadnych nadnaturalnych stworzeń, lecz drugiego dnia zauważyli w oddali zbliżających się trzech jeźdźców. Dziewczyna rzuciła się w

poszukiwaniu schronienia, co Authunowi zdało się wielce rozsądnym postępkim.

Jak na kobietę, przynajmniej. On jednak nie miał zamiaru chować się po kątach i przystanął w miejscu, jak na męża przystało. Konni zsiadli z wierzchowców i podeszli, co Authun uznał za niezawodną oznakę złych zamiarów.

Mierząc się z wojem pokroju Authuna Wilka, najlepiej byłoby go śledzić i zakłuc we śnie. Prowokowanie go z daleka, a potem zbliżenie się z miną mówiącą: „A cóż my tu mamy?”, należało uznać za daleko posuniętą niefrasobliwość. Atoli dziś Authun był nastrojony zadziwiająco melancholijnie i pozwoliłby tym trzem go minąć.

Jeśli tylko jeden z nich nie próbował ucapić go za bark. Authun schwycił jego dłoń, by ten nie mógł jej odsunąć od niedoszłej ofiary, lewą nogą zrobił krok do tyłu, odstawiając ramię chłystka, jednym płynnym ruchem dobył Księżycowego Ostrza zza pleców i przepołowił kończynę napastnika. Nim bandyta pomiarkował, co się właściwie stało, Authun zadał mu kolejny cios, tym razem w nogę. Król nie miał zamiaru go zabijać; już teraz zastanawiał się, do czego mógłby go wykorzystać. Ranny szukał oparcia i odruchowo przeniósł ciężar na odciętą rękę, która powinna spoczywać na kołnierzu Authuna. Ale nie spoczywała. Upadł przeto w przód, pod nogi króla, brocząc obficie. Pozostali dwaj rabusie gapili się z niedowierzaniem na Księżycowe Ostrze. Teraz już dokładnie wiedzieli, z kim zadarli – słyszeli tyle opowieści o Authunie Wilku, że czuli się niemal tak, jakby znali go osobiście. Jednego byli pewni – walka z nim oznacza niechybną śmierć.

Chcieli wziąć nogi za pas, ale Authun, pomimo trzydziestu pięciu lat na karku, był dla nich za szybki. Gdy podchodzili, król zauważył, że obaj noszą kosztowne kolczugi, ciężkie i krępujące ruchy. Padli tedy trupem, nim ubiegli dwadzieścia sążni.

Wytarł miecz o przyodziewek zabitych i powrócił do Saitady i krwawiącego grasanta. Czym prędzej wyjął z sakwy kawał rzemienia ze skóry morsa i przewiązał nim ramię nieszczęśnika, tamując krwawienie. Rzezimieszek zemdłał, co było nawet Authunowi na rękę. Saitada spojrziała na dwa ciała, a potem na króla. A ten, nie wiedząc czemu, jął się sumitować.

– Gdybym pozwolił im odejść, wróciliby w nocy, niewykluczone, że całą bandą – tłumaczył, choć wiedział, że nie może

go zrozumieć. – To szabrownicy. Te konie też zagarnęli. Widzisz te kolczugi? Ściągnęli je z odważnych głupców, którzy przyszli wykraść skarb czarownic, wystawiony na pohybel takim jak oni. Wiedźmy używają ich do swojej magii, a potem zrzucają ze skały.

O wilku mowa, pomyślał cierpko. Zauważyli ją w oddali, już teraz olbrzymią, choć odległą o trzy dni marszu. Cel ich podróży – Ścianę Trolli⁶, wysoką na tysiąc mężów stojących jeden drugiemu na barkach. Ogromny zwisający klif, niby przeszkoda ze snu uniemożliwiająca dalszy ruch, coś symbolicznego, o znaczeniu sięgającym daleko poza deprimujący ogrom. Authun podniósł wzrok na skałę. Pomyślał, że głupotą jest łudzenie się, iż da radę się na nią wspiąć, choć już wcześniej tego dokonał. Lecz to jedyna droga do jaskiń czarownic, jaką siostry zechciały ujawnić obcym. Podejście boczną ścianą było jeszcze bardziej karkołomne, spowite czapą wiecznego lodu, upstrzone luźnymi głazami i bronione przez ujarzmione przez wiedźmy górskie plemiona.

Nie pozostawało zatem nic innego, jak się wspiąć niemal na szczyt Ściany, a potem wniknąć w jej wnętrze, do jaskiń. Atoli Authun wiedział, że górskie zbocze nie jest zasadniczą przeszkodą na drodze do spotkania z królową czarownic. Największą będą one same.

⁶Trollveggen (1700 m n.p.m.), część masywu Trolltindene (Szczytów Trolli) w dolinie Romsdal na wschodnim wybrzeżu Norwegii; najwyższa pionowa ściana skalna w Europie (maksymalnie 1100 m od podstawy do szczytu).

4. ŚCIANA TROLLI

*Między godziną psa
A godziną wilka
Między jawą a snem
Światłem a ciemnością
Znajdują się wrota cienia
Śmiało, wkrocz, wędrowcze,
Nie stój na tym posepnym progu.*

Authun przeczytał ryte w kamieniu runy, stojąc pod zawrotnym nawisem Ściany Trolli, klifu tak wysokiego, że jego szczyt ginął w chmurach. Wokół wały się ludzkie kości i gnijące strzępy przyodziewku, ale to inskrypcja przejmowała go dreszczem. Prozaiczne ryzyko ze strony grasantów i spadających kamieni było wystarczająco groźne, nawet nie biorąc pod uwagę tego, jakie inne okropieństwa czały się w mroku.

Wspinaczka na Ścianę nawet najbardziej krzepkiemu wojowi zabrałaby dwa tygodnie, choćby już za pierwszym podejściem znalazł jedną ze zmiennych dróg wokół nawisu. Lecz nikt nie miał aż tyle szczęścia.

Niemożliwe, by ot tak, za pierwszym razem, dotrzeć do jaskiń. Osuwiska kamieni w mgnieniu oka przemieszczały stare szlaki, otwierały nowe i zamykały inne. Można było się wspiąć omal na wyciągnięcie ręki od szczytu, lecz ni stąd, ni zowąd obrona droga okazywała się nie do przebycia, a śmiałek musiał zawracać i szukać kolejnej. Co gorsza, ścieżek cały czas ubywało, jakby góra ich nie tolerowała i starała się strząsnąć je z siebie, niby kundel pchły ze swego futra. Ile jeszcze czasu minie, nim nie pozostanie choć jedna? Czy czarownice w końcu zostaną bez pomocy i zgniją w swych jaskiniach? A może były inne, ukryte wejścia, używane przez siostry i ich sługi?

Trudy wspinaczki bladły jednak w porównaniu z problemem zasadniczym, czyli – jak ostrzegały runy – ze snem. Albowiem to tam

właśnie, na skraju niewielkiej przepaści pomiędzy czuwaniem a nieświadomością, znajdowało się królestwo czarownic. Ludzie szukali tego miejsca, by ukraść wiedźmowy skarb, lecz znajdowali zgubę; inni przychodzili tu po poradę, lecz odprawiano ich z wieczystym kwitkiem. Wyłącznie garstka, uzbrojona w talizmany i słuszną daninę, powracała stamtąd żywa, a pośród niej nie sposób znaleźć było głupców ośmielających się starać o drugą audiencję. A tylko Authun i jego przodkowie, na mocy boskiego prawa, jak powiadano, mogli regularnie naradzać się z czarownicami. Lecz nawet dla wilczego króla perspektywa wizyty w tym miejscu była wielce zniechęcająca. Składał ją już drugi raz i, miał nadzieję, po raz ostatni.

Wiedział, że choć to niebezpieczne, muszą poczekać na przewodnika – nie mieli wyboru. Authun nie widział potrzeby trudzenia i siebie, i tej kobiety, próbą samodzielnej wspinaczki. U podnóża zagrażali im wprawdzie bandyci, ale lepsze to, niż gdyby dzieci miały postradać życie przez upadek ze skał. Rozpalił ognisko, napił się wody z bukłaka, dał Saitadzie do zjedzenia trochę chleba i solonej ryby, a potem upewnił się, że okaleczony rabuś nie wyzionął ducha.

W końcu położył się i przez pewien czas udawał, że śpi. Chciał się przekonać, co zrobi kobieta. Ta zaś nakarmiła dzieci i sama zaległa. Dobrze się domyślał – nie była głupia. Nie zamierzała zabić swego jedyne go obrońcy na tym nieznanym i niebezpiecznym pustkowiu, czy choćby od niego uciec. Bandyta był zbyt pokiereszowany, by przedsięwziąć cokolwiek. Authun chciał na wszelki wypadek złamać mu drugą rękę, lecz obawiał się, że wstrząs może go zabić. Więc jedynie przywiązał go rzemieniem ze skóry morsa do drzewa. W końcu naprawdę ułożył się do snu w oczekiwaniu na przybycie czarownic.

Gdyby pojawiła się sama królowa, wszystko byłoby w porządku. Jeśli zaś jedna z jej dziwnych sióstr, cóż... Authun był wojem, skupił się tedy na tym, co począć w najgorszym wypadku, nie zaś na czczych rozmyślaniach o własnym losie. Jak będzie trzeba, ofiaruje jej bandytę, potem kobietę. A na końcu siebie. Przy odrobinie szczęścia królowa czarownic ukaże się na czas, by uratować pacholęta.

Sen jednak nie chciał nadejść. Noc była pogodna, ani ciepła, ani zimna, opończa zapewniała ciepło, ale trywialne bolączki – zimny nos, otoczek wrzynający się w krzyż, zapach porastającego kamienie mchu, a nawet skalny posmak w ustach – nie pozwalały mu zmrużyć oka.

Raptem pomiarkował, że nie śpi, ale i nie czuwa. Niektóre zmysły zdawały się wyostrzone – czuł żelazisty smak zimnego powietrza, potrafił odróżnić woń kwiatów od trawy, w nosie kręcił go zapach dziegciu i mułu z kałuży. Słuch jakby lekko się przytępił, a wzrok dostroił się tak, że w jasnej poświacie księżyca Authun dostrzegał nowe kolory – metaliczny granat, iskrzące się głębokie zielenie i nitki złota z boku skały. Zrozumiał, że znalazł się tam, gdzie panują czarownice, w miejscu między jawą a snem. Podszedł do drzewa i przeciął więzy bandyty, przygotowując się na to, co miało nastąpić.

W ciemnościach rozległ się płacz, jakby kwilenie dziecka. Authun chciał przysposobić kobietę na przybycie czarownic, dzieliła ich jednak bariera języka. Nie ma wyjścia, będzie musiała to ścierpieć. Król usłyszał głos przenikający przez ścianę deszczu. A ten skąd się tu niby wziął? Czuł krople na wargach – smakowały jak żelazo, pachniały jak dłonie po kontakcie z mieczem. Jak krew.

*Matka w gumnie,
Matka w gumnie.*

Głos dziecka. Wysoki i piskliwy, lecz wyraźnie słyszalny.

Authun nie chciał patrzeć, ale wiedział, że musi. Jeśli przybywała królowa czarownic, ważne było, by go zobaczyła. Przyciągnął ku sobie półprzytomnego bandytę, gotów rzucić go wiedźmie.

Na skalnej ścianie zauważył idącą wzdłuż półki młodą niewiastę, skuloną, próbującą osłaniać się przed siekącym deszczem. Trzymała coś w ramionach. Dziecko. Authun odwrócił się w stronę Saitady. Spała, tuląc obu chłopców w objęciach.

Słaniając się, nieznajoma z dzieckiem zeszła ze ściany klifu i złożyła maleństwo na ziemi. Zdjęła mu powijaki i obnażyła przed żywiołami. Potem uciekła w mrok.

Authun nie ruszył się z miejsca. Czarownice miały na podorędziu wiele sztuczek, ale on nie zamierzał tak łatwo dać się nabrać.

Obserwował, jak dziecko umiera. Po krótkiej chwili przestało się ruszać, a potem zdało się, że znika. Magia, ani chybi. Authun trzymał rękę na mieczu.

Raptem deszcz ustał i mogło się wydawać, że zapanował uroczy letni wieczór. Kobieta, która zostawiła dziecko na śmierć, pojawiła się ponownie, tym razem przyodziana w odświętny strój wieśniaczki, jakby wybierała się na tańce. Jakiś mężczyzna, również paradnie ubrany, przeszedł obok niej, ucałował w rękę i coś powiedział – chyba prosił, by się nie spóźniła. Authun poznał tę scenę, jak żywcem wyjętą z legendy o niezameżnej niewieście, która wolała narazić własne dziecko na zgubę niż stawić czoło trudom jego wychowania. Jak kończyła się ta opowieść? Nie pamiętał.

Kobieta uśmiechnęła się i usiadła na zydlu, który pojawił się znikąd. Czesła włosy. Skończywszy, wstała. Authun przypomniał sobie, że – podług baśni – przed wyruszeniem na tańce poszła doglądać świń. Spojrzała na koryto i ze środka wyjęła coś zimnego i niebieskiego. Dziecko, pomiarkował Authun, i to martwe. Kobieta uniosła maleństwo na wyciągniętych rękach i przyglądała się, jak zaczyna się poruszać, młócąc nogami powietrze, jakby próbowało płasnąć. Wtem znów usłyszał dziecięcą rymowaną, która zdawała się rozbrzmiewać z wnętrza jego głowy.

*Matka w gumnie,
Matka w gumnie,
Strój się i mężów czaruj szumnie,
Wzuj me powijaki i w nich płasaj dumnie.*

Gdy wierszyk wrzynał się w jego umysł, Authun miał przed oczami tylko twarz Varrina, rozdęte białe oblicze topielca. Cóż najlepszego uczynił? Czemu, ach, czemu to zrobił? Z nieba na powrót spadł deszcz; proste i obfite strugi w bezwietrzny wieczór.

Ni stąd, ni zowąd zapadła noc, ciemna choć oko wykol, a młoda kobieta o twarzy pobladłej z szaleństwa, kurczowo przyciskająca martwe dziecko do piersi, znalazła się tuż przy boku króla. Nawet Authun nie potrafił zdusić okrzyku przerażenia, choć opamiętał się na tyle, by popchnąć bandytę w stronę czarownicy Ciało mężczyzny jakby rozplynęło się w powietrzu, połknięte przez noc, a król domyślił się, że nie stoi przed obliczem królowej czarownic. Ona by go rozpoznała. Musiała to być jedna z wiedźm obserwujących okolicę, która wzięła go za kolejnego łupieżcę. Albo – co gorsza – jedna z tych naprawdę

straszliwych sióstr, o umyśle kipiącym magią, pół-demon sączący ułudę i szaleństwo w obecne wokół umysły. Taki, który mógł ich zabić, nawet nie wiedząc, że są w pobliżu.

– Gullweig! Gullweig! – zawołał Authun donośnie. – Pomóż nam, o pani!

Obnażył Księżycowe Ostrze i rozejrzał się dokoła, szukając kolejnych zagrożeń. Światło zmieniało się co chwila; raz to ćma niemożliwa, raz to blade półmrok przesiąkniętego deszczem przedświtu. Wypatrywał Saitady, by ją rzucić czarownicy, ale ona gdzieś znikła.

– Authun Wilk – odezwał się dziecięcy głos w jego głowie – najpotężniejszy woj Midgardu. Azaliż nie ma nikogo, kto mógłby cię pokonać w boju?

– Gullweig! Gullweig! – wykrzyknął co sił w płucach, by posłyszała go królowa czarownic. Wiedział, że nie należy odpowiadać na wezwanie głosu. Nie wolno mu przystać na tę ułudę, zagłębić się w nią i zostać przez nią pożartym.

*Znam jednego, co cię zmorzy sam,
Znam jednego, co ci zada kłam.
Jeśli pokonasz tego, co go znam,
Wkrótce, Królu Wilku, wejdiesz tam.*

Żaden śmiertelnik, który stanął z Authunem w szranki, nie uszedł z życiem. Król zrobił to, czego obiecał sobie nie robić – odpowiedział na wyzwanie.

– Niechaj twój wysłannik stanie do walki!

Za zasłoną deszczu coś zamigotało i uformowało się na kształt mężczyzny. Authun pomyślał, że czarownica go nie doceniła. Przeciwnik okazał się bowiem mężem dobiegającym czterdziestki, z długimi białymi włosami i rozwichrzoną brodą. Wyglądał na znękanego i wyczerpanego życiem. W jego rękę spoczywało coś, co lśniło zimnym ogniem. Miecz, zakrzywiony, wąski i złowieszczy, błyszczący nawet pośród deszczowej aury. Authun rozpoznał oręż w tej samej chwili co tożsamość adwersarza. Księżycowe Ostrze. I on sam naprzeciw siebie.

Gdy poraziło go zrozumienie, zdarzyło się coś dziwnego. Zobaczył własną postać stojącą tyłem do skały i jednocześnie ku niej

zmierzającą. Zdawało mu się, że jest obydwoma wojami jednocześnie, że spogląda na świat dwiema parami oczu. Widział białą sylwetkę z kobietą i dwojgiem dzieci za plecami, a zarazem tę samą białą postać oddalającą się od skały; słyszał płacz chłopców za sobą. Authun nie wiedział, którym jest wojownikiem. W pewnym sensie był obydwoma.

Być może mężowie nastawieni do życia bardziej refleksyjnie zastanawialiby się, co począć, ale Authunowi, obu Authunom, od dziecka wpajano znaczenie błyskawicznego działania. Królowie zwarli się w boju. Był to patowy pojedynek – obaj przeciwnicy bezbłędnie odgadywali swe ruchy, trafnie przewidywali wzajemne ciosy, uchylając się przed nimi lub odskakując, a ich miecze cięły pustkę. Idealnie równorzędni, mogli tak walczyć w nieskończoność.

Tyle że wcale nie byli sobie równi. Człowiek inaczej poczyna sobie, wspinając się po zboczu, a inaczej, gdy po nim schodzi. Może i Authun wiedział instynktownie, że jego lustrzane „ja” wykona trzy finty, a potem wyprowadzi szych na nogi, ale z powodu ukształtowania terenu nie mógł się domyślić, że jedna noga oponenta znajdzie się nieco wyżej niż druga. Ani na którą z nich przeniesie on ciężar ciała – na lewą, na prawą czy po równo na obie. Nie mógł odgadnąć, kiedy deszcz go oślepi, ani kiedy odpłynie on z oczu przeciwnika. Nadto, zachowanie kogoś stojącego przed skałą i spoglądającego jeno w mrok, nie ma nic wspólnego z tym, co robi on w obliczu człowieka, mając w tle poruszające się drzewa. Człowiek spoglądający na północ nie jest tym samym człkiem, który patrzy na południe – ludzie to rodzaj zmienny i nieprzewidywalny. Król zdołał jednak ranić samego siebie, z ukosa wyprowadzając cios w bok.

Authun ucieszył się, widząc, że przelał pierwszą krew, lecz zarazem zaniepokoił, bo i sam doznał przy tym uszczerbku. Król, który zadał cios, poczuł ukłucie w boku. Pojawiła się tam rana, co do joty przypominająca tę, którą spowodował. Authun nie mógł przestać walczyć, nie mógł ustąpić; taka myśl nawet nie powstała w jego głowie. Zadał przeto kolejny cios. Trafił. U obu królów pojawiły się identyczne rany na przedramionach. Potem na uszach. Na dłoniach. Nie wiadomo już było, kto zadawał, a kto przyjmował ciosy, lecz Authun wciąż ponawiał ataki, bowiem tylko tak mógł postąpić ktoś wychowany w wierze, że oręż jest odpowiedzią na wszelkie bolączki.

Saitada jednak nie miała wątpliwości – gdyby walka miała się

przeciagnąć, postradałaby swego jedyne go obrońcę.

Przytulając do piersi chłopców – ani myślała ich zostawić – skoczyła w deszcz, by własnym ciałem rozdzielić wojów.

– Nie! – krzyknęła. – Dość! – Ale jej słowa, niezrozumiałe dla królów, zginęły w szumie deszczu.

Raptem coś, jakby wielka dłoń, poderwało ją z ziemi i podrzuciło w wilgotne powietrze, w górę klifu; leciała coraz wyżej i wyżej. Odezwał się do niej osobliwy dziecięcy głos.

– Giń.

Runęła w dół, przyciskając do siebie dzieci. Nagle rozwidniło się i wszystko ucichło, a ten sam głos przemówił ponownie.

– Przebacz mi, lordzie Loki.

– Siostrze, wszyscy czasem błądzimy. Oboje zawiniliśmy, przeto wzajemnie puśćmy to w niepamięć – rzekła Saitada, choć nie swoim głosem, tylko tego nieznanego wędrowca, ojca chłopców. Wtem znalazła się na ziemi, pod skałą. Ponad nią stał Authun, pokrwawiony i zdyszany. Świtało, a promienie słońca ogrzewały lico kobiety.

– Przysłały nam chłopca za przewodnika – stwierdził król. – Sprawdź, co z dziećmi, a potem w drogę. – Zdziwiona, pomiarkowała, że go rozumie, choć przemawiał w swoim języku.

Naprzeciwko nich stał blady malec, około ośmioletni, obwieszony ochronnymi wisiorami, naramiennikami, amuletami i talizmanami.

– Za mną – rzucił.

I wyruszyli w mozolną wyprawę przez Ścianę Trolli, w górę, ku królestwu czarownic.

5. UTRATA SYNÓW

Wspinaczka okazała się karkołomna i z każdą chwilą Authun tracił wiarę w to, że uda im się dotrzeć na szczyt. Kobieta w końcu wypuściła dzieci z rąk. Tkwiły teraz przytroczone do króla, wierząc się i kwiląc, zaś matka sprawdzała ich umocowanie z wprost irytującą regularnością.

Authuna wciąż przechodziły ciarki, gdy na nią spoglądał, lecz jeszcze nie mógł się jej pozbyć. O wiele większą trwogą napawała go jednak spodziewana ciężka próba związana ze spotkaniem królowej czarownicy.

– Wiesz, gdzie idziemy, dziecko? – indagował małego przewodnika.

Chłopiec nie raczył odpowiedzieć, bez słowa kontynuując wspinaczkę.

Na dole panowała bezwietrzna pogoda, ale tutaj – po dziesięciu dniach bezustannego parcia w górę poprzez serpentyny ścieżek, schodzenia w dół innych, forsowania straszliwych podejść i koszmarnych uskoków – podmuchy niemal rozpląszczały ich o skały. Authun pomyślał nawet, że niewolnica nie podoła trudom.

Co prawda była tu ścieżka, choć niedostrzegalna z dołu i miejscami tak wąska, że nawet Authun, który hardo spoglądał śmierci w oczy, czuł ucisk w żołądku, gdy zawierał swe życie korzeniom czy skalnym wyłomom o średnicy palca. Nie ważył się patrzeć pod nogi.

Spali umocowani do klifu sznurami i hakami, które chłopiec miał przy sobie, otoczeni różnego rodzaju ochronnymi przedmiotami. Ich przewodnik zdawał się nie spać w ogóle – całą noc czuwał, intonując dziwną pieśń o dyszarmicznej melodii, w języku, którego Authun nie rozumiał. Sny króla turbowało jeno niespokojne oczekiwanie tego, co miało nastąpić.

Potem nawis stał się urwisty, wręcz niedostępny. Jakim cudem dotarł do czarownic za pierwszym razem? Authun nie pamiętał. Przypominał sobie jedynie wieszczbę, obecność królowej czarownic i

wszechogarniający mrok.

Pośród chmur, gdzie widoczność zmalała do kilku sążni, ścieżka nagle się urywała. Wydawało się, że ich mały przewodnik zabłądził, mijając wejście do jaskiń. Authun poczuł, jak strach wysusza mu usta. Gonił ostatkiem sił, dziewczyna też była u kresu wytrzymałości – nie przeżyliby zejścia, nawet gdyby chłopiec zgodził się ich poprowadzić.

Wtem dzieciak zawrócił, wspinając się z powrotem obok Authuna, obok Saitady, a potem, ledwie widoczny w gęstych, niemal przylegających do skóry, tumanach mgły, przywołał ich gestem ręki. W skale znajdował się otwór, niewielka szczelina. Szeroka na bark i ledwie wysokości człowieka. Authun nie dałby rady przecisnąć się przez nią z przytroczonymi dziećmi, a nawet bez nich musiałyby ustawić się bokiem i przepchnąć się na drugą stronę. Wejrzał w ciemność, a do jego nozdrzy doleciał zapach głębi ziemi. Nie widział niczego, ale musiał przeć dalej. Odwiązał chłopców i podał ich matce. Później zagłębił się w otwór w ślad za przewodnikiem. Do środka docierało tylko mdłe światło z zewnątrz. Widział na długość ramienia, może trochę dalej. Wkrótce przestał dostrzegać cokolwiek. Saitada podała mu przez szczelinę kwilące pachołęta. Czy tego chciała, czy nie, zdążyła już się przywiązać do Authuna, i nie miała innego wyboru, jak za nim podążyć.

Authun na powrót przytroczył niemowlęta do siebie. Ich matka przecisnęła się do środka. Król już wcześniej podziwiał ją za niezłomność, obcą nawet niektórym ze znanych mu mężczyzn. Nie trzeba było jej nakłaniać, pokrzepiać czy zmuszać. Po prostu za nią szła, posłusznie i bez gadania.

Mały przewodnik stał bardzo blisko nich; zdążył już odwiązać długi sznur od pasa. Jedną końcówkę podał królowi, gestem polecił mu, by się oplótł, i pozwolił to samo zrobić Saitadzie. Tak też uczyniła. Potem zeszli w mrok.

W ciemnościach, gdy z wysiłkiem starał się utrzymać na nogach i osłaniać dzieci, przez głowę Authuna przemykały różne myśli. To musi być, pomyślał, wejście dla tych nielicznych gości, których czarownice zdecydowały się do siebie dopuścić. Do codziennego użytku było zbyt niepraktyczne. Bo inaczej niby jak zdobywałyby pożywienie? Jak wydstawiałyby się na zewnątrz, by składać nocne wizyty, przysiadając w nogach łóżka osłupiałego wieśniaka i dobijając

tego swojego upiornego targu – oferując magię w zamian za dzieci? Muszą istnieć tu inne wejścia i wyjścia, pomyślał Authun. Chyba, że – jak wieść gminna niosła – więdźmy naprawdę umieją latać.

Grobowa cisza mroku potęgowała w uszach Authuna dźwięk przyspieszonych oddechów – jego własnego, dzieci oraz kobiety za plecami – a także odgłos jego kroków, ciężkich i niepewnych. Stracił poczucie czasu. W pewnym momencie posłyszał plusk wody i poczuł, że chłopiec-przewodnik chwycił go za rękę i wetknął ją do strumienia. Król napił się i pomógł Saitadzie zrobić to samo.

Zatrzymali się na chwilę, a on podał pachołęta dziewczynie, by je mogła nakarmić. Gdy je przekazywał, uświadomił sobie, jak bardzo są maleńkie i kruche. Jakim cudem ta dziewczyna przetrwała taką podróż tak rychło po połogu? Nie mógł jej nie podziwiać.

Potem znów jęli schodzić w dół, pograżeni w mroku. Ręce Authuna ocierały się o kamień. Potykał się, czuł, że chłopak spycha go do tyłu, gdy zwalniali, by przebrnąć przez skalne osuwisko lub przecisnąć się przez ciasne przejście, zdające się miażdżyć im kości. Odczuwał dojmującą bezradność i nienawidził tego. Ciemność była wrogiem, z którym walczyć nie mógł; byle dziecko mogło go tu zostawić na śmierć. Szli dalej, w dół i głębiej. Wpierw zimno, potem gorąco. Odpoczywali znowu i raz jeszcze. Czy na zewnątrz wciąż trwa ten sam dzień? Authun sądził, że tak. W dół, niżej i jeszcze głębiej, przez podziemne korytarze, zimne i ślepe, wpełzając do ciasnych szczelin, które drapały twarz i ręce, gdy się przez nie przeciskał. Miejsca, gdzie zdołałby się rozprostować, mogły się znajdować na wyciągnięcie ręki w prawo czy w lewo, a on i tak by się nie pomiarkował. I jeszcze głębiej, przy wtórze dziecięcego kwilenia rezonującego pośród przepastnych komór lub tłumionego przez długie trumny kamieni.

Ile to już czasu minęło? Dwa dni? Któż to wie. Oddychało się trudno; o równowagę trzeba było walczyć. Powietrze zdawało się dławiące i martwe. Raptem Authun poczuł, że na przedzie poluzowano sznur i posłyszał oddalające się dziecięce kroki. Pociągnął za naprężony koniec ku sobie i przygarnął Saitadę do piersi z czułością, która nigdy wcześniej nie przychodziła mu tak spontanicznie. Słyszał drzenie własnego głosu.

– Przetrywamy. Tylko nie puszczaj sznura. – Wymacał jej rękę i

dał znak, by przywiązała linę do nadgarstka. Tak też zrobiła. – Śpij.

Nie spodziewał się, że zrozumie, a jednak pomiarkowała – nie jego słowa, ale uczucie troski i ciepło, które jej okazywał. Przysiadła. Bo cóż innego było robić? Wilgoć przywierała do skóry Authuna; najpierw spłynął potem, następnie przeszły go ciarki. Ręką wybałał okolice miejsca, na którym siedział, wiedząc, że może znajdować się o krok od śmiertelnego urwiska. Przyciągnął ku sobie dziewczynę i podał jej dzieci. Straszliwe niebezpieczeństwo, w którym się znaleźli, sprawiło, że zdały mu się jeszcze bliższe sercu. Podczas gdy niewiasta karmiła pacholeta, Authun mocował się z mieczem, próbując rozwiązać rzemienie u pochwy. Gdy matka podała mu nasyczone już maleństwa, przywiązał je za nóżki do swego pasa, upychając miecz pod buty, które miały mu służyć za poduszkę. Pierwszy raz w życiu w chwili zagrożenia cenił coś bardziej niż własną broń.

Authunowi zdawało się, że dopadł go sen – ale czymże jest czuwanie i spanie w takiej ciemnicy? Ciało wprawdzie rządzi się własnym rytmem głodu i wydalania, lecz nie sposób odmierzać czasu według takiej cezury, gdy pożywienia brak, a wody niedosyt. Kobiecie skończyło się mleko, dzieci rozplakały się na dobre. Po chwili jednak ucichły jak nożem uciął.

– Kto?

Głos dochodził z bliska, z mroku, a słowo zabrzmiało niczym nuta zagrana na flecie.

– Pani?

– Kto? – rozległo się ponownie, niby sowi pohuk, owiewając Authuna bliskim oddechem, gorącym i cuchnącym.

Król wyobraził sobie wielkiego ptaka, przyczajonego opodal w mroku, skubiącego go szponiastymi łapami.

– Jam jest Authun, król Horda. Przynoszę daninę złota i niewolników do pałacu królowej czarownic.

– Kto?

Poczuł, że coś się nań wspina. Ludzka sylwetka, wątła i lekka, lecz mimo to król musiał się powstrzymać przed sięgnięciem po miecz. O, nie. Byli zdani na łaskę tego czegoś, czymkolwiek było.

– Kto?

Authun głośno wciągnął powietrze. Czy walkirie znajdują mnie tutaj, w dole, zastanawiał się, by zabrać mnie do Walhalli na wieczną

uczte? Czy raczej już na zawsze spoczne w tej zawilgłej ciemnicy? Sięgnął do boku i pomiarkował, że sznury u jego pasa zwisały rozwiązane, a dzieci gdzieś przepadły

Raptem drgający przytłumiony płomień jał palić oczy króla, a ten przesłonił je ręką. Kątem oka dostrzegł nachylającą się ku Saitadzie i dzieciom malutką staruszkę w białej, długiej i luźnej sukni. Nad nią, w blasku złota, sama niby płomień rozświetlający wszechobecny mrok, stała królowa czarownic. Posępne dziecko, blade i piękności, ukoronowane niewyobrażalnym galimatiasem połączanych wstęg, rubinów, szmaragdów, diamentów i szafirów, wyglądającym niczym smoczy skarb w miniaturze.

Jej szyję zdobiła drogocenna kolia z klejnotami płonącymi dobrze znanym Authunowi blaskiem. Światłem, które widział, gdy łupił każde z pięciu miast, łuną gorejącej wioski, z której porwał te dzieci, płomieniem zniszczenia. Wtem na powrót nastały ciemności.

W ramiona Authuna wrzucono dziecko. Potem jakiś przedmiot. Skórzaną buteleczkę, jak wyczuł palcami, do połowy wypełnioną płynem. Choć nikt się nie odezwał, król zrozumiał, co to jest – specyfik, który miał dać żonie, by dopełnić oszustwa.

– Matka pójdzie ze mną? – zapytał.

– Kto? – odparł ten sam idiotyczny kobiecy pohuk.

Authun musiał chyba śnić, bo wszędzie wokół niego rozbłyskały i gasły niewielkie światełka, w których poblasku przelotnie migaly twarze przedziwnych sióstr. Gdzie nie spojrzeć, miejsce zdawało się skapanie w zlocie – w połysku oręża i pancerzy, pucharów i platerów, świetnych naramienników i połączanych skrzyń pełnych monet. Król wykorzystał ich światło, by wymacać miecz. Dłoń chwyciła za rękojeść, ale Authun zmusił się, by rozluźnić palce. Jeśli miał walczyć, potrzeba mu było odprężenia – zbyt kurczowy uchwyt pozbawiłby go szybkości.

– Matka, co ze mną tu przybyła?

– Kto?

Authun miał już po dziurki w nosie tej udreki. Łaknął prawdziwego światła, tchnienia wiatru i smaku deszczu. Potem znów zapadł mrok, a on stracił rozeznanie, jak długo w nim trwał.

Przebudził się nad brzegiem rzeki. Księżycowe Ostrze przepadło jak kamień w wodę, atoli miał przy sobie jedno pachole.

Zachłannie zanurzył głowę w strumieniu i chleptał niby pies. Gdy ugasił pragnienie, odwrócił się ku dziecku. Oblepiał je brud, ale poza tym wyglądało niezgorzej. Przynajmniej płakało, co Authun wziął za oznakę zdrowia. Spojrzał na Ścianę Trolli, majaczącą w oddali, wciąż przytłaczającą swym rozmiarem. Umył niemowlę i pomyślał o smutku i goryczy, które dotychczas otaczały maleństwo, o śmierci i oszustwie, dzięki którym znaleźli się tu, a nie gdzie indziej.

Nawet marny koniec grasantów nie ukoił jego smutku. Miał na sumieniu śmierć pobratymców zostawionych na tamtej plaży przy rzece, Varrina, obciążonego kolczugą i pochłoniętego przez morskie odmęty, tej biednej niewiasty o szpetnym obliczu – co się z nią stało? W najlepszym wypadku utraciła jedynie jedno ze swych dzieci. A w najgorszym? Wciąż żyła i osamotniona czekała w okropnej ciemnicy na śmierć z pragnienia. Każdego innego dnia swego życia Authun uznalby te zdarzenia za niezbadane wyroki losu, dokuczliwe ciernie, przez które musiał się przedrzeć, by wyjść na prostą. Ale, mimo że nie znał jej imienia, pomyślał o Saitadzie i, samotny nad brzegiem rzeki, Authun Bezlitosny zapłakał.

Gdy osuszył łzy, zawinął dziecko w opończę i wyruszył ku chacie, odległej o pięć dni drogi umiarkowanego marszu, w której miała spoczywać jego rzekomo brzemenna żona. Spojrzał na dziecko. Potrzeba mu mamki – bez niej nie podoła tak długiej podróży. Trzeba tedy pokonać trasę o wiele szybciej. Nic to. Po zatęchłym powietrzu jaskiń dobrze będzie poczuć zmęczenie, uznał.

Po drodze, nad wodą, dostrzegł odciski kopyt. Prawdopodobnie dwóch konnych. Miał przy sobie jeno nóż, ale gdyby udało mu się zabić jeźdźca, mógłby dotrzeć do chaty w jakieś dwa dni. Może mniej, gdyby zdobył też drugiego wierzchowca. Wyglądało na to, że nim dotrze w rodzinne strony, będzie musiał zabić raz jeszcze. A nawet po dwakroć.

6. WOLFSANGEL

Gdyby Authun był bardziej skory do refleksji, pewnie zastanowiłoby go, dlaczego czarownice okazały mu aż taką wielkoduszność, by ofiarować mu upragnionego syna. Tak nieoczekiwanej szczodrości spodziewałby się po każdym z rywalizujących z nim królów, a oczekiwałyby jako należnego mu przywileju od nawiedzających dwór wysłanników, atoli czarownice należały do zupełnie innej kategorii istot. Znajdowały się w sferze tego, co ponadnaturalne, nieodgadnywalne, dziedzinie pokrewnej opatrności czy przeznaczeniu, tedy nie podawał w wątpliwość ich daru ani trochę bardziej niż w przypadku wyrzuconego na ojczysty brzeg walenia czy pomyślnego wiatru na żaglach langskipu zmierzającej na wiking.

Zdziwiłby się niepomniernie, gdyby wiedział, że czarownicami powodowało coś tak prozaicznego jak strach.

Choć lud i królowie, z których ściągali daninę, uważali kobiety ze Ściany Trolli za potwory, to tak naprawdę nie różniły się one aż tak bardzo od przerażonych kmieci, jarłów i niewolników, zostawiających swe ofiary z jadła, trunków i dzieci na górskim zboczu.

Pewien rybak, co stracił syna, na ten przykład, miał je niemal za bestie w ludzkiej skórze. Nie potrafił orzec, czy spał, czy nie wśród tej pamiętnej nocy, gdy powietrze w domu nagle zdało mu się tak ściśnięte i zimne jak okład na skórze, a to coś, co widział przelotnie kątem oka, zniknęło, gdy odwrócił się, by się dokładniej przyjrzeć. Następnego ranka po przebudzeniu syn rzekł mu, że zawezwały go kobiety, tedy rybak zabrał go pod górę. Wiedział, że nie ma wyjścia. Gdyby odmówił, konsekwencje poniosłoby całe plemię, a nie tylko jego rodzina.

Struchlały chłopina obserwował, jak jego syn odchodzi i jak połyka go mgła. Jemu samemu nie mieściło się w głowie, że czarownice są zdolne do jakichkolwiek uczuć, a co dopiero do odczuwania strachu. A jednak te kobiety naprawdę się bały.

Azali cóż to jest wieszczba? To szerokie pojęcie, przybierające

wiele form. Nie nazywa się wieszczbiarzem człeka, co przewidział, że kot potrafi kubek, i rzuca się, by go złapać. Nikt nie twierdzi, że umiejętność spojrzenia w chmury i przepowiednia zbliżającego się dżdżu robi z człowieka proroka. Nawet w lecie wiadomo, że prędej czy później nadejdą zimowe chłody, i nikt nie uważa tego za przejaw magicznych mocy. Owe przewidywania są częścią naszego codziennego doświadczania przyszłości, żadnym tam zawołowanym czy tajemniczym darem, tylko czymś bezpośrednio związanym z teraźniejszością.

Nawet pośród grani i pieczar Ściany Trolli, za wejściem w zboczu klifu, którego nie można – nie sposób – zobaczyć, jeśli nie zostało się zaproszonym, profetyczna moc królowej czarownic nie pozostawała bez związku z tą daną każdemu śmiertelnikowi. Granice między teraźniejszością a przyszłością nie są tak nieprzekraczalne, jakby się mogło wydawać; królowa czarownic pociła się, marzła, przymierała głodem i majaczyła, póki dla niej się one nie zatarły.

Wieszczby nie stanowiły czegoś oddzielnego od jej jestestwa, czegoś, co robiła, czy mówiła; były integralną częścią jej świadomości, sposobu widzenia świata. Niby gwara, którą się posługiwała. Przez rok, nim królowa wysłała Authuna z poruczeniem, ten dialekt cicho syczał o zagrożeniu. Nie nadeszło w pełnej krasie pojedynczego dnia, lecz raczej zaczęło się niby podejrzenie lub nawet plotka – w szepcie pod prądem jaskiniowych strumieni, w chłodzie, co wpęzał zbyt głęboko w trzewia ziemi i przejmował dreszczem skórę królowej. Działo się tak nawet w wilczej komnacie, kędy tchnienie spętanego boga rozgrzewało kamienie tak bardzo, że parzyły w dotyku.

To odczucie narastało w jej wnętrzu, gdy siedziała pogrążona w mroku; potęgowało się też w reszcie sióstr. Gdy czarownice zatarły granicę między dniem dzisiejszym a wczorajszym, rozmyło się zarazem rozróżnienie między jednostkami – mną, tobą, nią i tym. Ich przeżycia były jak dobytek, który można pożyczać, użyczać lub współdzielić.

By rozjaśnić znaczenie złego przeczucia, siostry posłużyły się pomniejszą magią. Zapaliły świecę z wielorybiego sadła i poprosiły ją o zesłanie wizji. Mogły zwrócić się po wskazówki do dowolnej rzeczy, wybrały jednak świecę, bowiem drzewiej była żyjącą istotą, miała przeto trwalsze więzi ze światem zewnętrznym niż kamienie w jaskiniach. Najsampierw świeca, wypełniając powietrze rybnym

odorem, wyjawiała im swą historię, dzieliła się nią bowiem z każdym. Atoli siostry wyczuły coś więcej. Wdychały napięcie, które przesączało się do sadła, kropla po kropli, wraz z kolejnymi etapami agonii wieloryba – wyrzuceniem go na plażę, znalezieniem przez łowców i uśmierceniem. Świeca nie gasła, czarownice zaś jeły rozumieć, że jakość jej światła jest dla wieszczby najważniejszą przesłanką.

Wtem jedna z sióstr uznała za właściwe wyciągnięcie ręki i zgaszenie płomienia palcami. Światło znikło, lecz jego refleks, jego cień, wypełnił umysły czarownic. Pod bladą żółcią płomienia, jak im się zdało, tlił się ciemniejszy kolor, jakby jasnego łupku, barwy nieba przed burzą. Podążyły tym tropem – ze szczytu Ściany zniesiono w kubku deszczówkę, a wiedźmy zauważyły, że woda jest cięższa niż zwykle, jakby nasycona nostalgią, życzeniem. Ona, pomyślały siostry, wciąż chce spadać, ponownie przemienić się w deszcz. A jej zapach jest cierpki niby ozon. Związek z nadchodzącą burzą zdawał się silniejszy.

Jedna z czarownic wdrapała się na szczyt Ściany, by przyjrzeć się zachowaniu ptaków. Zrywały się do lotu z północnego zbocza góry i okrążając ją, skręcały na południe. Kobieta wyczuwała, że i inne zwierzęta w dolinie szukały schronienia. Mewy pofrunęły w głąb ładu, a owady zagłębiły się w ziemi. Dlaczego tak się działo? Ponieważ czuły na sobie wzrok czarownic. Stworzenia nie przenosiły się z miejsca na miejsce, by służyć za wróżbę zwykłym mieszkańcom gór.

Oznaki były jasne – zapowiadały burzę, magiczną nawałnicę. Zimą przesłanie stało się jeszcze bardziej wymowne. Wtenczas przygnany wiatrem dym sprowadził zapach stosów pogrzebowych, przemykające przez jaskinie szczury zdawały się nieść z sobą ożywienie i oczekiwanie, a na niebie widywano więcej kruków niż mew. W umysłach czarownic dzień i noc wibrowała wizja szubienicznego drzewa – trzeszczenie sznura budziło je ze snu, niby nieproszony gość przeszkadzało w rytuałach. Wiedziały, że otacza je śmierć, czekając na dogodny moment, by je porazić. Minął czas subtelności, należało podjąć zdecydowane kroki.

Trzeba było wyrytować runę. Zwykli zjadacze chleba znali pismo runiczne, wydrapane symbole, pozwalające im zapisać proste wiadomości czy sporządzić jakąś listę. Atoli dla czarownic miało ono o wiele większe znaczenie, wykraczające daleko poza nakładanie uroków na amulety czy rzucanie czarów ochronnych na skrzynie, jak wydawało

się niektórym posługującym się nim zachorkom i guślarkom z siól. Runy żyły własnym życiem, zakorzeniły się w umyśle i rozwijały się w nim, doszczętnie go zmieniając, żywiąc się rozumnością i rodząc plon magii.

Czarownice traktowały rytowanie run ze śmiertelną powagą. Symbole owe były potężnym źródłem magii, дарowanym przez Odyna. A raczej odebrany mrocznemu bogu w bólu, cierpieniu i rozmyślnym szaleństwie przez pierwsze kobiety, które osiadły w górach.

Wiele pokoleń wcześniej istniała tylko jedna czarownica. Zamieszkiwała samotnie w jaskiniach, a jej umysł zasnuwał się mrokiem; aż w końcu jej ból dorównał temu, który stał się udziałem martwego pana, gdy ten wisiał na drzewie przez dziewięć dni i nocy, rażony włócznią i ziębiony przez księżyc, opodal studni mądrości. W nagrodę dostała runy, która znaczyła „światło” i, choć nie miała nazwy, świeciła w umyśle wiedźmy i ogrzewała jej kości niby letnie popołudniowe słońce. Obecność runy w jej wnętrzu dała czarownicy moc uzdrawiania mieszkańców gór i talent odsłaniania im rąbka tajemnic przyszłości. W podzięce przysłali jej trzy niewiasty, które miały stać się jej uczennicami.

Jedna z nich rok po roku topiła się, umierała z głodu i z zimna, aż napotkała martwego boga przy głębokim stawie i otrzymała runę roziskrzoną niby krystalicznie czysta woda. Umysły ludzi stanęły przed nią otworem i poczęła śnić sny o dzieciach z dalekich miejsc, słyszeć zazdrosne podszepty płynące przez górskie przełęcze i odczuwać zdradzieckie prądy miłości i nienawiści, obmywające wiejskie obejścia.

Kolejna wybrała inną ścieżkę ku wiedzy. Spoczęła we własnoręcznie wykopanym grobie, a reszta sióstr przykryła go kamieniem. Gdy postradała zmysły, poczuła, że tuż przy niej, w tej ciasnocie, leży bóg. Dotknęła sznura wokół jego szyi, wymacała spoczywające obok zimne i martwe ciało. Runa zdawała się rosnąć i wędnać w jej umyśle, raz przykryta warstwą ziemi i chwastów, to znów odgrzebana i tętniąca życiem. Gdy poderwano wiedźmę z ziemi, ledwie dychała, zdobyła atoli najcenniejszą runę ze wszystkich. Znała już bowiem tajemnicę dziedziczenia i sposób przekazywania magii w darze.

Odtąd śmierć nie była już władna odebrać siostrom mocy run. Każda z nich mogła bazować na wiedzy nauczycieli. Postęp stał się

możliwy. Czarownice rosły w siłę, pokolenie za pokoleniem utrzymując to; co posiadały, i pogłębiając wiedzę, aż w końcu krąg wtajemniczenia rozrósł się do dwudziestu czterech siostr, z których każda była strażniczką, piastunką i emanacją innej runy.

Teraz jednakże ich szeregi liczyły o jedną więcej. Tę dwudziestą piątą czarownicę Authun znał jako Gullweig, ich królową, zaś niektórzy miejscowi jako Huldre⁷, lecz siostry nigdy nie mieniły jej ani tak, ani inaczej. Przyniesiono ją do tuneli jako dziecko, przeznaczone – podług boskich wizji – do przejścia pieczy nad runą światła. Atoli gdy czarownice zabrały się za jej przysposabianie, stało się jasne, że ten symbol już w niej tkwi, zdając się lśnić w ciemnościach od czasu jej pierwszych medytacji, szumieć w umysłach przyglądających się jej czarownic niby wiatr pośród korony drzewa w pełnym rozkwicie. Dla reszty siostr była to nie lada zagadka, gdyż doprowadzenie do manifestacji runy wymagało przeważnie wielu lat cierpienia i wyrzeczeń, względnie śmierci czarownicy, w której wnętrzu gnieździła się dotychczas. W wieku dwóch lat dziewczynkę wystawiono na kolejne męki i poddano uważnej obserwacji.

Runy zdawały się z niej wylewać – najpierw srebrna niczym morze w księżycową noc, następna, skrząca się niby lód w porannym słońcu, trzecia z kolei, co zdawała się bardziej odczuciem niż obrazem, ciarkami siarczystego trzaskającego mrozu, i czwarta – z nutką zapachu dzikiego owocu, piąta niby głód, szósta z pozłocistym błyskiem, siódma wonią różami i krwią, i wreszcie ósma, niosąca poszum wiatru na żaglach. Nim skończyła trzecią wiosnę, wszystkie dwadzieścia cztery runy, które siostry przez całe życie sobą wyrażały, o których śniły i które były podstawą ich mocy, zakorzeniły się już w jestestwie tej małej.

Ona symbolizowała nowe stadium w rozwoju czarownic. Wcześniej ich królowe nosiły w sobie jedynie runę światła, tę, co i pierwsza siostra. A Gullweig miała je wszystkie. Męki, które cierpiała przez pierwsze lata, kierowały jej umysł ku wędrówkom u boku powieszzonego boga: przez zasuszone katakumby w jałowych krainach,

⁷Leśna kusicielka z norweskich mitów, przybierająca postać pięknej kobiety, której ponadnaturalną proweniencję zdradza tylko zwierzęcy ogon (np. krowi); pokrewna Huldr, mitologicznej wieszczce, kochance Odyna.

gdzie martwi próbowali ją schwytać, sięgając z mroków niszczących grobów, przez moczary i torfowiska, gdzie widywała świeżą zaróżowioną skórę jeszcze ciepłych topielców, na obliczach których malowała się niema przedśmiertna prośba o ratunek, przez pola bitew, gdzie słyszała imiona lubyh i dziątek szeptane w ostatnim tchnieniu przez umierających ludzi, z których członków wyjmowała piskliwe runy. Ludzie posądzali ją o szaleństwo, lecz gdyby kmiecie i wojowie zamieszkujący dolinę wiedzieli, co przeszła, dziwiliby się niepomieranie, że pozostała przy tak zdrowych zmysłach.

*

Odczytując wieszczby z kamienia, wiatru i wody, Gullweig wiedziała, że dzieje się coś niezwykłego. Złowróżbny nastrój wypełniający jaskinie, ciężkie powietrze, poczucie frustracji, w każdej chwili gotowe wybuchnąć, upewniały ją w tym, że nie ma wyboru. Musiała wyrytować runę, wymusić manifestację przyszłości w świecie fizycznym, by stała się czymś możliwym do ujęcia, przedyskutowania i w końcu – manipulacji.

W tym celu zesłała do niższych pieczar, gdzie kamienienie barwiły się jaśniejącymi czerwieniami i zieleniami, a wilgoć i ziąb ustępowały miejsca gorącu, które zdawało się wylewać z wnętrza ziemi. Zabrała ze sobą niewielki kawałek utwardzanej skóry, służącej niegdyś za pas pewnemu wodzowi, oraz zapinkę utrzymującą jego płaszcz wokół szyi. Trwała w swej samotni przez jedną porę roku. Nikt nie przynosił jej jadła; wody miała jeno tyle, ile zlizwała ze ścian pieczary. Jedyne światło dawała poświata skał; nie miała towarzystwa. Na koniec tej katorgi przyszły po nią siostry i wyniosły z jaskini. Atoli nic nie napisała. A to oznaczało potrzebę cięższej próby.

To nie siły natury wydrążyły lej na dnie jaskiń duchów, choć nikt już nie pamiętał, kto go wykopał. U wylotu miał szerokość wyciągniętego ramienia, lecz na głębokości równej wysokości dziesięciu czy dwunastu ludzi zwązał się tak, że każdy, kto by doń wpadł, w końcu zaklinowałby się na dobre, niby czop w butelce. Szyb przecinał silny podziemny strumień, wdzierający się na górze przez szczelinę szeroką na pięść i wypływający przez kolejną, na dole. W rezultacie gdy czarownicę spuszczone w otwór na linie, woda sięgała

jej szyi.

Wiedziała, że dla pomyślności rytuału musiała tak przetrwać dziewięć dni.

Pierwsze trzy wypełniały ciemność i dotkliwy ból. Wszak, mimo wszystko, była tylko człowiekiem. Nikt, kto dorastał bez jej szkolenia, by temu nie podołał. Od małego poddawano ją długim okresom postu i medytacji, żywiono dziwnymi grzybami, trzymano w zamknięciu lub zakopywano jak martwą, zmuszano, by naga spędzała noce w świetle księżyca na wyziębionych górskich zboczach, gdzie jeno siła umysłu oddziela życie od śmierci. Mając taką zaprawę, królowa czarownic ścierpiała i tę gehennę, w bólu i udreće odzierając się z człowieczeństwa.

Czwartego dnia tortura oderwała jej umysł od ciała i zapaliły się światła. Ukryte w mroku karły kusily ją złotem, klejnotami, ofiarowywały jej statek, co zdawał się połyskiwać perłami, ale ona wiedziała, że w istocie zbudowano go z paznokci umrzyków⁸. Mogła mieć to wszystko, gdyby tylko zawołała do siostr, by wyciągnęły ją na górę.

Piątego dnia ściany wokół niej gorzały zielonym i fioletowym światłem, a skalne duchy próbowały poderwać ją z wody. Lecz ona im się nie dała.

Szósty dzień spędziła w towarzystwie poprzedniczek, duchów, od których wzięła się nazwa jaskiń, stu królowych mniej potężnych od niej, acz będących jej częścią. Wiedziała, że stanowi ich sumę. Wszystkie martwe królowe były tam z nią, niektóre nagie i wysmarowane błotem i barwnymi wyciągami z roślin, inne bardziej majestatyczne, wszystkie jednak zawodzące, trajkoczące, śpiewające i łkające w ciemnościach. Błagały ją, by poniechała, pluły na nią, starały się wyrwać ją z wody, ale ona nie zamierzała ustąpić – królowa czarownic była na najlepszej drodze do uzyskania odpowiedzi.

Siódmego dnia odezwały się głosy i zrozumiała, że bogowie są blisko. Ósmy dzień upłynął pod znakiem mroku, nieobecności myśli, pustki. Stała wtedy na krawędzi śmierci. Potem, dnia dziewiątego, na

⁸Według mitów, z paznokci zmarłych miał być zbudowany Naglfar, największy okręt wszech czasów, na którym w dzień Ragnaröku, z Lokim u steru, popłyną złe moce, by stanąć do boju przeciwko bogom.

powrót znalazła się w wodzie, jak w chwili, gdy po raz pierwszy się w niej zanurzyła.

Strumień ustał, a ona poczuła, że do jej członków powraca ciepło. Choć wokół nie było ni jednej siostry, ni sługi z lampami, poświata skał zdawała się nawet jaśniejsza. Jaskinia była jakby skąpana w słonecznym blasku.

Rozbrzmiał głos, niesiony echem z tuneli po przeciwnej stronie.

– Czy wiesz, co mi uczynili? Czy wiesz, co uczynili? – Choć królowa wiedźm rzadko się odzywała, zapominając języka, to jednak rozumiała słowa, wibrujące zarówno w jej umyśle, jak i w uszach.

Do jej świadomości przeniknął odór spalenizny, daleki od przyjemnego zapachu gorejących szczap czy siana. Bliżej mu było do swądu włosów, które stanęły w płomieniach.

– Obacz, co mi uczynili. Obacz.

Wygrzebała się z leja i poszła w dół, do niższych jaskiń, a potem jeszcze niżej, kierowana zapachem i głosem.

– Jestem ślepy. Ślepy!

Czarownica zagłębiała się w ziemię, a jaskinie stawały się coraz mniejsze. Nigdy wcześniej tu nie bywała. Miała wrażenie, że te groty nie stanowiły części rzeczywistego świata, lecz miejsce dostępne jeno dzięki magii. Czowała już w ustach posmak dymu, gęsty i gorzki, a głos rozbrzmiewał donośniej. Wtem w przyćmionym świetle zauważyła postać. Zrazu pomyślała, że kształt spowija mgła, lecz gdy podeszła bliżej, okazało się, że ze sponiewieranego męskiego ciała z sykiem ulatuje coś pomiędzy parą a dymem.

Mężczyzna był nagi i przywiązany do skały lepkiem od krwi powrozem. Ponad nim wiły się węże w żywych odcieniach fioletu, zieleni i żółci, sącząc jad na jego twarz i oczy. Rysy miał nabrzmiałe, oblicze posiniaczone i szerniałe. Język pokrywały niebieskie i białe plamy. Na ciele skwierczała trucizna. Błądą skórę znaczyły liczne obrzęki i oparzeliny, a ryże włosy najwyraźniej przerzedził ogień. Mąż krzyczał i wył, daremnie próbując wyrwać się z więzów. Czarownica miała dość doświadczenia w uprawianiu pośledniej magii, by od razu rozpoznać pęta. To były wnętrzości.

Nagle, po raz pierwszy, odkąd we wczesnym dzieciństwie dołączyła do swych sióstr pod ziemią, królowa wiedźm poczuła się jak dziecko, którym wszak była. Widok udreżonego mężczyzny napawał

ją trwogą. Wiedziała, że ma przed sobą stworzenie, którego lękają się nawet sami bogowie.

Obok udrezonego leżała srebrna misa. Czarownica podeszła i podniosła ją, po czym ją zbierała w nią jad, nim ten zdążył skapnąć na twarz boga⁹. Domyśliła się już, kim był – Lokim, siewcą kłamstwa, hańbą bogów, zgubą bohaterów. A czasem, acz sporadycznie, przyjacielem rodzaju ludzkiego.

– W udreće wysyłam umysł gdzie indziej. W bólu przemierzam dziewięć światów, czarownico. Widzisz, co oni mi uczynili, ci bogowie, co upodobali sobie rzeź, ci, co ścięli w boju niezliczone czerepy, tylko dlatego, że odebrał jedno błahę życie? Azali, któż mógł kochać Baldra, ten chodzący ideał, tego żalostnego lizusa? A jednak nie był tak idealny, skoro mu się zmarło, czyż nie?

Czarownica prawie się nie odzywała, odkąd trochę podrosła. Znała jeno tyle słów, ile nauczyła się od nowicjuszek i sług, którzy przybyli do jaskiń już podrośnięci – w wieku siedmiu-ośmiu lat, nie więcej. Teraz też nie rzekła ani słowa.

– Dałaś mi coś. Pozwoliłaś mi na chwilę wytchnienia. Czego zatem żądasz?

Obrócił ku niej głowę. Nawet podczas długiego szkolenia, podczas rozmów ze skalnymi duchami, karłami i elfami, nie dane jej było widzieć czegoś tak strasznego. Twarz mężczyzny przypominała krwawy i nabrzmiąły pęcherz. Misa już się przepełniała, palce czarownicy puchły od chlapiącego jadu. Szybkim ruchem wylała parującą ciecz na podłogę, lecz nim podetknęła naczynie ponownie, kilka kropel węzowej wydzieliny kapnęło na Lokiego, paląc i czerniąc mu skórę. Bóg wrzasnął i zwymiotował, a czarownica podsunęła misę pod strumień jadu.

– Już po dwakroć przyniosłaś mi ulgę w mej udreće. Czego żądasz? W zamian za pierwszą chwilę ukojenia, powiem ci, iż ciebie i twe siostry niewiele dzieli od śmierci. Obrosłyście w zbyt wielką wiedzę i magiczną potęgę, przeto on, lord Odyn, co zazdrośnie strzeże wszelkiej mądrości, na was nastąpi. Odyn idzie się z wami rozprawić w waszym ziemskim królestwie. Przybrał ludzką postać i zbliża się do

⁹To samo miała robić Sygin, żona Lokiego, prawdopodobna matka jego synów, Narfiego i Waliego. Według podań, Asowie związali Lokiego jego własnymi jelitami, zamienionymi w żelazne pęta.

was, we własnej osobie, zbrojny w swą zracą magię.

Czarownica zdziwiła się potężnie. Z Odynem łączyły ją przecież bliskie więzy. Już po wielokroć szukała tego boga. I to jego spodziewała się znaleźć, poddając się próbie wody.

Loki ciągnął przemowę, a jego ciałem wstrząsały kaszel i torsje, spowodowane działaniem trucizny.

– W podzięce za drugą chwilę wytchnienia powiem ci, iż w twych rękach spoczywa moc uniknięcia tego losu. Odyn jeszcze się nie wyczuwa. Jeszcze się nie przebudził i nie wie, kim jest. Trzeba ci działać co rychlej i uprzędzić jego atak. Jest takich dwóch chłopców... Ogień i Mróz. Lecz tylko jeden z nich powinien przeżyć.

Misa napełniła się ponownie. Gullweig wylała truciznę i znów osłoniła naczyniem wrzeszczącego boga. Teraz i jej ramiona były spuchnięte i obolałe, a palce odrętwiałe. Jeno dzięki wieloletnim rytuałom nie zwracała uwagi na ból.

– Nikt nigdy nie został, by podarować mi trzy misy wytchnienia – rzekł Loki – i za ten dobry uczynek udzielę odpowiedzi, której szukasz. U kresu czasu Odyn walczyć będzie z wilkiem i umrze. Odyn jest na ziemi, musisz przeto i wilka sprowadzić na ten padół. Spraw, by duch wilka wstąpił w ludzką skórę, tak jak i bóg się w nią przyoblekł. Oto twoja runa i twój przewodnik. Ona zabije boga. Możesz mi wierzyć.

W głowie czarownicy zaświtała myśl: „Ukaż mi wroga mego”, lecz raptem opary jadu spowiły jej wzrok, kwaśny odór zdusił oddech, i upuściła misę. Opadła ją ciemność. Pierwszy raz od dziewięciu dni dobyła z siebie krzyk, a sługi rzuciły w dół linę, by wyciągnąć królową z leja.

Wydostawszy się na górę, czarownica wykrztusiła wodę z płuc. Chłopcy odsunęli się, ustępując miejsca siostrom. Nie przyniosły one jadła, ognia, koców czy leków, jeno strzęp pasa i broszę. Królowa spojrzała w dół, na swe palce, napuchnięte i szerniałe. Pomimo bólu złapała za szpilkę od zapinki i wycięła runę w kawałku skóry. Rzuciła go na posadzkę i opadła na czworaka, dysząc i tłumiąc odruch wymiotny.

Krąg sióstr wbił wzrok w wycięty znak. Posłyszały w swych umysłach pomruk niepokoju. Połowa z nich ujrzała:



Nie była to jedna z dwudziestu czterech run podarowanych im przez Odyna; nie to spodziewały się zobaczyć. Widziały nowy symbol, coś, czego nie dostąpiła żadna ich królowa od ośmiu pokoleń.

Wiedziały, że to coś niezwykłego, znaczącego, choć nie potrafiły pojąć, na czym owa doniosłość się opiera.

Niektóre rozumiały ukryte znaczenie symbolu tylko odrobinę lepiej niż wcześniejszego ostrzeżenia przed doniosłą zmianą, które nadeszło pod postacią wyobrażenia burzy. Ta runa oznaczała piorun. Odcisnęły jej zmysłowy wizerunek w swych umysłach i odwróciły go. Wtedy jedna ujrzała ujście rzeki pomiędzy dwoma wzgórzami. Inna – kościół na pagórku, i odczuła, że w środku znajduje się coś istotnego: dwóch chłopców, każdy na swój sposób dla nich ważny. Tu potrzebna była dłuższa magia, przygotowywana przez lata i przez lata trwająca. Co to za chłopcy? Jeden był przedmiotem czaru, drugi zaś czymś innym. Czym? Nie potrafiły dostrzec. Pomocnikiem? Nie. Ofiarą? Też nie. Czymś jeszcze innym. Drugi chłopiec był jak zgaszona świeca, jak misa deszczówki, jak tysiacy innych rzeczy używanych przez czarownice, by czynić magię. Środkiem do celu? Nie do końca. Wtem zrozumiały. On był składnikiem.

Inne dojrzały w nowej runie odmienne znaczenie, które miała symbolizować aż do chwili, gdy ktoś nada jej nazwę. Wolfsangel. Nie było to słowo, które czarownice znały, choć w pełni rozumiały jego sens – „wilcza pułapka”. Widziały siebie, jak lecą pod ciężkim księżycem jako chmara szpaków, przysiadają o północy na dachu dworu króla Authuna, by obwieścić śpiącemu władcy, że jego żona nigdy nie powije chłopca i że udzieli mu audiencji, gdy będzie potrzebował porady. Wejrzały też nieco w bardziej odległą przyszłość i zobaczyły Inianowłosą dziewczynę na zboczu góry. Nie miały wątpliwości, że i ona jest ważna, choć żadna z wiedźm nie rozumiała dlaczego.

Niektóre czarownice, stłoczone wokół runy, ujrzały ją w poziomie.



Owe siostry poczuły ciarki na plecach, jak zwykli ludzie, gdy słyszą zew wilka na wzgórzach. Znaczenie tej runy zawibrowało w ich umysłach jak wycie głodnego basiora. Brzmiało bowiem – „wilkołak”.

Taki był sens tej magii, taki był cel, któremu mieli posłużyć dwaj bracia – by bóg wilków mógł przybrać postać wewnątrz człowieka.

Królowa czarownic była wyczerpana, bliska omdlenia, niezdolna porozumieć się z siostrami w sposób, do którego przywykły. Jej świadomość skuliła się w sobie, niczym dziecko pozostawione samotnie w ciemnościach.

Palcem poklepała runę i łamiącym się głosem oznajmiła:

– Obrońca.

7. TO, CO STRACONE

Lato było piękne, że serce roście – przepelniało go niemal do ostatka. Te fiordy skrzące się niemal bolesnym dla oczu światłem, polne kwiaty pomiędzy zielenią trawy, w słońcu podobne jezorom ognia. W oddali za wzgórzem dało się słyszeć nawoływania mężczyzny.

– Wali! Wali! Gdzieś ty się podział, wałkoniu!?

– Mielim polować na szemrzące ptaki, a nawet mnie nie potrafi znaleźć – zakpił poszukiwany, przyglądając się mężczyźnie z zagłębienia w ziemi. Miał około trzynastu lat, był niemal gotów wyruszyć na wyprawę łupieską, a wciąż chichotał niby podrostek.

– Dostaniesz niezłe wciry – szepnęła towarzysząca mu dziewczyna, rówieśnica, w długiej szerokiej sukni. Bładolica, o włosach koloru pszenicy, splecionych w długi warkocz przyozdobiony grzebieniem z kości wieloryba. Obok niej stał kosz ziół, które zbierała dla matki.

– Gra jest warta świeczki – odrzekł i ją pocałował. Po raz pierwszy; ot takie niewinne cmoknięcie.

– Precz! – obruszyła się Adisla, skoczywszy na równe nogi. – Bragi! Bragi, on jest tutaj!

A zawołany mężczyzna podbiegł do nich.

– Książę Wali – stwierdził – bywa, że przyprawiasz mnie o nielichą zgryzotę. Gdzie twa włócznia? A łuk?

– Na pewno gdzieś w pobliżu – odparł chłopak. – Porzuciłem je przy strumieniu, jak tylko zoczyłem Adislę.

Bragi, poznaczony bliznami w boju, około trzydziestopięcioletni woj, pokręcił głową.

– Musisz zawsze mieć je przy sobie, przecież wiesz. Gdy przyjdzie czas, byś wybrał się na wiking, a to zbliża się wielkimi krokami, co wtedy zrobisz, a? Na widok pierwszej ślicznotki zostawisz tarczę i miecz na łodzi, czy jak?

– Wcale bym się nie zdziwiła – zadrwiła Adisla.

– A ty, młoda damo, możesz się przymknąć. Spójrz tylko na siebie! Błada niby królewna. U wieśniaczki, takiej jak ty, powinno być widać więcej oznak uczciwego znoju.

– Tę rozmowę można by uznać za znój, co starczy mi na całe życie – odszczeknęła się dziewczyna.

– No nie, to już przechodzi ludzkie pojęcie! – zełził się Bragi. – Już ja sobie porozmawiam z twą matką.

Dziewczyna beztrąsko wzruszyła ramionami. Bragi wycelował w nią palcem.

– Powiem wprost. To ciebie winię za to, co się z nim stało. Nim ją lekce sobie ważył dwór i spędzać czas z wieśniaczkami, obiecując radził sobie w szrankach. A teraz jego broń wała się zaniedbana, a on kręci się całe dni po domu twojej matki, mitrząc czas na zabawy i pogaduszki. Syn Authuna Wilka – popiołojadem! To być nie może!¹⁰

Wali się roześmiał. Zawsze zastanawiało go to określenie. Czy popiołojady naprawdę jedzą popiół? Jeśli tak, to on nie jest jednym z nich. Atoli jeśli to oznacza, że czuje się najszcześliwszy przy domowym palenisku, siedząc u boku Adisli i przysłuchując się opowieściom wieśniaków, to wtedy i owszem – jest popiołojadem pełną gębą.

– Przecież nie rzuciłam na niego uroku – broniła się Adisla.

– Nie – potwierdził Bragi – ale na jedno wychodzi. Idziemy do twojej matuli.

Spacer w górę doliny, do zagrody Adisli, był ciężką przeprawą i forsownym trudem w pięknym słońcu. Za karę, że uciekł podczas polowania, Bragi kazał Waliemu nieść oba plecaki i cały ich oręż, a gdy pomiarkował, że nie dość obciążył księcia, na dokładkę dorzucił jeszcze kilka kamieni.

Matką Adisli była Disa, poważana guślarka, żyjąca w domu powyżej rozrastającego się portu Eikund w Rogalandzie¹¹, na ziemiach

¹⁰W ramach wikińskiego rytuału, niektórzy młodzi mężczyźni na dłuższy czas zalegali beczynn timer przy domowych paleniskach, zapadając w rodzaj letargu mającego zapewnić im siłę i odporność; podobno kładli się na rozpalonych węglach, tarzali w popiele lub nawet go żuli.

¹¹Kraina w południowo-zachodniej części Norwegii, granicząca z Hordalandem, zamieszkała przez szczep germańskiego plemienia Rygirów (Rugiów); obecnie okręg administracyjny ze stolicą w Stavanger.

ludu Rygirów. Podczas pobytu Waliego wioska rozrosła się z ośmiu domostw do dwunastu, przeto uważano ją teraz za dużą osadę. Waliego do Eikund posłał pięć lat temu jego ojciec, Authun, jako gwaranta paktu między Horda a Rygirami, kładącego kres krwawej wojnie.

Wyprawiono z nim Bragiego, by zadbał o nauczanie chłopca myślistwa i fechtunku, ale bardzo szybko stało się jasne, że starego sługę i księcia dzieli diametralna różnica temperamentów. Jako tako dogadywali się tylko podczas wypraw niewielką łodzią Waliego, polując na foki i łowiąc ryby wokół wybrzeża. Choć „dogadywali się” to za dużo powiedziane, bo zbyt często się do siebie nie odzywali. Wali był zbyt zaabsorbowany słońcem, wodą i wyczuwaniem małej łodzi, co niby zwierzę poruszała się na wietrze. Bragi zaś siedział cicho, bo zabobonnie wierzył, że rozmowa odstrasza ryby.

Nim dotarli do domostwa Adisli, które było zaledwie większą chatą, na Waliego wystąpiły siódme poty. Radował się z nastania pełni lata, gdy czas płynie wolniej, a noc zdaje się jeno drobinką ciemności w przestworze dnia. Choć było już późno, słońce wciąż wisiało wysoko na niebie, a niżej, w okalającej pobliskie sioła rzece, jeszcze – jak co sobotę – obmywali się kmiecie. Chłopak miał zamiar się do nich przyłączyć przy pierwszej sposobności.

Zaśmiał się, przypomniawszy sobie pierwsze spotkanie z Adislą. Po tygodniu mieszkania w Eikund nagle posłyszał jakiś harmider. Dziewczyna zeszła nad rzekę, wskoczyła do niej, zanurkowała po samo dno i wstrzymała oddech, a jej zatrwożona matka rzuciła się do wody, spiesząc jej na ratunek. Niepotrzebnie, bo Adisła zaraz wynurzyła się za jej plecami, zanosząc się szaleńczym chichotem. Nawet wtedy, pięć lat temu, nikt nie potrafił pływać lepiej niż ona. Bracia przezywali ją Foką, pierwszym z szeregu wiecznie zmieniających się przydomków, które nadawali siostrze. A nie wszystkie były przesadnie pochlebne. Foki nazywano „psami morza”, przeto przez jakiś czas wołali na nią Garm, jak zwał się piekielny brytan bogini Hel, a potem – po stanowczym sprzeciwie Disy – Szczekusiem. Waliemu zdarzało się nazywać ją tak w obecności jej rodziny atoli gdy byli we dwoje, zawsze używał jej prawdziwego imienia.

Wali uwielbiał to miejsce – dym z komina niosący obietnicę jadła, uganiające się pod nogami kury i psy, które wybiegały naprzeciw, by obszczekać go na powitanie, przyjaźnie, nie ostrzegawczo.

Miał wprawdzie zapewniony dach nad głową w długiej hali króla Widłobrodego w porcie poniżej, atoli odkąd przybył do Rogalandu, to właśnie w tej zagrodzie czuł się najbardziej na miejscu i bawił u Mamy Disy równie często, jak na królewskim dworze.

– Czołem, mammo! – zakrzyknął. Kobieta, zdejmująca suszące się zioła z niskiego dachu chaty, odwróciła się ku przybyłym.

– Widzę, że jak zwykle nie hańbisz się pracą – powiedziała.

W przeciwieństwie do córki, miała cerę brązową niby prażone ziarno jęczmienia, jako że zaprzestała nacierania skóry płynami utrzymującymi jej piękno i bladość w tym samym czasie, gdy poniechała trosk o przypodobanie się mężczyznom. Disa rozwiodła się z mężem, a z powodu jego ciężkiej ręki wioskowe zgromadzenie zagłosowało za przyznaniem jej pieczy nad gospodarstwem. Niedawny małżonek zginął rok później podczas wikingu, dzięki któremu miał odzyskać fortunę; Disie bynajmniej nie było przykro. Była teraz panią własnego domostwa, w którym roilo się od dzieci – jej własnych i tych z sąsiednich siół.

W letnie wieczory Wali zwykł przesiadywać z Adisłą i jej rodziną na świeżym powietrzu, dzieląc czas między grę w hnefatafl, zwaną też „królewskim stołem”¹², opowiadanie i słuchanie opowieści oraz kosztowanie jadła z niezrówanego paleniska Disy. Poniekąd pobierał tam też nauki, poświęcając długie godziny na rozmowy ze starym Barthem – jedynym niewolnikiem Disy, schwytanym w potyczce z Danami – pasjami chłonąc opowieści o rodzinnych stronach sługi i panujących tam zwyczajach. Wcześniej Barth znajdował się w duńskiej niewoli, i – jak się okazało – uważał Disę za lepszą panią od poprzedniego właściciela, duńskiego jarla.

Zimą zaś wszyscy tłoczyli się w niewielkiej zadymionej chatce, pożywiając się pieczonymi korzonkami, soloną rybą i śmiejąc się do rozpuku, aż brakło im tchu. Bracia Adisli, zwłaszcza Leikr i najmłodszy Manni, byli Waliemu bardzo drodzy i towarzyszyli mu często podczas polowań, zabaw i rozmów.

– Mammo Diso – ozwał się Bragi. – Muszę pomówić z wami o

¹²Rodzaj gry planszowej, poniekąd pokrewnej szachom, prowadzonej dwoma rodzajami pionków - jedne reprezentują króla zmierzającego do rogów planszy i jego obrońców, drugie - napastników starających się go „pojmać”. Obie „armie” poruszają się naprzemiennie ruchem szachowej wieży.

córcie.

– Doprawdy?

– Chcę, byś zabroniła jej pani widywać się z księciem.

– Nie mam w zwyczaju wzbraniać moim dzieciom czegokolwiek – rzekła Disa – ale rozmówię się z nią.

– Nie sposób nazywać ją dzieckiem. Ona ma już najmniej trzynaście wiosen. Zdarza się, że jej rówieśnice bywają od roku zameżne. I to z pożytkiem dla wszystkich.

– A o co się rozchodzi?

Bragi wyrzucił ręce w górę i dobył z siebie coś na kształt syku, jak gdyby w jego wnętrzu zagotował się w końcu bulgoczący kocioł gorzkich żalów. Mimo to starał się utrzymywać irytację na wodzy uprzejmości, mitygować język i używać co bardziej wyszukanych słów, by podkreślić różnicę dzielącą go od wieśniaków.

– Problem przedstawia się tak. Jestem zaprzysiężonym wasalem króla Authuna Wilka. A także weteranem dwudziestu trzech wypraw łupieskich. Stałem ramię w ramię z królem, gdy w Orestrond przyszło nam się mierzyć z przeważającymi siłami Gotów, zdecydowany na śmierć. Pospołu z mym straszliwym władcą wyrabiałem sobie drogę ucieczki poprzez dwudziestu wrogów i zabarwiłem ocean czerwienią potu miecza, by dotrzeć do łodzi...

Disa z trudem zdusiła uśmiech. Stojąc za plecami Bragiego, Wali na migi przedrzeźniał opiekuna. Słyszał tę opowieść już chyba ze sto razy, i na tyleż sposobów – z chełpliwą dumą snutą przed hałą biesiadną, szeptaną przy ognisku lub wyrzaskiwaną mu w twarz jako zachęta do wytężonej pracy. Znał te słowa na pamięć. I za każdym razem zastanawiał się, czemu rodzice woja nie dali mu na imię Błagi?

– Jestem wojownikiem. Zaszczycono mnie i ukontentowano propozycją objęcia roli obrońcy i nauczyciela tego chłopaka. Atoli funkcja ta permanentnie okazuje się coraz większym ciężarem, niemiłych mi zgoła rozmiarów. Niemiłych, powiadam. Czuję się niczym Loki, przywiązany do skały, z oczami trawionymi przez jad. Młodzian jest niesubordynowany, pani, i to z winy twej córki.

– Jak to?

– Przeklinam dzień, w którym ich spojrzenia się spotkały. Zrazu było to li tylko niewinną dziecięcą przyjaźnią, lecz w ostatnim roku zupełnie zaniedbał polowania i trening z bronią. Jego ojciec wpadł na

niezwykły pomysł, by pozwolić mu pracować w kuźni; uważał bowiem, że chłopak powinien wiedzieć wszystko o orężu, począwszy od chwili, gdy jest jeno zwykłą rudą w ziemi, aż po jego wpływ na tarczę przeciwnika. A tymczasem w kuźni go nie uświadczysz. Ani na spotkaniach zgromadzenia, gdzie Widłobrody miał go nauczać administrowania dziedziną. Nie stawia się nawet na moje wezwanie, bym mógł poddać próbie jego opanowanie walki mieczem czy włócznią. Nie ma go nigdzie indziej, o pani, prócz boku twej córki. Gdzie jego obecność, należy dodać, zaczyna być wręcz niepokojąca.

Disa wzruszyła ramionami, dokładnie w taki sam sposób jak wcześniej Adisla.

– Nie mogę nakazać swej córce, z kim może, a z kim nie może się spotykać. Zresztą, nie ma się o co martwić – on już jest po słowie, nieprawdaż?

– Nie po własnym, to pewne – zakpił Wali.

Bragi obrzucił go spojrzeniem nadzwyczaj podobnym, jak sądził Wali, do tego, które wbił w Gota numer dwadzieścia w drodze na okręt.

– Przyobiecano go córce Widłobrodego – dodała Disa, jakby to miało uciąć wszelką dyskusję.

– A to, że nie chcę się z nią żenić, zdaje się kwestią pośledniej wagi w całym tym porozumieniu – zżymał się Wali.

– Nic tyle pośledniej, ile żadnej – odparł Bragi. – Pani matko, umizgom twej córki i księcia trzeba położyć kres.

Disa jedynie szeroko rozłożyła ręce w geście rezygnacji.

– I cóż ja, waszym zdaniem, mogę na to poradzić? Już jako mały chłopiec tu przychodził i nadal to robi.

– On już nie jestem małym chłopcem. Czy masz, pani, pojęcie, jak poczuje się król, jeśli wyniknie z tego jakiś ambaras?

– Ależ on mnie nawet palcem nie tknął! – wtrąciła się Adisla.

– Nie znaczy to, że nie próbował – odrzekł Bragi. – Proszę, niech pani zabroni tego romansu. Jeśli nie, zwrócę się do króla, by to nakazał.

Disa zmarszczyła brwi.

– Wszystko, co winnam królowi, to część mego dochodu i synowie na czas wojny. Nie jestem członkiem jego zaprzysiężonej straży, by mógł mnie zmusić do posłuchu. To, kogo ja i moi domownicy wybierają sobie na przyjaciół, to nie jego sprawa.

– Wszystko jest sprawą króla.

Disa zdjęła ostatni pęk ziół z dachu i wytarła rękę w zapaskę.

– Przeciwnie. Prawo nie daje mu żadnego upoważnienia do wtrącania się w sprawy wolnych ludzi. A już na pewno nie będzie mi mówił, z kim mogą się przyjaźnić me dzieci.

– To nie są dzieci, o pani. Wali ma już trzynaście wiosen i wkrótce zapewne zostanie samodzielnym władcą.

– Tedy sam może o sobie decydować, prawda? – ucięła Disa.

Bragi burknął coś groźnie pod nosem, pozbiierał broń, odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem w dół zbocza.

Choć stary był przedmiotem drwin Waliego, to chłopak już w następnym tygodniu miał dziękować opatrności, że Bragi będzie u jego boku, gdy po raz pierwszy wyprawi się na wiking.

8. FURIA

Okręt znajdował się w wielkiej hali, gdzie trafił do naprawy, musieli go przeto ściągnąć na wodę. Tego poranka wszystko zdawało się Waliemu bardziej intensywne niż zwykle – trzask lin, dudnienie kilu na balach, drażniący zapach dziegiu na kadłubie, falujący zaśpiew wojów.

*Zginać plecy, chłopcy, bez guzdrania,
Ocean cały wskroś do pokonania,
Tam, kędy miecze nasze zatańczą na wraźych załogach
Niby migotliwe ryby na niebieskich morza rozłogach.
Więc zginać plecy, chłopcy, bez guzdrania,
Ocean cały wskroś do pokonania.*

Ciągnął więc z całych sił.

– Nie zostawiaj całej krzepy na brzegu – upomniał go Bragi, a Wali mógł tylko uśmiechnąć się do siebie. Nie miał złudzeń, widział siebie takim, jakim był, młodzikiem starającym się wysiłkiem okazać swą męskość, zalęknionym przed najtrudniejszą bitewną próbą w dotychczasowym życiu. Jednak świadomość własnych umiejętności wcale nie osłabiała przytłaczającej natury tego przeżycia.

Poranny ziąb przenikał go do kości, niebieskość oceanu oslepiała migotliwym blaskiem, przejmujący skrzek morskich ptaków odbijał się echem w pieczarze jego umysłu.

Wtedy pojawiła się ona; tym razem Wali nie musiał kraść pocałunku. Przypięła do jego płaszcz jasnofioletowy kwiatek bukwicy.

– On zwalcza zło – rzekła – i cię ochroni.

– I tak wezmę tarczę.

– Ostrożności nigdy za wiele.

– Adisla?

– Tak, Wali?

– Ja...

Przyłożyła mu dłonie do warg.

– Nie mów – poprosiła.

– Czemu?

– Bo to przynosi pecha. Jeśli dasz bogom poznać, że coś cenisz, oni ci to odbiorą. Wróc do mnie. Nie musisz mi wyznawać swych uczuć.

Ich poufała rozmowa nie uszła uwagi króla Widłobrodego, lecz zdecydował się udawać, że było inaczej. U jego boku stała sześćioletnia córka Ragna, bawiąc się kądzielą. Wali spojrział na władcę, a potem ponownie na Adislę.

– On ma nadzieję, że mnie zabiją – stwierdził.

– Ale w jakiś uroczy sposób – zażartowała Adisla. – Wolałby, żeby Authun przysłał mu księcia innego rodzaju. Silniejszego, bardziej męskiego, krewkiego i takie tam.

– Miejmy nadzieję, że jednak przeżyję. Jemu na pohybel.

– Jeśli nie, zamieszkas w komnatach Odyna, upijając się po wieki w towarzystwie bohaterów.

Wali przewrócił oczami.

– O tak, słuchając przechwałek takich wojów jak Bragi o wyolbrzymionych rzeziach. Pijany bez przerwy, powiadasz? W sumie racja, inaczej nie idzie tego ścierpieć.

– Błuźnisz – odparła, śmiejąc się.

– A kogo to obchodzi? Bogowie się nas boją – tak prawi mój ojciec.

– Jego to akurat wszyscy się boją.

– Wyobrażasz sobie? Ja pijany na umór, a on po wsze czasy patrzący na mnie wilkiem z drugiej strony biesiadnej ławy. Chętnie umrę jako tchórz, byle tylko być z tobą.

Adisla oblała się rumieńcem.

– Nie rozczulaj mi się tu tylko dlatego, żeś zastrachany – odrzekła. – Będę ci walkirią, dodającą skrzydeł. Okryj się chwałą, mój kochany, okryj się chwałą! Wróc zwycięski albo nie wracaj w ogóle!

Powiedziała to z emfazą godną klas wyższych, udając, że przykłada sobie chustkę do oka, wzorem szlachcianek żegnających mężów wyprawiających się po lupy. Wali znał ją jednak dobrze i rozumiał, że beztronski nastrój Adisli był wyłącznie na pokaz. Posłał jej uśmiech i dotknął włosów. Oczy dziewczyny zaszklily się, a on nie

potrafił w nie spojrzeć.

Odwrócił się przeto ku łodzi i jał z pluskiem brodziec przez wodę, dźwigając na barkach niewielką skrzynkę, która miała mu służyć za siedzisko podczas podróży. Wrzucił ją do langskipa, wdrapał się przez burłę, i podniósł ponownie. Szukając swego miejsca przy wiosle, zawadzał stopami o wręgi i kamienie balastowe na dnie bez pokładu, lecz starał się sprawiać wrażenie spokojnego, jakby dokładnie wiedział, co robi. Na okręcie nie było nikogo znajomego, ba – nawet nikogo, kogo by rozpoznał.

Przydzielili mu miejsce na drakkarze, zgrabnym i smukłym okręcie wojennym z warcząca na dziobie rzeźbioną głową niedźwiedzia, godnym jego pozycji jako członka stanu wojowników. Po bokach okrętu znajdowały się dwie brzuchate knary, statki kupieckie, puste, więc mniej zanurzone. Na nich miały spocząć łupy. Obsadę tych łodzi stanowili znani Waliemu chłopci. I to go trochę niepokoiło. Zwykle podczas bitwy ludzie odróżniali przyjaciela od wroga dzięki temu, że znali się z widzenia, bo organizowano ich w grupy z tej samej okolicy. Na drakkarze jednak, pośród nieznajomych i w gorączce bitwy, ktoś mógłby go wziąć za nieprzyjaciela.

Idąc wzdłuż okrętu, rozglądał się na boki, zdecydowany zapamiętać przynajmniej twarze ludzi, u boku których przyjdzie mu walczyć. Wszyscy mężczyźni przy wiosłach byli ogromni, ze skołtunionymi brodami, przyodziani w brudne ubrania zalatujące stęchlizną. Ich ciała pokrywało tak wiele tatuaży, że skóra wydawała się niemal niebieska. Wali rzucał im ukradkowe spojrzenia, starając się nie opierać na ich barkach, gdy zmierzał ku dziobowi. Postyszał jakieś mamrotania, atoli nie potrafił odgadnąć, czy były one kierowane do niego, do druhów wiosłarzy, czy też były zwykłymi pomrukami. Szmerem na poły artykułowanym pod nosem, z którego rozumiał niewiele. A kiedy udawało mu się coś pojąć, tylko tego żałował.

„Zniewieściali... płochliwi... Ubić tchórzy. Zabijam, podbijam, sram i szczam. Zginą, nim się obejrzą. Zabić wszystkich. Nikogo nie oszczędzać. Wypalić ziemię, wypalić ziemię”.

Patrzył im w oczy. Nie wydawali się skupieni na czymś konkretnym, wpatrzeni złowrogo przed siebie przekrwionymi ślepiami, jak u ludzi, co wiele dni nie zaznali snu. Niektórzy nosili skórę zwierząt owiniętą wokół ciała lub na głowie, inni byli niemal nadzy, pomimo

chłodu przedświt. Waliemu zupełnie nie w smak było ich towarzystwo.

Na rufie łodzi, zamknięty w beczkach albo przywiązany do burty, znajdował się ich oręż – topory i włócznie. Wali widział tylko jeden miecz. Wniosek nasuwał się sam – tym ludziom się nie przelewało. Atoli w odróżnieniu od nich, broń była zadbana – żeleźca toporów wyostrzone na srebrny połysk, a groty włóczni ostre niby szydła.

Na jego bark opadła czyjaś ręka.

– Tu masz swoje wiosło, synu. – To Bragi podszedł do niego od tyłu, a Wali ucieszył się, że go widzi.

Postawił skrzynkę i spoczął. Bragi przestąpił naprzeciwko, i uczynił to samo. Usiadł okrakiem i lekko uderzył księcia w ramię.

– Teraz możesz pożałować, że nie słuchałeś tego, co mówiłem o mieczu, tarczy i włóczni.

Jako że nerwy wzięły górę nad nonszalancją, Wali posłał mu tylko blade uśmiech. Bragi położył mu dłoń na ramieniu.

– Bez obaw, książę, będzie dobrze. Choć gdybyś częściej mnie słuchał, byłoby lepiej. Załatwiłem ci miejsce na najlepszym z okrętów.

Wali odsunął się, nierad takiej poufałości.

– Nie ma tu żadnego z moich braci.

– Tak, ale wokół siebie masz najlepszych wojów spośród dwudziestu królestw.

– O nich mowa? – nie dowierzał Wali.

– Nie inaczej.

– To berserkowie?

– Owszem, z północnego kultu Odyna Straszliwego, pracujący za darmo, nie licząc przewozu.

– I łupów, które uda im się zgarnąć.

– O tyle, o ile. Wezmą łupy, ani chybi, ale nie to jest ich głównym celem – wyjaśnił Bragi. – Choć chyba lepiej, gdyby jednak było.

– To po co walczą?

– Dla samej walki. Spójrz na nich. Każdy tu obecny ma za sobą wiele wypraw łupieskich, ale czy są bogaci? Nie. Czy mają wielu niewolników? Też nie. Takie rzeczy obchodzą ich tyle, co zeszłoroczny śnieg.

– Nie chcą łupów?

– Tylko trochę, i to dlatego są dla Widłobrodego tak użyteczni. Zadowolają się ochłapami. On dostaje do dyspozycji paru dobrych wojów, a oni nie wyklócają się za bardzo o łupy.

– Brzmią jak pomyłeńcy – zauważył Wali.

– Możliwe, ale i tak możesz się od nich czegoś nauczyć. Zobacysz, jak prawdziwi mężczyźni poczynają sobie na wojnie.

Wali nic nie odparł. W jego mniemaniu równie ważne było to, jak mężczyzna poczyną sobie podczas pokoju. Siedzenie i mamrotanie przekleństw, ze wzrokiem zaćmionym po spożyciu bóg wie jakich wywarów z grzybów i ziół, było postawą godną głupca, a nie bohatera. Według Bragiego, za trzy dni czekała ich walka. Berserkowie kipieli gniewem, jeszcze nim wypłynęli. A jacy będą w obliczu wrażeń włóczy? Tak czy owak, Wali był ciekawy, czy okażą się godni swej reputacji niezniszczalnych i nieustraszonych. Azali prawdę ludzie gadają, że żadna broń się ich nie ima? Rozglądając się po łodzi, rad był, że walczy z nimi, a nie przeciwko nim.

Wiatr się wzmógł, przyszła pora na żagiel. Gdy go postawiono, wydał się i zatrzeszczał, smagnięty pędem powietrza, jakby palili się do wyruszenia w drogę. Przygotowany ku czci Waliego, czarny z odznaczającą się białą głową warczącego wilka. Wali spojrzął w górę, na godło swego ojca – symbol wszystkiego, czym jego syn miał się stać, wszystkiego, czym tak naprawdę już powinien być. Przeszły go ciarki na samą myśl o spoczywającym na nim ciężarze odpowiedzialności.

Z zadumy wyrwał go kopniak w plecy.

– Rusz dupę. Muszę rozprostować nogi.

Odwrocił się i ujrzał przed sobą ogromnego męża w grubej tunice, ze skórą białego niedźwiedzia na ramionach. Szpeciła go głęboka bruzda, biegnąca od czubka głowy poprzez oczodół i w dół, do policzka. Niewątpliwie, w którymś momencie znalazł się po niewłaściwej stronie topora. Zdawało się, że każdy centymetr jego ciała pokrywają niezgrabne tatuaże: sceny przedstawiające zniszczenie i bitwy, serpentyna węża Jormunganda wijąca się wokół prawego ramienia, na lewym wilk walczący z Odyнем, trzy nakładające się trójkąty – tworzące symbol tegoż boga – pod lewym okiem, i wiele innych malunków zwierząt, szubienic i broni, na całej twarzy i tułowiu.

Nóż i miecz Waliego spoczywały na dnie skrzyni podróżnej, a wiedział, że wstając i sięgając po nie, dałby berserkowi pretekst do ataku. Musiał jednak coś przedsięwziąć. Spotkał go afront na oczach wszystkich i nie mógł puścić go płazem, nawet jeśli miał pewność, że w ostatecznym rozrachunku to on gorzej na tym wyjdzie.

Na tę zniewagę mogła nastąpić tylko jedna odpowiedź. Zamachnął się pięścią na głowę parszywca. Ten jednak sparował cios, wsunął sobie rękę Waliego pod pachę i wstał, by oburącz chwycić go za gardło. Z ramieniem unieruchomionym w żelaznym uścisku, ksiączę został przyparty do dna łodzi, szurając nogami i bezskutecznie próbując zaprzeć się o kamienie balastowe. Berserk warknął mu coś w twarz i zacieśnił palce na krtani. Konfrontacja, jak mało co, potrafi odrzeć człowieka ze złudzeń i rojeń o własnej wielkości. W tej chwili Wali nie był już mężczyzną na pierwszej wyprawie łupieskiej, księciem walecznych mieczy Horda, synem Authuna Bezlitosnego, potomkiem rodu wywodzącego się od samego Odyna, nadzieją swej rasy. Był li tylko przestraszonym chłopcem w rękach większego i silniejszego mężczyzny.

Nie potrafił się skupić na niczym, poza twarzą woja, którą zdawał się wykrzywiać grymas nienawiści. Berserk dusił Waliego, zaś cała świadomość chłopca koncentrowała się na próbach odjęcia rąk z własnego gardła. Na próżno; mężczyzna ani myślał go puścić. Pole widzenia zawęziło mu się do rozmiarów tunelu, wydawało się, że za chwilę pęknie mu głowa. Wtem wzrok Waliego padł na nóż o szerokim ostrzu widoczny pod takim kątem, że mowy być nie mogło, iż trzyma go berserk. I na coś jeszcze – wielki drąg z luźno przybitymi trzema żelaznymi pierścieniami. Nagle oba oręża znalazły się między nim a napastnikiem.

– Takie rzeczy to lepiej zachowaj dla wroga, Bodwarze Bjarki – odezwał się jakiś glos.

Berserk zwolnił uścisk, a Wali, rzeżąc, opadł na ziemię. Gdy z oczu opadła mgła i odzyskał ostrość widzenia, zobaczył Bragiego. Stary wasal Authuna wbijał harde spojrzenie w poznaczonego bliznami woja, przystawiając mu nóż do gardła. Metal szczęknął o metal, gdy wielki berserk w brunatnym niedźwiedzim futrze wepchnął swój dziwny drąg pomiędzy mężczyzn. Bodwar Bjarki i Bragi, zwyczajem krzepkich wojów w podobnych sytuacjach, nie odezwali się ani słowem, jeno

wciąż mierzyli się wzrokiem. Berserk w brązowym futrze delikatnie popchnął łaską Bjarkiego na miejsce. Olbrzym położył ręce na wiosle. Bragi parsknął, krótko, z wyniosłym rozbawieniem, po czym wsunął nóż do pochwy i usiadł na swojej skrzyni. Wali podniósł się z ziemi, przestał przez wręgę naprzeciwko i również spoczął.

Bragi odwrócił się do księcia, nawet nie starając się ściszyć głosu, by berserk go nie posłyszał.

– Mówiłem ci, jak ważne jest trzymanie broni przy sobie. Gdybyś miał nóż na podorędziu, mógłbyś wypruć mu flaki.

Wali skinął głową. Targały nim jednocześnie wstyd i ulga, lecz mimo wszystko, pomyślał, czyż problem nie rozwiązał się bez potrzeby patroszenia kogokolwiek – przynajmniej na razie? Gdyby miał nóż, starcie mogłoby się skończyć śmiercią jednego berserka i krwawymi porachunkami z jego braćmi. Lub, co gorsza, wyrwaniem noża z ręki Waliego. Chłopak wiedział aż za dobrze, że jego siła jest niczym w porównaniu z potęgą olbrzyma za jego plecami. Omiótł wzrokiem wybrzeże. Adisła patrzyła w jego stronę z niepokojem na twarzy. Nachylił głowę ku wielkiemu berserkowi i wzruszył ramionami. Z ruchu warg Adisli wyczytał: „Bądź ostrożny”, i skinął głową na znak, że weźmie sobie jej radę do serca.

Gdy sytuacja się uspokoiła, ludzie zamilkli zupełnie i chwycili za wiosła, wyprowadzając łódź na morze, bardziej chcąc popisać się siłą niż dla rzeczywistego efektu, gdyż liny wielkiego żagla były napięte, a ten żwawo wypychał ich z wód zatoki. Wali wyciągnął rękę do góry, żegnając się z ludźmi na brzegu. Ich postacie coraz bardziej nikły w oddali, aż w końcu księżę cały skupił się na miarowym wiosłowaniu.

Okręt, który skaldowie zwali „ogierem fal”, naprawdę się nim wydawał; żywą istotą, co sił prującą przed siebie. Przez chwilę Wali niemal zapomniał o złowroziej postaci za plecami. Potem jednak, wbrew sobie, zerknął ukradkiem za siebie. Oszepony mężczyzna gapił się wprost na niego. A może już rzuciło mi się na mózg?, pomyślał. Bo niby gdzie miałby patrzeć? W tym względzie naprawdę nie było wielkiego wyboru.

Bragi spostrzegł, że Wali nieznacznie odwrócił głowę i mrugnął do chłopca.

– Pal licha mężczyznę z bliznami! Pokażcie mi lepiej tego, co

mu tak ryło poznać – zażartował.

Wali się uśmiechnął. Bragi to zacyz człek, pomysłał, ma na sercu moje dobro. Uczciwy, wielkoduszny, odważny i szczyry do bólu. Gdyby tak jeszcze nie przynudzał.

Podróż miała potrwać trzy dni – trzy dni wypełnione drętymi opowieściami, trywialnymi radami i żartami starego woja, od których aż zęby bolały. Ratując go z opresji, Bragi odniósł małe zwycięstwo. Wali zaiste powinien mieć przy sobie nóż, to trzeba przyznać. Ale na tym koniec. To jeszcze nie oznaczało – co Bragi zdawał się sugerować tym swoim pobłażliwym uśmiezkiem – że wszystko, co mówi i w co wierzy, jest prawdą objawioną, i że zyskał prawo do protekcyjnego traktowania Waliego w najbliższej przyszłości.

Chłopak pomysłał o kupcu, którego spotkał przed dwoma laty, Welesie Liborze z Reriku¹³ na wschodzie, który podróżował na północ, by spotkać się z Ludem Wielorybów, zwanym powszechnie Wielorybakami. Ten, gdyby tylko został, świetnie nadałby się na mentora. Tak dużo wiedział, podróżował przez świat, nikomu nie wadząc, stroniąc od rozlewu krwi, polegając na swym rozumie. Przy nim Wali czuł się natchniony i chętny do nauki. Kupiec rozkładał przed nim zwoje, a zafascynowany chłopak oglądał piękne barwne obrazki i intrygujące zawijasy pisma. Wtedy tak bardzo chciał się nauczyć, jak je czytać, jak zapisywać swe myśli za pomocą długich fal inkaustu, które wznosiły się, opadały i dzieliły niczym grzywacze. A Bragi, wprost przeciwnie, nie miał pojęcia o niczym, co warto byłoby sobie przyswoić.

Tę wyprawę poprzedzał zwiad, przeprowadzony latem zeszłego roku. Teraz okrążyli wybrzeże na północ, aż niemal po ziemi Wielorybaków, skręcając następnie na zachód ku Wyspom na Krańcu Świata – których nazwa straciła już sens, bo teraz były tylko zwykłym przystankiem na drodze do bardziej majątnych ziem na zachodzie. Stamtąd pozęglowali na południe i osiągnęli wybrzeże krainy Zachodników. Wali spał na dnie łodzi, wciśnięty pomiędzy resztę mężczyzn, przysłuchując się mamrotaniu i przekleństwom berserków, spoglądając w górę na rozgwieżdżone niebo i myśląc o Adisli.

¹³Osada handlowa słowiańsko-połaabskiego plemienia Obodrytów, o spornej lokalizacji (przyjmuje się, że leżała na wschodnim brzegu Zatoki Wismarskiej w obecnej Meklemburgii-Pomorzu Przednim).

Berserkowie nie raczyli się do niego odzywać, za co był im wdzięczny, bowiem mógł pozostać sam na sam z własnymi myślami. Jego pobratymcy nie dostrzegali w morzu żadnego piękna. Pomyślał o epitetach, jakimi je określali: ryczące, puste, pochłaniające, rozszalałe. W ich mniemaniu stanowiło przeszkodę, dostarczało żywności i materiałów, ale było także zabójcą. Stawiali domy tyłem do morza, nie chcąc patrzeć na nie, gdy otwierali drzwi. Wali jednak był nim zauroczony, tą iskrzącą niebieskawą zielenią, ruchem chmur na horyzoncie, zachwycony, gdy fala przelewała się przez burte, a na jego udzie lądowała makrela.

Wtem z rozmyślań wyrwał go okrzyk.

– Wyspa! To tutaj nasz los, chłopcy!

Wali zerknął przez ramię, ale nie dostrzegł niczego, żadnego ładu czy wroga. Bragi położył mu rękę na ramieniu.

– Skup się na wiośle, paniczku. Nie przejmuj się tym, co nas czeka, gdy zejdzim na ląd.

Wali skinął głową, świadomy, że wkrótce przyjdzie mu zabić pierwszego wroga albo samemu zginąć. Żałował, że wcześniej nie wypakował miecza. Poczul potrzebę, by się wypróżnić i wstał, by uczynić jej zadość. Nie tylko on zresztą. Wyglądało to niemal komicznie – dziesięciu mężczyzn sikających jednocześnie przez burty, tyłuż samo na dwóch towarzyszących im knarach – zupełnie jakby odprawiali jakiś rytuał.

Wali rozejrzał się za lądem. Widział jednak wyłącznie otwarte morze. Wróć! Coś tam jednak było; płaska czarna plamka, mgliście mającząca w oddali.

– To tutaj – rzekł do siebie. – To tutaj.

Załoga wciągnęła wiosła na pokład i złożyła je na płask na dnie drakkaru. Wódz berserków, ten woj z dziwną lagą, narzucił kamienie balastowe na stos. Potem wyjął trochę chrustu i podpałkę, rozpalając ogień na tej stercie. Gdy gałązki się zajęły, zawiesił kocioł na trójnogu i nalał do niego trochę wody z bukłaka. Następnie jął wrzucać do środka jakieś rzeczy z sakwy.

Wali wyciągnął oręż i hełm ze skrzyni podróżnej. Był cały w nerwach, a każdy ruch zdawał mu się nienaturalny, uważnie obserwowany przez towarzyszy podróży i wyraźnie odbierany jako niezadowolający. Pozostali mężczyźni pootwierali beczki i zaczęli

zakładać rysz tunek na siebie. Nie było rozmów. Żaden z berserków nie odzywał się do współbraci, ten czy ów jedynie mamrotał coś w brodę, przeklinając siarczyście i rzucając groźby pod adresem nieistniejącego przeciwnika.

Zawartość kociołka przelano do wielkiej misy, a tę podawano wokół, opróżniano i znów napełniano. W końcu trafiła do Waliego. Ujrzał grudkowatą polewkę, z pływającymi w niej wysuszonymi nakrapianymi grzybami, podobnymi do ludzkich uszu. Nie kosztując, podał misę siedzącemu obok berserkowi i przyglądał się, jak ten wychyla duszkiem jej zawartość.

Gdy każdy berserk wypił już polewkę, na powrót chwycono za wiosła.

Wódz wojowniczej bandy podszedł na przód okrętu, dzierząc łagę z żelaznymi pierścieniami, i przystanął na dziobie. Podczas gdy jego ludzie wiosłowali, on jął uderzać laską w dno drakkaru, wystukując brzęczący rytm. Berserkowie zawtórowali tupaniem, napierając na wiosła.

- Odyn! – zakrzyknął wódz.
- To furia! – chórem ryknęli berserkowie.
- Odyn!
- To wojna!
- Wszechojciec!
- Potężny w boju!
- Wszechojciec!
- Zacerwień nasze miecze!
- Odyn!
- To szal!
- Odyn!
- To śmierć!

Berserkowie zawyli i uderzyli głowami w wiosła; pluli i klęli, popędzając łódź ku wybrzeżu. Wódz stukał swą grzechoczącą pałką w okrężnicę okrętu, gromko i piskliwie wykrzykując słowa.

- Ludzie Odyna! – zawołał.
- To my! – zadudniła riposta.
- Ludzie Odyna!
- To my!

Zaśpiew trwał w nieskończoność, a berserkowie wydawali się

mieć nieskończony zapas słów, dobywanych chóralnie z gardeł w takt pulsu wojownika. Wpadli w prawdziwy amok, bębniąc w wiosła, uderzając dłońmi o własne ciała i wykrzykując słowa w twarze towarzyszy. Rytm przyspieszył.

– Odyn! – zakrzyknął wódz, tłukąc laską w burtę.

– Do szału przywodzący, wszystkich nienawidzący, do wojny nawołujący!

– Odyn!

– Z wilkiem walczący, włócznią potrzęsający, ciał przysparzający!

– Odyn!

– Łodzie topiący, na ziemię powalający, wroga gubiący!

– Odyn!

– Berserk, berserk, berserk!

Kilku ludzi zerwało się na nogi, uderzając się w piersi i ramiona. Okrętem zarzuciło gwałtownie, gdy jeden z wojów w amoku zapomniał o wiosle, którego pióro zaryło w wodę.

– Odyn!

– Berserk, berserk, berserk!

– Tak mnie zwą! – krzyknął mężczyzna z łagą.

– Odyn! – zawyli wiosłarze.

– Tak mnie zwą!

– Odyn!

Do podekscytowanego i nieco przestraszonego Waliego frazy te docierały pod postacią nie słów, a wyobrażeń. Zdawały się czymś więcej niż zwykłymi przydomkami boga. Szalone zaśpiewy zdawały się nadawać im kształt; Waliemu przed oczami stanęły zaklęte w słowa obrazy – Odyna walczącego z wilkiem Fenrirem, włóczni przecinającej bezchmurne niebiosa, szubienic i rzezi, ognia i krwi.

Rytm wiosła nie słabł nawet na chwilę, choć Wali był pewien, że nie zdołają długo utrzymać takiego tempa. Jednak, ku jego zdziwieniu, berserkowie nawet przyspieszyli, miarowo uderzając wiosłami w wodę, mimo że wielu z nich popijało z rogów, systematycznie napełnianych z wielkiego dzbana przez służbę. Wali nie mógł się nadziwić, że ktoś w ogóle zdołał unieść takie naczynie, a co dopiero nalewać z niego bez uronienia kropli na drakkarze prującym przez rozkołysane grzywacze.

Gdy dzban minął Waliego, z naprzeciwka zakrzyknął Bragi, sapiąc z wysiłku.

– Na twoim miejscu bym to wypił. Piwo podsycza odwagę, sprawiając, że rośniesz w siłę!

Wali poszedł za radą Bragiego, wyciągając róg z za pasa i podtykając do napełnienia. Pociągnął kilka łyków.

Więcej nie chciało mu przejść przez gardło, bo żołądek zawiązał mu się w supeł, bardziej z powodu niecierpliwego oczekiwania na to, co miało nastąpić, niż chwiejności łodzi. Berserkowie jęli wyć, wykrzykując sprośności i obietnice pod adresem swego boga.

Ponownie rzucił okiem za siebie i tym razem wydało mu się, że za plecami niebieskość ustępuje miejsca zieleni. Potem dołączyła do nich biel. Plaża. Okręt zachwiał się tak gwałtownie, że Wali spadł ze skrzyni, jak długi padając na balast.

Napędzany przez szalonych wioślarzy okręt przybił do plaży z nadmiernym impetem. Wali pomyślał, że tylko szczęśliwym trafem nie rozorali przy tym kadłuba. Musiał się przetoczyć na bok, bo upadając, trafił w sam środek rwącego strumienia ludzi, wyjących berserków, w obłędzie opuszczających drakkar. Żaden nie miał tarczy czy nawet pancerza lub hełmu, jedynie włócznię i topór, zaś ich wódz dzierżył miecz w jednej ręce, a łagę w drugiej.

Wali odwrócił się, by zobaczyć, na kogo też nacierają z takim zapalem, atoli ujrzał wyłącznie spokojną szeroką łąkę jasnego piasku, słoneczny dzień, ptaki nad łąkami i ciemnozieloną trawę. Poza tym – żywego ducha. O wrogach nie wspominając.

Berserkowie zeskakiwali z drakkaru i pędzili przed siebie, zaś z dwóch łodzi za nimi na ląd schodzili bardziej pospolici woje.

– Rusz się – rzekł Bragi. – Aby zaskoczyć wroga, zaatakowaliśmy wyspę od tyłu. Gnaj przodem; jam za stary, by biec całą drogę. Pamiętaj, piękne kobiety i sprawni mężczyźni, tych nam trzeba brać za niewolników. Resztę zabij, a wtedy zasiejesz w nich taki strach, że następnym razem sami się położą pod nasze topory.

Wali zszedł z łodzi i doznał dziwnego uczucia, po raz pierwszy w życiu stawiając stopę na obcej ziemi. Miał ochotę zatrzymać się i rozejrzeć dokoła, by przekonać się, czym to miejsce różni się od jego domu. Wiedział jednak, że nie czas teraz na podziwianie widoków.

Wbił się w hurmę wojów z towarzyszącymi im knar,

uzbrojonych w hełmy i tarcze, pędzących w głąb łądu za rwącymi do przodu lekkobrojnymi berserkami. Wyspa była płaska i niezbyt długa, Wali nie widział jednak żadnych zabudowań. Poruszali się szybko, a gdy wspięli się na niewielkie wzniesienie, napotkali pierwsze ciała. Czterech starców uśmierconych na rozoranym polu. Ich podeszły wiek poznał po białych włosach; po licach nie sposób było go odgadnąć. Zostali bowiem straszliwie zmasakrowani, ich głowy pocięto wieloma razami, stratowano buciurami i po wielokroć skopano.

Wali uznał ich za niewolników, gdyż nosili skromny przyodziewek, zaś dwie głowy, które ostały się w jako takim stanie, były całkowicie wygolone na przedzie, z dłuższymi włosami pozostawionymi z tyłu, co poczytał za oznakę ich pośledniego stanu, świadectwo ich zniewolenia. Wokół wałowały się porzucone narzędzia rolnicze, grabie i motyki, w liczbie większej niż potrzebna czterem ludziom. Wali głowił się, czemu zwyczajnie nie pozwolili wziąć się do niewoli. Czemu niby niewolnik miałby walczyć za swego pana? Nagle mu zaświtało. Przypomnił sobie zaśpiewy wojów na łodzi, ich szaleńczy pęd ku wybrzeżu. Berserkowie nie uznawali brańców. Mieszkańcy wyspy mieli trzy wyjścia: uciekać, walczyć lub umrzeć. Reszta niewolników najwyraźniej wzięła nogi za pas, zostawiając za sobą tylko tych starców. Wali pokręcił głową. Skoro berserkowie wpadli w szal zabijania, znacznie malały szanse, że podczas tej wyprawy zdołają zdobyć jakieś cenne lupy. Niewolnik był bowiem, pod pewnymi względami, wart tyle, co złoto.

Wbiegł pod długą pochyłość. Posłyszał jakieś odgłosy. Zrazu wziął je za skrzek mew, ale im bardziej się zbliżał, tym łatwiej było je rozpoznać. Ludzki krzyk. Przenikliwy i rozpaczliwy, kontrapunktowany tubalnym rykiem przemocy. Już teraz w powietrzu unosił się dym.

W kierunku leżącej poniżej plaży znajdowała się osada około piętnastu domów. Waliego zdumiał ich dziwny, niespotykany kształt. Stały tam dwie wielkie hale, których nie powstydziliby się żaden król, lecz otaczające je chatki, co do jednej, były malutkie i koliste. Nie tak to powinno wyglądać, pomyślał. Znane mu chaty były kwadratowe, czasem z łukowatymi bokami, ale nie okrągłe. W życiu nie widział czegoś podobnego. Wydały mu się egzotyczne i ekscytujące; chciał bardzo obejrzeć choć jedną od środka.

Potem zauważył ludzi. Wali rzadko widywał aż tyle osób w jednym miejscu, do tego samych mężczyzn, panikujących pod toporami berserków. Tylko nieliczni próbowali stawiać jakikolwiek opór; większość uciekała w popłochu.

Przez jakiś czas stał w miejscu, przyglądając się napaści, płonącym chatom, berserkom bez pardonu wycinającym bezbronnych mężczyzn. Każdy przeciwnik, ocenił Wali, wydawał się niewolnikiem, wszyscy mieli bowiem dziwnie ogolone głowy na przedzie i dłuższe włosy z tyłu. Wali nie mógł nie zauważyć, że żaden z berserków nie kwapi się do grabieży. Mając to na uwadze, spojrział w dół wzgórze w stronę największego budynku, tego z krzyżem na dachu, który uznał za świątynię. Jeśli mamy cokolwiek zabrać z powrotem, pomyślał, lepiej zrobić to, nim cała osada pójdzie z dymem.

Bragi wdrapał się na szczyt pagórka i położył dłoń na barku Waliego.

– Dobądź broni, książę – poradził.

– To chyba nie będzie konieczne. Nikt nie stawia oporu.

– Lepiej mieć coś w ręce, w razie gdyby naszym szanownym wojom Odyna skończyli się Zachodnicy do dziurawienia włóczniami. Nic tak dobrze jak widok miecza nie przypomni im, po której jesteście stronie.

Wali pokręcił głową – niemal nie mógł uwierzyć własnym uszom. Mimo to wyjął miecz z pochwy. Dobry to był oręż, jednosieczny saks, przysłany przez ojca, raczej duży nóż niż miecz z prawdziwego zdarzenia, lecz wytrzymały, krótki i prosty, zakończony główką z kości wieloryba. Poczul się zawstydzony tak wyszukany orężem i żałował, że nie ma na podorędziu czegoś bardziej pospolitego. Tarczę jednak zostawił na szczycie wzgórze. Nie widział powodu, by ją targać z sobą, gdyż nawet z tak odległej perspektywy widział dokładnie, że tutaj o wiele mniej naraża się na szwank, niż walcząc na kije z braćmi Adisli.

To pouczające, pomyślał, co działać może panika. Niektórzy Zachodnicy zdołali czmychnąć wzdłuż plaży, lecz inni, z których wstrząs wywołany najazdem najwyraźniej wypłoszył resztki rozumu, zwyczajnie rzucili się w morze, próbując wpław dopłynąć na stały ląd. Wali nie dawał im większych szans. Miał zmysł obserwacji godny wytrawnego żeglarza, a przesmyk wyglądał mu na typowe siedlisko

podwodnych prądów.

Zszedł ku wielkiemu gmachowi. Był większy, niż mu się wydawało z oddali, z długimi wąskimi otworami okiennymi wyciętymi w zachodzących na siebie balach. Na zewnątrz leżały na ziemi resztki rozbitej przez berserków kamiennej rzeźby. Był to udatnie wyryty krzyż, w kole o średnicy jakichś dwóch ramion. Piękna rzecz, pomyślał Wali, i niemal nabrał ochoty, by wziąć ją do domu.

Berserkowie walili w drzwi świątyni, pokrzykując i bełkocząc, nie mogąc dostać się do środka. Jeden z nich przyniósł żagiew z gorejącej chaty, nie przestając kląć i mamrotać pod nosem.

– Powiedz mu, żeby tego poniechał – polecił Wali Bragiemu.

Ten spojrział na królewskiego dziedzica, wyraźnie zdumiony. Nie przywykł, by ksiązę wyrażał swój pogląd na jaki bądź temat. W tym względzie, pomyślał Bragi, bardzo przypomina ojca.

– Odłóż to! – zakrzyknął Bragi. Berserk puścił polecenie mimo uszu i wrzucił pochodnię na strzechę. Na szczęście, dach znajdował się wysoko i był stromy, więc żagiew się sturlała.

Bragi ponownie spojrział na Waliego i wzruszył ramionami. Nadeszła grupka chłopów z Eikund, którzy ujawszy i obnażywszy jednego z mężczyzn z ogolonymi głowami, popędzali go teraz kopniakami ku świątyni.

– Powiedz im, żeby otworzyli! – rozkazał jeden z kmieci.

Stary i przerażony mężczyzna osunął się na kolana, złożył razem dłonie i jął coś mamrotać.

– Otwórz to, ty niedołego, bo ci uśmiech poszerzę!

Głos należał do Hrolleifra, chłopca ze szczytu wzgórza za domostwem Disy. Wali miał go za porządnego człeka – często pomagał Disie nosić różne rzeczy na rynek i był wprawnym rzeźbiarzem. Ale teraz był tu, z tym samym nożem, którym strugał małe łodzie, ludziki z kory, nawet pionki do hnefatafla dla Waliego, przytkniętym do szyi starca.

– Nie może otworzyć. Zapewne zabarykadowali się od środka – bronił go Wali.

Hrolleifr wzruszył ramionami i poderżnął mężczyźnie gardło. W powietrze wystrzeliła pulsująca fontanna krwi, brudząc kmiecia, zaś umierający upadł na twarz, wierzgając i kwicząc na ziemi.

Hrolleifr odwrócił się ku pozostałym najeźdźcom i zakrzyknął:

– Obaczcie na mnie, pokrytego bitewnym potem. Obaczcie, jak niosę rosę rzezi pomiędzy wraźych wojów.

Odpowiedziały mu rubaszny rechot i liczne oklaski. Jedynie Waliemu nie było do śmiechu, nie mógł bowiem uwierzyć, że ten człowiek chełpi się takim uczynkiem. Zabił wszak starca. Już trudniej, o wiele trudniej, było zaszlachtować prosiaka. Czy to właśnie do tego się sprowadzały te wszystkie opowieści o bohaterskich czynach? Do podrzynania gardel błagającym o życie starszkom? Wali chciał, by to się już skończyło, i to szybko, byle co rychlej powrócić na okręt. W tym celu należało jak najszybciej dostać się do świątyni. Perspektywa grabieży może zapobiec dalszym bezsensownym zabójstwom.

Wrzaski oddalały się coraz bardziej. Każdy na wyspie, kto mógł uciec, już dawno wziął nogi za pas, a większość berserków ruszyła w pościg. Pomiedzy domami nastala krótkotrwała cisza. Wali głęboko wciągnął powietrze. Swąd dymu o chłodnym poranku wydał mu się wspinały.

Dach świątyni znajdował się za wysoko, by go dosięgnąć, a drzwi były zamknięte na głucho, niemożliwe do sforsowania. Gdyby mieli dość czasu, mogliby zrobić podkop pod ścianami. Atoli istniał inny sposób – możliwe, że zdołają dostać się do środka przez okna. Co prawda, były one za wąskie dla któregośkolwiek ze zwalistych mężczyzn, ale Wali był o wiele szczuplejszy.

– Bragi – rzekł, oczami wskazując jedno z okien – dopilnuj, żeby żaden dureń nie podłożył ognia, gdy będę w środku. – Zdjął pas z mieczem i zrzucił z siebie trzy tuniki, noszone zamiast pancerza.

Bragi pomógł mu wdrapać się na swe barki. Wali dosięgał wąskiego otworu okiennego, lecz nie mógł znaleźć wystarczającego oparcia dla rąk.

– Stań mi na głowie – poradził Bragi, poprawiając hełm.

Tak też i zrobił, dzięki czemu zdołał dosięgnąć otworu drugą dłonią i podźwignąć się na obu rękach.

Przełożył jedno ramię przez krawędź, wierzgnął w powietrzu, zaparł się rękami i w końcu znalazł się w środku. Opadł w przysiadzie na stojący tuż pod nim stół.

W budynku były cztery otwory okienne; wpadające przez nie światło ułatwiało widzenie. Zrazu umysł Waliego zarejestrował wyłącznie barwy – srebrną i złotą – potem zaś duży gobelin po prawej i

zaryglowane zaworą drzwi po lewej. Gdy oczy przystosowały się do oświetlenia, Wali ujrzał mężczyzn. Czterech, z ogolonymi głowami. Dwóch trzymało wielkie świeczniki, jeden – ciężki srebrny krzyż. Ostatni, chłopak w jego wieku, około trzynastoletni, był nieuzbrojony. Dopiero wtedy Wali pomiarkował, że nie wziął ze sobą broni.

Mężczyźni nie rzucili się na niego, co uznał za przejaw głupoty, gdyż jeśli go nie powalą, otworzy drzwi. Ale oni stali w miejscu, tylko wrzeszcząc na napastnika. Z ich dziwnego języka rozumiał pojedyncze słowa.

– Boże, odkupicielu, dopomóż. – Ten z krzyżem wysunął krucyfiks przed siebie, pomachał mu nim z daleka i powiedział coś, czego Wali w ogóle nie pojął.

– Helsceada, Helsceada, Helsceada. Szatan!

Potem mężczyzna powiedział coś jeszcze, co Wali potrafił sobie przetłumaczyć, pomimo mocnego obcego akcentu. „Precz!”. A potem znów coś niezrozumiałego. „Apage!”.

Czyżby rzucał na niego jakiś czar? Wali nie czuł się jak pod wpływem uroku. Za drzwiami coś zadudniło i do jego uszu doleciało kilka urywanych zdań.

– Płoń! Odyn! Łabędź krwi¹⁴! Podzegacz!

Wali podniósł się z kucek. Nie zszedł ze stołu, gdyż chciał się wydawać wysoki, by podkreślić swą królewską proveniencję. Miał tu czterech mężczyzn w wieku nadającym się do pracy, do tego niezgorszą ilość srebra. Krótko mówiąc – nielichy lup. Atoli wprawdzie musiał ich poskromić, i to bez broni. Na podorędziu miał tylko słowa, a wiedział, że oni zrozumieją może z połowę.

– To wy powinniście wynieść się stąd precz – odezwał się. – Za tymi drzwiami czekają wilki i niedźwiedzie. Czyż mam was rzucić im na pożarcie?

Zeskoczył ze stołu, podszedł do drzwi i chwycił za zaworę. Mężczyźni coś mamrotali, ale nie ruszyli się, by go powstrzymać. Raptem przez okno wleciał jego saks. Wali spojrzął na broń, po czym obojętnie machnął ręką.

– To się nie przyda – rzekł – o ile zachowacie rozsądek. Bo

¹⁴Kenning oznaczający kruka, ptaka bliskiego wojownikom i Odynowi. Kruki Hugin i Munni były jego zwiadowcami, przynoszącymi swemu panu wieści ze świata.

chyba lepiej być w niewoli niż w grobie, nie?

Jeden z mężczyzn przemówił. Wali co nieco rozumiał.

– Najazd znad morza. W tym wszystkim znać rękę – i znowu to słowo – szatana.

– Wystarczył dobry okręt i błogosławieństwo bogów – rzekł Wali.

– Tylko jeden jest Bóg – odparł mężczyzna. – Jezus Chrystus. – Ręką wskazał na gobelin.

Wali przyjrzał się tkaninie. Znajdowało się na niej dziwne, acz piękne wyobrażenie zawieszono na drzewie Odyna z bokiem przebitym włócznią. Przedstawiało, jak mniemał, scenę poszukiwania mądrości przez boga przy studni Mimira, gdzie oddał swe oko w zamian za wiedzę. Lecz jeśli to byli wyznawcy Odyna, to gdzie się podziela ich furia i waleczność? W głowie mu się nie mieściło, że można było ot tak, wtargnąć do świętego przybytku berserków i ująć cało.

– On jest po naszej stronie, nie po waszej – rzekł Wali. – Złóżcie broń i poddajcie się. Proponuję wam ochronę. Pod przysięgą.

Zdawało się, że jedno słowo do nich dotarło. „Ochrona”.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Potem odłożyli ciężkie srebrne rekwizyty i opadli na kolana, łącząc dłonie i mamrocząc niezrozumiale. Łomot u drzwi przybrał na sile. Wali podszedł do czterech mężów.

Jeden z nich trzymał w rękach dziwny, podłużny prostokątny przedmiot, jakby gruby kawałek skóry. Wali chciał mu ją zabrać, lecz ten nie puszczał. Książę zastanawiał się, co też to za rzecz, do której człowiek ów lgnie bardziej niż do srebra. Podszedł do stołu, gdzie leżał podobny przedmiot. Podniósł go i obejrzał. Z trzech stron był jaśniejszy niż z czwartej. Jasne boki zdawały się układać w ściśle przylegające warstwy. Chciał już odłożyć tę dziwną rzecz, lecz zrobił to tak nieuważnie, że się otworzyła. W środku znajdowały się arkusze pergaminu, podobne tym, które nosił Weles Libor. Pokrywały je w całości zawijasy pisma i piękne malunki. Nagle Waliego olśniło – ci niewolnicy mogli nauczyć go pisać! Bardzo sobie cenili te zapiski, musieli tedy umieć je czytać.

– Panie!

W jednym z okien pojawiła się twarz.

– Toś ty, Bragi?!

- Tak, panie.
 - Jak tyś tam wlaźł?
 - Po drabinie, panie.
- Wali się roześmiał.

– Obyłoby się bez twojej głowy, gdybyśmy pomyśleli i poszukali. Za chwilę otworzę drzwi. Dopilnuj, żeby nikt, ale to nikt, nie skrzywdził moich niewolników. Należą do mnie. Dasz radę wbić to do głów tym zaślepionym przez Odyna kretynom?

- Spróbuję, ale nie mogę obiecać, panie.
- Zastukaj trzy razy, gdy będziecie gotowi.

Wali wiedział, jak ciężkie czeka go wyzwanie, gdy drzwi się rozewrą, przeto, wykonując uspokajające gesty, podniósł saks i chwycił za rękę starca z wypełnionym pergaminem kawałkiem skóry. Ten był najmniej użyteczny jako niewolnik i zarazem najbardziej narażony na zgubę.

Po kilku chwilach Wali usłyszał trzy stuknięcia i usunął zaworę.

Gdy drzwi się otworzyły, wewnątrz załała fala światła. Dwaj berserkowie minęli go w pośpiechu, niosąc włócznie i żagwie.

– Nie! – wrzasnął Wali. Poniewczasie zrozumiał, że niosą też śmierć. Dwaj niewolnicy zginęli zakłuci i upadli, jeden – ten w wieku Waliego – popędził ku drzwiom, ciągnąc za sobą starca.

– Nie zabijać! – zakrzyknął Wali. Na szczęście mężczyźni wpadli w ręce Bragiemu i kmiociom, którzy obalili ich na ziemię ciosami obuchów.

– Srebro! – zawołał Wali. I to wystarczyło – pozostali napastnicy wdarli się do środka niby fala przyboju.

Wali nie wiedział, co począć, by ocalić brańców. Powodowany wyłącznie instynktem, wymierzył ostrze noża w ich plecy i pogonił pod zbroczę, ku drakkarowi. Przyszło mu na myśl, by ich puścić wolno, lecz zafascynowała go sposobność nauczenia się pisma – uznawał to za sprawę kluczową dla rozwoju i utrzymania swego królestwa, gdy w końcu przyjdzie mu nim rządzić. Nadto nie spotkał wcześniej wielu cudzoziemców i bardzo chciał z nimi porozmawiać. Ciekawość zwyciężyła. Ci mężczyźni, pomyślał, mogą nauczyć mnie czegoś interesującego.

Gdy dotarł na szczyt pagórka, zabrał pozostawioną tam tarczę i spojrzął w dół. Ogień objął już całą osadę, chaty i kościół, bez wyjątku.

Żywy inwentarz spędzono i jęto zaganiać w ich stronę. Brańcy Waliego zanieśli się płaczem. Po raz pierwszy przyjrzał im się uważnie. Na pewno są niewolnikami, uznał po ich mizernych ubraniach i ogolonych głowach. Nawet tacy jak oni, prędzej czy później, zaczynają czuć więź z miejscem niewoli. Ponownie dostrzegł urzekające piękno wyspy – blask słońca na tafli morza, gęstą strugę dymu sięgającą poprzez morze do stałego lądu w oddali, niby zaczarowana droga na grobli, a nawet języki ognia. W obliczu takiego uroku prawie niemal można było zapomnieć, że to miejsce stało się właśnie niemym świadkiem spustoszenia.

Pospieszył ku okrętom, a gdy do nich dotarł, okazało się, że powrócił jako pierwszy, nie licząc pięciu czy sześciu strażników.

– Dużoście łupów zgarnęli? – zapytał jeden.

Wali jedynie wskazał saksem na niewolników. Rozmowny strażnik skinął głową.

– Jeden dość stary, ale tego drugiego sprzeda się w Kaupangen za porządne pieniądze – ocenił z miną znawcy.

Chodziło mu o ten duży rynek na południu. Wali już wcześniej o nim słyszał, ale nigdy tam nie był. I ci brańcy też tam nie trafiają; miał wobec nich inne plany.

– Należą do mnie – odparł.

Wartownik wzruszył ramionami.

– To zależy od podziału łupów.

– Należą do mnie – powtórzył Wali z naciskiem. – To ja zadałem sobie trud, by ich ocalić. Resztę bardziej interesują łatwe ofiary niż brańcy. – Strażnik ponownie wzruszył ramionami i usiadł nad brzegiem.

– Zobaczymy, co na to berserkowie – rzucił jeszcze.

Już zmierzchało, gdy powrócili ostatni grasanci. Wali siedział przy ognisku i przyglądał się stadom owiec i krów pędzonym w pobliże łodzi. Ani jednego niewolnika. Wali wprost nie mógł uwierzyć, jak wiele dobra marnowało się podczas najazdów. Cały łup z kościoła rzucono na kupę, wraz z dzbanami wina, które niedługo pozostały nietknięte. Ten czy ów przytaszczył nawet zagarnięte bele siana, więcej niż było trzeba, by wykarmić zwierzęta podczas krótkiej podróży powrotnej. Wali ucieszył się, że ich ojczyste plaże obfitowały w otoczaki, bo inaczej niechybnie powracaliby do domu z wielkim stosem

kamieni.

Berserkowie nie wzięli żadnych jeńców, choć zagarnęli sporo monet i trochę srebrnych platerów, a także z dziesięć zarżniętych gęsi.

Pod koniec dnia w tych wojach zaszła jakaś zmiana. Nie byli już wyjąkami zwierzętami, które widział, wysiadając z łodzi. Wprost przeciwnie, teraz wydawali się osowiali, nawet słabi, prawie się nie odzywali, jeno przykucnęli przy ogniskach i gapili się w płomienie przekrwionymi rozgniewanymi oczami.

– Panie.

– Tak?

Na jego ramię opadła dłoń Bragiego. Który to już raz dzisiaj?

– Nie słyszałeś mnie? Lada chwila wypływamy w morze. Tę wyspę łączy z stałym lądem droga wzdłuż grobli, przejezdna podczas odpływu. Powinniśmy ruszać. Płonące budynki mogły ściągnąć czyjąś uwagę, a zostając tu, narażamy się na kontratak.

– To po co w ogóle było je palić?

– Słucham?

– Skoro ogień zdradza naszą pozycję, to po co go rozpalamy? Wszak z pewnością lepiej byłoby złupić to miejsce w tajemnicy.

– Co zrobić? Berserkowie inaczej nie potrafią.

Zwierzęta ładowano na łodzie, wrzucano, przywiązywano, wciągano, aż w końcu burty knar zanurzyły się niebezpiecznie głęboko. Niektórych, co większych sztuk, nie udało się upchnąć, zaszlachtowano je przeto na plaży i tusze umocowano przy rufach. Zamierzano je ciągnąć za łodziami, póki liny wytrzymają.

Wali czekał z niewolnikami, by zająć miejsce na drakkarze.

Sternik liczył załogę.

– Dla tych dwóch nie ma miejsca – stwierdził.

Wali spojrział na niego.

– To się znajdzie. Chcę ich mieć za niewolników.

– Panie, trzeba by zostawić cenne zwierzęta. Chłopak jest chorowity, a ten drugi stary i mało zdolny do pracy.

Wali pomyślał, że w zasadzie to mógłby puścić ich wolno. Najeźdźcy już dawno zdążą odpłynąć, nim brańcy zdołają wspomóc jakikolwiek pościg. Przypomniał sobie jednak, kim jest. Tak dużo czasu spędził przy domowym palenisku Adisli, pośród kmiecych dzieci, że czasem o tym zapominał.

– Książęta potrzebują innego rodzaju niewolników niż prości ludzie.

– Panie, ja...

Nagle rozległ się krzyk, a starzec upadł na ziemię.

W świetle ognia Wali dostrzegł błysk noża i przekrwione oczy Bodwara Bjarkiego, pokiereszowanego berserka, z którym starł się wcześniej. Potem dojrzał nagły ruch i młody niewolnik podzielił los swego poprzednika.

– Koniec dyskusji, książę – zadrwił berserk. Ledwie trzymał się na nogach, wydawał się odrętwiały i niemrawy, lecz i tak w mgnieniu oka zaszlachtował dwóch ludzi.

Po raz pierwszy w życiu Wali poczuł się rozgniewany, nawet rozsierdzony, i przeszedł go dreszcz. Nie była to wściekłość, która wybucha w furii, lecz stłumiona, przyciszona, tak niekłamana i rzeczywista jak zapach dymu unoszącego się nad letnią łąką. Intensywność uczucia była przerażająca. Pomyślał, że prędzej czy później, w ten czy inny sposób, srodze zemści się na tym berserku. Ta myśl naszła go nie jako zamiar, a jako fakt, tak prawdziwy i nieuchronny jak zapadające ciemności, bezkresne miriady gwiazdy i zimna czerń morza. Odkąd pamiętał, nigdy nie doświadczył uczucia nienawiści. Aż do teraz. I zdało mu się ono niemal upajające.

Na twarzach otaczających go pobratymców malowało się oczekiwanie. Wali jednak nie zamierzał spełniać ich oczekiwań – żądać zadośćuczynienia i wyzywać Bjarkiego na pojedynek. Zamiast tego pogardliwie uśmiechnął się do berserka.

– Już ja cię zapamiętam.

Bodwar Bjarki jeno burknął coś pod nosem, otulił się płaszczem i wkroczył na łódź.

Wali nachylił się nad starcem. Martwy. Potem nad chłopcem. Ten jeszcze dychał, ale jego blada jak kreda skóra znamionowała niechybną śmierć. Objął młodzika ramionami, by dodać mu otuchy. Ten podniósł wzrok. Wali spodziewał się ujrzeć w jego oczach wyrzut lub nienawiść. Zobaczył zupełnie coś innego. Zrozumienie, współczucie, nawet litość. Aż mu krew zmroziło.

Chłopak wypowiedział znane Waliemu słowo: „Boże”.

No cóż, jakkolwiek by patrzeć, nie bardzo ci pomógł ten twój bóg, pomyślał Wali, ale nic nie powiedział. Po kilku chwilach młodzian

wydał ostatnie tchnienie.

Książę wspiał się na knarę. Nie miał zamiaru spędzić podróży do domu w towarzystwie berserków.

Bez słowa chwycił za wiosło, przysłuchując się ludziom, wymieniającym się dokoła opowieściami o przebiegu pogromu. Kmieć Hrolleifr chwalił się, jak to stanął przeciwko wrażemu wodzowi i celnym cięciem powalił go na ziemię. Przemilczał, że jego przeciwnik był wtedy nagi i na klęczkach błagał o litość. Inni pysznili się pokonaniem dwóch lub trzech wrogów naraz, pomijając niewygodny fakt, że ich ofiary nie miały czym się bronić. W bajaniach powracających wojów najbardziej jednak zadziwiało to, że sami zdawali się w nie wierzyć.

Gdy łodzie odbijały od brzegu, Wali spojrzął na drakkar. Berserkowie obwieszali właśnie jedynego oszczędzonego Zachodnika – jako ofiarę dla Odyna w intencji bezpiecznego powrotu. Gdy tak przyglądał się zwisającemu z masztu nieszczęśnikowi, wierzącemu jakby w próżnej próbie ucieczki, podjął decyzję, że nigdy nie będzie szukał pomocy u tego boga. Jego wyznawcy, pomyślał, przynoszą mu hańbę.

– Nienawidzę cię, Odynie – rzekł po cichu – i będę ci się sprzeciwiał w każdym twym zamierzeniu.

Po tych słowach z jakiegoś powodu poczuł się lepiej i zgiął plecy, pochylając się nad wiosłem. Wciągnął go rytm wiosłowania, a wysiłek przepędził wszystkie niemile myśli.

9. RÓŻNE ODCIENIE MROKU

Niektórzy dorastają w świetle, inni w mroku. Feilega – chłopaka zabranego przez czarownice – nie wychowywano na słonecznych wybrzeżach, lecz na stromych wierchach, pośród dzikich i wilków.

Królowa czarownic wyczuwała, że dziecko, które zagarnęła, należało przysposobić do innego rodzaju magii niż praktykowany przez nią samą. Sztukę czarownic zwykli ludzie znali jako seid. Była to w pełni kobieca magia umysłu. Gullweig zatarła granicę między przeszłością a przyszłością, podczas transu przemierzała świat jako cień zająca lub wilka, by nawiedzać koszmary tego czy innego drzemającego króla. Atoli sztuka magii cielesnej była jej nieznaną. Transy i medytacje pozbawiały ją sił na wiele kolejnych dni, doprowadzając nawet na skraj śmierci, odbijały się straszliwym piętnem na jej ciele – członki dotykała niemoc, a z ciała ulatywała cała energia. Gullweig wydawała się wtedy podobna tej runie, bardziej układem linii niż ludzkim kształtem. Z upływem lat nie dostąpiła przemiany znanej innym dziewczętom. I już nigdy nie miała jej zaznać.

Królowa czarownic pogodziła się z tym, że za wiedzę przyjdzie jej zapłacić wiecznym uwięzieniem w ciele dziecka – małym, słabym i nierozwiniętym. Wilkołak jednak nie podaży tą samą drogą. Odyn, jak wiedziała, miał nadejść jako woj, niosąc wrogom śmierć na grocie włóczni. Jej obrońca nie mógł być słaby, przeto Gullweig była władna zrobić tylko część tego, czego wymagało zadanie.

By uczynić z chłopca wilkołaka, należało wzmocnić jego ciało i wykształcić prawidłowe odruchy dzięki pomocy berserków, ulfhednarów, co żyli jak wilcy i jako tacy walczyli, za sprawą treningów i magii zyskując nadnaturalną siłę i zajadłość. Czarownica przemówiła do wodza berserków we śnie, ten zaś przyjął dziecko na wychowanie, w zamian za mikstury otrzymane z rąk służącego chłopca u podnóża Ściany Trolli.

Aż do siódmego roku życia Feileg żył w niższych partiach gór, pośród niewielkiego klanu berserków, którzy się nim opiekowali,

karmili go, uczyli tańców w transie i nieraz garbowali mu skórę. W dzień siódmych urodzin chłopca wódz berserków, który zabrał go spod Ściany, zbudził dziecko przed świtem i poprowadził z powrotem w górę, ku szczytom. Była wczesna zima i wędrówka nie należała do łatwych. Berserk wiódł go przez pola śniegowe, czekając na niego, gdy ten upadał, popędzając, gdy brakło mu sił, wrzeszcząc, gdy próbował podparć się swą krótką włócznią, przestrzegając go przed niewłaściwym wykorzystaniem czegoś, od czego mogło zależeć jego życie.

Przez większość drogi śnieg był płytki, obywali się więc bez rakiet śnieżnych, lecz wyżej się pogłębiał, musieli tedy zatrzymać się, by je założyć. Wspinali się między kępami nagich świerków i sosen, wznoszących się wśród bieli niby legiony gigantów. Aż w końcu drzewa jeły przegrywać walkę z wysokością, robiąc się coraz mniejsze i cieńsze, kurcząc się w końcu do rozmiarów krzewów.

W niewielkiej dolinie, opodal zamarzającej siklawy, berserk przystanął.

– Mam cię tu zostawić – rzeki. Był twardym człkiem, aliści nawet on zdobył się na smutny uśmiech. – Bywaj, mały Feilegu. Będzie nam ciebie brakowało. Zjadłeś dość, by przeżyć do jutra. Wiesz, jak wspiąć się na drzewo po linie. Pamiętaj, że wilki nie będą chciały ryzykować obrażeń. Jeśli przyjdą, zaatakuj je i spraw, by poszukały sobie słabszej ofiary.

Dzieciak nie odpowiedział, atoli gdy berserk odwrócił się i jął schodzić ze zbocza, podążył za nim.

– Masz tu zostać – upomniął go mężczyzna. – Twój czas z nami dobiegł końca.

Odwrócił się i ponownie jął iść w dół. Chłopak znów ruszył w krok za nim. Berserk, choć oschły i skory do bicia, był jedynym ojcem, jakiego znalazł, a jego żona – jedyną matką. Chciał wrócić do kociołka, do swych braci i siostr, by dalej pomagać ojcu w kuźni, a w zimne noce leżeć obok matki, otulony ciepłem i poczuciem bezpieczeństwa.

– Ty zostajesz – warknął berserk. Nie musiał dodawać, co czekało dzieciaka, gdyby nie usłuchał. I tak już upomniął go o jeden raz więcej, niż miał to w zwyczaju. Trzeciego upomnienia nie będzie, w ruch pójdzie pas.

Zatrwożony Feileg poczuł się przeraźliwie samotny. Kurczowo

uczepił się włóczni i rzekł:

– Pewnego dnia powrócę i cię zabiję.

Berserk się uśmiechnął.

– Naprawdę żal mi cię tracić, Feilegu. Wierzę, że zemsta będzie ci dana. Gdy wyrośniesz, staniesz się wielkim wojem, a ja będę już stary, o ile w ogóle dożyję sędziwego wieku. Byłoby zaszczytem zginąć z twej ręki. Nie obawiaj się. Twój los jest już spleciony i nie kończy się dzisiaj.

Po raz kolejny odwrócił się i ruszył w dół zbocza, a po kilku chwilach zniknął chłopakowi z oczu.

Feileg rozejrzał się wokół przez szparę w tkaninie okrywanej wokół twarzy dla osłony oczu przed rażącym światłem. Zaczynał prosić śnieg. W górze piętrzyła się grań, poniżej rozpościerała dolina. Zobaczył ślady stóp, które pozostawili, idąc tutaj, lecz miał dość doświadczenia w polowaniu, by wiedzieć, że nim dotarłby do domu, trop zginąłby pod warstwą białego puchu.

Nie wiedział, co począć, przeto stał jeno, głowiąc się, czemu znalazł się na takim odludziu i jakimże uczynkiem tak bardzo naraził się ludziom, których miał za rodzinę. Niebawem zaczęły mu marznąć stopy, postanowił tedy poszukać schronienia. Dni były teraz krótkie i słońce wisiało już nisko na niebie.

Feilega nigdy nie traktowano jak dziecka, przeto w ogóle nie myślał w dziecięcych kategoriach. Wyprawiał się na polowania, w zasadzie od kiedy nauczył się chodzić, a wymagano od niego ostrzenia broni, przyrządzania jadła, rozpalania ognisk i samodzielnego mycia się właściwie od momentu, gdy rozumiał już, co ma robić. Wychowany tak, by polegać wyłącznie na sobie, teraz szybko wykoncypował plan. Zamierzał zrobić to, co jego ojciec, gdy zaskakiwała go zamieć – wykopać jamę pod drzewem, wyłożyć ją gałęziami i tam się przespać. Następnego dnia zejdzie w dół i postara się znaleźć kogoś, kto go przygarnie, a może nawet zakradnie się do domu i ukorzy się przed matką, błagając by puściła w niepamięć przewiny i przyjęła go z powrotem.

Zszedł ze zbocza i znalazł odpowiednie drzewo opodal niewielkiej stromej ściany, która mogłaby, jak mniemał, osłonić go przed wiatrem. Rył ziemię kamieniem przez jakieś pół godziny, gdy nagle posłyszał wycie. Pojedynczy wilk, gdzieś ponad koronami drzew,

w stronę zachodzącego słońca, uznał, choć góry utrudniały właściwą orientację w terenie. Upewnił się, że włócznię ma w zasięgu ręki i ponownie ją odrzucać ziemię. Z drugiej strony doliny zabrzmiała odpowiedź innego wilka. Feileg nie przestawał kopać. I trzeci głos, tym razem bliżej. Zadarł głowę i zobaczył wielkiego białego basiora, o wiele większego niż on sam, siedzącego na grani powyżej, ledwie widocznego na tle ogromnej skały. Uderzenie serca później wilk poruszył się, znikając w śniegu. Feileg kopał wytrwale. Życie wśród berserków nauczyło go, by nie rozmyślać za dużo nad konsekwencjami. Potrzebował schronienia; robiło się późno, musiał tedy kopać. Jeśli wilki przyjdą po niego, zginie. Jeśli noc spędzi na zewnątrz, bez schronienia, niechybnie zamarznie. Jeśli zaś wejdzie na drzewo, zabije go mróz. Jedyne ratunek – kopać i modlić się, by wilki jednak nie przyszły.

Atoli płonne to były nadzieje, bo się zjawiły, bezszelestnie zbierając się na grani. Wcześniejsze wycie pozwoliło im się odnaleźć, lecz teraz siedziały cicho, by niepotrzebnym hałasem nie zwabić konkurencyjnej watahy. Blade słońce skrywało się za granią, zmierzch barwił niebo na metaliczny fiolet, a osiem wilków przyglądało się kopiającemu chłopcu. Jak tylko pierwszy z nich się poruszył, Feileg chwycił włócznię i dobył z gardła groźny wrzask.

Największy wilk był ciemniejszy niż pierwszy którego zobaczył. Miał rdzawoszare futro, a w kłębie dorównywał wzrostem chłopcu, wydawał się znacznie od niego cięższy. Krzyk Feilega zatrzymał go w połowie zbocza. Berserk miał rację. Wilki w dziczy są w pierwszej kolejności padlinożercami, w drugiej – zabójcami, a wojownikami dopiero w ostateczności. W zaśnierzonych lasach każda rana ogranicza ruchliwość, a to oznacza śmierć z głodu. Podobnie jak wszystkie zwierzęta, ludzi nie wyłączając, wilki preferują ofiary słabe, a najlepiej – bezbronne.

Feileg wbił w wilka harde spojrzenie i wyciągnął włócznię przed siebie. Światło przygasało, spłaszczając perspektywę. Wzrok chłopca falował, a on sam z trudem utrzymywał uwagę na tym, co miał przed sobą. Kątem oka dostrzegł wilka próbującego zakraść się od prawej. Szybki rzut oka w lewo potwierdził, że to samo dzieje się po drugiej stronie. Feileg jednak nie czuł strachu.

– Jestem opuszczony i gotów na śmierć! – zakrzyknął. –

Którego z was, o władcy lasów, mam zabrać ze sobą? Gdy znajdę się w komnatach Odyna, a wy u jego stóp, och, jakże skopię wam dupy!

Czuł, że jeden z wilków zaszedł go od tyłu, a kolejne zbliżały się od boków. Wciąż jednak mierzył włócznią w rdzawoszaręgo basiora. Był największy i niebawem zginie, a jego śmierć stanie się inspiracją dla nie lada opowieści przy stole biesiadnym w komnatach Wszechojca.

Wielki samiec z wolna postąpił ku chłopcu przez rozedrgane światło. Feileg poczuł, że po raz pierwszy wzbiera w nim trwoga. Coś dziwnego było w ruchach zwierzęcia, coś nie tak. Reszta wilków zdawała się ślizgać po śniegu, a ten potężny basior stapał nad wyraz niepewnie. Czyżby był ranny? Zapadający zmrok ograniczał widoczność. Co z nim było nie tak?

To, co Feileg uznał wcześniej za wielkiego wilka, zdawało mu się teraz zwierzem o naprawdę przerażających rozmiarach. Wielkim jak człowiek, większym. Stworzenie przerastało o głowę nawet jego ojca, który górował nad wszystkimi znanymi chłopcu mężczyznami.

Dziesięć sąni przed nim wilk przystanął i spojrzał na Feilega przez szarzejący zmierzch. Wychowany w przeświadczeniu, że życie to fraszka, w przekonaniu, że najbardziej chwalebny końcem jest śmierć poniesiona w bitwie, pożądamy takiego losu bardziej niż inni łakną złota czy pierwszorzędnego domostwa, młodzik zaczął się trząść. To nie był zwykły wilk, tego był pewien, lecz stwór rodem z legend.

Zwierzę opuściło łeb na śnieg.

– Krewniak – rzekło.

Słowo zdawało się wibrować w umyśle Feilega. Spojrzał w oczy basiora.

Wtem pomiarkował – widzi człowieka spoglądającego nań spod skóry wilka. Wielkiego, potężnego, wielce ogorzałego, z oszronioną jasną brodą. Jego ramion i nóg nie okrywał ani włos, jedynie długi płaszcz ze skóry renifera, podobny do noszonych powszechnie przez zimowych myśliwych, choć mężczyzna nie miał ze sobą ani łuku, ani włóczni, ani nawet raket śniegowych czy nart.

Nagle cały tak długo duszony w środku strach, rozlał się po ciele Feilega, przejmując go lodowatym dreszczem. Zdało mu się, że noc nań runęła, a gwiazdy żywo rozbłysły, niczym ślepią milionów wilków spragnionych jego krwi.

– Pomóż mi – zawołał, nie mogąc powstrzymać cisnących się do oczu łez.

Mężczyzna nie odpowiedział ani słowem – już nigdy nie miał się odezwać – jeno obrócił się i poszedł w górę zbocza. Chłopiec podążył za nim, niemal czując na plecach gorący oddech kroczącej z tyłu watahy. Tym samym wypełniło się żądanie czarownic – berserk oddał chłopca Kweldowi Ulfowi, Wieczornemu Wilkowi, przemiencowi ze wzgórz. Nie był on wilkołakiem, jak Feileg później zrozumiał, lecz człowiekiem, którego instynkt i myśli stały się na poły zwierzęce.

Od tej chwili chłopiec dorastał to w świetle, to w mroku. Nie była to jednak nieprzenikniona grobowa ciemność jak u czarownic, lecz północna pomroka najeżona gwiazdami i poznaczona smugami światła, gdzie ranek przynosił mirażę miast majaczących w oddali, a wieczór zapadał w głuchej ciszy. Ciepła nie dostarczał mu ogień, jeno leże w pieczarze i otulające go ciała watahy. Wkrótce miał się nauczyć, jak ogrzewać ręce, zanurzając je w trzewiach zagryzionego przez wilki renifera, jak znajdować drogę, kierując się światłem księżyca; polubił nawet smak surowego mięsa.

Podczas krótkich zimowych dni jadła mu nie brakowało – zwierzyna była wówczas słaba i łatwa do schwytania. Lato było jednak czasem duchów, jasnym bez ustanku, podczas którego zdobycz zdarzała się rzadko. Feileg gorliwie wyprawiał się na bezowocne polowania – niemal bez snu, w ogóle bez słowa, z myślami uwalnianymi z okowów języka dzięki latom milczenia, z umysłem coraz bardziej zwierzęcym, z ciałem coraz silniejszym.

W bladym mroku letnich nocy Kweld Ulf zwykł uderzać w swój bęben i śpiewać nierytmiczne piosnki.

Pospołu wycinali pęcherze reniferów, które najadły się dziwnych grzybów, i pili z nich mocz. Wywołane nim wizje przenosiły chłopca do królestwa duchów, gdzie biegał przez ciemne korytarze i ociekające wodą pieczary, pil z głębinowych źródeł, czując, że mrok podziemnego świata poszerza horyzonty jego umysłu. Miał wrażenie, silne niczym zapach reniferowej uryny, iż coś żyje w tych tunelach. Jaskinie, jak myślał, były głodne.

Gdy Feileg przychodził do siebie, zdawało mu się, że ciało syciło się tymi snami, dodając mu nadnaturalnej siły i szybkości. Nim

skończył dwanaście wiosen, potrafił już zabić renifera gołymi rękami. Nie miał zresztą wyboru, gdyż jego włócznia dawno już się złamała, a Kweld Ulf nie przyzwolił mu na kolejną. W wieku lat czternastu zajął się grabieżą, ale nie taką, jaką trudnił się Wali. Jego ofiarą padali wędrowcy zapuszczający się na jego ziemię, kupcy zmierzający na północ z towarami dla Wielorybaków lub ludzie króla powracający na południe na saniach czy nartach z zebraną wśród nich daniną. Wraz z Kwoldem Ulfem okradali ich we śnie lub – jeśli ci się zbudzili i nie chcieli się rozstać z majątkiem po dobroci – atakowali, rozrywając ciała zębami i paznokciami, łamiąc członki i przetrącając kręgi, ciskając miecze na ziemię i wrywając z rąk włócznie. Feileg wciąż jeszcze rozumiał krzyki ludzi w obozowiskach, lecz ich prawdziwe znaczenie – strach, cierpienie, tęsknota za ukochanymi – zaczęło mu umykać.

Łupy gromadzili w wysokogórskich leżach. Feileg miał je za nic – nie zapewniały sytości ani ciepła – atoli Kweld Ulf wiedział, że piękne grzebienie z kłów morsa, złote naramienniki i dobre miecze kiedyś przydadzą się chłopcu. Miał bowiem wrócić pod skrzydła czarownic i nie zaszkodziłoby, gdyby przyniósł z sobą jakieś podarki dla ich królowej. Kweld Ulf wiedział z własnych doświadczeń, że ten czy ów dar mógł na tyle długo zawrócić w głowie siostrom, by przypomniały sobie, że chłopak nie jest intruzem, że właściwie to same po niego posłały.

Nim osiągnął piętnasty rok życia, Feileg widział i myślał już jak wilk, miał ciało twarde jak skała i zęby służące za broń. Górskie wiatry hulały w jego umyśle, pozbawionym poczucia przeszłości i przyszłości, a on żył chwilą bez refleksji głębszej niż będąca udziałem płatka śniegu na wietrze. Tego lata polowania szły kiepsko, a on jakimś trafem znalazł się w dole, u podnóża wzgórz, niby duch skradając się wokół zagród, próbując porwać kaczkę czy świniaka. Starał się nie rzucać w oczy, gdyż gospodarstwa stanowiły zwartą wspólnotę i jeden sygnał rogu mógł błyskawicznie ściągnąć mu na głowę uzbrojoną cizbę dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn.

Wtedy właśnie natrafił na rudere. Niewielki długi dom, którego dach zawalił się pod wpływem wiatru i deszczu. Akurat padało, Feileg postanowił przeto poszukać tam schronienia. Wszedł do środka. Grabieżcy – zarówno zwierzęta, jak i ludzie – ogołocili to miejsce ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, atoli ostało się kilka oznak

bytności niegdysiejszych mieszkańców – połamana kądziel na posadzce, znoszony but, a nawet mały koślawy zydel. Na tyłach znalazłby lepsze schronienie, lecz zdecydował się pozostać pośrodku izby, obok miejsca, w którym niegdyś zapewne znajdował się otwór dymny. Raczej instynktownie niż z rozmysłem sięgnął po zydel i usiadł – czego nie robił od blisko dziesięciolecia. Wtem przed oczami stanęli mu oni – jego siostry przy palenisku, przysadzisty ojciec, w milczeniu siedzący i popijający na ławie na tyłach izby, matka cerująca ubrania. To był jego dom, to tu mieszkał do siódmego roku życia. Nie wiedział, co sądzić o uczuciach, które te wspomnienia poruszyły w jego sercu, wyszedł tedy na deszcz, by już nigdy nie powrócić w to miejsce.

Gdy miał szesnaście lat, pewnego dnia zbudził się w cieniu u wylotu pieczary i wstał, gotów na polowanie. Kweld Ulf poklepał go w pierś i oczami dał znak, że ten dzień będzie inny niż wszystkie dotychczas. Poprowadził go przez dwie doliny, do miejsca, gdzie najstarszy wilk z watahy runął ze zbocza parowu i leżał teraz umierający na jego dnie. Mężczyźni zeszli w dół i usiedli obok zwierzęcia. Oczy wilka zaszyły mgłą, oddech był płytki. Kweld Ulf spojrział na Feilega, a ten zrozumiał, że duch wilka miał połączyć się z jego własnym.

Przez dwa dni siedzieli pospołu i intonowali zaśpiewy, uderzając w bęben i potrząsając grzechoczącymi laskami. Następnego dnia przyszły wilki i zawtórowały tej muzyce dojmującym wyciem. Przysiadły na zaszronionych półkach i wyły w osobliwym chórze, zarazem radości i rozpaczy. Feileg, z głową pękającą ze zmęczenia i wrzawy, położył sobie na udzie głowę dogorywającego wilka i głaskał go po uszach.

Gdy zwierz skonał, ciałem Feilega wstrząsnął dreszcz; w ustach czuł posmak krwi, ciało przenikały dziwne pragnienia. Tam, gdzie wcześniej świat zdawał się szeroki pod osłoną gwiazd, teraz zawęził się do szumiącego w głowie nikłego strumienia głodu. Wziął do ręki ostry kamień i zdarł skórę ze swego nieżyjącego brata, wyrwał mu wątpia, zjadł serce i wątrobę. Potem przyoblekł się w ociekające posoką nowe odzienie i teraz spozierał, niby wilk, zza przesłaniającego mu twarz pyska zwierzęcia.

Po tym wszystkim Feileg zatracił się w czasie; nie odczuwał już minionych i obecnych wydarzeń ani upływu dni. Polował, jadł, spał i

siedział, wyjąc ku gwiazdom. Stał się częścią natury poruszającą się pod wiatrem i słońcem, tak obojętny wobec swej tożsamości jak piana na fali.

A potem, w środku lata, gdy słońce wcale nie zniżało się poza bladą zapowiedź zmierzchu, przyszedł jego bliźniaczy brat, a życie Feilega odmieniło się ponownie. Na zawsze.

10. ŚLUBNA MARTWEGO BOGA

– Coś powiedział?

Wali odwrócił się ku temu, od którego usłyszał nieprzystojne słowo. A padło ono z ust Ageirra, jednego z zaprzysiężonych przybocznych Widłobrodego, mężczyzny liczącego sobie dziewiętnaście wiosen. Dwa lata starszego od Waliego, acz niewiele wyższego.

Od tamtej pamiętnej wyprawy łupieskiej minęły już ponad trzy lata – trzy lata, podczas których Wali nie oddalał się od wioski o więcej niż o pół dnia drogi. Nieraz już prosił Widłobrodego, by ten pozwolił mu wyruszyć na wyprawę kupiecką, a nawet, by przekazał mu dowództwo nad najazdami króla, atoli ten był niewzruszony. Stawiał sprawę jasno – albo Wali popłynie i walczyć będzie jako zwykły woj, albo zostanie w domu. Książę wybrał to drugie.

Jego niechęć do wikingu podyktowana była wieloma względami. Po pierwsze, nie zamierzał brać udziału w bezprzykładnych rzeziach, gdyż było wiele łatwiejszych sposobów na zdobycie łupów. Przerachował zysk zmarnotrawiony podczas napaści na to, co – jak już wiedział – było klasztorem. Wnioski nasuwały się same – już za cenę niewolników, których stracił za sprawą brutalności Bodwara Bjarkiego, mógłby nabyć dziesięć sztuk bydła. Nie liczył już nawet potencjalnych jeńców, którzy zdołali uciec tylko dlatego, że berserkowie nie raczyli otoczyć wyspy szczelnym kordonem.

Po wtóre, brała się z przekonania, że jego podwładni mogliby się czegoś nauczyć od Zachodników. Jeden z ich kapłanów – tych mężczyzn z wygolonymi głowami – nawiedził Eikund, gdy Wali miał piętnaście lat. Atoli ku jego rozczarowaniu, Widłobrody nawet nie pozwolił mężczyźnie wygłosić opowieści. Gdy kapłan pokazał mu swe pisma i zwrócił władcy uwagę na ich użyteczność w zarządzaniu królestwem, Widłobrody na jego oczach podarł je na strzępy i rzekł, by się wynosił, jeśli mu życie mile. W Eikund jednak aż huczało od plotek. Wali dowiedział się z nich, że ten osobnik był wyznawcą

kanibalistycznej religii niejakiego Chrystusa, którego zwolennicy jedzą ludzkie ciało i piją krew.

Jednak głównym powodem, który odwoził go od wojowania, choć Wali się do niego nie przyznawał nawet sam przed sobą, była chęć uchodzenia za tchórza, który boi się widoku miecza. Książę żywił bowiem nadzieję, że Widłobrody nie wyda swej córę za mężczyznę jego pokroju, dzięki czemu nic nie stanie na przeszkodzie ożenkowi z Adisłą. Aliści dotąd król nie zechciał uwolnić go od tego obowiązku. Wali namówił nawet pewnego kupca, by zaniósł posłanie do jego ojca, z którego wynikało wprost, iż nie ma zamiaru żenić się z Ragną, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Uznał to za naganę i poczuł się jak skończony idiota. Jego ojciec mógł przecież zmusić go do wypełnienia powinności, jeśli tylko by zechciał – na nic protesty i opór.

Wali musiał pogodzić się z tym, że jest księciem, atoli dopóty, dopóki nie stanie przed faktem dokonanym i nie poślubi Ragny, zamierzał oddawać się fantazjom o byciu wolnym chłopem; kmieciem, jak ich zwano. Swój saks oddał Manniemu, małemu braciszкови Adisli, a na treningi z Bragim uczęszczał tylko przez wzgląd na starego woja. Wiedział bowiem, że Bragi, pozbawiony ważkiego zadania, utraciłby szacunek do samego siebie i usechłby ze zgryzoty, stając się własnym cieniem. Nadto, w dowód wdzięczności za życzliwą pomoc i wsparcie podczas pamiętnego najazdu, Wali bardzo się przykładał do szkolenia. Okładając tarczę Bragiego udającym miecz kijem, pozwalał, by niesprawiedliwa odmowa ożenku z Adisłą podsyciała jego agresję.

Przez resztę czasu pomagał Adisli i jej matce w rozmaitych pracach w gospodarstwie lub doglądał stad wraz z jej braćmi, a wieczorami rozmawiał z Barthem. Wciąż unikał jednak wyprawiania się po łupy, co wymagało od niego nie lada odwagi. Wiedział bowiem, że bogowie nikogo tak nie znoszą jak tchórzy, i tylko świadomość, że robi to z właściwych pobudek, pomagała mu zachować pozory bojaźliwości.

Król nigdy wprost nie nazwał go tchórzem, atoli wielu jego przybocznych rzucało to słowo pod nos, gdy tylko przechodził obok. Jednym z nich był Ageirr. Wali wolałby puszczać zniewagi mimo uszu, uznając je za środek prowadzący do celu, ale był ulepiony z innej gliny i zawsze na nie reagował.

– Pytałem, coś powiedział?

– Nic, książę, nic a nic.

Wali, rzecz jasna, wyraźnie słyszał to słowo, aliści nie chciał przymuszać woja, by je powtórzył. W przeciwnym wypadku musiałyby wyzwać go na pojedynek. Ageirr nie zamierzał dawać mu pretekstu. Prawda, że szydzenie z Waliego sprawiało mu dużo uciechy, ale nie chciał też przeholować. Wali wszak był synem Authuna, do tego tak cennym dla króla Widłobrodego. Za zabicie księcia, w prawomocnym pojedynku czy nie, czekałaby go sroga kara. Widział zresztą, jak książę rozłupywał lagi o hełm Bragiego. Aż brzęczało! Niespieszno tedy było mu się przekonać na własnej skórze, co Wali mógłby wyczyniać z mieczem w dłoni.

Wali burknął coś i się odwrócił.

– Cieszysz się na wesele? Tej nocy czeka nas setna uczta, ani chybi – ozwał się Ageirr do pleców Waliego.

– Jakie znowu wesele?

– Adisla, ta lafirynda z gospodarstwa na wzgórzu, ma wyjść za Drengiego Półtrolla zza doliny. To ci dopiero udatny mariaż!

Wali poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go obuchem. W osłupieniu zapomniał nawet o obeldze pod adresem Adisli.

– Coś ci się pomyliło.

– Obawiam się, że nie. Słyszałem to od jej brata dziś rano. Sam ich spytaj, jak mi nie wierzysz.

– Jeśli łziesz, odpowiesz mi za to – odparł Wali i rzucił się do biegu. Wiedział, że Drengi poprosił już kiedyś Adislę o rękę, ale odprawiła go z kwitkiem. Drengi był poczciwym człakiem, silnym i ciężko pracującym, ale nie bez kozery przeżywano go Półtrollem – był bowiem zarazem brzydki i małomówny. Adisla, pomyślał, w życiu nie zgodziłaby się go poślubić, prawda?

Do domu Disy dotarł sprintem. Nie zastał dziewczyny, ale jej matka siedziała właśnie w słońcu przed domem, rozcierając wielkim kamieniem żołądźcie ze swych zapasów.

– Prawda to?

Z jej oczu wyczytał, że tak.

– Czemu?

Disa przestała tłuc kamieniem.

– Tyś dla niej za wysokiego stanu, Wali, i do tego przyrzeczony księżniczce. Ma córka jest w takim wieku, że już od trzech lat mogłaby

mieć męża. To ze wszech miar słuszna decyzja.

– Ja ją miłuję, matko. Azali słusznym jest to, by się od tego plecami odwrócić?

Disa postukała kamiennym moździerzem o krawędź drewnianej miski.

– Jeszcze się nie zgodziła, choć chyba zamierza to zrobić.

– Nie pozwól jej. Każ odmówić.

Zacisnęła wargi.

– Jakież życie by ją czekało jako twej nałożnicy, Wali? Nie możesz się z nią ożenić, więc pozostanie nią na zawsze. Nigdy nie będzie nikim więcej. A co, jeśli ci się znudzi?

– Wykluczone.

– Doprawdy? Widłobrody zmienia swe nałożnice jak rękawiczki. Co pora roku, to nowa.

– Nie jestem taki jako on.

Wali chciał jeszcze coś dodać, przekonać Disę, ale wstrząs był zbyt wielki. Nigdy wcześniej nie rozmawiał o tym z Adisłą, aliści zawsze zakładał, że będzie musiał ożenić się z córką Widłobrodego, by zadość uczynić woli ich ludów. Potem jednak zamierzał spłodzić chłopca i odstawić szanowną Ragnę na bok, biorąc za żonę Adisłę – pod każdym względem, z wyjątkiem nadania jej miana prawowitej małżonki. Tyle że gdy Adisła zostanie żoną innego, sytuacja przedstawiać się będzie inaczej. Włócznie pójdą w ruch i nie obejdzie się bez krwawych zatargów.

Wali gorączkowo rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem braci Adisli – może udałoby mu się ich nakłonić, by przemówili Disie do rozumu? Nie było ich jednak – wyruszyli na Nidarnes¹⁵ jako część awangardy Widłobrodego, która miała przygotować grunt pod spotkanie królów przed letnim przesileniem.

– Nie pozwolę na to – rzekł Wali do Disy.

– Tak będzie najlepiej. Teraz ją miłujesz, ale czy dasz jej poczucie bezpieczeństwa, gdy się zestarzeje? A to zapewnić jej może tylko prawowity mąż. Czy...

¹⁵Nazwa prawdopodobnie odnosząca się do półwyspu, na którym założono kupieckie miasto Nidaros (dosł. „ujście Nidy”, czyli obecnej Nidelvy), dzisiejsze Trondheim w Norwegii; dawniej powszechne miejsce organizacji thingów (zgromadzeń).

Nie czekając, aż Disa dokończy pytanie, Wali zerwał się do biegu. Hala Widłobrodego znajdowała się dość daleko w głębi ładu, ale on dotarł tam w mgnieniu oka. Król przysłuchiwał się kłótni dwóch kmieci, gdy Wali jak burza wpadł do środka. Wieśniacy poznali go i rozpierzchli się na boki.

Na widok Waliiego wstał jakiś mężczyzna siedzący dalej, w głębi sali. Wysoki, młody i potężnie zbudowany. Nosił się cokolwiek niezwykle – miał na sobie mlecznobiałą jedwabną koszulę, podobną tym, które Wali widział wcześniej tylko na Welesie Liborze. Waliemu przez chwilę wydawało się, że skądś zna tego człowieka, lecz myśl ta tylko przemknęła, by zaraz ulecieć. Podszedł do króla i się uklonił. Widłobrody – jeden z tych przysadzistych, silnych mężów, co to zdają się szersi niż wyżsi – siorbał akurat zupę, której większość służyła mu po brodzie. Był twardym mężczyzną, który doszedł do królewskiej godności nie prawem dziedziczenia, a siły. Na jego dworze nie było miejsca na intrygi czy dyskusje, a chcąc wygrać spór, trzeba było pokonać przeciwnika w szrankach lub w picciu, a najlepiej w obu dyscyplinach jednocześnie.

– Jeśli przyszedłeś tu, książę, z kolejnym cudacznym planem, jak wygrywać bitwy bez walki, to szkoda twych słów. Mężczyzna rusza na wojnę, myśląc jeno o wrogu przed sobą i towarzyszu u boku, nieograniczony żadnymi uprzednimi zamysłami. Najeżdżaj i walcz albo zostań w domu, tak to wygląda. Koniec, kropka. Nie wracajmy do tego. Przerabialiśmy to już zbyt wiele razy. Prawdę mówię, chłopcy?

Kilku przybocznych skinęło głowami i potwierdziło, że istotnie tak właśnie było. Wali wielokrotnie już drażnił Widłobrodego, dając wyraz swemu przekonaniu, że planowanie może przynieść bardziej udatne rozstrzygnięcie bitwy niż bezpośredni atak. Widłobrody za każdym razem zbywał go pytaniem, gdzie w tych wszystkich zamysłach znaleźć miejsce dla chwały.

– Nie po to przyszedłem.

– A więc po co?

– Chcę, byś zwolnił mnie z paktu małżeńskiego z twą córką. Nie jestem synem, którego byś chciał, a Rygirowie zasługują na lepszego, silniejszego księcia niż ja.

Widłobrody parsknął.

– Tu masz rację, synu.

Serce Waliego zabiło mocniej.

Król uniósł brodę do ust i zliżał z niej resztki zupy. Przez chwilę zdawał się brać słowa młodzieńca pod rozwagę.

– Ale zapomnij o tym. Gdybym cię zwolnił, zrodziłoby to zbyt wiele wątpliwości. Połowa królów znad wybrzeża jęłaby się zastanawiać, czy aby nie zamierzam wystąpić przeciw Authunowi. I co gorsza, wśród nich i on. Ten to dopiero kocha wojaczkę! Mam rację, chłopcy?

Przyboczni potwierdzili chórem.

– Mój ojciec nie uzna tego za despekt. Nadto od dziesięciu lat nie podniósł miecza. – Choć Widłobrody nie gustował w konwenansach, Wali odruchowo zaszczylił go wytwornym językiem.

– Zbyt długo jak na męża jego pokroju – zgodził się Widłobrody. – Powiadam ci, synu, że gdybym wykoncypował sposób, by nie doszło do tego małżeństwa, z radością bym cię zwolnił z obowiązku. Wasze dzieci będą wymoczkami, ale cóż ja mogę na to poradzić?

– Znajdź innego księcia, panie.

Widłobrody pokręcił głową.

– Twojemu staruszkowi byłoby to nie w smak – odparł. – Ale tak się przypadkiem składa, że może jednak znajdzie się jakieś wyjście z tego ambarasu. Hogni, pozwól no tutaj.

Młodzieniec w jedwabnej koszuli podszedł i skłonił się przed Walim i Widłobrodym.

– Hogni, syn Morthiego – przedstawił się – posłaniec od króla Authuna.

A więc to tam Wali go niegdyś widział! Na dworze ojca.

– Powiedz księciu, co rzekł jego ojciec.

Mężczyzna znów się uklonił; wyglądał na nieco podenerwowanego. Pewnie słyszał, co spotyka posłańców przynoszących złe wieści.

– No, dalej – upomniał go Widłobrody. – Nikt tu nie traci głowy bez mego przyzwolenia. To ja kazałem ci się z nim rozmówić, więc powtórz, co Authun ci rzekł. Jeśli książę zechce się o to wadzić, to może to robić ze mną. A tego akurat wolałby uniknąć, możesz mi wierzyć.

– No chyba! – zakrzyknął któryś z przybocznych.

Hogni rzucił szybkie spojrzenie na Widłobrodego, a potem zwrócił się do Waliego, starannie i oficjalnie dobierając słowa.

– Czcigodny królu Widłobrody, postrachu południa, potężny w boju, panie Rygirów, wiedz, iż moim życzeniem jest, by mój próżniaczy syn wziął rozbrat z wygodnym życiem. Podług przekazanych mi relacji lekce on sobie waży walkę bronią, zebrania i najazdy, przedkładając nad to rozmowy z niewiastami. Pozwól przeto mu się wykazać. Ziemie na północ od naszych królestw nękają zbójcy. Kupcy, pasterze i wieśniacy pospołu drżą przed napaścią ze strony dzikich, co niby plaga panoszą się opodal Gór Trolli. Ci ludzie zaiste są jako wilcy, czarownicy zdolni przybrać postać tych monstualnych zwierząt. Napadają z furją i brutalnością wszystkich, którzy im się nastreczą, niewrażliwi na oręż i morderczy w zamysłach. Już siedmiu mych podwładnych zdążyło zginąć, starając się wyplenić tę zarazę. Nim minie letnie przesilenie, mój syn złoży u twych stóp głowę jednego z nich. Jeśli zaś zawiedzie, twojemu uznaniu pozostawiam wymierzenie mu dotkliwej kary.

Wali spojrzął na posłańca, a potem na Widłobrodego.

– Czemu właśnie to? I czemu akurat teraz?

– A kogóż pytasz? Mnie czy ojca? – hardo rzeki król.

Wali nie zważał na jego butę.

– Mimo wszystko ma prośba pozostaje w mocy. Zwolnij mnie z paktu ze swą córką i pozwól mi wziąć Adislę za żonę. Lub przynajmniej zabroń jej poślubić kogoś innego.

Widłobrody podniósł oczy ku krokwiom.

– Ta wieśniaczka przysparza wszystkich zgryzot w mym życiu. Już mniej kłopotczą mnie te ścierwa, Danowie! – Opuścił wzrok i wbił go wprost w Waliego. – Wróc z głową wilkoluda – choć nie, lepiej z całym jego ciałem, żeby wątpliwości nie było – albo ta twoja Adisla zostanie ślubną Odyna podczas letniego biotu. Zawisnie ku uciesze boga.

Wali zrobił się blady jak kreda.

Tradycji oddawania Odynowi oblubienicy niemal wcale nie hołdowano w pojedynczych królestwach. Waliemu obilo się jednak o uszy, że podczas dni wielkich uctw, gdy królowie z całej krainy zbierali się na święto, czyli na biot, składano czasem ofiary z ludzi. Lecz Widłobrody nigdy wcześniej się ich nie domagał.

– Nie możesz tego zrobić – odparł Wali.

Widłobrody pociągnął łyk z wysadzanego klejnotami pucharu, łupu z jakiejś wyprawy. Wali pomyślał o zaślepionych przez Odyna berserkach i niepotrzebnych ofiarach, za którymi stali, o bezsensownym szale, który narażał jego pobratymców na zgubę, o cennym niewolniku powieszonym na powracającej łodzi. Pewnego dnia wypije krew Odyna; obali tego boga, rozerwie go na strzępy i odpłaci mu pięknym za nadobne za tę jego żądzę trupów.

– Doprawdy? – zadrwił Widłobrody. Nachylił się ku Waliemu i dobitnym szeptem dodał: – Może i muszę bywać na zgromadzeniach, by łaskawie zechcieli uchwalić me prawo, atoli sprawy religijne są moją domeną. I to wyłączną. – Wstał i zakrzyknął. – Jam królem, włodarzem, kapłanem Odyna na ziemi, rokującym z bogiem i mówiącym waszej szarej cizbie, czego on wymaga w zamian za swą przychylność! Rozumiemy się? – Na powrót usiadł i wskazał palcem na Waliego. – I Odyn chce tę dziewuchę za swą oblubienicę, chyba że przyniesiesz mu głowę jego wroga, tego wilkoluda. Twój ojciec mniema, że podołasz. Ja nie. Przekonamy się, kto ma rację. Przymuszam, że prędzej niż wilkoluda znajdziesz własną zgubę, co będzie mi wielce na rękę, bo wtedy znajdę dla mej córki kogoś, kto ma choć trochę ikry. A ty będziesz się mógł jedynie pocieszać tym, że ta twoja wieśniaczka będzie napełniać puchar w komnatach poległych.

– Nie możesz, ot tak, wziąć wolno urodzonej kobiety i złożyć jej w ofierze. Ludzie się domyślą, że nie poświęciła się z własnej woli.

Widłobrody pokręcił głową.

– Ona jest zagrożeniem dla królestwa, chłopcze! A jest nim przez ciebie. Ludzie rozumieją, czemu musi umrzeć. A jeśli bogowie zechcą temu zapobiec, darują ci powodzenie. To chyba proste. Czego nie rozumiesz?

Wali stał roztrzęsiony. Chciał krzyknąć królowi w twarz, że jeśli Adisła umrze, on nie podaruje ludowi Rogalandu głowy wilka, lecz czerep samego Widłobrodego. Atoli rozumiał już, że zachował się głupio, nierozważnie. Powinien był skryć prawdziwe myśli przed innymi, brać udział w ich chaotycznych atakach, przechwalać się rzezaniem staruchów i dzieci. Jako szanowany woj byłby w o wiele lepszej sytuacji. Widłobrody potraktowałby go poważnie i co najmniej sprzeciwiłby się małżeństwu Adisli. Choć nawet by nie musiał –

wystarczyło, by wieści o dezaprobacie opromienionego sławą Waliego dotarły do domostwa potencjalnego pana młodego, a ten w ogóle poniechałby starań o rękę wybranki. Ale już przepadło. A co, jeśli nie zdoła odnaleźć wilkoluda? Pozostanie mu tylko wyzwać Widłobrodego na pojedynek, jeden na jednego. Wali miał pewność, że poradziłyby sobie na dowolnym polu bitwy przeciw wrażym siłom, lecz bój oko w oko z człowiekiem, co wyrąbał sobie drogę na tron, to nie przelewki. Mniejsza z tym. Jeśli Widłobrody naprawdę spróbuje skrzywdzić Adisłę, to Wali stanie w jej obronie.

– To niebezpieczne przedsięwzięcie dla nas wszystkich – rozpaczliwie argumentował Wali.

– Takie właśnie lubię najbardziej – odparł Widłobrody. – Pamiętaj, rzeczą królów jest chwała, a nie długi żywot¹⁶.

Waliemu cisnęła się na usta odpowiedź, której niechybnie udzieliłby Bragiemu: „Jeśliś rozumny, to możesz mieć i jedno, i drugie”, albo: „Chyba już dożyłeś szacownego wieku” – atoli słowa jakoś nie chciały mu przejść przez gardło.

– Do przesilenia bawię na zgromadzeniu królów na Nidarnes. To cały miesiąc. Wróc wcześniej z głową wilkoluda albo zobaczysz, jak twa dziewczka zadynda – rzekł Widłobrody.

– I wtedy zwolnisz mnie z obowiązku małżeństwa z twą córką?

– Ani myślę. Wtedy udowodnisz, żeś wielkim wojem. Twa dziewczka żyć będzie, to tyle. A teraz zabieraj się stąd, nim zmienię zdanie i co do tego.

Wali pomiarkował, że wbrew woli znalazł się w położeniu, w którym najlepsze, na co mógł liczyć, to ewentualność, że wszystko zostanie po staremu. A najgorsze? Cóż, to nie miało prawa się zdarzyć. Szanse znalezienia wilkoluda, a co dopiero pojmania go, były nader nikłe. Trzeba było innego planu. Adisła będzie musiała bezzwłocznie wyjść za tego jej kmiecia, co znacznie utrudni Widłobrodemu złożenie jej w ofierze. To oznacza, że nigdy nie będą razem, ale przynajmniej ona pozostanie przy życiu. A on i tak będzie musiał podjąć się zadania, choć miał pewność, że nie powróci żywy.

Już po raz drugi tego dnia ruszył biegiem, pokonując dystans od hali Widłobrodego ku domowi Adisli, pędząc na złamanie karku, a

¹⁶Słowa te wypowiedział – jeśli wierzyć sadze *Heimskringla* – Magnus III Bosy (ok. 1070-1103), król Norwegii z dynastii Ynglingów.

nawet szybciej. W połowie drogi posłyszał za sobą stukot kopyt – trzech jeźdźców z królewskiej drużyny, z poruczeniem jasnym jak słońce. Jechali wierzchem, założywszy koniom jeno uzdy. Nie mieli czasu, by je osiodłać, starając się ubiec Waliego w wyścigu ku zagrodzie Disy.

Gdy się zbliżyli, konie zwolniły. Znajdowali się na wąskim trakcie pomiędzy drzewami, gdzie Wali zastąpił im drogę.

– Tu się zatrzymacie! – zakrzyknął. – Jakem ksiązę, rozkazuję wam się zatrzymać.

Konie przystanęły. Jeźdźcy byli uzbrojeni – jeden w miecz, dwóch kolejnych we włócznie – aliści Wali czuł pewność, że go nie zaatakują.

Ten z mieczem dobył broni i wymierzył ją w Waliego – był to Ageirr, ten sam, który pierwszy przekazał mu wieści o zaślubinach Adisli.

– Gdzież twa broń, ksiązę? Ach, no tak, tyś przecie Wali Bez Miecza, co hołubi paleniska i kuma się z niewolnikami, czyż nie? Jak niby zamierzasz nas powstrzymać? Tymi słowy, coś je podłapał wśród kobiet?

Dwóch jego kompanów zaśmiało się, choć nieco nerwowo. Wali był wszak księciem, a oni bardzo dobrze zdawali sobie sprawę, że któregoś dnia mógł zostać panem ich życia i śmierci.

Wali był zdesperowany.

– Zapłacę wam, tylko puśćcie mnie przodem. Przysięgam, że dostaniecie trochę grosza, jeśli to zrobicie.

Skąd miałby zdobyć te pieniądze, nie miał pojęcia. Może udałoby mu się sprzedać podarowany mu przez ojca hełm? Tyle że wpierw musiałyby go odebrać Bragiemu.

– Myśmy zaprzysiężeni obrońcy króla – dumnie odezwał się włócznik. – Za żadne skarby nie poniechamy wypełnienia jego rozkazów. – Popędził konia klusem do przodu.

Gdy mijał Waliego, ten rzucił się na jeźdźca, chwytając go za tunikę i ściągając z końskiego grzbietu. Rumak się spłoszył i pognał przed siebie, ciągnąc za sobą wodze. Pozostali dwaj wpili pięty w boki swych wierzchowców i popędzili je do przodu, objeżdżając parę szamocącą się na ziemi.

– Do zobaczenia w domu tej lafiryndy! – zakrzyknął mijający

ich Ageirr.

Wali skoczył na równe nogi w beznadziejnej rozpacz. Nieco obolały woj zrobił to samo, otrzępując się z kurzu.

– Niezgorszy cios, książę, z bronią czy bez, to ci muszę oddać bez dwóch zdań – pochwalił. Potem wbił wzrok w ziemię. – Przykro mi za to, co ma ją spotkać. Świetna to dziewczka.

– Próżne gadanie lepiej oszczędź dla konia – warknął Wali, odwracając się na pięcie, i pobiegł między drzewami ku siołu.

Gdy dotarł, Adisli, rzecz jasna, już nie było. Disa czekała w drzwiach. Jeszcze nigdy nie widział jej tak rozzłoszczonej.

– Cóżes uczynił najlepszego! – rzekła z wyrzutem.

Wali oblał się rumieńcem i poczuł się podle.

– Co z nią? Dokąd ją zabrali?

– Jest w hali Widłobrodego. Nawet włos nie spadł jej z głowy i tak już pewnie pozostanie, póki jej nie obwieszą. I jak zamierzasz temu zaradzić, chłopcze? Jak, ja się pytam?

Ciało Waliego przepelniała energia. Aż się palił, by gdzieś pójść, coś zrobić, położyć temu kres, atoli wiedział, że cokolwiek powie, zabrzmi nieprzekonująco.

– Zrobię to, czego żąda Widłobrody. Znajdę wilkoluda.

– Niby jak?

– Udam... Udam się na północ i będę się kręcił po traktach, póki mnie nie zaatakują.

Po raz pierwszy w życiu Wali ujrzał, jak oczy Disy napełniają się łzami.

– Ani mi się waż, ty beznadziejny głupcze. Inaczej was obydwoje trzeba będzie pochować.

– To pójdę na dwór Widłobrodego i z nim o nią zawalczę.

– Wyzwiesz Widłobrodego?! Człeka, co ubił pierwszego wroga, mając lat dwanaście, co zamordował więcej ludzi, niż ty w życiu na oczy widziałeś?! Wyzwiesz go i...

Otarła załzawione powieki. Bragi przyglądał się scenie spod drzewa, gdzie siedział w milczeniu. Już dawno postanowił, że najłatwiej będzie mu doglądać księcia, samemu przesiadując u Disy.

– Ty, starcze, ty z nim idź.

– Już wczoraj przekazano mi rozkaz, o pani. Chłopak ma iść sam.

– Wiedziałaś, a mimo to siedziałaś cicho, jak gdyby nigdy nie pijąc przy mym stole?

– Wiedziałem, że on ma wyruszyć. Nic mi nie było wiadomo o losie twej córki, klnę się na bogów.

Disa powściągnęła gniew.

– A użyczysz mu przynajmniej swego miecza? To najlepsze ostrze w całym królestwie.

– Z ust mi to pani wyjęłaś, już sam miałem zaproponować.

– W takim razie chodźcie – rzekła Disa. – Nie ma czasu do stracenia. Chodźcie do środka.

– Ja muszę już iść. Muszę znaleźć wilkoluda – gorączkował się Wali.

– A ja – zaczęła Disa – właśnie zamierzam ci w tym pomóc. Sprowadź Mamę Jodis, czeka nas wiele pracy.

11. ZAPROSZENIE

Stugębna plotka o ostatnich zjściach lotem błyskawicy obiegnęła niewielkie sioła, a ciekawość przyciągnęła tłum. Ludzie stłoczyli się w domu Disy tak ciasno, że musiała wypędzić niektórych na zewnątrz.

W oczekiwaniu na przybycie Jodis, Disa zdjęła sak z półki i jęła upychać w nim jadło – chleb, nieco sera, miód w garnuszku owiniętym na górze tkaniną – i masę innych rzeczy. Buzia jej się nie zamykała; płynął z niej potok słów, skierowanych tyleż do mówiącej, co do Waliego.

– Przyda ci się wikt, przynajmniej na początek drogi, i coś do rozpalenia ognia. Zapakuję ci też parę kawałków płótna i krwawnik na rany. Miód nie nadaje się do jedzenia; nim również możesz smarować wszelkie skaleczenia. Długie kłacze doda krzepy twojej krwi, a mięta pozwoli ci zachować czujność. To – rzekła, trzymając płaską buteleczkę – trzeba ci brać w małych ilościach, gdy będziesz dobrze ukryty i pewny, że w pobliżu nie ma wrogów. Ta mikstura pozwoli ci przespać białe noce, bez względu na twardość posłania, atoli potrzeba ci jeno kropli. Pięć kropli w szklanicy ulula każdego człeka do tak głębokiego snu, że nie da się go zbudzić przez cały dzień. Być może będziesz musiał przedsięwziąć i takie kroki, jeśli znajdziesz się w prawdziwych opalach. A tu masz tojad, na uśmierzenie bólu, i znów – tylko kropla. Dobrze... Co by tu jeszcze?

Gdy tak przeczesywała półki, wszedł Bragi, przynosząc miecz. Disa odebrała mu go bez słowa i położyła obok saka. Przez cały ten czas Wali palił się ze wstydu. Skazał Adislę na śmierć, gdyż myślał tylko o sobie, zapominając o niej.

– Tego – rzekła Mama Disa, otwierając torebkę z grzybami i suszonymi kwiatami – używają berserkowie. Zaparz to we wrzącej wodzie i wypij tak ciepło, jak tylko zdołasz przelknąć.

Wali już miał zaoponować, oświadczyć, że nie chce mieć nic wspólnego z magią berserków. Nie bardzo potrafił sobie wyobrazić sytuację, w której miałby czas ugotować cokolwiek przed walką, atoli

pomyślał, że lepiej brać, jak dają, i być wdzięcznym.

Jodis weszła do izby i mocno uderzyła go otwartą dłonią w potylicę.

– Słyszałam. Głupiś, księżę, i niech bogowie mają lud Horda w opiece, jeśli kiedyś zostaniesz jego królem. – Mama Jodis była krępa, dziarską kobietą, z ramionami jak szynki, przeto cios zabolął. Wali przyjął go jednak z pokorą. Znał ją od małego i przyznawał, że, w razie potrzeby, ma prawo trzepnąć go w ucho.

Kobiety wymieniły przeciągłe spojrzenia.

– Zaczynamy? – spytała Jodis.

Disa skinęła głową.

Przeszły na środek izby i przystąpiły do dzieła, dokładając do ognia, usuwając na boki kozy, kury, lawy i zydle, wypychając ciekawskich tam, gdzie najmniej wchodziłoby im w paradę.

Wniosły stół i ustawiły go tuż przy ogniu. Na nim postawiły skrzynię, uprzednio przepchnąwszy ją przez tabun gapiów. Potem Disa spuściła głowę, a włosy spłynęły jej na ramiona. Jodis złapała je w garść, związując z tyłu głowy w trzy tęgie koki. Waliego przeszedł dreszcz, wiedział bowiem, czym są – wisielczymi splotami wisiora martwego boga – symbolem Odyna, boga, którego znienawidził.

Poczynaniom kobiet towarzyszył szeptany komentarz, gdy ci, którzy widzieli, co się dzieje, na bieżąco przekazywali nowiny tym, którzy mogli zobaczyć co najwyżej plecy swych towarzyszy.

– Wiąże jej włosy.

– Robi się na ślubną Odyna.

– Jeśli sama się powiesi, może bóg poratuje dziewczynę.

– A juści, ten paskudnik chce, by ktoś zadyndał, ani chybi.

– To bóg wisielców, zaiste potężny!

– Nie pleć bzdur – śmierć Mamy Disy nie ocali dziewczyny.

Niektóre głosy niemal ekstatycznie wychwalały Odyna. Inne brzmiały ciszej i ganiły to, co widziały oczy. Co biedniejsi, ci, którzy mieli płonne pastwiska i nędzne domostwa, uważali, iż ludzka dola i niedola pozostają na łasce i niełasce bogów. Bardziej zamożni kmiecie, tudzież ci, którzy dostąpili udanych wypraw łupieskich, bardziej skłaniali się ku zdaniu, że wszystko zawdzięczają samym sobie i mniej ufności pokładali w boskich ingerencjach.

Jodis popchnęła skrzynię na przód stołu, a Disa usiadła na niej,

mając głowę nieznacznie wyżej od gapiów, a stopy tuż przy płomieniach. Jodis chwyciła Waliego za ramię i usadziła go na podłodze po drugiej stronie ognia, skąd spoglądał w górę, na Disę.

Wali omiółł wzrokiem oblicza widzów, wydłużone w blasku płomieni. Zupełnie jakby znalazł się w samym sercu jakiejś dziwnej leśnej przesieki – ludzie pochylali się nad nim niby powykręcane drzewa.

– Niechaj ci, co być tu nie muszą, wyjdą przed kolejną częścią. To potrwa aż do późnej nocy – uprzedziła Jodis, atoli nikt nie ruszył się z miejsca. Przepisnęła się przez tłum na tyły izby, zdjęła kociołek z półki, podniosła kamień służący za jego pokrywę i wytrząsnęła na dłoń coś, co wyglądało Waliemu na podpałkę.

Jodis rzuciła to coś w ogień. Zajął się, wydzielając kwaśnawy i duszący dym. Większość ze stojących najbliżej, włącznie z Walim, naciągnęła tuniki na usta i nosy, natomiast Disa głęboko zaciągnęła się dymem i zaintonowała dziwnym wysokim głosem.

*Wymawiam runę boga czarów,
Wyję runę powieszzonego boga.
Odyn, co stracił oko za wiedzę.
Odyn, czekający w obłędzie przy studni.*

Disa podniosła kawałek drewna i trzema ruchami noża coś – Wali nie widział, co – na nim wycięła. Położyła szczapę na kolanach i przyłożyła ostrze do wierzchu dłoni. Wciągnęła powietrze, zbierając się w sobie, a potem uczyniła te same trzy nacięcia na swej ręce, acz o wiele płynniej. Wali siedział zafascynowany; rozpoznał symbolizującą Odyna runę Ansuz. Sam potrafił wycinać runy i wiedział, że przypisywano im magiczne właściwości. Niegdyś zapytał Disę, czym one są, ale odpowiedziała mu jeno, iż królowie i woje czynili magię, wyrzynając runy na ciałach swych wrogów i tylko tyle trzeba mu wiedzieć.

Krew skapnęła z dłoni Disy na drewno. Rozmazała ją na znakach, które wcześniej wycięła, a potem rzuciła szczapę w ogień.

– Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku. Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku. Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku. Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem?

Przy palenisku.

Jodis podeszła do Disy z boku i zabandażowała jej rękę, choć ta zdawała się tego nie zauważać. Dalej intonowała, nieobecny spojrzaniem wpatrzona w pustkę. Wali miał wrażenie, że jej głos przytębiał jego poczucie czasu. Widział, jak Jodis dokłada do ognia szczapy i te dziwne zioła, a potem – jak stara Mama Sefa przynosi więcej i jednych, i drugich.

– Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku. Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku. – Disa raz po raz wypowiadała tę litanię słów, a Wali przyglądał się przez ogień i dym, jak lekko kołysze się na skrzyni. Czasem pogrążał się w myślach i przez chwilę wydawało mu się, że przestaje, atoli gdy przytomniał, ona wciąż intonowała. Jak długo już tu siedział? Nie miał pojęcia, choć nogi miał już zdrętwiałe, a głowę ocięzając.

Dym zasnuł zmysły Waliego. Dopadło go zmęczenie, ale nie pozwolono mu zasnąć. Za każdym razem, jak tylko zaczynał odpływać, Jodis lub Sefa potrząsały nim, tak samo, jak Disę. Stało się jasne, czemu siedziała akurat na skrzyni. Było to niewygodne i chwiejne siedzisko, na którym właściwie nie sposób było zmrużyć oka. Potem Wali zauważył, że w pokoju zrobiło się jaśniej i chłodniej. Niektórzy ludzie zdążyli już wyjść; w rzeczy samej – ulotniło się całkiem wielu. Oglądając się na drzwi, pomiarkował, że zupełnie przegapił krótką noc, a światło na dworze stanowiły pierwsze promyki jutrzeńki.

Wokół nich cały czas krzatali się kmiecie, przychodząc i odchodząc. Gawędzili, głośno deliberowali nad tym, jakim sposobem Disa popełnia swą sztukę, głowiąc się, jakie też zaklęcie nakłada na Waliego. Co poniektórzy mówili, że stara się uczynić go niewrażliwym na oręż, inni, że zamieni go w ptaka, by mógł przejrzeć każdy zakamarek ziemi w poszukiwaniu wilkoluda, jeszcze inni, że tak naprawdę cieszy się z tego, iż jej córka ma dołączyć do Odyna, i stara się przeto udaremnić poruczenie Waliego. Ten czy ów jał grać w kości, wtórzy chwycili za planszę Waliego do hnefatafla i zajęli się grą, znudzeni rytuałem, zalęknieni zarazem, że coś może im umknąć, gdyby poszli do domu. Dwóch młodzików jęło nawet przedrzeźniać Disę, powtarzając jej słowa durnowatymi wysokimi głosami. Jodis przepędziła ich pojedynczym machnięciem miotły. Przybyłe dość późno bogobojne kobiety z siół na obrzeżach weszły do środka i

dołączyły do inkantacji, z nadzieją uzyskania błogosławieństwa od boga, do którego zwracała się Disa.

– Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku. Kim jestem? Kobieta. Gdzie jestem? Przy palenisku.

Zaśpiew rozbrzmiewał bez ustanku. Na zewnątrz robiło się coraz jaśniej. Raz ciepło, raz zimno. Ludzie napływali i odpływali, niby fale przyboju. Jodis otrząsnęła Waliego ze snu, a potem Disę, sadzając ją stabilnie na jej chwiejnym podium. Potem dorzuciła do ognia więcej ziół.

– Kim jestem? Nie wiem. Gdzie jestem? W mroku. Kim jestem? Krukiem. Gdzie jestem? Na polu poległych. Kim jestem? Krukami. Gdzie jestem? Tam, kędy widzę.

Naprawdę to mówi?, zastanawiał się Wali. Podłoga jęła się chwiać, jakby był na łodzi. Powietrze zdawało się gęste i lepkie. Światło na zewnątrz na powrót zaczęło przygasać. Ani Wali, ani Disa nie spali już od trzech dni. Disa intonowała teraz łamiącym się, ledwie słyszalnym głosem.

Coś przebiło się przez zaduch myśli Waliego. Disa zakasłała i zabelkotała, potem dobyła z siebie krzyk, a jej ciałem jął wstrząsać gwałtowny spazm. Jodis i Sefa skoczyły co żywo do jej boków, przytrzymując na skrzyni. Ciało Disy zeszytywniało – zdawało się, że zaraz uniesie się z siedziska.

– Te szpile tak ostro kłują mą skórę – ozwała się Disa, ale mówiła w sposób, którego Wali nigdy wcześniej u niej nie słyszał. Powoli i spokojnie, wyższym głosem niż zwykle i z dziwnym akcentem.

Wali podniósł na nią wzrok. Nogi miał skamieniałe od siedzenia, a umysł niby głaz.

– Runa, którą zabrałam udręczonemu bogu – rzekła Disa drżącym głosem. Podobny do głosu dziecka, pomyślał Wali. Niektóre głoski zdawały się szumieć i szemrać niby morze opłukujące nadmorskie kamyki, inne zaś trzeszczały i dławiły się jak pies kością kurczaka.

Disa rzuciła się do tyłu i ciężko opadła na stół, a skrzynia poleciała w bok i grzmotnęła o ziemię. Ciało kobiety drgało konwulsyjnie; raptem drgawki ustały, a ona się rozluźniła. Jodis i Sefa puściły ją; stanęła na stole, rozglądając się po izbie. Temperatura we

wnętrzu chaty gwałtownie spadła, Wali poczuł, że zjeżyły mu się włoski na skórze. Oddech zamarzał, z ust buchały obłoki pary. W postawie Mamy Disy było coś do niej niepodobnego. Stała wyprostowana i dumna, niby królowa taksując otoczenie wielkopańskim wzrokiem. Ludzie się od niej odsunęli, dwoje mimowolnie wrzasnęło. U jej stóp uformował się nalot szronu. Wali był pewien, że jest świadkiem działania magii. I miał rację. Atoli nie miała już ona nic wspólnego z Disą.

12. WROGOWIE

Królowa czarownic wyczuła pierwszą śmierć, zupełnie jak ktoś ucinający sobie drzemkę na plaży, kiedy bez otwierania oczu nagle stwierdza, że słońce przesłoniła chmurka. Dalsze wypadki potoczyły się szybko – zapalono świece, by przebić grobowy mrok jaskiń, siostry odciągnięto od rytualnych cierpień, a chłopców wysłano na poszukiwanie zwłok.

Authun z malutkim Walim nie zdążył jeszcze powrócić do domu z wyprawy pod Ścianę, gdy Gullweig namierzyła pierwsze ciało.

Zwłoki dziewczynki spoczywały w niższych tunelach, obok mokrych kamieni, opodal głębokiej sadzawki, gdzie przeprowadzano rytuał wodnej runy. Powieszono; szorstki sznur przerzucony przez sterczącą skałę, potrójny węzeł zaciśnięty wokół szyi. Królowa czarownic dotknęła zimnych warg, rozciągniętych w ponurym uśmiechu, a następnie sznura. Wiedziała, co oznacza ten splot – trzy ciasno nachodzące na siebie trójkąty – wisior martwego pana, znak boga Odyna, berserka, wisielca, topielca, mędrca i szaleńca, boga, któremu poświęciła swe życie.

Królowa dotknęła bieli gardła dziewczynki; jej wyostrzone magią zmysły spijały echo śmierci dziecka. Sińce wywoływały u niej skojarzenie z wybornym pigmentem, jeżynami i ciemnym winem. Ujęła w palce włosy i powąchała. Na odór śmierci składały się wypieczony chleb, popiół, posłanie ze słomy i suszone kwiaty. Dziewczynka wróciła do domu. Sama zadała sobie śmierć, Gullweig była tego pewna.

Martwe dziecko nie czuło się wcześniej nieszczęśliwe. Gdy po raz pierwszy weszło do jaskiń, było przerażone, atoli obecność królowej – która jako dwunastolatka sama była jeno dzieckiem – dodawała mu otuchy, a czarownice dotknęły umysłu dziewczynki, dając jej ukojenie. Ból i cierpienie rytuałów nie przychodziły jej łatwo, ale przetrwała; widziała w tym cel, czuła, jak jej umysł rozszerza się wraz ze stopniową utratą zmysłów.

Miała zostać spadkobierczynią runy wody, nosicielką znaczenia

tego pradawnego symbolu, podtrzymując go przy życiu i sama będąc przez niego podtrzymywaną. Do tego zadania przysposobiono dwie dziewczyny. Dopiero po śmierci starej czarownicy, ich mentorki, miała zapaść decyzja, która z nich obejmie pieczę nad runą, a która uczestniczyć będzie w pomniejszych rytuałach – pomagając, przynosząc i dźwigając. A teraz została wiedźmom tylko jedna dziedziczka tej magii. Gdyby i jej przytrafiło się coś złego, runa przestałaby się przejawiać w świecie fizycznym, tym samym osłabiając moc sióstr.

W magicznym symptomie śmierci dziewczyny Gullweig wyczuwała coś jeszcze, jakby uczucie ciężkości – ciężkości, którą czuje tonący, gdy jego ubrania nasiąkają wodą, ciężkości zstępującego prądu, gdy wysysa on siłę z członków płynącego. Czarownica czuła magiczną obecność, wypływającą z runy, której dziewczyna miała się nauczyć. Ta śmierć nie powinna była się wydarzyć. Nie pierwszy raz czarownice umierały, ale wcześniej ich odejście powodowały prozaiczne cieleśne przypadłości – zamarzały, dusiły się lub topiły, gdy rytuał wymykał się spod kontroli. Przez wiele pokoleń sprawowały całkowitą władzę nad runami. Aż do tego dnia.

Czarownica nachyliła się nad ciałem i musnęła językiem martwy policzek. Jego smak przywodził na myśl morskie odmęty, pogrążone w mroku pustki. Gullweig poczuła wciągające fale, szarpanie macek ślepych morskich potworów, ciężar toni zamykającej się nad nią. Zdawały się mówić: „Zejdź niżej. Zanurkuj, strać z oczu światło i zatoń w gęstym mroku”. Przeszedł ją dreszcz. Nastąpią kolejne zgony, była tego tak pewna, jak ludzie o mniejszej wrażliwości tego, że po każdej fali nadciąga następna.

Kolejne lata dowiodły jej racji. Niekiedy w okresie od jednego lata do kolejnego nie zdarzały się żadne zgony, innymi razy – aż dwa.

Świadomość skonu dziewcząt docierała do królowej czarownic na różne sposoby. Jedna śmierć przejawiała się szarpnięciem w umyśle, jak wtedy, gdy człek nagle budzi się z płytkiej drzemki. Inna nachodziła ją jako uczucie niepokoju spowodowanego snem, który wcale się nie kończył, gdy się budziła. Jeszcze inna objawiała się w postaci posmaku dziegciu gdzieś z tyłu podniebienia, mdłości, których nie potrafiła się pozbyć, póki nie ujrzała zwłok.

Gullweig brała ich blade ciała w ramiona, dotykała sińców na

szyjach, wkładała palce między napuchnięte wargi, muskała połamane członki i czuła uciążliwy ucisk w głowie.

Loki mówił prawdę, pomyślała. Odyn rzeczywiście działał na jej szkodę, uśmiercając siostry. Jednego była pewna – to zbierane ukradkiem żniwo stanowiło jeno przygrywkę. Odyn nie poprzestanie li tylko na jednej czy dwóch ofiarach, skrytym podbieraniu jej mocy kawałek po kawałeczku. Nadchodził, ani chybi, we własnej osobie i potędzie.

Minęło blisko szesnaście lat, nim go odnalazła. To jej nie dziwiło. Skoro bóg nie znał sam siebie, to rozpoznanie go przez zwykłego śmiertelnika tym bardziej wymagało wysiłku. Jej jednak się udało, dzięki starym i wypróbowanym sposobom – medytacji, rytuałom i cierpieniu. Zrazu dostrzegała go w umyśle jedynie przelotnie, niby przeblysłk rybiej łuski w wodzie, który znika niemal tak szybko, jak się pojawia. Atoli mijały tygodnie i miesiące, a ona, śpiąc i czuwając, na jawie i we śnie, w końcu go wytropiła, wpędzając się w wywołane dotkliwym bólem transy.

Pewnego razu zobaczyła samą siebie blakającą się pod bezgwiezdnym niebem północnego wieczoru. Nagle ujrzała parę bladoniebieskich oczu spozierających na nią z pokrytego śniegiem pola, tak przerażających, że aż wyrwały ją z ekstazy. Posłyszała wycie samotnego wilka. To był on, bóg, ukazany jeno w ulotnej wizji. Więcej jednak jej nie było trzeba. Trafiała na jego trop.

Nie widziała jej, i ledwie mogła ją wyczuć. Tę bladą kobietę z oszpeconym obliczem, przyglądającą się jej podczas medytacji. Wiedziała atoli, że obok niej samej kroczyła widmowa postać, nienawidząca jej, ukryta tuż za kurtyną wzroku. To ona nią kierowała. Królowa wiedziała jeno tyle, że coś towarzyszyło jej podczas tych medytacji, zdając się wiedzieć, co ją skrzywdzi. Wyczuwała podekscytowanie tego czegoś, gdy jej oczy ujrzały Odyna. Nie uznała tej obecności za szczególnie niepokojącą. Wszak całe życie przebywała w otoczeniu dziwnych bytów, twarzy migoczących w blasku ognia, cieni na skałach, które, jak się zdawało, taksowały ją drapieżnym wzrokiem. We śnie czy na jawie, zawsze w pobliżu duszących duchów mroku.

To, co za nią teraz podążało, było przynajmniej pożyteczne. Im większą okazywało jej uwagę, tym bardziej zbliżała się do

największego krzywdziciela ze wszystkich – Odyna.

Rok po tym, jak zobaczyła oczy patrzące na nią ze śniegu, jej niewidoczny i nienawidzący towarzysz przywiódł ją do Disy. I zarazem do niego, Odyna.

Królowa czarownic omal nie zlekceważyła nawoływań Disy, tak bardzo zaprzętały ją poszukiwania wrażego boga. Posłyszała je dopiero czwartego dnia wisielczej próby, gdy jej ciało przebijały grube szpile połączone naprężonym powrozem z kawałkiem nawisu nad usypiskiem, w stromej jaskini, blisko powierzchni.

Słowa Disy doleciały do niej w smudze dymu niesionej w zimnym powietrzu od szczytu Ściany. Błagania wiejskich guślarek i wieszczek nie zdarzały się często – te kobiety znały ryzyko ściągania na siebie uwagi czarownic – lecz gdy już nadchodziły, były cokolwiek niepokojące. Gullweig miała już zbyć to wołanie, gdy nagle poczuła zainteresowanie nim widma u jej boku. Tam, zdawało się, działa się krzywda. A gdzie ona, tam może być i sam Odyn.

Czarownica pozwoliła, by jej umysł uniósł się nad szarą skałą, by zmieszał się z dymem i tą niby-drogą, zaniósł ją do swego źródła.

Disa nabrała powietrza, wdychając przesycony ziołami ogień, a wraz z nim jaźń czarownicy. Zatrzęsła się i zadrgała, spadając ze skrzyni. Potem wszystko utonęło w gęstej mgłę; poczuła się okropnie senna i miała wrażenie, że przestała panować nad ciałem. W jej głowie grasowało coś dziwnego.

Patrząc oczami guślarki, Gullweig zobaczyła przed sobą izbę wypełnioną twarzami wieśniaków gapiących się na nią wielkimi oczami. U swych stóp ujrzała młodzieńca. Poznała go od razu – brat wilka, składnik, uświęcona ofiara.

Atoli był tam ktoś jeszcze. Z boku zoczyła kobietę, którą pamiętała jak przez mgłę, piękną, acz ze straszliwie poparzoną twarzą. A przed nią kogoś innego, niematerialnego i widmowego w blasku ognia, boga. Uderzającego kościaną pałeczką w płytki bęben, świdrującego spojrzeniem, z czwórgraniastym niebieskim kapeluszem na głowie. Na bębnie wymalowano runy, a gdy bóg weń uderzał, symbole zdawały się odpadać, obsypywać się na podłogę, zbierać u jego stóp i znikać, niby płatki śniegu na cieplej jesiennej ziemi.

– Lord Odyn – odezwała się czarownica.

Wiedziała dokładnie, gdzie jest – w tej przestrzeni poza

przestrzenia, efemerycznej spójni urzeczywistnianej jeno przez rytuał, kędy czarownicy i duchy z odludnych i odległych miejsc mogą pozwolić swym jaźniom się zebrać. Cieleśne postaci kobiety z poparzoną twarzą i czarownika z bębniem mogły znajdować się o wiele mil dalej, lecz ich magiczne formy były właśnie tutaj.

Ozspecona kobieta wyciągnęła ku niej rękę i Gullweig chwyciła ją, jakby szukając pocieszenia.

A bóg do niej przemówił, językiem dziwnym, podobnie jak miano, którym ją nazwał, atoli rozumiała go doskonale.

– Jabbmeaaakka, wilk jest nasz. Poznaliśmy twe zamiary. Spełną one na niczym.

Zawtórował mu pomruk aprobaty, aliści nie dobył się on z ust zebranych w izbie ludzi. Inni z nim współpracują, uznają. Obecność boga ją przerażała, jednak pomyślała, że nie stoi na straconej pozycji. Jeśli nie pomiarkował on jeszcze swej prawdziwej tożsamości, to być może nie osiągnął jeszcze pełni swej potęgi. A to oznaczało, że można go było pokonać magią albo chociaż zmusić do ucieczki.

Posiała swój umysł, niby technię, ku temu niebieskookiemu mężczyźnie; trujące wyziewy smrodu zgnilizny, pleśni, robaków i tych pełzaczy ziemi buchnęły ku niemu, spowijając swym oparem. Nie był to nawet czar, jeno rozwarcie świadomości, raptem przebłysk miejsc, w których była, i widzianych tam rzeczy; dość, by usmażyć mózg każdego, kto nie chodził choć po niektórych z tych ścieżek.

Coś jednak do niej powróciło – rytm, natarczywe bębnienie co mąciło jej myśli, wzbudzając ochotę na sen. Posłyszała dziwny ochrypły śpiew, poczuła podmuch zimna, zobaczyła białe pola śniegu i przemierzające je stworzenia, cienkie niby runy. I zapragnęła wyjść na ten mróz.

Jednakże Gullweig nie była wieszczką od mikstur i inkantacji, wioskową guślarką czy prorokiem w łachmanach. Była królową czarownic ze Ściany Trolli, panią piskliwych run, istotą zrodzoną z magii i dla niej wychowaną. Nie wyszła na ziąb; gdy jej umysł znalazł się na krawędzi nieszczęścia, runa uzewnętrzniła się w niej, ta podobna grotowi włócznie, której żelazny szpic załśnił, gdy przecięła bezchmurny błękit nieba.

Bębnienie przeszło w szaleńczy łomot, podniesione głosy jęły krzyczeć. Poczuła posmak w ustach, popiół i zsiadłe mleko, zapach

stosów pogrzebowych, a gdy spojrzała ponownie, niebieskookiego już nie było. Czyżby go zabiła? W to akurat wątpiła. Lecz wokół niego znajdowali się inni, ona zaś wyczula, że w wyniku jej ataku doznali uszczerbku.

Odyn zdał się jej słaby, daleki od pełni swej potęgi. Nie mógł tedy jeszcze przeciw niej wystąpić. Co więc robił? Dziewczyna z oszpeconą twarzą, która siedziała u jej boku w wisielczej jaskini, pogłaskała ją po rękę i odpowiedź natychmiast spłynęła na Gullweig. Odyn nie posiadał jeszcze dość mocy, by bezpośrednio uderzyć na którąś z czarownic, zwrócił się przeto ku pomniejszonym celom – dziewczynom przygotowywanym do dziedziczenia run. Gdyby wszystkie zginęły, nie miałby kto kultywować tradycji siostr. Prędzej czy później Gullweig zostałaby sama, w odosobnieniu. I podczas gdy jego potęga rosłaby z dnia na dzień, jej moc coraz bardziej by słabła.

Zrozumiała, że nadszedł czas, by przyspieszyć działanie magii. Wilczy chłopiec był już gotów. Teraz musiał jeno spotkać się ze swą uświęconą ofiarą – księciem.

Czymże jest magia? Disa chciała zetknąć wilkoluda i księcia ze sobą, zawezwała przeto czarownicę. A ta uznała, że przyszedł czas, by ukształtować swego wilkołaka, co z kolei oznaczało, iż należało obu ku sobie sprowadzić. Przypadek? Zbieg okoliczności wywołany rytuałem Disy? A może raczej przejaw o wiele potężniejszej magii, która samoistnie pracowała nad tym w głębokim umyśle czarownicy, poza progiem świadomości, bez wiedzy Gullweig? Czy też stało się tak za sprawą najpotężniejszej magii ze wszystkich – tej tkanej przez Norny?

Niemniej jednak, pragnienie Gullweig było teraz zgodne z życzeniami guślarki i znalazło ujście w postaci czaru. Za pośrednictwem Disy czarownica wyciągnęła rękę, by dotknąć Waliego.

*

Wali zmusił się, by otworzyć ciężkie powieki. Ujrzał, jak ciałem Disy ponownie wstrząsają konwulsje. Kobieta odkaszlnęła i zatrzęsła się, zadygotała i zamruczała. Potem osunęła się na podłogę, przykucając na wprost Waliego. Wychyliła się, obejmując dłońmi jego głowę. Wali spojrział jej w oczy i poczuł niepokój. Wiedział, że to nie Disa na niego patrzy, lecz coś obcego. Czymkolwiek było, wiało od

tego chłodem. Wali poczuł, jak ręce kobiety mrozą mu twarz.

Czarownica, zwisając ze skały udreki, starała się rzucić czar, atoli umysł Disy, silnie umocowany w codziennej rzeczywistości, nie nadawał się jako przekaźnik jej magii. Jażn guślarki trzeba było gdzieś wysłać, do szczętu odrzec ją z typowo ziemskiej świadomości, co pozwoliłoby Gullweig skorzystać z Disy jako medium.

Wali spojrział w oczy matki Adisli. Czuł jakiś zapach. Coś się paliło. Disa, pomiarkował, ukradkiem wetknęła rąbek spódnicy w ogień, starając się uniknąć ujawnienia jej prawdziwej natury tak długo, jak się dało.

Tkanina się zajęła, a izbę wypełniły światło, ruch i wrzawa. Jodis odciągnęła guślarkę od ognia, zaś ludzie otoczyli ją, mówiąc po spódnicy, by ugasić płomień.

Atoli Disa opędzała się od nich jedną ręką, drugą wyciągając ku Waliemu i sycząc coś pod nosem. Dwóch mężczyzn ją przewróciło, ktoś inny oblał wodą. Jednak ona wciąż nie odwracała wzroku od księcia.

Chłopak poczuł, jak do głowy napływa mu chłód, wzbierające uczucie wilgoci i mrok. Upadł do tyłu. Coś w niego wnikało, lepkie wijące się coś, czego nie można wykrztusić; miał wrażenie, jakby w gardle zaległa się oślizła ropucha. Czuł, że jedyny sposób, by pozbyć się tego okropnego uczucia, to wstać, odejść. Ogarniało go zmęczenie, choć wcale nie był senny. Zerwał się na równe nogi.

Współczucie dla Disy wydawało się czymś na końcu języka, czymś znanym, acz odległym, ukrytym pod powłoką mdłości, które teraz odczuwał. Musiał wyruszyć, wiedział to. Ogarnęło go dziwne uczucie, podobne do frustracji z powodu uwięzienia w domu przez długą zamięć śnieżną – bardzo chciałoby się już wyjść, choć wiadomo, że nie sposób – acz po wielokroć wzmożone.

Poszedł na tyły izby, gdzie Bragi powiesił miecz obok podróznego saka. Chwycił obie rzeczy i wyszedł. Nikt nie poszedł za nim; wszyscy zajmowali się Disą lub przyglądali się, jak inni jej pomagają.

Na dworze panował długi zmierzch północnego lata. Niebo miało barwę bladego srebra, a na nim wisiał wielki księżyc w towarzystwie pojedynczej jasnej gwiazdy. Wali zauważył, że pełnia już minęła. Miał przeto mniej niż miesiąc, by ocalić Adisłę.

Wielka wrona, machając potężnymi skrzydłami, przeleciała z drzewa na drzewo. Ciało młodzieńca jakby zareagowało na ten ruch. Niemal nieprzytomny ze zmęczenia, bezwiednie zaczął iść. Tylko marsz naprzód wydawał się tłumić mdłości. Wali pojął, że zmierza na wschód wzdłuż brzegu fiordu. Potem w ogóle zapomniał, że gdzieś idzie.

Poruszał się machinalnie, nieprzytomnie i bez planu, obrawszy drogę prowadzącą z dala od wioski, ledwie mgliście świadomy otoczenia. Jego umysł pograżył się w rozmyślaniach o Adisli, o Disie, o zimnych oczach tego czegoś, co przez nią patrzyło, a Wali ledwie zauważał, gdzie się znajduje, póki się nie zbudził.

Wstał, strząsnął z siebie rosę i rozejrzał się wokoło. Zauważył wgniecenie w trawie. Najwyraźniej tam właśnie spał. I to zapewne przez cały dzień, bo znów zmierzchało. Sprawdził sak i miecz, a potem spojrzął przed siebie. Hen daleko horyzont przecinały góry – a on wiedział, że właśnie tam powinien się udać. Wciąż było mu niedobrze, więc pomyślał, że daruje sobie jedzenie dopóty, dopóki, prac wytrwale przed siebie, nie odzyska wilkoluda.

Znalazł się wysoko w górze, nad doliną, na skraju stromego zbocza, które kilka metrów od miejsca, gdzie się obudził, opadało urwiskiem w dół. Podszedł do krawędzi i wyjrzał. Pod nim obozowało dwóch jeźdźców. Zdążyli już ułożyć koce pod olchą o rozłożystej koronie i rozpalić niewielkie ognisko. Sposobią się do snu, uznał, wykorzystując naturalną osłonę.

Jednym z nich był posłaniec Authuna, Hogni. Wali podniósł wzrok ku górom mającym w oddali. Dosiadając konia, dotarłby tam dwa razy szybciej. Niewyraźnie wyczuwał, że pozostaje pod wpływem zaklęcia, i zastanawiał się, czy to dlatego tak nagle odzyskał trzeźwość umysłu. Czy ten czar, czy też to coś lub ktoś, co miał nad nim władzę, domagał się, by Wali ukradł konia i popędził go naprzód?

Mężczyźni go nie zauważyli. Waliemu przyszło do głowy, żeby zwyczajnie zejść w dół i nakazać jeźdźcom, by oddali mu konie. W końcu byli wasalami jego ojca, tym samym winnymi posłuszeństwo jego dziedzicowi. Atoli Authun rozkazał, by Wali wykazał się, samotnie mierząc się z wyznaczonym mu zadaniem. Czy więc zgodzą się oddać mu wierzchowce? A co ich niby powstrzymało przed zabiciem go na miejscu, jeśli tylko mieli takie widzimisie? W

królewskim rodzie nie brakło takich, czy to kuzynów, czy wujów, którzy rościli sobie prawo do tronu Authuna. Jeśli któryś z tych mężczyzn im sprzyja, pomyślał Wali, to może przebić mnie włócznią i jak gdyby nigdy nic powrócić do domu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Jego ręka odruchowo powędrowała ku mieczowi. Potem położył się na ziemi i czekał, aż mężczyźni zasną.

13. LUDZIE KRÓLA

Godzinę po tym, jak mężczyźni ułożyli się do snu, Wali uznał, że może bezpiecznie się poruszyć. Panował mrok, drzazga nocy ledwie przebijała długi dzień północnego lata. Jasny okrągły księżyc, pomijając skrawek ciemnej tarczy po prawej stronie, rozświetlał niebo przetykane lśniącymi gwiazdami. Wali wyobrażał go sobie jako oko śpiącego boga. Nim skurczy się do nicości i ponownie powróci w pełnej krasie, Adisla umrze. Chyba, że mu się powiedzie.

A zadanie, przed którym stanął, do łatwych nie należało. Musiał, nie budząc ich, ukrąść śpiącym mężczyznom choć jedno siodło i uzdę, a potem przedostać się w pobliże koni. Je akurat nietrudno będzie schwytać; odpoczywający podróżni zawsze pętali nogi swym wierzchowcom, przywiązując przednią do tylnej, co uniemożliwiała koniom chód szybszy niż stęp. Wiedział jednak dobrze, że zwierzę mogło zaprotestować – i to głośno – przeciwko siodłaniu go przez nieznanego jeźdźca.

Zszedł po zboczach tak cicho, jak tylko się dało. Okolica była nieosłonięta, nie zapewniając kryjówek, a jaskrawy księżyc zalewał Walięgo żywym światłem. Pozostawało mieć nadzieję, że mężczyźni się nie zbudzą.

Gdy Wali podszedł bliżej, rozpoznał drugiego śpiącego – Orriego, jednego z wasali ojca, którego widywał podczas rzadkich wizyt na dworze Authuna. Umysł chłopaka powoli otrząsał się ze skutków wywołanych zmęczeniem i dymem, którego się nawdychał. Dlaczego ci ludzie wyprawili się łądem? Wszak było lato. Kupcy, chcąc uniknąć piratów, odbywali czasem podróże drogą lądową, podobnie pasterze i ludzie, których obowiązki zmuszały do podjęcia wyprawy, a nie stać ich było na skorzystanie z łodzi. Lecz niemal wszyscy, mający inny wybór, przedkładali łódź nad konia czy własne nogi. Po łądzie dawało się podróżować szybciej niż wodą tylko wtedy, gdy rzeki i jeziora skuwał lód. Trzeba być niespełna rozumu lub pod wpływem czarów, by iść, gdy można płynąć.

Zakradł się wokół dogasającego ogniska i znalazł siodło wraz z uzdą. Nigdy wcześniej nie zwracał uwagi na to, ile żelastwa było na tych przedmiotach, ani jaki hałas mogą uczynić poruszone. Brzęczały i trzeszczały tak donośnie, że zdawały się bardziej jakimś instrumentem niż częścią końskiego rzędu. Pomyślał, że prawdziwemu złodziejowi o wiele łatwiej byłoby wprawdzie zabić śpiących wędrowców, a dopiero potem dobrać się do ich chudoby. Z wielką ostrożnością wycofał się w pobliże pasących się koni.

Wierzchowce były dobrze ułożone, przeto bez problemu podszedł do jednego z nich, krępego i krzepkiego zwierzęcia, które zdawało się gotowe do dłuższej jazdy. Osiodłał je możliwie najszybciej, kątem oka bacząc na śpiących mężczyzn. Koń nie wydał żadnego dźwięku, oprócz krótkiego, oskarżycielskiego parsknięcia, gdy Wali zacieśniał popręg. Potem pochylił się, by odwiązać linę łączącą nogi wierzchowca po lewej stronie. Gdy wstał, poczuł na ramieniu czyjąś rękę.

– Skradasz się tak, że można cię wziąć za wilkoluda, książę.

Odwrócił się gwałtownie i ujrzał przed sobą wyszczerzoną w uśmiechu twarz Hogniego. Przez chwilę zapomniał języka w gębie.

Mężczyzna przerwał milczenie chichotem, wołając:

– Orri, przynieś no coś do picia księciu Waliemu. Po tak długiej przechadzce jak nic zaschło mu w gardle.

Zawezwany, rozrzuciwszy żar ogniska patykiem i roznieciwszy je na nowo, pomachał ku nim i podniósł z ziemi bukłak na wino. Waliego na powrót naszły mdłości, a posmak dymnych ziół Disy znowu zagościł w gardle. Wprost rozpaczliwie pragnął znaleźć się daleko stąd. Ogarnęło go coś więcej niż tylko naturalna chęć podjęcia misji. Opanował się raptem na tyle, by nie pobiec na złamanie karku ku północy. Miał już pewność, że znajdował się pod wpływem zaklęcia.

– Wina mi nie trzeba. Wezmę jeno tego konia – rzeki Wali.

– Spokojnie, książę. Mam dla ciebie dobre wieści: twój ojciec wcale nie domaga się, byś zabił choć jednego wilkoluda.

– Na dworze Widłobrodego twierdziłeś co innego.

– To prawda. Jednak to, co mówi się na dworze, nie zawsze odpowiada temu, co robi się na zewnątrz.

– Nie bardzo rozumiem.

– To był podstęp.

– Nazwijmy rzecz po imieniu: kłamstwo. A mężczyźni kłamać nie przystoi. To takie... niemęskie. – Waliemu kręciło się w głowie. Pragnienie, by odejść, stawało się przytłaczające.

– Przekazywałem posłanie, a z nim akurat nie wysłał mnie twój ojciec, jeno twa matka, królowa Yrsa. Przeto zaiste jest niemęskim, pochodzącym wszak od kobiety.

Wali skoncentrował wzrok na twarzy Hogniego, starając się opanować również myśli.

– A od kiedy to moja matka zajmuje się sprawami ojca?

– Będzie już z jakieś cztery lata. – Przetąpił z nogi na nogę i dodał, jakby w obawie, że trawa go posłyszcy i rozniesie tajemne nowiny wzdłuż i wszerz doliny. – Twój ojciec niedomaga.

– A konkretnie? – Serce Waliego zabiło mocniej. Czyżby miał niebawem odziedziczyć tron królestwa? Jeśli tak, to pośle tych mężów z powrotem do Widłobrodego z żądaniem, że ten ma bez zwłoki uwolnić Adisłę, albo przed nastaniem zimy ujrzy u swych brzegów langskipy ludu Horda.

Hogni nie odpowiedział.

– Cokolwiek śmiertelnie? – Wali czuł w ustach silny posmak ziół i paskudne łaskotanie w gardle.

– Raczej nie.

– Szaleństwo?

I znów żadnej odpowiedzi. A zatem – szaleństwo. Do uszu Waliego już wcześniej dotarły plotki, ale miał je za zwykle bajędy rozgłaszane przez ludność Rogalandu, pozwalające łatwiej znosić bliskość wojowniczego sąsiada. Podobne opowieści krążyły o każdym królu, wystarczyło zapytać byle przekupkę.

Wali zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

– Czego się więc ode mnie wymaga? Jakże mam uczynić zadość życzeniom mej matki?

– Wróć do domu, na dwór. Nic więcej.

– Wystarczyło, żeby po mnie posłała.

– Ten sposób wzbudza najmniej podejrzeń.

– Podejrzeń?

– Podjęto pewne kroki, o których nie wolno mi prawić. To królowej rzeczą jest rozmówić się z tobą. Pół dnia drogi na zachód stąd czeka na nas okręt. Nim zabierzemy cię do domu.

Wali skinął głową. Wciąż chciał konia, atoli wiedział, że zyska go, robiąc dobrą minę do złej gry i udając posłuszeństwo. Czyli stosując niemęski podstęp.

– Zgoda. Z chęcią do was przystanę. A póki co, pozwólcie, że zasiądę przy waszym ognisku i przez czas jakiś z wami popiję.

Spoczął przy ogniu, a nowi druhowie podali mu resztkę pieczonego królika i skibkę razowego chleba. Wciąż przewracało mu się w żołądku, atoli wmusił w siebie jedzenie i zdusił w sobie grzeczne słowa – owo „dziękuję”, które Disa tak uparcie wbijała mu do głowy. Wdzięczność była dobra dla kmieci, nie dla książąt. Wiedział doskonale, że królom należy oddać, co królewskie, że takie rzeczy należą im się z racji prawa. A on wszak pewnego dnia będzie rządził tymi ludźmi.

Jedli więc. Zachowanie i zwyczaje tych mężczyzn zdawały się Waliemu nieco, egzotyczne. Wychowano go pośród Rygirów, trochę dziwił go przeto język kompanów. Na przykład, choć wiedział, że Horda na kociołek mówią „ciepły kubek”, dziwnie było słyszeć tę nazwę wypowiedaną tak, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem, jakby to coś nie mogło się nazywać inaczej. Gdy towarzysze skończyli się posilać, zacerpnęli po szczypcie soli, splunęli i wysypali ją na ziemię, mówiąc: „Na oczy Lokiego”.

Te słowa też wydały się Waliemu cokolwiek kuriozalne. Wszak Loki był najbardziej fascynującym z bogów. Przebiegłym, władnym okpić resztę. A Wali wciąż uwielbiał słuchać opowieści o jego przemyślności. Uważał za poniekąd zabawne, że Loki zabił pięknołicego Baldra tylko z tego powodu – jak się Waliemu zdawało – iż ten chodzący ideał mu się sprzykrzył. Ongiś, w dzieciństwie, Bragi sprzął księcia na kwaśne jabłko, gdy ten zaśmiał się, jak ten spryciarz Loki zmusił Baldra do pozostania w zaświatach po śmierci – bo zwyczajnie nie chciał za nim zapłakać¹⁷.

¹⁷Loki nie zabił Baldra własnoręcznie, ale dowiedziawszy się o tym, że krzywdę może mu wyrządzić wyłącznie jemiota, nakłonił ślepego Höda, by przebił ulubieńca bogów oszczepem (lub strzałą); po śmierci Baldra, Hermod (syn Odyna) udał się do Nilfheimu (królestwa Hel), by prosić boginię o wypuszczenie Baldra z podziemia. Uzyskał zgodę, pod warunkiem jednak że wszystko, co żywe i martwe, będzie go opłakiwać. Z zarządzonej przez bogów powszechnej żałoby wyłamał się tylko Loki (pod postacią olbrzymki Thökk).

– Skoro tak lubisz tego huncwota, to może chciałbyś dzielić z nim udreki, co? Za przewiny bogowie przywiązali go do skały. Mam ci zrobić to samo? – zapytał wonczas Bragi.

Potem Disa przytuliła go i pocieszyła.

– Nie z wszystkiego, co śmieszne, należy się śmiać – upomniwała go. – A przynajmniej nie w głos.

A właśnie, ciekawe, co z Disą. Nie mógł uwierzyć, że nie został, by jej pomóc, lecz żywił nadzieję, że była w dobrym zdrowiu. Czy jednak rytuał był tego wart? To pytanie jakby wywietrzało jednak z jego umysłu, bo zaraz poczuł potrzebę, by obejrzeć się za siebie, ku północy, w stronę, w którą zmierzał, gdzie instynktownie chciał dotrzeć. Musiał tam iść. Atoli wprawdzie trzeba mu było skupić się na grze pozorów, którą prowadził, by jego towarzysze nabrali doń zaufania.

– Jak mnie tu znaleźliście? – zapytał Orriego.

Ten się roześmiał.

– Latem na północ prowadzi tylko jedna droga, i to rzadko uczęszczana, bo kupcy wolą morze. W zimie zaś, gdy zamarzają rzeki, a ludziska wydeptują setki ścieżek w tę stronę, ten twój wilkolud byłby o wiele trudniejszy do wytropienia. Ale w lecie masz panie jedną drogę, jedną sposobność na zasadzkę. Wędrowców jak na lekarstwo. O wiele trudniej ich uniknąć niż spotkać.

– Skoro tak łatwo znaleźć wilkoludzi, aż dziw bierze, że lordowi Authunowi jeszcze się nie udało.

Hogni nonszalancko machnął ręką.

– Król ma inne zmartwienia.

Wali nic już więcej nie powiedział. Wiedział, że letnia pora sprzyja poszukiwaniom wilkoluda. Renifery były dobrze odżywione i zwawe, jak zresztą wszystkie zwierzęta, a ich tropem nie tak łatwo było nadażyć. Polowanie bez łuku i wnyków – jak ponoć robili wilkoludzie – nastęczało wielu problemów. Powszechnie wiadomo było, iż największe zagrożenie stanowili oni dla podróżujących w lecie – to jeden z powodów, dla których tak długo uchodziło im to bezkarnie. Przy dogodnej pogodzie królowie wyprawiali się na łodziach. Jeno biedacy, głupcy i wyrzutkowie padali ich ofiarą.

Nagle ogarnęły go nudności, jak gdyby ta rzekomo tkwiąca w gardle ropucha raptem ożyła i jęła wierzczać, by wydostać się na zewnątrz. Odłożył kość, którą skubał bez przekonania, starając się

powstrzymać wymioty. Ledwie się udało.

– Coś bładyś, panie. Czyżby nasz posiłek ci nie służył? – indagował Orri.

Wali się opanował.

– Ruszemy ku ojczyźnie już teraz – rzekł.

– Ależ myśmy nawet nie spali, panie.

– Ale ja tak – odparł Wali, głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Pojedziemy bez zwłoki.

Obaj mężczyźni poniechali dalszych narzekań, wstali i założyli rzędy na konie. Gdy to robili, Wali z trudem powstrzymywał ogarniające go mdłości i dla niepoznaki zarzucał ich kolejnymi pytaniami o Hordaland. Czy to prawda, że ojciec trzyma wilki na dworze niby domowe zwierzęta? Akurat wiedział, że to nieprawda. Czy handlarze ze wschodu wciąż odwiedzają nasze ojczyste ziemie? Czy niewiasty wciąż są urodziwe?

– Wieść gminna niesie, panie, że tobie w głowie jeno tamta wieśniaczka.

Wali zmusił się do śmiechu. Udało mu się skierować rozmowę na właściwe tory.

– Ona jest użytecznym pionkiem w mojej strategii wobec Widłobrodego. Im mniejszą, w jego przekonaniu, pałam żądzą do jego córki, tym większy posag wysupła.

– Przebiegły z ciebie człowiek, panie – odparł Hogni ze śmiechem. – Mówią, że na północy nikt ci nie dorówna w hnefataflu.

– Nie pokona mnie też żaden z południowców – stwierdził Wali, świadom, że tacy mężowie, jak ci tutaj, cenią sobie zuchwałość. – A teraz przyprowadźcie mi konia.

Hogni bez sprzeciwu oddał księciu swego wierzchowca.

Wali spojrział na Orriego, który właśnie wskakiwał na siodło. Było szczupłym mężczyzną, przyodzianym luźno, bez pancerza, jeno z włócznią i hełmem. Azali zdołałby go prześcignąć na obcym i potencjalnie kapryśnym koniu? Marne szanse.

Wali odwrócił się ku Orriemu.

– To zwierzę cuchnie. Użycz mi swego.

Ten popatrzył na księcia jak na dziwaka.

– Ten pachnie wcale nie lepiej, panie.

– Trzeba mi konia, a nie dyskusji. Złaż.

Wali zgromił go wzrokiem, a wojowi zdało się, iż dostrzega w księciu przejaw krwi króla Authuna. Zsiadł z siodła, a gdy to zrobił, Wali podprowadził swego wierzchowca tak, że ten zadem wbił się w bok konia Orriego. Zwierzę zrobiło krok w bok, powalając Orriego na ziemię. Wali pochwycił wodze, dźgnął piętami w koński brzuch i pomknął naprzód, pociągając za sobą drugiego wierzchowca. W mgnieniu oka znalazł się z dala od mężczyzn, popędzając zwierzęta i nawet nie racząc obejrzeć się za siebie.

Hogni i Orri wołali za nim.

- Podpisałeś na nas wyrok, panie!
- Nie możemy powrócić bez ciebie!
- Los Rygirów jest przesądzony!
- Już są niby martwi!

Wali nie odwracał się, tylko jechał dalej, w górę doliny, a w ruchu mdłości jęły go opuszczać. Mam, pomyślał, całkiem spore szanse, by umknąć. Dwa konie i wypoczynek dawały mu znaczną przewagę nad zmęczonymi ludźmi, ścigającymi go na piechotę.

Osiągnął krawędź doliny i znalazł się ponad wzgórzami, na szerokim grzbiecie z drzewami na skraju, rozciągającym się aż do gór w oddali; pod sobą miał fiord. Podążać wzdłuż grzbietu czy raczej zejść w dół i popędzić ku wschodowi? Podjechał kilka kroków na wschód, potem na północ. Czy jazda w którymś z tych kierunków powodowała gorsze samopoczucie? Nie potrafił orzec.

Pozwolił koniom zwolnić na szczycie wzgórza. Myśлами powrócił do domu i Mamy Disy.

Ansuz – to tę runę wycięła. To w tym symbolu pokładała wiarę. Wali wyobraził sobie tę runę, a nawet nakreślił ją w powietrzu – trzy linie, jedna pionowa, dwie na skos. Spróbował powtórzyć inkantację, którą słyszał w ustach Disy.

– Kim jestem? Mężczyzną. Gdzie jestem? Pośród wzgórz północy.

Osiągnął jeno tyle, że poczuł się jak ostatni głupiec. Coś się jednak zdarzyło. Jego koń się potknął. Wali spojrzął w dół, na zwierzę. Obficie spływało potem. Zrazu pomyślał, że znalazł się w obecności czegoś nadnaturalnego – mówiło się, że takie byty płoszą zwierzęta – lecz drugi koń nie spociał się nawet w przybliżeniu tak mocno jak ten, na którym jechał. Rozejrzał się wokół. Światło było nieco inne. Grzbiet

pobliskiego wzniesienia nikał w drzewach. Wtem Wali pomiarkował, że nie wiedzieć kiedy pokonał znaczną odległość, a zwierzęta rozpaczliwie potrzebują odpoczynku. Zsiadł i poprowadził konie do strumienia. Na brzegu rosło dość trawy dla koni, jednak on sam nie miał co jeść. Nic to, pomyślał. Uczucie mdłości było nikłe, lecz tym razem zaskakująco mile widziane. To szczęście nie mieć apetytu, gdy niedostatek jadła.

Z racji pościgu rozpalenie ogniska nie wchodziło w rachubę, przeto napoił konie, zdjął im rzędy, podwiązał nogi i czekał. Nie próbował zmrużyć oka ni odwrócić myśli od chłodu i – przytłumionych nim – mdłości i głodu. Zupełnie jakby napędzał go jakiś instykt, mówiący, iż cierpienie jest czymś, co może ofiarować bogom. Wali nigdy nie widział sensu w składaniu ofiar, w wypełnianiu łodzi pogrzebowych złotem, w zarzynaniu zwierząt i niewolników, atoli w obecnej sytuacji, w zmęczeniu i niewygodzie, czuł więź z czymś fundamentalnym w głębi duszy. Fizyczny ból był niczym w porównaniu z tym, co czuł do niej. Wiedział, że zdoła ścierpieć o wiele gorsze katusze, bo miłość dodawała mu sił.

*

Następnego ranka wyruszył w dalszą drogę, odmalowując sobie przypominianą runę w umyśle. Wyobrażał sobie, jak Disa ją wycina, najpierw w drewnie, potem na dłoni. Jak krew spływa i kapie, a po upadku na ziemię płynnie układa się w kształt symbolu. Raptem pomiarkował, że koń pod nim zrobił się ciepły. Pozycja słońca dała mu jasno do zrozumienia, że miał za sobą wielogodzinną jazdę. Było to osobliwe uczucie – jechać do przodu z ogromną determinacją, nie wiedząc, gdzie się zmierza. Konie pozwalały na podróżowanie o wiele szybsze niż na piechotę. Wali, chcąc nie chcąc, przemierzał wysokie przełęcze, zjeżdżał po karkołomnych zboczach rumowisk, brodził przez rzeki i okrążał fiordy, atoli niezmiennie czuł się raczej jak pasażer, niż jak ktoś, kto sam wybiera sobie drogę. Zdawało się, że prowadził konie, nawet o tym nie myśląc. Dostrzegał atoli oznaki tego, że zmierza w dobrą stronę – do cna znoszone i porzucone obuwie na poboczach ścieżki, czasem wyżłobienia po kolach furmanek i ślady kopyt.

Nie spotykał prawie nikogo żywego, jeno pastuchów w oddali,

od święta jakieś sioło. Gdy je mijał, przezornie dął w róg, by nie wzięto go czasem za wyrzutka, ale się nie zatrzymywał. Spowalniały go jeno potrzeby zwierząt, i choć czasem pił, wtedy, gdy i one, to wcale nie jadał, a sypiał jeno z rzadka. Miał wrażenie, że myśli o runie Disy obudziły coś w jego wnętrzu, atoli pragnienie, głód i zmęczenie skumulowały się, przytępiając trzeźwość umysłu.

Nic tedy dziwnego, że nie usłyszał wilkoluda, póki ten się do niego nie zbliżył.

14. KSIĄŻĘ I WILK

Feileg obserwował konnego już od kilku dni, próbując ocenić jego siłę. Pośród gór w głębi łądu nigdy nie widywano samotnych jeźdźców, tedy Feileg, rozumując już bardziej niby wilk niż człowiek, uznał to za podejrzanę. Tym bardziej, że podróżny nie znajdował się na szlaku handlowym. Był o dwa dni drogi na północ stamtąd, na odludziu, nieco powyżej górnej granicy lasu, w wąskim zacienionym wąwozie. Podążał wzdłuż niewielkiego strumyczka. Wszystkie zwierzęta podchodzą nieufnie do tego, czego wcześniej nie widziały, a Feileg nie był wyjątkiem, tyle że w tym człowieku w dolinie było coś wyjątkowo groźnego.

W innych okolicznościach zawyłyby, przywołując zza gór Kwelda Ulfa, lecz przemieniec wiele dni temu wyruszył gdzieś, jak to czasem czynił, powierzając Feilegowi polowanie z trzema jeno wilkami z watahy. A one, i sam Feileg, rzecz jasna, miały chrapkę na konie, wiedziały jednak, że najprościej spełnić to pragnienie, czekając, aż mężczyzna zaśnie. Bez pomocy Feilega, wilki musiałyby czekać i liczyć na to, że jedno ze zwierząt oddali się nocą, co wszak wcale nie musiało nastąpić.

Opowieści o wilkoludziach atakujących obozowiska podróżnych czasem były prawdziwe, lecz oni nie napadali, jeśli mieli wybór. A nawet wtedy – wyłącznie latem. W gorących miesiącach, gdy głód dawał się we znaki, gdy zwierzęta chyżo biegały, a jeżyny nie pojawiły się jeszcze na krzewach, Kweld Ulf i Feileg byli zmuszeni zdobywać pożywienie na wszelkie możliwe sposoby.

Miejscowi kupcy zachodzili w głowę, jakim cudem podróżującym łądem Wielorybakom z północnego kraju udawało się unikać problemów z wilkoludźmi, i przypuszczali, że chroniły ich jakieś talizmany czy czary. Prawda przedstawiała się jednak o wiele prościej. Wielorybacy żyli pośród niedźwiedzi i przechowywali jadło dość daleko od swych obozów, wieszając wypełnione nim sakwy na możliwie najcieńszych gałęziach drzew. Wilkoludzie stawali do walki

tylko wówczas, gdy podróżni przyłapywali ich na kradzieży jedzenia i zwierząt. Wielorybacy czasem tracili obiad, lecz nigdy – życia.

Feileg czekał, aż jeździec uśnie, lecz ten ani myślał spać, a przynajmniej Feileg nie mógł mieć pewności, że istotnie pogrążył się we śnie. Gdy opadła bladyszara zasłona długiego zmierzchu, mężczyzna jeno zszedł z siodła i oporządził konie, potem usiadł na ziemi, przywierając do miecza i kołysząc się w przód i w tył. Feileg w swym życiu widział niewielu ciemnowłosych ludzi, a jeszcze mniej takich, którzy bardziej dbali o swe zwierzęta niż o siebie samych, i żadnego, co wcale nie jadł. Nic jednak nie tłumaczyło niepokoju, który odczuwał, spoglądając z ukrycia w dół, na postać poniżej.

Zachował pewne pojęcie o magii z okresu pobytu u berserków, acz spędziwszy tyle czasu z Kweldem Ulfem, nie postrzegał jej już teraz jako czegoś odmiennego od innych przejawów życia. Zdolność wprowadzania się w trans, podczas którego tropił, poruszał się i walczył niby wilk, nie była wcale bardziej niezwykła niż to, że strumień spływa ze zbocza góry, czy to, że ludzi i zwierzęta spotykają narodziny i śmierć. Nie bardziej niezwykła niż oddech, wschód i zachód słońca czy księżyc, przepływ fali. Dla Feilega całe ziemskie stworzenie zdawało się rytmem, z którym się łączył w rytuałach i medytacjach, grzechocząc łagą i uderzając w bęben. Czuł, że ten mężczyzna w dolinie znajdował się tam, gdzie rytm się urywał. Gdy na niego spoglądał, co i rusz przechodziły go ciarki. Miał niewysłowione poczucie, że ten mężczyzna stanowi fałszywą nutę w melodii natury.

Wilkolud wciągnął zapach wiatru. Nie poczuł niczego znaczącego, jeno woń koni i deszczu nadciągającego zza ciemnych gór za jego plecami. Raptem pomiarkował, co w tym wszystkim jest dziwne. Nie interesował się jeźdźcem z powodu koni czy jadła, był ciekawy jego samego. Z jakiegoś powodu chciał mu się bliżej przyjrzeć. Było to jedno z tych ludzkich uczuć, któremu pozwolił obumrzeć w swym wnętrzu, a jego ponowne rozbudzenie sprawiło, że poczuł się skonsternowany i nieco przygnębiony. Odsunął je od siebie i skupił się na swym głodzie.

*

Myśli Waliego błądziły daleko. Rozmyślał o Adisli, uwięzionej

przez Widłobrodego, o Disie, a przede wszystkim – o runie. Jej wyobrażenie, a co dziwniejsze, dźwięk, który sobie wyobrażał, już od wielu dni wibrowały mu w głowie. Runa zdawała się nieść z sobą muzykę związaną z brzmieniem jej nazwy – Ansuz – atoli była czymś więcej. Wspomniał głos tego czegoś, co przemawiało przez Disę, brzmiący niby poszum fali. Właśnie tak dźwięczała runa.

Wtem, jak grom z jasnego nieba, opadły go na powrót wszystkie odczucia, które miał za nic podczas długiej jazdy. Poczuł się niemożliwie głodny i spragniony, zmęczony, jak nigdy wcześniej. Wydało mu się to znaczące, jakby niesło z sobą jakieś przesłanie. Mdłości zniknęły jak ręką odjął. Zrozumiał, że przybył tam, gdzie przybyć należało. Rozejrzał się wokół, oczami ciężkimi i odmawiającymi skupienia, a rozum podpowiadał, że priorytetem jest sen.

Wali zanurzył głowę w strumieniu i się napił. Potem otworzył sak. Wyjął z niego parę kawałków solonego chleba i nieco marynowanej ryby. Łapczywie pochłonął jadło, znów się napił, a potem ułożył do snu. Nigdy wcześniej podczas tej wyprawy nie przygotował sobie należytego posiania. Teraz jednak rozłożył na ziemi skórę morsa, owinął się płaszczem, a pod głowę podłożył sak. Zmęczenie nie odebrało mu całego rozsądku, przeto przezornie schronił się pod skrytym pod nawisem krzakiem, lecz w słabnącym popielatym świetle letniego zmroku nie potrafił zmusić oczu, by rozejrzały się za zagrożeniem. Był po prostu zbyt zmęczony; zagłębił się w przytulnym cieple posłania.

Feileg przyglądał się temu wszystkiemu z wysoka. Uznał, że teraz może się poruszyć. Płynnie, szybko i bezgłośnie zeskoczył ze zbocza wąwozu, zanurzając się w cień doliny.

Do przodu ruszył sam, pod czujnym spojrzeniem wilków ukrytych na skraju kotliny. Trzymał się tej samej strony wąwozu, po której spał Wali, chyłkiem, acz szybko przemykając ku niemu na ugiętych nogach. Konie znajdowały się z dala od śpiącego, a Feileg sądził, że być może zdoła je pochwycić, nie budząc właściciela. Było to jednak zbyt wielkie ryzyko. Kto wie, czy ktoś nie jechał śpiącemu na spotkanie? Albo czy on sam nie był doświadczonego tropicielem lub nawet czarownikiem? Musiał zginąć. Wyostrzone zmysły Feilega podpowiadały mu, że z tego mężczyzny emanowała groźba. Bzyczała

niby gniazdo pszczół u wylotu pieczary, przenikała do jego świadomości niby ogień buzujący w powietrzu. Tylko w jeden sposób można było odpędzić to uczucie.

Najszybsza metoda zabicia śpiącego zależy od pozycji jego ciała. Jeśli leży na brzuchu, to stosunkowo łatwo skrócić mu kark, oplatając głowę ramieniem, z tyłu podpierając kolanem. Feileg wypróbował ten sposób już dwa lub trzy razy i przekonał się, że nawet jeśli kręgi wytrzymywały, to i tak trzymał ofiarę w skutecznym uścisku i bardzo szybko mógł dokończyć dzieła. Jeśli człowiek spoczywał na boku lub na plecach, to mógł mu zmiażdżyć głowę stopą. Jeśli zależało mu na ciszy, miał w palcach dość siły, by zgnieść śpiącemu grdykę.

Feileg – może lepiej byłoby nazywać go wilkoludem, bowiem przyływ hormonów, który powodowała już sama perspektywa zabójstwa, sprawiał, że jego człowieczeństwo zdawało się czymś wątłym i przebrzmiałym – bezszelestnie sięgnął po krzak zasłaniający śpiącego. Mężczyzna leżał na boku, przeto wilkolud zdecydował się zbliżyć po cichu i skrócić mu kark.

Wtem posłyszał jakiś pomruk, niski i gardłowy. Rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu źródła dźwięku. Sam go wszak nie wydał. Odgłos nie brzmiał naturalnie, i wilkolud poczuł, jak jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Miał wrażenie, jakby otworzyły się wszystkie pory na jego skórze i jał się pocić, a ciało każdym zmysłem ostrzegało go przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. I znów ten pomruk, nawet niższy niż poprzednio, niby kamień trący o kamień.

Feileg padł plackiem na ziemię. Trzeci pomruk, tym razem niby coś dobywającego się spod ziemi, i słowo. „Adisla”. Feileg podniósł wzrok. Ten odgłos dobywał się z ust śpiącego. Chrapanie. Feileg powrócił myślą do chaty berserków, gdzie go wychowano. Ze wspomnień z tamtych czasów ostały się jeno pojedyncze wrażenia: mrok izby, zapach spódnic matki, przeblask samego siebie bawiącego się w berka z dziewczynkami, które uznawał za siostry. Lecz tylko jedno zdarzenie pamiętał, jakby to było wczoraj. Mężczyzna, którego nazywał ojcem, zwykł chrapać niby grom, zwłaszcza gdy sobie popił. Dzieci często kładły wtedy piórka na jego ustach i wybuchały śmiechem, gdy zdmuchiwał je ciężkim sapnięciem. Pamiętał, że kiedyś jedna z dziewczynek umieściła jedno tuż obok siedzenia ojca, by przekonać się, czy się poruszy, gdy ten pierdnie. I, hura, tak się właśnie

stało, a Feileg dostał takiego ataku śmiechu, iż myślał, że nigdy nie przestanie. Spoglądając na śpiącego Waliego, posłyszał inny dźwięk, niby szmer strumienia. Ten akurat, pomiarkował, dobywał się z niego samego. Zdławiony chichot. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Gdy tak się śmiał, powróciło do niego mgliste znaczenie relacji międzyludzkich, czy raczej przebłysk beztroskiej przyjemności czerpanej ze zwykłych głupstw. Poczul pewien rodzaj braterstwa z tym chrapiącym człkiem, niemal pragnienie, by go obudzić i powiedzieć mu, jak głośno, jak zabawnie brzmiał. Atoli Feileg musiał go zabić. Tyle że skupienie – ci, którzy nie znali wilkoludzi, zwali je szalem – które to ułatwiało, uleciało wraz ze śmiechem. Uważnie przyjrzał się Waliemu. Feileg nie widział swego oblicza, odkąd miał sześć lat, a potem jeno z rzadka. Wyobrażenie o własnym wyglądzie czerpał głównie z odbić na lśniących powierzchniach ostrzy zrabowanych mieczy, przeto zrazu nie pomiarkował swego uderzającego podobieństwa do mężczyzny, którego miał przed oczami. Jednak i tak coś w jego wnętrzu powstrzymywało go przed zabiciem obcego od razu, bez zastanowienia.

Feileg spoczął u nóg mężczyzny i siedział tak przez dobrą chwilę, taksując go wzrokiem. Z powodu odprawianych rytuałów, spożywania nieznanych grzybów, nędzy i wyjścia z wprawy, zatracił już zwyczaj myślenia słowami. Przeto, gdy spoglądał na uczesane i przystrzyżone włosy Waliego, wspaniały miecz spoczywający u jego boku, żywą barwę wełnianego płaszcza, naszła go jeno niekształtna ulotna myśl. Nie mógł słowami wyrazić swych uczuć, lecz to wcale nie osłabiło ich wyrazu. Miał bowiem przed oczami samego siebie, takiego, jakim mógłby być, gdyby Norny uplotły mu inny motek żywota. Mężczyzna wcześniej wypowiedział słowo „Adisla”. Feileg instynktownie poznał, czym było – dziewczęcym imieniem. Nie czuł się smutny, a przynajmniej nie potrafił zdefiniować własnych emocji jako smutku, a jednak zaczął się czuć nieprzyjemnie z powodu doli, którą wybrały dla niego boginie losu.

Głęboko wciągnął powietrze, czując zapach czegoś słodkiego i czegoś zjełczałego. Spojrzał na sak Waliego i poczuł, że cieknie mu ślinka. Otworzył go i, nawet nie zbadawszy zawartości, rzucił się na jadło. Miód, czerstwy chleb i ser. Grzyby berserków i długie kłaczce. Już sam zapach tojadu go odstręczył, atoli mikstura nasenna smakowała

słodko i wybornie, wyssał ją przeto do cna, a potem nawet wylizał garnuszek do czysta. Na koniec pożarł miętę i osuszył bukłak z winem. Poczuł spokój, ciepło i bez troskę.

Gdzieś dalej w dolinie odezwało się wilcze wycie, ale nie słyszał go już i nie mógł odpowiedzieć. Przygotowany z myślą o białych nocach eliksir Disy rozmył kontury świata. Feileg położył się i zasnął.

15. BRANIEC

Wali naprawdę sądził, że to mu się śniło. Ocknął się z tym dziwnym uczuciem, którego doznaje się czasem, budząc się w obcym otoczeniu, gdy rzeczywistość doznaje nagłego wstrząsu, a obudzony nie wie, gdzie się znajduje lub jak się znalazł w danym miejscu.

U jego stóp, śpiąc twarzą do ziemi, spoczywał potężnie zbudowany mężczyzna, prawie nagi, nie licząc okrywającej go wilczej skóry. Opodal walał się wybebeszony sak, całe jadlo zniknęło, a bukłak na wino leżał płaski jak koc u boku nieznanego. Zrazu pomyślał, że jest jeszcze ciemno, lecz szybko pomiarkował, że to jeno cień rzucony przez tułacę się do siebie konie. I nic dziwnego. Gdzieś w dolinie rozbrzmiało wołanie wilka.

Wali chwycił za miecz i obnażył go, mierząc w śpiącą postać. To musiał być ten wilkolud. Nie miał pojęcia, co począć. Wiedział, że jego wyczyn byłby bardziej imponujący, gdyby pojmał tego bandytę żywego. A nawet więcej – zyskałby niezbity dowód, że to naprawdę wilkolud, a nie jakiś przebrany niewolnik. Atoli ten mężczyzna – na oko nie starszy od niego – był potężnie umięśniony. Nawet raby, które parały się najbardziej znojnymi pracami w gospodarstwie, nie były tak barczyste. Gdyby intruz zbudził się podczas nakładania więzów, marne szanse, że Wali zdołałby go pokonać w zapasach.

Rozejrzał się wokoło. Sak świecił pustkami; ani okruszka. Porozrywane pacuszki, w których nosił zioła Disy, pusty garnuszek miodu i drugi, też opróżniony, po eliksirze nasennym.

Uśmiechnął się do siebie, gdy pomiarkował, co się wydarzyło. Ostrożnie wraził czubek sztychu miecza w plecy wilkoluda, popłynęło trochę krwi. Wali z ulgą skonstatował, że zwykła broń może zranić przemienca. Co dziwne, ten ani drgnął.

Wali wyjął powróz z saku przy siodle, które leżało tuż obok niego. Nigdy wcześniej nie musiał nikogo wiązać i nie bardzo wiedział, jak to zrobić, wołał przeto dmuchać na zimne i skrepował mężczyźnię ręce za plecami, potem nogi, i znów ręce, i nogi raz jeszcze.

Nigdy nie miał się za bogobojnego czy zabobonnego, ale teraz niemal bał się dotknąć wilkoluda, a już na pewno nie miał ochoty ruszać wilczej skóry, którą ten nosił na głowie. Była to bowiem rzecz magiczna, zdolna, jak mawiali, przeistoczyć człowieka w groźnie szczyrzącego się pół-wilka. Nawet kupiec Weles Libor traktował takie opowieści z powagą.

Wali pomyślał o znanych sobie sposobach przeciwdziałania magii – a nie znał ich wiele. Wcześniej nie miał ani powodu, ani sposobności, by się z nimi zaznajomić. Wiedział atoli, że czarownicy ponoć umieją rzucać urok samym jeno spojrzeniem, a by to powstrzymać, należy zawiązać im oczy. Nie miał niczego, co mogłoby posłużyć za przepaskę, miał jednak na podorędziu sak, z którego wyciągnął powróż. Aliści, gdy podniósł wilkoluda, by wciągnąć mu worek na głowę, rzuciło mu się w oczy coś wielce niezwykłego.

Twarz mężczyzny. Uderzająco podobna do oblicza Waliego, jednak o wiele bardziej ogorzała i wymizerowana. Intruz miał wprawdzie skołtunione włosy, lecz brodę rzadką i krótką, jak u Waliego, a rysy niemal identyczne. Wali poczuł ciarki na plecach. Naprawdę miał przed sobą przemienca.

Załožył sak na głowę mężczyzny, uważając, by nie dotknąć przypadkiem magicznej wilczej skóry, głęboko wciągnął powietrze i w duchu nakazał sobie spokój. Azali był to przemieniec? To możliwe, pomyślał, że ten ktoś po prostu go przypomina. W życiu widział niewielu czarnowłosych ludzi. Może oni wszyscy wyglądali podobnie do siebie? Bragi mówił mu kiedyś, że ludzie z wysp na dalekim wschodzie mieli ciemne włosy i jeden był nie do odróżnienia o drugiego. Twierdził też, że wszyscy śmierdzieli – a ten tu na pewno wyjątkiem nie był.

Nadto Wali słyszał plotki i opowieści przynoszone przez handlarzy o czymś zwanym mimikiem, złym duchem, który umiał imitować wygląd. Nie potrafił sobie przypomnieć, co też ów byt zwykle wyprawiał, ale był pewien, że nie było to bardzo miłe. Starał się uspokoić. Wmówił sobie, że to przez zmęczenie, że dlatego ma zwidy. Byle szybciej znaleźć się z powrotem w hali Widłobrodego!, pomyślał. W te pędy osiodłał konie.

Wali nie miał bladego pojęcia, jak najlepiej przewieźć wilkoluda, przeto improwizował. Postawił mężczyznę na równe nogi,

potem zarzucił go sobie na barki i przewiesił przez siodło. Przywiązał mu ręce do nóg, prowadząc linę wokół brzucha zwierzęcia, a następnie wokół pasa wilkoluda. Obwiązał powróż dokoła lęków, tak z przodu, jak i z tyłu. Mężczyzna, cały czas bezwładny, kiwał się i zwisał niby szmaciana lalka. Wali pchał i szarpał go, aż upewnił się, że nie spadnie.

Gdy był już kontent ze swych wysiłków, przywiązał wodze wierzchowca z brańcem do własnego siodła, skoczył na konia i pognął w stronę domu. Gdzieś w górze ciemnej bryły wzniesienia odezwało się wołanie wilka. Wali popędził konia i kłusem skierował się ku wylotowi doliny. Im szybciej się stąd wyniosę, pomyślał, tym lepiej.

16. ZREKOWINY

Wieści o jego powrocie rozeszły się od położonych na uboczu siół po całej osadzie, a mieszkańcy Eikund tłumnie przybyli, by powitać go opodal hali Widłobrodego.

Dotarł tam możliwie najkrótszą trasą, omijając dom Disy. Dowiedział się bowiem od pierwszej napotkanej osoby, że matka Adisli ma się bardzo źle. Złożenie jej wizyty w tej chwili, uznał, to byłoby dla niej zbyt wiele. Zdecydował się poczekać, aż przycichnie powitalna wrzawa, posłał jej tylko wieści o pomyślnym zakończeniu wyprawy. Po drodze każde dziecko z okolicy biegło przed Walim, wrzeszcząc, piejąc z zachwytu i obwołując go bohaterem. Niektóre mijane podrostki dotykały wilkoluda, tudzież obrzucały go błotem lub wyzwiskami. Także kobiety nie szczędziły mu przekleństw, na dokładkę okładając lagami. Wali musiał kazać im przestać; to płoszyło konie. Mężczyźni zaś stali z założonymi rękami, kręcąc głowami i śmiejąc się do siebie. Źle osądzili Waliego, jak się zdawało, i teraz byli mile zaskoczeni. Nareszcie zachował się w sposób, który rozumieli. Paru kmieci przystąpiło z nożami, krzykiem odgrajając się, że zakłują wilkoluda na miejscu, lecz Wali obnażył miecz i zmusił ich do poniesienia zamiaru. Niektórzy to lubią pławić się w blasku cudzej chwały, pomyślał, a skoro chcą zabić wilkoluda, niech sobie znajdą własnego, droga wolna.

Podróż do domu zabrała Waliemu dwa tygodnie. Pod pewnymi względami powrót był trudniejszy niż wyprawa w drugą stronę. Gdy opuszczał Eikund, znajdował się w transie i nie musiał podejmować żadnych decyzji co do kierunku wędrówki. W drodze powrotnej, pozbawiony pomocy magii, musiał sam wyznaczać trasę. Rozpoznawał jednak okolice, przez które jechał, a wśród bujnego północnego lata wciąż widać było pozostawione przezeń ślady – odciski kopyt, oskubane krzaki i końskie odchody, znaczące miejsca kolejnych obozowisk. Udało mu się nawet skrócić podróż, ugadując rybaków, by przewieźli go wokół kilku fiordów. Obaczywszy jego brańca, nie chcieli słyszeć o opłacie, usatysfakcjonowani pozbyciem się

niebezpiecznego grasanta.

Nie obeszło się bez problemów natury praktycznej. Wilkolud zbudził się dzień po wyruszeniu, i Wali musiał uganiać się za koniem, spłoszonym przez wierzganie nagle ocuczonego człeka. Wali przemówił do brańca a ten się nieco uspokoił, niby zwierzę pogodzone z losem. Przez całą drogę zdani byli na niepokojącą obecność wilków. Choć podczas dnia Wali nie dostrzegł ich ni razu, niezmiennie czuł na sobie ich spojrzenia, a podczas długich zmierzchów słyszał na wzgórzach ich wycie. Spodziewał się, że wilkolud im odpowie. Wiedział bowiem, że ci czarownicy podobno potrafili rozkazywać wilkom. Postanowił, że jeśli wilkolud zawezwie pomoc, będzie musiał go zabić. Więzienn jednak milczał jak głaz.

Inny kłopot sprawiało Waliemu to, że na noc musiał rozkulbaczać konie i każdego ranka na nowo sadować wilkoluda na jednym z nich, lecz poza tym wyprawa szła jak z płatka. Gdy mijali sioła, Wali prosił gospodarzy o zapasy na dalszą drogę. Ci każdego wędrowca obdarowaliby szczerze, ale gdy dowiadawali się, że księżę pochwycił zbója, byli zachwyceni, nie mniej niż tamci rybacy. Dawali nieproszeni, lekką ręką i szerokim gestem, a Wali ani razu nie cierpiał głodu.

Zrazu Wali niemal ucieszył się, widząc, że wilkolud do krwi otarł sobie boki o siodło. Pozwalał mu pić, niewiele, raz dziennie – choć nigdy całkiem nie zdejmował mu saka z głowy – atoli jadła nie dawał mu wcale. Na wypadek, gdyby zdołał uwolnić się z więzów – wtenczas miałby miej siły do walki lub ucieczki. Jakaś częśćka Waliego niemal skłaniała się, by pozwolić brańcowi wyzionąć ducha. W końcu jednak zaczął doceniać zalety roztaczanej wokół aury bohatera. Może i było to kłamstwo, ale zapewniało mu szacunek wśród prostego ludu i znacznie ułatwiało życie. O tydzień drogi od domu Wali zaczął karmić wilkoluda, dawać mu więcej wody i usadzać pionowo na koniu, chcąc, by ten wyglądał groźnie, gdy powrócą, tym samym opromieniając go jeszcze większą chwałą.

Wyczyn Waliego powszechnie uznano za spektakularny sukces. Wcześniej panowała opinia, że zadanie zabierze mu najmniej dwa miesiące, a Adisla zadynda. Powrócił, nim minął choć jeden, a ona odzyskała wolność.

Adisli nie było na dworze. Po wyjeździe Widłobrodego na

zgrupowanie królów na Nidarnes, wraz z wszystkimi wielmożami i świtą, opadł entuzjazm dla trzymania jej pod kluczem. Dziewczyna nigdy w życiu nie oddalała się o więcej niż pół dnia piechotą od swego sioła i mało prawdopodobne, by uciekła, rozumowali strażnicy. To, że wieczorami zwykła drażnić ich uszy fałszywym śpiewem, również nie zaskarbiło jej sympatii dozoruujących, tedy tym chętniej pozwolili jej wrócić do matki.

Wszelako gdy Wali wiązał konie, został odciągnięty na stronę przez Hogniego i Orriego, obu podekscytowanych.

– Książę Wali – odezwał się Hogni. – Muszę z tobą porozmawiać.

– Nie masz tu nic do gadania. Wasze konie są całe i zdrowe, możecie tedy je sobie wziąć.

– Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie – dodał Hogni tak cicho, jak się dało.

– Jesteście mymi wasalami?

– Tak, panie.

– To zachowujcie się, jak na nich przystało – przynieście mi miodu i zamilknijcie.

– Panie, musimy z tobą porozmawiać.

Hogni złapał go za ramię. Wali posłał mu gniewne spojrzenie.

– Ważysz się tknąć swego księcia?

– Trzeba ci opuścić to miejsce, panie. I to prędko.

– A to czemu?

– Jest przekłete. Na tych ludzi niebawem spadnie nieszczęście.

– Niby jakie?

– Słyszeliśmy jeno, co ludzie szepcą. Niektórzy prawią, że to będzie mór, inni, że nadchodzą Danowie. Tak czy owak twa matka chce, żeby cię tu nie było jeszcze przed pełnią.

– To już jutro. – Wali się uśmiechnął. – Cóż, matka może poczekać. Macie wybór: zostanieie i podzielicie los, który mnie spotka, albo wróćcie do mego ojca i zapląsacie na szubienicy hołubca martwego pana, o ile opanuje on gniew na tyle długo, by zdążyć was obwiesić. Osobiście uważam, że tu macie większe szanse na przeżycie.

Hogni i Orri dumnie stanęli na baczność.

– Myśmy woje i śmierć nam niestraszna.

– No to dajcie dobry przykład. Zostańcie do pełni, a potem z

radością potowarzyszę wam w drodze powrotnej na dwór mego ojca. Możecie się rozejść.

Obaj wasale odeszli, zmitygowani tyleż odmową, ile metamorfozą Waliego. Nie był już tym, kim wcześniej się zdawał – hulajduszą, co się miecza wystrzegał jak trędowatego – teraz zachowywał się z godnością właściwą synowi Authuna Białego Wilka.

Wali patrzył, jak odchodzą. Rygirowie zaczynali świętować. Wepchnęli mu do ręki róg z miodem pitnym. Wypił duszkiem. Coś było na rzeczy, jednak nie wiedział, co. Tak czy owak, jego matka nie kierowałaby się byle pogłoską. Co było najbardziej prawdopodobne? Mór? Temu nie mógł zapobiec. Yrsa pewnie mogłaby to zobaczyć w wizji zesłanej przez czarownice, atoli żywiła powszechnie znaną niechęć do magii. Co jeszcze? Upomniał się, by myśleć logicznie. W hali słyhać było dźwięk fujarki; Jokull Skald śpiewał właśnie pieśń na cześć Waliego. Jedyną ewentualnością, wobec której mógł coś poradzić, był najazd. Jeśli właśnie to ich czekało, tym bardziej powinien zostać, by bronić ludzi, wśród których się wychował.

Wali spojrzął na mały port położony w dole. Pusty, nie licząc garstki łodzi rybackich. Widłobrody zabrał ze sobą trzy drakkary, a wszystkie knary wypłynęły na wyprawy handlowe. Wygląda na to, że wybrałem sobie najmniej odpowiedni czas na chwałę, pomyślał z przekąsem.

Ściągnął wilkoluda z konia i przywiązał go do brzozy opodal hali Widłobrodego. Donośnym głosem obwołał tego człowieka swych więźniem, ostrzegając, że nie może mu się stać żadna krzywda, póki Widłobrody go nie zobaczy. Zaproponowano mu więcej miodu. Nie oponował. Wtem pojawiła się Adisla, zbiegając ze wzgórza z jego imieniem na ustach. Śmiała się, niemal skakała z radości. Wali mógł jeno wziąć się pod boki, wybuchając dzikim śmiechem, jak ktoś, kto pochylił się, by zawiązać but, i poczuł, że właśnie w tej chwili nad głową śmignął mu kamień.

Padła mu w objęcia, przytuliła, a gdy do niego przywarła, on ją pocałował.

– Muszę przyznać – odezwała się – iż nie robiłam sobie wielkich nadziei, że powrócisz.

– A widzisz, ja też nie. Pokrewne z nas dusze, ani chybi.

Znów się zaśmiała, jednak gdy na nią spojrzął, zauważył, że po

policzkach ciekną jej łzy.

– Jak ci się to udało?

– A żebym to ja wiedział! Zobaczymy, co wymyślą skaldowie. Zamiaruję twierdzić, że wyzwałem go do rywalizacji w trzech konkurencjach, w jedzeniu, w picciu i w walce, i upiłem go tak skutecznie, że zdołałem go skępować. Dobrze, nie sądzisz?

– I tak powiedzą, żeś z nim walczył.

– Cóż, niechaj i tak będzie. Kto wie, może naprawdę tak było?

Dla ciebie zmierzyłbym się nawet z dwudziestką wilków.

– Jeno dwudziestką? – droczyła się Adisła.

– Musi być jakaś granica – rzeki Wali – a moją jest właśnie dwudziestka. Jeden więcej, a miałabyś mnie z głowy.

Żarty i przekomarzanie nie były dla nich pierwszozną, atoli teraz było w nich coś więcej, jakiś głębszy podtekst. Wali czuł, że tylko z Adisłą zdoła wieść dalsze życie, jeno z nią wiązał swą przyszłość. Musiał powiedzieć jej, co ich łączy od chwili, gdy się zobaczyli, a czego żadne nie zdołało dotąd wyrazić słowami.

– Kocham cię – rzekł.

Spojrzała mu w oczy.

– Tak.

– A ty nie powiesz, że i mnie kochasz.

– To uczucie jest zbyt silne. Jeśli je nazwę, to już nigdy nie będę mogła mu zaprzeczyć.

Ledwie wydusiła z siebie ostatnie słowa, dławiąc się szlochem i przykładając rękę do twarzy, by ukryć łzy.

– A zamierzasz zaprzeczać?

Nic nie odpowiedziała, odwracając twarz.

– Nie zdołasz o mnie zapomnieć, Adislo.

– Nigdy o tobie nie zapomnę. – Zarzuciła mu ręce na szyję i rozplakała mu się w rękaw.

– Wyjdiesz za niego?

Adisła odsunęła się, uspokoiła i spojrzała wprost w oczy Waliego. Nawet zapłakana wygląda pięknie, pomyślał. Bardzo chciał powstrzymać jej łzy, pocieszyć i przychylić jej nieba, zobaczyć jej uśmiech i usłyszeć jej radość, atoli wiedział, że to on sam stanowi przyczynę wszystkich jej zgryzot. Był o włos od tego, czego pragnął – ukochanej dziewczyny, pięknego letniego popołudnia, gorącego słońca

w rześkiej bryzie. Lecz także o włos, by to wszystko bezpowrotnie utracić.

– Wyjdiesz? – dopytywał się.

– Wali, nie zostanę twą nałożnicą, a twą żoną być nie mogę.

Jakiż tedy mam wybór?

Skinął głową.

– Drengi to pocziwina. Był nam wszystkim dobrym kumotrem. Szkoda, że nie wybrałaś sobie kogoś, kogo w ramach pocieszenia mógłbym znienawidzić.

– Ja go nie wybrałam, Wali. Ilu mężczyzn jest tu dobrą partią? W całej okolicy jeno pięciu kmiecych synów, a mój mizerny posag odstraszyłyby trzech. Jestem również stara, Wali, o trzy lata przekroczyłam wiek, kiedy większość dziewcząt zwykle wychodzi za mąż. To los nas połączył.

– Nie – zaprotestował. – To nas połączył. Nasze pasma są splecione w jedność. Wilkolud został mi dany – nie musiałem nawet palcem ruszyć. Bogowie byli mi przychylni.

– Pierwszy raz słyszę, że powołujesz się na bogów.

– Bo nigdy wcześniej ich nie potrzebowałem. Przysięgam, lordzie Odynie, daj mi tę niewiastę albo będę ci się naprzykrzał, ile tylko wlezie.

Na drzewie za dworem przysiadły dwa kruki.

Oczy Adisli rozszerzyły się.

– No tak – rzekła, głaszcząc policzek Waliego – teraz to już na pewno cię usłyszał.

Wali poczuł, że łzy napływają mu do oczu, na przekór wesołości.

– Skoro tak, to posłuchajcie tego, wy parszywe ścierwa. Przekażcie swemu panu, że jeśli nie otrzymam tego, czego pragnę, to się do niego pofatyguję. Niech lepiej trzyma przy sobie włócznię, bo jeśli mi się sprzeciwi, rychło nadejdzie zmierzch bogów! – Poklepał swój miecz.

Ptaki wzbiły się do lotu; poruszały się nisko pomiędzy zabudowaniami, a później ich czarne kontury uniosły się nad wzgórzem niby rozdartnione resztki nocy ulatujące z dnia.

– Ciii! – wyszeptła Adisla, uchylając się, jak przed ciosem. – A jeśli one są jego zwiadowcami? – zaśmiała się, jednak Wali wyczytał z

jej twarzy, że mówiła poważnie. Uśmiechnął się.

– Miejmy nadzieję, że tak jest, bo chcę, by to usłyszał.

Zrazu Wali nie miał pewności, czy dostał cios w plecy czy w pierś. Tak silny, że omal nie przewrócił się na Adislę. Odwrócił się i ujrzał starego Brągiego, z uśmiechem rozjaśniającym mu twarz i rozpostartymi szeroko rękami.

– Udało ci się, chłopcze, udało! Nie wątpił w to ani przez chwilę. Jakże mógłbyś skrewić po szkoleniu, któreś przeszedł? Udało ci się.

– Dzięki ci, Bragi – odparł Wali. – Bez ciebie by mi się nie powiodło.

Staruszek omal nie wyciął hołubca.

– Niech zobaczę moją starowinkę – odrzekł, wyciągając z pochwy miecz, którego użyczył Waliemu. – Idę o zakład, że nachleptałaś niełicho wilczej krwi, czyż nie, moja pani?

Wali spojrział na Adislę. Oto było przeznaczenie, którego pożądał – dom, palenisko i miłość – gotowe go opuścić. Przeniósł wzrok na Brągiego, element doli, która została mu narzucona, i po raz pierwszy zrozumiał, że nie ma sensu się przed nią wzbraniać.

– Zabiłem trzech wilkoludzi – odparł. – Dwóch położyłem sprytnym ciosem głowicą, który żeś mi wbił do głowy.

– Zuch chłopak, zuch! Dajcie mi miodu, miodu powiadam! – jowialnie zakrzyknął Bragi. – Toż to król, a nie mówiłem, król jak malowany!

17. DZIWNE SPOTKANIE

Księżę siedział w hali, zapijając bolesne uczucia, które nim targaly. Adisla nie przyłączyła się do zabawy. Powiedziała już, co było trzeba, i rozumiała, że jej obecność jeno przydawała mu cierpień.

Wali zaległ z innymi, którzy świętowali jego powrót – ze zbieraniną starych wojów, młodzieniaszków i garstką jarłów, co wypadli z łask króla, pozostając w domu, gdy Widłobrody wypływał na północny wschód. Z każdym wypitym łykiem księżę coraz bardziej pogrążał się w pijaństwie i dojmującej boleści. Koniec końców – choć nie pamiętał, jak to się stało – pijatyka przerodziła się w bijatykę. Jął z kimś walczyć. Przeciwnik miał w czubie o wiele bardziej niż on, przeto upadł na podłogę pod ciosami Waliego, ogłuszony do nieprzytomności. Wali potrafił się skupić jeno na obliczu Bragiego, zaczerwienionym i rozwrzeszczanym w pijackim widzie; stary sługa trzymał go za ramię i głośno chełpił się, jakiego wspaniałego męża udało mu się wychować. Uważanie dworu dzwoniło mu w uszach. Wali miał już dość picia, więc wpęzł pod ławę, gdzie zasnął – ciało miał pobudliwe, lecz umysł martwy.

Adisla jednak nie zmrużyła oka. Powróciła do matki i powiedziała jej, by przystała na propozycję jej małżeństwa z Drengim. Disa, która nie była w stanie wstać z łóżka, odkąd została poparzona, przytuliła córkę do siebie.

– Jesteś pewna? Poniechasz swego księcia?

– Taki los mi sprędziono. Choć równie bardzo, jak ja poślubić Drengiego, przybrzeżne wody chciałyby być morzem.

Disa utuliła płaczącą córkę.

– Rozgłoś szczęśliwą nowinę – rzekła Adisla z rezygnacją. – Miejmy to już za sobą.

Disa puściła córkę i posłała Manniego ku siołom na wzgórzu.

Tej nocy Adisla nie mogła zasnąć – choć to nie niemal niegasnące słońce spędzało jej sen z powiek, a myśli. Na nic starania. Jej łóżko równie dobrze mogłoby być usłane pokrzywami, tyleż miała

szansy, by w nim usnąć. Wstała przeto i powędrowała w dół, nad morze. Wokół panowały takie ciemności, jakie mogła zaoferować noc w środku lata – blade, spłowiałe światło, podobne raczej temu podczas przedświtów niż prawdziwemu, głębokiemu mrokowi. I tak, blakając się bez celu, znalazła się opodal królewskiej hali, a do jej uszu dolatywały odgłosy pijackiego śmiechu dochodzące z jej wnętrza. Późno już było, acz nic nie wskazywało, że popijawa ma się ku końcowi.

Adisla jakoś nie mogła się zmusić, by też się radować, choć miała wszak ku temu najwięcej powodów. Była nieszczęśliwa, odczuwała wewnętrzną pustkę, wiedziała jednak, że postąpiła właściwie. Jej myśli były niczym trolle, wyciągające ku niej rozczapierzone łapy spoza ciemnicy umysłu. Próbowwała zatracić się w pięknie księżyca, dużego i wiszącego nisko na niebie, barwy przydymionego srebra. Był niemal w pełni. Przez miesiąc, a może i dłużej, jej los był z nim związany na dobre i na złe. Niedługo, raptem za kilka dni, powróci Widłobrody, pomyślała.

Przypomniała sobie opowieść o tym, jak bóg księżyca porwał dwójkę rodzeństwa, gdy czerpało wodę ze studni, i jak te dzieci jeździły teraz z nim rydwanem po niebie, ścigane przez straszliwego wilka zwanego Nienawiścią, próbującego schwycić w paszczę ich pięty¹⁸. Ona też miała swego wilka, który za nią podążał, poszczutego na nią w chwili narodzin. Swoją pozycję społeczną, swój stan. A to, czego chciała, było tak odległe, jak drugi brzeg nieprzebytej rzeki.

Raptem poczuła nagły chłód. Siedziała – dopiero teraz to zauważyła – w cieniu bladej brzozy. Otaczająca drzewo ciemność zdawała się nienaturalnie głęboka, a powietrze wokół bardzo gęste i nieruchome, jakby niosło jakieś brzemie, przytłaczające i trudne do zrzućcia. A za plecami czuła czyjaś obecność, taką, której nigdy jeszcze nie zaznała, zdawałoby się zrodzoną z zimnych wód i ciemnych wilgotnych obszarów.

– Kto tam jest? – mówiąc to, poczuła własną śmieszność.

Wstała i rozejrzała się dokoła. Niby nawałnica strzał, przez poświatę księżyca przeleciało stado szpaków, krążących w płochliwej czarnej chmurze, która zawracała i pikowała jak na komendę. Gwałtowne zwroty lotu nasunęły Adisli myśl o tysiącu malutkich bram,

¹⁸Mowa o dziewczynce Bil i chłopcu Hjukim, porwanych na niebo przez personifikację księżyca, Maniego, oraz ścigającym ich Hatim, synu Fenrira.

otwierających się i zamykających na niebie, i o opowieści, którą kiedyś uraczył ją Wali, zasłyszanej niegdyś u arabskich kupców – traktowała o dżinie, demonie dymu. Teraz miała wrażenie, jakby właśnie to stworzenie się nad nią unosiło.

Ptaki znikły tak szybko, jak się pojawiły, a wraz z nimi uleciały gdzieś chłód i przytłaczające uczucie w powietrzu. Wtedy właśnie pomyślała o wilkoludzie. Spojrzała w górę, poprzez ostatnie domostwa, ku samotnej brzozie, do której go przywiązano.

Zzerała ją ciekawość; chciała zobaczyć, jak wygląda ten obcy grasant, przymuszony do okupienia jej życia własną śmiercią, przeto powędrowała pod zbocze. Gdy dotarła do drzewa, zauważyła, że Tassi, ten stary brzuchacz, któremu powierzono straż nad więźniem, tkwił tam na niskim, trójnożnym zydłu i wyglądał na wielce nieszczęśliwego. Obok niego dojrzała wilkoluda, usadowionego na ziemi i opartego plecami o drzewo, z przywiązanymi do niego rękami. Wciąż miał sak na głowie. Mieszkańcy Eikund podzielali zabobonne podejsie Waliego do czarowników i nie mieli zamiaru pozwolić na rzucenie na siebie uroku.

– Czołem, Tassi – zagadnęła Adisla.

– Chyba nie będziesz śpiewać, co? Może i ten tutaj to wilkolud, ale nie zasługuje na taką karę. My tutaj poprzestajemy na obwieszaniu.

– Ani myślę.

Przyjrzała się jeńcowi. Był nagi, nie licząc wilczej skóry na plecach, a ciało miał wysmarowane czymś szarym, co uznała za kredowy pył. Jedynymi miejscami wolnymi od szarości były dwa czerwone otarcia na brzuchu i piersi.

Miał zdumiewającą muskulaturę, nawet dla wieśniaczki od dziecka żyjącej wśród ludzi zahartowanych przez lata mozolnej pracy. Nawet berserkowie, pomimo mikstur i ciągłych treningów z bronią, zapasów i prób siły, nie byli tak ociosani. Mięśnie tego człeka zdawały się niemal oplątane wokół kości, niby korzenie wierzby wokół kamienia.

Miała ochotę sprawdzić, czy porządnie go przywiązano – nie mogła uwierzyć, że zwykła lina mogła go unieruchomić.

– Ten to ci dopiero niezły okaz, co? – zagadnął Tassi. – Choć opatrzył mi się już po jakichś dziesięciu wdechach. Teraz jest tu tak nudno, że nie miałbym nic przeciwko, żeby mnie zwyczajnie

zaszlachtowano.

Adisla nie odpowiedziała. Wilkolud ją przerażał, lecz zarazem intrygował. Azaliż prawdę ludzie gadali – że miał głowę wilka, że mogło go zranić jeno najprzedniejsze żelazo? Teraz nie wydawał się zbyt niebezpieczny. Był wyraźnie wyczerpany i ciężko oddychał.

– Mówiłem – ciągnął Tassi – że nie miałbym nic przeciwko napić się piwa.

– No i?

– Cóż, jeśli zamierzasz kręcić się tu przez jakiś czas, nie mogłabyś go popilnować, a gdyby próbował się oswobodzić, przyjsć i mnie zawołać?

– A nie mogłeś zapłacić jakimś dzieciakom, żeby cię wyręczyły? – Jednak zaraz sobie przypomniała – z Tassiego był skąpiec nie lada. Jeśli nie musiał, za nic nie płacił.

Wzruszył ramionami, zupełnie jakby Adisla powiedziała coś zgoła niedorzecznego.

– Dobrze, idź i się napij – rzekła – ale szybko; niebawem mam zamiar wrócić do domu. Łóżko czeka.

– Tylko nie zabieraj go ze sobą, dobrze? – odparł Tassi, uśmiechając się i wstając.

– Że co proszę?

– Widzę, jak na niego patrzysz – zadrwił. – Nie można go tknąć, ale jeśli miałabyś chętkę...

– Idź już lepiej się napij – ucięła.

– Jak tam sobie chcesz. – Leniwie powlókł się w stronę dworu.

Adisla nie chciała przyznać, że Tassi ma poniekąd rację. Zaiste, ten wilkolud ją fascynował, lecz w życiu nie powiedziałaaby, że jest atrakcyjny. Po pierwsze śmierdział stęchlizną, właściwą raczej zwierzęciu niż człowiekowi. Przysiadła na zydlu. Chciała jakoś wyrazić współczucie, pokrzepić brańca, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Miast tego usłyszała samą siebie, mówiącą:

– Czy teraz żałujesz za swe przewiny?

Wilkolud nie odpowiedział. Raptem przemknął jakiś cień, a Adisla spojrzała w górę, by zobaczyć, co też to było. Niczego nie dostrzegła, acz szybkość, z jaką śmignął, przywiodła jej na myśl widziane wcześniej szpaki. Nagle opanowała ją przemożna chęć, by zobaczyć, jak wygląda ten człek. Gdyby próbował rzucić na mnie urok,

pomyślała, to odwrócić wzrok i tyle.

W pobliżu nie było żywej duszy, a z dworu dobiegała wrzawa, tak samo głośna jak wcześniej. Pochyliła się nad więźniem i dotknęła jego ramienia. Zdało jej się dokładnie takie, na jakie wyglądało – twarde niczym drzewo. Gdy odjęła palce, zostało na nich trochę szarego nalotu. Posmakowała go koniuszkiem języka. Tak jak myślała, był to rodzaj kredy. Gdy dotykała wilkoluda, ten nawet nie drgnął, i to ją ośmieliło. Uniosła sak. Teraz się poruszył; głowa zwisała w przód. Zrazu myślała, że on naprawdę ma głowę wilka, ale szybko pomiarkowała, że to tylko skóra dużego basiora opadła mu na twarz. Odkaslnął i rozprostował szyję. Ostrożnie uniosła rąbek skóry, i z zaskoczenia aż przysiadła na zydłu. Wprost na nią gapił się nie kto inny, jak sam Wali.

– Tyś naprawdę czarownikiem! – Konsekwencje tego, co właśnie zobaczyła, jęły do niej docierać. Skoro to był przemieniec, skoro przybrał wygląd Waliego, to gdyby się oswobodził, mógłby zająć miejsce księcia, jeść z nimi, bawić się i kto wie, co jeszcze? Adisła z odrazą wyobraziła sobie, że nic nie podejrzewając, mogłaby wspinać się z nim na wzgórze, a potem leżeć i całować się na trawie. Albo wypływać malutką łódką w morze, jak często robiła z Walim. A potem co? Zabójstwo, bo taka już wilcza natura.

Mężczyzna zamrugał oczami, odchrząknął i wystękał:

– Nie jestem czarownikiem. – Głos miał niski i zachrypnięty, z obcym akcentem. Słowa dobywał ostrożnie, jak gdyby były czymś kruchym, co mogłoby się rozbić przy zbytym pośpiechu. Zupełnie jakby nie nawykł do mówienia.

– To kimże jesteś?

– Jestem wilkiem.

Adisła przezornie nie spoglądała na niego zbyt długo, na wypadek, gdyby zamierzał rzucić na nią czar.

– Skradłeś twarz księciu.

– Tę twarz podarował mi brat. Noszę ją z dumą. Patrę jego oczami, a on znów widzi przez moje. Noszę jego futro, a on znów biega ze mną i przeze mnie.

Adisła pomiarkowała, że mówi o wilczej skórze.

– Jesteś mimikiem – osądziła – dyskretnym podstępny przemienicem. Kto cię tu przysłał?

– Ukradłem jądło jakiemuś człękowi ciemnej maści. Rzucił na

mnie urok i przyprowadził tutaj.

Adisła się roześmiała. Waliego, jak dobrze wiedziała, o wiele bardziej zajmowała gra w hnefatafla czy wałęsanie się po wzgórzach niż magia.

– Sam jesteś ciemnej maści, nie ma powodu wyzywać innych.

– To prawda. Wszak jestem wilkiem.

– I cóż ci z tego przyszło, wilku?

Nic nie powiedział, jeno świdrował ją wzrokiem.

– Obwieszają cię – dodała.

Wciąż żadnej reakcji. Nie mogła odwrócić od niego wzroku. Czy tak właśnie wygląda, zastanawiała się, jak rzuca na ciebie urok?

– Coś mi się widzi, że nie bardzo się tym przejmujesz.

– Jestem wilkiem.

Pomyślała, że on nie zdaje sobie sprawy z tarapatów, w jakie się wpakował. Czy też może śmierć nie znaczyła dla niego tego samego, co dla niej?

– Jesteś Fenrirem Wilkiem – rzekła – spętany sznurem i zakutym w łańcuchy.

– Pewnego dnia Fenrisulfr wyswobodzi się z więzów. Tak mówią wieszczby.

Adisła poczuła, że przechodzi ją zimny dreszcz. Zawsze uważała ten mit za niepokojący. Bóg Loki począł potworne potomstwo, w tym gigantycznego Fenrira Wilka. A bogowie tak bardzo obawiali się Fenrisulfra, że podstępem zwabili go w pęta. Przywiązano go sznurem, zwanym Cienkim, do skały zwanej Krzykiem, między szczęki wrażono miecz, by nie mógł ich zamknąć, a kapiąca spomiędzy nich ślina utworzyła rzekę zwaną Nadzieją. Podług legendy wilk miał tam spoczywać aż po zmierzch bogów – Ragnarök – gdy uwolni się z pęt i zabije Wszechojca Odyna. To da początek nowej erze, rządzonej przez piękne, sprawiedliwe, bezstronne duchy, nie zaś przez zdemoralizowanych, zwyrodniałych, mściwych i podstępnych bogów pod przewodnictwem Odyna, zwanych Asami.

Przez myśl przemknął jej fragment wieszczby.

Okowy pękają, Fenrir-wilk wolny pędzi.

*Wiele wiem, przeszłość widzę.*¹⁹

¹⁹Fragment staroeddaicznej *Wieszczby wölwy (Völuspá)*, przeł. A. Załuska-

Matka opowiedziała jej tę legendę w dzieciństwie, a Adisla słuchała, zachwycona i zatrwożona zarazem.

– Ale tyś nie Fenrirem Wilkiem, bo już dawno byś się oswobodził.

– No – rzekł wilkolud. Zdawał się wielce przygnębiony.

– Chciałbyś coś zjeść, napić się czegoś?

– No.

Adisla udała się do hali. Tam wszyscy byli już zbyt pijani, by ją zauważyć. Wszyscy, oprócz Waliego, który spojrzął jej w oczy, ale szybko odwrócił wzrok. Wzięła trochę chleba i masła ze stołu biesiadnego, do tego kubek. W drodze powrotnej zacerpnęła wody ze studni i zanurzyła naczynie w wiadrze. Następnie ponownie przystąpiła do wilkoluda.

Nakarmiła go chlebem, wpychając mu go do ust, niemal lękając się, że może ją ugryźć. Jadł niespiesznie, nie połykał wielkich kęsów niby zwierz, czego się spodziewała. Przyjrzała mu się uważnie. Istotnie, był bardzo podobny do Waliego, jednak twarz miał bardziej ogorzałą i szczuplejszą. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego włosów – te również były takie same, jak u Waliego. Atoli nie był on dokładną kopią księcia, jeno bardzo podobną. Czy wciąż uważała go za czarownika? Sama już nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Nie sądziłam, że wilkoludzie umieją mówić – przyznała.

– Znam tylko dwóch – odparł. – Jeden nie mówi nic. Ja tak, acz jeno w razie potrzeby.

– Czyli kiedy?

– Nieczęsto.

– Czy twoja matka też jest wilkoludem? Albo wilkiem?

– Moja rodzina jest taka jak ty. Utraciłem ich, gdy byłem mały.

– Pomarli?

– Nie, utraciłem ich na zboczu wzgórza. Od tego czasu jestem pod opieką mego wilczego ojca.

Był bardziej podobny do Waliego niż się Adisli wydawało. I on, w gruncie rzeczy, także stał się sierotą w młodym wieku. Czemu tak bardzo współczuła temu bandycie, czemu tak bardzo ją fascynował?

– Dano cię czarownikowi?

– Nie czarownikowi. Wilkowi.

– Takiemu jak ty?

– Tak.

Przez chwilę milczeli, a ona jeno pomagała mu jeść i pić.

Wtem wilkolud się zapytał:

– Czemu mi pomagasz?

– Sama nie wiem.

– Twoi pobratymcy bili mnie i przywiązali tutaj. Jesteś im zdrajcą?

– Jestem wierna sobie – wyjaśniła. – Jestem wolną kobietą i nikt mi nie rozkazuje.

Wilkolud przyjrzał się jej bardzo uważnie.

– Jak ci na imię? – zapytała.

– Jestem wilkiem.

– A czy wilcy nie mają imion?

– Nie mają.

– Cóż, wilku, mnie zwą Adisla.

Po raz pierwszy odwrócił od niej baczne spojrzenie i wbił wzrok w ziemię.

– Ma rodzina nazywała mnie Feilegiem – zdradził – ale utraciłem to imię, gdym i ich utracił.

– Zdaje się, że nie nawykłeś do życzliwości, Feilegu.

– Jestem wilkiem. – Pomiarkowała, że ich spojrzenia znów mimowolnie się spotkały. Miał oczy tak podobne do Waliego, choć pozbawione wesołości, ale również i nieśmiałości wejrzenia księcia.

Intuicja podpowiadała jej, że jeniec chce o coś zapytać. To już to? Czar rzucany przez szamanów? Czyżby ją ogarniał?

– No, wyduś to z siebie!

– Wyjdź za mnie.

Jeśli to był czar, te słowa przerwały jego działanie. Adisla wybuchnęła śmiechem.

– Obawiam się, panie, że twe szanse na ożenek przedstawiają się raczej marnie.

– Ucieknę – rzekł wilkolud z pewnością w głosie. – Wyjdź za mnie. Jesteśmy po słowie, wymieniliśmy uprzejmości. Teraz trzeba ci pójść do rodziny i oni to urządzają. Moja matka mówiła mi, że tak to się odbywa. Na wzgórzach mam wiele bogactw i złożę je u twych stóp. Idź

do rodziny.

Adisła wstała.

– Obawiam się, że to nie takie proste, jak ci się zdaje – odparła.
– Nie wyjdę za ciebie, ale zostanę tu na noc, by cię chronić, by nie spotkała cię krzywda, aż do czasu tej największej oczekiwanej o pełni księżyca. I będę ci śpiewać.

I tak zrobiła. Nie fałszywym głosem, którym dręczyła tych, co ją więzili, ale tak, jak potrafiła naprawdę – czysto i wysoko zaśpiewała mu pieśń o kmiącym synu, co położył na szali własne życie w zamian za miłość księżniczki, ginąc z ręki jej braci, gdy spał obok swej oblubienicy.

– Twój lud pozwala kobietom śpiewać o takich rzeczach? – zapytał wilkolud, gdy skończyła.

– Nie – odparła Adisła – ale tu i tak nie ma nikogo, kto mógłby mnie posłyszeć. A ja nie jestem zaklinaczką, tak jak ty nie jesteś czarownikiem. – Spojrzała w dół, na kubek trzymany w ręce. – A nawet, gdybyśmy byli nimi, to i tak nie ma tu nikogo do oczarowania.

A potem usiadła obok niego i przyglądała się, jak księżyc pnie się po niebie.

18. NAJAZD

Wali zbudził się, wstrząśnięty, jakby ocknął się na łodzi z impetem przybijającej do brzegu. Zrazu zastanawiał się, gdzie też się znajduje, ale szybko sobie przypomniał – w hali Widłobrodego. Język mu się płatał, a w głowie huczało. Tak to już jest po udatnej popijawie. Strasznie chciało mu się rzygać. Rozejrzał się wokół. Wszędzie na ławach zalegli ludzie, niektórzy wciąż z napitkami w dłoniach. Chciał się wysikać, zachorzeć, cokolwiek, byle tyle uwolnić się od tego uciążliwego bzyczenia w głowie.

– Jeszcze piwa, paniczu? – ozwał się Bragi, wręczając mu róg. Wciąż był na nogach, nadal pil w najlepsze, pomimo że wszyscy wokół już dawno padli w boju.

– Następny łyk wypiję już w Walhalli – wybełkotał Wali. Od samego patrzenia na trunek robiło mu się niedobrze. Chwiejnym krokiem wytoczył się na zewnątrz dworu i udał się za potrzebą w dół, ku kei.

Było ciepło. Słońce wisiało wysoko, a grzało tak, że niemal gotowało Waliemu głowę. Musiał się orzeźwić, wszedł przeto głęboko do wody, a potem zwyczajnie się w niej położył. Chłód zdawał się go ożywiać; nim wyszedł na brzeg, czuł się lepiej. Omiótł spojrzeniem okolicę. Żywej duszy. Podeszedł do studni, zaczerpnął wody do wiadra i oblał się nią, pijąc zarazem. Rzucił okiem na wilkoluda. Ktoś przykrył go tkaniną dla ochrony przed słońcem. Któż mógł to zrobić? Ktoś spał na ziemi za jego plecami, niemal całkowicie otulony płaszczem. Oczy Waliego były jeszcze pełne snu i wilgoci; nie potrafił ani zmusić ich do skupienia wzroku, ani polecić swemu sponiewieranemu mózgowi, by myślał o czymś poza pragnieniem.

Zaczerpnął kolejny łyk wody z wiadra i spojrzał w dal, na morze. Na horyzoncie zobaczył szarą smugę. Zrazu nie pomiarkował, co to było. Potarł oczy. Burczało mu w brzuchu, pomyślał przeto, by wrócić na dwór i sprawdzić, czy nie zostały czasem jakieś resztki z wczorajszej biesiady.

Nagle pojął, czym było pasmo szarości. Dym. Z ognia rozpalonego na lodzi. Langskipy zabierały w rejsy stabilizujący łądz kamienny balast, w razie potrzeby służący za palenisko. Ktoś, hen daleko, na widnokręgu, właśnie coś pichcił. Tylko czemu robił to tak blisko łądu? Gdyby to byli kupcy, mogliby przecież błyskawicznie zjawić się w wiosce, gdzie bez trudu wkupiliby się w łąski gospodarzy, płacąc zajadło i piwo do spłukania żołądka. Wtem przypomniał sobie pamiętny najazd na klasztor. Naonczas berserkowie rozpalili ogień przed wyruszeniem w bój, parząc napar z ziół i powodujących amok grzybów.

– Nie bądź śmieszny – upomniał samego siebie.

Wtem prawdziwe znaczenie sytuacji uderzyło go niby pięść. Oczywiście! Ktoś sposobił się do ataku!

Widłobrody wyruszył na miejscowe zgromadzenie, zabierając ze sobą sześć dziesiątków najprzedniejszych wojów. Jeśli jakiś wróg dowiedział się o tym, miał świadomość, że wioska Rygirów jest właściwie niebroniona. Bo któż został? Kmiecie, zramolali woje, kobiety i dzieci. Trudno o lepszy czas do ataku.

Wszystko zaczęło się układać w spójną całość. To dlatego Waliego wezwano do powrotu. Matka nie chciała, by był tu podczas najazdu. Tylko czemu nie przysłała posiłków? Bo Authun może i był obłąkany, ale wciąż u władzy. Ona mogła kupować zboże, wydawać za mąż córki i posłać po syna, atoli woje Białego Wilka, póki ten dychał, działali tylko z jego poruczenia. Bez przywództwa Authuna nad ludem Horda, ona nie mogła zrobić nic, by pomóc swym sprzymierzeńcom lub uderzyć na wroga. Azali siostra Waliego, Dalia, nie wyszła za tego Duna, Ingwara? Stało się tak, gdyż Horda byli bezbronni – tylko małżeńskie sojusze zapewniały im bezpieczeństwo. Dopóki nikt nie wiedział o przypadłości Authuna, dopóty duńscy królowie ochoczo proponowali swych synów za mężów, myśląc, że w ten sposób kupują sobie ochronę. A tak po prawdzie to nieświadomie, bo wprowadzeni w błąd, oferowali swoją. Tylko czemu Yrsa nie ostrzegła Widłobrodego? Bo bała się, że Wali nie ożeni się z jego córką. Wieści o próbie wymigania się Waliego od ożenku z Ragną już wcześniej dotarły na dwór Authuna. Skoro Yrsa nie mogła być pewna, że Wali, mimo wszystko, przystanie na małżeństwo, mogła żywić obawę o trwałość sojuszu z Rygirami. Chciała przeto zapewne odwrócić uwagę sąsiadów,

by skupili się na walce z innym wrogiem. Czemu więc nie uprzedzono o tym Rygirów? Bo, w chwili bezbrzeżnej głupoty, Wali powiedziano, że nie spełni swego obowiązku. Sam sprowadził na Rygirów nieszczęście i z tego powodu było mu wstyd.

Wbiegł do wnętrza hali.

– Nuże, wstawać! Wróg przybywa! Wstawać, ale już! – zakrzyknął.

W palenisku wciąż tliły się węgle. Wyciągnął kilka na paterę do chleba, zebrał nieco słomy z podłogi i pognął do stosu sygnalizacyjnego. Rozpalenie go zdawało się trwać całe wieki.

– Żwawo, żwawo! Chwytać za broń i tarcze, walka nas czeka!

Bragi wytoczył się z izby z beztróską godną gospodarza omiatającego wzrokiem swe włości o pięknym poranku.

– O co się rozchodzi, panie?

– Spójrz na horyzont. Dym. To okręty wojenne, ani chybi.

– Tudzież jakiś handlarz pitraszący makrelę – odparł Bragi, spokojny i niewzruszony.

– Jeśli zmierzałby tutaj, to przekąsiłby coś już na miejscu, a gdyby chciał nas ominąć, nie ryzykowałby ściągania na siebie uwagi naszych łodzi. Kiedy ostatnio widziałeś podobny dym?

– Tu nie, ale...

– Przypomnij mi – kim jestem?

– Walim, księciem walecznych mieczy Horda.

– A czyim synem jestem?

– Authuna, pana bitew.

– Zatem uszanuj to i zwołaj ludzi pod broń! Dmij na alarm!

Bragi wzruszył ramionami, atoli wyjął róg z za pasa. Jedną z najbardziej ujmujących cech starego woja było to, że niemal nie rozstawał się z wojennym rynsztunkiem. Przeważnie nosił przy sobie nawet hełm, aliści do przywdziewania kolczugi posuwać się nie zamierzał – to byłby już zbytek sumienności. Jednakże wiadomo, że brał z sobą tarczę, o ile nie wyprawiał się zbyt daleko.

Bragi zadał trzy razy w róg, a potem wszedł do wnętrza hali i jął cucić ludzi. Zrazu niewielu mu uwierzyło, myśląc, że płata im figle, atoli ponaglani przez Waliego, wytoczyli się na zewnątrz i zobaczyli płonący stos sygnalizacyjny. A tego nigdy nie rozpalano dla żartu. Dalej, na grzbiecie wzgórze, w odpowiedzi, zapalono kolejny. A po

nim, jak wiedzieli, będą następne, wzywające pospólstwo z siół, by popędziło w dół bronić wybrzeża.

Wali zlustrował podkomendnych. Czterdziestu mężczyzn, a raczej chłopaczków i dziadygi, ten i ów wciąż na poły pijany. Krzykiem i kopniakami pogonił ich po rynsztunek. Skacowani i zaczerwienieni, otwierali skrzynie w hali, wydając broń, przeszywanice, kilka kolczug i hełmy. W oddzielnym składzie odszukano tarcze i włócznie. Ludzie zataczali się i potykali, zakładając moderunek, zderzali się ze sobą, sięgając po oręż.

– Żagle! – zakrzyknął Bragi z zewnątrz. Choć jeszcze wyraźnie mocno pijany, staruszek miał na sobie kolczugę i dzierzył dwie włócznie, jedną – grubą i długą, a drugą – krótszą i cieńszą, bardziej oszczep.

Waliemu nie chciało się przywdziewać kolczugi, choć miał prawo do jednej. Chwytał saks, tarczę i hełm, i podał je Bragiemu.

– Ustawcie się w mur tarcz na szczycie wzgórza, na Grzbiecie Wieprza, na polnej dróżce od strony zagajnika – polecił. – Nie okrażaj nas od tyłu przez las, a przynajmniej nie od razu. Bragi, trzymaj rynsztunek na podorędziu, jeszcze mi się przyda. Ustaw pięciu łuczników w lesie i każ im nie strzelać, póki nie rozkażę. Żadnych strzał, póki wróg się nie zbliży. Żadnych, rozumiesz?

– Tak, panie. Ale czy podejda pod wzgórze? Chyba raczej złupią tutaj, co się da, i sobie pójdą.

– Mają berserków na pokładzie. Na pewno podejda – uspokoił go Wali. – Już ja się o to postaram. Tylko tam mamy szansę się im przeciwstawić. Śpiesz na wzgórze i rozstaw mur, ale bądźcie gotowi mnie wpuścić – wpadnę między was jak burza.

Bragi już wcześniej zdziwił się niepomierne, gdy Wali pojawił się z wilkoludem. Lecz teraz w jeszcze większe zdumienie wprawiła go nagła przemiana księcia.

Z wnętrza hali wyłonili się Hogni i Orri.

– Aaa, Horda, zuch chłopaki – rzekł Wali. – Pójdziecie za łucznikami w las, by osłaniać przód muru tarcz. Dopilnujcie, by nie strzelano, póki nie dam komendy. Potem zaatakujecie wroga od tyłu. Sami się zorientujecie, kiedy.

– Tak, panie. – Hogni i Orri byli zbyt wczorajsi, by się sprzeczać lub przypomnieć, że brali już udział w pięciu wyprawach

łupieskich i od podszewki znają wojenne rzemiosło. Zresztą, Wali był księciem. A na placu boju szlachetnie urodzeni są od tego – jeśli nawet tylko od tego – by wydawać rozkazy.

Langskipy zdążyły już zbliżyć się do brzegu. Dało się słyszeć ujadanie berserków, dźwięk uderzeń w tarcze i ciała, przysięgi na Odyna i przeklinanie wrogów. Nie sposób było zrozumieć słów, lecz dla tego, kto wcześniej słyszał te zaśpiewy, ich wymowa była jasna.

– Odyn!

– To furia!

– Odyn!

– To wojna!

– Brzmią jak nasi ludzie, panie – zauważył Orri.

Bragi pokręcił głową.

– Spójrz na łodzie. Płytko zanurzone w wodzie. To te psubraty, Danowie – ich okręty ledwie muskają fale. Widziałem ich w Kaupangen. Ani chybi, opłacili kilku pobliskich piratów, ale to na pewno Danowie.

Wali odwrócił się do swej zbieraniny.

– Jam jest Wali, syn Authuna Białego Wilka, grabieżcy pięciu grodów, nieźrówanego w bitwie. Jako książę ogłaszam się wodzem, skoro nie ma tu waszych książąt, by was poprowadzili. Tam są trzy okręty, co najmniej osiemdziesięciu ludzi. Nie zdołamy walczyć aż z tyłoma. Sprawimy jednak, by tak drogo zapłacili za to, co wezmą, iż przeklinać będą dzień, w którym skierowali żagle ku naszym brzegom. Do czasu, aż dotrę na szczyt wzgórza, zostawiam was pod komendą Bragiego. Zanieście modlitwę do swych bogów, prosząc, by przygotowali się na wasze przyjęcie.

Bragi skłonił głowę i skinął na ludzi, by za nim podążyli. Luźna zbieranina tłumnie przelała się przez wioskę, odprowadzana przez kobiety, psy i dzieci.

*

Adisła zbudziła się, słysząc rejwach. Rozejrzała się wokoło. Spała pod gołym niebem, przykryta pożyczonym płaszczem; jej włosy zwilżyła rosa.

Wrzaski, wołania i zapach ognia. Płacz dzieci, pokrzykiwania

kobiet i mężczyzn. Jej wzrok padł na miejsce, gdzie Wali ustawiał ludzi w szyku, a potem na morze. Trzy żagle. Monotonny zaśpiew. Wiedziała, co nadchodzi. Wilkolud również. Po raz pierwszy szamotał się w więzach.

Posłyszała, co Wali powiedział podkomendnym. „Gotujcie się na śmierć”. Wydało jej się niewłaściwe, by ktoś, kto żył tak wolny, miał umrzeć związany niby wieprz podczas uboju. Zdjęła sak z głowy Feilega.

Pierwszą osobą po Adisli, jaką zobaczył wilkolud, był Wali. Feileg pamiętał twarz śpiącego w wąwozie mężczyzny i domyślił się, kto wziął go w niewolę. Warknął gardłowo, z taką furją, że dziewczyna aż się odsunęła.

Spojrzała na niego.

– Zamierzam cię puścić – rzekła – ale wpierw musisz mi przyrzec, że nie skrzywdzisz ni mnie, ni moich pobratymców.

– Obronię cię. Będę ci służył.

– Przysięgnij na bogów, w których wierzysz.

– Przysięgam na niebo i ziemię.

– A zatem to jedyna przysługa, jakiej od ciebie wymagam – że nie skrzywdzisz jego, mego ukochanego, co cię tu przywiódł – oświadczyła Adisla. – Trzymam cię za słowo. Dochowasz go?

– Tak.

Wyjęła nóż zza pasa i zaczęła przecinać więzy. Łodzie były już naprawdę blisko, niemal dawało się rozpoznać pojedynczych członków załóg. Zdwoiła wysiłki, zawzięcie piłując pęta wokół rąk i szyi wilkoluda. Wszechobecna panika sprawiła, że nikt nawet nie zauważył, co robi Adisla. W końcu go oswobodziła.

Feileg wstał, poruszając się niby zgrzybiały starzec, ciężko podnoszący się z łóżka.

– A teraz zmykaj. Grozi ci śmierć z obu stron. Czmychaj, no już!

– Zostanę z tobą.

– Nie – zaoponowała. – Zabraniam ci. Idź. Przysięgłeś mi służyć, więc teraz rób, co mówię. W nogi!

Wilkolud wbił w nią spojrzenie. W pewnym sensie przypominał jej zwierzę, psa przekrzywiającego głowę po usłyszeniu nieznanego dźwięku.

- Wilkolud się uwolnił, panie!
- Adisla, nie ruszaj się! Już idę!

Wali znajdował się o strzał z łuku od nich; pokonał ten dystans w biegu, z wyciągniętym saksem w dłoni. Wilkolud widział to i obnażył zęby.

- Przysięgałeś! – pisnęła Adisla.
- Feileg złapał ją za ramiona.
- Nigdy cię nie zapomnę – rzekł.

A potem ją pocałował – jak dziecko, zniecka przyciskając wargi do jej ust – i już go nie było. Dziewczyna stała osłupiała ze zdumienia, gdy u jej boku pojawił się Wali.

– Adisla, nic ci nie jest? Jak on się uwolnił? Wszystko w porządku? Kochanie, co z tobą? Gdzie jest Drengi? Gdzie? Gdzie twój wybranek?

- Chyba poszedł z innymi mężami na wzgórze.

Wali zmarszczył brwi.

– Powinien cię szukać. To o ciebie powinien się martwić w pierwszej kolejności.

- Co mam robić?

– Wracaj do gospodarstwa i wyprowadź matkę na pola. Musicie się ukryć – wiesz, gdzie. Odnajdę was, jak się uspokoi.

Adisla przytuliła go i po raz pierwszy w życiu zrozumiała uczucia kobiet na nabrzeżu, życzących mężom pomyślności na wojnie. Pomiarkowała, czego potrzeba mężczyznom w takich chwilach – nie przypomnień o miłości, którą zostawiają, nie usilnych próśb, by dbali o siebie czy życzeń powodzenia. Mężczyźni podczas bitwy trzeba odwagi, a nie myśli, że jego śmierć przysporzy innym zgryzot czy goryczy. Przeto Adisla pocałowała go i wypowiedziała zwyczajowe słowa pożegnania, którymi żona wyprawia męża w bój.

- Zabij ich dla mnie całą setkę.

Skinął głową, mocno ją przytulił, a potem lekko odepchnął.

- Biegnij. Biegnij, jeśli ci życie mile.

Tak też zrobiła, w te pędy gnając w górę zbocza ku gospodarstwu.

Wali odwrócił wzrok i spojrzał na morze. Przy nabrzeżu dostrzegł coś zgoła osobliwego. Na niewielkiej plaży stał wilkolud, sam naprzeciw trzech łodzi, warcząc i uderzając się w piersi, raz

wyprostowując się, raz przykucając na piasku. Berserkowie, wyjąc, palili się do ataku, ale sternicy poprowadzili łodzie bokiem, by mu się lepiej przyjrzeć. Trzeźwym ludziom kierującym langskipami wydawało się, iż przyjdzie im się mierzyć z wilkołakiem, chcieli przeto dokładnie go obejrzyć, nim zejda na ląd.

Feileg opóźniał ich przybicie do brzegu, co dało Waliemu czas na działanie. Nie miał pojęcia, gdzie Widłobrody przechowywał swoje skarby – ten sekret był znany tylko naprawdę nielicznym – atoli na dworze znajdowało się dość przednich pucharów i gobelinów, by przysłużyły się jego zamysłom. Zerwał ze ścian kilka tkanin i zawinął w nie tak dużo metalowych platerów i pucharów, ile tylko zdołały pomieścić. Potem przewiązał je luźno i wybiegi na zewnątrz. Wiedział, że berserkowie podążą w ślad za nim, jeśli tylko ich sprowokuje, chciał jednak i reszcie wojów dać powód do pójścia za ich przykładem.

Teraz już mógł się naprawdę dokładnie przyjrzeć napastnikom. Langskipy znajdowały się tuż przy wybrzeżu, równoległe do niego. Wojowie pokrzykiwali, wyli niby wilcy i ryczeli niby niedźwiedzie, niektórzy gębowali coś niezrozumiale, inni nawet walczyli między sobą. Berserkowie, jako żywo. Wali przełknął ślinę. Dobrze. Właśnie tego było mu trzeba.

Sternicy najwidoczniej zdecydowali, że jeden wilkolud, nieważne jaką obdarzony magią, nie stanie im na przeszkodzie. Obrócone ruchem wiosel dzioby łodzi pomknęły ku wybrzeżu. Napierając z coraz większą siłą, wiosłarze pospieszyli langskipy do ataku.

Wilkolud osiągnął swój cel – dał Adisli więcej czasu na ucieczkę. Teraz i on również czmychnął, a z całej osady na miejscu pozostał jeno Wali, obserwowany ze wzgórza przez garstkę zwiadowców.

Pomachał im, a oni odpowiedzieli tym samym. Wskoczył na konia, przrzuciwszy przez siodło pobrzękujące zawiniątka. Niełatwo było zrównoważyć ich ciężar, ale się udało; upuścił przy tym jeno kilka platerów. To nie miało znaczenia; w rzeczy samej, nawet dobrze się stało. Wali zawrócił konia ku wybrzeżu, klusem zmierzając w stronę nadpływających Danów.

Kilku berserków nie mogło zdusić w sobie pragnienia, by czym prędzej go dopaść, wyskoczyli więc przez burty wprost do wody,

niemał topiąc się w rozpaczliwej próbie utrzymania się na powierzchni bez wypuszczania broni.

Wali ustawił konia bokiem do przybijających łodzi i zakrzyknął co sił w płucach:

– Spóźniliście się, wy tchórze! Nie widzicie? Skarb Widłobrodego wam umyka!

Z najbliższego langskipa poleciało ku niemu kilka strzał i Wali instynktownie ściągnął wodze. Żadna go nie dosięgła, ale spłoszyły zwierzę. Koń zarzucił do boku, wierzgnął i zwałił jeźdźca. Wali wylądował w wodzie, a gobeliny rozwiązały się, zasypując wodę deszczem pucharów i platerów. Ich brzęk jeszcze bardziej wystraszył konia – zwierzę pomknęło przed siebie, byle dalej od wrzawy.

Z nadpływających łodzi dobiegł ryk. Wali, okrutnie zdyszany, nie miał czasu, by dojść do siebie. Zebrał, co się dało i chwiejnym krokiem powłókł się w górę, do kolejnego wierzchowca.

Za plecami usłyszał szuranie ciężkich łodzi dobijających do kamienistego brzegu.

– Odyn, pogromca! Odyn, szaleniec! Odyn, wojną pijany! Odyn! Odyn! Odyn!

Berserkowie nawet nie zatrzymali się, by pochwycić puchary i platerę, od razu hurmą popędzili ku Waliemu. Książę przypadł do konia, odwiązał go i wskoczył na grzbiet. Z zawiniętego w gobeliny skarbu ostał mu się jeden puchar. Wyciągnął go ku berserkom. W tym samym momencie ujrzał znajomą twarz. Na czele natarcia gwałtowny mężczyzna w skórze białego niedźwiedzia, ze szramą biegnącą przez całe czoło. Ten sam berserk, który zabił mnichów – Bodwar Bjarki. W jednej ręce dzierżył oszczep, a w drugiej – wielką żelazną grzechoczącą łęgę. Najwyraźniej awansował na przywódcę tych szaleńców.

Od tamtych wydarzeń minęły trzy lata, i Wali był silniejszy niż wtedy, pamiętał jednak, co do niego należy. Mimo to zawołał do berserka:

– Pomniesz mnie, ty bezmózgi tchórze? Przybyłeś, by zapłacić mi za niewolników, których żeś zabił?

Berserk cisnął oszczepem w Waliego, lecz książę zdołał w porę przypaść do końskiego tułowia. Broń świsnęła mu tuż nad głową.

– Tylko na taką nędzną włócznię cię stać? Niewiele warta,

nawet jeśliby udałoby się zdrapać z niej twe gównno.

To jeszcze bardziej rozwścieczyło berserka, który w amoku pognał w górę plaży, nawet nie obnażając broni. Waliego aż korciło, by staranować go koniem, ale napomniał się, że wierzy wszak w cnotę organizacji i trzeźwego osądu na polu walki. Między innymi po to przekazał ryszunek Bragiemu, by nie mieć czym walczyć, gdyby nawet naszła go taka pokusa. Tę bitwę, pomyślał, wygramy dzięki rozumowi, jak partyjkę hnefatafla, a ja muszę się trzymać planu. Pośpieszył konia kawałek pod zbocze, a potem odwrócił się, by zorientować się w sytuacji. Z łodzi wysiadali właśnie co bardziej trzeźwi woje; przy okazji spostrzegł też porporzec z symbolem Haarika, króla północnych Danów z Aggersborgu²⁰ – ciemnym smokiem. Dokładnie tak, jak myślał: Danowie wspierani byli przez miejscowych berserków. Zastanawiał się, czy to nie oni podsunęli swoim mocodawcom pomysł urzędzenia wyprawy. Atoli takie rozmyślenia trzeba było zostawić na później – czas naglił. Wbił pięty w bok konia i popędził go do szybszego chodu, przezornie trzymając się poza zasięgiem włóczni, ale na tyle blisko, by napastnicy mieli go na widoku.

Za plecami posłyszał nawoływania.

– Upuścimy ci krwi!

– Brać go!

Dobrze. Przyciągnął ich uwagę. Co prawda, dwór Widłobrodego już płońął, lecz berserkowie wciąż gonili za Walim. Tylko czy poprowadzą za sobą resztę wojów? Gdy dotarł na skraj osady, zatrzymał się i ponownie wzniosł puchar w górę. Widział, jak mężczyzna trzymający sztandar Haarika wskazuje na niego palcem, a potem grupa około czterdziestu wojów truchtem rusza w ślad za berserkami pod zbocze.

Odjechał dalej, odwróciwszy się plecami do wraźych drwin. Nadszedł czas, by przejść do najbardziej niebezpiecznej części planu. Gdy dotrze do lasu, pozwoli berserkom się dogonić. Zsiadł z konia i uniósł puchar do góry.

– Tchórze! – zakrzyknął. – Tchórze! – Na placu boju bardziej

²⁰Dawna osada wikińska, położona na półwyspie Himmerland, na północy Jutlandii, opodal brzegu Limfjord; obecnie znajduje się tu największy kolisty obóz warowny wybudowany w epoce wikingów.

kwieciste zniewagi nie miały sensu, i tak nikt by ich nie posłyszał. Koń wpadł w panikę i rzucił się do ucieczki. Teraz Wali nie miał już jak uciec. Wiedział, że albo mu się powiedzie, albo zginie.

Grupka sześciu czy ośmiu berserków bezładnie podążała za Bjarkim w górę zbocza. Byli już blisko; kilka włóczy wbiło się w wał opodal ścieżki. Wali odwrócił się, a tamci jęli wrzeszczeć i prężyć mięśnie, wytykać go palcami i wyć potępieńczo. Stanęli w miejscu. Wali wyciągnął jedną z włóczy i odrzucił, ciskając zdecydowanie za daleko; tak bardzo przepełniała go bitewna gorączka. Mniejsza o to, i tak osiągnął swój cel. Berserkowie ponownie rzucili się w pogoń.

Biegł co sił, świadom, że znalazł się na wąskiej, zapadniętej dróżce i że przewaga, którą miał nadzieję dać własnym ludziom, mogła teraz zadziałać na jego niekorzyść. Miał bowiem ograniczoną możliwość gestykulacji, by dać znak swoim kompanom; nadto, był teraz łatwym celem dla wroga.

Ubrany był lekko, ale także i berserkowie. Oni byli jednak więksi i ciężsi, przeto na ścieżce nieco ich odsadził. W ziemię obok niego wbiła się kolejna włócznia, potem topór ręczny uderzył go w plecy, na szczęście – jeno obuchem. Wiedział, że wróg był blisko – skuteczny zasięg topora nie umywał się bowiem do włóczni. Gdy Wali zbliżał się do szczytu wzgórza, miał nadzieję, że mur tarcz jest już na miejscu.

Był, dziękować Nornom. Trzydziestu mężczyzn w czwórzeregu, gęsto ściśniętych na szerokości ścieżki. Ale właśnie wtedy Wali pomiarkował, że nie ma gdzie uciekać. Nie chciał nakazać murowi rozstąpienia się, gdyż nie miał pewności, że zdąży on na czas się zawrzeć. Rzucił okiem za siebie. Berserkowie byli nie dalej niż o dwadzieścia sążni.

– Opuścić włócznie! – krzyknął, pędząc ku formacji.

Na jej czele znajdował się Bragi, który klepieniem dłoni skierował ku ziemi groty czterech czy pięciu włóczy.

Wali zmusił nogi do jeszcze jednego, ostatniego wysiłku i pognął na złamanie karku. Wtem spostrzegł korzeń drzewa wystający z wału i gwałtownie skręcił na pobocze. Odbił się od niego z jednej nogi i rzucił się ponad głowami swych ludzi. Przy lądowaniu stracił równowagę, wpadając z impetem na tylny szereg i obalając trzech mężczyzn.

– Włócznie w górę! W górę! – zakrzyknął Bragi.

Rozwrzeszczani berserkowie sadzili ku nim wielkimi susami. Obrońcy wycelowali włócznie wprost przed siebie. Jeden z chłopców z przodu zemdłał na widok wroga, więc wciągnięto go za nogi na tyły formacji. Miecza Waliego nigdzie nie było, jednak książę nie miał czasu się tym martwić. Wepchnął hełm na głowę, pochwycił tarczę i jął się przepychać, by wypełnić lukę. W przednim szeregu panował nieopisany ścisk, niedający możliwości zamachu bronią, co i tak nie miało większego znaczenia, bo Wali jej nie miał.

– Dajcie mi włócznie! Włócznie! – zakrzyknął Wali, ale wołał po próżnicy. Pośród bitewnej wrzawy i tak nikt go nie mógł usłyszeć. Musiał się zadowolić jeno tarczą, póki nie znajdzie swego saksa albo innego oręża. Ścisnął kurczowo uchwyt za umbem. Bragi potrafił zadać cios tarczą, lecz Wali jakoś nigdy nie miał do tego talentu. Sedno w tym, powiedział mu kiedyś staruszek, by nie robić zamachu, a przenieść ciężar na ramię w szybkim wypadzie do przodu, nie większym niż szerokość pięści. Wali widywał regularnie, jak Bragi obalał tym ciosem ludzi w ramach pijackich zakładów, i pożałował, że nie przyłożył się do nauki tej sztuczki.

Zebrane za nim kobiety i dzieci krzyczały, berserkowie wyli, a jego podkomendni wywrzaskiwali przekleństwa i czynili bronią niemożliwy rwetes. Już sam szczęk oręża przyprawiał o zawrót głowy. Tylny szereg, choć zdezorganizowany upadkiem Waliego, posłał w kierunku wroga kilka pocisków – dwa oszczepy, toporek i parę kamieni. Jeden oszczep trafił berserka w nogę i, choć ten próbował biec dalej, beznadziejnie go okulał. Gdy koniec drzewca zahaczył o wał, raniony mężczyzna wrzasnął, zatoczył się i upadł. Toporek chybił celu, kamienie również.

Berserkowie nie mieli tarcz, jeno włócznie lub kamienie w jednej ręce, a w drugiej – wielkie toporzyska. Gdy wróg obrzucił ich, czym tylko się dało, Wali przykucnął za tarczą. I na dobre mu to wyszło, bo chwilę później grot włóczni przebił osłonę i utkwiał w niej, a książę wyszedł z tego bez szwanku. Nikt wokół nie odniósł na razie widocznych obrażeń, i wydawało się, że mur tarcz dobrze spełnia swe zadanie.

Kilka włóczni jednak zrobiło swoje. Tarcza Waliego była teraz ciężka i nieporęczna, wiedział, że będzie musiał ją wypuścić, jeśli jakiś

wróg pociągnie za zaklinowane drzewce. Berserkowie runęli w mur tarcz z siłą mniejszą, niż się spodziewał. Musieli wpierw pozbyć się wymierzonych w nich włócznie, rąbiąc je toporami lub zwyczajnie – chwytając i odciągając na boki. Osłabiło to impet ataku; słychać było jeno szcęk uderzających o siebie broni, gdy obie strony walczyły o uzyskanie przewagi. Wtem obrońcy z tylnych szeregów przystąpili do ataku, dźgając wroga długimi włóczniami ponad głową księcia. Jeden berserk przedostał się przez mur, a jego topór wgrzył się w czyjąś tarczę – przez obicie, aż po umbo. Jego pobratymiec zrobił to samo. I jeszcze jeden. Wali widział, że w ich atakach było więcej pomysłu, niż sądził. Zbijali tarcze ciężkimi razami albo wbijali w nie oręż, zyskując przeciwwagę, dzięki której mogli je odepchnąć – wraz z idealnie złączonymi z nimi właścicielami – albo sprawić, że były tak nieporęczne, aż niezdatne do użytku.

Berserk naprzeciwko Waliego cisnął w mur toporem, a następnie złapał za włóczę wystającą z tarczy Waliego, równocześnie dobywając noża. Wyraźnie zamierował wyrwać tarczę, a potem z bliska rozprawić się z przeciwnikiem. Włócznia jednak wyszła z osłony tak gładko, że napastnik aż się przewrócił. Wali nie chciał nadużywać szczęścia, nie skorzystał więc z przewagi i nie opuścił formacji, by zmiażdżyć go butem.

– Trzymać szereg! – zakrzyknął. – Trzymać szereg!

Wtem spadł na niego kolejny cios. Bjarki zatopił toporzysko w tarczy Waliego i obalił ją ku ziemi. Zrobił to z taką siłą, że pociągnął księcia za sobą. Bjarki nie mógł chwilowo skorzystać z zaklinowanego oręża, ale wrywając tarczę, sprzedał Waliemu solidnego kopniaka w podbrzusze, ścinając go z nóg. Bodwar Bjarki nie był w aż takim amoku, by nie wiedzieć, z kim przyszło mu walczyć, acz jego słowa zdawały się niezrozumiałe i nonsensowne.

– Śmierć, książę. Krew, książę.

Ktoś machnął włócznią w stronę berserka, ściągając na siebie jego uwagę. Bjarki uwolnił topór z tarczy Waliego i runął na mur, powalając ludzi na ziemię. Obrona się załamała. Berserkowie zabili jednego człeka, potem drugiego, toporem pozbawiając kmiecia połowy czerepu. Wali widział, jak Bragi przebił mieczem na wylot jednego przeciwnika, lecz pośród obrońców chyba tylko on dawał odpór wrogowi. Teraz Wali mógł na własne oczy ocenić wartość berserków –

i cieszył się niezmiernie, że w ślad za nimi nie podążali żadni zwyczajni woje. Bowiem mur tarcz samoistnie zapadł się do środka, a szarża drugiej fali napastników przypieczętowałaby marny los obrońców. Wali zaczerpnął oddechu i podniósł się na nogi. Bjarki właśnie wraził topór w kolejną tarczę, wrywając ją, lecz oręż wysliznął mu się z dłoni, z brzękiem upadając na ścieżkę za plecami berserka.

Wali nie miał ani bronii, ani tarczy, nie miał też wyboru. Nie mógł pozwolić berserkowi na dobytecie miecza. Skoczył ku niemu, wyprowadzając cios obiema rękami w podbródek wroga, chcąc przetrącić mu kręgi. Nauki Bragiego nie poszły w las, a teraz nadeszła pora, by zrobić z nich użytek. Uderzył mocno, odpychając się z nóg, by zadać jeszcze potężniejsze oburęczne uderzenie. Trafiony berserk zrobił krok w tył, potknął się o jakieś ciało i upadł. Grzmotnąwszy głową w wał, legł bez ruchu.

Wali nie miał czasu sobie powinszować.

– Atakować! Atakować! – zakrzyknął.

Bragi zebrał czterech tarczowników w ciasny szereg, a ci ponownie związali walką pozostałych berserków. Trzech wciąż walczyło, rąbiąc tarcze, strącając groty włóczni, dźgając i wrzeszcząc. Wali podniósł z ziemi włócznię z drzewcem złamanym na długość ramienia i wraził jej grot w szyję najbliższego wroga. Oręż wbił się w ciało. Wali nie miał noża, którego mógłby dobyć, przeto rzucił się na drugiego berserka z gołymi rękami, łapiąc go w pasie i obalając na ziemię. Obok jego ramienia przemknął sztych miecza Bragiego, przebijając pierś leżącego i przygważdżając go do ziemi. Napastnik, zanim skonał, zdążył jeszcze kilka razy zdzielić Waliego i ugryźć go w rękę.

Na placu boju pozostał już tylko jeden najeźdźca, z którym szybko się rozprawiono. Obrońcy zawiwatowali donośnie. Nic dziwnego – wszak udało im się zabić siedmiu berserków, tracąc przy tym jeno trzech kompanów. Bodwar Bjarki starał się podnieść, atoli wciąż był kompletnie zdezorientowany. Bragi przystąpił do niego z mieczem.

– Nie! – polecił Wali. – Chcę go mieć za niewolnika. Zabierzcie go za szereg i zwiążcie. I dopilnujcie, żeby kobiety go nie zabiły. Chcę go mieć żywego. – Berserka czym prędzej poniesiono na tyły formacji.

Wtem dostrzegł Dregiego, mężczyznę, który – Wali nie mógł o

tym zapomnieć – był zaręczony z Adisłą.

– Witaj, Drengi! – starał się trzymać nerwy na wodzy, wściekły, że ten nawet nie próbuje odszukać Adisli.

– Panie?

Mężczyzna nie chciał mu spojrzeć w oczy. Wiedział, ile Adisła znaczy dla Waliego, i, choć to nie powstrzymało go przed czynieniem jej awansów, obecność księcia budziła w nim niepokój.

– Idź po Adisłę i jej matkę. Pomóż im znaleźć bezpieczną kryjówkę.

Drengi skinął głową i odwrócił się, by zbiec ze zbocza wzgórza, ucieszony, że oszczędzono mu dalszej rozmowy z księciem, tak samo jak i kolejnego wrażego ataku.

– Zgiń dla nich! – Wali zakrzyknął za nim. Potem zawołał w stronę lasu. – Dobra robota, Hogni. Powściągnijcie się, póki nie dam wam znaku, a jeśli umrę – póki nasi wrogowie będą bliscy tego, by nas przytłoczyć. Uderzcie na ich największy ścisk. Nasz mur zostanie tutaj, za ciałami. Niechaj przyjdą do nas po drodze usłanej ścierwem swych kumotrów. – Odwrócił się. – Bragi, gdzie mój saks?

Bragi pokręcił głową, wymamrotał pod nosem: „Wali Bez Miecza”, i poszedł na tyły formacji; tymczasem Wali podniósł z ziemi swą tarczę. Stary woj powrócił z orężem, a księżę wepchnął je sobie za pas.

Nagle rozległo się głucho uderzenie. Dwóch mężczyzn runęło w piach. I znów ten dźwięk. Kolejny człek padł bez życia.

– Strzały! – zakrzyknął Bragi. – Tarcze w górę!

– Zewrzeć szyki! – zawtórował mu Wali. – Zewrzeć szyki! – Napierając i popychając, ustawił ludzi na miejscach.

Wali pochwycił włócznię, a jego podkomendni cofnęli się nieco i zbili ciasno, by schronić się za tarczami. Wiedział, że formacja daleka była od ideału. W przypadku ostrzału najlepiej było się rozproszyć, lecz, by stawić czoła szarzy piechoty, musieli trzymać się razem. Mniejsza z tym. Popchnął ludzi do przodu, wznosząc tarczę pod odpowiednim kątem do nadlatujących strzał. Pociski odbijają się od osłon z odgłosem przypominającym drapanie biegających po pokładzie szczurów, pomyślał. Dźwięk powtarzał się raz po raz, a on nisko przykucnął. Pomiarkował, że pod tarczami byli bezpieczni. Tylko kilka strzał przebiło drewno, a nawet te zostały spowolnione na tyle, by nie

wyrządzić żadnych szkód.

Nagle wszystko ucichło. Wali zaryzykował szybki rzut oka spoza górnej części osłony. Co najmniej siedemdziesięciu wojów, każdy z tarczą, ci na przedzie odziani w kolczugi, z hełmami na głowach i włóczniami w rękach. Na czoło formacji wysunął się smoczy sztandar. No i klops, pomyślał Wali, to już koniec. Wcześniej wydawało mu się, iż jego rozum i przemyślność mogą zatriumfować, atoli patrząc na wraże kolumny, pomiarkował ich przygniatającą przewagę liczebną. Gdy powiedział swym ludziom, że dziś czeka ich śmierć, sam nie do końca wierzył w te słowa. W ten sposób chciał ich po prostu zmotywować i tchnąć w nich ducha walki, rozwiewając obawy przed zbliżającą się potyczką. Albowiem gdy człek pewny jest śmierci, strach zupełnie traci sens. Patrząc na Danów – silnych jarłów na przedzie, z ich zbrojami, hełmami i mieczami, wspieranych z tyłu przez młodych włóczników w czapach – a potem na własnych starców i młodzików, wiedział, że już przegrali. Tak czy owak, zrobił wszystko, co w jego mocy, być może dając Adisli więcej czasu na ucieczkę. Oby.

– Tylne szeregi muszą naprzec na wroga w chwili, gdy ten zewrze się z nami – zarządził Bragi. – To dlatego berserkowie spłaszczyli nasz mur – bo nie napieraliście. Musicie napierać. W przeciwnym razie nas zmiotą.

Pod swym sztandarem król Danów sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie, niemal jowialnego, bardziej człeka mającego właśnie powitać gości w dniu uczy niż woja na placu boju. Przemawiał do kogoś – do prawdziwego cudaka. Wali w życiu nie widział nikogo podobnego. Cudzoziemiec jak się patrzy, ubrany w niebieską tunikę, coś na kształt spódniczki i spodnie, wszystko obrębione czerwienią. Na głowie nosił niebieską czapę, której góra miała kształt opadającej czteroramiennej gwiazdy. A ten to niby kto? I co robi w towarzystwie Danów? Wali pomyślał, że odpowiadał opisom mężczyzn z północnego szczepu Wielorybaków, sławetnych czarowników.

Król wskazywał ręką na lewo i na prawo, rozważając możliwości.

– Musi uderzyć od frontu – mruknął Wali. – Musi!

Wiedział jednak dobrze, że Haarik miał czas, by przygotować posiłek, nawet się przespać, a następnego ranka ich oskrzydlić. Jeden z

duńskich jarłów zataczał łuk ręką, wskazując, że powinni pójść naokoło zbrocza. Gdyby tak zrobili, choćby tylko wysyłając tą drogą dziesięciu ludzi, obrońców czekałaby niechybna klęska. Tak czy owak, stali na straconej pozycji, lecz jeśli pozostawał choć cień nadziei na zwycięstwo, to wiązał się on z czołowym starciem. Wtem Wali zobaczył piękny obrazek. Duński król pokręcił głową, zaśmiał się i poklepał jarła po ramieniu. Był zbyt dumny, by podejść do natarcia w rozumny sposób – wyraźnie zamierzał zmieść mur frontalnym atakiem.

Król założył hełm i chwycił włócznię.

– No dawaj – dopingował go Wali. – Dawaj.

Wtem zobaczył, że wraże siły się dzielą. Jedna grupa wojów poszła w lewo, druga w prawo, zostawiając od frontu około pięćdziesięciu ludzi. A gdzie się podział król? Jego sztandar wciąż tkwił na miejscu, ale on sam gdzieś zniknął. Wali nie miał czasu się nad tym głowić. Frontalne siły były teraz bardziej wyrównane, lecz księżę stanął w obliczu groźby wtórnego ataku od tyłu i okrążenia. Cóż miał czynić? W hnefataflu czasem stosowano taktykę zwaną „obroną z rozpedu”. To oznaczało, że nawet jeśli przeciwnik miał lepszą pozycję, obrońca miał przewagę czasu. Jeśli tylko jej nie zaprzepaścił, to przeciwnik nie miał szansy na koncentrację najgroźniejszych pionów. W tym wypadku było tak samo – brak czasu na wymyślną taktykę czy manewry. Musieli po prostu wybić wrogów na przedzie nim ci za plecami przyjdą im w sukurs.

Bragi, przyciśnięty do boku Waliego, zrozumiał wagę tego, co stało się przed chwilą.

– Wygląda na to, że musimy walczyć szybko, panie.

Wali skinął głową. Wciąż wolał zostać schwytyany przez Danów, sprzedany w niewolę lub zabity, niż spędzać kolejny wieczór w towarzystwie Bragiego, jednak lojalność tego człowieka i, na dodatek, jego niebagatelne umiejętności, imponowały mu. Błyskawicznie ocenił sytuację, nie dzięki rozważaniom, jak Wali, lecz instynktownie.

– Wrodziłeś się w ojca – ozwał się Bragi. – Nie sądziłem, że kiedyś to powiem, ale taka jest prawda. Bo wiesz, od wielu lat chodzą słuchy, że kupił cię na Wyspie Zachodu i sromotnie przepłacił. Toż to kłamstwo obrzydliwe!

– Ty to dopiero umiesz pokrzepić człowieka – odparł Wali z przekąsem, lecz posłał Bragiemu dość niewymuszony uśmiech.

– Sam rozumiesz, czemu ludzie tak myślą. Przecież z ciebie taki paskudny, ciemny skurczybyk i tak dalej.

Wali spojrzął na wroga. Woje na przedzie właśnie dobyli mieczy. Starcie wisiało w powietrzu.

– Bragi? – rzekł.

– Tak, panie?

– Mam prośbę: jeśli dotrzemy do Walhalli...

– Tak, panie?

– ... to nie siadaj obok mnie.

Staruszek roześmiał się, aż mu łzy pociekły.

– Król z ciebie, panie, król ani chybi – wydukał, rechocząc.

Bragi powiedział mu niegdyś, że śmierć to szlachetna rzecz, ale Wali uznał to wówczas za kolejną prostacką bzdurę. Teraz atoli, jeno przez chwilę, mógł poczuć ciepło słońca na twarzy, zapach dymu z płonącej wioski, zważyć włócznię w rękę i dać wiarę tym słowom. W tych szeregach czuło się braterstwo, którego nigdy wcześniej nie doznał, więc z towarzyszami broni, wykraczającą daleko poza zwykłe sympatie i antypatie.

Ozwał się ryk niby lawina, a wróg natarł, przyrzekając w głos Thorowi, bogu gromów, i Tyrowi, bogu wojny. Imię Odyna nie pojawiło się na ich wargach. Nie byli berserkami, a wisielczy bóg był zbyt dziwaczny, tajemniczy i szalony dla przeciętnego kmiecia czy woja.

Wali poczuł dziwnie oderwanie od wydarzeń, zastanawiając się, do którego boga powinien się zwrócić o pomoc. Żaden nie przypadł mu do gustu. Poza jednym.

– Lordzie Loki – ozwał się – księżę kłamstw, przyjacielu ludzi, daj mi zwycięstwo. Daj mi zwycięstwo.

Wali nie był bogobojny, ale przez chwilę, nie dłuższą niż uderzenie serca, uzmysłowił sobie prawdę o bogach jego ludu. Każdy z nich był bogiem śmierci i wojny jednocześnie: Freyja, bogini płodności i wojny, Thor, bóg gromów i wojny, Frey, wprawdzie bóg radości i urodzaju, acz śmiały w boju. Jeno Loki nie był wojowniczy. Jeno Loki trzymał się na uboczu i natrząsał się z krwiozerczości bogów, śmiechem bardziej zabójczym dla ich wybujałego ego niż miecz czy włócznia. Nic dziwnego, że go zakuli w łańcuchy.

Ziemia na niewielkiej ścieżce zatrzęsała się pod stopami wrogów.

Gotowali się do zarzucenia obrońców deszczem pocisków. Wali czuł się pewnie. Jego ludzie byli zwarci i gotowi, przedni szereg ściśnięty w szczelny mur. Przeciwnicy nadchodzili hurmą, pomiędzy szykiem zwartym a rozproszonym. Byli od siebie zbyt daleko, by osłaniać się wzajem tarczami, acz nie w dość dużych odstępach, by osłabić skuteczność przygotowywanego ostrzału.

Wali odwrócił się w stronę mężczyzny u jego boku i pomyślał, że nigdy wcześniej go nie widział. Był to wysoki, blady, ryży człek w długim, brązowym i pierzastym płaszczu. Wali miał ochotę go zrugać za to, że nosił się jak głupiec w bitewnym szeregu, ale jakoś nie potrafił. Z trudem szukał słów, bardzo chcąc coś powiedzieć nieznajomemu. Koniec końców wydusił z siebie:

– Tyś z nami?

Mężczyzna, który zdawał się być w stanie znaleźć dla siebie trochę luzu, pomimo ścisku w formacji, dotknął jego ramienia i rzekł:

– Jestem z tobą od samego początku.

– A teraz jesteś ze mną u kresu.

– Tobie nie kres pisany – odparł. – Nie dzisiaj, nie jutro, nigdy. Jesteś zawsze i po wieki Fenrisulfrem i niebawem to zrozumiesz. Bogowie w swych snach stąpają po ziemi.

– Hę?

Spadł na nich grad włóczni, toporków i kamieni. Wali przykucnął pod tarczą. Jakiś człek za jego plecami padł. Gdy spojrzął w górę, ryżego nieznajomego już nie było, atoli nie miał czasu zastanawiać się nad tym, jakie to było dziwne, że ten ot tak zniknął mu z oczu.

– Odstęp! – wrzasnął, a szereg za nim cisnął włócznie ku napastnikom. Trzech Danów padło, jeden z czoła kolumny – jarł, który upadając na czworaka, spowolnił woja za sobą – a reszta w biegu ominęła go lub przeskoczyła. Wali złapał włócznię, dłońmi spoconymi ze strachu.

Trach! Nawała wojów grzmotnęła w szereg. Danowie uderzyli tarczami w las włóczni, próbując odciągnąć je w górę, w bok lub odtrącić, a potem uwolnić zasłony i rąbać mieczami, toporami i czym popadnie. Gdy któryś z Danów wściekle napał nań tarczą i uderzeniami topora, włócznia wyleciała Waliemu z ręki. Nie był w stanie dobyć saksa, ale ucieszył się, że założył hełm, bo chwilę później

topór strącił go po chybionym ciosie, nie czyniąc księciu uszczerbku. Panował taki ścisk, że hełm nie upadł na ziemię, jeno zaklinował się za tarczą. Wtem z tyłu, nad ramieniem Waliego, śmignęła włócznia, zmuszając wroga do odstąpienia. Hełm wreszcie się stoczył, a Wali kopnął go w stronę napastnika.

Danowie ponownie przypuścili szturm, uderzając nisko pod włóczniami obrońców. Wali znalazł się między młotem a kowadłem – z przodu napierał wróg, z boku jego podkomendni, a kolejni pchali się z tyłu. Tarcza uderzała w tarczę, brakowało miejsca na zamach mieczem. Ci z przedniego szeregu stali się właściwie biernymi świadkami walki, prąc do przodu z nadzieją, że nie zostaną zakłuci włóczniami przeciwników, bo nich samych nie mieli szans dosięgnąć. Jeden z Danów pośliznął się na ciele pobratymca, lecz Wali nie miał dość miejsca, by wyciągnąć broń i go dobić. Bez różnicy – chwilę później męczyzną stratowały stopy kompanów.

Z boku do natarcia przyłączali się kolejni woje, rzucając orężem, i wrażając ramiona w plecy towarzyszy w próbie zepchnięcia obrońców w głąb ścieżki. Wali popychał i był popychany. Co sił parł do przodu, czuł jednak, że jego formacja ustępuje. Choć Danowie potykali się i ślizgali na ciałach poległych, i tak mieli liczebną przewagę nad Rygirami. Wali zrobił krok w tył, potem następny. Tuż przed sobą miał twarze wrogów, rzucające mięsem, poprzysięgające śmierć, plujące, a nawet próbujące ugryźć. Atoli ci z przedniego szeregu nie mogli zrobić prawie nic, by się wzajem razić. Byli zbyt blisko siebie, by choć kopać się po kostkach. Za plecami Waliego ktoś padł, potem kolejny, i przez długość oddechu zdawało się, że mur runie niby maszt podczas dzikiego sztormu.

– Teraz, Hogni! Teraz! – zakrzyknął Wali. I choć wołany nie mógł go usłyszeć, był spostrzegawczym i doświadczonej wojem, który dobrze zapamiętał polecenia księcia.

– Teraz i po cichu – polecił Hogni swym łucznikom.

W pięciu wyszli z za osłony lasu i z odległości pięciu sążni wypuścili z góry salwę strzał na tyły duńskiego natarcia. Potem następną i jeszcze jedną. Dwóch Danów padło, potem trzech kolejnych, i jeszcze dwóch, nim choćby zorientowali się, że ich okrażono.

– Napierać! – zakrzyknął Wali. – Napierać!

Danowie starali się wdrapać się na wał, by dosięgnąć

łuczników, ślizgając się na ciałach towarzyszy, osuwając się i upadając. Łucznicy oddali kolejną salwę i jeszcze jedną. Wali naparł ramieniem na tarczę i pchnął co sił. Dun naprzeciwko stracił równowagę, a rozpaczliwie szukając oparcia, pociągnął za sobą kompana. Rygirowie jęli nabierać rozpędu i kroczyć do przodu po leżących ciałach, dobijając ich razami butów, włócznie i toporów.

Wrogowie poszli w rozsypkę i rzucili się do ucieczki. Łucznicy Hogniego kontynuowali ostrzał, choć polecił im go zaprzestać. Sam bowiem chciał i dla siebie zagarnąć część chwały, więc skoczył na ścieżkę w pogoni za uciekającymi najeźdźcami.

Ludzie Walięgo minęli go w biegu i tłumnie pognali za wrogiem. Krzyknął, by się zatrzymali. Wszak jakichś dwudziestu Danów przeprowadzało jeszcze manewr oskrzydlający, a Wali był pewien, że niebawem zaatakują od tyłu. Nie było jednak szans, by powściągnąć podkomendnych, którzy gorączkowo popędzili za Danami, a za nimi – większość kobiet i wiele dzieci, wymachująca po drodze kijami i nożami domowego użytku.

Przepychając się przez nich, Wali podbiegł do końca ścieżki i spojrział w dół, na dolinę za wzgórzem. Ani śladu Danów. Odruchowo zerknął na gospodarstwo Disy. Wisiał nad nim tuman dymu. Zadrzał. Czy Disa była w stanie pobiec z poparzoną nogą? Czy Adisli udało się ją wyprowadzić w jakieś bezpieczne miejsce? Córka by jej nie zostawiła, tego był pewien.

Rozejrzał się wokół za wsparciem, atoli jedynym wojem w pobliżu był Bjarki, wciąż ledwo przytomny, związany tak mocno, że niemal się dusił, okładany kijami przez kilkoro dzieciaków. Wali odpędził je od berserka, wciąż poszukując wzrokiem któregoś ze swych ludzi.

– Bragi, do mnie! – zakrzyknął co sił w płucach. Stary był już jednak daleko, gnając w dół, ku łodziom Danów, zamierzając wyprowadzić je w morze, by uniemożliwić napastnikom ucieczkę. Znikąd pomocy. Zdjęła go zgroza, tłumiąc zmęczenie. Wali popędził ku płonącej zagrodzie niby smagany batem, szybciej niż kiedykolwiek wcześniej.

19. KRESY

Drengi dotarł na czas, by spojrzeć jeszcze w oczy najeźdźców. Był jednak kmiectwem, nie wojem, przeto leżał teraz obok koryta z własnym toporem zatopionym w piersiach. Stary Dun, Barth, najwyraźniej nie znalazł łaski u swych krajanów, bo spoczywał bezwładnie tuż obok Drengiego, jakby drzemał w słońcu. Mały Manni legł martwy na progu domostwa Disy, wciąż trzymając w ręce stary saks Waliego.

Książę przymknął oczy i spróbował wziąć się w garść. Nie miał czasu na żalobę, musiał sprawdzić, co stało się z Adislą i jej matką. Wbiegł do tłącego się budynku. Danowie starali się podłożyć ogień, aliści dach z darni nie chciał się zająć, a dym wyglądał raczej jak ten unoszący się znad kupy łajna niż znad ognia. Disa leżała w łóżku, zamordowana. Krew była wszędzie, makabryczny szal czerwieni spływał na przód białej koszuli kobiety. Gdy do niej podszedł, zobaczył, że poderżnięto jej gardło. Aż za dobrze potrafił sobie wyobrazić, co jeszcze ją spotkało z rąk zabójców.

Przykucnął obok i wziął ją za rękę. Przez wiele lat była mu matką, a przynajmniej – najbliższą mu osobą godną tego miana. Nie odezwał się ani słowem. Ten dzień zdążył już go nauczyć, jak to jest – uwierzyć w sens walki i chwycić za broń dla sprawy większej od zwykłej grabieży. Wpatrywał się w oczy Disy i zdawało mu się niemożliwym, że kiedykolwiek postąpi inaczej. Ku własnemu zaskoczeniu, nie zapłakał. Czuł w środku zbyt duży chłód, by uронić choć łzę. Było to przeświadczenie, które zdawało się tkwić mu w gardle niby przeżuty kęs jadła, tamujące wszelkie uczucia. Już on odpłaci im pięknym za nadobne! Adisla powiedziała, by zabił dla niej całą ich setkę. O nie, na tym nie poprzestanie! Zarznie duńskiego króla i to całe jego śmierdzące plemię, zburzy ich domy i wypali ziemię żywym ogniem. Danowie przez swe nikczemne uczynki spuścili ze smyczy wilka. Wali w życiu nie czuł takiej determinacji. Atoli wprawdzie musiał uczynić zadość innym obowiązkom.

Podszedł do wezglowia i złożył pocałunek na czole Disy.

– Znajdę ją – rzekł i wyszedł na dwór.

Mijając na progu ciało chłopca, zmierzwił mu włosy i ucałował. Schylił się po saks, ale poniechał. Miał tego zacisnąć palce dziecka na rękojęści.

– Trzymaj go, jest twój. Wykorzystaj go w zaświatach. Idź do komnat Freyji, nie Odyna.

Posłyszał jęk. Podniósł wzrok. Drengi wciąż dychał. Podbiegł do leżącego.

– Drengi, to ja, Wali.

Niedoszły mąż Adisli ledwo zipsał – topór straszliwie rozorał mu pierś, na ustach pieniały się krwawe bąbelki.

Wali nie wiedział, co począć. Disa lub Jodis mogłyby może jakoś temu zaradzić, atoli jedna była martwa, a druga podziwiała się nie wiedzieć gdzie.

– Drengi, wyjdiesz z tego. Nie z takich ran woje się wylizywali, sam widziałem. Dasz radę.

To było wierutne kłamstwo i obaj dobrze o tym wiedzieli.

– Przyszli po nią, Wali... Przyszli po nią.

– Wiem.

– Nie... Przyszli po nią... Nie po skarb czy łupy... Po nią. – Zakasłał okropnie, z trudem łapiąc powietrze. Wali miał zbyt duży mętlik w głowie, by pomiarkować znaczenie słów kmiecia.

– Wylizesz się, Drengi. Sprowadzę Mamę Jodis i cię połata. Zobaczysz, nie bój nic.

– Wali, oni szukali jej. Pytali o córkę... guślarki.

Wali nie rozumiał, czemu niby mieliby to robić.

– Kogo pytali?

– Wzięli tego chłopca, Loptra, za więźnia. Poprowadził ich tutaj... Powiedział, kogo mają szukać... Wykrzykiwali... jej imię. – Odkaszlnął ponownie, a krew spłynęła mu po brodzie.

– Chłopaka też zabili?

– Nie, uciekł. Wyciągnij... topór, Wali... Proszę. Sakramencko napieprza.

– Dobrze.

Wali chwycił dwiema rękami trzonek tuż przy żeleźcu. Pociągnął, a Drengi wrzasnął. I jeszcze raz. Topór wyszedł. Drengi

zakrzuszył się i zacharczał, zakasłał i zarzęził. Potem umilkł. Wali wziął go za rękę. Był martwy.

Poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Podniósł wzrok znad ciała i zobaczył Loptra, wyglądającego trwożliwie zza chlewu.

– Możesz już wyjść, dzieciaku. Tamci sobie poszli.

Chłopak się nie poruszył. Wyglądał na bardzo przestraszonego.

– Zabrali ją? Zabrali Adisłę?

Młody przytaknął.

– Gdzie?

Dzieciak wskazał ręką ku ścieżce prowadzącej na południe od gospodarstwa, ku kilku szerokim plażom. Jeśli Danom udało się wyprowadzić łodzie z zatoki, właśnie tam mogli podjąć maruderów.

– Wracaj nad zatokę – polecił mu Wali. – Jeśli napotkasz jakichś wojów, rzeknij im, że zszedłem ku Selstrond, by znaleźć tych piratów. Przekaż im, żeby pospieszyli mi na pomoc. Leć już! W dyrdy!

Chłopak ani drgnął, jeno wpatrywał się w księcia. To na nic, zdecydował Wali. Loptr był zbyt zszokowany tym, co zobaczył, by na coś się przydać.

– No nic, przynajmniej nie wchodź do domu Disy – ostrzegł i wyruszył ku plaży.

Gdy tam dotarł, o wszystkim, co trzeba mu było wiedzieć, powiedział mu but. Leżał tam, gdzie ścieżka nikła w piasku, w miejscu, w którym znalazłby go każdy wychodzący na plażę. Jeden z jej najprzedniejszych zielonych skórzanych trzewików, noszonych na jego powitanie. Najwyraźniej zrzuciła go z nogi.

Spóźnił się bardzo nieznacznie – langskipy dopiero co odbiły od brzegu. Nie widział Adisli, jeno około dwudziestu wojów na pokładach. Wciąż nie dotarło do niego znaczenie słów Drengiego: „Wali, oni szukali jej.” Jego mózg kipiał nienawiścią; nawet nie pomniał, co właściwie usłyszał.

– Wracajcie, tchórze! – zakrzyknął. – Jam jeden, a was dwudziestu. Mało wam przewagi?

Z łodzi nie nadeszła żadna odpowiedź; Danowie byli zbyt zajęci stawianiem żagla. Wtem, przez jedno uderzenie serca, zobaczył ją, jak szamotała się, by wyskoczyć przez burtę i popłynąć ku plaży. Pochwyciły ją mocne ręce i brutalnie pociągnęły w głąb łodzi.

– Odnajdę cię! – zawołał, brodząc z pluskiem w płytkiej wodzie.

– I wiedzcie, Danowie, że jeśli spadnie jej z głowy choć włos, odpłacę po tysiącokroć wam i waszym ziomkom! Jam jest Wali, syn Authuna! Jestem waszą zgubą!

Ogarnęło go zupełne zwątpienie. Nie było szans podjąć pościgu. Langskipy Widłobrodego znajdowały się w dole wybrzeża, na miejscowym zgromadzeniu; im pozostało do dyspozycji zaledwie kilka faeringów – przybrzeżnych łodzi o dwóch parach wiosł – a taką na pewno nie zdołałby doścignąć okrętów wojennych pod pełnymi żaglami.

Jak miał ją znaleźć? Spróbuje poszukać w Heithabyr²¹, pomyślał, na targowisku, gdzie prędzej czy później trafiali wszyscy niewolnicy sprowadzani do Danii. Mógł ją wykupić, gdyby udało się otrzymać trochę złota od ojca albo zapożyczyć się u Widłobrodego. Raptem coś sobie uzmysłowił – miał wszak berserka! Już on z niego wydusi, co chce wiedzieć. Powrócił na pole niedawnej bitwy.

Gdy odnalazł Bjarkiego, ten był w stanie uniemożliwiającym udzielenie jakiegokolwiek odpowiedzi. Odurzony wywarem z grzybów i ziół, śnięty od napitku i skołowaciały od uderzenia w głowę, zdawał się niespełna rozumu. Jeno złorzeczył i toczył pianę z ust. W tej chwili nic mu nie groziło, choć Wali zastanawiał się, jak długo by pożył, gdyby wpadł w ręce któregoś z miejscowych. By jednak odnaleźć Adislę, musiał koniecznie zachować go przy życiu. Sęk w tym, że Bjarki był zbyt wielki, by go za sobą ciągnąć w pojedynkę. Traf chciał, że w tej chwili pod wzgórze podszedł Bragi wraz z dwoma kmiciami, Gudfastrem i Baugrem, oraz Loptrem u boku. Ach, więc – mimo wszystko – dzieciak zrobił swoje.

– Jak poszło? – zagadnął.

– Dali drapak. Ale jeden okręt przechwycony. Krótko mówiąc: kawał dobrej roboty. – Bragi nie wyglądał nawet w połowie tak promiennie, jak Wali się spodziewał.

– Pochwycili Adislę. Mama Disa nie żyje, jak chyba i reszta domowników.

Bragi rozdziawił usta.

– Ktoś jeszcze?

²¹Staronordyjska nazwa Hedeby, największej wikińskiej osady owych czasów i najstarszego duńskiego miasta (obecnie w Niemczech, opodal Szlezwiku), położonej u podstawy Półwyspu Jutlandzkiego.

– Nie wiem. Działali w pośpiechu, więc wątpię. Jego wszak nie wzięli, prawda? – Skinął na chłopca, który wciąż przyglądał mu się oczami szeroko otwartymi ze strachu.

– Musieli się spieszyć, ani chybi, inaczej by go nie zostawili. Na targu dostaliby za niego niezłą sumkę. Ta zniewaga krwi wymaga, prawda, Loptrze? – ponuro zażartował Bragi.

Chłopak nie odpowiedział, trwożliwie chowając się za Baugra.

– Zabierzcie berserka do wioski – polecił Wali. – Jest nam winien kilka wyjaśnień. Jak tylko dojdzie do siebie, dajcie mi znać. Przekażcie ludziom, że z mego rozkazu nie będzie żadnego biesiadowania, póki Widłobrody nie wróci. Bragi, nakaż im zachować czujność. Dwa drakkary nam umknęły, a mogą równie dobrze powrócić, jeśli pomyślą, że lekce sobie ważymy niebezpieczeństwo powtórnego ataku.

Odwrócił się na pięcie i jął schodzić ze zbocza ku dolinie.

– A ciebie gdzie znowu niesie? – zawołał za nim Bragi.

– Muszę rozmówić się z Mamą Jodis.

20. DROGA PRZEZ MEKĘ

– Mamo Jodis, to ja, Wali.

Jodis miała o wiele mniejszy dom niż Disa – raptem chatkę zanurzoną w ziemi, z murami ledwie sięgającymi pasa. Z racji dachu z darni trudno było go dostrzec, chyba że stało się tuż przy nim.

Wali zapukał do drzwi.

– Mamo, to ja, Wali. Mamo, już po wszystkim, tamtych już nie ma.

Drzwi się otworzyły, a spoza nich niepewnie wyjrzała Jodis. Drżała, choć starała się to ukryć.

– Ilu zabitych?

– Nie wiem. Mogło być gorzej. Odparliśmy ich. Już ich nie ma, Mamo.

Jodis otarła łzy.

– Co z Adisłą? I Mamą Disą?

– Właśnie z ich powodu tu jestem – rzekł. – Ja...

– Och, Freyjo, miej je w opiece – zapiała, domyślając się, że kobiety spotkał marny los. – Co z nimi?

– Mateczka Disa nie żyje, Adisła porwana.

Jodis nie mogła dłużej powstrzymać łez.

– Pomszczę jedną i znajdę drugą – zapewnił stanowczo.

Posłała mu spojrzenie, to samo, którym uraczyła go, gdy dowiedziała się, że Widłobrody zamierował obwiesić Adisłę, atoli zaraz się zmytygowała. Darzyła Waliego wielką sympatią, choć miała go za kogoś w rodzaju wioskowego głupka. Dopiero pochwycenie wilkoluda dowiodło, że jednak się myliła co do niego.

– A wiesz chociaż, gdzie się udali albo kim byli?

– Przypuszczam, iż zmierzają do Heithabyr, przynajmniej docelowo. To byli Danowie – Haarik i jego ludzie.

– Mogli ją zabrać na jego dwór albo sprzedać na wschodzie, albo zrobić wiele innych rzeczy. Ona może być wszędzie.

– I dlatego przyszedłem do ciebie.

Jodis spojrzała na niego w zdumieniu.

– Chcę, żebyś odprawiła magię Mamy Disy. Poprowadziła mnie do wilkoluda, więc może mnie skierować również do niej.

Pokręciła głową.

– Nigdy tego nie robiłam. Mama Disa miała talent. Ja jej jeno pomagałam.

– Wiesz zatem, jak to robić?

– A juści, ale tego nie uczynię, nawet gdybym chciała. Dymne zioła się skończyły. Rosną tylko wiosną, a nawet wtedy zbierałabym ich jeno garść. Nie damy rady ich zebrać jeszcze przez wiele miesięcy.

– A nie dałoby rady się bez nich obejść?

– Nie.

Głośno odetchnął. Nie pokładał najmniejszej nadziei w tym, że cokolwiek wyduszą z berserka, gdy wezmą go na męki, choć to go nie powstrzymało przed spróbowaniem. Tylko czy berserk cokolwiek wiedział? Był wszak najmitą. Widłobrody, gdy wyprawiał się po łupy z berserkami, trzymał cel podróży w tajemnicy, póki nie znaleźli się na pełnym morzu, by czasem żołądactwo nie zapragnęło ruszyć tam na własną rękę. I choć z radością wytlukłby informacje z Bjarkiego, wątpił, czy w ogóle z jego łba cokolwiek wyleci.

– I nie ma innego sposobu?

Jodis wzruszyła ramionami.

– Hm? – indagował.

– No niby jest, ale to cię zabije.

– Jaki?

– Trzeba się udać do Odyna, na moczary.

– Znaczy co?

– Nie robiono tego, od kiedy byłam dzieckiem, ale jeśli wieszczba jest dla cię wystarczająco ważna, to warto. Idziesz na Moczary Grimmira²², oddajesz się bogowi wisielców, bogowi topielców, i pytasz go o to, co chcesz wiedzieć.

– Jak tego dokonać?

– Topiąc się.

– I jaki niby będę miał pożytek z wieszczby, skoro umrę?

– Musisz znaleźć się na krawędzi śmierci, a potem potargować się z bogami o życie. Zaproponuj im, co tylko możesz, a jeśli to ich

²²Jedno z wcieleń Odyna, znane ze staroeddaicznej *Grimnira pieśni* (*Grimnismál*)

zadowoli, w zamian zdradzą ci, co chcesz wiedzieć.

– A cóż mógłbym zaoferować bogowi?

– Swe cierpienie.

Wali zacisnął zęby i skinął głową.

– Robiłaś to już kiedyś?

– Nie, ale widziałam, jak to się robi. To było wiele lat temu, gdy na moczary poszła królowna Heithr.

– Sądziłem, że to jeno legenda. I co, udało się?

– Odkryła czterech zdrajców na dworze ojca i miejsce ukrycia skarbu Thjalfigo.

– Znalezione go?

– No chyba. Choć ona nigdy go nie ujrzała. Przejścia ją zabiły.

Wali sięgnął ręką niskiego daszku i przez chwilę rozmyślał. W sumie – czymże było życie bez Adisli? Każdemu umrzeć trzeba, to tylko kwestia czasu. Atoli jeno głupiec z własnej woli wybierał „prędzej” niż „później”.

– Dasz radę zrobić, co trzeba? Nie chcę umierać na próżno.

– To proste, ale pytaj raczej, czy sam temu podołasz. Topisz się w świętych moczarach, w miejscu pomiędzy lądem a wodą. To brama prowadząca do innych miejsc w dziewięciu światach. Jeno siła woli w tobie pozostanie, by pomóc ci znaleźć drogę. Do tego nie trzeba ci większych starań niż wojowi poległemu w bitwie, pragnącemu dotrzeć do Walhalli.

Wali lekko skinął głową.

– Jak długo to potrwa?

– A któż to wie? Trzeba się topić i ożywać, topić i ożywać, raz po raz, aż nadejdzie wizja albo kres żywota. To może się zdarzyć za pierwszym razem, za dziesiątym lub wcale. A wcale niełatwo jest się zatopić w tych odmętach, niezależnie od tego, jak bardzo pragniesz odpowiedzi. Będziesz się starał wypłynąć, przeto związać cię trzeba.

Co prawda Wali ślubował sobie, że nigdy w życiu o nic nie poprosi Odyna, ale takich okoliczności nie przewidział.

– Zrobię to – postanowił.

– Jeszcze jedno – ozwała się Jodis. – Bogowie to nie jedyne istoty czekające w dziewięciu światach. Założymy ci stryczek. To symbol, by bóg mógł cię odnaleźć, atoli jeśli zerwiesz więzy i zaczniesz gadać niby olbrzym czy czarownica, albo i coś gorszego, to

skorzystamy z niego, by cię udusić. Nie rozmawiaj z olbrzymami, Wali, ni z innymi potworami, które ujrzeć możesz tam w dole.

– Przynieśże sznur – polecił. – Skoro to jedyny sposób, to niech i tak będzie.

– Przydadzą ci się mężczyźni, by pomogli ci zanurzyć się w wodzie, a potem, by cię stamtąd wyciągnąć. Nawet w pętach trzeba cię będzie siłą trzymać pod wodą, a ja nie mam siły, by cię udusić, ni pewnej ręki, by nożem skrócić twe cierpienia.

– Jest tu twój wnuk?

– A juści.

– To poślij go po Hogniego i Orriego – poprosił. – Pora zaczynać.

21. TOPIELISKO

Już wcześniej bywał nad topieliskiem, rzecz jasna. Znajdowało się ono w zalanym zagłębieniu, na naturalnym skalnym występie pośród niskich wzgórz prowadzących w górę od chatki Jodis. Drzewiej na Moczarach Grimmira posyłano bogom brańców i ofiary, aliści nie zginął tam nikt od czasu, gdy wiele lat temu królowna szukała odpowiedzi. Dzieci jednak znały złą sławę tego miejsca, a mówiło się, że nocami tamtejszą wodę nawiedzają duchy dawno poległych królów i wojów.

Siedząc i czekając na Hogniego i Orriego, Wali poczuł, jak przenika go dreszcz. Powiew to, co zaciągał od morza, czy raczej chłód, co ziębił duszę? Ilu już tu pomarło? I po co? Czy miejsca takie jak te moczary naprawdę nosiły piętno śmierci, których były świadkiem, czy raczej to jeno wspomnienia zasłyszanych w dzieciństwie bająn przejmowały go chłodem, dalekie echa legend opowiadanych, by przyprawić słuchaczy o dreszczyk grozy i emocji w długie zimowe wieczory?

Był bardzo zziębnięty. Wiatr przewiał chmury znad morza, zabarwiając niebo na kolor żelaza i zakrapiając powietrze deszczem. Pożałował, że nie wziął ze sobą opończy, atoli zdał sobie sprawę, że niebawem będzie mu jeszcze zimniej. Zresztą, czym była jego niewygodna wobec cierpień Adisli? Azali miała ona opończę, by schronić się przed smagającym na morzu deszczem? Co się z nią działo? Nawet nie chciał o tym myśleć. Za wsze znoje i udręki, które ona wycierpi – przyrzekł sobie – ci, którzy przyłożą do nich rękę, zaznają cierpień po stokroć dotkliwszych. Póki nie spotka jej ponownie – przyobiegał sobie w duchu – żaden ból go nie zrazi. Już i tak doświadczył katuszy najgorszych z możliwych, gdy zobaczył ją na langskipie.

– Panie, zaiste wiekopomny to triumf. – Ktoś chwycił go za ramię. Hogni.

– Danowie uciekali, aż się kurzyło – zawtórował mu Orri. – A

tobie należy się chwała za to zwycięstwo.

– Chwała nie zajęć, nie ucieknie – odparł Wali ponuro. – Teraz muszę stoczyć inną bitwę. – Skinął głową ku wodzie.

To jeno sadzawka, przekonywał siebie, narzędzie służące osiągnięciu założonego celu, jak pług czy miecz.

Hogni i Orri przyjrzeni się stryczkowi wiązanemu przez Jodis, symbolowi Odyna, potrójnemu węzłowi przesuwanemu – jeśli w ogóle można go było takim nazwać. Wisior martwego pana przesuwiał się bowiem wyłącznie w jedną stronę. Raz zawiązany, nie dawał się rozsypać inaczej niż cięciem noża. Obaj wojowie Horda spojrzeli po sobie.

– Szukasz odpowiedzi u bogów? – indagował Orri.

– Chcę się dowiedzieć, gdzie zabrano Adislę. Znasz lepszy sposób?

– Powieziono ją na dwór Haarika.

– Może tak, a może nie. Mogą ją sprzedać w Heithabyr albo na innym targu po drodze. Albo w ramach zapłaty przekazać ją najmicie, a poza tym... – Kuriozalna myśl nie chciała mu przejść przez gardło. Przypomniał sobie dziwaka w czwórgraniastym kapeluszu. Co on tam niby robił? Sens słów Drengiego już zdążył dotrzeć do świadomości księcia.

– ... przyszedli po nią. Szukali jej. Znali jej imię – dokończył.

– A po co mieliby jej szukać?

Wali wzruszył ramionami. Jakikolwiek los miał ją spotkać, nie była to z pewnością dola zwykłej niewolnicy. Nie potrafił tego wyjaśnić. Po prostu wiedział, że ma bardzo mało czasu, a najmniejszy błąd mógł słono kosztować Adislę.

– To najlepszy sposób – rzekł Wali.

Hogni przytaknął.

– Niegdyś oddałem podobną przysługę twemu ojcu – przyznał.

– Że co?

– Jest takie miejsce w Żelaznym Lesie, o cztery dni drogi od jego dworu. Takie jak to, sadzawka wieszczb. Twój ojciec zadał jej pytania.

– Jak?

– W ten sam sposób, w jaki ty je zadasz – odparł i spojrzął na pętlę.

– Znalazł odpowiedzi?
– To właśnie wtedy zaczęła się objawiać jego przypadłość.

– Wtedy, czyli kiedy?

– Przed czterema laty. On niedomagał od dawna, atoli...

Hogni wyglądał na zbyt zawstydzonego, by dokończyć.

– Nie powrócił już z lasu – wyręczył go Orri.

– Nie bardzo rozumiem – rzekł Wali.

– Twój ojciec żyje samotnie w Żelaznym Lesie – wyjaśnił

Hogni. – Prowadzi teraz żywot mistyka.

Deszcz przybrał na sile, gwałtowny morski szkwał nadciągnął nad nich szybko niby ptak.

– Ludzie gadają, że w lesie przemawia do niego Odyn. Że udziela królowi swej mocy.

– Ludzie czy raczej moja matka?

Nie odpowiedzieli. Sprawy miały się gorzej, niż się Waliemu wydawało. Gdyby ktoś zaczął podejrzewać, że Authun postradał rozum, byłaby to tragedia dla ludu Horda. Król miał bowiem więcej wrogów niż jakikolwiek człek na tej ziemi. Nie czas o tym myśleć. Wali spojrzął ku ciemnym wodom i odchylił głowę do tyłu, obnażając szyję i przygotowując się na najgorsze.

– Zaczynać – polecił.

Jodis kazała Orriemu skrepować Waliemu ręce i nogi, sama zaś założyła mu stryczek na szyję.

– Czy lord Authun tak samo zabierał się do rytuału? – zapytał Wali. Jodis zdawała się pewna ceremonialnych zasad, lecz zdenerwowany książę dla pokrzepienia potrzebował drugiej opinii.

– Nim się zatopił, oddał się woli Odyna – odpowiedział Orri.

Wali się uśmiechnął.

– Skoro zem skrepowany, to może powinienem zanosić błagania do związanego boga. Lordzie Loki, coś dręczon przez bogów, poprowadź mnie ku wizji, której mi trzeba.

– Akurat tego boga wzywać nie powinienes, panie – zaoponował Orri.

– A co, czyżby Odyn był bardziej skuteczny?

– On nie – zaprzeczył Orri. – Frey od chędożenia, Tyr od walki, Thor od chędożenia, walki i deszczu, co cię potem obmywa. Więcej bogów człowiekowi nie trzeba.

– Odyn jest bogiem królów – przypomniał Wali. – Czyż nie tak powiadają?

– I szaleńcem berserków – stwierdził Orri. – Wybacz, panie, ale taka prawda. Gdy ruszam na bitwę, chcę wiedzieć, że mój bóg jest przy mnie, nieskory mnie opuścić, gdy mu się odwidzi. Odyn to zdradliwe bóstwo; taki już jest z natury. Szanuję Odyna Najwyższego, jego królów i pomyleńców, atoli ja akurat nie szukałbym jego błogosławieństwa. Ani tego drugiego, którego żeś wspomniał.

Orri przeplótł linę wokół stóp Waliego.

– Loki jest nieprzyjacielem bogów, a nie ludzi – zauważył Wali. – Słyszałeś kiedy, by uczynił coś przeciwko człowiekowi? Zabija olbrzymów, zabija bogów, atoli nam pomaga albo pozostawia w spokoju.

– To jest obrządek Odyna – wtrąciła się Jodis. – On jest panem wisielców, bogiem, co poświęcił swe oko za mądrość ukrytą w wodach studni. Jeśli chcesz pomocy, to do niego musisz się zwracać. Jak teraz tego nie zrobisz, uczynisz to tam. Już ja ci to mówię.

Zacisnęła pętlę na jego szyi.

– Poprzysięgłem sobie nigdy nie prosić tego boga o cokolwiek – odparł Wali.

– Poprosisz, albo skonasz – rzuciła Jodis.

Skorygowała ułożenie sznura na jego szyi, jakby wygładzała tunikę swemu dziecku, zanim pozwoli mu pójść na targ.

– Miejmy nadzieję, że to nam się nie przyda. Trzymaj się z dala od mrocznych bytów – upomniała go. – Rozmawiaj jeno z samym bogiem.

– A niby jak mam go poznać? – zapytał Wali.

– A żebym to ja wiedziała! – stwierdziła guślarka. – Magia to układanka, a nie przepis, jak zwykła mawiać Mama Disa. – Wali przytaknął. Ręce i nogi miał już skrępowane, nie mógł złapać równowagi, by ustać. Jodis skończyła poprawiać pętlę i ucałowała go w czoło. – Zabierzcie go na środek moczarów.

Mężczyźni dźwignęli Waliego, ale okazał się zbyt nieporęczny, by mogli go ponieść między sobą. W końcu Hogni przerzucił go sobie przez ramię i zaniósł przez chlupoczące błocko ku wodzie, w ślad za Orrim, który przecierał drogę. Zatrzymali się pośrodku mokradeł. Hogni opuścił i przytrzymał księcia, który ledwo stał, chwiejąc się na

nogach. Woda była lodowata; sięgała im do pasa. Wali zadrżał.

– Mam wezwać Odyna? – zapytał Hogni.

Jodis pokręciła głową.

– To księżę powinien go wezwać. Ty lepiej oszczędzaj oddech.

Jeśli Odyn przybędzie, możesz potrzebować tchu, by przebłągać go, by sobie poszedł. Gotów, Wali?

– Tak.

– Zanurcie go i trzymajcie pod wodą, póki nie powiem, by go wyciągnąć – nakazała Jodis. – Hogni, ty go przyduszaj. A ty, Orri, trzymaj linę. Obaj miejcie noże w pogotowiu. On zmierza ku bramom Hel, a jeśli coś go tam opęta, nie będzie można pozwolić temu czemuś pojawić się na tym świecie. Tak właśnie rodzą się potwory z bagien.

Trzech mężczyzn spojrzało po sobie.

– Jeśli będziecie musieli mnie zabić, zabijcie – rozkazał Wali. – Nie uznaję was za bratobójców, Mama Jodis wam świadkiem.

– Zatem usiądź, panie – rzekł Hogni.

Pierwszy raz był najłatwiejszy. Wali po prostu rozluźnił nogi i przechylił się do tyłu, zanurzając się w odmęty moczarów niby w morze w dzień gorącego lata. Zamknął oczy i nie widział, jak ciemne wody zamykają się nad nim. Przez kilka uderzeń serca nie czuł strachu. Zrazu zdało mu się, jakby nie był sobą, jeno widzem – nie dotarła do niego groza sytuacji i wciąż sądził, że w każdym momencie może wstać i zakończyć rytuał. Wtem zalał go lęk, w swej gwałtowności podobny fali przyboju. Rozpaczliwie brakowało mu powietrza. Próbował stanąć, a gdy nie zdołał, usiłował usiąść. Bez skutku – jakiś but przyduszał mu piersi. Słyszał dochodzące z powierzchni zniekształcone głosy i z trudem powstrzymał się przed otwarciem ust, by nie krzyknąć. Wykręcił się spod uciskającej go nogi, próbując oprzeć się na kolanach, wtem jednak poczuł z boku szarpnięcie, które przekreśliło go na brzuch. Ktoś przyciskał mu ręce, a potem na nim ukląkł lub usiadł – jak było w istocie, nie wiedział, skutek był jednak ten sam. Hogni i Orri sumiennie dotrzymywali obietnicy, pomagając mu pozostawać pod wodą.

Z trudem wstrzymywał oddech. Ogarnęła go trwoga, czuł, że topi się tyleż w lęku, co w wodzie. Pęta nie chciały puścić, ciężar na plecach i nogach zdawał się nie do wytrzymania, niemal stanowiąc część jego samego, jak gdyby Wali był jakimś masywnym olbrzymem, który sam nie jest w stanie się podnieść.

Nie mógł zrzucić sznurów, nie mógł się oswobodzić. Próbował wytłumaczyć sobie, że znalazł się tu z własnej woli, że tego właśnie chciał, ale na nic się to zdawało. Obudził się w nim instynkt, zwierzęcy i nieodparty, każący mu czym prędzej wydostać się na powierzchnię.

Wali otworzył oczy, by rozejrzeć się za światłem, atoli w błotnistej wodzie widział wcale nie więcej niż przez zamknięte powieki. Wtem poczuł gwałtowny przypływ woli życia i głęboko odetchnął. Wypluł wodę i odkaslnął, a jego gardło ścisnęło się i zamknęło na dobre. Miał ochotę poruszyć ciałem, i choć nie mógł już tego zrobić, w duchu wierzył w najlepsze. Łaknienie powietrza zdawało się czymś uwieczonym w jego głowie, łomoczącym do świadomości, by się uwolnić. Mimo to walczył – paniczny strach pochłonął nawet uczucie rozpacz.

Raptem groza ustąpiła jak ręką odjął i poczuł błogość, jak gdyby wszystkie jego troski, frustracje i obawy były jeno błahostką, niemal absurdalną w przypływie spokoju, który zstąpił na niego niby pocałunek rodzica składany na czole śpiącego dzieciątka.

Światło. A potem dźwięk, ciężkie razy i jakiś ruch. Zimna trawa. Miarowe trzepnięcia w tył głowy. Próbował się bronić, aliści ręce miał skrępowane. Mętny zarys twarzy. Z oczu opadła mgła. Jodis.

– I nic? – zapytała.

Wali odkaslnął, przez nos i usta pozbywając się wody i mułu.

– Nic a nic.

– Chcesz odpocząć?

Wali pomyślał o Adisli, o tym, co musiała znosić na pokładzie drakkaru Danów.

– Odpocznę po śmierci – wyrzeźił. Miało to zabrzmieć dziarsko, a ledwie wycharczał słowa. Gardło miał suche i obolałe po ucisku pod wodą; mięśniami wstrząsały spazmy i drgawki.

– Wsadźcie go ponownie – nakazała Jodis.

Wkrótce dla Waliego czas stał się czymś elastycznym, plastycznym niby kawał skóry, który rozciąga się lub kurczy, niby sztaba żelaza w kuźni, podgrzewana i studzona, zakrzywiana i prostowana. Zanurzony, miał wrażenie, że każde uderzenie serca trwa rok. Zaś gdy wyciągali go z wody, słońce zdawało się skakać po niebie, to w dół, to w górę, chyżo, niczym kamień puszczonego po wodzie. Choć miał silną wolę, Wali nie mógł się oprzeć pokusie odpoczynków. Gdy

się im oddawał, na początku go rozwiązywali, potem już nie. Niby mówił im: „Wsadźcie mnie znów do wody”, lecz nie potrafił zmusić ciała do posłuchu. A im więcej razy się zanurzał, tym bardziej się opierał.

Z początku udawało mu się panować nad sobą, póki nie osiągnął serca moczarów. Po jednym dniu rzucał się już przy ich skraju. Teraz mokradła zdawały mu się wyłącznie miejscem grozy – nie doznawał żadnych wizji, żadnych olśnień czy objawień; doświadczał tylko tej okropnej ciemnej wody, która go pochłaniała, tych ucisków z wnętrza, gdy powietrze starało się rozerwać mu piersi, i z zewnątrz, gdy woda wdierała się do ich środka. Ciężka ciemna masa zdawała się szarpać jego mózg, mocniej po lewej stronie niż po prawej. Ta asymetria powodowała ból głowy tak dotkliwy, że Waliego aż skręcało. Gardło miał podrażnione i ledwie mógł mówić.

Świadkiem obrządku była jeno garstka ludzi. Danowie uciekli, a Rygirowie siedzieli po domach, w grupkach wspominając zmarłych, doglądając rannych albo po prostu trzymając dzieci blisko, a drzwi zamknięte. Jeno Adisla została porwana, dziesięcioro ludzi poległo, a jeszcze więcej odniosło rany. Ci, co przeżyli, upijali się teraz w najlepsze, lecz nie z radości, a by utopić smutki i uczcić chwałę burzliwego dnia. Jeno Bragi i dzieci Mamy Jodis przyszli obaczyć cierpienie Waliego.

Jodis posłała swą córkę po zupe, ale Wali nie był w stanie nic przełknąć. Nic nie chciało przejść przez kurczowo zaciśnięte gardło; czas przerw między kolejnymi próbami odmierzały wstrząsające księciem drgawki, spowodowane głodem i chłodem. Pierwszego dnia wycierpiał dwanaście wypraw nad wodę. Drugiego – jeno cztery. Trzeciego zaś, gdy brak snu przytępił już realność zdarzeń, zdzierzył ich osiem. I, około wieczora, zaiste zaczął coś widzieć.

Topiąc się w ciemnych odmętach, znajdował się z dala od moczarów, gdzieś, gdzie było równie chłodno, lecz nie mokro czy ciemno. W momencie przełomu, w chwili gdy, tracąc dech, czuł coś pomiędzy paniką a spokojem, znalazł się w ciasnej przestrzeni, w tunelu, który zdawał się jarzyć, a jego ściany emanowały miękkim i obcym światłem. Ktoś tam był, tego Wali był pewien, choć nie potrafił określić, kto. Wyczuwał tę obecność jako ton, nastrój czy bieg myśli. Nigdy w życiu nie doświadczył niczego podobnego. To był umysł, co

zdawał się niby rzeka – wiecznie ruchomy, zawsze niezmienny – i, niby rzeka, miał prądy władne go wciągnąć.

A gdy wyciągnięto go z wody, nie zobaczył ani Orriego, ani Hogniego, jeno tego dziwnego ryżego mężczyznę w płaszczu z jastrzębich piór, który podniósł go i wyniósł na świeże zimne powietrze. Posłyszał głos, który zdał mu się znajomy.

– Oddaj się bez reszty.

Potem człowiek zniknął, a Wali poczuł, że ma już tego dość. Wiedział, co trzeba mu było robić. Nie można iść pod bramę śmierci, wciąż oglądając się za życiem, trzymając się go z uporem godnym lepszej sprawy. Musiał przystąpić ku niej bez obaw, śmiało, niemal zuchwale. Ta myśl nie naszała go w postaci słów, jeno jako uczucie pragnienia, podobnego tęsknocie więźnia za wolnością. Coś go pętało, a pęta należało zerwać.

Pobratymcy podnieśli go, a on spoczął w ich ramionach, wiotki niby trzcina.

– Panie – ozwał się Orri – próbowałeś już po wielokroć. Nic tam po tobie.

– Nie – odparł Wali, acz brzmiało to bardziej jak kaszel niż zrozumiałe słowa. Mężczyźni ruszyli ku brzegowi.

– Nie.

Przystanęli.

– Co mówisz, panie?

Wali ostatkiem sił zmusił się do mówienia, przemagając płuca, by wyparły powietrze przez gulę w gardle, i sformułował słowa. Był słaby i zmęczony, chciał za wszelką cenę ukrócić swe cierpienia. Zza wzgórza, od strony morza, rozległ się dźwięk rogów i podniesione głosy. To powracał Widłobrody. Wali miał to w nosie.

– Nie wyciągajcie mnie – polecił.

– Życie ci zbrzydło czy jak?

– Woda – wychrypiał, wskazując na moczary. Nie potrafił wyrazić swych odczuć słowami. Niebo było pieczarą, zaciemnioną deszczem, światło nienaturalne, z poblaskiem jak na ścianach w tamtym tunelu. Jego zmysły zdawały się przytłumione i przytępione, jak gdyby wciąż go oblepiał mrok mokradeł.

– Majaczysz, panie – rzekł Hogni. – Mamo Jodis, księżę mówi, że mamy znów go zatopić.

Jodis, pogrążona w myślach, tupiała nogą o ziemię. Spojrzała przez ramię ku morzu, wybiegając myślą do dziewczyny na łodzi Danów. Oczywiście było, że księcia wyciągnie się z moczarów, atoli może nadszedł czas, by dłużej potrzymać go pod wodą? O wiele dłużej.

– Róbcie, jak mówi – zdecydowała.

Teraz to Hogni i Orri zawahali się, lecz Wali podjął decyzję za nich. Ostatkiem sił przewrócił się i rzucił w wodę.

22. MYŚLENIE MAGICZNE

Królowa czarownic zajmowała się właśnie Księżycowym Ostrzem, gdy nagle pomiarkowała, że czarownik z wizji już znalazł Waliego. Broń Authuna zabrała pod wpływem impulsu, nie z kaprysu, jak mógł to zrobić zwykły śmiertelnik, lecz w odpowiedzi na magiczne odczucie. Wiedziała, że ten miecz jest ważny, a przez lata, które minęły od pojawienia się króla w jaskini, zrozumiała dlaczego. Wilk miał zabić Odyna, lecz potem sam musiał umrzeć. Starodawna wieszczba nie pozostawiała wątpliwości co do przebiegu zdarzeń. Odyn miał polec, a potem inny, bardziej życzliwy, bardziej ludzki bóg miał zabić wilka. Jeśli zaś pierwsze stadium tego konfliktu miało się rozegrać za jej życia, to bóg potrzebować będzie oręża. Wilka nie da się zabić zwykłym ostrzem, bo wszak inaczej nie pokonałby króla bogów w pojedynku. Przeto na miecz należało nałożyć zaklęcie.

W niższych jaskiniach znajdował się kamienny klin, gdzie wyszczerbiony strop łączył się z nierównym podłożem. Zawsze przypominał jej szczęki wilka. Teraz zaklinowała w nim miecz, jak tkwił w paszczy Fenrira Wilka, i przez wiele miesięcy skupiała się na nim, pragnąc ujrzeć w tym orężu coś, co mogłoby skrzywdzić okrutnego boga.

Czarownica osiągnęła w magii taką potęgę, że sama była na poły boginią, a jej postrzeganie różniło się od ludzkiej percepcji rzeczy, co stają się na mgnienie oka, by przestać istnieć, gdy człowiek odwróci uwagę. W jej przypadku były one niby żywe istoty, pajęczce myśli wypełzające z jajeczek umysłu, pnące się po przedmiocie medytacji – mieczu – przyczajone, by omotać cokolwiek, co miało spotkać tę broń w przyszłości. Przekonała samą siebie, że ten oręż będzie zgubą wilka, a siostry siedziały z nią, dzielając to przeświadczenie. Pod koniec medytacji ten pogląd zespolił się z Księżycowym Ostrzem, mając wypaczyć postrzeganie każdego, kto odtąd miał się z nim zetknąć. Łącznie z samym wilkiem.

Gullweig wiedziała, że siły, która miała pokonać Odyna, nie

sposób zabić za pomocą pomniejszej magii, a ogół wiedźmowych czarów nie dorównywał tym w posiadaniu króla bogów, dostrzegając atoli jedną szansę. Księżę, jak wiedziała, wychował się na opowieściach o bitwach toczonych przez ojca, słysząc legendy o utraconym magicznym mieczu. Gdy wilk pochłonie księcia, ich braterskie świadomości się zjednoczą. A to, jak wierzyła, stanowiło klucz do śmierci zwierzęcia. Magia nie będzie musiała przebijać się przez wilczą opokę, wśliźnie się przez wyłom zrobiony przez człeka, który odda życie, by sprowadzić Fenrira Wilka na ziemię.

Medytacja miała się ku końcowi, gdy czarownice poczuły krótką przerwę w przepływie wszechrzeczy, tak jak ktoś śpiący na wozie nagle miarkuje, że ten się zatrzymał. Wali, zanurzając się w moczarach, wkroczył w magiczną przestrzeń wizji i wieszczb, gdzie żyły czarownice, a one jakby posłyszały jego kroki na jej progu.

Królowa czarownic była świadoma obecności czegoś obcego. Słyszała inkantację, bębnienie i zobaczyła oczy czarownika. Wtem poczuła ten wspaniały, wciągający nurt zimnych wód, ucisk w gardle, rozpaczliwą potrzebę zaczerpnięcia powietrza, głęboką rozpacz... I zanurzyła się w umyśle Walięgo.

Od dawna wiedziała, że męska magia jest słaba. Rytuały praktykowane przez wilczego szamana, Kwelda Ulfa, na przykład, mogły wpłynąć na sferę fizyczną, atoli czarownice ze Ściany Trolli w zasadzie nie uznawały ich za magię. Przeprowadzano je bez pomocy czy zrozumienia run, a dla królowej czarownic miały solidność domu postawionego bez fundamentów. Obecność niebieskookiego czarownika zdawała się jej krucha i delikatna.

Widziała obrazy, którymi tętnił jego bęben, biegnące wilki, renifery, niedźwiedzie, powstające na skórze instrumentu jako małe figurki z patyków, odbijające się od niej i pływające ku moczarom. Cóż on próbował zrobić? Zanurzyła się w rytm bębna, przekształcając go w głowie. Po pewnym czasie pojęła go, posiadała, znalazł się pod jej kontrolą. Czarownik nazbyt skupiał się na mężczyźnie w moczarach i nie pomiarkował, że ona też tam jest; dźwięk bębna się zmienił, wydając tajemnice szamana na pastwę pajęczyny umysłu królowej czarownic. Jego myśli stanęły przed nią otworem. Poszukiwał bliźniaka, który został księciem, doskonale uświadamiał sobie jego znaczenie, atoli nie miał żadnego pomysłu, co dalej począć. To było

widać.

Królowa czarownic była zadowolona. Miała wroga na swej lasce, rozkojarzonego, nieświadomego jej obecności, z tą jego ograniczoną magią spętana próbą wpłynięcia na zanurzonego w moczarach młodzieńca. Poczula, jak wzbierają w niej runy, ostre niby cierń, by nimi kłuć szamana, lód, by go zmrozić, woda i ziemia, by zatrzymać mu oddech.

W ciemności pieczary poczuła, że jakaś ręka chwyta jej dłoń. Odwróciła się i w nikłym blasku świecy z wielorybiego sadła zobaczyła siedzącą obok kobietę z oszpeconą twarzą, z uśmiechem na ustach. Wtem na jej umysł spłynęła świadomość i zapomniała o swej dziwnej towarzyszce.

Czarownica pomiarkowała, że ten czarownik, jakkolwiek słaby by się zdawał, był bogiem, Odynem. Przeto każda ułomność, którą okazywał, była utajoną siłą. Niby mogła go zaatakować, ale on by przeżył tę napaść, a nadto mógłby pomiarkować swą prawdziwą tożsamość, obudzić w sobie pełnię mocy i zmiążyć wiedzmę.

Gdy świeca zamigotała, a cienie zdawały się rozlewać po ścianach jaskini, królowa wyczuła, że jej mordercze poprzedniczki spoglądają na nią spośród otaczających skał. Ich nagłe pojawienie się było znaczące, wiedziała to.

Myślenie magiczne może się zdawać bliskie szaleństwu, lecz – podobnie jak niektóre rodzaje obłądu – mieści w sobie iskierkę geniuszu. Pierwsze czarownice wiedziały, że Odyn parał się kobiecą magią. On, jako jedyny pośród mężczyzn, po mistrzowsku opanował tajniki kobiecej sztuki – „seid”, jak ją zwano. Loki powiedział Gullweig, że ten bóg był zazdrosny o całą wiedzę, że nastawał na królową, bo pojęła zbyt wiele z tajemnic magii. Zatem Odyn nienawidził potężnych czarowników w sferze ziemskiej i miał nadzieję, by ich zgładzić. Bardzo dobrze, pomyślała. Wtedy bowiem, gdy sam bóg pojawi się na tym padole, i przekona się go, że jest najpotężniejszym pośród czarowników, zaatakuje on samego siebie. Można go podstępem nakłonić do zabicia własnego wcielenia. Odyna znano wszak jako wszechnienawistnika. A sam miałby stanowić wyjątek od tej nienawiści? O nie.

Zamierzała pomóc czarownikowi, wzmocnić go, osłabiając samą siebie, by stać się podrzędnym celem, umknąć uwadze martwego

boga, sprawiając, by skupił się na własnej ziemskiej inkarnacji. Była pewna, że i bez tego widział dość, by podążyć tą drogą. W wizjach zobaczył wilka i chłopców, a teraz starał się przywołać to stworzenie, by stało się jego obrońcą. Właśnie do tego celu wykorzystuje tę dziewczynę. Runa Wolfsangel ukazała czarownicy, że córka guślarzki jest związana z braćmi i ich ostateczną przemianą. A zatem wróg Gullweig miał już do dyspozycji wszystko, czego potrzeba, by przywołać wilka. A mimo to, bez jej pomocy, nigdy by tego nie dokonał.

Zgony dziewczyn w Jaskiniach Czarownic nie były wynikiem wrażliwych ataków. Były poniekąd wieszczbą, wskazówką, może nawet przejawem własnej magii królowej, podpowiadającym jej, co uczynić. Droga do magii, o czym czarownice wiedziały od zarania dziejów, prowadziła przez ból i wstrząs. Teraz Gullweig zrozumiała, że kluczem do przetrwania jest słabość. Musiała osłabić moc, i własną, i sióstr, tym samym wzmacniając potęgę wroga i pomagając mu dokonać magii, która go zniszczy. Wcześniej sądziła, że to ona przywoła wilka, by ten pokonał boga. Teraz wiedziała już, iż nie ma takiej potrzeby. Bóg sam może zawezwać zwierzę.

Czarownik osiągnął naprawdę dużo bez pomocy run. A mając je, pomyślała, jeszcze przyspieszy bieg zdarzeń. Gullweig zdecydowała – prześle je wrogowi w darze.

Jedna ze starszych sióstr, ta nosząca w sobie runę świecąca niczym lampa w ciemnościach, przydającą zrozumienia i wyrazistości wizjom czarownic, umierała właśnie, spoczywając w wyższych partiach jaskiń. U jej stóp siedziała dziedziczka, pogrążona w głębokim transie, który miał jej pozwolić na przejście runy. A do tego, pomyślała Gullweig, nie można dopuścić.

Disa miała rację co do magii. Czar to nie przepis, choć wiele z nich wymaga składników, konkretnych metod mieszania i wypiekania w ciemnym piecu umysłu. Bliżej mu do układanki, której części składowe należy wpierw rozpoznać, a potem złożyć w całość. Albo nawet do haftu, acz wykonanego kosztem bólu i wyrzeczeń, miast igły i nitki.

Na swych najwyższych poziomach magia jest sprawą uczucia. Królowa czarownic, która przez lata kształciła swe instynkty w mroku, wiedziała, że w magii racjonalne myślenie nie dawało owoców. By

osiągnąć to, czego potrzebowała, musiała po prostu zacząć, wziąć niewidzialne nitki w ręce – tę zwaną „cierpieniem” i tę zwaną „rozpaczą” – i spleść je w coś więcej niż zwykłą sumę części.

Popadając w trans, Gullweig pomyślała o umierającej czarownicy i jej oddech stał się płytki, a członki zwiotczały ze współczucia. Jej umysł wypełniała zgnilizna – choroba, rozerwane szczątki ofiar gorączki, odór oddechu umierającej staruszki. Ta woń zdawała się przylegać do królowej, a ona wiedziała, że śmierć starej czarownicy jest rzeczą ze wszech miar słuszną, wspaniałą i piękną.

Gullweig przechadzała się wraz z tą kobietą po jej przedśmiertnych wspomnieniach. Widziała, jak starą czarownicę przyprowadzono do jaskiń jako dziewczynkę, czuła jej lęk przed ciemnością, mękę, gdy przechodziła szkolenie i euforię, gdy runa w końcu rozpałała się w niej, mocno spajając z siostrami. Wyczuwała też inne czarownice, duchowe byty w umyśle staruszki. Podeszła do nich, mówiąc im, że czas odejść i ją pożegnać. Czarownice znikwały powoli, a królowa poczuła, jak myśli umierającej kobiety wędzną samoistnie. Gdy siostry się rozproszyły, Gullweig czuwała przy konającej w pomroce jej umysłu. Jej runa lśniła w tej pomroce niby lampka olejna.

Gullweig odebrała symbol, a czarownica odeszła. Widziała, jak dziewczyna, która ma przejąć runę, czeka w ciemnościach. Królowa uniosła rękę, a dziewczyna padła bez życia. Potem Gullweig powróciła do pogrążonego w moczarach Waliego i cisnęła runę ku czarownikowi.

Gdy runa wstąpiła w ciało, wiedźma usłyszała krzyk, a rytm bębna się załamał. Uśmiechnęła się do siebie. Teraz ten człek dostąpi takiego zrozumienia i wyrazistości, jak nigdy przedtem. Będzie wiedział, jak postąpić, gdy wyśle mu kolejną runę. Wyjęła kawałek skóry i przebiegła palcem po konturach runy Wolfsangel. Czarownik wyczuwał już obecność tego symbolu, tego była pewna. Pomyślała o tym wykrzywionym kształcie i rozwarła świadomość niby śmiercionośny kwiat, obnażając mroczny nektar runy ukrytej w jego wnętrzu. Coś łąpczywie sięgnęło do jej głowy, drąc i szarpiąc. Czarownica starała się nie bronić, nie opierać. Gdy bębnienie czarownika zdawało się wykrawać runę z ciała, miała wrażenie, że jej oczy za chwilę eksplodują. Upadła na ziemię, twarzą w dół, krwawiąc z nosa i ust, zagryzając palce, by odwrócić uwagę od bólu w głowie. Czuła euforię i katusze swego wroga, gdy runa wplatała swe nici w jego

umysł. To ją zadowalało. Wcielenie boga znalazło się na dobrej drodze ku własnej zgubie. Teraz naprawdę mogło przywołać wilka, czym podpisze na siebie wyrok. Gullweig wyszła z transu i zadrżała.

Doznanie śmierci zadanej jednej z sióstr tłukło się w jej głowie, bzyząc niby rozzłoszczona osa pośród łąki w letni dzień. Gullweig jeszcze głębiej pogrążyła się w obłąd, atoli nawet to zdawało się rzeczą właściwą. Podniosła się z ziemi, by podejść do zmarłej siostry. Posiedzę przy niej przez jakiś czas, pomyślała. Dobrze mi zrobi, gdy stawię czoła swemu uczynkowi, poczuję jego konsekwencje, pogładzę włosy starej czarownicy, potowarzyszę jej w ciemnościach, gdy ta będzie gniła. Zabójstwo, żal i smutek były narzędziami, za pomocą których wykopie nowe tunele w labiryncie swego magicznego umysłu.

Wstała, nie zauważając ręki, która pomogła jej podnieść się na nogi.

23. BIEGNĄCY WILK

Tym razem ogarniająca Waliego panika zdawała mu się bardziej przytłumiona, zduszona przez zmęczenie. Nie wytrzymał i zaczerpnął oddechu, potem poczuł ścisk w gardle, mimowolny spazm mięśni, gdy próbował odbić się od dna ku powierzchni. Starał się uspokoić, by przyjąć bez lęku to, co musiało nastąpić. Nagle strach go opuścił, znikając niby kamień balastowy wyrzucony za burtę.

– Nie rusza się – stwierdził Hogni.

Orri jeno pokręcił głową i spojrział w dół. Rozpadało się na dobre, znad morza nadciągała niesłabnąca ściana deszczu. Cały świat zdawał się usnuty z wody, a moczary i pobliskie zbocze wzgórza jawiły się ledwo smugami szarości na tle omroczonego burzą nieba.

Wali czuł pewność śmierci, spokojną i pokrzepiającą, przynoszącą obietnicę kresu wszech trosk. Agonia była niczym ciepłe łóżko, do którego mógł się wśliznąć, niczym mięso dla głodnego.

W jego głowie grasowały istoty. Wrogie byty, pomyślał. Czuł się wyparty ze swojej świadomości, jakby był li tylko dzierżawcą własnej głowy. Była w niej teraz wątła jaźń mężczyzny, walczącego z kobietą, której umysł zdawał się tak głęboki i niebezpieczny jak morskie odmęty. A jednak to on wygrywał. Odebrał coś tej kobiecie. Ziemskie zmysły i myśli Waliego nie potrafiły ogarnąć, co to było. Jemu jawiło się jako kształt, cięcie we wszechrzeczy, postrzępiony sznyt w tkance stworzenia.

Wali ponownie znalazł się w tym tunelu, gdzie blask kamieni był niby światło przezierające przez wodę, a powietrze zimne i ciężkie. Podłoże zalane po kolana. Spojrzawszy w bok, zobaczył nieznaną postać. Mężczyznę w sztywnej wilczej masce, sporządzonej z drewna i sierści; w ręce trzymał płytki bęben.

– Czemu tu jestem? – głos Waliego brzmiał dziwnie głucho.

Zamaskowany mężczyzna jął uderzać w instrument. Intuicja podpowiedziała Waliemu, że w ten sposób chciał coś przywołać, coś z głębi duszy księcia. Światło zdawało się falować, a on znów stał się

świadomy tego kształtu. A ten, jakby wytrząsany ze skóry bębna, unosił się, drgał i pulsował przed oczami. Przeznaczenie, jak wiedział, było ustalane przy narodzinach. Przyszłość stanowiła ścieżkę pomiędzy górami, z której nie sposób było zbroczyć. Już od wczesnych lat wpajano mu legendę o Nornach, trzech kobietach, które siedzą pod drzewem świata, Yggdrasillem, przędąc los każdego człowieka. Teraz coś mu jednak oferowano. Ten kształt, ten straszny przeokropny kształt, coś pomiędzy nożem a igłą, mogący przeciąć nić jego życia i na powrót ją złączyć, coś zakrzywionego i ostrego, acz niematerialnego – raczej wyobrażenie niż rzecz. Ta nieznana forma była zaburzeniem świata powodującym inne anomalie – to była runa. Już jej nie widział, ale myśl o niej zdawała się unosić na skraju jego świadomości, niby obraz zapamiętany ze snu.

Rytm bębna zdawał się Walim kierować. Książę poczuł silną potrzebę, by spocząć w wodzie wypełniającej posadzkę tunelu. Poddał się jej, kładąc się na ziemi, wyrzucając ręce na boki, odginając nogi do tyłu i wysuwając głowę do przodu. Ciało Waliego wykrzywiło się, naśladowując kształt, który zdawał się brać we władanie całe jego jestestwo, całe jego przeznaczenie. Wolfsangel. Teraz Wali jawił się nie jako człowiek, tylko jako żyjąca ekspresja znaczenia tego symbolu.

Zrozumiał, że oferowano mu wybór: ten kształt albo żaden, runa albo śmierć. A potem, w umyśle, wcale już nie był symbolem. Wali tylko stał, a runą był wilkolud, którego pojmał na wzgórzach, unoszący się na wodzie w tunelu. A potem był nią ktoś inny. Adisla. Leżała na wznak, z rozrzuconą spódnicą, z rozpostartymi rękami i nogami wygiętymi tak, jak on chwilę wcześniej. Wali zdawał się unosić ponad nią, albo ona wirowała pod nim; tworzyli układ obracających się ciał.

– Kochana, gdzieś ty?

– Jestem...

– To jest to miejsce – odezwał się inny głos. Wali słyszał go już wcześniej, tego był pewien. Zaiste, właśnie tak brzmiał mężczyzna w murze tarcz, ten nieznajomy błąd człowiek w płaszczu z jastrzębich piór. Czyżby i jego zawezwało bębnienie?

– Jakie miejsce?

– Miejsce twej zatury.

Dźwięk bębna zdawał się nim wstrząsnąć, przywołać coś w jego wnętrzu. Wprawił coś w ruch, tak jak nierozważny krok powoduje

lawinę. Ryk. Głos, jakiego Wali nigdy wcześniej nie słyszał – krztuszący się, zachrypnięty, jakby echo dzikiej nienawiści.

Nagle znalazł się na ziemi, a tam, gdzie przed chwilą leżała Adisla, spoczywał teraz ogromny wilk, toczący pianę z pyska, o wiele większy niż Wali. Stworzenie było przywiązane do skały cienkim powrozem, który mocno wrzynał się w ciało, niby nić wokół pieczeni. Szarpało i rzucało się, próbując wstać, ale na próżno. Było jak zwierzę uwięzione już w chwili narodzin, gdy nogi ma jeszcze zbyt wątłe, by utrzymały jego ciężar. Jeszcze gorzej wyglądał pysk basiora – ziejąca krwawa rana, którą jątrzył dodatkowo przebijający ciało tępy metalowy pręt.

Przez jego głowę przemknął głos, szorstki i spieszny, niby otoczaki osuwające się po skale: „Gdy bogowie pewność zyskali, iż Fenrisulfr spętany został na dobre, dobyli powrozu zwanego Cienkim i przywiązali bestię do skały zwanej Krzykiem. Gdy zaś istota spróbowała pochwycić ich w paszczę, między szczęki wrzili jej pewien miecz tak, by nie mogła ich zamknąć. Tam Fenrir Wilk spoczywać będzie między cierpieniem na jawie a udreńczonym snem aż po kres dni. Wtenczas pęta puszcza, a bogowie rozerwani zostaną na strzępy”.²³

Stworzenie z całej siły szarpnęło się w więzach, uniosło do połowy, opadło, z trudem podźwignęło się i ponownie targnęło się w przód. Jego ogromny pysk ział w stronę Waliego. Katuszom towarzyszył odgłos niczym chrobot żelaza o kamień w kuźni, acz po tysiącokroć zwielokrotniony, zgrzytliwa, dysharmonijna nuta cierpienia.

Wali poczuł silny przypływ strachu, nie takiego jak w murze tarcz czy podczas bitwy, z którym można się ułożyć, zapewnić, że się go usłucha, jeśli tylko, choćby na mgnienie oka, odstąpi. To było niczym lęk przed utonięciem, przed pogrzebaniem żywcem, gdy groza unicestwienia, ręki śmierci przesłaniającej zmysły i wstrzymującej oddech, zaciska się na gardle. Gdy już żelazny uścisk paniki zdusi cały rozsądek, człek rozpaczliwie próbuje chwycić się wszystkiego, wszystkiego bez wyjątku, jedynej ambicji umysłu, ostatniej składnej myśli: „Tylko nie to, tylko nie to”.

Wali odwrócił się, by uciec, atoli ściany tunelu zamknęły się

²¹Odautorska parafraza fragmentów *Gylfa omamienia* (*Gylfeginning*) z *Eddy młodszej* (*Eddy poetyckiej*).

wokół niego. Utknął w niewielkiej sferze bladego światła, pośród napierającego zewsząd mroku. Męka wilka przypominała jego własną. Czuł tęsknotę zwierza za wolnością jako duszne powietrze na twarzy, czuł jego nienawiść wobec mocno krępujących więzów, kłujący ból w jego szczękach. Zupełnie jakby się topił, lecz nie w wodzie, a w wilczej udręce, jakby ten stwór go pożerał, nie zębami, a umysłem.

Czul przemożną ochotę, by się wydostać – by odetchnąć, by żyć. Krew tętniła mu w uszach; a może to bęben? Podniósł wzrok. Bębniarz stał nad nim; kość, którą uderzał o napiętą skórę, miała teraz kształt wyszczerbionej runy.

– Pomóż mi – błagał Wali.

Bębnienie ucichło. Potem mężczyzna rzucił runę ku Waliemu.

– Stań się – rzeki. A Wali zaczął się rzucać jak dziki.

Nagle wierzgnięcie nóg księcia obaliło stojącego w wodzie Hogniego.

– Uwolnił się z więzów! – zakrzyknął Orri ku Jodis.

– To pociągnijcie za sznur i go zabijcie!

Hogni targnął za powróż. Za późno. Wali już miał go w rękach, wstał, zapierając się nogami, i szarpnął. Okręcony sznurem Hogni stracił równowagę i runął w wodę. Ciągnięty ku księciu, szamotał się, próbując się wyplątać. Zbyt wolno. Wali skoczył na niego, wyjął i plując, gryząc i częstując go pięścią. Przyglądający się z brzegu Bragi, rzucił się do wody, brodząc ku walczącym.

Orri dobył noża i zaszedł Waliego od tyłu. Atoli zawahał się na krótką chwilę – wszak był to dziedzic jego władcy – i za tę rozterkę przyszło mu zapłacić życiem. Księżę, jakby instynktownie wyczuł zagrożenie, odwrócił się i pojedynczym ciosem przetrącił mu kręgi.

Gdy Wali ponownie runął na Hogniego, Jodis wrzasnęła. Hogni jednak uczeplił się nóg księcia, Bragi zaszedł go od tyłu, i po krótkiej szamotaninie obaj woje wynieśli dziko miotającego się Waliego na suchy ląd. Potem pojawili się inni, rzucając się na młodzieńca, przygważdżając go, przytrzymując i dusząc. Byli to ludzie Widłobrodego, a za nimi, w lśniącym, pełnym rynsztunku – kolczudze, hełmie, dzierżąc tarczę i miecz – stał sam król.

Wali miał zwidy. Niby widział zbrojnych Rygirów, ale jawili mu się niejako ludzie, jeno jako ukryte przesłanie bólu i morderstwa. Mógł niemal posmakować ich podejrzliwości wobec siebie, ich

zazdrości i obaw, jakby tych wojów otaczał nimb wszystkich ich emocji. Uczucia te były niby zapach, który Wali mógł zwęszyc; wiele ich doznań, od gorących nienawiści po najłabsze animozje, stanęło przed nim otworem, pozwalając się wyczuć i nazwać, tak rzeczywistych i licznych, jak wonie z kuchni w dzień biesiady.

Ponownie jał się szamotać i poczuł, że pętla zaciska mu się na szyi. Zaczął wracać do siebie, miarkować, kim jest. Wtem wszystko zniknęło i otoczył go inny odcień mroku. Na plecach Wali poczuł inny rodzaj zimna. Zamrugał, zwymiotował wodą i otworzył powieki. Zobaczył spoglądającą nań twarz Hogniego.

Na chwilę zemdlął ponownie.

– Na nogi go! Podnieść mi tego parszywego mordercę i bratobójcę!

Brutalnie podźwignęli go na nogi. Kości Waliego zdawały się straszliwie ciężkie, bardziej jakby je odkopywano, a nie podnoszono z ziemi. Wzrok księcia spoczął na znajomym obliczu, wykrzywionym we wściekłym grymasie.

– Zapłacisz za to – rzekł Widłobrody. – Powiniennem wiedzieć, że bękartom Horda nie należy ufać. Nic dziwnego, że to ciebie mi przysłali, swego najbardziej bezużytecznego syna. Cóż, tak czy siak, upuścimy ci krwi. Książę chce umrzeć? No to spełnimy jego życzenie, prawda, chłopcy? Zabrać broń reszcie szpiegów.

W Bragiego celowało pięć włóczni, a Waliemu wykręcono ręce za plecami.

– Zabrać go do hali. I zwołać tam zgromadzenie, co żywo. Nie może umrzeć bez ich przyzwolenia. To nie będzie zwykła egzekucja, upewnijcie się, że wszyscy się o tym dowiedzą. To wypowiedzenie wojny.

Waliego, wciąż sapiącego i rzeżącego, kopniakami popędzono pod zbocze. W głowie roily mu się widziane po wodą obrazy – wilk, pieczara, lecz przede wszystkim Adisła, on sam i wilkolud. Wykrzywione i zniekształcone wpływem przerażającej runy. Ich przeznaczenia są złączone, wiedział to. Ta wiedza go pokrzepiała. I zarazem napawała trwogą.

24. OSĄD

Zgłoszono kilka głosów sprzeciwu wobec egzekucji Waliego. Arnhvatr przypominał, że księżę zorganizował obronę, Hakir dowodził jego odwagi w szeregu. Atoli zarzuty Widłobrodego były z rodzaju tych ciężkich.

Zgromadzenie odbyło się dwa dni po zabraniu Waliego znad topieliska, aliści wieść o tym rozeszła się lotem błyskawicy i jeno kmiecie z najodleglejszych siół nie wzięli w nim udziału. Ludzie tłumnie napływali do Eikund, by posłuchać o ataku Danów i przyjrzyć się schwytanym przez Widłobrodego szpiegom.

Król był człkiem szczerym do bólu, bez ogródek wyłuszczył przeto swe oskarżenia. Po pierwsze, Wali miał już wcześniej wiedzieć o najeździe i osobiście zawezwał napastników, gdy Widłobrody wypłynął. Po wtóre, zabił Drengiego z zazdrości o Adislę. Nie sposób było temu zaprzeczyć, wszak mały Loptr widział go z toporem w rękę nad ciałem ofiary. Słyszano również, jak na Grzbiecie Wieprza księżę życzył Drengiemu śmierci. Po trzecie, gdy wróg przypuścił szturm, Wali próbował czmychnąć z platerami, w czym przeszkodzili mu ci sami ludzie, którym chciał dopomóc. Choć sam sprowadził berserków do Eikund, pomiarkował, że w amoku mogą go nie rozpoznać i dał nogę w obawie przed ich mieczami. Po czwarte, w murze tarcz nie chwycił za broń, a nawet ocalił jednego z najeźdźców od śmierci. Gdy stało się jasne, że jego ewidentne przewiny wyjdą na jaw, udał się nad topielisko, szukając ratunku w magii. Nadto, jakby tego było mało, zdrajca przyjaźnił się z tym Dunem, Barthem, z pasją chłonąc wiedzę o jego krainie i panujących tam zwyczajach. Azaliż po co miałyby to robić, jeśli nie w celu ugadania się z wraźymi siłami?

Wali nie był w stanie mówić. Po mękach w topielisku jego gardło zawarło się na dobre, a wraz z nim i umysł. Powrócił z moczarów z uciskiem w czaszce, brzemieniem, co zdawało się obciążać mu głowę, która była teraz jakby za ciężka w stosunku do reszty ciała. Zbliżył się do czegoś, czuł to, czegoś głębszego, ukrytego we wnętrzu, i

odsunął od siebie troski ziemskiego świata.

Zgromadzenie wydawało się mijać Waliemu jak we śnie, a jego znaczenie nie było do końca uchwytnie. Wokół majaczyły twarze, niektóre znajome, inne obce – żony kmieci, gapiące się na niego wilkiem w niemym oskarżeniu, oblicza wojów – przyjazne, nieprzeniknione, wrogie. Wielu ludzi było mu przychylnych, atoli bitwą rządzą chaos i zamieszanie. Ci, co byli w porcie, gdy najeźdźcy nadpłynęli, nie mieli jasnego rozeznania w przebiegu zdarzeń. Widłobrody podał im na tacy logiczne wyjaśnienie – zinterpretował czyny uczestników, okrzyknął bohaterów i tchórzy.

Myśli Waliego zdawały się zamglone, ulotne niby przebłęski dziennego światła prześwitujące przez wodę na moczarach. W życiu nie było mu tak zimno. Drżał, a jego pobladłe ciało pokrywały plamy. Uznano to z przejaw jego tchórzliwej natury.

Każdy, kto udał się z Widłobrodym na miejscowe zgromadzenie, obwołał Waliego tchórzem i sprzedawczykiem. Nieobecność podczas ataku Danów stanowiła ujmę na honorze wojów, przydając jadu ich oskarżeniom.

Widłobrody wiedział, że zawiódł swój lud, zbyt łatwo dał się zwieść, zwabiony w zasadzkę błogiej beztroski przez lata pokoju. Potrzebował kozła ofiarnego, a Wali – cudzoziemiec i człek niepasujący do wizerunku bohatera – doskonale się do tego nadawał. Błąd Waliego polegał na tym, że nie pomiarkował na czas, iż nie wystarczy dowieść dzielności w działaniu. Trzeba też mówić, jak na bohatera przystało, okazywać zamiłowanie do broni i rzezi, a nie dworować sobie ze śmiałków i spędzać czas na gawędach z kobietami przy palenisku. Gdy Wali zwiódł berserków i poprowadził obrońców ku zwycięstwu, wielu przecierało oczy ze zdumienia, niemal nie mogąc uwierzyć w to, co widzą. Przestali ufać ich świadectwu, jeszcze nim Widłobrody skończył swą tyradę.

Także królowa Yrsa nieumyślnie naraziła swego syna na szwank. Dopuściła się błędu, którego Authun, przy zdrowych zmysłach, nigdy by nie popełnił. Świadoma ciągot Danów do oszustw, nie udała się na miejscowe zgromadzenie, na które popłynął Widłobrody, i podwoiła strażę wokół wybrzeża. Wiedziała, że Rygirowie staną się obiektem napaści, przypuszczała jednak, iż Danowie mogą zaatakować więcej niż jeden cel, tudzież – w razie powodzenia w Rogalandzie – z

rozpędu najechać terytorium sąsiada. Nieobecność wysłanników ludu Horda – choćby marnego jarla – była dla Widłobrodego wystarczającym dowodem obłudy sojuszników.

Wali jest szpiegiem, prawil król, umieszczonym na jego dworze, od najmłodszych lat szkolonym w oszustwie przez swego towarzysza, tego spiskowca Bragiego.

Stary nauczyciel Waliego stał tuż obok, skatowany i związany. Bragi głośno zaprzeczał oskarżeniom, atoli Widłobrody kazał go powalić. Doszło do głosowania. Wynik, jak nietrudno zgadnąć, był niepomysłny. Królewscy przyboczni pochwycili księcia i wywlekli go na zewnątrz.

Na wzgórzu wykopano jamę, dwa razy wyższą od człowieka i na tyle wąską, by uniemożliwiało to wsparcie się w rozkroku między ścianami i wspięcie się na górę. Wali nie zauważył tej właściwości otworu, gdy wrzucano go na dół, zanotował jedynie upadek i uczucie bezdechu. W środku było mokro. Deszcz nie padał od dawna, aliści na dnie stało wody na dwa palce. Po szamotaninie na mokradłach odzienie Waliego było w strzępach, chłopak marzył przeto setnie. Mimo to, wyczerpany, zapadł w głęboki sen. Nic mu się nie śniło.

Wali postyszał głosy u szczytu jamy. Klótnia i rękoczynny. Potem z hukiem wylądowało na nim coś wielkiego i ciężkiego.

– Psubraty! – zakrzyknął Bragi. Wali zrzucił z siebie staruszką, a ten odtoczył się, klnąc siarczyście. – Zażądałem osądu! – zżymał się, gotując się z wściekłości. Nie zważał na nic poza niesprawiedliwością, której doznał, i, jak się Waliemu zdawało, jął psioczyć na nią już w locie.

Wali rzucił spojrzenie w górę, na kwadrat gwiazd ponad nim, i rozejrzał się po ścianach jamy. Przełknął ślinę. Czuł ból i w gardle, i w głowie na dodatek. Przypomniiał sobie, jak niegdyś stanął na barkach Bragiego, by dostać się do wnętrza kościoła. Tak samo mogliby się wygrzebać także i z tego ambarasu. Był pewien, że zdołałby osiągnąć krawędzi i się podciągnąć. Tylko czy miał dość siły? Na tle oświetlonego księżycem nieba pojawiła się jakaś twarz, niemal jak na zawołanie, by pozbawić tych rozmyślań wszelkiego sensu. Byli pod strażą. Jedyne, co by zyskał na próbie wydostania się z jamy, to kilka siniaków od uderzeń włócznią.

– Osąd to najmniej z tego, co mi się należy. – Bragi, aż trudno

uwierzyć, naprawdę walił w ścianę, złorzecząc, na czym świat stoi.

– Osąd? – wychrypiał Wali. Głos odmawiał mu posłuszeństwa.

– Nie taki jak tam, na dworze – wyjaśnił. – Osąd przez walkę – holmgang. W należyty sposób.

– Nie możesz wyzwąć króla na pojedynek. Zgromadzenie wydało wyrok. – Książę mówił wolno i cicho, oszczędzając gardło.

– Wyzwałem go, a on zgodził się wystawić reprezentanta.

Wali oparł się o ścianę. Do jego nozdrzy doleciał drażniący odór. Poznał go od razu. Tam w dole, na plaży, właśnie palili zmarłych. Powróciły niewyraźne wspomnienia o tym, co uczynił.

– Zabiłem Orriego.

– Nie da się ukryć.

– Zatem jestem bratobójcą.

– Moczary cię zauroczyły. A on cię zaatakował, pamiętaj. Naonczas zamierował ugodzić cię nożem.

– Byłby z ciebie nie lada obrońca przed głosicielem prawa²⁴ – zadrwił Wali. – Zabiłem go. Był mi bratem. Kim więc jestem, jeśli nie bratobójcą?

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Wali próbował pogodzić się ze swą zbrodnią. Nie zdołał. Już tym czynem zasłużył sobie na śmierć. Potem rzekł:

– Jeśli wygrasz, będziesz wolny. To chyba równie rozsądne wyjście z frasunku, jak każde inne.

– Wiedziałem, że dojdiesz do tego wniosku, panie – rzekł Bragi – i z radością ci oznajmiam, że jako twój zaufany wasal wystosowałem wyzwanie i w twym imieniu.

Wali prawie się zaśmiał. Prawie, bo to boleło.

– Z którym z królewskich reprezentantów mam się potykać?

– Z Leikrem. – Wali głośno przełknął ślinę. Widłobrody wiedział, co czyni. Postarał się, by książę walczył z bratem Adisli.

– A tobie kto przypadł w udziale?

– Ten berserk na usługach Danów.

– A więc przeżył?

– A juści. Widłobrody przyobiecał mu wolność, jeśli mnie

²⁴Urząd specyficzny dla krajów skandynawskich; przewodził thingom (zgromadzeniom wolnych ludzi), podczas których stanowiono prawo; on sam głosił je i podług niego sądził.

pokona.

Wali zmierzył Bragiego wzrokiem. On naprawdę był starym człowiekiem, użytecznym z racji doświadczenia i wciąż przydatnym w murze tarcz czy podczas najazdu, atoli w pojedynku jeden na jednego nie miał szans dorównać berserkowi. Bragi miał swe sztuczki, umiejętności i determinację. Berserk zaś był ogromnym i zaprawionym w boju wodzem w sile wieku. Tak czy owak, Wali cieszył się szczęściem Bragiego, bo przyjdzie mu umrzeć tak, jak tego pragnął.

Bragi domyślił się, co chodziło księciu po głowie.

– Jeno tyle mogłem zrobić. Lepsze to niż stryczek, nie?

– Nie będę walczył z bratem Adisli.

– To zginiesz.

– O tak. Za to, co zrobiłem, nie zasługuję na nic innego.

– A co z nią?

– On jej poszuka.

– Nie. Widłobrody mu nie pozwoli. Obwołał ją pohańbioną, czarownicą i służką złą, z racji nieszczęścia, które na nich sprowadziła.

– Taką z niej czarownica jak i ze mnie.

– Widłobrody twierdzi co innego. Że była tak zazdrosna o jego córkę, że rzuciła na ciebie urok i zwróciła przeciwko ludziom, którzy przez tyle lat zapewniali ci gościnę. Wiedziałeś, że zabiła własną matkę? Ludzie widzieli, gdy Danowie podeszli pod zagrodę. Poderżnęła jej gardło.

Wali wypuścił powietrze i odchylił się. Co takiego mogło ją skłonić do tak odrażającego postępuku? Matka musiała ją o to poprosić, by pozbawić Danów satysfakcji z gwałtu i mordu. I ponownie Wali nie poczuł rozpaczy, jeno tę głęboką pustkę, którą, jak wiedział, może wypełnić wyłącznie duńską krwią. Wyobraził sobie Manniego z saksem, na progu domostwa, próbującego bronić matki i siostry, uśmierconego przez ludzi, którzy z łatwością mogli wytrącić mu broń z ręki i posłać w diabły, z pożegnalnym kopniakiem w rzyć. Wali nigdy wcześniej nie czuł takiej zimnej furii.

– Mamy Disy nie dało się ruszyć, a Adisla postanowiła oszczędzić jej cierpień – zawyrokował.

– Widłobrody widzi to inaczej. Jej bracia też. Wyrzekli się jej i poprzysięgli ją zabić, jeśli kiedykolwiek się odnajdzie. Tyś jej jedyną nadzieją, a to oznacza, że nie ma żadnej. Beznadzieja jak się patrzy.

Wali przytaknął.

– Tedy ja – rzekł – muszę jakoś przeżyć. Tylko jak?

25. UCIECZKA

Była to krótka noc, zakłócana drążącym ciszę samotnym wyciem wilka, dochodzącym ze wzgórz, hen daleko za ciemnymi dolinami. Wali miał wrażenie, że rozumie jego skowyt. „Jestem tu” – mówił. „A ty gdzie?” Jasny księżyc w pełni rozświetlał nocne niebo, przyoblekając skórę Waliego w srebro; jego blask docierał nawet do jamy.

– Chyba głód mu doskwiera, czy mnie uszy mylą? Nie bój nic, wilczku, nie będziesz głodował zbyt długo. Tam w jamie mamy dla ciebie dwa soczyste kawały zdradzieckiego mięcha.

Wali rozpoznał głos Ageirra, tego konnego, który na polecenie Widłobrodego uwięził Adisłę i który przyszedł teraz z niego drwić. Jej bracia już wcześniej zawitali nad jamę, rzecz jasna, ale nie odezwali się ani słowem. Leikr jeno spojrział wzgardliwie, a Wali poczuł ból i gniew przyjaciela. Próbował do niego przemówić, nie po to, by się bronić, ale by rzec, że jego mały braciszek umarł dzielnie. Atoli Leikr odszedł w milczeniu.

Ageirr nie miał z Walim na pieńku; był tu jeno dla zabawy. Ściągnął spodnie i wypróżnił wyraźnie pełny pęcherz w mrok jamy. Ni Wali, ni Bragi nie zaprotestowali, nie chcąc dostarczać mu zabawy.

– Zrobiłem to z tą twoją dziewczuchą, wiesz, Wali? Sama mnie prosiła. Mówiła, że nie znasz się na rzeczy i wołała, żeby zaspokoił ją prawdziwy mężczyzna.

– Tedy obaj mamy syfa – z trudem wychrypiał Wali. – Tak mi się właśnie wydawało, że twoje szczyzny pachną jak moje.

Bragi zaśmiał się, trzęsąc się, jakby miał pęknąć. Staruszek omal się nie popłakał i w uznaniu dla krotchwili poklepał Waliego po plecach. A ten niemal pożałował, że w ogóle się odezwał.

Ageirr zachichotał pod nosem. Obok niego coś się poruszyło. Miał towarzystwo; jak się wydawało najpewniej paru koleśi z gwardii Widłobrodego. Woj wystawił głowę zza krawędzi jamy.

– Jakoś nie zdajesz się frasować tym, co zrobiłem. Czyżby była

aż taką kurwą?

– Adisla nawet by na ciebie nie spojrziała, jarlu Ageirrze. Ona woli wysoko urodzonych.

Ageirr zacisnął szczęki.

– Jestem jarlem i równym tobie – odparł.

– Azaliż jarl może się równać z księciem z rodu Odyna? Powiedz, czy twój ojciec darował wolność twjej matce po czy przed tym, jak ją pokrył? A może prawdą jest to, co ludzie gadają, że ona ukochała sobie niewolnika Kobbiego i żeś jego bachorem?

– Ciekawe, któremu z tych świńskich Danów Adisla powije bękartą? – odciął się Ageirr. – Zapewne dupczyli ją stąd po Heithabyr; a gdy zostanie sprzedana, gdziekolwiek by jej nie powieźli, przez całą drogę będą ją obracać na wszystkie strony.

Od kiedy ją porwali, Wali starał się nie myśleć o prawdopodobnym losie Adisli.

– Mocnyś w gębie. Jeśli masz czym poprzeć swe słowa, to wskakuj do jamy, a przedyskutujmy to w tradycyjny sposób – wtrącił się Bragi.

– Trochę ciszej, jeśli łaska – odparł Ageirr. – Szkoda by było, gdyby ktoś was posłyszał i popsuł tę małą niespodziankę, cośmy ją dla was przygotowali. Ale nie róbcie sobie nadziei, jesteście zbyt daleko, na nic wasze krzyki.

– Gdzie strażę?

– A niby kogo masz przed oczami, he?

Coś zaszurało, jakby ciągnięte po ziemi, a potem posłyszeli głos Ageirra, rozmawiającego z kimś na górze.

– Jak będziesz go wrzucał, zdejmij mu worek z pyska. Nie, głupcze. Przetnij więzy na łapach, ale trzymaj za uprząż. Nie chcę, żeby to mnie ugryzło.

Potem dał się słyszeć niski skowyt bólu, który Wali słyszał już wcześniej. Wiedział już, co tam mają. Wilka.

– Widłobrody jak nic zapyta, jak zwierz się tu dostał – rzekł Wali.

– Pewnie zwyczajnie wpadł. Wilki już tak mają – odparł Ageirr.

– Potrafią zakraść się mimo najczujniejszych strażników. Jeśli go zabijesz, powiemy po prostu, że tu wpadł. Jakoś wątpię, by król uwierzył bratobójcy.

To słowo boleśnie ukuło Waliego, niby ostrze włóczni. Każdą inną kpinę z ust Ageirra zlekceważyłby jako złośliwe docinki głupca, jednak nic nie smakowało tak gorzko jak prawda o zabójstwie jednego z pobratymców.

Z boku jamy doszło go szuranie, dostrzegł cień poruszający się na tle nieba ponad nim, a potem coś go uderzyło. Zabołało. Instynktownie się wzdrygnął, osłaniając rękami twarz przed atakiem wilka. Ten jednak nie nastąpił.

Doszedł go krzyk i odgłos dobywanego z pochwy miecza.

– Kto idzie? Kto idzie? Nie, nie! Nieeeee!

Waliego smagnęło coś innego, wilgotniejszego.

W jamie było niewiele światła, lecz oczy Waliego doskonale przystosowały się do mroku. Jeny jego umysł nie mógł pogodzić się z tym, co zobaczyły. U jego stóp spoczywał Ageirr. Bez życia.

Potem na dole jamy zauważył drugie ciało. Signiutiego, jednego z przybocznych Widłobrodego, tętniące krwią z ogromnej rany na szyi. Wali leżał plecami wprost na Bragim, wciąż z mieczem w ręku. Wali dostrzegł, że w miejscu jego gardła ziele wielka szarpana dziura. Zrzucił z siebie zewłok Ageirra, a krew zalśniła czernią na bieli dłoni; światło zatryumfowało nad mrokiem, a życie nad śmiercią.

Bragi zerwał się na równe nogi i wyjął miecz z ręki zabitego. Z góry spoglądała jakaś twarz. Zrazu Wali pomyślał, że to wilk. Potem jego oczy przystosowały się i pomiarkował, iż ogląda własną twarz, tyle że okoloną wilczym futrem.

– Może byś tak przestał zrzucać na nas ciała, co? – ozwał się Bragi. – Choć w sumie, czemu nie, zwał tu jeszcze kilka, to będzie się po czym wspiąć.

Ich wybawca opuścił drabinę do jamy. Żadnego z uratowanych nie trzeba było ponaglać. Bragi pierwszy dotarł na górę. Wali odpasł miecz Signiutiego i podążył za starcem.

Gdy wysunął głowę nad krawędź jamy, zobaczył Bragiego niepewnie przyglądającego się wilkoludowi. Feileg akurat uwalniał pochwycone zwierzę. Rozwiązał więzy wokół przednich łap, potem zdjął worek z jego łba. Wilk kłapnął paszczą i ugryzł, atoli Feileg dobył z siebie niski dźwięk, przekrzywił głowę i poszurał stopą o ziemię, a zwierzę się uspokoiło, rozglądając się wokół, po kolei spoglądając to na Feilega, to na Bragiego, by w końcu omieść wzrokiem Waliego. Potem

umknęło.

Wali podciągnął się i w świetle księżycy stanął twarzą w twarz z wilkoludem. W pierwszym odruchu chciał go zaatakować, ale dopiero co widział, jak starcie skończyło się dla Ageirra i Signiutiego. Ręce i twarze drabów pokrywała krew, a Waliemu nie trzeba było mówić, skąd się tam wzięła.

Wilkolud wbił w niego spojrzenie. Jego oczy zdawały się na wskroś przewiercać Walięgo. Księżę poznał ten wzrok – zapowiedź morderstwa z zimną krwią.

– Gdzież ona? – zapytał wilkolud.

– Jaka ona?

– Dziewczyna. Adisła.

– Nie wiem. Chcę ją odnaleźć. A co ci do tego?

– Kocham ją.

– Że co?

– Kocham ją. Była dla mnie miła. A to oznacza, że i ona mnie kocha.

Tęgo było Waliemu za wiele; nie miał teraz do tego głowy, przeto skupił się na bardziej naglących kwestiach.

– Musimy zniknąć. I to już.

– Ty sobie rób, co chcesz – rzeki Bragi. – Ja zamierzam znaleźć tego berserka. W przeciwnym razie, w zasadzie, przyznałbym się do winy.

Wali spojrział w górę na gwiazdy. Nie wierzył własnym uszom. Czy Bragi szaleje się objadł?

– A niby komu? Widłobrodemu? Wiesz, że zamierza wydać wojnę memu ojcu. To jest twój wróg, tam w dole, pośród tych zagród. Bogowie przyznali ci rację, ratując cię z opresji. Nie gardź swym losem, daremnie zaprzepaszczając życie. Tam, gdzie zmierzam, przyda mi się twój miecz, stary druhu.

Argumenty Walięgo wyraźnie nie trafiały Bragiemu do przekonania, ale zupełnie zaskoczyła go ta niespodziewana deklaracja przyjaźni. Właśnie ją bowiem najbardziej pragnął usłyszeć z ust księcia, odkąd ten trafił pod jego skrzydła.

– Niech i tak będzie – zdecydował. Podszedł do drabiny i jął schodzić z powrotem do jamy.

– Co też czynisz najlepszego?

– Biorę dla nas ubrania z myślą o wyprawie, bóg wie, gdzie. Nie chcemy zamarznąć na śmierć. A i najpewniej wywołamy poruszenie, jeśli pojawimy się w dzień targowy w Heithabyr nadzy, jak nas matka zrodziła.

Ageirr i Signiuti mieli na sobie całkiem okazały rynsztunek. Po powrocie Widłobrody nakazał swym wojom, by cały czas pozostawali w gotowości bojowej na wypadek kolejnego ataku Danów. Ageirr, najbardziej majątny człek w okolicy, zaraz po Widłobrodym, miał dobrą kolczugę naciągniętą na przesywanicę, hełm, miecz, tarczę i topór. Signiuti zaś, biedniejszy, acz też zamożny, miał kolczugi posiadał niezłą opończę, a do tego przedni nóż z rękojeścią z kości wieloryba, miecz, który Bragi już mu zabrał, a także tarczę. Wali pozwolił Bragiemu wziąć kolczugę. Stary woj przywłaszczył sobie również hełm Ageirra i resztę jego oręża. Wali natomiast zadowolił się rzeczami Signiutiego. Nie wiedział, czy przyda mu się tarcza, atoli znał jej zalety jako osłony przed morskim wiatrem. A właśnie drogę wodą zamierzali obrać.

– Stary Brunn trzyma faering na wybrzeżu jeno vike²⁵ stąd – przypomniał sobie Wali. – To wędrówka na pół ranka, może nawet dłużej, bo musimy uważać.

– To najpewniejsza droga do domu – przyznał Bragi. – W ciągu tygodnia możemy być w Hordaheim.

Wali pokręcił głową.

– Langskipy Widłobrodego dopadłyby nas na długo przed domem – tłumaczył. – Popłyniemy w zupełnie inną stronę. – Odwrócił się do wilkoluda. – Dzięki ci. Nie bardzo wiem, jak miałbym ci się odplacić, atoli, jeśli trafilibyś na dwór mego ojca, opowiedz tam o tym wszystkim i rzeknij, że Wali Bez Miecza zaklina ich, by ugościli cię po królewsku.

Wilkolud stał tylko, tępo gapiąc się na Waliego.

– No co? – bąknął książę.

– Czy dziewczyna tam jest?

– Nie, nie tam. Nie wiem, gdzie jest. Właśnie tego zamierzam się wywiedzieć.

– Tedy płynę z tobą – stanowczo odparł wilkolud.

²⁵Staronordyjska jednostka długości, odpowiadająca mniej więcej mili morskiej (1,852 km).

- Nie. Nie znam cię.
- Przyrzekłem ją chronić. A ty do niej zmierzasz. Popłynę z tobą. – Powiedział to tak, jak gdyby był to jedyny rozsądny wniosek.
- Jej nie trzeba twojej ochrony.
- Panie, sądzę, że powinniśmy czym prędzej się oddalić – wtrącił się Bragi. – Tamci mogą przyjść w każdej chwili, by zmienić strażę.
- Racja.

Wali nic już nie powiedział, tylko zarzucił na siebie cokolwiek zwilgotniałą opończę Signiutiego i poszedł ku ścieżce prowadzącej do domu Brunna. Wilkolud ruszył w ślad za nim, aliści Wali odwrócił się i obnażył miecz, bardziej powodowany złością niż rozumem. Przed oczami stanął mu obraz dwóch martwych wojów, bez życia spoczywających w jamie.

– Powiedziałem: nie! – warknął Wali. Nie bardzo potrafił wyjaśnić, czemu nie życzył sobie towarzystwa wilkoluda. Nie miał powodów, by mu nie ufać – wszak to on ich wyratował z niezłej kabały. A mimo to nie chciał go za druha. Złościły go słowa o przyrzeczeniu złożonym Adisli. Bo niby kto, jak nie ona, okrył wilka przed słońcem, gdy tkwił przywiązany do drzewa? Kto go uwolnił? Wali nie potrafił nazwać dręczącego go uczucia, bo nigdy wcześniej go nie doświadczył. Nigdy nie wątpił, że Adisla go kocha, także i teraz. Atoli w głębi duszy coś, jakaś iskra, obudziło się do życia – nie do końca zazdrość, acz uczucie nie tak znowu od niej odległe. Wali wiedział, że Adisla nie mogłaby pokochać tego człeka, lecz zdawał sobie sprawę, że w nim samym zaszła jakaś zmiana, na poziomie głębszym niż racjonalna myśl. Może po prostu w tej chwili w jego życiu było zbyt wiele znaków zapytania, i tyle. A obecność wilkoluda raczej by ich przysparzała, niż ujmowała.

O tak, właśnie w tym tkwi problem.

Przez oblicze Feilega przemknął przebłysk dzikiej furii. Wilkolud szybko się jednak opanował. Przeniósł wzrok z Bragięgo na Waliego i rzeki:

– Podążę waszym śladem.

Potem czmychnął między wzgórzami w stronę plaży.

Książę i sługa popatrzyli za nim.

– Z tej bestii byłby wcale dobry sprzymierzeniec, panie –

odezwał się Bragi.

– Albo kula u nogi – odparł Wali. – On jest obcy i na dodatek rzuca się w oczy. Tam, gdzie zmierzamy, i tak będziemy się wyróżniać jako cudzoziemcy. I bez niego raczej nie możemy się spodziewać powitania z otwartymi ramionami.

Bragi przytaknął.

– Ale mielibyśmy nie lada wsparcie, jakby przyszło co do czego. Ageirr i Signiuti może i byli głupcami, ale też parą szermierzy niezgorszej próby. A ten załatwił ich obu gołymi rękami. Taka skala czystej przemocy zasługuje na szacunek.

– Jeśli przeżyjemy, to dokonamy tego dzięki rozumowi, a nie walce – stwierdził Wali. – Chodźmy już lepiej do łodzi.

Wali zrazu obawiał się, że skorzystanie ze ścieżki biegnącej pomiędzy zagrodami będzie niebezpieczne, gdyż zwiększało szanse, iż ktoś ich zoczy. Atoli teraz, rozumował, większość wojów znajduje się w dole, pośród głównej osady, i nawet jeśli rzeczywiście napatoczą się na kogoś na tej ścieżce, to możliwe, że będzie to ktoś, z kim walczyli ramie w ramie przeciwko Danom. Przeto okaże się przyjaźnie nastawiony. Tak czy owak, będzie musiał pójść do Widłobrodego i oznajmić królowi, co też zobaczył. Jediną różnicą pomiędzy przyjaciółmi a tymi, co nastają na jego życie, jest szybkość, z jaką doniosą królowi o napotkaniu Waliego. Postanowione – obiorą tę ścieżkę, by nie tracić czasu.

Wyruszyli, maszerując w górę zbocza prowadzącego z dala od morza i w dół, brzegiem zagajnika, opodal miejsca niedawnej potyczki z Danami. Patrząc, co zostało po bitwie, trudno było uwierzyć, iż cokolwiek się tu wydarzyło. Wszystko, co cenne – począwszy od połamanych żeleźców toporów i grotów włóczni po przyodziewek poległych – padło ofiarą grabieżców. Ostał się jeno stos nagich ciał martwych najeźdźców – uczta dla kruków i wron.

Przeszli w dół skrajem wzgórza, ku dolinie za portem. Nad gospodarstwami unosił się dym z palenisk i opary ze stert obornika. Słońce powoli pięło się w górę, choć dolinę wciąż spowijał długi cień. Jeno jedna osoba poruszała się pomiędzy domami, jakaś kobiecina, która wyszła, by doglądnąć trzódki małżonka. Większość mężczyzn nadal bawiła w długiej hali władcy. Budził się inwentarz, rżąc i porykując, choć psy wciąż spały na progach chat.

Wali spojrzął za siebie i pomyślał z rozrzewnieniem, że kocha to miejsce i że widzi je po raz ostatni. Pobrnęli w górę. Ścieżka, jak dobrze wiedział, poprowadzi ich obok domu Adisli. Oczami duszy ujrzał przeznaczenie, którego pragnął – tam pospołu z nią, on na straży stada, ona przy wyrobie masła. Żadnych bitew, co by ich nękały, żadnych trosk o tron czy dziedzictwo. Jeśli kiedykolwiek ją odzyska, wyrzeknie się praw do tronu i osiadzie na gospodarce. Może wtedy pozwolą mu się z nią ożenić.

Gdy pięli się po przeciwległej stronie doliny, napotkali dziewczynkę, może dziewięcioletnią, ganiającą z psem po ścieżce. Wali ją znał i widział ją na zgromadzeniu, na którym wydano na niego wyrok. To była Solveig, znana psotnica, bez wątpienia posłana przez matkę po jakieś sprawunki tylko po to, by nie obudziła wszystkich w domostwie.

Jej oblicze powiedziało Waliemu, że doskonale rozumiała konsekwencje tego, co widziała, i, choć naiwna, jak to dziecko, wykrzyczała:

– Zbiegowie!

Bragi i Wali wymienili spojrzenia, atoli żaden nie zrobił nic, by powstrzymać uciekające dziecko. Obaj uważali, że w Rogalandzie dość już zabijania jak na jedno lato.

– Możesz przyspieszyć? – zapytał Wali.

– Biegnij, a ja cię dogonię, jeśli zdołam.

Wali się uśmiechnął.

– W życiu nie pozęgluję faeringiem bez twej pomocy – rzekł. – Niestety, to praca dla dwóch, co najmniej. Inaczej zostawiłbym cię, byś rozrąbał Widłobrodego na pół w moim imieniu. Potrzebujesz tej koczugi?

Bragi sprzedał Waliemu kuksańca w ramię. Książę wiedział, że propozycja starego woja była szczerą, atoli nie uszła jego uwagi radość Bragiego z powodu jej odrzucenia.

– Ona mnie nie spowalnia – odparł Bragi.

Wali omal się nie roześmiał. Już wcześniej słyszał, jak Bragi klnie się, że potrafi poruszać się szybciej po pijaku w pełnym rynsztunku niż na trzeźwo w tunice i spodniach.

– Tedy widać żeś od kołyski niesłychanie wolny – zadrwił.

Gdy pobiegli przed siebie, pośród zagród za ich plecami

podniósł się raban – krzyki, szczekanie psów i podekscytowane głosy dzieci.

– Mamy jedną szansę, gdy tam dotrzemy – oznajmił Wali. – Jak tylko pomiarkują, że zabieramy łódź, popędzą do portu po drakkar. Ładnie wieje, więc odpłyniemy o zasięg wzroku od lądu, spuścimy żagiel z nadzieją, że nas nie wypatrzą. Jak sądzisz, damy radę?

– I tak nie mamy lepszego planu – wydyszał zasapany Bragi.

Czyste niebo ustąpiło przed chmurą nadlatującą szybko nad wzgórz w głębi lądu. Zaczęło padać, a Wali się ucieszył. Wszystko, co ograniczało widoczność było mu na rękę. Zamierzał popłynąć ku Heithabyr, wbrew temu, co podejrzewać będzie Widłobrody – że zbiegowie umkną do Hordalandu. Już na miejscu spróbuje wywiedzieć się czegoś o okręcie, który zabrał Adislę, wykupić ją albo – w razie potrzeby – wykraść. Heithabyr stanowił jego jedyną nadzieję i choć była nikła, uchwycił się kurczowo, jakby od tego zależało jego życie.

Zagroda Brunna składała się jeno z dwóch chat ściśniętych na osłoniętym przesmyku. Gospodarz zarabiał na życie głównie łowieniem ryb z pokładu swej jedynej łódki. Wali nie miał jednak wyboru – musiał ją wziąć.

Nim tam dotarli, rozpadało się na dobre. Dym unoszący się z otworu w niskiej chacie kazał Waliemu pożałować, że nie mogą zostać na posiłek. Gdy podeszli, Mama Brunn stała właśnie w drzwiach, trzepiąc jakąś tkaninę. Gdy ich zobaczyła, pobladła jak kreda.

– Panicz Wali... Jarl Bragi – odezwała się przez zaciśnięte wargi, lekko się kłaniając. – To ci dopiero niespodzianka.

– Czy twój mąż gdzieś tu jest? – indagował Wali.

– Dogląda łodzi na dole.

– A twoi synowie, są w domu?

Ręka Mamy Brunn powędrowała do gardła.

– Są we dworze, jak wiecie. Mężczyźni w sile wieku siedzą tam od tygodnia.

Wali przytaknął. Przynajmniej nie będzie musiał ich zabijać. Byli chłopcami w wieku lat dwunastu i czternastu, silnymi dzięki wielu latom spędzonym na morzu, atoli nie mieli najmniejszych szans w starciu z dwoma mieczami, A choćby tylko z jednym, o doświadczeniu Bragiego.

Dało się słyszeć krzyki i szczekanie psów.

– Oho, wygląda na to, że na twoich chłopców nie trzeba będzie długo czekać – rzucił Wali na odchodnym i poszedł ku wybrzeżu.

Gdy odnalazł Brunna, ten akurat, nie zważając na deszcz, spychał łódź w stronę morza. Była to dobrze zbudowana jednostka, o wysokich burtach, przystosowanych do wzburzonych mórz, czterowiosłowa i pękata. Na piasku chwiała się i przechylała na jedną stronę, niby gigantyczny mały, lśniący czernią w deszczu.

– Brunn! – zawołał Wali.

– Tak, panicz? – odparł rybak. Był flegmatycznym człkiem, który, jeśli nawet zdziwił go widok dwóch okrzyczanych wyrzutków, nie dał nic po sobie poznać.

– Brunn – ciągnął Wali. – Obawiam się, że muszę cię o coś poprosić.

– A o co, panie?

– O twą łódź.

Opodał wzmogła się wrzawa. Wali nie miał czasu do stracenia.

Brunn podniósł na chwilę wzrok, by zobaczyć, skąd dochodzi ten hałas. Potem przeniósł spojrzenie na oręż wiszący u boków dwóch przybyszów.

– Zdaje się, że w moim położeniu nie sposób odmówić – rzekł – choć wątpię, czy zdołacie na czas wyprowadzić ją w morze.

– Zgłoś się do mego ojca w Hordalandzie po zadośćuczynienie – powiedział Wali – a jeśli powrócę, będę na twe usługi. Tako ci przyrzekam.

Pod wzniesienie plaży podeszło trzech młodych chudzielców. Wszyscy uzbrojeni w kije.

– Jeśli tej zimy pomrę z głodu, twe obietnice na niewiele mi się zdadzą, panie – bąknął Brunn. Wali nie miał czasu na ripostę. Wraz z Bragim jęli spychać łódź w dół plaży. Nie była lekka, ale pochyłość terenu działała na ich korzyść. Wali rzucił okiem przez ramię. Obok młodzieńców pojawiło się dwóch kmieci z zagród na uboczu, którzy przybyli do Eikund jeno z poruczenia Widłobrodego, przeto Wali znał ich bardzo pobieżnie.

– Czy ci rabusie zabierają ci łódź, rybaku?

Brunn milczał jak zaklęty. Znalazł się w niecodziennej sytuacji, a był wszak roztropnym człkiem. Nazwanie księcia Horda rabusiem było dla niego zbyt zuchwałością.

Do wcześniej przybyłych dołączyło kilku kolejnych kmieci i garstka niewolników, choć jeszcze nie dotarli żadni wojowie. Wali i Bragi nadal spychali łódź, a grupa ruszyła w dół plaży. Gdy tamci zbliżyli się na osiemdziesiąt sążni, łódź wciąż znajdowała się o pięć długości od skraju wody. Wali pomiarkował, że nie zdążą ich ubiec. Dobył miecza i odwrócił się ku ciżbie.

– Jest nas dziesięciu, panie. Poddajcie się po dobroci – zawołał przysadzisty kmięć, który wyglądał jak beczka z nogami.

– Nie dane wam będzie powrócić w owej liczbie – odparł Wali.
– Znacie wszak Bragięgo, zaufanego wasala Authuna Bezlitosnego. Wycie wilków sławi jego imię, tak często dostarczał im strawy, siekąc wrogów.

Wali uważnie dobierał słowa, by zaimponować wieśniakom.

Przyniosło to skutek o tyle, że mężczyźni przystanęli. Wali widział, że ich odwaga osiągnęła punkt zwrotny i równie łatwo mogła albo zawrzeć, albo ostygnąć. Książę postąpił ku nim z obnażonym mieczem. Traf chciał jednak, iż dwóch z mężczyzn było po kilku głębszych i, uderzając kijami o wierzch dłoni, wyszło mu naprzeciw.

To, co wydarzyło się potem, trudno było ogarnąć myślą. Opodał zagrody rozległ się krzyk; Mama Brunn zobaczyła, co nadciąga. Przez plażę gnał wilkolud, ręczo, niczym spłoszony koń. Nie biegł wyprostowany, a posuwał się na czworakach – jego masywne ramiona popychały go w przód przez kamienistą lachę. W mgnieniu oka znalazł się między Walim a tłumem, z niskim warknięciem stając naprzeciwko wieśniaków. Ręce miał umazane krwią, oczy ukryte pod wilczą skórą. Zaiste, jawił się niby wilkołak, człek w ciele potwora, zrodzony z ofiar, rytuału, krwi i, co najważniejsze, strachu.

Ktoś oglądający tę scenę z pokładu łodzi mógłby zobaczyć po prostu człeka z wilczą skórą na głowie, sadzącego w dziwacznych susach w kierunku chłopów. Atoli oni sami, wychowani na snutyh zimowymi nocami opowieściach o czarownikach, co przywdziewają skóry i biegają niby zwierzęta, widzieli coś zgoła innego. Oto ożył przed nimi stwór z domowych legend, patrzący na nich spode łba, pod ciemnym niebem, na równie ciemnej plaży, demon, co mógł ich zaciągnąć do Hel. Napitek, który jeszcze przed chwilą tak bardzo rozzuchwalał dwóch mężczyzn, teraz miał na nich wpływ wręcz odwrotny – potęgował grozę i przerażenie.

Feileg spuścił głowę, potem odrzucił ją w tył, dobywając z siebie niezmiernie wycie. Dwóch opilców odwróciło się i dało drapak. Reszta się nie poruszyła, wszelako Wali widział w ich oczach gotowość do ucieczki. Zdawali się niemal tańczyć, przebierając nogami, to w przód, to w bok. Dobyte wcześniej noże spoczyły w pochwach, a te niedobyte wysunęły się z nich; oręż krążył z rąk do rąk. Mężczyźni obejrzel się za siebie w poszukiwaniu wsparcia. Nie było żadnego.

– Łódź! – wrzasnął Bragi.

Wali odwrócił się i ponownie jął wypychać faering, osłaniany przez wilkoluda, który stał naprzeciwko strwożonych kmieci, warcząc i patrząc na nich wilkiem.

Łódź zaszurała po kamieniach i ześliznęła się nad skraj morza. Po kolejnym pchnięciu, zanurzyła się w wodzie, unosząc się na płyćźnie. Wali i Bragi jeszcze raz napaarli na nią z całej siły, a potem wskoczyli na podkład, co rychlej chwytając za wiosła.

Wali zgiął plecy, wiosłując ile wlezie. Dwadzieścia sążni od brzegu spojrzął za siebie, na wilkoluda na plaży. Ten biegł teraz w stronę wody. Widząc to, w kmieci na powrót wstąpiła odwaga i rzucili się w pościg. Wali napał na wiosła, nie mając czasu postawić żagla, a Feileg brodził przez wodę, młóćąc falę ruchami potężnych ramion. Dopiero wtedy Wali pomiarkował, że wilkolud nie umie pływać.

Do przodu popychała go chyba tylko determinacja, bo połykał zdecydowanie zbyt dużo wody w stosunku do przebytego dystansu. Kmiecie zaczęli rzucać w nich kamieniami. Wali skulił się i odwrócił ku Bragiemu. Miał zamiar powiedzieć staremu wojowi, by czym prędzej zabrał ich poza zasięg pocisków, lecz usłyszał, jak mimowolnie wypowiada zupełnie coś innego.

– Podpłyn po niego.

Bragi bez chwili wahania zawrócił łódź obrzucaną gradem kamieni. Gdy zakręcali, od jego hełmu odbił się zbłąkany otoczak.

– Widzisz, to żelastwo na coś się jednak przydaje – rzeki, stukając palcem o hełm, jednak Wali ledwo go usłyszał. Podpłynęli bokiem do wilkoluda, niecałe dwadzieścia metrów od brzegu. O łódź zabębniła kolejna garść kamieni. Bragi chwycił za otoczaki i procę, służącą wcześniej Ageirrowi do polowań, atoli wysiłki, by złapać równowagę na łodzi i odpowiedzieć kmieciom pięknym za nadobne, spęzły na niczym. Zdecydował się przeto wykonać dobrze jedno

zadanie niż dwa z miernym skutkiem. Odłożył procę.

– Wróć na tę plażę i wsadzę wam kamienie tam, gdzie słońce nie sięga! – odgrażał się w stronę wieśniaków. Podniósł tarczę i jął wyzywać ludzi na brzegu, by ściągnąć na siebie ich uwagę i dać Waliemu chwilę spokoju.

Tymczasem książę wychynał za burtę. Wilkolud bez większego skutku kopał nogami wodę i na próżno młócił wokół rękami. Bragi przeszedł na drugą stronę łodzi, a Wali wychylił się, by złapać Feilega. Resztki zdrowego rozsądku podpowiadały mu, że to głupota. Nie miał pojęcia, czemu ratuje tego niebezpiecznego dzikusa. Wiedział jeno tyle, że po wydarzeniach na moczarach nie był w stanie patrzeć beczynn timer na topiącego się człeka. A może kierowało nim coś bardziej fundamentalnego? Przed oczami stanęła mu runa, unosząca się pod nim ciało, które zobaczył w wizjach – ciało, które było nim, wilkoludem i Adisłą zarazem. Sięgnął ku tonącemu Feilegowi.

Choć rozpaczliwie wymachująca ręka wilkoluda posiniaczyła mu ramię i plecy, w końcu zdołał ją pochwycić. Atoli gdy próbował podźwignąć wilkoluda, zdało się, że dopadło go nawarstwiające się zmęczenie ostatnich dni – po bitwie, męce na moczarach, jamie, ucieczce ku plaży. Jednak wtedy spojrzał mu w twarz. W swą własną, w patrzące nań oczy.

Kamienna nawałnica nagle ustała, co zdało się Waliemu cokolwiek dziwne. Usadziwszy Feilega na łodzi, ponownie złapał za wiosła. Gdy naporli na nie wraz z Bragim, by wypłynąć na odległość umożliwiającą bezpieczne postawienie żagla, książę obejrzał się za siebie. I zobaczył rybaka Brunna, stojącego przed szeregiem uzbrojonym w kamienie i błagającego rodaków, by tego poniechali.

– Boi się, że uszkodzą mu łódź! – zawołał Bragi. – Tylko spróbujcie, psubraty! Rzućcie choć jeden kamień, a porąbię ją na kawałki i wam na złość popłynę wpław!

Wali poczuł wyrzuty sumienia. Pomiarkował, że, jeśli wybuchnie wojna, Brunn straci szanse na zwrócenie się do jego ojca po rekompensatę, zaś jego obietnice staną się pustosłowiem. Swym czynem przywiódł biedaka do jeszcze większej nędzy. Mimo to ufał, że Brunn nie umrze z głodu – społeczność go wesprze w potrzebie, jak nakazywał tutejszy zwyczaj.

Sto sążni od brzegu zbiegowie umieścili maszt w otworze,

zwanym przez żeglarzy „starą panną”, a przybrzeżny wiatr zadał w żagiel. Gdy łódź przyspieszyła, Wali pozwolił sobie na szybki rzut oka na ląd.

– Nie zobaczymy już więcej tego miejsca – rzekł z rozrzewaniem.

Ale Bragiego pochłaniały bardziej przyziemne troski.

– Szlag! Nie ma tu skrzyni na tę kolczugę – powiedział z wyrzutem, ściągając zbroję. – Nielicho się natrudzimy, próbując uchować rynsztunek przed wilgocią.

Miał rację. Za siedziska do wiosłowania robiły jeno wzmocnione kolankami pokładnice biegnące w poprzek łodzi. Spajały ją, nie zapewniając jednak miejsca do składowania ekwipunku.

Wilkolud leżał na dnie łodzi, krztusząc się i sprawiając wrażenie bardzo chorego.

– Woda mu nie służy – orzekł Bragi, wskazując nań głową.

– Tyle dobrego – odparł Wali, gdy ląd zniknął z pola widzenia – że nas nie zarżnie, przynajmniej póki żeśmy na morzu.

Spuścił wzrok na wilkoluda, dokładnie tak, jak tamten spoglądał na niego w wizji na moczarach. Wiedział, że ich losy, chcąc nie chcąc, zostały nierozdzielnie splecione.

26. W NIEZNANE

Adisla trzęsła się, siedząc na dnie okrętu. Miała dość odwagi, by zrobić, co było trzeba względem swej matki, atoli nie stało jej determinacji, by i sobie udzielić tej łaski.

Próbowała wyciągnąć matkę z łóżka, ale bez skutku. Disa była zbyt ciężka i zbyt obolała, by dało się ją ruszyć. Potem usłyszeli Danów zmierzających przez kolejne zagrody. Matka błagała ją, by to zrobiła, aliści zdobyła się na odwagę dopiero gdy w drzwiach ukazała się wyszczerzona w złośliwym uśmiechu twarz jednego z najeźdźców. Nie próbował jej powstrzymać aż do czasu, gdy poderżnęła matce gardło. Potem odwróciła się ku niemu z nożem w rękę. Dan okazał się jarlem, hardym mężem o surowym, szcupleym obliczu. Na sobie miał kolczugę i hełm, a w rękach – tarczę i długi saks.

– Iść łódź, szybko – przemówił kalekim wikińskim. – Łódź teraz, szybko. Złe dla ja, nie mieć na to czas. Nóż dół, łamać ręką. Wybierać.

Adisla słyszała słowa i rozumiała tylko niektóre, ale nie mogła ich poskładać w sensowną całość. Stała jeno, zapłakana, przesiąknięta krwią matki, z nożem luźno zwisającym z dłoni. Dan bez trudu go jej odebrał i wyprowadził dziewczynę na zewnątrz.

Dawniej często zastanawiała się, jakby to było wypłynąć drakkarem ku jednemu z wielkim targowisk albo zobaczyć południowe krainy. Teraz zmierzała tam, gdzie niegdyś niosła ją wyobraźnia, atoli w najgorszych okolicznościach z możliwych. Obawiała się tego, co ją spotka na okręcie, ale, sparaliżowana grozą tego, co uczyniła, zrazu nie czuła prawdziwego strachu. Rzecz jasna, porywacze się odgrażali, że przez tydzień na morzu pozna ich męstwo, tak że już nigdy potem nie zdoła usiąść prosto na zydłu. Niektórzy po pijaku nawet przystępowali do niej i próbowali z nią rozmawiać, w sposób na poły szyderczy, na poły osobliwie zalotny.

Pośród nich był jeden taki, co mroził jej krew w żyłach bardziej niż ci wszyscy nieokrzeszańcy. Cudzoziemiec, w to nie wątpiła, odziany

w szatę z niebieskiej wełny, obrębianą czerwoną nicią. Na głowie nosił czwórgraniasty kapelusz, przywdział też gruby płaszcz na morskie podróże, a na plecach miał płytkie okrągłe zawiniątko, coś niby duży dysk owinięty w foczą skórę. Podeszedł do niej, jak tylko znalazła się na łodzi, i zmierzył ją swymi cudnymi niebieskimi oczami, niczym konia, nad kupnem którego się zastanawia, a potem usiadł obok. Adisla spojrzała na ognie podnoszące się nad jej macierzą i zapłakała.

Okręt odpłynął, a król wstał, obwołał ją swym więźniem i upomniął ludzi, że każdy, który ją tknie, w najlepszym razie popłynie do domu wpław. Wiosła poruszały się w miarowym rytmie, napędzane siłą coraz bardziej podchmielonych ludzi, a Adisla zastanawiała się, jak długo królowi uda się utrzymać ich w ryzach. Sam nie zaszczycił jej ni jednym słowem, jeno rzucił jej gruby płaszcz i wrócił do rumpla.

Adisla zdusiła łzy i spróbowała zasnąć, aliści za każdym razem, gdy zamykała oczy, słyszała Danów na progu jej domu, widziała dzielnego Manniego z saksem, słyszała błagania matki, by ją zabiła, widziała krew i pożogę. Gdy otwierała powieki, jej oczom ukazywał się jeno ten dziwaczny dzikus w swych cudacznych szatach, wpatrujący się w nią z odległości niecałych dwóch sążni. W wyrazie jego twarzy nie dostrzegała poządlivosti ani niczego szczególnego. Prócz tego upartego nieustannego baczenia.

Po godzinie na morzu w końcu odważyła się rozejrzeć dokoła. Widać było płynący obok drugi drakkar Haarika, atoli łąd zniknął im z oczu. Ręce trzęsły się jej ze zdenerwowania. Adisla nigdy wcześniej nie była dalej niż pół dnia od swego domu, aliści wiedziała, że łodzie musiały się trzymać wybrzeża. No bo jak inaczej nawigować? Niby można było wypłynąć na otwarte morze w razie nagłej potrzeby, jednak żeglarze unikali tego jak morowego powietrza.

Nad nimi zbierała się gęsta chmura, a słońce przypominało raptem jaśniejszą plamkę na szarym horyzoncie. Pomiarkowała już, że kierują się na północ. Spadł deszcz, siekąc żagle zacinającym szkwałem, a okręt to szarpał gwałtownie, to opadał na fale, przyprawiając Adislę o mdłości. Raptem lunęło jak z cebra, a ściana wody omiotła pokład smagany wzbierającym wiatrem. Załoga puściła wiosła i oddała się wybieraniu wody, posiłkując się hełmami, misami i drewnianymi cebrami.

Koniec końców Haarik pokręcił głową.

– Opuścić żagle – rozkazał, próbując przekrzyczeć nawałnicę.

To nie wiatr stanowił największy problem, nawet nie wzburzone fale – nie pierwszozna dla doświadczonych żeglarzy – a deszcz. Maszt szybko złożono na pokładzie, a za burtę powędrowały obciążniki z linką do pomiaru głębokości. Potem rzucono kotwicę, a żagiel rozpostarto na lodzi, co zapewniało ochronę, acz zupełnie przesłaniało widok.

– Wejdiesz z nami pod koc, skarbie? – zakrzyknął jeden z wojów do Adisli.

Zbyła go milczeniem, dla osłony kuląc się przy burcie okrętu. Płaszcz dawał jej przynajmniej ciepło, a żagiel chronił przed zmoknięciem, atoli pod okryciem odrażający odór mężczyzn straszliwie drażnił jej nos, a mrok kazał jej się zastanawiać, jak długo Haarik będzie w stanie jej bronić przed zakusami własnych ludzi.

Okrętem jęło straszliwie rzucać, a regularne i nieustanne opadanie i wznoszenie się zdawało się zostawiać żołądek dziewczyny na dole fali, podczas gdy jej głowa wędrowała w górę. Adisla nie mogła powstrzymać torsji i w końcu zwymiotowała. W ustach czuła suchość i pragnienie, ale nie miała zamiaru prosić o wodę.

Uniosła brzeg żagla i wyjrzała, rozglądając się wokoło. Światło było szare niby meduza, a morze wstrząsane niewielkimi, acz wywracającymi żołądek grzywaczami.

Pomyślała o matce, i o Walim – wiedziała, że już nigdy go nie zobaczy – a w końcu i o wilkoludzie. Czy przeżył najazd?

Starła się przypomnieć sobie słowa modlitwy do Freyji: „W imię miłości, której zaznałam, o pani, przyjmij mnie”.

Adisla ponownie podniosła skraj żagla, wysliznęła się spod niego i wyskoczyła przez burtę.

27. HEITHABYR

Kurs w dół wybrzeża nie należał do łatwych. Wali czuł, że nie może ryzykować zatrzymywania się w gospodarstwach czy chatach rybaków, w przeciwnym razie do Widłobrodego mogłyby dotrzeć wieści o obranym przez uciekinierów kierunku. Spali przeto na plażach lub w pieczarach, przez cały czas trzymając się blisko brzegu i zmierzając na południe. Nieprzerwane światło dzienne miało tę zaletę, że mogli odpoczywać na zmianę – Bragi przez jakiś czas doglądał żagla, a potem, gdy dopadło go zmęczenie, zmieniał go Wali. Wilkolud nie potrafił ni żeglować, ni wiosłować, przeto nie pomagał wcale – siedział tylko, z głową na kolanach, ze wzrokiem wbitym w stopy, wyglądając jak siedem nieszczęść.

Za to na łądzie Feileg raz po raz udowadniał swą przydatność. Był z niego wytrawny poszukiwacz, który przynosił jaja morskiego ptactwa i gorzkie rośliny do żucia. Jedli przeto niezgorzej, dopełniając pożywienie zdobywane przez wilkoluda wodorostami i korzonkami z pobliskich prowincji. Ze znalezieniem wody nie mieli problemu; w rzeczy samej, gdy padało, mieli jej aż nadto.

Waliemu się spieszyło, przeto składali żagiel dla osłony łodzi wyłącznie wtedy, gdy następowało prawdziwe oberwanie chmury. W innych przypadkach ograniczali się do możliwie szybkiego wybierania wody miskami. Często bywali przemoknięci do suchej nitki, atoli posuwali się do przodu, a to było najważniejsze.

Płynęli wokół wrażego terytorium, wszelako ich mała łódka rybacka mniej rzucała się w oczy niż langskip. Mimo to cały czas musieli mieć się na baczności, okrążając ziemie Agder i Vestfold, pędząc przez jasną szeroką zatokę przy brzegach Vingulmarken i w dół, ku Alvheim.

Potem jęli lawirować między wysepkami ku Danii i celowi ich podróży – kupieckiemu miastu Heithabyr. To tam Danowie zabierali wszystkich pojmanych niewolników. Zbiegom groziło nieustanne niebezpieczeństwo. Aby móc nawigować, musieli utrzymywać brzeg w

zasięgu wzroku, tym samym narażając się na ryzyko zauważenia. Wali rozumował, że jeno znudzony król wysłałby drakkar, by pochwycić zwykłych rybaków, atoli z drugiej strony – królowie czasem się jednak nudzili.

Czasem pogoda bardzo dawała się im we znaki, ale i na to mieli sposób – wyciągali małą łódkę na brzeg, odwracali do góry dnem, używając jako schronienia, i przez parę dni przeczekiwali porywiste wiatry, póki fale się nie uspokoiły. Wali wiedział, że nawet gdyby Widłobrody wysłał za nimi drakkar, również i jego załoga nie będzie skora do żeglowania w niesprzyjających warunkach. Niby langskipy mogły przepłynąć przez otwarte morze, atoli mając wybór, trzymały się wybrzeża. A gdy ich załogi zauważały nadciągający sztorm, wołały przybić do brzegu niż ryzykować zatonięcie.

Łódź zdawała się leniwie kluczyć między wyspami, lecz ich widok radował Waliego i towarzyszy, gdyż obfitowały one w zatoczki i przesmyki zapewniające liczne dogodne kryjówki i miejsca do wciągnięcia łodzi na brzeg. A nawigacja, choć miejscami zawiała, nie nastęczała większych trudności, bo Bragi miał doświadczenie w manewrowaniu łodzią w podobnych sytuacjach. Raz czy dwa musieli skrócić na zachód, gdy powinni kierować się na południe, ale była to niewielka cena za uniknięcie otwartego morza. Przez większą część podróży używali wiosł, atoli podążali szlakiem handlowym, przeto prądy i wiatry często im sprzyjały. Z miejsca ich ostatniego postoju na plaży widzieli długi cypel, wzdłuż którego rozciągały się smugi dymu z szeregu ognisk.

– To już to miasto? – odezwał się zdziwiony Wali. – Nie jest większe niż Eikund.

Bragi się roześmiał.

– To jeno bjourkey u ujścia rzeki. Nasz pierwszy problem.

Wali nigdy wcześniej nie słyszał tego określenia, przeto zapytał, czymże jest ten cały „bjourkey”.

– To punkt zborny – wytłumaczył mu Bragi. – Gdy dwa statki chcą wymienić towary, nie ma sensu, by płynęły aż do portu. Robią to u ujścia rzeki. Poza tym, jeśli statek jest w drodze w inne miejsce, może tu po prostu coś podjąć lub zostawić to, co musi, nie marnując czasu na zawijanie do portu.

Wali nie potrafił zrozumieć, skąd taki pośpiech. Bo któż mógł

nie mieć czasu, by się zatrzymać?

Co mogło być tak pilne, żeby kursować po szlakach handlowych tak, jakby uciekało się przed pościgiem?

– Bogactwa – rzeki Bragi, jakby czytał w jego myślach. – Pierwsza owca przy paśniku najbardziej się nachapie. Nie warto pojawiać się w porcie z ładunkiem osefek, jeśli ktoś już to zrobił dzień wcześniej. A kupcy chcą, byśmy błagali o ich towary.

W innych okolicznościach Wali mógłby uznać słowa Bragiego za ekscytujące – za przebłysk wydobywający z cienia tajemnice nieznanego mu świata. A tak jeno zwiększyły one poczucie niepewności, którego doświadczał – wrażenie pakowania się w sytuację bez przygotowania. Owa wątpliwość nie wynikała z bezpośredniego zagrożenia ze strony Danów. Od czasu wydarzeń na moczarach czuł się słaby, jakby nieco poza własnym ciałem, nie w pełni osadzony w teraźniejszości. Mimo to nękała go myśl, jaką to jeszcze wiedzę Bragi mógłby mu przekazać. Aż do tej chwili, stary zdawał się skory wyłącznie do rozmów o bitwach, a Wali popełnił błąd, zakładając, że to wszystko, co ma on do powiedzenia.

– Chcesz, żebym wskazał na kilka dziur w twym planie? – zapytał Bragi, gdy powrócili do łodzi i przygotowali się do przepłynięcia przesmyku.

– Zamieniam się w słuch.

– No więc, ukradliśmy odzienie rygiryjskiej szlachty. Danowie dopiero co napadli na Rygirów, przeto, można by rzec, że są z nimi w stanie wojny. Heithabyr leży w Danii, która – o ile coś się ostatnio nie zmieniło – jest pełna Danów. Cóż, żaden ze mnie mądrała, jak ty, atoli coś mi się wydaje, że jeśli pojawimy się tam tak, jak stoimy, równie dobrze możemy od razu zakuć się w kajdany, by wszystkim oszczędzić przykrości. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Przyszaję, moja propozycja jest kłopotliwa – odparł Wali – ale nie sądzę, byśmy napotkali jakieś problemy. Oni mają całkiem sporo oddzielnych królestw. Nic nam nie grozi, o ile Haarika nie ma w Heithabyr.

– A jeśli jest?

Wali wzruszył ramionami. Wilkolud nie brał udziału w dyskusji, siedział jeno w milczeniu, z nienawiścią wpatrując się w morze.

Bragi nie dawał za wygraną.

– Dobra, załóżmy, że przeżyjemy tę część planu, w której z punktu nas zabijają. Co potem? Wiedzą, że mogą nas trzymać dla okupu lub zrobić z nas niewolników – w obu przypadkach oznacza to dla nich niezgorszy zysk. Mogą nawet wykoncypować sobie, że zdołają odzyskać berserka.

– To najmita, do tego nie jest ich krajanem. Nie będą się nim frasować.

– To co zamierzamy zrobić?

– Zrobić użytek z tego, co mamy.

– Dwa przednie miecze, jedna kolczuga, proca i całkiem udatne zębiska tego tu człeka – wyliczył Bragi.

– Zapominasz o odzieniu – upomniał go Wali – i o tym. – Podniósł do góry krótki pociemniały od sadzy patyk, który znalazł w sakwie przy pasie Signiutiego. – Tym można doskonale podmalować oczy.

– A po co?

– A po to, że jeśli już mamy wyglądać jak rygiryjscy jarlowie, to lepiej chyba, byśmy się zachowywali jak i oni. Zamierzam domagać się satysfakcji za najazd. – Wyciągnął patyk ku Bragiemu. – Jeśli byłbyś tak miły, Bragi, i spróbował umalować mnie tak, bym wyglądał, jakbym starał się schlebić próżności dworu, a nie jakbym przybył puścić to miejsce z dymem. Lepiej nie próbujmy tego podczas przeprawy. Nie ufam pewności twych rąk nawet na łądzie, a co dopiero na wodzie. Za bardzo zżyłem się z moimi oczami, by tak je narażać. A, i jeszcze jedno: gdy tam dotrzemy, traktuj mnie jak księcia. Podygaj trochę i nie zapomnij słuźalczo szurać nogami.

Bragi jedynie wzruszył ramionami, chwycił za patyk i zajął się nakładaniem sadzy wokół oczu księcia. Tymczasem Wali przemówił do Feilega:

– A ty po prostu im powiedz, żeś naszym kapłanem. Myślałem nad tym, żeby cię sprzedać, ale sądzę, że cena za kolczugę wystarczy, by kupić wolność Adisli. O ile tam jest.

– Jeśli jest, to ją wydostanę – odparł wilkolud.

– Chyba łatwiej by ci poszło, gdybyś jednak zapłacił – ocenił Wali. – Heithabyr to miasto tysiąca ludzi, jeśli wierzyć pogłoskom. Nawet ty nie podolasz walce z tyłoma, wilkoludzie, choć pewnego dnia ja dam im radę. Powiadam ci, kiedyś powrócimy tu i wypalimy ich

ziemię – od wybrzeża do wybrzeża – za to, co uczynili.

Feileg jeno tępo spozrzał na Waliego, wyraźnie nie rozumiejąc.

Problem związany z udawaniem ambasadora w siermiężnej łodzi rybackiej nie uszedł uwagi Waliego, atoli w żaden sposób nie mógł mu zaradzić, przeto zdecydował się nie zawracać sobie nim głowy.

Wiatr nie bardzo im sprzyjał, musieli tedy wiosłować, by ominąć przesmyk. Waliemu to nie przeszkadzało. Dobrze było złapać za wiosło – to przydawało wigoru i poczucia panowania nad własnym losem.

Jak się okazało, bjokey nie stanowiło problemu. Były tam nie więcej niż dwa domy i skład beczek, wokół których siedziała zaledwie garstka ludzi. Gdy łódź ich mijała, podnieśli ręce w pozdrowieniu, a Wali odpowiedział tym samym.

– Gładko poszło – ucieszył się.

– Do czasu – bąknął Bragi.

Wilkolud rozejrzał się wokół. Podobnie jak Wali, nigdy nie widział takiego miejsca – niewielkich płaskich pól zielonego owsa, pozłocistych tam, gdzie przez ciemne chmury przebijało słońce. Znajdowali się w długim i wąskim przesmyku, znacznie spokojniejszym niż otwarte morze; po raz pierwszy od chwili wypłynięcia Wali ujrzał, jak z policzków Feilega znika chorobliwa bladeść.

Płynąc w górę rzeki, mijali kilka niewielkich obozów. Dzieci biegly za nimi wzdłuż brzegu, starając się przyciągnąć ich uwagę, wykrzykując słowa, z których Wali rozumiał co czwarte. To, które poznał, oznaczało „gulasz”. Jakikolwiek wątpliwości, o czym mowa, rozwiewały ich matki przy ogniskach, grzechoczące glinianymi garnuszkami i wykonujące gesty naśladujące jedzenie.

– To ci dopiero gościnność! – rozradował się Wali.

– Pozory myślą – zgasił go Bragi.

– Przecież proponują nam jadło.

– O tak, i nie wydadzą go, póki nie zapłacimy. Srebrnikami.

Wali się roześmiał.

– Zaiste biedny to człek, co bierze zapłatę za jadło od podróżnika.

– Tedy w Heithabyr znajdziesz biedoty na pęczki – zadrwił

Bragi. – Choć nie poznałbyś tego po jedwabiacz, które nosi.

Po tych słowach Wali skupił się na wiosłowaniu. Jakby go ktoś pytał, żądanie od gości zapłaty uważał za uwłaczające, niezależnie od ich liczby. Podobnie haniebnie zachowywał się gość, który wyrażał wielkie uznanie dla gościnności gospodarza, a oddalał się, nie oferując mu podarku. Myśl o płaceniu za to, co się otrzymało, nigdy nawet nie przyszła mu do głowy. Aż do teraz. I to potwierdzało jego pogląd, że Danowie nie mają za grosz honoru. A on zmierzał wprost do ich gniazda.

Minęły dwie godziny, nim ujrzał cel podróży. Zakręcili wokół zakola rzecznej odnogi i oto oczom Walięgo ukazał się Heithabyr, miasto skupione wokół nabrzeża. W życiu nie widział tylu domów. Zdawały się one wypełniać opadające ku rzece łagodne zbocze. Musiała ich być z setka, nie licząc stajni i studni. Wali spostrzegł nawet duży kościół – teraz już rozpoznawał świątynię – zwieńczony krzyżem na dachu, podobny do tego, który widział podczas wyprawy łupieskiej.

Miało się wrażenie, jakby budynki zostały źle posadowione i ześliznęły się w stronę portu, napierając na siebie niby bydło przy żłobie i wzajemnie rozpychając się na boki, by dostać się do – właściwie do czego? W porcie stało osiem jednostek – dwie małe sneki, straszliwy drakkar i pięć kupieckich knar – przycumowanych kilka metrów od drewnianych kei. Wąska przestrzeń między domami a wodą przeznaczona była do naprawy statków, małych i dużych. Tu langskip, łatany na dole kadłuba, tam łodzie rybackie, rozebrane niemal do szczętu; wszystkie przywodziły Waliemu na myśl truchła stworów, na poły pożarte przez dzikie zwierzęta, z wystającymi z padliny żebrami.

Działo się coś dziwnego. Dwie knary wyładowano po brzegi kamieniami, a jacyś ludzie wyrzucali je przez burty do zatoki. Wali pomiarkował, że stawiano jakiś rodzaj zabezpieczenia, coś jakby zapórę przed atakami z morza. Pomysł był tak prosty i genialny, że Wali jął się głowić, czemu jego lud albo Rygirowie nań nie wpadli.

Nabrzeże zaroilo się od ludzi; pięćdziesiątka czy sześćdziesiątka zbiła się w pokrzykujący na przybyszów tłum. Niektórzy wywijali bronią, a w Walim odezwała się ochota, by sięgnąć po miecz. Inni wymachiwali cokolwiek dziwacznymi przedmiotami – przednimi tkaninami, sztabami żelaza, naszyjnikami i naramiennikami, a nawet odzieniem.

– Chcą nas skrzywdzić? – zapytał, przyglądając się jednemu szczególnie wielkiemu mężczyźnie, potrząsającemu włócznią.

– Nas nie, jeno nasze kieszenie – odparł Bragi. – Oni starają się z nami kupczyć.

I znów Wali posłyszeli nawoływania w nieodgadzionych językach, bełkot, trochę słów w dziwnym duńskim slangu, zakończonych pytaniem: „Skąd żeście? Moi przyjaciele, skąd żeście?”.

– Myśmy Rygirowie! – zakrzyknął Bragi, bo wszak byli nimi, jakby się kto pytał.

Bełkot natychmiast ustał, płynnie przechodząc w zrozumiałą mowę.

– Obaczcie te jedwabie, niesione przez trzy lata z Serklandu na dalekim wschodzie, i szkło stamtąd także.

– Macie futra? Kupię wszystkie.

– Najtaniej, najtaniej. Piwo i miód dla strudzonego podróżnika!

– Czołem, żeglarze. Pohandlujmy!

– Mój ojciec był z Rygirów; dla nich jeno najlepsze oferty!

Miejscowi niemal walczyli ze sobą o miejsce na przedzie drewnianego pomostu; niektórzy o mały włos, a wpadliby do wody. Wali pomiarkował, czemu domy były tak bardzo stłoczone. One też próbowały znaleźć się jak najbliżej miejsca handlu – rzecznej odnogi.

Niektórzy kupcy próbowali dostać się do łodzi, by do nich podpłynąć, przeto Wali zorientował się, że musi szybko coś przedsięwziąć. Azali w ogóle byli to handlarze? Jeden miał dziwne ubranie i wilczą maskę na twarzy, nie taką jak skóra Feilega, ale z wikliny i futra.

Książę powstał i krzyknął w tłum.

– Jam jest Wali, syn Authuna Bezlitosnego, króla walecznych mieczy Horda, podopieczny Widłobrodego, króla Rygirów. Przybyłem tu, by rozmówić się z waszym królem, Hemmingiem Wielkim, synem Godfreda²⁶.

– Witajże synu Białego Wilka! – zakrzyknął mężczyzna w masce.

²⁶Hemming, mało znany król Danów; panował w latach 810-812 n.e., następcą wojowniczego Godfreda, władcy od 804 r. (lub wcześniej); to Godfred zapoczątkował budowę Danevirke, linii wielkich fortyfikacji do obrony przed Frankami.

Tymczasem zbliżały się do nich trzy łodzie, każda z dwoma lub trzema ludźmi na pokładzie. Wali pomiarkował, że nie pozostaje mu nic innego, jak pozwolić im podплыnąć do burty faeringa. Gdy to zrobiły, omal nie sięgnął po miecz. Bez chwili wahania na ich łódź wkroczyło trzech mężczyzn – jeden z żelaznymi sztabami, drugi ze zwojem rzeźbionych sztyletów, trzeci w wilczej masce, niski otyły człek, przyobleczony w wielobarwne jedwabie. Gdy przelazł przez burte, Wali zauważył jego włosy – ciemne i gładkie niby szczecina na plecach fokii.

– Najprzedniejsze żelazo jak świat długi i szeroki – zapiał człek ze sztabami. – Możemy je dostarczyć do twych ziem w dowolnej ilości, ile tylko dusza zapagnie. Pomyśl o mieczach, które twoi kowale mogliby z niego wykuć.

Wali spojrział na niego. W rzeczy samej, słowa mężczyzny brzmiały przekonująco, i książe jął rozmyślać o tym, jak bardzo, gdy już zostanie królem, chciałby wyposażyć swych przybocznych w przedni oręż, którym mogliby razić Danów.

– Tego sztyletu użyto do zabicia smoka w krainach wschodu. Przebije nawet najtwardszą kolczugę – zachwalał handlarz nożami.

– A ty czym kupczysz? – zapytał Bragi zamaskowanego człowieka. Starał się pozbawić swój głos przyrodzonej wojowniczości, a w rezultacie zabrzmiał znacznie groźniej niżby krzyczał.

Ten w wilczej masce dobył z siebie głęboki chichot.

– Wszystkim! – rzekł.

Feileg, który patrzył na rozgrywającą się scenę niemal ze zgrozą w oczach, nagle warknął i doskoczył do zamaskowanego.

– Ani się waż! – wrzasnął Wali, ręką dając mu znak, by usiadł; atoli sprzedawca żelaznych sztab i ten od sztyletów odruchowo rzucili się ku swym łodziom. Ten drugi zdołał wtoczyć się do swojej, jednak pierwszy w popłochu źle wymierzył krok i runął w wodę, wywołując salwy śmiechu wśród tłumu na brzegu. Na łodzi Walięgo pozostał tylko człek w masce, spokojny, jakby popis Feilega i nagły odwrót dwóch kompanów nie wywarły na nim żadnego wrażenia.

– Siadaj! – rozkazał Bragi Feilegowi.

Wilkolud nie usłuchał, wciąż stał, patrząc spode łba na kupca w masce. Bragi przeniósł nagle ciężar ciała na brzeg łódki, a ta rozkołysała się, zmuszając Feilega do chwycenia się burty.

– Siadaj, powiedziałem – powtórzył Bragi.

Wilkolud potulnie wykonał polecenie.

– Berserkowie to nieocenieni przybocznicy, zgodzisz się, książę? A mimo to niezbyt są skorzy do miłego powitania. Wychowałem się między nimi, choć trudno w to uwierzyć. Moi krajanie zwą ich wukari, ludźmi, co żyją niby wilcy. Chłopak pierwszy raz w mieście, jak mniemam?

– Kim jesteś? – zapytał Wali.

– Jam twą pomocną dłonią w Heithabyr, twą kosą w lesie zwątpienia, twym ognikiem w mroku, twym...

– Zapytał, kim jesteś – gniewnie odparował Bragi. – Okaż twarz i stań przed nami jak człek przed człkiem.

Mężczyzna zdjął maskę.

– Weles Libor – przedstawił się – przyjaciel księcia i wszystkich, co z nim podróżują.

– Weles! – uradował się Bragi. – Weles, toś ty? Co ty tu robisz, do licha?

– Mieszkam tu – rzekł Weles – na zaproszenie świętej pamięci króla Godfreda, niech właściwi bogowie mają go w opiece w zaświatach, i zyczliwego króla Hemminga, niech ci sami bogowie... No, wiadomo, co dalej.

– Opuściłeś swój lud? – dopytywał się Wali.

– Dobry król Godfred w swej dobroci wystarał się, by to oni mnie opuścili, gdy był uprzejmy spalić mój rodzinny Rerik. Nie był to jednak koniec jego szczodrości. Wielkodusznie zaproponował, ba, nalegał, byśmy my, kupcy, przenieśli nasz interes tutaj. Okazja, by znaleźć się w tak ciepłym i przyjemnym miejscu przedstawiała się o wiele lepiej niż alternatywa, i tak oto się tu znalazłem.

– A jaka była alternatywa? – indagował Wali.

– Wymyślna, oryginalna i niepowszednia śmierć – wyjaśnił Weles. – To bodaj najłatwiejszy targ, jakiego żem w życiu dobił.

– Tedy jesteś niewolnikiem?

– Ale takim, co żyje wygodnie. Skoro masz już zostać rabem, to czemu nie królewskim? A zresztą, ceną za mą skuteczność jest pewien zakres wolności.

Wali zaśmiał się szczerze, po raz pierwszy odkąd powrócił do Eikund ze schwytanym wilkoludem.

– Dobrze cię widzieć – rzekł.

– Ciebie też. Wyrosłeś na tęgiego młodziana, mój książę. Zapewne zdażyłeś już zabić wielu ludzi. – Wali zauważył, że Weles jakoś dziwnie patrzy na wilkoluda. Nic nie umykało uwagi Libora, a co dopiero coś tak oczywistego, jak podobieństwo Feilega do księcia. Co nie oznaczało, że zapomniał języka w gębie.

– Załatwiłem już wszystko dla waszego pobytu tutaj. Jesteście gośćmi w moim domu. Cokolwiek zechcecie tu kupić, cokolwiek sprzedać, z miłą chęcią was wyręcę. Będę zaszczycony, mogąc w waszym imieniu prowadzić wszelkie targi i podzielić się z wami moją fachową wiedzą.

– Jesteśmy emisariuszami.

– Widłobrodego. W związku z najazdem Haarika, ani chybi.

– Skąd wiesz? Niemożliwe, by ktoś dopłynął tu szybciej od nas.

– Jesteś wieszczbiarzem? – wtrącił się Bragi, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

– Nic z tych rzeczy – odparł Weles. – Zwyczajnie spytałem ludzi Haarika, gdy przepływali obok.

– W którą stronę się udali? – gorączkował się Wali.

Weles spojrzał twardo na księcia.

– Dajże spokój, człowieku. Na to pytanie nietrudno odpowiedzieć. Byli dopiero w drodze, czy wracali z najazdu?

– W drodze – odparł kupiec. – Mają coś, co cenisz? Brańca?

– Czarownik! – gardłowo warknął Feileg.

– Me talenta są bardziej przyziemne, zapewniam – rzeki Weles. – Poszedłbym z torbami, gdybym nie umiał rozpoznać potrzeby, gdy mam ją przed oczami. Doszło do najazdu na Rogaland. Czcigodnego księcia wysłano, by odzyskał coś, co można przewieźć w tak małej łodzi. Bardzo roztropny środek transportu, swoją drogą. Ostatnimi czasy na tych wodach trzeba mieć pięć drakkarów albo żadnego. Wierz mi, piraci niemal złamali mnie wpół. Sypnąłem im moją krwawicą. I przez to prawie wykrwawiłem się na śmierć! – Przez chwilę zdawało się, że wyjdzie z siebie, ale się opamiętał. – Hm, tedy to jeden braniec. Do głowy nie przychodzi mi nic innego, do odzyskania czego wymagana jest dyplomacja. Gdyby chodziło o złoto to raczej przybylibyście tu wymalowani barwami wojennymi wokół oczu, a nie tymi wspaniałymi kreskami, godnymi zadowolić damę. – Wskazał na

sadzę, którą Bragi i Wali nanieśli na siebie nawzajem.

– Gdzie jest dziewczyna? – warknął Feileg.

Weles wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Ja jej nie mam, ale jeśli pisane jest ją odnaleźć, to mi się uda – zapewnił. – Dziewczyna, powiadasz? Księżniczka, ani chybi. Czyżby porwali małą Ragnę? Pomogę ją odnaleźć i nie oczekuję żadnej zapłaty. Dość mi będzie jeno waszej podzięki i jakiegoś podarku, którym wasi szcudrzy ziomkowie zdecydują się mnie uraczyć.

– To nie Ragna, lecz branka nie mniej miła królowi. I żaden podarek nie będzie godzien podzięki za jej powrót – wyjaśnił Wali.

– O dokładnych sumach porozmawiamy później – stwierdził Weles. – Żartuję sobie, rzecz jasna. Jednakowoż, zapraszam do mego domu, gdzie będziecie mi gośćmi. I musicie zobaczyć się z królem Hemmingiem. Powinniśmy zacząć od prośby o zadośćuczynienie za najazd. Mało tego – za uprowadzenie dziewczyny. Jestem pewien, że król nie mógł wyrazić na to zgody, księżę. Nie chciałby narazić się na gniew twego ojca. Zajmę się wszystkim – kwotą, sposobem zapłaty i formą przekazania. Nie będę cię zanudzał szczegółami pośledniego handlu, to poniżej godności ksiąząt, tak przynajmniej utrzymują Frankowie, a ich cesarstwo zdaje się na tym korzystać. Potem wystarczy powrócić do Rogalandu i czekać na szczęśliwe zakończenie sprawy.

Wali poczuł, jak serce łomocze mu w piersi. Jeśli ktokolwiek może znaleźć Adisłę, pomyślał, to z pewnością Weles.

28. TARGI I ZATARGI

Z bliska Heithabyr zdawał się takim samym dziwem nad dziwami jak z perspektywy morza. Ziemię wyłożono rozszczepionymi balami, tworząc ścieżki dające stopom solidne oparcie. Domy stłoczono tak blisko siebie, że miejscami ich strzechy niemal się dotykały, zasłaniając światło sąsiadom. Ludzie przepychali się i krzatali na nabrzeżu; w alejkach prowadzących od pomostów prawie nie sposób było przejść dwadzieścia sążni, nie wpadając na kogoś podążającego w przeciwną stronę. Jednakowoż miejsce to było niemiłosiernie brudne. Wszędzie walały się sterty śmieci, a gdzieś tam drewniana ścieżka była śliska od gówna.

Zaskodziłoby komu, pomyślał Wali, zanieść trochę tego syfu nad wodę i go tam wrzucić? Heithabyr śmierdział, a on nie mógł wyjść z podziwu, że ludzie mogą żyć w takim smrodzie.

– Danowie – ozwał się Bragi z odrazą. – Ci to nawet nie wiedzą, co to pranie i mycie.

– To brudasy – rzekł Weles – tak to przynajmniej widzą ich wrogowie. Wszelako ja zawsze uważałem ich za nieskazitelnie czystych, gdyż taki pogląd jest lepszą gwarancją długiego i szczęśliwego życia. Tędy, proszę.

Szli w górę przez miasto, przekraczając mostek nad strumykiem spływającym ku nabrzeżu. To również zdumiało Waliego – strumień biegł w wydrążonym ludzką ręką kanale o prostych brzegach. Czyżby to cuchnące, tłoczne miejsce stanowiło melodię przyszłości? – zdziwił się w duchu.

Wtem, na placu opodal kanału, w końcu zobaczył to, na co czekał – targowisko. Wokół roilo się od otwartych obór, które, jak widział, mieściły rozmaity żywy inwentarz. Jedna była mniejsza od reszty, przysadzista niby typowy długi dom, acz bez ścian, z niskim dachem; jej wnętrze tonęło w mroku. Wali podszedł bliżej i zobaczył skulone w ciemnościach obdarte postaci. Idąc coraz szybciej, schylił się pod dach i uważnie wejrzał w mrok. W przyćmionym świetle

spoglądały na niego blade twarze, niektóre wymizerowane z głodu, inne całkiem pełne i zdrowe. Wszystkich ludzi, bez wyjątku, łączył wspólny łańcuch. Smród był nie do zniesienia.

Oczy księcia wędrowały od twarzy do twarzy. Byli tam dwaj misi – teraz już umiał ich rozpoznać – podobni do tych, których widział na tamtej wyspie. A także matka wtulona w dwoje dzieci, postawny mężczyzna, co mógł być jeno Swaerem, siedzący wyprostowany z buntowniczym wyrazem twarzy, oraz, na szarym końcu, dziewczyna, około siedemnastoletnia, złotowłosa, przystojna, z beznamiętnym wzrokiem wbitym przed siebie. Atoli nie była to Adisla, wcale a wcale.

– Czegóż tam szukasz, panie? Co prawda dzień targowy dopiero za dwa tygodnie, ale jeśli zaproponujesz odpowiednią cenę, dobra będą twoje. A może masz niewolników na sprzedaż? Chętnie kupię udatny materiał.

Odwróciwszy się, Wali ujrzał przed sobą dobrze odzianego człeka w ciemnym płaszczu. W rękę niósł długą leszczynową różgę. Obok niego stała ryża kobieta, jak sądził wyzwolona niewolnica, bo nie wyglądała na Dunkę. Trzymała pęk kluczy.

– Szukam kobiety, która mogła być tu sprowadzona. Porwanej podczas najazdu na Rogaland – odparł.

– Rygiryjskie niewiasty są zimne jak ryby, panie – orzekł mężczyzna z miną znawcy. – Chodź, spróbuj tej na końcu. Ta to ci dopiero w łozu da popalić, o ile dasz radę przeczekać miesiąc dąsów, nim do ciebie przywyknie.

Dziewczyna spojrzała na niego z mroku. Jej oczy nie wyrażały nadziei ani niczego szczególnego.

– Chcę Rygiryjkę – stanowczo odparł Wali.

– Ta tutaj pochodzi z zachodnich wysp – całkiem blisko jej do Rygiryjki.

– Tedy ludzie Haarika nie pojawili się tu, by sprzedać niewolników?

– Odpłynęli przed miesiącem – rzekł handlarz – i od tej pory ich nie widziałem. Ej, ty, gołodupcu, wynoś się stamtąd!

Wali odwrócił się i zobaczył, jak Feileg uważnie przygląda się żelaznym kajdanom na jednym z dzieci. Gdy handlarz niewolników podbiegał do niego z podniesioną różgą, wilkolud obrócił się i wydał niskie warknięcie – dziki i gniewny dźwięk, wrzącą oznakę wrogości,

jeden z tych sygnałów, jaki zwierzęta wysyłają ludziom od niepamiętnych czasów. Był to odgłos, jaki wilk i niedźwiedź kierują do swej ofiary, przemawiający do instynktu, a nie do rozumu, oznajmiający jedno: „W nogi!”.

Wali wyczuł, jak z handlarza – niby gorący podmuch owiewający tego, co mija drzwi kuźni – emanuje strach. Przekupień wypuścił różgę z rąk i jał się wycofywać, byle dalej od Feilega, upadając w tył na wiązkę słomy. Wilkolud postąpił naprzód i stanął nad nieszczęśnikiem. Wtem Wali zobaczył błysk noża. Handlarz był twardym mężczyzną, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać, i po upadku szybko odzyskał rezon. Wyciągnął ostrze z za pasa i wstając pchnął nim w brzuch Feilega. Zaraz potem rozległ się dziwny dźwięk, jakby łamanej gałęzi, po nim kolejny, a później łomot. Wszystko zdarzyło się zbyt szybko dla zmysłów Waliego. Oddech później handlarz po raz drugi upadł na słomę, a umysł Waliego w końcu przyswoił to, czego przed chwilą był świadkiem. Feileg złamał mężczyźnie rękę, pogruchotał mu staw w kolanie i pchnął go na ziemię. Tył głowy przekupnia z chłupotem zagłębił się w błoto.

Wilkolud usiadł na mężczyźnie, obnażając zęby. Wali, instynktownie zrozumiałwszy, co za chwilę się zdarzy, doskoczył do Feilega, by go odepchnąć. Co innego wdanie się w bójkę zaraz po przybyciu do miasta – to mogło nawet okazać się dobre dla ich reputacji – atoli poharatanie kogoś zębami to już przesada. Wali pchnął z całej siły, aliści wilkolud skręcił tułów i księżę wylądował twarzą w błocie. Feileg wbił się pazurami w twarz handlarza, szarpiąc i odrywając ciało od kości. Z gardła mężczyzny dobył się dźwięk, szalony charkotliwy ryk. Stracił oko.

Jego towarzyszka stała bez ruchu, beznamiętnie przyglądając się cierpieniom druha.

– Feileg! – Wali podniósł się i potrząsnął wilkoludem za ramiona, wpatrując się w jego oblicze niby w lustro.

A potem natura rzeczy zdała się przeobrażona – świadomość Waliego sprawiała wrażenie szerokiej i ogarniającej. Jakby sposób postrzegania, który odnalazł na moczarach, przesączył się do terażniejszości, jak gdyby cały świat był skąpany w brudnym podwodnym świetle. Uczucia targały głową księcia wte i wewte – strach emanujący z handlarza i płynące od Feilega silne poczucie

czegoś próbującego się uwolnić, czegoś zduszonego pod przykrywą bólu. Wali zmusił się, by przemówić, atoli nie wiedział, skąd brały się słowa.

– Feileg, proszę – ozwał się. – Już dobrze. Zostaw go. Chodź, pewnie żeś zmęczony. Weles da ci dobre łoże, ani chybi. Lepsze to niż ziemia, he?

Wilkolud spojrział w oczy Waliego, a ten poczuł, że dzieli z tym człkiem coś fundamentalnego, coś głębszego niż to, co da się wyrazić słowami. Był z nim złączony, a nawet więcej – tożsamy. To uczucie przejęło go chłodem.

Feileg nie poruszył się, jeno patrzył w dół na mężczyznę pod sobą. Handlarz zamilkł – usta miał niebieskosine.

– Umarł ze strachu – orzekł Bragi. – Kiedyś już widziałem coś podobnego. – Wali spojrział na ciało. W dobywających się z niego zapachach jakby ulatniały się wspomnienia zmarłego. Czuł smak zsiadłego mleka, morza i drewna, potu i krwi, zwęszył zapach dymu i deszczu, zobaczył górę złota i szerokie jasne niebo. Wrażenia stłoczyły się wokół ciała, a potem zniknęły.

Larum zwabiło tłum gapiów.

Kobieta handlarza szturchnęła Waliego w ramię. Z jej twarzy nie sposób było wyczytać zmartwienia czy gniewu.

– Żądam weregild. Zadośćuczynienia za śmierć mego męża.

Wali nosił się jak księżę, toteż oczywiste było, że zwraca się z tym do niego, a nie do dzikiego Feilega, który zdawał się pogrążony w czymś w rodzaju transu.

– Ja... – Wali nie wiedział, co rzec. Starał się myśleć jasno. Jego umysł utrwalił przebieg walki na poziomie wykraczającym poza jej brutalność, jakkolwiek straszna by ona była. Siła uczuć jakby obudziła w nim nowy zmysł, coś między zapachem a pamięcią. Czuł się oszołomiony, a w jego głowie odezwał się tępy ból. Szeroka świadomość sprzed chwili skurczyła się do rozmiarów wąskiego strumienia; w uszach rozbrzmiewało mu przenikliwe dzwonienie, niby echo krzyku.

Kobieta przemówiła ponownie.

– Należy mi się rekompensata. Widziałam, jak przybyliście. Macie przednią łódź. Jeśli mi ją dacie, zapomnę o sprawie.

Weles podniósł dłoń.

– Reprezentuję księcia we wszystkich podobnych sprawach. Nie otrzymasz od nas żadnego weregild. Twój mąż napadł na tego człeka. Berserk nie zrobił nic złego, tylko na niego nakrzyczał, a twój mąż dobył noża. To ty jesteś nam winna rekompensatę. – Odwrócił się w stronę zebranych, z których część podchodziła właśnie, by spojrzeć na ciało handlarza. – Czyż nie tego wymaga sprawiedliwość?

Odpowiedział mu niewyraźny pomruk i kilka wymuszonych żartów, które przyjął z uśmiechem.

Kobieta zdawała się w duchu ważyć słowa Welesa.

– Dajcie mi dwa wiosła, a będziemy kwita.

Weles pokręcił głową.

– Moi przyjaciele mają zasadne roszczenie wobec ciebie. Oddaj nam wszystkich swych niewolników, a sprawę uznają za niebyłą.

Kobieta spojrzała na tłum. Brakowało jej charyzmy, zaś Weles cieszył się popularnością wśród tłuszczy.

– Oddaj mu niewolników – odezwał się jakiś głos.

– Wilkolud jeno się bronił, widziałem nóż – zawtórował mu kolejny.

Kobieta rozejrzała się na lewo i prawo, z nadzieją poszukując życzliwego oblicza. Zbyt wielu ich jednak nie wypatrzyła.

– Co powiecie na dwójkę dzieci? – zaproponowała w końcu. W postawie Welesa zaszła subtelna zmiana – wyglądał jak pies, który zwęszył zapach ofiary. Odór obory i niewolników drażnił nozdrza Waliego, który czuł się tak, jakby coś pętało mu członki. By nie upaść, oparł się o niski dach.

– Te będą bardziej ciężarem niż pomocą – ocenił Weles. – Dołóż rodziców, a moi przyjaciele zapomną o sprawie. Twój mąż to niewielka strata. Spójrz na swą twarz – wszak nie masz tego siniaka od jego pocałunków.

Kobieta myślała przez chwilę, a potem podeszła do ciała męża i splunęła.

– Bierzcie ich – rzekła. – Wdzięcznam Jezusowi, że mnie od niego oswobodził. Jeno nieliczni zyskują wolność dwa razy za życia.

– Dostarcz nam rabów – polecił Weles. – W tej chwili mam lepsze rzeczy do roboty. I dopilnuj, żeby coś zjedli, nim przyjdą. Nie chcę zacząć na nich łożyć, póki nie przepracują choć dnia.

Kobieta przytaknęła.

– Chleb, nie gulasz.

– Gulasz – upierał się Weles – albo przedstawimy sprawę zgromadzeniu. I powiadam ci, wtedy stracisz coś więcej niż niewolników.

Baba wzruszyła ramionami.

– Gulasz, niech będzie.

– Chodźmy – zaproponował Weles. – Na nas już czas.

Feileg wciąż stał jak wryty. Weles przyłożył swą maskę do twarzy i popatrzył przez nią na wilkoluda.

– Hau, hau. Do nogi – odezwał się. Niektórzy w tłumie skwitowali to śmiechem, inni wciąż wyciągali szyję, by przyjrzeć się ciału. Co zdumiewające, drwina kupca jakby wyrwała Feilega z transu. Spojrzał w górę i podążył za towarzyszami. Bragi klepnął go w ramię.

– Dobrześ zrobił, synu. Właśnie tak mężczyzna rozprawia się z ludźmi, którzy wyciągają na niego nóż – powinszował mu. – Ech, na święty kikut lorda Tyra, jakże byś mi się przydał podczas kilku najazdów! Gdybym był dziesięć lat młodszy, razem zgarnęlibyśmy trochę łupów, co nie? Jeśli nauczysz się używać miecza, stąd aż po Serkland nie będzie takiego, co zdoła cię zmóc.

Wilkolud nie odpowiedział.

Wali ruszył za Welesem przez ulice. Zastanawiał się, czy czas spędzony na moczarach nie odcisnął na nim nadmiernego piętna, czy przeżycia nie wpłynęły na jego umysł. Patrzenie w oczy Feilega było niepokojącym doświadczeniem, przemoc – jeszcze gorszym. Ale i cokolwiek upajającym.

Pogąrzył się w rozmowie z Welesem.

– Sądziłem, że będzie nas to kosztowało co najmniej hełm. Z ciebie jest jednak prawdziwy czarownik, Welesie – stwierdził.

– Znam się na swej robocie – odparł kupiec. – Kobieta już otrzymała zapłatę, od twego wilkoluda. Teraz jest zamożną wdową. Sądzę, że i tak chciała dać wyjcowi coś w zamian. Ja jeno jej podpowiedziałem, co.

– A na co Feilegowi niewolnicy? Chyba, że na ząb.

– To daj ich mnie.

Weles mieszkał w przestronnym długim domu z wybrzuszonymi ścianami, jakich pełno w Heithabyr. Na zewnątrz znajdowało się ogrodzone podwórze, pośrodku którego, na zydłu,

siedział Dan w przeszywanicy i z dużym saksem w dłoni. Ręka Waliego odruchowo powędrowała do przypasanego miecza.

– Nie trzeba, nie trzeba – uspokoił go Weles, kładąc mu dłoń na ramieniu. – To mój ochroniarz, a nie rabuś. Płacę mu, żeby tu był.

To ci dopiero, pomyślał zdumiony Wali. Po cóż ktokolwiek potrzebuje osobistej ochrony? Czy społeczność nie może bronić samej siebie przed przybywającymi na rabunek obcymi? Łupy Widłobrodego przez wiele dni leżały pod gołym niebem, jako naoczny dowód pomyślności i potęgi króla. Jego pobratymcom nawet do głowy nie przyszło, by go okraść. Poza tym, strażnicy pracowali w zamian za lojalność i honor, nie dla zarobku, nadto wyłącznie dla wielmożów. A Weles był przecież prostym człkiem, niewolnikiem nawet. To wszystko zdało się Waliemu niegodne. Ba, karygodne.

Wali podejrzliwie przyjrzał się osiłkowi i wszedł do środka. Dom zbudowano wokół obszernej pojedynczej izby z odchodzącymi od niej oddzielnymi kojcami dla kóz i drobnego bydła. W domu Disy kozy dzieliły miejsce pospołu z ludźmi. Okazało się, że Weles nie był tak dobrze przygotowany na ich przyjęcie, jak twierdził na nabrzeżu. Nie było jadła na ucztę ani kropli piwa, atoli kupiec posłał już po nie sługę i zapewnił gości, że wkrótce dane im będzie posilić się i napić.

Główną izbę mieszkalną zdołały liczne futra na posadzkach, zapach słodkich ziół maskował smród miasta na zewnątrz i zwierząt w środku, a na ścianach wisiały dziwne haftowane tkaniny z wełny i lnu. Jedna przedstawiała jakąś niewiastę otoczoną przez skrzydlatych mężczyzn, a druga boga, którego Wali widział już na wyspie mnichów, i tu przybitego, niby Odyn, do drzewa.

Weles zauważył spojrzenie Waliego.

– Kupione z racji ciepła i piękna, a nie mej religijnej gorliwości – pospieszył z wyjaśnieniem. – Jeden bóg jest podobny do drugiego, jak mnie życie przekonało.

Do izby weszła mała ciemnowłosa kobieta, z tej samej rasy co Weles, prowadząc trzódkę złożoną z trzech chłopców o ciemnych i lśniących czuprynach. Jeden z nich nosił maskę niedźwiedzia, podobną do tej wilczej, którą Weles trzymał teraz w dłoni. Dziecko przytknęło ją do twarzy i powarkując, jęło gonić za braćmi.

– Sam widzisz, co mam na myśli – ciągnął. – Te rzeczy są święte dla Wielorybaków z północy. Plemię bratnie mojemu, Neurowie,

mają coś podobnego. Zakładając maskę, Neuryjczyk, albo szaman z północy, może przemienić się w zwierza. A tu cóż, służą za zabawki dla moich dzieciak.

Feileg wyciągnął rękę po maskę trzymaną przez Welesa, a ten mu ją oddał.

– A czemu w ogóle ją nosisz? – zaciekał się Wali.

– A temu, by rzucać się w oczy na nabrzeżu – wytłumaczył Weles. – Tutaj kupiec musi się wyróżniać. Jak mawiają chrześcijanie – wilk w owczej skórze. Atoli ja, jak widać, rozumiem to na opak.

Feileg spoglądał na kobietę i dzieci przez maskę. Gdy ją zdjął, Wali zauważył, że do oczu wilkoluda napłynęły łzy. Wiedziony wstydem, nie chciał ich jednak ocierać przy obcych.

– Ogień ci przeszkadza? – zapytał go Weles.

Feileg pokręcił głową.

– Smutno mi, bo wspomniałem na własną rodzinę – rzeki.

– Jak to możliwe, że w jednej chwili rozdzierasz komuś twarz, a zaraz potem płaczesz za matulą? – zdziwił się Bragi.

– Jestem wilkiem – odparł Feileg i wrócił do przypatrywania się bawiącym się malcom.

Weles uniósł brwi i wzruszył ramionami. Potem klasnął w ręce i przemówił do najstarszego chłopca:

– Jarilo, jesteś za duży, by ganiać jak dzieciak. Masz, idź ubij kozła dla naszych szanownych gości.

Chłopiec wziął nóż i popędził ku kojcom, z zapalem ścigany przez braci.

– Kobieto, przynieś wina od Geirego, byle szybko. Rzeknij mu, że dostanie zapłatę w ciągu tygodnia. To tak się przygotowujesz, gdy ci mówię, że będziem gościć księcia całej północy?

Tym razem to kobieta wzniosła oczy ku niebiosom, odłożyła miotłę i wyszła na zewnątrz.

– Za rzadko garbujesz jej skórę – stwierdził Bragi.

– I tak nie mógłbym robić tego częściej, nawet jeśli poniechałbym innych zajęć – półgębkiem odparł Weles, wyciągając głowę, by upewnić się, że żona go nie posłyszcy – a mimo to wciąż nie jest mi posłuszna.

– Nie ma żadnych sińców – zauważył Bragi ze zdziwieniem.

– Obodryckie kobiety trudno posiniaczyć – rzeki Weles. – Do

tego kopią niczym krowy i gryzą jako te maciory. Proszę, napijmy się trochę piwa w oczekiwaniu na wino.

Podał im stojącą z boku wielką czarę, przykrytą tkaniną.

Mężczyźni jęli z niej pociągać; w międzyczasie przybywali i odchodzili rozmaici goście – a to inni kupcy ze swoimi towarami, to ciekawskie dzieci, to przyjaciele Welesa, którzy zjawili się, by przyrzeć się nowo przybyłym.

Wniesiono ubitego kozła, a gdy żona kupca powróciła, przypiekła go nad ogniem, co Wali uznał za cokolwiek dziwny wybór, skoro na wyciągnięcie ręki miała kociołek do gulaszu. Zastanawiał się, czy to nie czasem jakiś obodrycki zwyczaj. Jednakowoż, musiał przyznać, że mięsiwo smakowało wyśmienicie, a wino udatnie dopełniało pieczystego. Po długiej podróży, jedząc ryby i najróżniejsze rośliny znalezione opodal wybrzeża, posiłek zdał mu się cudowny, a napitek zaczął uderzać do głowy. Podchmielony Bragi nie mógł sobie darować opowieści o odparciu najazdu Danów, raz po raz unosząc rękę Waliego w górę, gdy zdawał relację z co bardziej doniosłych aspektów zwycięstwa.

Koniec końców Wali, nie wiedząc jak, znalazł się na niskim zydłu przy palenisku, siedząc obok Welesa. W dymie i blasku płomieni jego przyjaciel ze wschodu przypominał dziwaczną zjawę. Gdy przemawiał, wokół niego tańczyły iskry, zaś klejnoty, które założył w bezpiecznym zaciszu swego domu – bursztyn i gagat przypięte do uszu, złote naramienniki i zapinki – połyskiwały w świetle ogniska.

Być może to sam lord Loki, do którego kiedyś się zwracałem, przybrał ludzką postać, by mi dopomóc, pomyślał Wali. A może nie, choć Weles był z pewnością człkiem niezwykłym, tak różnym od reszty ludzi, jak Loki od reszty bogów. Wali nie znał nikogo innego, czyje usta pełne byłyby wschodnich poematów, albo kto bez ustanku rozprawiałby o targach i złocie, miast o bitwach. Z tego, co widział, Weles nie posiadał środków utrzymania – stad czy gruntów, a jego handel ograniczał się do zwykłego kupna i sprzedaży. Jego towarzystwo radowało go, lecz zarazem niepokoiło. Pomyślał o Adisli. Azali była nadal choćby żywa? Rozszalała się w nim burza uczuć: gniewu, troski i desperacji.

– Myślisz o tej dziewczce – zauważył Weles. – Widzę, że jest dla ciebie kimś więcej niż księżniczką. Twarz cię zdradza, książę.

Powiedź, jak ma na imię?

Wino, jadło, ciepło ogniska i otoczenie przyjaciół osłabiły nieufność Waliego.

– Adisła.

– Adisła? – zdziwił się Weles. Wcześniej Wali nie potrafił sobie wyobrazić niczego, co zdołałoby ściągnąć z kupca maskę ogłady. A tu proszę. Kupiec ściszył głos, jakby miał zamiar oznajmić coś, co było przeznaczone jeno dla uszu Waliego. – Pamiętam ją z czasów mojej wizyty u ciebie, gdy byłeś mały. Jest na kim oko zawiesić, to muszę przyznać, ale nie mów mi, błagam, że przebyłeś taki szmat drogi jeno dla córki kmiecia? Prawda?

Wali zakreślił osadem po winie na dnie kielicha i odrzekł:

– Ona jest dla mnie wszystkim.

Weles wywrócił oczami aż po krokwie.

– Gadasz jak jakiś Arab! – skarcił księcia. – Ci to zawsze gędzą o miłości. „Moją jest religia miłości! Kiedy bądź zawracają karawany Boga, miłość moją będzie religią i wiarą!²⁷”.

– To chyba lepsze niż wojna.

– Doprawdy? – odparł Weles z udawanym zdziwieniem. – I to mówi potomek rodu Odyna?

– Mam już dość tego bożka. Jeśli bogowie istnieją, to wołałbym takiego od miłości.

– Tedy jak nic znalazłbyś wspólny język z chrześcijanami. Frankijski król Karol pobożnie wyznaje Chrystusa, boga miłości. Przepelnia go takie umiłowanie bliźniego, że aż czerwieni rzeki krwią nieprzyjaciół boga swego. Zaiste, miłość to niespotykana.

– Takiej miłości akurat bym nie ufał.

– I słusznie. Ufać nie powinienes też tej, która najwyraźniej tobą zawładnęła. Nie przystoi za bardzo kochać kobiet, czy nie tak u was mawiają? Pewien ummajadzki kupiec opowiedział mi kiedyś przypowieść o kalifie, władcy wielu ziem, co rozmiłował się w niewolnicy. Mógł od niej zażądać wszystkiego, czego tylko chciał, ale to nie zadowalało tego głupca. Wyobraź sobie, że chciał, żeby ona oddała mu się z własnej nieprzymuszonej woli. No i pewnego razu, gdy leżeli razem w łożu, dojrzał w jej oczach jakiś zły błysk i rzucił się z

²⁷Cytat z poezji miłosnych teologa sufickiego i filozofa, Ibn al-Arabiego (1165-1240), przeł. tłum.

wieży.

– A co to jest ta... wieża?

– Wysoki budynek, zbyt wysoki, by z niego skoczyć i przeżyć, wielki niby urwisko. Mają takie na wschodzie. Coś jak twierdza, ale nie taka wojenna.

– A niby jaka?

Weles się zaśmiał.

– Najwidoczniej twierdza kobiecego serca, przynajmniej podług naszego znajomego kalifa. Na świecie pełno jest kobiet, które cię pokochają. A jeśli jakaś cię nie zechce, czy to z racji odmiennej predylekcji, czy też okoliczności, znajdź taką, co pokocha. Lepsze to niż uganianie się przez pół świata za czymś, co możesz dostać za trzydzieści srebrników na pierwszym lepszym targu rabów.

Wali wbił wzrok w ogień.

– Nie porzucę jej na pastwę losu. Ni twe żarty, ni groźby Widłobrodego nie odwiodą mnie od tego zamiaru.

Na twarzy kupca odmalował się wyraz nagłego zrozumienia, a Wali pojął, że niechcący się wygadał.

Weles przemówił półgłosem.

– Chwileczkę. Czy Widłobrody przyzwolił na tę podróż? Nie, prawda? Ach, nic dziwnego, że nie dał ci drakkaru. – Potem jego mina wykrzywiła się w wyrazie powściąganej trwogi. – A czy Widłobrody w ogóle wie, że tu jesteś?

– Jestem księciem ludu Horda, a nie Rygirów.

Weles pokręcił głową z wyraźnym niedowierzaniem.

– Równie dobrze mógłbyś powiedzieć „nie”. Rany boskie! A myślałeś, że niby co zrobisz z Hemmingiem? Posiedzisz sobie u niego i wynegocjujesz pokój, choć nie masz do tego żadnych pełnomocnictw?

Wali zrozumiał, że to koniec gry pozorów.

– Nie przyszło mi do głowy żadne inne wytłumaczenie mej obecności w Heithabyr.

– A czy samo to nie dowodzi, że nie powinieneś tu być? Czym prędzej wracaj do Rogalandu. Czy zdajesz sobie sprawę, w jakie niebezpieczeństwo się pakujesz? W osobie Hemminga zbiegają się nici konkurencyjnych wpływów. Skoro nie masz błogosławieństwa Widłobrodego, to Hemming ma niemal obowiązek cię uwięzić, czy tego chce, czy nie. Powie, że jesteś tu jego gościem, ale będziesz miał

szczęście, jeśli w ogóle kiedykolwiek ujrzysz Rogaland.

Wali nie mógł orzec, czy tę decyzję podjął za sprawą wina czy potrzeby zwierzenia się komuś, kogo szanował, chęci poradzenia się Welesa. Tak czy owak, zdecydował się powiedzieć prawdę.

– I tak nigdy go nie ujrzę.

– A to czemu?

– Bo wyjęto nas spod prawa.

Weles wzdrygnął się nieco, jakby uchylał się przed spodziewanym ciosem.

– Na dziewięć rodzajów diabłów, co żeście zbroili?

Wali wzruszył ramionami.

– To raczej kwestia polityki niż czynów.

Weles musiał się powściągnąć, by nie wyrwać kielicha z rąk Walięgo i od razu nie wyrzucić młodzieńca za drzwi.

– W Hordalandzie też was skazali?

– Nie.

– Tedy wciąż masz jakieś koneksje. – Zamyślił się przez chwilę.

– Więc tak: musicie już dziś opuścić miasto i udać się z jednym z mych ludzi w bezpieczne miejsce. Możecie zabrać się tą waszą łódką w dół wybrzeża i przeczekać w lesie. Tu jest dla ciebie zbyt niebezpiecznie. Hemming wkrótce się dowie, że cię skazano; on ma swych ludzi we wszystkich królestwach. Może nawet zażądałby za ciebie okupu od ojca lub od Widłobrodego. A jeśli Haarik powróci, będzie się domagał twej śmierci.

– Muszę znaleźć Adislę.

– Zasięgnę języka co do jej losu, ale musicie odejść. Natychmiast. – Jakby dla podkreślenia swych słów, odjął Waliemu kielich od ust.

Wali pomiarkował, że jego stary druh nie żartuje.

– Już? – zapytał, tęskno spoglądając na posłania z przednich wygodnych futer.

– Już.

Wali z rezygnacją podszedł do towarzyszy, a potem wszyscy pozbiali nieliczny dobytek. Bragi był już pijany i głośno dawał wyraz swemu oburzeniu, że każą mu wracać na zimną łódź, atoli Feileg przyjął złe wieści bez szemrania.

– Za sześcioma zakolami rzeki, w przeciwną stronę do tej, z

której tu przybyliście. Tam się spotkamy – nakazał Weles. – Nie mogę iść z wami. I tak wystarczy, że was przyjąłem w swoim domu. Czemu od razu nie powiedzieliście mi o swym położeniu? Mogliśmy rozegrać to zupełnie inaczej. Po prostu idźcie w dół wzgórza, ku wodzie. Wasza łódź czeka tam, gdzie ją zostawiliście.

– Dzięki ci – rzekł Wali. – Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Zapomnij. Ale wcześniej wyślij mi jakiś okazały podarek – zaśmiał się Weles. Zwyczajem Obodrytów ucałował Waliego w oba policzki i wypchnął za drzwi.

Trójka mężczyzn skierowała się ku nabrzeżu. Heithabyr nocą prezentowało się pięknie – głębokie pole gwiazd rozświetlało miasto, a, jakby w odpowiedzi, ku niebu wznosiły się tysiące malutkich płomieni palenisk i migoczących świec. Zdawało się bezpieczną przystanią pośród wrażeń ziem. Za to mrok poza miastem najeżony był niewidocznymi złowrogimi siłami – górskimi stokami z ich śmiercionośnymi przepaściami, wciągającymi moczarami, bezdrożami na wrzosowiskach, a przede wszystkim – przepastnymi odludziami, gdzie próżno szukać pomocy. Atoli właśnie tam się udawali. W oddali Wali posłyszał wycie wilka, któremu zawtórowały gniewne powarkiwania miejscowych psów, dochodzące z okalającego mroku. Słyszac ich głosy, niemal ludzkie w swej skardze, poczuł żal, że nie mógł zostać w Heithabyr, w bezpiecznym pobliżu ognia; miast tego musiał wypłynąć na nieznane wody.

Wtem drogę zastąpiła mu jakaś postać. Zrazu chciał ją ominąć, atoli mężczyzna ani drgnął. Do nieznajomego przystąpił ktoś jeszcze, potem trzeci i czwarty. Wali spojrzał, dostrzegając w mroku za jego plecami zarysy kształtów tarcz i włóczy. Musiało tam być z dwudziestu ludzi. Rzucił okiem na Bragiego i wilkoluda. Potem zerknął w lewo. Kolejna ciemna sylwetka przekroczyła alejkę, i z tej strony zagradzając im drogę. Tedy zostawała tylko prawa. Zrozumieli się bez słów. Wszyscy trzej, jak jeden mąż, rzucili się do ucieczki. Pobiegli równolegle do wody, w górę niewielkiego zbocza, wzdłuż wąskiej dróżki pomiędzy domami. Gdzieniedzie Wali musiał nurkować pod niskimi strzechami, niemal dotykającymi się nawzajem. Trochę na ślepo śpieszył przed siebie w ciemnościach, niepewnie stąpając po śliskich balach ścieżki, próbując zachować równowagę między ostrożnością a pośpiechem. Mniejsza z tym. Skoro on nie widział za

dobrze, tak samo i jego prześladowcy.

W pędzie przecinał światła świec i palenisk, dobiegające zza otwartych drzwi, niby złote smugi w mroku, gdy wtem po lewej mignął mu blask innego koloru i rozmiaru – błysk srebra, niby ostrza lyskającego z pochwy nocy. Woda.

– Tutaj – rzekł, licząc na to, że Bragi i Feileg wciąż są tuż za nim. Wbiegli na wzgórze, tak szybko, jak się dało po śliskich balach; atoli wokół ponownie pojawiły się cienie, poruszające się w poprzek ścieżki. Wali ponownie skręcił na przełaj przez zbocze, lecz droga była zablokowana – nie przez wojów, a przez ścianę ziemi. Miasto otaczały szańce. Zbiegowie znaleźli się w potrzasku. Postacie nie zbliżyły się do nich, jedynie otaczając ich szerokim kręgiem i czekając w pewnej odległości.

– Gotuj się do zajęcia miejsca przy twych przodkach na dworach Odyna – Bragi szepnął Waliemu do ucha.

– Jeszcze nie zamierzam prosić nikogo stamtąd, by zrobił mi miejsce na ławie – odparł Wali. Wokół niego zbrali się jacyś ludzie, niektórzy z pochodniami. Szlachetnie urodzeni, jak mógł dostrzec. Ten czy ów miał włócznię, pojawiło się też kilka mieczy – w tym jeden dobyty. – Kiedy jak kiedy, ale teraz już czas najwyższy poudawać księcia – dodał.

Wyprostował się jak świeca i postąpił ku mężczyznom naprzeciwko.

– Słowo daję, wziąłem was za rabusiów. Czemuż to, waszmościowie, tak się skradacie pośród mroku?

– Myśmy druhowie Hemminga, króla Danii, potężnego władcy, którego okręty są niezliczone – odparł jakiś głos.

– Jakżem rad was w końcu widzieć. Nie doczekawszy powitania od króla Hemminga, zamiarowałem już sobie po raz wtóry dosiąść mego rumaka fal. Doprawdy, bodajże prędzej posiliłbym się przy stole mego ojca o dziesiątkę dni stąd, zdążając za grzbietami makreli do Hordalandu, niż dostąpiłbym duńskiej gościnności. – Wali starał się przemawiać jak książe, by za takiego go uznano.

– Bolejemy nad naszą opieszałością – ozwał się znów ten sam głos. – Król tu nie rezyduje, przeto wieści o twym przybyciu dotarły do nas z opóźnieniem. Jesteśmy tak skruszeni jako i Geirröd, co nie chciał

dać Odynowi miodu²⁸.

– A Geirröd nie upadł aby czasem na swój miecz? – bąknął półgębkiem Bragi.

– Twe słowa ociekają słodyczą niby jabłka Iduny²⁹ – perorował Wali. – Witajcie nam, towarzysze Hemminga, dzielni Danowie i synowie honoru.

Wali stanął teraz twarzą w twarz z mężczyzną, który jako pierwszy zastąpił mu drogę. Woj był bogato odziany, złota zapinka lśniła w mroku niby świeca, a przy pasie miał przedni miecz w pochwie inkrustowanej klejnotami. Był wysoki i szczupły, z postury wyglądał na kogoś, z kim nie warto zadzierać.

– Jam jest Skardi, syn Hrolfa – przedstawił się – zaufany doradca Hemminga Wielkiego, wroga Franków i obrońcy Danów, co bierze daninę z ośmiu królestw, a którego chwała trwać będzie, póki bogowie nas nie zniszczą.

– A jam Wali, syn Authuna Bezlitosnego, ciemźyciela północy, najbardziej zatrwającego władcy w całym Midgardzie. Jestem podopiecznym Widłobrodego, króla Rygirów, którego imię rozbrzmiewa donośnie pod czasą niebiańskiego boga.

Wali rzucił okiem na lewo. Bragi trzymał wilkoluda za ramię i szeptał mu coś do ucha. Oczy Feilega błyszczały obłędem, jak wcześniej na targu niewolników, a on sam zdawał się gotowy do ataku. Wali przypomniał sobie, co niegdyś pomyślał o berserkach, gdy po raz pierwszy zobaczył ich w akcji. Jakimż to zrzędzeniem losu znalazł się w towarzystwie tego człeka, w porównaniu z którym wyznawcy kultu Odyna zdawali się uosobieniem powściągliwości?

– Wybaczcie memu śludze – przeprosił. – On pragnie jeno chronić mnie w tej obcej krainie.

Skardi zacisnął wargi.

– Powiedz mu, że z moimi ludźmi nie poradzi sobie tak łatwo jak z byle handlarzem. Oni już nieraz dostarczali orłom tak obfitej

²⁸Nieświadomy tożsamości przybysza, król Geirröd skazał Grimmira, czyli Odyna w przebraniu, na męki, przez osiem dni i nocy przypiekając go między dwoma ogniami, nie dając mu jadła i napitku; patrz: *Grimnismál (Grimnira pieśń, część Eddy poetyckiej)*.

²⁹Bogini, opiekunka jabłek zapewniających młodość, żona mitologicznego Bragiego.

strawy, że te nie mogły wznieść się w przestworza.

Pogłoski o śmierci handlarza najwidoczniej dotarły już na dwór Hemminga. Pozostawało tylko trzymać się początkowych zamierzeń. Ile miał czasu, nim dotrą tu wieści z Rogalandu? Najwyżej miesiąc, może znacznie mniej. Jeśli Hemming zatrzyma go zbyt długo, przyszłość Waliego zdawała się wielce niepewna.

– Nasza postawa i czyny sprawią, że te ptaki będą przymierać głodem – odparł Wali. – Przybywamy w pokoju, z życzliwymi słowami i szacunkiem dla waszego osławionego króla.

– Tedy witajcie, przyjaciele. Pozwólcie się zaprowadzić na dwór naszego pana nad panami.

Wali uściskał się z posłańcem, co wyraźnie uspokoiło Feilega.

– Mamy łódź u ujścia rzeki. Gdybyś uczynił nam ten zaszczyt i towarzyszył nam... – Skardi znacząco zawiesił głos.

Wali wiedział, że oferują mu surową gościnę, z rodzaju tych, którym nie sposób odmówić. Wyruszyli poprzez ciemne ulice. Pomiarkował, że towarzyszy im co najmniej czterdziestu ludzi. Byli więźniami, jako żywo.

– Przybyłeś do nas na łodzi rybackiej, książe. To osobliwy wybór jak na królewskiego syna. Czyżby Widłobrody poskapił ci drakkaru, by cię tu sprowadził?

– Mój panie – tłumaczył Wali – naszą łódź pochłonęły morskie odmęty opodal Szerokich Wysp. Ni stąd, ni zowąd pojawił się sztorm, ani chybi za sprawą czarnej magii Haarika. Nasze dary dla waszego władcy przepadły, aliści nasze poruczenie było rzeczą tak wielkiej wagi, że podjęliśmy podróż na przekór przeciwnościom losu.

Wiedział, że to ryzykowne przyznawać się do słabości. Prawdziwy mężczyzna splunąłby na sztorm i bezpiecznie dopłynąłby do celu, tak przynajmniej utrzymywali skaldowie. Wszelako Wali słyszał o całkiem wielu bohaterach, co poszli na dno. Inna sprawa, że tylko garstka zginęła w wodach przybrzeżnych.

Skardi wykazał się zrozumieniem.

– A jakież to cel przyświeca waszemu poruczeniu?

– Ależ pokój, oczywiście, pokój. W tej chwili Widłobrody i mój ojciec czekają z ośmioma dziesiątkami drakkarów, gotowi posłać nawałnicę mieczy do Haarika. Gdy już zapłoną ognie walki, zapewne niełatwo będzie je ugasić ni ograniczyć je do jednej ziemi. Trzeba mi

obietnicy twego króla, że nie będzie ingerować, gdy poweźmiemy słuszną zemstę i podniesiemy łoskot włóczy³⁰ na dworze Haarika.

Wali stracił w oczach Danów, przyznając się do zatonięcia łodzi; teraz próbował odzyskać choć część szacunku, prawiąc o wojnie.

Skardi lekko się skłonił, nie zdradzając żadnych uczuć.

– Nasz drakkar – rzekł jeno – już czeka.

³⁰Kenning oznaczający bitwę.

29. BĘBEN

Utop się, utop się, po prostu się utop. Przestań walczyć, poddaj się. Pomimo wysiłków Adisla jakoś nie mogła się zmusić, by utonąć. Za dobrze pływała, a jej ciało uparcie odmawiało posłuszeństwa, chcąc przetrwać, nawet w tym zimnym wzburzonym morzu.

Z okrętu dobiegły ją stłumione krzyki. Żagiel odciągnięto, a mężczyźni jęli wskazywać ją palcami i nawoływać przez kurtynę deszczu. Był wśród nich i człek w czwórgraniastym kapeluszu, z bębniem w ręku. Jął uderzać weń i śpiewać.

Adisla chciała odpłynąć od łodzi, atoli instynkt samozachowawczy okazał się zbyt silny, przeto jeno unosila się w miejscu, odpychając się nogami w górę, choć nakazywała ciało, by zeszło pod wodę. Suknie już nasiąkły i stały się ciężkie, niewygodne, krępując ruchy.

– Freyjo, przyjmij mnie – powtarzała raz po raz.

Straciła z oczu drakkar, a potem i wszystko inne. Wiedziała, że tonie. Mimo to próbowała odetchnąć. Zachłysnęła się. Potem jęła szaleńczo mlócić wodę, rozpaczliwie chcąc wypłynąć na powierzchnię, desperacko potrzebując powietrza. Jej ciało poruszało się wiedzione instynktem, a nie myślą. Próżne to były jednak wysiłki. Zdało jej się, że ściąga ją w dół jakaś olbrzymia ręka, której nie sposób się oprzeć, wciągająca ją w mrok, choć jej dłonie wyciągały się ku światłu. Pieкло ją w płucach, jakby miały za chwilę pęknąć, i nie mogła się powstrzymać przed zaczerpnięciem kolejnego oddechu.

Raptem nastał spokój; rozblęsyło światło, a ona zabłądziła w myślach. Pomyślała, że znów jest z Walim, opodal fiordu, w dzień gorącego lata, roześmiana. Światło osłabło i przygasło, a ona pomiarkowała, że wcale nie jest pod gołym niebem, jeno w jaskini, której podłoże tonie w wodzie. Coś tam było oprócz niej, czuła czyjaś obecność, która zdawała wylewać się z mroku, bezkształtna, kipiąca wokoło wrogością. Atoli gdy starała się coś dostrzec, zobaczyła jeno Waliego. Mówił jej: „Czekaj na mnie. Znajdę cię. Już cię szukam”.

Ale nie, to wcale nie był Wali. To ten wilkolud. Wyciągnęła rękę, by go dotknąć. Raptem – ból, światło, krzyki, a w tle dziwny zaśpiew i bębnienie, które, jak wiedziała, pochodziły od tego dziwaka, co siedział przy niej na okręcie. W ogóle nie rozumiała jego słów i nie podobało jej się ich brzmienie – dźwięczały niby śpiew psa, zachrypnięty i gardłowy. Atoli w jej wnętrzu coś drgnęło, poruszyły się jej ręce i nogi, zrzucając obie suknie. Wybiła się ku powierzchni i popłynęła ku łodzi. Woda była jakby niezmierzona i potężna, ale bębnienie z okrętu zdawało się dodawać Adisli sił; jej ruchy stały się spokojne i rozmyślne, nawet gdy zapłakała, bo przecież nie zdołała się utopić. Jej ręce odnalazły sznur, a potem wyciągnęły się ku niej jakieś dłonie, dźwigając ją na łódź. Opadła na dno jeno w samym giezle i długich pończochach.

Ponad nią pojawiła się twarz – mężczyzny w niebieskim płaszczu i czwórgraniastym kapeluszu. W rękach trzymał bęben poznaczony dziwnymi symbolami. Obramowująca kapelusz czerwień zdała jej się strasznie jaskrawa. Pochylił się nad nią, odchylił jej głowę i przystawił ucho do ust. Upewniwszy się, że oddycha, wziął płaszcz, który Adisla odrzuciła, gdy wyskoczyła za burłę, i ją nim okrył. Potem przytulił dziewczynę do siebie, by ją ogrzać, trzymając ją i szepcząc słowa w dziwnym języku. Danowie rzucali ku niej lubieżne spojrzenia, atoli mitygowały ich oczy tego człeka. Bładoniebieskie, barwy zimnego nieba, kontrastujące z czernią włosów. Nikt z załogi nie wątpił, że był on czarownikiem.

Ziębniętym ciałem Adisli wstrząsały kaszel i dreszcze. W chłodzie, który czuła, była niezwykła głębia. To coś, czego obecność wyczuła w pieczarze, zdało jej się rzeczywiste i nie miało dobrych zamiarów. Atoli zobaczyła jeno Waliego i Feilega, a ci, nie wątpiła, życzyli jej dobrze.

Czarownik przeczołgał się ku drugiemu końcu okrętu i przyniósł bukłak z wodą. Przyłożyła go do ust i się napiła.

Twarz mężczyzny z bębniem była ledwie widoczna w bladym świetle pod osłoną żagla. Posłał jej szeroki uśmiech. Wzdrygnęła się. Jego zęby zostały spiłowane na sztorc, przypominając teraz raczej zwierzęce kły. Nachylił się ku niej i rzeki urywanym wikińskim:

– Nie śpiesz się do tego miejsca, pani. Już niedługo i tak tam powrócisz.

30. POLITYKA

Podczas pobytu na dworze Hemminga, słońce jasno przyświecało Waliemu, atoli gdy król nie przyjął go od razu, książe zrozumiał, że zaczynają się nad nim zbierać ciemne chmury. Dopiero po tygodniu zawezwano go do głównej sali, po siedmiu dniach, podczas których goszczono go w długim domu. I tylko tam, by przypadkiem nie natknął się na monarchę. Wiedział, że spotkanie musiało się odbyć na warunkach Hemminga – o czasie i w miejscu przez niego wybranych. Przeto, gdy po niego posłano, Wali przyjął to z radością – choćby jako wybawienie od nudy i frustrującej bezczynności.

Poszedł sam. Po tygodniu spędzonym w zadymionym domu, dobrze było w końcu wyjść na świeże powietrze. Przy okazji rozejrzał się wokoło.

Gród Hemminga prezentował się okazale; mieścił pięć przestronnych długich domów. Z każdej niemal strony otaczały go szańce, każdy z pojedynczą bramą, z wyjątkiem tej przyległej do zygzakowatej morskiej odnogi, która była raczej rzeką. Z tej strony, od grobli, półkolem rozciągał się wał nadmorski podobny temu, który wciąż stawiano w Heithabyr, acz mniejszy, z łańcuchem przegradzającym ujście rzeki. Wali sam już nie wiedział, czy zachwycać się nad przemyślnością jego budowy, czy rozpaczać nad tym, jak bardzo utrudniał ucieczkę. Na wale rozmieszczono niewiele posterunków, atoli, pomyślał Wali, ilu niby potrzeba, by wszcząć alarm? Żaden statek nie mógł wpłynąć lub odpłynąć, póki nie opuszczono łańcucha. Zaś gdyby Wali z towarzyszami zbiegli drogą lądową, Hemming zwyczajnie zawiadomiłby pobliskie siola.

Jarl w jasnożółtej tunice poprowadził go do hali, ogromnego gmachu z bokami wypukłymi niby burty statku. W środku bez trudu zmieściłyby się dwie hale Widłobrodego.

Drzwi były otwarte na oścież i Wali wszedł do środka. Na przeciwległym końcu sali, przez opary dymu, niewyraźnie dostrzegał wysokiego szczupłego mężczyznę na dużym kamiennym siedzisku.

Gdy doprowadzono go bliżej, uważniej przyjrzał się królowi. Był on odziany bogato, w jasnoniebieskie jedwabie, jego oczy zdobiły finezyjne kontury z sadzy, a usta czernił mu sok z jagód.

U jego boku klęczała bura sylwetka chrześcijańskiego księdza, z głową ogoloną w tonsurę, bazgrzącego coś na tabliczce. W innych okolicznościach Wali z miłą chęcią podejrzaliby, co robi duchowny. Ale teraz jeno omiół go wzrokiem. Po drugiej ręce Hemminga stała urodna niewiasta w długiej jedwabnej sukni bładożółtego koloru. Podeszła do Walięgo z rogiem. Piękna to była rzecz, wypolerowana na błysk i inkrustowana srebrem.

– Jestem Inga, królowa Danów – przedstawiła się po wikińsku z egzotycznym akcentem. – Witaj na naszym dworze. Napij się, gościu. Przyjmij ten miód przyjaźni od Hemminga, króla Danów, najpotężniejszego władcy w całym Midgardzie.

– Dzięki ci składam, o czcigodna królowo. Przyjmuję ten napitek w uznaniu naszej przyjaźni, teraz i na zawsze – odparł Wali.

Wypił łyczek.

– Formalności skończone? – odezwał się Hemming, dotąd zaabsorbowany pergaminem. Wręczył go klęczącemu kapłanowi i podniósł wzrok na Walięgo. – Doskonale. Witamy cię z radością, o Wali z ludu Horda, której nie oddadzą wielkie słowa wyrażające nasze uznanie dla waści.

– Wdzięcznym, iż wasza wysokość była łaskawa zawezwać mnie tak szybko po mym przybyciu.

– Zrzuciłem wszelkie inne zajęcia, gdy doniesiono nam o twym przybyciu – rzekł Hemming z lekkim uśmiechem. Przez chwilę siedział w milczeniu, przypatrując się Waliemu.

A ten zastanawiał się, czy nie powinien czegoś powiedzieć, atoli nie miał pojęcia, co rzec. Przeto milczał.

– Czemu zawdzięczamy twą wizytę? Jeno mów prawdę.

– Przybyłem, by prosić cię o przyzwolenie na atak Rygirów na Haarika albo o rozkazanie mu, aby zadośćuczynił naszej krzywdzie. – Wali trochę brzydził się kłamstwem, atoli znał powiedzenie: „Kłamstwo wobec wroga nie hańbi”. A Hemming był potencjalnym wrogiem, przeto oszustwo było dozwolone, a nawet więcej – wymagał go honor. Przysięga jednak byłaby już kwestią innego rodzaju.

– Nie z tego powodu tu jesteś – stwierdził król. Nawet jeśli był

zły, doskonale panował nad sobą; w jego głosie nie pobrzmiwała choćby nutka groźby. Jenó nagła nerwowość księdza zdradziła, że coś jest nie tak. Mężczyzna rzucił okiem na króla i zbladł. Wali pamiętał, że kapłani byli przeciwni zabijaniu, a przynajmniej tak deklarowali, choć mógł się mylić; wszak jedli ludzkie ciało. Jeśli ktoś dopuszczał się kłamstwa w obliczu Widłobrodego, mógł się spodziewać, iż zostanie poświęcony Odynowi, nim zdąży wypowiedzieć kolejne. Czy Hemming był mu podobny, choć bardziej zrównoważony?

Zapadła kolejna niezręczna cisza. Tym razem Wali czuł się w obowiązku przerwać ją pierwszy.

– Jestem tu w beznadziejnej sprawie – przyznał.

Król uniósł brwi, dając Waliemu do zrozumienia, że oczekuje dalszego ciągu. Wali starał się myśleć szybko. Musiał opisać swoją misję tak, aby Hemming mu uwierzył.

– W młodości zachorowałem – zaczął. – Pewna guślarka z Rogalandu doglądała mnie. i wyleczyła. Poprzysiągłem jej, że będę jej służył wszelką pomocą, o jaką poprosi. Podczas najazdu Haarika porwano jej córkę, a ona zaklinała mnie, bym ją odnalazł i uwolnił. To przysięga, którą złożyłem przed Odynem, panie. Nie mogłem się jej sprzeniewierzyć. Widłobrody nie był skory mi dopomóc w poszukiwaniu zwykłej nisko urodzonej córki wolnej kobiety. Dlatego przybyłem tu w łodzi rybackiej, jedynym sposobem, jaki miałem na podoręczniu. I szukam tej dziewczyny.

– Tedy wracaj, skąd przybyłeś. Przysięga złożona przed cielcami i fałszywymi bożkami znaczy tyle, co nic – ozwał się ksiądz, z silnym obcym akcentem.

Hemming uciszył go gestem dłoni.

– Dla nas, ojczy, przysięga złożona przed byle kozłem czy kaczką coś znaczy. Prawdziwego mężczyznę poznać po tym, że dochowuje obietnic.

Ksiądz pozostał niewzruszony, a Hemming skrzywił usta w zamyśleniu.

– To niecała prawda, mam rację?

– Panie?

– Tak ci spieszno było do dziewczyny czy raczej byle dalej od Widłobrodego?

Wali się uśmiechnął.

– I jedno, i drugie, wasza wysokość.

– Panie mądrości, dopomóż! – rzekł Hemming, wznosząc wzrok ku krokwiom.

Kapłan uśmiechnął się niepewnie.

Hemming pokręcił głową i otaksował Waliego od stóp do głów.

– No i co ja mam z tobą zrobić?

Wali milczał.

– Poważnie pytam, poradź mi coś. Czemu nic nie mówisz? Sam nas wpakowałeś w ten ambaras, przeto teraz nas z niego wyciągnij. Pytam – co mam z tobą zrobić?

– Pomóż mi znaleźć dziewczynę.

Hemming roześmiał się i machnął ku Waliemu grzbietem dłoni, jakby odganiał natrętną muchę.

– To wojenna branka Haarika. A poza tym nie sądzę, by nadal nią rozporządzał.

– Odsprzedał ją?

Król nie odpowiedział na pytanie, jeno opadł na siedzisko i po raz wtóry zmierzył Waliego wzrokiem.

– Co ci wiadomo o czarownictwie, książe?

– Niewiele.

– Och, tyle skromności w tak młodym wieku. I po to cóż ta cała obłuda? Lord Odyn ma swoich informatorów, a ja mam swoich. Chcesz wiedzieć, co me kruki szepcą mi na ucho?

Książd znów zaczął się wiercić niecierpliwie.

– Z wdzięcznością wysłucham wszystkiego, co król zechce mi powiedzieć.

– Zwalczasz nieprzyjaciół, nie używając włóczni ni miecza. Potężne zastępy padają przed tobą, pokonane przez hałastrę chłopców i starców. Radzisz się bogów na moczarach. W niepojęty sposób uciekasz z niewoli, z której uciec nie sposób, i przestajesz z dzikussem i przemieńcem. Wieszczybiarze i czarownicy z czterech stron ziemi spoglądają w swe sadzawki albo obwieszają się na drzewach, a ich wizje niezmiennie pokazują syna wilka, który pochłania świat. Pewien chłopiec, uciekły od jakichś wiedzów na północy twego kraju, na łożu śmierci opowiada o potężnym uroku wciąż nakładanym, i znów – na syna wilka. Azaliż nie tak cię mienia? Czyż nie zwą cię aby synem wilka?

– Te opowieści to gruba przesada. Ojciec jest mną wielce rozczarowany, tego możesz być pewien.

– To również obilo mi się o uszy – przyznał Hemming. – Gdybym wierzył choć w połowę bajdurzeń wieszczbiarzy, z miejsca bym cię obwiesił, nie zważając na konsekwencje. – Zamilkł i zdawał się rozmyślać, a potem spojrział wprost na Waliego. – Zrozum mój dylemat. Twój ojciec zachorzał.

Wali próbował nie dawać po sobie poznać, że dopada go panika. Ale zdradziła go twarz.

– Tak, to też mi wiadomo. Miast niego rządzi twoja matka. I z tej racji jesteś bardzo ważny, przynajmniej w tej chwili. Jednak jeśli któryś z twych krewniaków lub wujów przejmie władzę, to z jednej strony staniesz się mniej ważny, ale z drugiej – jeszcze bardziej. Twoje znaczenie jako pewnego rodzaju karty przetargowej osłabnie, atoli, jak sądzę, nowy król zapłaci krocie, byś do niego wrócił, żywy czy martwy. Inna sprawa, że jeśli dałbym ci kilka okrętów i wysłał je z tobą na podbój twej ojczyzny, wtenczas niemało ziomeków dołączyłoby do ciebie. Przy odrobinie szczęścia, i po złożeniu odpowiednich przysiąg, rzecz jasna, miałbym kolejnego zamorskiego króla uiszczającego mi daninę. Wszelako ja zawsze patrzę na to, co mi się opłaca w krótszej perspektywie. A Widłobrody ma chęć ponownie cię ujrzeć. Tam wciąż może być z ciebie jakiś pożytek.

Wali już otwierał usta, by coś powiedzieć, lecz Hemming uniósł dłoń.

– I cóż mam zrobić? I bez ciebie mam dość problemów, z którymi muszę się borykać. – Pokręcił głową.

– Próbuję wymyślić powód, dla którego miałbym cię puścić wolno, ale jakoś żaden nie przychodzi mi do głowy.

– Jem za dwóch i jestem drogi w utrzymaniu – podpowiedział Wali. Starał się zachować pogodę ducha. Skoro nie miał czym przekonać króla do swych racji, to przynajmniej mógł spróbować pozyskać jego sympatię.

Hemming się uśmiechnął. Książd wstał i szepnął mu coś do ucha. Król słuchał, nie okazując emocji. Tymczasem królowa łaskawie zapytała Waliego, jak mu smakował miód.

Kapłan ponownie opadł na podłogę.

– Jesteś ważny – ozwał się Hemming. – Dostrzegam to nawet

bez pomocy wieszczbiarzy i czarowników. Tak na zdrowy rozum. Jesteś synem i dziedzicem tego niezrównanego zabójcy, twego ojca. Lud Horda będzie chciał cię widzieć na tronie, nawet jeśli masz w sobie choćby krzynię tej zahartowanej stali. A tu proszę, mój ksiądz radzi mi cię zabić. – Wskazał ręką na mężczyznę w zgrzebnej szacie, który miał tyle przyzwoitości, by poczerwienieć ze wstydu. – Jego religia uznaje praktykujących seid za zagrożenie. A tak się przypadkiem składa, że wieści ze wschodu przydają mi ochoty, by cię zgładzić. Haarik chce cię dostać, by złożyć cię w darze czarownikom z północy. To dlatego przybył po ciebie.

– Raczej po to, by grabić.

– Nic podobnego. Wiedział zapewne, że Widłobrody bardzo starannie ukrył swoje złoto, zwłaszcza na czas nieobecności. Czemu tedy miałby przypuszczać szturm, narażając się na wojnę z Rygirami, gdy bliżej, bo o niecały tydzień na morzu, ma Zachodników, co nie mogą przeciwstawić mu choćby jednego drakkara?

– Nie...

– Czemu wziął ze sobą tylko trzy okręty? On ma ich blisko sześćdziesiąt, trzeba ci wiedzieć. No, teraz pięćdziesiąt dziewięć, po tym, jak go jednego pozbawiliście. Co można zdziałać z trzema? Szybki wypad, nic więcej. Haarik, którego znam, w życiu nie pomyślałby, że Widłobrody jest na tyle głupi, by zostawić swój skarb tak blisko wybrzeża. To o ludzi mu chodziło; jeśli nie o ciebie, to o kogoś ci bliskiego. To dlatego porwał tę dziewczkę.

– A skąd mógł o niej wiedzieć?

– A skąd ja wiem o tobie? – retorycznie spytał Hemming, wruszając ramionami. – Haarik nie ma rozległej sieci donosicieli, ale na pewno ma inne metody.

– Żaden Rygiryjczyk nie pohańbiłby się donosicielstwem.

– Zdziwiłbyś się, ilu donosi. Z własnej woli albo nieświadomie, po pijaku wygadując się na targu, albo przed jakimś kupcem. Niektórzy, ci o wybujałej ambicji, posunęliby się nawet dalej.

– Powiedz mi, kto zdrajcą, a jeśli go ujrzę ponownie, ubiję jak psa.

Hemming pokręcił głową.

– No coś ty, chyba nie sądzisz, że to zrobię, prawda? Takie są fakty. Haarik chciał ciebie. Tak mi doniesiono. Ciebie. I to dlatego

znów stałeś się ważny. Znaczy, niby mógłbym pozwolić ci, byś przystał na jego gościnę. Za rekompensatą, oczywiście. Ale z drugiej strony, powszechnie wiadomo, że król Authun też ma swe kruki, a twa matka Yrsa ma ich nawet więcej. Jeśli oddam cię Haarikowi, rozzłoszcę twego ojca. I choć nie mam wątpliwości, że moi ludzie zmiażdżyliby lud Horda na wojnie, to twój ojciec niezawodnie postarałby się, byśmy drogo okupili to zwycięstwo. Może naprawdę jest chory. A może to podstęp? Tak czy owak, wcale niewykluczone, że jakimś cudem nagle by ozdrowiał i dał przykład swego wyjątkowego talentu do odnajdywania wrażego króla na polu bitwy. – Rzucił okiem na swego przybocznego. – Szkoda byłoby mierzyć się z tak wymagającym wojem, niezłomnym nawet, jak mawiają, i obalić jego mit.

– Rzeczą królów jest chwała, a nie długi żywot – Wali zacytował znane powiedzenie.

– Jak widać, twój ojciec łączy i chwałę, i długowieczność z wręcz niepokojącą pomyślnością. Trzeba być dzielnym mężem – choć, rzecz jasna, moim pragnieniem jest możliwość stanięcia w szranki z takim jak on – zaiste dzielnym mężem być trzeba, by nie wątpić w wynik tego starcia.

– A ja ci powiadam – Authun pozwoliłby mi umrzeć po tysiąckroć, nim dalby tobie czy Haarikowi choćby monetę okupu. Nie jestem aż tak ważny. On wszak może wyznaczyć innego dziedzica.

Hemming poklepał się po kolanie.

– Tu się z tobą nie zgodzę. Jesteś ważny. Ród Odyna zobowiązuje. Byłeś na dalekim północnym wschodzie?

Pytanie zbiło Waliego z pantafyku, zgodnie zresztą z zamierzeniem pytającego.

– Nie. Byłem na jednym wikingu na wschodzie, ale nie dalej.

– Dotarło do ziem Wielorybaków? Do Vargøy³¹, wilczej wyspy, albo gdzieś opodal Ultima Thule?

Dawna nazwa wysp na krańcu znanego świata, pomiarkował Wali. Wzruszył ramionami.

– Co ci wiadomo o wilczej wyspie? – dopytywał się król.

– Nic.

³¹Staronordyjska nazwa obecnego Vardø, norweskiej wyspy na najdalej wysuniętym na północny wschód krańcu kraju; Vargøy znaczy dosłownie „wilcza wyspa”.

– Syn Haarika został pojmany opodal niej jakiś rok temu z okładem. Zastanawiam się, czy to ma coś wspólnego z tym wszystkim.

– W jaki sposób?

Tym razem to Hemming wzruszył ramionami.

– Haarik kocha swego syna. Nie wiedzieć czemu, bo chłopak to przygłup. Sam już nie wiem, co o tym myśleć. Od niepamiętnych czasów chodzą słuchy o nieprzebranych skarbach trzymanyh tam przez Wielorybaków. Może wyruszył, by ich poszukać? Jeśli tak, to zaiste wyjątkowy z niego głupiec.

– A to czemu?

– Ponieważ ci z północy są biedni niby prorocy. Nie ma żadnego skarbu. Sam wysyłałem tam ludzi, by się rozeznali na miejscu, atoli to jeno lita skała i tyle. Po co syn Haarika się tam udał, nie wiem, ale wieść po nim przepadła, a ojciec chce go odzyskać. A tu proszę, miast szukać potomka, Haarik atakuje Rygirów. I gdzie tu sens?

Wali był podenerwowany. Osuszył już róg miodu; królowa pospieszyła z dolewką.

– Mógłbym mu cię oddać – ciągnął Hemming – ale, szczerze mówiąc, Haarik postąpił wbrew moim radom, wyprawiając się do Rogalandu, przeto z pewnością nie dostanie w nagrodę tego, czego chce. I co tu począć?

– Mam zamiar znaleźć dziewczynę, której szukam, a potem osiedlić się na wsi – przyznał Wali. – Nie dla mnie królewski żywot.

Hemming parsknął.

– Przekonasz się, że w tym życiu twe zamiary rzadko mają coś wspólnego z tym, co ostatecznie robisz, szczególnie jako król. Jeśli cię puszczę wolno, zostaniesz królem lub zginiesz. Temu, kto miast ciebie zostanie królem, nie w smak będzie syn Authuna ukrywający się jako ten wilk w oborze. Rok nie minie, a będziesz martwy, a wraz z tobą i cała twa rodzina. Zamiar. Dobre sobie! Ja nie miałem zamiaru cię tu widzieć. Gdybyś minął Heithabyr, nie ogłaszając wszem i wobec, kim jesteś, to nie byłbym zmuszony cię zatrzymać.

– Obawialiśmy się napaści ze strony miejscowych.

– Heithabyr to największy port świata – zauważył Hemming. – Tutaj obcy to rzecz powszednia. Mógłbyś się tu swobodnie poruszać i nikt by cię nie niepokoił. To nie jakieś tam sioło, gdzie trzeba dać w róg, jak tylko znajdzie się dostatecznie blisko niego, bo inaczej można

zatańczyć na drzewie.

Wali poczuł wstyd i złość. Czemu Widłobrody nie pozwolił mu zatrzymać choć jednego z tych świętych mężów – zawsze będących pod ręką, zapisujących rozkazy, by nie można było ich zapomnieć, zgubić czy się z nimi spierać, i uczących go przemawiać jak Hemming? Doprawdy, już choćby za te nauki warto było padać na kolana przed ich bogiem, niezależnie od tego, w co się wierzyło w głębi serca.

– Jeśli mnie puścisz, poprzysięgnę ci przyjaźń.

– Cóż, już wziąłem to pod rozwagę. Byłby ze mnie nie lada głupiec, gdybym pozwolił ci odejść bez tego, czyż nie? – stwierdził Hemming. I znów uśmiechnął się do Walięgo. – Rzeknę ci tak: gdybyście, mam na myśli ciebie i twych towarzyszy, tylko postarali się zginąć w wypadku, kamień spadłby mi z serca.

I tym razem oblicze Hemminga nie wyrażało groźby, choć Wali rozumiał, że w jego słowach kryje się bardziej złowieszcza nuta, niż sugeruje to nastawienie króla. Był on rzeczowy i roztropny. Widłobrody na jego miejscu nawrzeszczałby Waliemu w twarz, albo spróbowałby się mu podlizywać.

– Jeśli wasza wysokość pozwoli mi się oddalić, to dołożę starań, by uczynić zadość jej życzeniom – odparł Wali. – Zamierzam teraz udać się do Haarika i poprosić go o dziewczynę.

Hemming się zaśmiał.

– Gdy go będziesz prosić, postaraj się najpierw nabić go na włócznię, bo inaczej marnie widzę twe szanse na życzliwą odpowiedź. Swoją drogą, Haarik nie popłynął do siebie, przeto próżno go tam szukać.

– To gdzie się udał?

Po raz pierwszy Hemming zdawał się być bliski gniewu.

– Azali mam ci to powiedzieć, byś wytropił i zabił tego, który po sufit wypełnia mój skarbiec skrzyniami pełnymi srebra i złota? Jeśli zamierzasz wykorzystać mnie jako swego kruka, książę, mógłbyś przynajmniej rzucić mi jakiś ochlap.

– Niestety nie mam niczego w tym rodzaju.

Hemming odwrócił twarz.

– O tak – rzekł. – Nie masz, nie masz. Wracaj do swej kwatery. Zdecyduję, czy cię zabić, sprzedać, czy zatrzymać, nim skończy się dzień jutrzejszy.

Wyciągnął dłoń, a ksiądz podał mu kawałek pergaminu.
Królowa Inga wyjęła róg z rąk Waliego, a przyboczny wyprowadził go
na zewnątrz.

31. PLAN

Wracając z hali Hemminga, Wali natknął się na Bragiego i Feilega, wyzierających na zatoczkę. Ze świecą szukać dwóch tak diametralnie różnych ludzi, pomyślał. Przy zwalistej sylwetce Bragiego, Feileg zdawał się niemal drobinką, choć umięśnioną i sprężystą.

– Najwidoczniej ludziom Hemminga dokuczają pragnienie. Myślisz, że i nam coś skapnie? – zapytał Bragi, gdy Wali znalazł się u jego boku.

Z rozkazu Skardiego opuszczano właśnie łańcuch na wale, by umożliwić wypłynięcie małej pękatej łodzi z ładunkiem pięciu wielkich barył wina. Bragi wyjaśnił, że ta dostawa już od dłuższego czasu jest na językach całego grodu. Gdy Wali bawił u Hemminga, z miasta przybył chłopiec, niosąc posłanie: „Weles Libor śle królowi najlepsze życzenia i swe najwyborniejsze wino – w podziękę za wielkoduszną opiekę nad mieszkańcami Heithabyr”.

– To przeprosiny – stwierdził Wali.

– Bez dwóch zdań – przyznał Bragi.

Obaj znali prawdziwy powód szczodrości Welesa Libora. Hemmingowi niechybnie doniesiono, że kupiec nie poinformował go o swych konszachtach z zagranicznym księciem. I choć za tę przewinę raczej nie można było zawisnąć, nie sposób też było puścić jej płazem. Tak szybko, jak tylko Weles zdołał zaopatrzyć się w przednie wino, posłał je do króla, by umilić mu rozważania, co począć z tym fantem.

– Zdziwiłbym się, gdyby wykipił się jeno winem – ocenił Bragi.
– Authun w złym humorze kazałby go skrócić o głowę za coś takiego.

– Tedy głupio by zrobił – ozwał się Gyrth, mówiący po wikińsku sługa, który zajmował się nimi podczas pobytu wśród Danów.
– Weles to najbardziej wpływowy handlowiec na świecie. Danina, którą przekazuje królowi, wystarcza na całe mnóstwo kolczug i oręża. Patrzcie no! To przecie skald Styрман! Skąd oni go wytrzasnęli? Styрман! Hej, Styрман!

Mężczyzna, który właśnie wysiadał z łodzi, pomachał ku niemu.

Był wysoki i szczupły, z obliczem pijusa. Pod ręką niósł nieosłoniętą niczym lirę. Oto, pomyślał Wali, ktoś ceniący swą renomę bardziej niż dobro instrumentu, który nań zarabia. Każdy skald, którego spotkał dotychczas, był podobnie pretensjonalny. Można by rzec nawet, że manieryczność pozwalała im coś zdziałać w tej profesji.

– Weles wysłał po mnie na wschód swą najlepszą łódź – zakrzyknął skald – i zażądał, bym dotrzymał towarzystwa temu winu.

– Opowieść! Opowieść!

– Będzie później – odparł poeta – gdy miód pijany będzie, a my jeszcze bardziej upici!

Wino ściągnięto z łodzi, a paru ludzi jęło toczyć beczki ku hali króla. Tymczasem z całego grodu zesła się ciżba, żeby na własne oczy zobaczyć Styrmiana. Wali już nieraz widział skaldów, spotkał też kilku, co bardziej sławetnych, ale ten mężczyzna zdawał się przykuwać powszechną uwagę. Wnosząc po wykrzykiwanych prośbach, księżę nie mógł się temu dziwić.

– Opowiedz nam o Chromym Ofeigu i Ivarze Końskiej Kuśle!

Jakiś młodzik zawołał.

– Pokonamy cię w zniewagach. Żadnego konkursu inwektyw wygrać nie zdołasz, ty, coś się wychował na niewiastę! – śmiał się, acz dobrodusznie.

– Lękam się iść z tobą w zawody, miody kamracie. Wszak i twe jajca kiedyś opaść muszą, a jeśli takóŜ się stanie podczas pojedynku na obelgi, hałas może mnie odwieść od tego, co rzec miałem. Brzdęęęęęę!

Najwyraźniej tłum uznał to przemawianie się za przezabawne, o wiele śmieszniejsze niż było podług Waliego. Mimo to skald zdawał się powszechnie lubiany, a jeśli rzeczywiście po mistrzowsku rzucał epitetami, warto będzie nadstawić ucha. Ludzie przybędą z odległości wielu staj, by potykać się na słowa z takim człkiem. Dobry skald, jak mówiono, mógł pobić setkę adwersarzy podczas jednej libacji, każdego odprawiając z inną facecją, zwykle rymowaną.

Wali zerknął na łańcuch i dalej, na rzekę. Gorące pragnienie, które odczuwał, nie naszło go w postaci słów, jeno pewnego rodzaju głodu, bólu w żołądku.

Konieczniew musiał się stąd wydostać. Aliści, nawet gdyby zbiegł z grodu, Hemming z łatwością by go odnalazł. Gdyby uciekał łądem, zatrzymałby go lub zabili załęknieni kmiecie. Ucieczka wodą była

łatwiejsza, a i tak niebezpieczna – w pojedynkę dałby sobie radę co najwyżej z faeringiem, a i to z niemałym trudem. Do morza nie było tak znowu blisko, a wiatr bywa wszak zmienny. Pierwszy lepszy drakkar dopadłby go, nim Wali zdążyłby wypłynąć na otwarte morze.

Wrócił do przydzielonego mu domu, zanurzając się w jego mroku. Dla odmiany nie było tu teraz nikogo, nawet kobiet. Wszyscy wyszli na zewnątrz, by przyjrzeć się skaldowi. Podłubał trochę w misce z gotowanym mięsem. Nagle go olśniło.

Czemu od razu na to nie wpadł? Przecież wieczorny występ skalda da mu doskonałą okazję do ucieczki. Ale nie, to nie wystarczy; musi zrobić też coś, by zapobiec pościgowi. Danowie poniechaliby go pod jednym warunkiem – gdyby myśleli, że Wali nie żyje. A przecież wilkolud był do niego podobny niby dwie krople wody. Wali stukał łyżką o dno misy i starał się wymyślić, jak wkroczyć na drogę, która stanęła przed nim otworem. Nie zdołał. Trudno, będzie musiał zabić Feilega, przebrać go we własne odzienie, a potem dać nogę. To nie gwarantowało skuteczności ucieczki – Hemming z pewnością zechce urządzić pokazowe polowanie na zabójców swego gościa – atoli poszukiwania nie będą choć w części tak energiczne, jak gdyby szukano samego Walięgo.

Pozostało obmyślić szczegóły. Musiał zdobyć duński płaszcz, by się nim owinąć. Strażnicy będą pijani lub roztargnieni, obserwując skalda, przeto sądził, że zdoła wyjść jak gdyby nigdy nic. Szatę mógłby ukraść wilkolud. Gdy powróci, by oddać opończę Waliemu, ten go zabije. Wypowiedział te słowa w duchu, by utwierdzić się w zamiśle. „Zabiję go”. Wiedział, że nie ma lepszego sposobu. A mimo to wciąż miał przed oczami tamtą wizję – pieczę, ciało wilkoluda wygięte w kształt dziwacznej runy swą własną postać i figurę Adisli, podobnie wykręcone. Poczul niepokój. Co się stanie, jeśli mu się nie uda? Wilkolud go zgładzi, a Adisla zostanie sama.

Bragi rzekł mu kiedyś, że król Authun znany jest z zimnej kalkulacji – dostrzega to, co zrobione być musi i robi to, nie bacząc na uczucia czy sentymenty. Czyż nie mówiono, że zabrał z sobą dziewięciu wojów na spotkanie górskich czarownic, wiedząc, że przyjdzie im umrzeć? Potrzebował ich, przeto po prostu ich wziął. Wilkolud też nie był Waliemu rodziną, a skazańcem, który miał na sumieniu życie wielu ludzi.

Księżciu nie zabrano broni – taki gest byłby zbyt wielkim despektem i świadectwem tego, że Danowie się go lękają. Miecz odpał jeno wtedy, gdy wchodził do hali Hemminga. Cofnął się myślą do plaży u Rygirów, do wilkoluda, rozpaczliwie próbującego dopłynąć do łodzi, i pomyślał, że powinien wtenczas pozwolić mu się utopić. Nie potrafił wyjaśnić, co skłoniło go do ryzykowania własnego życia, by go poratować. Może to było przeznaczenie, może niedawny ratunek Feilega miał posłużyć większemu celowi – umożliwieniu mu teraz ucieczki?, pomyślał.

Gdy zamysł dojrzywał w jego umyśle, Wali jął mimowolnie szukać usprawiedliwienia planowanego czynu. Feileg był niebezpieczny. Naraził ich wszystkich swoimi poczynaniami w mieście. Ściągał na nich uwagę, gdziekolwiek się udawali. Na domiar złego, zdradzał pożyteczność względem Adisli, co działało

Waliemu na nerwy. Azali mógł ufać Feilegowi, jeśli już ją odnajdą? Nie. Widział spojrzenia posyłane mu przez wilkoluda i czuł przez skórę, co Feileg o nim myśli. Wali pragnął jego śmierci, atoli, póki co, potrzebował go, by odszukać Adisłę. Wiedział, że gdy już tego dokonają, wilkolud rzuci się do ataku.

„Jestem wilkiem”. Feileg często powtarzał to zdanie. Należało przeto jako wilka go traktować.

Mimo to Wali nie znajdował w takim myśleniu przyjemności. To jest, powtarzał sobie, moja największa szansa. Uwzględnić Bragię w planach? Tak, oczywiście. Jakkolwiek logika przemawiała za ucieczką w pojedynkę, nie mógłby zabić swego pobratymca albo zostawić go na pewną śmierć. Wypłynął, by szukać Adisli, atoli to samo zrobiłby, gdyby chodziło o Bragię. Może i uważał starego woja za nudziarza, alіści był on pokrewną mu męczyduszą, a ten bezsporny fakt ucinał wszelkie deliberacje.

Zapadając w sen, pozwolił znajomym aromatom długiego domu przywieść się do wspomnień z dzieciństwa przy palenisku Disy. Przypomniawszy sobie Adisłę i bijące od niej ciepło, gdy podczas długich zimowych wieczorów siedzieli, słuchając dawnych klechd o karłach wykonujących skarb dla bogów czy o nieustającej bitwie toczonyj w zaświatach przez poległych na wojnie. Były też inne, lepsze opowieści – o życiu na gospodarstwie, o tym, jak to Disa niegdyś podstępnie namówiła męża, by podtarł tyłek pokrzywą, mszcząc się za manto,

które jej sprawił, o zabawnych słowach, jakie wypowiadali w dzieciństwie, o tym, jak Rygirowie cierpieli, walczyli i uciekali przed żeniączką, i o tym, jak to handel przyniósł pokój – a tak przynajmniej im się zdawało – ich ziemiom. By odnaleźć Adislę, by znów mieć ją przy sobie i wraz z nią przysłuchiwać się nocnym opowieściom, zabiłby tysiąc wilkoludów, obdarł je ze skóry i wywiesił ich truchła na pastwę kruków.

Teraz pozostawało mu jeno czekanie w ciemnościach.

32. WINNA DROGA

Pojedynek na facecje toczył się w najlepsze, a skald radził sobie wyśmienicie. Słusznych rozmiarów jarl krzykiem oznajmił właśnie, że Styrman jest chucherkiem i miernotą, do tego zbyt gnuśnym, by samodzielnie zadbać o swój wikt – a przynajmniej tyle Wali wywnioskował z jego perory. Niektóre słowa brzmiały inaczej niż po wikińsku, nadto pośród wrzawy w hali księżę słyszał jeno co drugie.

Wyłowił jednak z harmidru odpowiedź skalda.

– Jadło w tych stronach marnym jest, choć pola rodzą obficie, a bydła ci u was dostatek. Lord Fastarr pałaszuje pszenicę szybciej, niż ją się zbiera i pożera krowy szybciej, niż się je ubija. Nie zapomnij założyć płaszcza, gdy mijać będziesz chlew, mocium panie, bo inaczej ludzie gotowi cię wziąć za ciężarną lochę.

Cizba ryknęła śmiechem, do wtóru uderzając kubkami i nożami o stół. Waliemu jednak nie było do śmiechu. Kątem oka zerknął na Bragiego. Wcześniej upomniął starego, by czasem się nie ożłopał, atoli ten najwyraźniej zinterpretował to na swój własny sposób – „nie spij się za bardzo”. Zarechotał tak, że aż zapluł sobie brodę, i zakrzyknął:

– Ależ ci przygadał, Fastarrze! Dobrze ci tak, sameś się o to prosił!

Wali jeno pokręcił głową z niedowierzaniem i powrócił do rozmyślań o czekającym go zadaniu.

Wiedział, że wilkolud był na zewnątrz, jak zawsze wieczorami; siadywał opodal wałów i gapił się w pustkę. Feileg nie mógł znieść wrzawy w hali, a w towarzystwie nachodziły nań długie chwile milczenia i pozostawał w zawieszeniu między wrogością a strachem. To był lęk, ani chybi, przed nieznanym. Wali omiółł wzrokiem duńskich wielmożów, przestronną salę, bogate szaty paradne jarłów, spostrzegając ich osobliwe zachowania; słyszał ich dziwaczny sposób wysławiania się. Czuł się radośniej w otoczeniu zwykłych ludzi. Azali nie był w tym podobny do Feilega? Tak, był. Ale on dożyje jutrzejszego świtu, a tamten nie.

Pomyślał o okrętach na wodzie, symbolu upragnionej wolności. Wystarczyłaby mu zwykła łódź wiosłowa czy niewielka dostawcza knara Welesa.

Był gotów. Dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Wizyta skalda była tak doniosłym wydarzeniem, że w długich domach nie ostała się żywa dusza. Jeno opodał łańcucha jeden strażnik czuwał nad granicznym wałem zatoki, zaś kolejny przy bramie. Zanosilo się na to, że pójdzie mu łatwiej, niż sobie imaginował.

Chyłkiem opuścił halę. Było późno, a Danowie zdążyli już osuszyć cztery baryły od Welesa, a przynajmniej zostały one opróżnione. Wali dobrze wiedział, że przy takich sposobnościach ludzie wlewają w siebie, co popadnie, ale całkiem sporo wina przyniosą w butelkach i kociołkach do długich domów, by uraczyć się nim kiedy indziej. Antały ustawiono pionowo, pokrywy podważono, a ludzie zanurzali naczynia, w razie potrzeby przywiązane do sznurów, by wydobyć z nich ostatnie krople. Walka o pierwszeństwo w szturmie na wino była widowiskiem cokolwiek żenującym.

Gwizdem przywołał wilkoluda, a ten odwrócił się i do niego przystąpił. Wali czuł jego nienawiść, silną jak zawsze. I dobrze, pomyślał, dzięki temu nie będę odczuwał żadnych wyrzutów, gdy przyjdzie mi go zabić.

– Dziś uciekamy i potrzebujemy płaszczy – powiedział mu. – Zabierz trzy z długiego domu. – Już wcześniej zauważył, że z okazji wizyty skalda wszyscy przyoblekli się w swe najprzedniejsze szaty. Ich pozostałe w domach powszednie odzienie aż się prosiło o zmianę właściciela.

– Przy takiej pogodzie nie trzeba mi płaszcza.

– Ależ potrzeba, na przebranie. Idź i przynieś.

Wilkolud oddalił się bezszelestnie, z płynnością ruchu zaprzeczającej jego solidnej budowie, zwinnie sunąc od cienia do cienia. Wali wykorzystał jego nieobecność, by psychicznie przygotować się do kolejnego etapu planu. Jego miecz spoczywał oparty o ścianę hali króla, wraz z orężem Bragiego. Atoli za długo byłoby go dobywać. Wali miał krótki nóż i to nim zamierował rozprawić się z Feilegiem, gdy ten zakładać będzie płaszcz. Potem zaciągnie go do zagrody dla zwierząt i zamieni się z trupem na odzienie, a następnie wyjdzie z grodu i czym prędzej ukradnie jakąś

łódź. Zzerały go nerwy, powodując zniecierpliwienie, przeto powrócił do hali.

Inwektywy rzucające przez skalda budziły powszechne rozbawienie, a ludzie ustawiali się w kolejce, by spróbować wziąć nad nim górę, choć dotychczas nikomu się to nie udało. Stali na ławkach, klaszcząc i krzycząc, wznosząc toasty na jego cześć albo go przeklinając. Wszyscy byli pijani w sztok.

Bragi, który – aż trudno uwierzyć – miał na sobie swą kolczugę, wyciągał właśnie swój róg ku niewolnicy, która próbowała napełnić go z dzbana. Przyznać trzeba, że dość skutecznie utrudniał jej to zadanie, ciągnąc ją za suknię, by obnażyć jej piersi.

– Wychodzimy – rozkazał Wali. – Ale już.

I choć stary woj był już lekko podochocony, wyłowił poważny ton w głosie Waliiego i wyszedł za nim w chłodną noc. Ten poprowadził go w cień.

– Gdy Feileg powróci – oznajmił – zabiję go. Trzeba mi to zrobić szybko i po cichu. Najlepiej w cieniu tamtej obory. – Wskazał ręką. – Tam jest dość mrocznie, a żaden dźwięk nie dotrze stamtąd do hali. To konieczne. Wyjaśnię ci, czemu, gdy już będzie po wszystkim.

Bragi wzruszył ramionami.

– I tak żył dość długo jak na skazańca. Celuj dokładnie. Inaczej pożegnasz się z życiem. Cokolwiek się stanie, będę gotów.

– Dobrze.

Usłyszeli dobiegający z hali ryk skalda.

Pięć beczek alpagi kupiec Weles dał, a?

Jeno pięć, by brzuchy nasze zalała.

Rzeknijmy tedy skapiradłu: „Takiego wała!”

Dziesięciu nam trzeba, a tu chała!

Rozległa się burza oklasków i wiwatów.

Feileg powrócił z trzema lekkimi płaszczami, skrojonymi na duńską modłę.

– Chodźmy, o tam, z dala od hali, to zdradzę wam mój plan.

Poszli w stronę obory. Nóż boleśnie ciążył Waliemu – tak u pasa, jak i na sumieniu. Pozwoli, by Feileg sam sobie radził z zapinką u płaszcza. Wilkolud nie nawykł do takiej czynności; gdy będzie miał zajęte ręce, Wali ugodzi go w serce. Choć go świerbiło, ostatkiem woli trzymał palce z dala od noża, bacząc, by przedwcześnie nie zdradzić

swych zamiarów. Znów przyszła mu na myśl runa, ta wijąca się, skręcająca, zmienna runa, atoli przepędził wizję. Doszli pod osłonę budynku i Wali wkroczył w cień. Nie mógł się doczekać, aż Feileg zrobi to samo, chciał mieć zabójstwo z głowy. Lecz Feileg stanął jak wryty i nisko, obnażając zęby.

– O co chodzi? – zapytał Wali.

– Tam czai się niebezpieczeństwo – odparł wilkolud. Schował zęby i jał węszyć w stronę cienia.

– Nic tu nie ma. No, chodź. – Wali poczuł, jak serce mu łomocze; napięcie przyprawiało go o zawrót głowy.

– Nie pójde tam.

Wali przełknął ślinę. No już, pomyślał. No już!

– Nie panikuj, tchórze – prowokował Bragi.

– Ciiiiii! – odezwał się głos w ciemności.

Wali dobył noża.

Z cienia wynurzyła się blada twarz. To było dziecko – mały rab, któremu Feileg podarował wolność na targu w Heithabyr.

– Chodźcie za mną – poprosił.

– Nie mieszaj się, dzieciaku, gdy dorośli rozmawiają – upomniał go Wali. Czyżby mały odgadł zamiary księcia i próbował ocalić człeka, który go uwolnił?

– Sio! – syknął Bragi. Gdy opuszczał halę, odruchowo sięgnął po swój miecz, a teraz zamierzył się nim, wciąż schowanym w pochwie, na dzieciaka.

– Weles da wam wolność.

– Niby jak?

– Wyruszycie winną drogą. Chodźcie za mną.

Wali rozważał pomysł przez chwilę i zdecydował się porzucić swój plan. Skoro Weles przysłał tu tego chłopca, może jednak istniało lepsze wyjście z sytuacji. Dziecko poprowadziło ich ku bocznej ścianie królewskiej hali. Stały tam opróżnione już beczki.

– Do środka – polecił malec.

Feileg pokręcił głową.

– Ani myślę.

Ręka Bragiego powędrowała do miecza.

– Chcesz, to cię ubijemy na miejscu – zagroził.

Oczy wilkoluda były wyprane z emocji.

– Jak sobie chcesz – rzekł Wali. – Zostań tutaj, a gniew Hemminga cię nie minie.

– Idę z wami – odparł Feileg – ale nie w tym.

– To jedyna droga – upierał się Wali.

Od strony hali doleciała ich salwa gromkiego śmiechu. Ktoś otworzył drzwi.

– Nie dam się znów uwięzić – stwierdził Feileg.

– Uwolniłeś mnie – wtrącił się chłopiec. – Jestem twoim dłużnikiem. Ta beczka nie oznacza niewoli, jeno wolność. Proszę cię, wejdź do środka.

Wilkolud spojrział na chłopca. Skinął głową i płynnym ruchem, który niemalże wymykał się zmysłom, wskoczył do beczki. Wali wszedł do drugiej, atoli Bragi – nienależący do ułomków, a na dodatek obciążony kolczugą – nie zdołał się podźwignąć. Od strony łodzi Welesa nadeszło czterech mężczyzn w sfatygowanym odzieniu. Przewrócili beczkę na bok, a Bragi wczołgał się do środka. Wali skulił się na tyle, na ile zdołał. Miał ledwie dość miejsca na ugięcie kolan tak, by głowa nie wystawała mu ponad krawędź.

– Zostańcie w środku – odezwał się jakiś głos, a beczki przewrócono na bok i potoczono ku morzu. Brakło w nich pokryw, przeto Wali lękał się, że ktoś ich spostrzeże, jednak noc była ciemna, a wszyscy pijani. Od obrotów antalka zrobiło mu się niedobrze, atoli nic nie mógł na to poradzić, skupił się więc na tym, by nie wypaść.

Przy skraju wody poczuł, jak jego beczkę podźwignięto i załadowano na łódź. Potem nakryto ją jakąś tkaniną i zapadły ciemności. Przez chwilę Wali pozostawał bez ruchu, nasłuchując. Nie usłyszał jednak nic niepokojącego, jeno szuranie i trzask ustawianych obok niego pozostałych beczek. Ciekawiło go, jak wydostaną się przez łańcuch. Hemming w życiu nie pozwoli opuścić go w nocy.

Waliego doszedł odgłos zbliżających się krzyków i tupot wielu stóp na brzegu. Wrzawa przerodziła się w nawoływanie. „Wina, wina, wina, wina dajcie!” – skandował podochocony tłum.

– Wracajcie do swego skąpego pana i przynieście nam dar godny króla! – dobiegł z brzegu głos skalda.

– Łańcucha nie otwiera się dla nikogo! – odkrzyknął jeden z mężczyzn na łodzi. – Czekajcie do jutra. A póki co, piwa wam wystarczy.

– Wina! Wina! Wina! Dajcie nam wina!
– Na nic wasze wykręty, łachudry – gorączkował się skald. –
Obniżą łańcuch, jak tylko powiecie, że wypływacie z ważnym
poruczeniem od samego króla!

– Wina! Wina! Wina!
– Ej, Feggi, opuście łańcuch! – zakrzyknął ktoś.
– Łańcuch! Łańcuch! Łańcuch!
– Chętnie, jeśli król mi rozkaże! – Głos strażnika łańcucha
dobiał z bardzo bliska.

– Hemmingu, Hemmingu, dajże nam wina! Hemmingu,
Hemmingu, dajże nam wina!

Wali poczuł drzenie własnego ciała. Ze strachu, pomiarkował,
przeklinając w duchu.

– Opuścić łańcuch. Niechaj nikt nie mówi, że nie daję posłuchu
woli ludu mego! – odezwał się głos Hemminga. Pobrzmiwała w nim
nietrzeźwa nuta. Wali niemal się roześmiał. Widział, że Hemming to
człek poważny, którego nie rozochociłaby nawet obfita wypitka. Jednak
widać czasem musiał uprzytomnić swym poddanym, że równy z niego
człek.

Wali usłyszał, jak podnoszą się wiosła, a łódź rusza naprzód.
Ciężki szcęk opadającego łańcucha, a potem łoskot fal, gdy wypływali
do głównego kanału, żegnani wiwatami cizby.

Mimo to Wali żałował, że nie zabił wilkoluda – gdyby
Hemming uznał księcia za martwego, po wielokroć zwiększyłyby się
szanse na powodzenie ucieczki. Cóż, było minęło. Teraz pozostawało
mu jeno liczyć na to, że Weles wpadł na lepszy koncept niż on sam.

Podróż była z rodzaju długich i znojných. Wali próbował skupić
się na rytmie wiosła, by nie myśleć o zeszywniałych i obolałych
nogach. Wtem łódź się zatrzymała, a chłopak szepnął Waliemu, by
siedział cicho. Na pokład wsiedli jacyś ludzie. Popłynięto dalej. Wali
zgadywał, że nastąpiła zmiana wiosłarzy.

Dośkwierał mu dotkliwy ból, atoli nie odważył się poruszyć, by
rozprostować nogi. Próbował zasnąć, ale okazało się to niemożliwe.
Koniec końców, gdy odrętwienie nieco uśmierzyło ból, Wali poczuł
zapach morza i zobaczył światło przez tkaninę owiniętą wokół wylotu
beczki. Łódź stanęła w miejscu. Muszę się wydostać, pomyślał, albo już
nigdy nie odzyskam władzy w nogach. Gdy się przekręcał, czyjaś ręka

wepchnęła go z powrotem.

– Już niedługo – szepnął głos. Jakby znajomy.

– Weles?

– Zawsze do usług, mój panie.

Pomimo udręki, Wali dzięki składał Lokiemu za to, że ma Welesa za sprzymierzeńca. Ten Obodryta był najbystrzejszym człkiem, jakiego spotkał w życiu.

Beczkę znów podniesiono, a Wali poczuł, że zbiera mu się na wymioty. Potem, wraz z baryłą, opadł na pokład. Ale już innej łodzi, jak mu się zdawało. Posłyszał dźwięk przywiązywanych beczek i pomiarkował, że musi się teraz znajdować na wypływającej w morze jednostce, przygotowującej się do trudów morskiej podróży. Ponownie usłyszał bliski głos Welesa:

– Jak tylko oddalimy się od wybrzeża, będziesz mógł wyjść. Przepraszam za tę ciasną kwaterę, ale bądź pewien, że bednarz wykonał wasze beczki specjalnie na tę okazję. I tak są ładowne w porównaniu ze zwyczajnymi antałami. Już niebawem będziesz mógł rozprostować kości.

– Dzięki ci, Welesie. Doceniam ryzyko, na które się wystawiasz.

– Wdzięczność jest w cenie, szczególnie gdy książęta dziękują złotem – odparł Weles.

– Co poczniesz, jeśli Hemming pomiarkuje, że to twoja sprawka?

– Jestem najcenniejszym z cennych królewskich sług, tedy wątpię, by podejrzewał akurat mnie. Zapewniam cię, że cała wina spadnie na ciebie. A teraz cicho. Wciąż jesteśmy przy brzegu, a opodal są ludzie.

Wali posłyszał trzask naprężanej liny i odgłos żagla stawianego na wiatr, lecz żadnych głosów. Czekał i czekał, zdawało mu się, że mijają wieki. W ogóle nie czuł już nóg, oprócz kolan, otartych do krwi o brzeg beczki. Z udręki wyrwał go nagły stukot.

– Wyjdz – polecił głos, a tkaninę ściągnięto.

Zrazu Wali wcale nie mógł się poruszyć, aliści w końcu z trudem zdołał podźwignąć się na nogi, pochylając się i masując kończyny, by przywrócić krążenie. Potem wygramolił się z beczki, oślepiiony przez słońce.

– Welesie – rzeki Wali – nawet jeśli już na zawsze będę chromać, będę ci dozgonnie wdzięczny. I...

Poczuł skurcz w żołądku i zwymiotował, tak mocno, że aż zaboląły go trzewia. Upadł na bok, rozpaczliwie szukając rękami oparcia. Uderzył głową o jedną z want przymocowanych do kadłuba okrętu. Oczy zaczęły się przyzwyczajać do światła. A do uszu doleciał znajomy głos.

– Kupiec cię sprzedał.

Wali zamrugał i potarł oczy, odkaszlnął i podniósł wzrok. Tożsamość woja, którego zobaczył, układała się teraz w umyśle Waliego z urywanych części – długa głęboka szrama, biegnąca od czoła po usta, tatuaże pokrywające każdą piędź jego ciała scenami bitew i zniszczenia, owinięta wokół tułowia skóra białego niedźwiedzia.

– Pamiętasz mnie, książę? – zapytał Bodwar Bjarki. – Mówiłeś, że nie zapomnisz.

33. WYJAŚNIENIE

Podróż na północ zdawała się Adisli snem. Południowe słońce, zniżając się nad horyzontem, przeobrażało morze w krwawą kipieli, a gdy na powrót podejmowało wędrówkę w górę, znaczyło bladoniebieski firmament odpryskami kryształu. Morskie mgły to pojawiały się, to znikaly, a przybrzeżne góry majaczyły w oddali, by zaraz się rozplynać, masywne, a jednak ulotne. Z każdym dniem drogi w górę wybrzeża temperatura spadała – nie do poziomu lodowatego chłodu, choć na szczytach gór widać było śnieg, a do stadium szarego wywołującego odrętwienie zimna.

Nie dane jej było zaznać prawdziwego mroku ani choćby chwili wytchnienia od chutliwych spojrzeń Danów. Jeno obecność tego dziwnego cudzoziemca z opilowanymi zębami i bębniem zdawała się ich mitygować. Adisla nie wiosłowała, nie stawiała żagla, przeto nie mając zajęcia, jeno kulila się na dziobie okrętu i marzła. Bębniarz starał się jej pomagać, atoli gdy próbował ją przytulić, wzdragala się przed jego dotykiem. Był brzydki, przerażający i śmierdział rybą, choć w tym, co robił, nie dostrzegala lubieżności. Zwyczajnie otoczył ją ramionami i przycisnął do siebie.

Odrzącała go.

– To nic zdrożnego – rzekł. – Ale jak chcesz, to marznij.

Przyniósł jej jadło – rybę ze wspólnego kociołka i gotowane mięso renifera, upolowanego i przyrządzonego, gdy zatrzymali się, by rozbić obóz. Ten człek doskonale posługiwał się osobliwie wygiętym niewielkim lukiem. Renifer, którego przyniósł na okręt, miał w sobie li tylko jedną strzałę, tkwiącą za uchem. Obeszło się bez stresującej pogoni za rannym zwierzem; mięso było delikatne i smaczne.

To cudzoziemiec sypiał obok niej w zaimprovizowanym namiocie na plażach, spędzając jej sen z powiek świdrującym spojrzeniem niebieskich oczu, ale też odstrasząc ewentualnych śmiałków za pomocą szerokiego noża, który nosił przy pasie.

Wnet południowe słońce, dotąd świecące po bokach okrętów,

znalazło się za ich rufami. Płynęli teraz pomiędzy wyspami, co zdawały się jeno górami wyłaniającymi się z wody, przez bezbrzeżne zatoki i obok szerokich srebrzystych plaż, nad którymi na tle połyskliwego nieba krążyły orły bieliki. Po wysokich zboczach wspinały się przepastne lasy sosnowe, a między szczytami przezierały bezkresne równiny.

Gdzieś w tych stronach powinien znajdować się koniec świata, pomyślała, a gdy tumany mgieł spowijały Łódź, zastanawiała się, czy to nie jest czasem droga do Niflheim, mglistego piekła, o którym pojęcie wysłała wraz z mlekiem matki. Krainy ludzi nie bez przyczyny zwano Midgardem. Poza nim były też inne obszary, sfery bogów i olbrzymów, niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Czyżby to tam udawał się ten langskip?

Przyszedł Haarik i usiadł obok dziewczyny. Przez całą podróż nie odezwał się do niej choćby słowem, aliści teraz wyraźnie mu się nudziło. Łódź płynęła pod żaglem, na lekkim wietrze, większość załogi spała, a on nie miał nic do roboty. Chwycił Adisłę za brodę i obrócił ku sobie. Potem zerknął na swych ludzi. Żaden nie zwracał na nich uwagi. Puścił ją.

– Tęsknić mi do żony – rzekł. W innych okolicznościach Adisła uznałaby jego kiepski akcent i zniekształcone słowa za zabawne. Niegdyś do Eikund zawitał pewien komediant, co udatnie naśladował Danów, którego Haarik z tym swoim śpiewnym wikińskim bardzo jej przypominał. Atoli teraz jego mowa zdała jej się tylko cokolwiek cudaczna.

– Lepiej przyprowadź swego przybocznego. Nie oddam ci się bez walki, a tyś stary i słabowity.

Król się zaśmiał.

– Tęskno mi do rozmów z nią – wytłumaczył. – Muszę się wygadać. Towarzystwo wojów to może i rzecz wspaniała, aliści mężczyźnie potrzeba też bardziej kurtuazyjnych pogawędek, czyż nie? Mnie na pewno. Wiesz, czemu się tu znalazłaś?

– Założyłam, że chcesz mnie sprzedać.

– W pewnym sensie już jesteś sprzedana – odparł – a może raczej wymieniona, choć wymiana nie opłaci mi się zanadto.

Adisła spojrzała na Haarika. Nie był bynajmniej mężczyzną grubiańskim i niemłym; wprost przeciwnie, było w nim coś z ojca –

nie jej ojca, ale takiego, którego zawsze chciała mieć. Nienawidziła go jednak. On – albo jego ludzie – zabili jej brata, uprowadzili ją z ojczyzny i przyczynili się do śmierci matki. Mimo to chciała poznać, jaki los jest jej pisany, przeto zdecydowała się być uprzejma. Więc milczała.

– Niebawem wymienię cię na mego syna – ciągnął – choć sam się zastanawiam, po co ja sobie zadaję tyle trudu. Może to ciebie powinienem wyznaczyć na mego dziedzica. Znasz się choć trochę na żegludze? Umiesz władać mieczem?

– Niestety, los poskąpił mi tych talentów.

– I tak nie byłabyś gorsza od niego. Wysłałem go na wyprawę łupieską ku Wyspom na Krańcu Świata. A on skończył tutaj. Do tego naprawdę trzeba być wyjątkowym głupcem. Mówię mu: płyn na zachód, a ten co? Hajda na północ, rozbija się lodzią i ciągną go przez pół świata, że już chyba dalej na wschód to się nie dało.

– Został pojmany?

– Tak. I to przez kogo?! Przez ludzi, którzy nawet nie wiedzą, co to katar. Przez Wielorybaków. Wielu z nich ma za broń jeno zaostrome poroże renifera, a i tak zdołali wziąć go do niewoli. Jego okręt rozbił się w drodze wzdłuż wybrzeża na północ. Popłynął za daleko, wpadł w zły prąd. Jeden z dwóch ocalałych, prócz mego syna, jak widać – największy berserk, jakiegom widział – pojawił się na mym dworze z mieczem chłopaka i tym ich wielorybim szamanem. Pytam się tedy tego olbrzyma, co się mieni Bodwarem Bjarkim, jak to się niby stać mogło, iż wyznawca Odyna Białego Niedźwiedzia dał się pojmać grupce zmarzniętych na sople wieśniaków, a ten coś mi mamrocze o czarownictwie. Mówi, że doszły ich słuchy o złocie czarowników i popłynęli ich szukać. Bajka dla maluczkich, aż trudno uwierzyć, że ktoś dal się nabrać. Wspominałem już, że mój syn to wyjątkowy głupiec?

– Aż tak z nim źle?

– A czemu inaczej by się tam znalazł? Złoto czarowników! Gdybym dostał kawałek srebra za każdą plotkę o złocie czarowników, którą słyszałem, to już wcale bym go nie potrzebował. Ci ludzie nie mają grzebieni, a co dopiero mówić o złocie. Nawet jeśli ten skarb istnieje, to czy naprawdę mój syn nie zrozumiał przestrogi ukrytej w jego nazwie? Złoto czarowników. To nie złoto dzieciątek czy kmieci, ale cza-row-ni-ków. Nie zdziwiłbym się, gdyby to oni pokarali go za

bezczelność, rozwiązując węzeł wiatrów, i zdmuchnęli go na skały. Tak czy owak, berserk twierdzi, że te wielorybojady przepędziły mego syna stąd do krańca świata i że chcą coś w zamian.

– Co?

– Ciebie. Gdyby nie było mi wstyd, pozwoliłbym mu odmrażać jajca jeszcze przez kolejne dziesięć zim.

– A skąd oni mnie znają?

Haarik skinął głową w kierunku pólężącego Wielorybaka, który obserwował ich przez półprzymknięte powieki.

– Jego zapytaj. Mnie nie chce powiedzieć, ale może tobie się poszczęści. Układ jest prosty: zabieram go do Rogalandu, on cię wskazuje, ja cię przywożę tutaj i odzyskuję mego zidiociałego synalka. Wszyscy są szczęśliwi. – Spojrzał jej w oczy. – No, prawie wszyscy.

Wielorybak zamknął powieki i zaczął chrapać.

Haarik obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

– Ci to dopiero dziwacy. Mają tyle tego wielorybiego tłuszczu, a za grosz oleju w głowie. Płacą daninę trzem królestwom, przez które zapędzają się za reniferami, tedy nic dziwnego, że są biedniejsi od byle łachmaniarza. I co, robią coś z tym? Wyprawiają się na wyprawy łupieskie albo walczą, by utrzymać to, co mają? A gdzie tam. Jedno ci rzeknę: gdyby jakiś Fin albo Swear zapukał do mych drzwi, żądając daniny, w nagrodę za jego starania odesłałbym go do domu z czymś więcej niż jeno z grzebieniem w rzyci.

– Ale z powodu wizyty jednego z nich na twym dworze zaryzykowałeś życie ludzi na wojnie z Rygirami, zostawiłeś dom w rękach wasali i popłynąłeś na koniec świata tylko dlatego, że tego od ciebie zażądał.

– Cóż robić, syn to syn – odparł Haarik. – Krew z krwi, jakby nie patrzeć.

Adisla spojrzała w stronę łądu. Krajobraz zrobił się bardziej płaski – rdzawe wybrzeże kamieni ponad szarym morzem, a wyżej – pas zieleni.

– Swoją drogą – ciągnął Haarik – gdy już odzyskamy chłopaka, solidnie zwilżym nasze miecze, pochlejem przez parę dni, jeśli mają coś nadającego się do picia, a potem powrócimy. Wyglądasz mi na miłą dziewczkę. Wezmę cię za nałożnicę. W miarę możliwości postaram się trzymać załogę z dala od ciebie.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony.

– I wygodne. Danie im ciebie byłoby tyleż pożyteczne, co kłopotliwe. Rzuciliby się na siebie niby psy w walce o kość.

Haarik wcale nie był nieuprzejmy. Świącie wierzył, że naprawdę odda jej przysługę, proponując obwołanie jej swoją własnością. Adisla przełknęła ślinę i popatrzyła na morze. Wcześniej nie stało jej odwagi, by odebrać sobie życie, musiała przeto zdać się na łaskę losu.

Pomyślała o spustoszeniach w Eikund i nie mogła powstrzymać się od drwiny.

– Wypada mieć nadzieję, że Wielorybacy nie są tak waleczni jak Rygirowie – rzekła. – Masz teraz jeno sześć dziesiątek ludzi, a i ośmiu było mało do poskromienia naszego siola.

Haarik zapłonął rumieńcem.

– Maczały w tym palce siły nieczyste. Czarownictwo – odparł. – Tak jak nam mówiono, zresztą. To dlatego zabraliśmy ciebie miast księcia.

– Takie same czarownictwo jak to, o którym bredził ten berserk?

Haarik się uśmiechnął.

– Niemalże. – Adisla pomiarkowała, że Danowi spodobała się jej rezolucja, że uznał ją za oznakę dobrego humoru. I nie mogła się nadziwić, iż nie dostrzeżę nienawiści w jej sercu.

Zbliżali się do wyspy, podłużnego ciemnego wzgórza wyrastającego z gładkiej tafli morza. Słońce jak gdyby wyciągało ku niemu liżący wodę język ognia, wskazując im drogę.

– Coś chroni księcia Waliego – ciągnął Haarik. Wskazał głową na szamana. – On chciał księcia, ale zdawał się wiedzieć, że go nie dostanie. Ty byłaś druga w kolejce.

Po wodzie poniosł się dźwięk, rytm niedający się pomylić ze skrzypieniem statku lub, jeśliby ktoś wiosłował, z uderzeniami wiosła. Cichy, acz natarczywy. Adisla poznała go – brzmiał tak samo jak wtedy, gdy wielorybi czarownik wybijał go, by wyciągnąć ją z morza. Pulsował teraz ku nim przez gładź wody niby bicie serca jakiegoś gigantycznego zwierza.

– Jak to możliwe, że jestem dla niego taka ważna? Toż ze mnie jeno wieśniaczka?

Wielorybak otworzył oczy, podniósł wzrok, wbijając w nią

spojrzenie bladych oczu. Uśmiechnął się, odsłaniając lśniący rząd małych białych zębów, i wskazał na nią haczykowato zagiętym palcem.

– Wilcze sidła – rzekł zagadkowo.

34. JAK PRZEZ MGŁĘ

Nawet leżąc na pokładzie, Wali nie przestawał analizować sytuacji. Jakież mieli atuty? Jednego samowolnego wilkoluda, który umknął uwadze porywaczy, i dwie pary niezbyt śmiercionośnych, acz nieskrępowanych rąk. Ich szanse w starciu z Bodwarem Bjarkim i jego załogą nie były godne pozazdroszczenia, aliści jeśli teraz dadzą się związać lub unieruchomić w inny sposób, to już po nich.

Bragi stał, złorzecząc, obok swej beczki, poruszając się niby człek, który właśnie przebudził się z długiego snu. Wilkoluda nigdzie nie było widać. Weles miał uśmiech przyklejony do ust, co wyglądało, jakby wycięto go na twarzy kupca za pomocą noża. Wzruszył ramionami w niemej prośbie o wyrozumiałość. Wali był zły, poczuł się zdradzony. I to przez kogo? Przez człeka, który dotąd był mu wzorem, niedoścignionym ideałem ojca? Ni Authun, ni Haarik, ni nawet Widłobrody w życiu nie zniżyliby się do takiego przenievierstwa.

– Związać mi ich! – rozkazał Bodwar. Ku zbiegom przystąpił mężczyzna z powrozem.

Czas jakby zwolnił. Jeden z ludzi berserka zajrzał do beczki wilkoluda. Jednocześnie Wali usłyszał, że Bragi najwyraźniej doszedł do tego samego wniosku, co wcześniej jego książę, czemu dał wyraz w typowy dla siebie sposób. Czyli prosto z mostu.

– Po moim trupie! – Sztynno dał krok naprzód i oderżnął głowę tego ze sznurem. Bragi ma miecz, pomyślał Wali w euforii. Nie do wiary, on naprawdę zabrał ze sobą broń do beczki!

Z lewej dobiegł go dziwny dźwięk, coś pomiędzy odgłosem wymiotów a krzykiem, a potem gardłowy chrzęst. Ten, co szukał Feilega, właśnie go znalazł. Na swoją zgubę.

Bodwar Bjarki nie miał broni na podorędziu, atoli nim głowa jego podkomendnego spadła na pokład, postąpił naprzód i zadał cios pięścią. A Bragi nakrył się nogami i osunął się na pokład, jakby przetrącono mu kości. Potem olbrzym zwrócił się ku Waliemu. Książę starał się zrobić unik, ale Bodwar miał nie tylko gabaryty i siłę

niedźwiedzia³², ale także jego szybkość. Chwycił go za rękę i nogę, podniósł w górę i rzucił o pokład niby szmacianą lalkę.

Wali upadł pechowo, uderzając się w ramię, lecz szybko się podniósł. Bjarki natarł ponownie.

Książę w mig zorientował się w sytuacji. Ci ludzie działali z poruczenia jego wroga – Widłobrodego czy Haarika, bez różnicy. Stanowił przeto cenny ładunek.

Bjarki rzucił się nań, lecz Wali się wywinął i podbiegi ku rufie okrętu. Postawił nogę na górze burty i odwrócił się w stronę berserka.

– Powściągnij swych ludzi albo...

Nie dane mu było dokończyć. Bjarki skoczył. Wali nie miał wyboru – dał drapaka przez burtę. Berserk prawie go chwycił, chybiając jeno o włos. Wali jeszcze usłyszał, jak olbrzym zaklął siarczyście.

Zimna fala pozbawiła go tchu. Zakrztusił się słoną wodą. Strach ścisnął go za gardło. Zdarzenia z moczarów zdążyły zakorzenieć się w jego pamięci na dobre, przeto teraz straszliwie lękał się utonięcia. Zawzięcie próbował się uspokoić i zmusić członki do ruchu, by popłynąć – wszak to potrafił – zamiast ulegać panice. Nie było łatwo. Nogi i ręce miał sztywne od długiego pobytu w beczcze, atoli przyptyw strachu zmył z nich drętwość niemal do cna. Zaczął płynąć.

Wzburzone morze sprawiało, że okręt to znajdował się na wysokości dwóch ludzi nad Walim, to na odwrót. Ustawiono go burtą do zbiega. Gdy woda unosiła Waliego, ten skoncentrował się, by oczyścić umysł i dostrzegł, że jest to sneka, nie tak pokaźna i szybka jak drakkar, choć miała około dwudziestu par wiosł; mogła nawet pomieścić zapasową załogę. Nie zdołaliby we trzech pokonać aż tylu ludzi, atoli mieli przewagę, bo Wali był czymś, czego tamci potrzebowali. Zastanawiał się, czy dane mu będzie to wykorzystać, gdy usłyszał, że ktoś krzyczy z pokładu.

– Wracaj na łódź, ty capi pomocie! – rozpoznał głos Bjarkiego, który właśnie rzucał mu linę. Z pluskiem opadła na wodę obok Waliego, lecz ten jej nie pochwycił, choć – Loki świadkiem – bardzo chciał.

Zakrzyknął ile sił w płucach:

³²Mitologiczny Bodwar Bjarki („waleczny niedźwiadek”) to wielki duński bohater, wspominany w sagach, odznaczający się wielką siłą i odwagą.

– Nic z tego, póki nie dasz mi słowa, że nie spróbujesz nas związać lub zabić!

– Nie jesteś w mocy, by żądać czegokolwiek!

– Ależ jestem – odrzyknął Wali. – Jeśli się utopię, co będzie z twoim okupem?

– A toń sobie! – Bjarki już miał się odwrócić, gdy tuż przy nim pojawił się Weles. Na parę chwil Wali stracił ich z oczu. Potem berserk zawołał ponownie: – Daję ci słowo, tak jak żądasz!

– I zabijesz każdego, kto będzie próbował związać mnie lub moich druhów, póki będziemy na twym okręcie?

– Brawo, nauczyłeś się targować, książę! – zawołał Weles.

– Daj słowo, że nie podniesiecie ręki na mnie i mych kompanów.

– Niech będzie! – zakrzyknął Bjarki.

Chłód powodował już bolesne skurcze w członkach Waliego, przeto książę musiał się skupić, by zmusić zmarznięte ręce do pochwycenia liny. Pociągnięto go i podźwignięto na pokład. Bragi siedział tam, gdzie upadł, mrugając oczami i masując szczękę. A Feileg trzymał w szachu trzech włóczników – on warczał, oni zaś bali się podejść, trzymając go na dystans.

Bjarki postąpił naprzód i rzekł cichym, niemal konfidencyjnym tonem:

– Masz, czego chciałeś, książę. I tak byście nie zginęli. Żaden z was. Stary jest częścią umowy, a wilkoluda zamierzam zostawić sobie na później, aż dotrzemy do miejsca, gdzie będę mógł go zabić przy świadkach.

– A gdzie zmierzamy? – zapytał Wali.

– Z powrotem do Widłobrodego – wyjaśnił berserk. – Tyś ceną za mą wolność. Ty i okrągła sumka okupu.

– To haniebne, przyobiecować coś takiego – zachnął się Bragi.

– Pisane mi zginąć w walce – rzekł Bjarki – a nie na końcu sznura.

– Królowi przysługuje prawo domagania się rekompensaty za każdy okup, który musi zapłacić – stwierdził Weles. – A ten będzie niemały, gdyż jesteście więźniami Hemminga, króla Danów.

– Przecież uciekliśmy – zdziwił się Wali.

– Naprawdę tak myślisz, czy mówisz tak z myślą o

donosicielach? Tym sposobem Hemming może cię sprzedać Widłobrodemu. A wszyscy pomyślą, że powróciłeś na własną rękę. Zmyślnie, nieprawdaz?

– Zabiję cię, Welesie – warknął Wali – to ci przyrzekam.

Kupiec wzruszył ramionami.

– Chyba cierpisz na wstrząs z powodu własnej głupoty. Mnie nie wiń, tylko siebie. Handluję i załatwiam nieformalne sprawy króla. Kupuję i sprzedaję rzeczy podług ich wartości. A ty mi się po prostu oddałeś, nonszalancko przypływając do Heithabyr.

– A miałem cię za przyjaciela – zżymał się Wali.

Weles parsknął.

– Dość mi już było przyjaźni twego ludu, gdy spaliliście mój dom w Reriku.

– Mam go zabić, czy każesz mu się pohamować? – wtrącił się Bjarki, wskazując na Bragięgo, który właśnie się podnosił. – Za niego też czeka mnie nagroda, tedy szkoda byłoby go stracić.

Wali dał Bragiemu znak, by się uspokoił.

– Skąd ta nagła troska o zysk? Czyżby kupczenie było zaraźliwe? – zadrwił Wali.

Berserk splunął.

– Szczam na to – rzeki. – Dopóki mam co jeść i nie moknę, dopóty nie dbam o bogactwa. „Zdycha ci bydło, umierają krewni, i ty umierasz, lecz sława, którąś sobie zdobył, nie umrze nigdy”³³. Czyż nie tak powiada nam bóg Odyn? Mą nagrodą jest sława i wypełnienie przyrzeczeń, tedy gdy przybijemy do lądu, zabiję tego twojego wilkoluda. Mocarny to woj, przeto tego, co go zgładzi, opiewać będą przez wieki.

– Wilkolud mnie nie interesuje.

– A co cię interesuje? Ta dziewczka? Zapomnij o niej. Haarik oddał ją Wielorybakom w zamian za syna.

– Jak to?

Bjarki spojrzął na niego i się zaśmiał.

– Tak to, że teraz już pewnie zdążyła pożenić się z Domenem³⁴.

³³ Fragment *Hávamál* (*Pieśni Najwyższego*), części *Eddy poetyckiej*, przeł. A. Załuska-Strömberg.

³⁴ Wzgórze (164 m n.p.m.) na północno-wschodnim krańcu Norwegii, niegdyś podobno uważane za bliskie bramie do Hel.

– Mówże jasno.

– Wielorybacy pewnie już wykorzystali ją do swej magii. Ale dość już powiedziałem. Ma przysięga dotyczy jeno uchowania cię od krzywdy, pókiś na tej łodzi. Nie muszę ci zapewniać spokoju ducha.

– Jeśli zdołasz ją odnaleźć, nagroda cię nie minie – zaproponował Wali, choć i tak znał odpowiedź berserka.

– A gdzie w tym chwała? – odparł Bjarki i się odwrócił.

Wali czuł dziwnie radosne podniecenie. Właśnie uzyskał pierwszą pewną informację o losie Adisli. Już samo to sprawiło, że czuł się bliżej niej. Rozejrzał się po łodzi. Niektóre twarze nie były mu obce, atoli reszty nie poznawał w ogóle. Było tam kilku berserków, rozebranych do pasa z powodu gorącego dnia, pokrytych tak gęstymi tatuażami, że zdawały się niemal futrem. I paru wojów, wyglądających jak ludzie znad rzeki Grovu, dziesięć dni piechotą od Hordalandu. Nosili charakterystyczne zaplecione brody. A zatem Widłobrody korzystał z usług najmitów. Czyżby gotował się do wojny? Czy raczej po prostu trzymał własnych ludzi w domu, by chronili jego ziemie, wysyłając opłaconych wojów, by załatwiali porachunki z kim trzeba?

Ci znad rzeki nie byli zadowoleni, Wali to widział. Jeno lęk przed Bodwarem Bjarkim odwodził ich od zamiaru powzięcia srogiej zemsty na Bragim i Feilegu, którzy zabili im druhów. Teraz łypali na tych dwóch z gniewem w oczach, szemrając półgębkiem, acz trzymając się z dala. Bragi nic sobie z nich nie robił i odwzajemniał ich spojrzenia z uśmiechem na ustach, dając do zrozumienia, że w każdej chwili jest gotów ponownie przetrzebić ich szeregi, jeśli zechcą spróbować szczęścia.

Wali poszedł na rufę łodzi i usiadł obok niego.

– I jak?

– Sam nie wiem. Wygląda na to, że chwilowo nic nam nie grozi.

– Pytałem, jak się czujesz? – sprecyzował Wali. – Spuścił ci niezłe lanie.

– Wyplułem parę zębów – odparł Bragi – ale bywało gorzej. – I dodał głośniejszym głosem: – Inna sprawa, że nawykłem do walki z dużymi mężczyznami, a nie tymi chuchrowatymi berserkami.

Waliemu zdało się, że zobaczył, jak Bodwar Bjarki się śmieje, odwiązuje linę. Ale może mu się przywidziało.

Tak czy owak, zdecydował przejść do ważniejszych kwestii.

– I co możemy począć, twoim zdaniem?

Bragi wzruszył ramionami.

– We dwóch nie damy rady pożeglować. Skoro nie mają zamiaru nas zabić, to rzekłbym, że musimy się ich trzymać. Ale jak tylko znajdziemy się w pobliżu lądu, zaatakujemy.

– Niby czym? Nie mamy broni.

– Tyr, bóg wojny, nam ją zapewni.

– Chyba raczej zapewni nam przedwczesną śmierć – rzekł Wali z przekąsem.

– Długo już żyję. Nie żadnym lat, jeno chwały.

Na okręcie było z sześć dziesiątek ludzi. Dwóch z toporami w pogotowiu i kolejnych trzech z włóczniami stało na straży, obserwując jeńców z minami wyrażającymi ni to gniew, ni to strach. Feileg siedział spokojnie na rufie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wali przypomniał sobie, że wilkolud nie przepada za podróżami pod żaglem, ale nie rozumiał, jak można chorować na tak dużym, stabilnym okręcie.

Wyjrzał na morze. Ani widu lądu. Pomiarkował, że wypłynęli z Heithabyr, obierając kurs przeciwny do tego, którym dotarli do miasta. Najwyraźniej po umieszczeniu w beczkach zabrano ich z powrotem do portu i przeniesiono na inny okręt, który potem zawrócił. To dlatego tak długo wypływali na otwarte morze. Bragi twierdził, że odnoga prowadząca od dworu Hemminga łączyła się z rzeką Ejderen³⁵ i dalej z Morzem Północnym za pośrednictwem sztucznego kanału. To pewnie tę drogę obrali ich porywacze. A ci, jak się Wali domyślał, kierowali się teraz względem słońca i gwiazd, przeto możliwe, że zblądzą. Jeno w tym mógł pokładać nadzieję. Jeśli okręt zmyli drogę i będzie musiał przybić do obcego lądu, być może uda im się uciec. Odchylił się i oparł o drzewce masztu.

– Jak chcesz, to śpij. Nie bój nic, nie spuszczę tych psubratów z oczu – rzekł Bragi.

Wali zasnął, a raczej niespokojnie błąkał się na pograniczu jawy i snu.

Wiatr przeszedł we flautę, wygładzającą tafłę morza, i przez jakiś czas okręt płynął napędzany wiosłami. Półświadomemu Waliemu rytm wiosłowania zdawał się czymś pierwotnym, jakby biciem serca. A jego umysł niejako dostosował się do wybijanego taktu, dał mu się

³⁵Duńska nazwa rzeki Eider.

porwać. Wtem tempo nieco się zmieniło. Nie było już tak wolne i spokojne, lecz szybsze i gwałtowniejsze. Śnił – a przynajmniej tak mu się wydawało – i zobaczył we śnie Adisłę, Feilega oraz tę dziwną runę. Zdawała się pulsować i poruszać, wibrować i łomotać, a on pomiarkował, że tajemniczy odgłos pochodzi nie od wiosła, a od runy. Nie unosiła się ona, niematerialna, jak mu się dotychczas wydawało, lecz była rzeczywista, wymalowana na jakiejś powierzchni. Wali wciągnął powietrze i poczuł zapach skóry i drewna. Ognisko. Runa drgała. Zdobiła bęben. Ktoś uderzał w bęben z tym strasliwym symbolem. Wali przeniknął wzrokiem przez runę i zobaczył Adisłę. Gdzie ona była? Pośrodku kręgu dzikich zwierząt: wilków, niedźwiedzi, jeleni; dojrzał nawet wielkiego orla. Wtem jednak jego umysł otrząsnął się i Wali ujrzał prawdziwe oblicza zwierząt. Ludzie w maskach. Uderzali w bębny, bębny ozdobione runami, które zdawały się unosić ze skór przy uderzeniu, ulatując w ciemność nocy. Wiedział, dokąd zmierzały. Ku niemu. Zdawały się go ogarniać, spowijając go swą mnogością. Miał przecucie, iż ci ludzie pokazują mu, że mają Adisłę. Wzywali go, a nawet więcej – formowali szlak, by nim podążył. Było tam jednak coś jeszcze, coś starego i złaknionego, coś grasującego na granicy umysłu. To coś go obserwowało. Obecność tego czegoś jawiła się niby ślepy szyb, przepaść ku nicości, a dobywający się z niej chłód był taki sam jak ten, który czuł ongiś, gdy Disa odprawiała na nim swą magię.

Rytm bębna wypełnił mu umysł.

Gdy się odwrócił, zobaczył mężczyznę, którego widział ongiś pośród muru tarcz, wysokiego i bladego, z bujną czupryną ryżych włosów.

– Pomóż mi ją odnaleźć – ozwał się Wali.

– Odnajdziesz ją – odparł nieznajomy – i przepadniesz. Przyjmij dar czarownika. Twój gniew jest teraz dla niego bramą, a on słyszy, jak brama się otwiera. Wpuść te kruszyny.

Chwycił garść tych spiczastych run i oprószył nimi głowę Waliego.

– Czego ten bębniarz chce ode mnie?

– Byś poznał samego siebie.

– A kim jestem?

Mężczyzna objął Waliego ramionami i pocałował go w czoło.

– A chcesz wiedzieć?

– Tak.

– Tedy wiedz.

Znów się topił, a brudna woda przesłaniała mu wzrok, wypełniając płuca i dusząc świadomość. Bębny łomotały mu teraz w głowie, a ponad nimi słyszał głos Jodis, mówiący, by go zanurzyli. Zobaczył samego siebie w pieczarze, gdzie była runa, wiedząc, że wyraża jego, Adisle i Feilega, że są nierozłączni. Pomiarkował to, co wtedy mu umknęło, bo wówczas nie wiedział, skąd patrzeć. Poczul w ustach ukłucie bólu, jakby szpilki, poczul zaciskające się wokół pęta, zwietrzył zapach krwi i ognia i poczul wzbierający w nim gniew niesprawiedliwości.

Próbował wymówić swe imię, atoli dobył z siebie jeno skowyt bólu, ryk pokrzywdzenia. Był wilkiem.

– Wstawaj! Teraz mamy szansę! Na nabrzmałe jajca Thora, wstawajże! Co z tobą? Co z tobą? – Głos Bragiego był jak nagłący krzyk. Wali słyszał też wrzaski – mężczyzn rzucających mięsem i groźbami.

Wstał. Działo się coś dziwnego. Kupiec Weles przemknął obok nich, komicznie wymachując rękoma, jakby płynął w powietrzu. A potem, dając niespodziewany popis zwinności, podciągnął się na jednej z przymocowanych do barył lin i wskoczył do środka pustej beczki jednym susem, niby królik do nory.

Wali rozejrzał się wokoło. Olbrzymi księżyc w pełni przemienił morze w pogięty metal, a nie dalej niż o zasięg strzały unosiło się szerokie pasmo gęstej mgły, połyskującej w świetle księżyca. Nadszedł szmer deszczu – albo czegoś doń podobnego – i wszyscy rzucili się w poszukiwaniu schronienia, kuląc się pod tarczami lub chowając za nadburcie.

Spojrzał w bok i w dal. Zrazu pomyślał, że chyba mylą go oczy. Dwa langskipy, prawdziwe drakkary, z wyrzeźbionymi głowami smoków na dziobach, zbliżyły się do ich łodzi, zasypując ją gęstym czarnym deszczem strzał. A one tu niby skąd?

– Haarik! Haarik! – skandował ktoś gromko.

Nie kto inny, a najeźdźcy z Aggersborgu! Jeśli Haarik znajdował na pokładzie, Wali chciał upuścić mu krwi.

Pod jasnym księżycem dostrzegł zarys łądu. Najwyraźniej

zblądził w poblize ziem Haarika i teraz przyszło im za to zapłacić. Mimo to Wali w radością powitałby niewolę u niego. W pewnym sensie. To by go zbliżyło do Adisli. Zdrowy rozsądek nie zajmował teraz najwyższej pozycji w jego umyśle. Targało nim coś innego. Co powiedział mu niegdyś ten człek w pierzastym płaszczu? Nie pamiętał. Nie myślał jasno. Głowa wciąż rezonowała w rytm bębnow. Wtem zdało mu się, że postradał resztki rozumu. Napastnicy byli przecież pobratymcami tych, co uprowadzili Adisłę, zabili małego Manniego, a jego samego pozbawili domu i ludzi, których nazywał rodziną. Odkasznął. Był to ten sam kaszel, który męczył go na moczarach. Własne gardło zdało mu się suche i ściśnięte, głowa otumaniona, a uszy wypełnione pulsującym rytmem. Nie potrafił pokierować myślami ni odnaleźć kierunku.

– Danowie, Danowie, ludzie Haarika, złodzieje i mordercy, godni rozerwania i wytracenia. Zabić ich! Zabić wszystkich. Nikogo nie oszczędzać. Poprzysięgam im śmierć! Szarpię i gryzę, gryzę i szarpię.

Co się z nim dzieje? Raz wstrząsają nim drgawki i kaszel, raz przeraźliwe zimno, takie jak wtedy, gdy Bragi wyciągnął go z wody na topielisku.

– Piraci! Książę, teraz albo nigdy. Powinniśmy się z nimi ugadać. To nasza wolność! – krzyczał Bragi, jednak Wali nie potrafił się skoncentrować na jego słowach. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, jakby rzeczywistość, której doświadczał we śnie, rzeczywistość ciemnych odmętów, zastąpiła realia napaści.

Niektórzy łucznicy na łodzi Walięgo ogryzali się napastnikom, atoli większość ludzi Bjarkiego wciąż mocowała się z beczkami, próbując wydobyć z nich broń. Waliemu zdawało się, że brodzi w oparach stresu i gniewu, jakby ci ludzie wydzielali je wraz z potem.

Jeden z drakkarów podpłynął do nich bokiem i uderzył burtą o ich łódź, łamiąc wiosła i obalając załogę, zarzucając ludzi na dno łodzi. Jeno trzech utrzymało się na nogach – Wali, Feileg i Bodwar Bjarki, który szczerzył się i śmiał za osłoną wielkiej tarczy, z przednim mieczem w ręce.

O burty łodzi załomotały zakrzywione chwytaki. W uszach brzęczała Waliemu bitewna wrzawa, a wokół niego unosił się zapach strachu. Poczul się tak, jakby ktoś zahaczył runę o jego gardło, ciągnąc go ku straszliwemu przeznaczeniu. Krew pulsowała mu w głowie jakby

coś próbowało się wyrwać z jej wnętrza. A potem tak się stało. Wypowiedział słowo, które zdawało się czymś więcej niż słowem, bardziej wirem, zasysającym wycinkiem nocy, w którym miał zatopić się bez reszty.

– Fenrisulfr.

Miano wydawało się właściwe, jakby po raz pierwszy wypowiadał własne imię.

– O czym ty mówisz? Ocknij się, musimy się dostać na ten okręt! – to był Bragi.

– Wychłepczę z nich życiodajne nektary.

– Książę, ty bredzisz. Chociaż się połóż. Inaczej cię trafią.

– Fenrisulfr.

Wali postąpił w stronę słodkiego aromatu walki. Wszystko zdawało mu się tak przepyszne: sute poty strachu i furii, i krew, o tak, ona nade wszystko, tam, gdzie słodkie strzały trafiały celu, gdzie piękny miecz ciął, gdzie rąbał nadobny topór.

– Pęta puściły – rzekł.

A potem jego umysł pochłoneły krwawe odmęty.

35. WILCZE ŻARŁO

Wali się obudził. Wokół zalegała mgła. Był dzień, a maszt rzucał długi cień w powietrzu, niczym promień słońca przezierający przez chmurę, znacząc jednak tuman smugami ciemności, nie światła. Cień dryfował mu przed oczami niby ciemna pajęczyna na tle szarości, niemal personifikując skrzywienie okrętu, które mąciło przygnębiającą ciszę.

Spojrzał w dół na odzienie, czy raczej na to, co z niego zostało. Było podarte i ciemne od krwi. Metaliczny posmak w ustach. Posmak krwi. Wali czuł się senny i otumaniony, niby człek po obfitym posiłku w popołudniowym słońcu.

– Bragi? – Żadnej odpowiedzi. Ręka Waliego spoczęła na czymś miękkim. Spojrzał, by zobaczyć, co też to jest.

I wrzasnął. Zobaczył mężczyznę, z wydartą klatką piersiową, połamanymi członkami, ze wzrokiem wbitym w górę, patrzącym na niego oskarżycielsko. Wali skoczył na równe nogi. Obok niego ktoś stał. Książę struchlał i już miał dać susa do tyłu, gdy zorientował się, że widzi własny cień, mgielny omam rzucany przez słońce, nienaturalnie materialny. Rozejrzał się na boki. Gdzie nie spojrzeć, okręt zaścielały ciała, porozrywane i poharatane w straszliwy sposób. Na Waliego patrzyły zgasłe oczy, ręce wyciągały się ku niemu, wątpia wiły mu się pod stopami, zapach śmierci wypełniał mu nozdrza.

Poruszał się chwiejnym krokiem, próbując oddalić się od umrzyków, ale byli wszędzie, od rufy po dziób. Uciekał od nich w szaleńczym tańcu, wysoko podnosząc kolana, jak gdyby próbował unosić się nad zwłokami. Wtem poczuł, że jakaś ręka zaciska mu się na barku. Odwrócił się gwałtownie. I zobaczył wilkoluda. On też na niego patrzył. Feileg był zmizerniały i pobladły, a pierś znaczyła mu, biegnąca od ramienia, długa głęboka rana. Wali zrobił krok w tył, potknął się o jakieś ciało i upadł na nie. Ogarnęło go obrzydzenie; spróbował wstać. Wilkolud chwycił go i podźwignął na nogi.

– Ile czasu minęło? – zapytał Wali.

- Tydzień.
- Byłem nieprzytomny przez tydzień?
- Nie nieprzytomny.
- A jaki?

Wilkolud zerknął na ciała.

- To twoja sprawka? – indagował Wali.
- Moja nie.
- Czemuś nie wyrzucił ich za burtę?

Feileg spojrział w oczy księcia.

- Lękałem się ciebie – wyjaśnił.

Wali nie bardzo rozumiał. Wilkolud był wszak lepszym wojem od niego i nie miał powodu się obawiać.

- Czemu się mnie lękałeś?

– Jesteś wilkiem – odparł wilkolud. – Musiałem się chować przed tobą pomiędzy tymi zmarłymi.

Wali nie mógł pojąć, o czym mowa. Miał mętlik w głowie; światło dnia, nawet pod pokrywą mgły, zdawało się go razić. Spojrzął na ciała. To byli Danowie, na oko dwie dziesiątki. Na żadnym ni śladu po razach strzał czy cięciach miecza; rany były poszarpane i porozrywane. Jeden z mężczyzn nie miał połowy twarzy, jakby ją zdarto, jakby utracił ją wskutek ataku dzikiego zwierza, a nie w bitwie.

Wali nie był w stanie dłużej ścierpieć widoku ciał patrzących na niego w tym nienaturalnym świetle. Dał sobie kilka chwil, by wziąć się w garść, a potem jął zrzucać trupy do morza, przedtem zabierając im miecze i sakwy. Pracował długo i mozolnie. Czuł się wyczerpany i często musiał robić przerwy, gdyż odraza stawała się nie do zniesienia. Rana Feilega sprawiała mu ból, przeto za wiele nie pomógł. Mgła zaczęła opadać, a ptaki zniżać lot – przeważnie mewy, ale zdarzały się i kruki. Widok tych ostatnich dał Waliemu nadzieję; do lądu nie było daleko. Mimo to starał się je przepłoszyć, choć bez przekonania. Czy to one okaleczyły zwłoki nim odleciały, a okręt zatonął we mgle?

Feileg pomógł mu podnieść krępego Dana nad okrężnicę. Był cięższy niż się zdawało i już samo dźwignięcie go na wysokość burty strudziło ich niepomiernie. Na chwilę oparli go, by zaczerpnąć tchu, a zwłoki wychyliły się na zewnątrz, bardziej jak ktoś schorząły od morza niż martwy. Wtem Wali pomiarkował, co się wydarzyło.

- Ty im to zrobiłeś, prawda? – zapytał Feilega. – Ty uczyniłeś

to bezceństwo.

Wilkolud popatrzył na niego oczami bez wyrazu.

– Książę – rzekł – nieprawdą mnie obrażasz, boć to tyś rzucił się na zarcie wilków.

– Od kiedyż to mówisz zagadkami, Feilegu? Czyżby ludzkie towarzystwo cię skalało? Mówże wprost.

Wilkolud milczał.

Ciężki Dan najwyraźniej gnił już od jakiegoś czasu, bo gdy przerzucali jego nogi przez burłę, brzuch mu się rozpruł, owiewając Walięgo chmurą odoru. Żołądek podszedł Waliemu do gardła. Zwłoki zanurzyły się w wodzie, a Wali zadrżał, ocierając wymiociny. W ustach czuł dziwny metaliczny posmak. Cokolwiek przyjemny, pomyślał. Spojrzał na rękę, a potem w dół, na obrzygane buty. Więcej krwi. Odruchowo obmacał boki, ręce i nogi. Nie został ranny a i tak wymiotował krwią. Wilkolud wciąż obserwował go z obojętną miną.

Gdy ostatnie ciało zniknęło w morskiej toni, Wali usiadł, otworzył skrzynię denną, wyjął bukłak z winem i wypił duszkiem. Smakowało dziwnie, nawet niedobrze. Pomiarkował, że to jeno cienkusz. Czemuż to ktoś zabrał ze sobą tak podle wino? Spróbował kolejnego. Ono również było byle jakie. Podobnie piwo. Smakowało tak wstrętne, że aż nie chciało się go pić.

Na koniec znalazł skórzany worek z wodą i z niego pociągnął. Smakowała o wiele lepiej, choć wyczuwał równocześnie inny aromat, ulotną woń czegoś, czego nie umiał nazwać, a co przywoływało na myśl agonalne drgawki zwierzęcia, z którego skóry zrobiono bukłak. Uzmysłowił sobie też coś innego – emocję. Poczuł, że ktoś wcześniej pił z worka. Tuż przed rozpoczęciem bitwy – Wali odnalazł smak potu i niespokojnego podniecenia.

Wtem pomiarkował, że pod aromatem morskiej soli, mokrych klepek i lin czuje tysiąc innych nut. Trawę, polepę, renifera, drzewa, wysychający piasek i wodorosty, a nawet woń tak swojską, że niemal się roześmiał. Mokrego psa. Oczami wyobraźni Wali zobaczył, jak Disa odgania Hoppa od paleniska, mówiąc, że jeśli przysiądzie choć trochę bliżej, to będą mieli na obiad pieczone z psiny. Wciągnął powietrze. I upewnił się, że rzeczywiście byli opodal wybrzeża.

Wali wyjrzał na morze, ale nic nie zobaczył. Zapach sosnowego igliwia podpowiadał mu, że najbliższy suchy ląd leży na wschód od

nich, naprzeciwko miejsca, gdzie słońce rzucało swe mgliste cienie. Okręt płynął teraz z prądem, aliści był zbyt duży, by Wali zdołał nim sterować. Chwytał jednak za rumpel i starał się zwrócić statek w tę stronę.

Wilkolud wciąż przyglądał mu się bez słowa.

Widok zwłok i długi okres nieprzytomności zmały bieg myśli w głowie Waliego. Teraz, gdy odzyskiwał trzeźwość umysłu, pomiarkował, że dotąd nie zadał bardzo ważkiego pytania.

- Nie wiesz czasem, co stało się z Bragim? – zagadnął.
- Wiem.
- Co?
- Ty go zabiłeś.

36. KRWAWE ODMĘTY

Wali, przeciwnie niż Feileg, nie pamiętał ataku. Ni olbrzymiego księżycy, który zawęził świat jeno do srebra i czerni, linii i kręgów.

Drakkary po cichu zbliżyły się do nich, wynurzając się z mlecznobiałej smugi. Feileg sądził, że tą nieoczekiwaną napaścią kierował czarownik na usługach piratów. Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że zauważono okręt Bodwara Bjarkiego w nocy i przez taką mgłę?

Nie wiedział, że doszło do magicznej ingerencji, choć nie stała za nią chęć grabieży, a bardziej przyziemne dążenie. W pieczarach Ściany Trolli czarownica zaklinała go, pchając ku przeznaczeniu, a szaman z północy siedział na płaskiej skale na swej wyspie, od tygodnia pogrążony w transie, bijąc w bęben i intonując, by przywołać Waliego do siebie. Pewien duński wódz przewracał się z boku na bok na łożu, nie mogąc usnąć. Wnętrze długiego domu zdawało mu się nieznośnie duszne, wyszedł przeto na dwór w poszukiwaniu ochłody. Wyglądając na morze, spostrzegł jakiś ruch. Była to chmara szpaków, krążących na tle dużego księżycy. Zawróciły i znikły. I właśnie wtedy Dan zobaczył okręt, ten okręt, hen na horyzoncie, zwracający się bokiem do nadciągającej mgły. Wypłynięcie w taką pogodę stanowiło niebezpieczeństwo, ale pokusa zwyciężyła. Jego ludzie nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Hurmą zgromadzili się u jego drzwi, nim jeszcze zdążył podnieść swą włócznię. Oni też tej nocy niespokojnie wiercili się na posłaniach i również spostrzegli wrażą jednostkę. Nim mgła przesunęła się o długość łodzi, dwa drakkary w pełni obsadzono i wysłano na spotkanie z wrogiem.

Zagłębiwszy się w mgłę, napastnicy stracili swą ofiarę z oczu, atoli nie poniechali pościgu, naprowadzani przez mrok powolnymi uderzeniami wiosel na łodzi Bjarkiego. Oba duńskie okręty dostosowały się do tego rytmu, by zbliżyć się z zaskoczenia. Dochodzące zza osłony białego świata mgły głosy ludzi na upatrzonej łodzi, nawet rozmowa Waliego z Bragim, niosły się donośnie, jakby były tuż obok.

Nim doszło do ataku, Bjarki zauważył, że już od paru chwil wilkolud zachowuje się nerwowo. Nadciągała mgła, więc berserk odwrócił głowę w stronę morza, wypatrując płyczn i skał.

Feileg pamiętał, że Bjarki nagle zastygł w bezruchu i nakazał wioślarzom, by się zatrzymali i umilkli. Raptem to usłyszeli – dyszenie piratów wysiłających się przy wiosłach, zlewające się z odgłosem muskających wodę piór – brzmiące niby mokry oddech umierającego olbrzyma.

– Do broni! – zakrzyknął Bodwar. – Do broni! – A załoga rzuciła się do beczek i skrzyń. Ozwał się ryk rogów, obwieszczając rozpoczęcie ataku, któremu w dyrdy zawtórował szum nadlatujących strzał.

Łucznicy często chybiali, wszak wszystkie okręty pozostawały w ruchu. Wzbudzili jednak panikę; wojowie potykali się i klęli, szamocząc się, by pierwsi dopaść włóczni. Atak zatarł rozróżnienie między więzionymi a więzącymi, a Wali, Bragi i Feileg odzyskali swobodę działania.

Bragi zakrzyknął do Feilega grzmiącym głosem:

– Bierz tarczę! Jeśli ci życie miłe, bierz tarczę! – próbował też ocucić Waliego, który zdawał się pozostawać w transie.

Feileg nie widział napastników, atoli kilka strzał, które odbiły się od pokładu, nie pozostawiało wątpliwości, że oni widzą jego. Idąc za przykładem niektórych, schował się za nadburciem. Bragi wrzeszczał na Waliego, zaklinając go, by się obudził.

Silny podmuch wiatru spowił ich mgłą i Feilegowi wydało się, że są bezpieczni. Ale jeno przez chwilę. Wtem bowiem posłyszał głucho uderzenie – coś gruchnęło o łódź z taką siłą, że wilkolud poczuł się tak niemal, jakby to jego grzmotnięto. Potem stukot i trzask zdruzgotanych wiosł, i radosne okrzyki wskakujących na okręt Danów.

Książę wstał, wyraźnie owładnięty szaleństwem, mamrocząc coś pod nosem i słaniając się na nogach jak po wypitce.

Trzech Danów zeskoczyło, lecz jeden z nich padł przebity mieczem Bragiego, nim jego stopy dotknęły pokładu, i zwałił się na pozostałych dwóch. Na dnie łodzi rozpętała się szaleńcza walka; ludzie pokładali się na sobie. Bragi zostawił oręż w trzewiach Dana i wyciągnął nóż do walki w zwarciu. Napastnicy byli uzbrojeni w topory,

ale gdy Bragi ruszył, nie mieli nawet szansy się nimi zamachnąć. W mgnieniu oka wybebeszył pierwszego. Drugi starał się podnieść, atoli Feileg potężnie kopnął go w głowę i rzucił się na leżącego, szarpiąc go zębami i paznokciami. Bragi podniósł się na nogi. Schował nóż do pochwy i wyciągnął miecz z tułowia obalonego wcześniej Dana. Potem rzucił się w tłum walczących, uderzając głowicą, sztychem lub pięścią, tnąc, kopiąc i gryząc.

Bodwar Bjarki przedstawiał sobą imponujący widok, zastawiając się tarczą, rąbiąc mieczem, uderzając kolanami i głową. Walczył z trzema wojami na raz, lecz to oni cofali się pod jego naporem. „Odyn! Odyn! Odyn!” – krzyczał, konsekwentnie postępując naprzód. Był ogromny; Feilegowi przypominały się czasy dzieciństwa, gdy bawił się z ojcem – skakał na niego, ten go odtrącał, Feileg skakał ponownie i tak na okrągło.

Przed wilkoludem pojawili się inni Danowie i ten na jakiś czas zupełnie zatracił się w walce, myśląc jeno o własnym przetrwaniu. Twarze natarły na niego, błysnął niewyraźnie oręż. Feileg uchylał się, uderzał i gryzł, łamał członki, wylupiał oczy i zgniatał leżących stopami. I znów doszedł go potężny trzask, tym razem po drugiej stronie łodzi. W powietrze wleciał deszcz drzazg, a on z trudem utrzymał równowagę. To drugi drakkar nadpłynął właśnie od przeciwnej burty, ponownie roztrzaskując ich wiosła.

Walka postępowała falami. Ludzie co i rusz ścierali się, walczyli, uchodząc z życiem lub ginąc, a potem rozdzielali się, z daleka obrzucając się obelgami i szukając okazji do kolejnego zwania.

– Myśmy możni Horda – ryknął Bragi – przeto ozłocą was za nasz bezpieczny powrót. – Atoli wołał po próznicy. Szkoda słów, Danowie byli zdecydowani ich zabić.

Na Bragięgo natarł jeden, potem drugi i trzeci. Tarcza, którą się zasłaniał, poszła w drzazgi i stary woj zastawiał się teraz jeno żelaznym umbem, uderzając nim i poprawiając uderzenia mieczem. Ktoś zadał mu cios w twarz, odrzynając kawałek podbródka, aliści mężny jarl jeno przytrzymał brodę zębami, by zwisająca skóra nie przeszkadzała mu w walce. Było przy nim już czterech, nie, pięciu. Dwóch kolejnych stało naprzeciwko Feilega, wielkolud nie mógł tedy dopomóc Bragiemu.

Wszystko się zmieniło, gdy ktoś natarł na księcia. Feileg zobaczył topór z impetem zmierzający ku głowie Waliego. Lecz raptem

oręż wyleciał w powietrze, a dzierżący go dotąd mężczyzna z krzykiem chwycił się za gardło. Feileg spostrzegł jeszcze, jak Wali rzucił się w tłum Danów, a potem rytm bitwy uległ zmianie.

Przyptywy i odpływy ścierających się wojów wyparła gwałtowna fala przyboju, nieokiełznana, huraganowa nawałnica, która odrzuciła Danów do tyłu, przydusiła i porwała na strzępy. Szybkość Waliego była oszałamiająca, a jego siła nawet bardziej. Dotarł do Bragiego, który walczył już ostatkiem sił. Pierwszemu Danowi złamał kark niby gałązkę, chwytając jego głowę w obie ręce i wykręcając, kolejny został dosłownie staranowany, wyfruwając za burtę. Miecz Bragiego ugodził trzeciego w ramię a Wali rzucił się ku napastnikowi, obalając i siebie, i jego. Ostatnich dwóch najwyraźniej prawidłowo oceniło swe szanse, bo w te pędy uciekło na drakkar.

Bragi rozejrzał się za wrogami, naprostował wygięty miecz pod stopą opartą o wręgę i wsunął nóż za pas. Dopiero potem przyłożył rękę do zwisającego z brody płatu skóry i krzyknął na stojącego za nim Waliego:

– No proszę, a jednak nie cała ma nauka poszła w las. Choć nie powiem: dotąd nieźle się z tym kryłeś. Ja...

Feileg widział, że Bragi spojrzał na księcia. Wali klęczał obok jednego z poległych, wpijając się zębami w skórę na jego twarzy i starając się wyszarpać mięso.

– Książę, ja... – Bragi położył dłoń na ramieniu Waliego.

Ten jeno wściekle warknął, nie przerywając posiłku.

– Książę – rzekł Bragi – tyś zauroczony. Książę, druhu, proszę...

Nie dane mu było dokończyć zdania. Wali podniósł się i kontynuując ruch, powalił Bragiego na plecy. Potem skoczył na niego, gryząc, rozszarpując mu skórę, tłukąc pięścią i nogami. Feileg zobaczył, jak głowa starego kolebie się bezwładnie pod gradem ciosów, atoli Bragi był zawołanym wojem i nie pozostawał księciu dłużny, odpłacając pięknym za nadobne. Obaj podnieśli się, chwycili za bary, z rozpędu wylatując przez burtę. Opadli na pokład wrażego drakkaru i odtoczyli się w bok. Otoczyli ich Danowie. Czterech, pięciu, sześciu ludzi okładało ich czym popadnie, atakując ze wszech stron. Wali stracił równowagę. Podniesione miecze i topory już gotowały się do ciosu, jednak Bragi uwolnił się z objęć Waliego i na oslep natarł na atakujących, impetem spychając ich z pokładu. Zaraz potem jakiś topór

pozbawił go miecza i niemal całej dłoni. Wali przyszedł mu w sukurs, ciosem w głowę łamiąc kark topornikowi.

Bragi runął na ziemię, szamocząc się z kolejnym napastnikiem. Rozdzielili się i wstając, wzajemnie odepchnęli się do tyłu. Dan zdążył jeszcze wyciągnąć nóż zza pasa Bragiego. Ale ten zareagował błyskawicznie, uderzając przeciwnika bykiem w twarz i posyłając go za burtę.

Wali najwidoczniej w lot przyswoił sobie ten sposób walki. Przerzucił dwóch wojów przez burtę, a potem odwrócił się ku pozostałym. Danowie odstąpili, półokręgiem otaczając Bragiego i Waliego, zbyt złęknieni, by się zbliżyć, nie mając zarazem gdzie się wycofać.

Bragi stracił w walce wszelką broń; jego prawica przypominała krwawą miazgę, także i twarz. Uśmiechnął się do księcia.

– Całe życie marzyłem o takiej walce u twego boku. Świetny z ciebie pięściarz, o ile skupiasz się na wrogu. Ale dobrze ci radzę – nie nadużywaj tych berserkowych grzybków.

Wali chwiał się przed nim niepewnie.

Bragi położył dłoń na ramieniu księcia.

– Dumnym z ciebie, paniczu. Potężny z ciebie człek, a serce roście, gdy widzę, jak mężnie walczysz. Już dawno odrąbałbym sobie rękę, gdybym wiedział, że tak cię to zdopinguje.

A Wali chwycił starego woja i rzucił się na niego niby dziki zwierz, zębami wydzierając mu gardło. Bragi okaleczoną ręką odruchowo sięgnął po miecz, a tę zdrową wyciągnął po nóż. Atoli już ich nie miał na podorędziu. Zatoczył się do tyłu, brocząc krwią na siebie i księcia. Wali pchnął go na pokład. Bragi padł jak długi, wijąc się z bólu, szarpiąc rękami za pas w poszukiwaniu broni, której tam już nie było.

Stojący wokół Danowie najwyraźniej zdecydowali się zostawić Waliego w spokoju i wdrapali się na unieruchomiony okręt Bodwara Bjarkiego. Widać piraci na drugim drakkarze uznali ich czyn za ponowienie ataku i jęli falą wlewać się na pokład. Feileg walczył zawzięcie. Stracił poczucie czasu, a potem zobaczył, jak Wali ze straszliwym warknięciem skacze z powrotem na środkowy okręt.

Niektórzy Danowie struchleli, zatrzymując się jak skamieniali. Ojciec Feilega opowiadał był mu niegdyś o czymś takim – o węźle

bitewnym, jak to nazywał – gdy Odyn zstępuje i dotyka wrogów paraliżem. Innych jednak to nie poruszyło, i postąpili ku Waliemu. Rozpętało się piekło, a trup słał się gęsto. Ci, co upadli, ginęli od sztychów lub pod butami na śliskich od krwi deskach; w zamęcie druh kaleczył druha. Lecz Wali zdawał się nie do zdarcia. Przeciwnicy cofali się przed nim niby zdmuchnięci wichurą, pchając się z powrotem na swój okręt. Niektórym się udało. Ale reszta padła ofiarą zębów i rąk księcia, bez pardonu zgnieciona, rozerwana lub zdruzgotana.

Feileg dostał cios między łopatki i zachwiał się, lecz jego przeciwnika obalił Bjarki. Nie był teraz berserkim – nie miał czasu zaintonować zaśpiewu i posilić wywarem z grzybów – tedy przemówił do wilkoluda całkiem rozumnie.

– Musimy przejąć jeden z ich drakkarów. Jego tu zostaw. Jest berserkim, jakiegom w życiu nie widział, i pokrwawi nas tyleż samo co i Danów. – Bjarki nie był głupcem i miarkował, że wspólny wróg jednocy. Wskazał osobliwemu sprzymierzeńcowi okręt, na którym leżał Bragi.

Feileg skinął głową i przeskoczył. Podszedł do Bragiego. Na gardle woja ziała straszliwa dziura, a oczy zasnuwała mu mgła. Macał rękoma wokół, jakby czegoś szukając. Wilkolud instynktownie wiedział, co począć – w końcu nie na darmo spędził swe najmłodsze lata pośród berserków. Podniósł z pokładu włócznię i wcisnął ją w zdrową rękę woja. Palce Bragiego zacisnęły się na orężu. Przywołał do siebie Feilega. Mówił ledwo dosłyszalnie, tedy wilkolud musiał się nad nim nachylić, by rozróżnić słowa.

– Nauczyłem go wielu rzeczy – odezwał się – ale czegoś takiego nie uczyłem go nigdy.

Bragi jał się śmiać, atoli nagle umilkł. Na zawsze. Feileg dotknął twarzy starego. Umarł śmiercią upragnioną przez mężczyzn z jego ludu, pomyślał, z bronią w rękę i z uśmiechem na ustach.

Na okręcie pozostała jeno garstka Danów, a i to opuszczona przez ochotę do walki. Widząc berserka i jego ocalałych załogantów wspinających się ku nim przez burłę, pędem rzucili się w przeciwną stronę, by dołączyć do pokrwawionej reszty druhów na najdalszym drakkarze. Pomiędzy dwiema grupami, na środkowym okręcie, ostał się tylko Wali. Danowie rozumieli, że przyszło im stawać w obliczu potwora bardziej niż człowieka i już wcześniej zaczęli przecinać liny,

które zarzucili na okręt Bjarkiego na początku starcia.

Na pozbawionym wiosłł okręcie, czerwonym od krwi, otoczony ciałami Wali nagle znieruchomiał, rozglądając się na boki jakby w zdumieniu. Zza krawędzi jednej z beczek wyjrzała para oczu. Tedy jednak jest tam ktoś jeszcze, pomyślał Feileg.

– Teraz albo nigdy, Welesie Liborze – zakrzyknął Bjarki.

Kupiec stanął w beczce, wprost przed obliczem Waliego. Spozrzegłszy księcia, wyraźnie się wzdrygnął. Nawet z dwudziestu kroków Feileg mógł dostrzec, że handlarz się trzęsie.

Weles popatrzył w stronę okrętu Feilega, bardzo powoli odwracając głowę, jakby w obawie, że zwróci na siebie uwagę. Wtem, nagle, ku zaskoczeniu świadków, w okamgnieniu podźwignął się z beczki, podbiegł do burty łodzi i przeskoczył na drakkar, płasko położywszy się na dnie, jakby wciąż znajdował się pod huraganowym ostrzałem. Bjarki skwitował to jeno pogardliwym parsknięciem, atoli Feileg miał ochotę wrzucić kupca do wody. Na szczęście dla Welesa, głowę wilkoluda zaprzętało coś innego.

– Możemy wziąć księcia ze sobą? – zapytał Bjarkiego.

Zajęty przecinaniem lin, olbrzym pokręcił głową.

– I tak wciąż będzie berserkiem. Podążymy z prądem i postaramy się nie stracić go z oczu.

– A co, jeśli jednak stracimy?

Bjarki wzruszył ramionami.

– Jeśli pozwolimy się nieść nurtowi, znajdziemy go bez większego trudu. A jeśli będę się go trzymał, grozi mi bunt. On jest zaczarowany, więc reszta nie chce mieć z nim do czynienia.

Ponownie zasnuła ich mleczna biel. Znikających w niej Danów żegnały drwiny załogi Bjarkiego. Wali zdawał się teraz jeno cieniem na upiornym statku-widmie, choć jedna lina wciąż łączyła go z okrętem Feilega.

Przecięto ją, a łodzie jeły się od siebie oddalać. Feileg spojrzął na ciało Bragiego. Potem odwrócił się do Bjarkiego. Wskazał na zwłoki starego woja.

– Uczcijcie go opowieściami – rzekł, a potem skoczył, by dołączyć do swego druha. Pochłonęła ich mgła.

37. ŁOWCY

Wali przebudził się dopiero trzy dni temu i odtąd czuł się zaiste bardzo dziwnie. Rozpierała go niespotykana energia, prawie nie spał, jakby nabrał siły, i w ogóle nie doskwierał mu głód.

Zapachy nocy zdawały mu się urzekające, przeto przesiadywał pod gwiazdami, wdychając całe mnóstwo woni łodzi, podczas gdy Feileg żuł suszone ryby pochodzące z zapasów Danów. Dni Waliego miały wypełnione wrażeniami: słonecznymi refleksami na wodzie, podobnymi złożom diamentów, magnetyzującym niebem rozpinającym się nad nim i przynoszonym przez wiatr bogactwem aromatów tysiąca różnych odcieni, których nie doświadczał nigdy wcześniej – smolistej wydzieliny przybrzeżnych skał, ptasich odchodów, śniętych ryb – z których każdy zawierał osobne nuty, swój własny fascynujący koloryt. Gdy niebo zasnuwały chmury, przeczuwał zbliżający się deszcz i bezbłędnie przewidywał zmiany kierunku wiatru. Nic z tego nie wydało mu się dziwne, albo inaczej – postrzegał swe wyostrzone zmysły jako coś nowego, acz nie niewłaściwego czy niezwykłego. Zwłaszcza, że współgrały z nim bardziej niż te niegdysiejsze.

Wspominał Bragiego – czasem nie potrafił myśleć o niczym innym. Czy naprawdę go zabił, jak twierdzi Feileg? Wilkolud nazwał go „zaślepionym bitwą”, lecz nie raczył wyjaśnić, co miał na myśli. Wali czuł się tak niepodobny do dawnego siebie, że niemal zdawało się możliwe, iż... Nie, wilkolud musiał coś pokręcić. Oczy go zmyliły. Bitewny chaos zamącił mu w głowie.

Wtem, pośród wzbierającego morza, oczy Waliego potwierdziły to, co już wcześniej podpowiadał mu nos. Łąd, pasmo rdzawoczerwonych klifów na tle czerni oceanu. Na szczęście uderzenie burty pirackiego okrętu nie staranowało zakrzywionej rufy i nie roztrzaskało wiosła sterowego. Wali chwycił tedy za rumpel, starając się skierować okręt w stronę ładu. Łatwo nie było, zajęcie doprowadzało go do frustracji. Prąd ścigał wzdłuż wybrzeża, a okręt reagował niemrawo, jeśli w ogóle reagował. Feileg na nic się nie

przydał, siedział jeno, jak zwykle, przygarbiony, z głową między nogami, wpatrując się w stopy. Mimo to powoli zbliżali się do celu.

Wybrzeże było nieco nieprzystępne, z nielicznymi plażami i urwistymi klifami, ograniczającymi pole manewru. Wali skręcał, dawał się nieść prądowi, znów lawirował i ponownie odpuszczał. Potem płynęli wartko pod brunatnymi klifami, mijając je jeno o długość łodzi. Morze wzbierało, a wiatr dał to w plecy, to w twarz. Wali wiedział, że ma marne szanse ująć z życiem, gdyby łódź uderzyła o skały. Wilkolud nie miał żadnych.

Wtem okręt, zepchnięty na klif przez falę, uderzył o skalną ścianę i odbił się, okręcając. Wali puścił rumpel.

Mogli się jeno modlić. Mknęli do tyłu, w pędzie mijając klify tak blisko, że można ich było dotknąć. Wali wiedział, że jednostka nie przetrzyma kolejnego uderzenia. Obracali się raz po raz, i jeszcze, i znów. Nagle – kolejny chrzęst. Stanęli. Okręt zatrzymał się na piaszczystej łasze. Nie dalej niż o kilka długości plaży od niego znajdował się wąski pas piasku.

Feileg wstał.

– Popłynę wpływ – rzeki.

– Choćbyś bardzo się starał, i tak wiem, że nie umiesz – odparł Wali. Podniósł włócznię, łuk i miecz z dna okrętu. Czuł się bardzo wyjątkowo – w jednej chwili otepiały, jakby pijany, w drugiej myślał tak wyraźnie, jak nigdy wcześniej. – Zabierz trochę zapasów. Przy odrobinie szczęścia uda ci się jakoś dobrnąć do brzegu.

Wilkolud ruszył po prowiant, a Wali niepewnie wszedł do wody. Sięgała ud. Jął brodzieć, uważnie obserwowany przez Feilega. Łatwo dotarł do plaży – morze sięgało najwyżej piersi. Wilkolud poszedł w jego ślady. Wali zdziwił się, widząc jak bardzo się waha. Jak to możliwe, że taki postrach w walce boi się trochę zamoknąć?

Znaleźli się na niewielkiej plaży pod wysokim rozszczepionym klifem z czerwonej skały. Wali bez słowa do niej podszedł. Była wysoka, acz nierówna i nadająca się do wspinaczki, przeto dość łatwo wdrapali się na górę, a po drodze Feileg zatrzymał się, by zabrać parę ptasich jaj. Z grzbietu roztaczał się piękny widok na zieloną krainę brzożowych lasów, opadających ku długim fiordom, i szeroki trawiasty płaskowyż ciągnący się aż do odległych gór, wznoszących się na horyzoncie niby grzbiety czarnych smoków.

Wali wciągnął powietrze. Zwietrzył zapach dymu i czegoś jeszcze. Piekącego się mięsa. Zrobił nad brwiami daszek z ręki i mrużąc oczy spojrzął w dal. Tam, za barierą fiordu i dalej, za niskim pagórkim, spośród trawy unosiła się szara smużka, chwiejąca się na wietrze. Ognisko.

– Co to za kraina? – zapytał Feileg.

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

We dwóch obeszli fiord, wychodząc na położoną w dole trawiastą równinę. Ognisko znajdowało się w odległości trzech dni piechotą, lecz Wali wciąż nie odczuwał głodu. Pomyślał o krwi, którą wcześniej wymiotował. Może i było z nim coś nie tak, aliści wcale nie czuł się chory. Przeciwnie, miał nadspodziewanie dobre samopoczucie, jak w tej krótkiej chwili po wypiciu piwa, gdy po raz pierwszy odczuwa się jego skutki – język zdaje się swobodniejszy, riposty szybsze, dowcip bardziej cięty, ciało sprawniejsze, choć mimo zakrada się otepienie, jak gdyby rozsądek i ogłada zaczynały zanikać. W oddali poruszały się stada reniferów, czuł to, a w powietrzu unosiła się zapowiedź burzy.

Feileg nazbierał ziół, by opatrzeć ranę, lecz Wali nie miał wątpliwości, że z wilkoludem nie jest najlepiej. Pocił się obficie i wyraźnie trawiła go gorączka, co Wali poznał po słodkawym oddechu, który wyczuwał nawet z dziesięciu kroków. Książę był poirytowany tym, że musieli się zatrzymywać, by dać wilkoludowi odpocząć, rozdrażniony ponad wszelką racjonalną miarę, jak pomiarkował, tak bardzo chciał znaleźć się u celu. Naprawdę złościł się na Feilega, a gniew zdawał się sprzęgać z uczuciem tkwiącym w nim od chwili przebudzenia się na okręcie. Czemu nie mógł wielkoluda po prostu zostawić? Zwyczajnie nie potrafił. Czuł się do głębi związany z Feilegiem, tak jak deszcz związany jest z ziemią.

Próbował go zabić w grodzie Hemminga i wmawiał sobie, że tylko interwencja chłopca uratowała Feilegowi życie. Atoli, tak po prawdzie, nie stało mu do zdecydowania. Gdy zmieniały mu się zmysły, a rozum przestawiał się na nowe tory, Wali pomiarkował, czemu nie był w stanie pchnąć nożem. Miał niejasne wrażenie, że wilkolud jest mu rodziną. Ta myśl ciążyła Waliemu, choć nie mógł ani potwierdzić jej prawdziwości, ani jej zaprzeczyć.

Burza przetoczyła się nad nimi, niosąc ulewę i zimno, lecz Wali nie zatrzymał się, by ją przeczekać. Ognia nie było już widać, choć

przez kurtynę deszczu wciąż czuł zapach mokrego żaru. I coś jeszcze – kwaśną woń rany wilkoluda. Wali starał się nie zwracać uwagi na wywoływane nią pragnienia, lecz rozsierdzony pomruk zdawał się wypełniać mu umysł, tedy musiał walczyć z sobą, by oprzeć się przed nazwaniem go po imieniu. Był to bowiem zew krwi. Jej posmak i zapach nie opuszczał go, odkąd opuścili okręt, nęcąc go bez ustanku.

Odnaleźli pozostałości po obozowisku, gdy słońce zaczynało już skrywać się za dużą ciemną turnią, okraszając niebo długimi wiązkami promieni. W pobliżu nie było nikogo, atoli pozostało dość śladów ludzkiej bytności – równa ziemia, zimny popiół z ogniska i zapach zwierzęcych skór na trawie, gdzie spano.

– Poszli w głąb łądu – orzekł Feileg.

Wali przytaknął. Wiedział to i bez niego.

– Chodź za mną – rzekł. Potem splunął. Przez cały dzień ślina strumieniami napływała mu do ust.

Wilkolud miał wrażenie, że księcia coś opętało. Spojrzał na niego z trwogą w oczach, ale potulnie podążył w ślad za Walim.

Burza minęła, a słońce już wschodziło, gdy natknęli się na łowców reniferów. Poprowadziło ich ku nim na nowo rozpalone ognisko, wabiąc zapachem piekącego się mięsiwa.

Zobaczyli pojedynczą rodzinę, zebraną wokół dwóch przysadzistych stożkowych namiotów z brzożowych żerdzi okrytych reniferowymi skórami. W miejscu zetknięcia się drągów, namioty były otwarte, a w jednym z nich paliło się niewielkie ognisko, które przywabiło Waliego i Feilega. Sprawą o wiele ważniejszą jednak byli dwaj mężczyźni, którzy zatrzymali przybyszy o strzał łuku od obozu, co stanowiło wielce stosowną miarę długości, gdyż obaj łowcy mieli w rękach dziwne małe łuki. W ziemi naprzeciwko nich tkwiły strzały, nie nałożone wprawdzie na cięciwę, acz wciąż na podorędziu.

Wali poczuł, jak krew wzbiera mu w żyłach, gotując się do walki. W duchu uspokajał się, że nie ma takiej potrzeby, lecz mimowolnie koncentrował się na nieznanym mu dotychczas wrażeniach. Niemal od razu do głowy przyszły mu mordercze myśli. Poczł swą rękę u boku, a jego miecz wysliznął się z pochwy, choć wcale go nie dotykał. Feileg odrzucił miecz ku łucznikom i usiadł na ziemi. Wali wymienił z nim szybkie spojrzenia. Wilkolud był wprawdzie ranny, aliści dotąd reagował na obcych z wściekłym

gniewem. A tu proszę, teraz zachowuje się tak, jak sam Wali chciałby postępować, gdyby tylko mógł się kontrolować. Książę przypomniał sobie wyprawę łupieską na klasztor. Czyż nie wykonał już kiedyś podobnego gestu? Starał się przywołać to wspomnienie, by zarzucić kotwicę, która utrzymałaby go w miejscu pośród ogarniającej fali nienawiści.

Łowcy nosili ciemnoniebieskie płaszcze obrębione czerwonymi i złotymi pasemkami; pomachali przyjaźnie i podeszli do braci. Interesujący ludzie, pomyślał Wali, ciemnowłosi i niebieskoocy, jako i on. Wymienili z przybyszami uśmiechy, rzekli coś w obcym języku i usiedli naprzeciw. Wali nie rozumiał ani słowa.

Wilkolud słabymi palcami rozwiązał sak. Ofiarował nieznajomym wino w bukłaku. Wypili z wdzięcznością. To był ten sam bukłak, z którego próbował Wali. Myślał wtedy, że wino jest zepsute, atoli łowcom zdawało się smakować niezgorzej. Jeden z nich wskazał ręką na ranę Feilega, a potem na obóz. Wali wstał, by za nimi podążyć, lecz wtem pomiarkował, że Feileg nie może się podnieść. Nocna wędrówka wyzuła go z ostatnich sił. Książę nigdy wcześniej nie widział wilkoluda w tak marnym stanie. Zrozumiał, co się stało – rana się zaogniła. Feilegowi pozostało niewiele życia.

Wali zmusił się do myślenia. Chciał na powrót stać się tym chłopcem, który wychowywał się pośród siół Widłobrodego, tym młodzieńcem, który kochał Adisłę i poprzysiągł oddać za nią życie. Umysł przesłaniała mu jednak brudna woda moczarów, tedy z trudem przyszło mu pozbierać myśli. Przyszło mu do głowy, że powinien pomóc Feilegowi wstać. Przykucnął, zarzucił na barki rękę wilkoluda i podźwignął go na nogi. Ten ludzki uczynek jak gdyby wskrzesił starego Waliego, a w jego głowie się przejaśniało. Pomiarkował, że ci ludzie to Wielorybacy lub ich pobratymcy z głębi kraju, ci, co żyli z reniferów. Podług słów Hemminga, Haarik zamierzał u nich wymienić Adisłę na syna. Może tedy oni wiedzieć będą, kim jest i gdzie mieszka ten cały Domen, o którym mówił Bodwar Bjarki.

Gdy dotarli już do obozu, dwaj łowcy gestami dali braciom znak, by spoczęli w jednym z namiotów. W środku była kobieta trzymająca na rękach małe dziecko. Spojrzała na nich nieufnie, lecz gestem nakazała Waliemu, by złożył Feilega na stercie futer. Opuścił wilkoluda i wyszedł na zewnątrz. W namiocie było bowiem nieznośnie

duszno, a on odczuwał przemożne pragnienie słońca.

Feileg leżał na skórze renifera, ciężko dysząc. Narzucone przez Waliego tempo marszu niemal go zabiło. Wilkolud nie wątpił, że księżę znalazł się pod wpływem jakiegoś rodzaju czarów, lecz mimo to był zdecydowany za nim podążać. Podczas niegdysiejszej rozmowy z Adisłą coś się w nim poruszyło, a teraz uskrzydliło go stanowcze postanowienie, że ją odnajdzie, choćby nie wiadomo co. Wciągnął w nozdrza aromaty namiotu: gotowania i zsiadłego koziego mleka, skóry renifera i płonącej brzeziny. Wielce go one pokrzepiły; przypomniawsobie wieczory przesiadywane w ciemnościach, z siostrami i braćmi, i przysłuchiwanie się opowieściom o przygodach i chwale. Naonczas nie miał pojęcia o swej inności, naznaczeniu przeznaczeniem wśród wilków. Przez wiele lat nie miał ochoty przebywać we wnętrzach, atoli teraz był temu rad. Tym razem to Wali siedział na dworze i z pochyloną głową wpatrywał się w ziemię.

Ktoś wszedł. Mężczyzna. Mniejszy od innych. Na głowie miał czwórgraniasty kapelusz, wyglądający jak płachta sukna wywinięta na górze do tyłu. Skinął głową i uśmiechnął się na powitanie, usiadł i położył rękę na wilczej skórze Feilega. Wilkolud nie czuł od niego żadnego zagrożenia, tedy pozwolił mu odchylić swój przyodziewek. Mężczyzna uważnie przyjrzał się ranie. Pokręcił głową i delikatnie przejechał po niej palcami. Potem odwrócił się i powiedział coś do wilkoluda. Przyniósł Feilegowi trochę gulaszu w misce, a ten zjadł go z wdzięcznością.

– Ruohtta³⁶ – rzekł nieznajomy do Feilega. Wskazał na niego i gestem nakazał mu spoczynek na boku, wznosząc oczy ku górze. Wilkolud uznał, iż mężczyzna daje mu do zrozumienia, że rana stanowi poważne zagrożenie.

Śmierć nigdy nie była mu straszna. W czasach gdy mieszkał z rodziną, mówiono mu, że jest ona rzeczą chwalebną, a gdy znajdował się pod opieką Kvelda Ulfa, uznawał ją za zwykłe zdarzenie – przemianę, odmianę dnia pomiędzy dniami. Sądził, że będzie szczęśliwy, umierając w tym namiociku, pośród domowych zapachów i życzliwości nieznajomych, lecz sielskość tego miejsca, towarzystwo dzieci i tej kobiety, uśmiech mężczyzny w czworokątnym kapeluszu,

³⁶Personifikacja choroby i śmierci w wierzeniach Saamów, rządząca w Rotaimo, krainie umarłych, do której trafiali ci, co żyli wbrew prawom natury.

wlewały weń ochotę do życia. Chciał tego dla siebie samego. Znów przypomniały mu się słowa: „Jestem wilkiem”, azaliż czy któryś z wilków tak myśli? Był odmienny od swych leśnych braci, choć wychowano go na ich obraz i podobieństwo. Mężczyzna w kapeluszu wstał i wyszedł.

Czekającemu na zewnątrz Waliemu przyniesiono gulaszu. Zjadł co nieco i wypił trochę sfermentowanego mleka, które mu ofiarowano. Ledwie mógł je strawić; przyjął je jeno z grzeczności. Uśmiechnął się do kobiety, która przyniosła jadło, lecz zrobił to przez wzgląd na siebie, a nie na nią. W tej chwili zwykle ludzkie gesty i maniery zdawały mu się rzeczą zasadniczej wagi. Potrzebując więzi z terażniejszością, z człowiekiem, pomyślał, by uchronić się od... Od czego właściwie? Nie wiedział, atoli bał się tego uczucia, czegoś pomiędzy mdłościami a uniesieniem. Było to bowiem coś, co zdawało się bliskie przejęcia pełnej kontroli nad jego głową. Książę wiedział, że traci właśnie coś cennego.

Wszystko zdawało się odmienione. Wcześniej przypisywał takie odczucia pijackiemu rauszowi, a teraz to wrażenie się pogłębiło. Tkwiła w nim wolność, jak wtedy, gdy wino po raz pierwszy szumi w głowie. I wiedza, że wstępuje w inny rodzaj świadomości. A nawet nieco obawy, choć towarzyszyła jej osobliwa rozkosz, wewnętrzny chichot, mówiący mu: „No dalej. Oddaj się temu. Opuść siebie i stań się na nowo”. Nie wiedział, gdzie zmierza ni co się z nim dzieje, lecz instynktownie rozumiał, że musi z tym walczyć. Szaleńcze myśli rozpychały mu się w głowie: „Staję się kimś innym niż ja, ale jak to możliwe? Wszak jestem sobą, tedy opuszczam siebie, by stać się sobą. A to «ja» to więcej niż jedna rzecz. Jestem nieciągly i niestały, jestem... „. Z trudem przychodziło mu znalezienie słowa na podsumowanie własnego samopoczucia. Wtem go olśniło. Czuł się głodny. Tak, właśnie tak się czuł. Atoli nie łaknął niczego, co mógł mu zaoferować kociółek.

Zajrzał do środka namiotu i pomiarkował, że Feileg z nim nie pójdzie. Pragnął odejść już teraz, by odnaleźć Adislę. Miłość, którą do niej żywił, jakby nabrała jeszcze większego znaczenia. Była ona niczym światło widziane przez kurtynę deszczu przez zagubionego wędrowca, czymś, co prowadziło w bezpieczne miejsce. Przed oczami stanęła mu jej twarz, taka, jaką widział, gdy całowała go na pożegnanie – wystraszona, niespokojna, acz pełna miłości do niego.

Machnięciem ręki przywołał do siebie mężczyznę w czwórgraniastym kapeluszu. Zmusił ocieężały mózg do skupienia się na tym, co musiał zrobić, używając Adisli, by zogniskować swe rozbiegane myśli.

Mężczyzna podszedł i stanął przed nim. Bez wspólnego języka porozumienie szło im z trudem.

– Syn Haarika? – zapytał Wali. Wydrapał w błocie rysunek okrętu, a potem na migi pokazał jego zatonięcie, uderzając pięścią w otwartą dłoń. Narysował koronę i gestami udał, że ją porywa.

– Domen – rzeki. – Gdzie jest Domen?

Mężczyzna odpowiedział mu jeno uśmiechem i uciszył go gestem ręki. Potem się odwrócił, zmierzwił włosy jednemu z dzieciaków, pocałował kobietę, która przyniosła gulasz i poszedł przez równinę ku odległym góróm. Wali poczuł bezradność. Siedział przed namiotem, w milczeniu obserwowany przez tę reniferową rodzinę.

Tracił koncentrację, pozostawał jeno pod osłoną zmiennego światła, poruszających się chmur. Poczucie czasu opuściło go, gdy nagle poczuł dłoń na ramieniu.

– Okup nie. – Ktoś mówił po wikińsku, choć kiepsko.

Ten, który odszedł, teraz powrócił, przyprowadzając ze sobą drugiego mężczyznę, podobnego, w czarnej wełnianej tunice i czworokątnym kapeluszu. Obok nich stał przywiązany liną renifer. Jego popłoch zdawał się zalewać Waliego; księżę czuł posmak jego trwogi.

Zamiast łuku nowo przybyły miał w rękach płytki bęben. Wali się zląkł. Instrument był bowiem podobny temu, który widział we śnie na łodzi, gdy przelotnie ujrzał Adisłę otoczoną przez te dziwne zamaskowane postacie. Tego tutaj jednak nie zdobyła zakrzywiona runa, która odbijała się od skór bębnow w wizji, a sceny polowań i rybołówstwa.

– Okup nie – powtórzył nieznajomy.

– Okup nie – rzeki Wali. – Szukam osoby, a nie futer czy złota.

Mężczyzna uśmiechnął się, a Wali zobaczył, że ma on w górnej szczęce o dwa zęby więcej. Wiedział, że Wielorybacy wybierali swych świętych mężów z racji ich fizycznych osobliwości, jak wykoślawione członki czy różnokolorowe oczy. Weles Libor przynajmniej tego go nauczył. Na myśl o kupcu Wali poczuł mdłości.

– Domen?

Święty mąż popatrzył na niego tępo.

– Domen. Bębny. – Wali wskazał na instrument w jego rękach.

– Domen.

– Vargøy?

– Domen.

Święty mąż pokręcił głową i skinął ręką ku wnętrzu namiotu, wskazując palcem na Feilega. Wydrapał w błocie coś na kształt nierównego okręgu i falistą linię. Wydłubał w ziemi niewielki otwór, położył w nim kamień i oblał go dokoła wodą z pojemnika.

– Vargøy – rzekł, wskazując na kamień. Potem zawył, rozchlapał wodę i na migi pokazał uderzenie w bęben.

Walięgo nagle olśniło – ten człek próbował zobrazować wyspę, wyspę wypełnioną wyciem wilków i rytmem bębnów.

– Domen? – dopytywał się Wali, wskazując na kamień.

– Aaaa! Dooerrrrmaaan – odparł mężczyzna, a Wali pomiarkował, że źle wymawiał nazwę.

– Tak, Domen.

Człek przytaknął.

– Jabbmeaaakka – stwierdził. Potem wskazał na namiot, potrząsnął płatem skóry u wejścia i dodał powoli: – Hel. Bogini. Walka – i warknął z gestem chwytania.

Wali zatoczył ręką koło w powietrzu, na migi pytając: którądy?

Święty mąż wskazał na wschód, kilka razy machając ręką, dając znak, że to daleka droga.

Wali nie czekał. Natychmiast zerwał się na nogi i poszedł we wskazaną stronę. Mężczyzna zawołał za nim w tym swoim niezrozumiałym języku. Księżę odwrócił się. Mężczyzna pokazał na niego, potem na siebie i ponownie na wschód.

– Zabierzesz mnie tam? – zapytał Wali i powtórzył gesty mężczyzny.

Święty mąż powoli skinął głową i zniknął we wnętrzu namiotu.

38. TO, CO W DUSZY GRA

Słońce wzeszło, po raz pierwszy odkąd udali się na południe. Nadciągała jesień, a zaraz za nią zima. Feileg niemal czuł smak lodu w powietrzu.

Dygotał z gorączki, a jego ciałem wstrząsały zimne dreszcze. Wyniesiono go pod sklepienie gwiazd i ułożono obok ogniska. Zwęszył chłód na trawie, atoli wonne języki ognia lizały go ciepłem. Jakaś mała dziewczynka gładziła go po włosach, a jej matka przyniosła mu koce. Obok niego ustawiono niewielkie podwyższenie z pniaka wykarczowanego drzewa. Na nim położono kamień oraz kij wyrzeźbiony na podobieństwo człowieka. Wyłożono ser i mięso. A potem jeszcze świerkowe gałązki. Opodał przywiązano renifera. Jeden z łowców podszedł do Feilega. Dotknął jego rany. Wilkoluda przeszył paroksyzm bólu, a na rękach mężczyzny pojawiła się krew. Człek wstał, podszedł do renifera i rozmazał krew na jego pysku i grzbiecie.

Coś gotowało się w kociołku, atoli Feileg wiedział, że nie jest to jadło. Zalaatywało czymś gorzkim, co wcale a wcale się mu nie podobało.

Był tam też Wali. Siedział, patrząc na wschód, do nikogo się nie odzywając, i nikt nie odzywał się do niego. Jeden z łowców zaczerpnął kubkiem z kociołka i przyłożył naczynie do warg Feilega. Ten przełknął, a gdy to robił, rozpoznał smak – bardzo podobny do wywaru, którym karmił go Kveld Ulf podczas ich rytuałów, napoju, który otwierał drzwi do jego wilczej natury.

Łowca sam wypił trochę, a potem podawał kubek wokół. Podszedł i do Waliego, lecz ten zdawał się zamyślony i nieobecny. Mężczyzna nie dał za wygraną i wepchnął kubek w dłonie księcia. Wali jakby nagle się obudził się z transu, wziął kubek i osuszył go do dna.

Potem zaczęło się bębnienie, a łowca zaintonował dojmującą, acz piękną pieśń. Inny zawtórował mu na niewielkiej kościanej piszczalce. Feileg dał się pochłonać muzyce. Bębnienie rozbrzmiewało raz po raz, a zaśpiew to się wznosił, to opadał, niby morska fala czy

głosy jego wilczych braci pomiędzy wzgórzami.

Niebo było szerokie i zjawiskowe; Feileg zobaczył przemykające w poprzek niego jasne smużki. Widział ludzi dokoła siebie, opiekujących się nim, i pomyślał, że są oni bardzo podobni do jego rodziny. Ujrzał nad sobą twarz matki, mówiącej mu, że żałuje, iż musiała go odesłać, że teraz może już powrócić do domu.

Pokazał mu się również mężczyzna od renifera, ale nie był już wcale człowiekiem, jeno reniferem o porożu utkanym z gwiazd. Na niebie był ktoś jeszcze. Gwiazdy skupiły się w kształt i opadły na ziemię pod postacią człowieka na gwiezdny koniu, z gwiezdny łukiem, na którego cięciwie błyskała strzała podobna kometcie.

– Ruohtta... Ruohtta... Ruohtta...

Inny łowca pociągnął renifera ku ziemi, choć ten ryknął w proteście. Potem zakwilił. Dźwięk piłowania. Coś znalazło się w rękach Feilega – para rogów. Wyciągnął je przed siebie tak, jak pokazywał mu łowca. Zaśpiew nie ustawał. Zobaczył, jak gwiezdny człowiek podnosi łuk, lecz nie mierzy w niego. Pomiarkował, kim jest ta postać – bogiem śmierci. Przyszedł po niego, lecz łowcy go zwiedli. Podobna do komety strzała pomknęła ku reniferowi. Zwierzę dobyło z siebie ostatni straszliwy ryk, a potem umilkło.

Feileg zadrżał. Kobiety i dzieci położyły się obok niego, swym ciepłem topiąc zimno gorączki. Pieśń wciąż rozbrzmiewała. Gwiezdny człowiek jednak nie odszedł. Zakładał na cięciwę kolejną strzałę, choć żaden z łowców zdawał się tego nie zauważać.

Wali z uwagą przysłuchiwał się dźwiękom bębna. Rozlegały się w nim i wokół niego. I nie były jedyne. Zza gór, za które zachodził pękaty księżyc, wtórował im inny rytm. Wali czuł smak wywaru, którym poczęstował go święty mąż, i już zbierało mu się na wymioty, gdy nagle poczuł, że bębny przejmują we władanie rytm jego serca.

Ktoś przemawiał do niego z wielkiej dali. Dźwięk bębnow zmaterializował się, był niby sznur rozciągający się nad górami, by go owinać i przyciągnąć. Posłyszał jakiś głos z daleka, chrapliwą intonację w dziwnym obcym języku.

– Jabbmeaaakka... Jabbmeaaakka... Jabbmeaaakka...

Wiedział, że miano to wypowiedane było z nienawiścią, nie zaś z uwielbieniem. Nie wzywano, a przeklinano. Coś życzyło

Jabbmeaaakce śmierci, a Wali, chcąc nie chcąc, stał się częścią tego życzenia.

Wywar przenikał jego umysł, odzierając go z niechęci poddania się głodowi, który go nawoływał. Spojrzał na swe ręce. Piękne były, tedy przyglądał im się przez dłuższą chwilę. Nigdy wcześniej nie pomiarkował, jak długie ma palce, jak bardzo spiczaste, bardziej jak szpony zwierza przynależące do człowieka. Zęby mu przeszkadzały, jakby nie mieściły się w ustach; nie mógł przestać ich oblizywać. Poczł ten smak. Ten rozkoszny smak, żelazo, sól i to bezmierne piękno, co nęciło niby pieczone mięso głodnego człeka. Krew. Ten głęboki i kuszący zapach krwi go przepajał.

– Jestem silny. – Powiedział to głośno. Bęben bił teraz szybciej, a głosy bardziej chrypiały.

– Jabbmeaaakka... Jabbmeaaakka... Jabbmeaaakka...

Wtem rytm jakby zmienił się w szaleńczy łomot, szybki niby skalna lawina. Była tam, wiedział, ta rzecz, którą nawoływali.

Ujrzał dziecko o twarzy kobiety, wychudzonej i pomarszczonej. Była okryta złotem, a kamienie szlachetne przylegały do jej skóry, zdając się lśnić niczym węzowe łuski. Obserwowała, jak uderzenia bębna owinęły się wokół niego, by go przyciągnąć.

Łomot niósł z sobą jakieś przesianie. Wali musi wyruszyć w długą podróż. Ona tam jest – Adisla, którą przybył odnaleźć.

Jego ostatnia myśl, gdy już przyszła, nie pochodziła z zewnątrz. Nie był to strumień symboli przesączający się do umysłu wraz z rytmem bębna, choć chyba właśnie do tego miało doprowadzić bębnienie. Nie wziął się od tej groteskowej pół-dziewczynki, pół-kobiety, spoglądającej spośród płomieni. Otaczająca go magia była jeno iskrą dla ognia, rozpalającą coś większego niż jęczyzek płomienia. Ta myśl przyszła z niego samego, z jego wnętrza. Odezwał się, by nadać jej kształt.

– Trzeba mi się pokrzepić.

Wstał. Człł się bardzo dziwnie; zdawał się sobie długi i kręty, bardziej jak coś z cienia niż z ciała. Wokół niego kręciło się mnóstwo rzeczy. Wyciągnął rękę, by je pochwycić, złamać, posilić się nimi. Poczł uderzenie i je odpędził. Słyszał krzyki, atoli zatracił się w zapachu mięsa. Pożerał łapczywie, czując jak lęk ofiary przenika go ekstatycznym dreszczem.

– Pokrzepiłem się – rzekł w końcu. Na ziemi walały się połamane rzeczy. Rzeczy, które dotąd były mu użyteczne, rzeczy, które wciąż mogły mu pomóc, pokierować nim i wskazać mu drogę. Już ich nie potrzebował; wiedział, gdzie zdąży. Szedł w stronę uderzeń bębna.

39. NATURA MAGII

Adisła już od miesięcy była na wyspie i ku jej zaskoczeniu traktowano ją tam bardzo dobrze. Sama nie wybrałaby jej sobie za dom – tej długiej płaskiej skały wyrastającej ze wzburzonego chłodnego morza – atoli jej obawa, że stanie się nałożnicą jakiegoś śmierdzącego Wielorybaka, okazała się bezpodstawna.

Ludzie okazywali jej dużo serca: przynosili jej mięso i gorzki chleb, jagody i solony ser, a nawet dawali jej cierpkie piwo do picia. Pozwalali jej też spać samej – w niskim stożkowym namiocie, z otworem na górze, umożliwiającym odprowadzenie dymu. I choć w środku było ciasno, mała kobiecina oddelegowana do opieki nad nią miała wprawę w układaniu ogniska, a Adisła wkrótce przekonała się, że namiot był mniej zadymiony niż długi dom.

Początki były trudne, ba, przerażające. Gdy dotarła tu po raz pierwszy, skała zdawała się roić od ludzi – trzech dziesiątek czy czterech. Wszyscy w zwierzęcych maskach, acz niepodobnych do skóry Feilega. Te były zręcznie sklecone z giętkich gałązek, ukształtowanych na podobieństwo pyska niedźwiedzia lub wilka, ptaka, renifera lub foki, i pokryte futrem lub piórami, wywołując straszny, przerażający efekt. Miejscowi ludzie bębnili, śpiewali i uważnie przyglądali się Adisli z bliska, choć jej nie dotykali ani nie krzywdzili.

Haarika poinstruowano, gdzie może znaleźć syna, z przestrogą, że zwiadowca obserwuje go z głównej wyspy, gotów zajechać renifera, by zarząć chłopaka, gdyby jego ojciec spróbował podstęp. Wielorybacy już nie pierwszy raz mieli do czynienia z wikingami i przezornie zażądali przysięgi, że nie spotka ich krzywda, gdy syn Haarika odzyska wolność. Mimo całej tej gadki o przemocy, król zdawał się cieszyć, że odpływa. Czuł typową dla woja niechęć do magii, chciał tylko odzyskać syna i czmychnąć najdalej, jak to możliwe.

Większość Wielorybaków wkrótce opuściła skałę – wśród nich i czarownik, który z nią podróżował – atoli Adisła została, pod opieką tej staruszki, w towarzystwie mężczyzny, co mienił się Noaidi. Mały był,

nawet jak na Wielorybaka, ciemnowłosy, z bardzo niebieskimi oczami, i stale nosił wilczą maskę, gdy poruszał się w otoczeniu skały. Nocami zwykle schodził na morze od strony otwartego oceanu i siedział u wylotu olbrzymiej pieczary, grając na bębnie i śpiewając w sposób, który zdawał się odtwarzać poszum wiatru. Przez wiele dni nie odezwał się do Adisli ani słowem. Lecz nagle, gdy była na wyspie już od tygodnia, pomiarkowała, że i ona sama nie próbuje nawiązywać rozmowy.

Pewnej nocy, gdy Noaidi nie wyruszył, by oddać się swemu rytuałowi, Adisla zobaczyła, jak zdejmuje maskę i wchodzi do namiotu. Podeszła i uklęknęła u wejścia. Mężczyzna leżał na futrach, a do ogniska wyraźnie dokładano dopóty, dopóki wewnątrz namiotu nie rozgrzało się niby kuźnia. W blasku ognia, bez maski, przedstawiał sobą szokujący widok. Musiał mieć jakieś dwadzieścia pięć wiosen, lecz był strasznie wymizerowany, z zapadniętymi policzkami i zaczerwienionymi oczami. Zrazu zdawał się jej nie zauważać. Adisla zobaczyła, że mężczyzna się trzęsie.

– Czemu tu jestem?

Noaidi spojrział na nią.

– Przykro mi – rzekł. Przypomnienie sobie właściwych słów przyszło mu z wyraźnym trudem, a gdy już je dobył, mówił wikińskim dialektem z silnym obcym akcentem, który przypominał Adisli raczej glos kota niż człowieka.

– Mówisz naszym językiem.

– Znam twój lud. Aż za dobrze. – Uśmiechnął się zdawkowo, a ona zrozumiała, że naprawdę jest bardzo chory.

– To czemu tu jestem?

Myślał przez chwilę nad odpowiedzią. Odkasznął i wziął łyk wody z kubka. Potem gestem zaprosił ją do środka. Wpełzła na kolanach do namiotu i usiadła bardzo blisko gorejącego ognia. Grzał ją niemilosiernie, lecz zignorowała to, chcąc wypytać tego, który ją więził. Czarownik zdawał się raczej oschły. Atoli znów posłał jej uśmiech i wyglądało na to, że cieszy go możliwość rozmowy, choć brakło mu tchu, a słowa dukał powoli.

– Nie będę cię okłamywał. W naszym wizjach ujrzeliśmy ducha, który, podług naszych przewidywań, ma nam wyrządzić wielką krzywdę – Jabbmeaaakkę, boginię śmierci, panią ciemnych miejsc i

mrocznych zakamarków umysłu. Wieszczba była jasna: ona przyniesie nam zgubę. Tedy zwróciliśmy się ku magii, by się obronić. Wpierw uderzyliśmy w nią. Bez skutku. Rok temu duch bogini spotkał jednego z naszych ludzi w zaświatach. O tu. – Postukał się w głowę. – Ona go zabiła. Ot tak. – Capnął ręką powietrze, jakby rozgniałał muchę. – Atoli ujrzyliśmy, że jej duch czyni potężną magię, magię, którą zaczęła przed wielu laty, nim jeszcze pomiarkowała, że zaczyna. Teraz szukamy sposobu, by obrócić tę magię przeciw niej. Tedy wytropiliśmy ciebie.

– Czemu akurat mnie?

– Zobaczyliśmy tu – znów postukał się po głowie – że tę magię można odwrócić dzięki tobie. Broń bogini stanie się naszą bronią. Do tego potrzebujemy potężnej magii. Jest też inny duch, wilczy bóg. Możemy go poszczuć na nią, jeśli tylko zdołamy go tu przywabić. I on tu przybędzie – szukając ciebie.

Teraz już trząśł się jak w febrze.

– A co się stanie, gdy wilczy duch przybędzie?

– Dzięki tobie – rzekł – urosną mu zęby.

– A czy duchy mają zęby?

Mężczyzna przełknął jeszcze trochę wody.

– Duchy i bogowie przybierają wiele form. Są tu – poklepał ziemię – i wszędzie. A ty jesteś jeno tutaj.

– A ty?

– Wszędzie. Czasami.

– Jak?

Znów poklepał ziemię.

– To jest stałe, póki to – postukał się w głowę – jest stałe. Gdy to – i znów głowa – staje się niby woda, wtedy to – ziemia – może odpłynąć. A gdy tak się zdarza, staję do walki z boginią. Nasze umysły się splatają i walczymy.

– Jak?

– Dzięki determinacji i cierpliwości. Podkradam jej magię. W tej chwili jesteśmy górą.

– Zdaje się, że to ci nie służy – zauważyła Adisla. – Wyglądasz niby żywy trup.

– Rzeczy, które od niej wygrywam... – jakby coraz trudniej przychodziło mu się wysłowić. – Nie odbierałbym jej ich, gdyby to nie było konieczne.

– Czy ona cię krzywdzi podczas tych potyczek?

– Nie bardzo. Zdaje się słaba lub zdekoncentrowana. Trudno orzec. By zrobić to, co nam zrobić trzeba, by uczynić tę rzecz, która ją zabije, musimy kraść jej moc. Krzywda nie tkwi w braniu, lecz w posiadaniu. Są takie rzeczy, w których drzemie olbrzymia moc – runy, symbole starsze niżli bogowie. Wyrwam je z korzeniami, odbieram je bogini śmierci i zasadzam we własnym umyśle. Utrzymywanie ich, jak się zdaje, wymaga zapłacenia straszliwej ceny.

– A ten runy pomogą cię zawezwać twego wilka?

– Tak sądzę. Ale pewności nie mam. Czasem go wyczuwam, innym razem nie. Niekiedy jest wilkiem, niekiedy człowiekiem. Widzę jego twarz i wiem, że przybędzie. Tego jestem pewien.

– Skąd ta pewność?

– Z wielu powodów.

– Uważaj, żeby wilk nie użył swych zębów przeciw tobie.

Noaidi skinął głową.

– Odwiedzałem go w snach i nawoływałem. Gdy przybędzie, spędam go. Zęby posłużą mu tak, jak powinny. Gdy już urosną, rzecz jasna.

Adisla nie przestawała wypytywać mężczyzny. Dowiedziała się, że Noaidi nie jest jego imieniem, raczej tytułem nadawanym czarownikom w tym regionie.

Naprawdę mienił się Lieaibolmmai, co Adisli bardzo trudno było wymówić. Został szamanem, gdyż jako dziecko objawił talent do wieszczbiarstwa.

– Całe życie – ciągnął – widziałem, że ten dzień nadejdzie. Całe życie wiedziałem, że Jabbmeaaakka mnie zaatakuje.

Ogień w namiocie wciąż się palił. Czego nie można powiedzieć o chęci obojga do kontynuowania rozmowy. Pogrążyli się w długim milczeniu.

Adisla pomyślała, że Lieaibolmmai zdaje się poczciwym człkiem i nie mogła uwierzyć, że ma wobec niej złe zamiary. Po dłuższym czasie zadała pytanie, które najbardziej nie dawało jej spokoju.

– Złóżcie mnie w ofierze?

– Nie wiem.

Spojrzała mu w oczy, lecz nie zobaczyła tam niczego, co by ją

uspokoilo.

– Będę cierpieć?

– Nie – rzekł, atoli spuścił wzrok, uciekając spojrzeniem. – Magia jest niby mowa. Niby wiesz, co chcesz powiedzieć, ale gdy otwierasz usta, nie dobywasz z nich odpowiednich słów. Jego umysł, tego, który przybywa, musi się otworzyć; trzeba go szokiem zmusić do otwarcia. Wtedy duch w pełni zstąpi na ziemię. Może jego umysł otworzy się bez ciebie, a może nie.

– Który duch?

– Wilka. Wilka, który nas obroni.

Potem zamilknął na dobre.

Po miesiącu, pod ciemnoszarym niebem, na wyspę od strony kontynentu przybyły łodzie z ludźmi. W bladym świetle późnego dnia poprowadzono Adisłę pod pieczarę Lieaibolmmaia. Była to ogromna wyrwa z boku ściany, dwa razy wyższa od człowieka i trzy razy szersza. Obsypana stertą kamieni, tonęła w gęstym mroku. Czarownicy zebrali się u jej wylotu, spoglądając w ciemność przez zwierzęce maski.

– W dół – rzekł Lieaibolmmai do Adisli. Teraz nie był już przyjazny, lecz poważny. Śmiertelnie poważny. Nosił wilczą maskę, tedy jego twarzy nie było widać, atoli Adisla widziała, że czerwone szaty wiszą na nim luźno, jakby zdecydowanie za duże. Mówił cicho, niby człek trawiony gorączką, a ona zobaczyła, że pomimo chłodnego dnia ma na karku pot.

– Po co?

– To tam są duchy. To tamtędy mogą przyjść. To tam wilk zstąpi na ziemię.

– Nie pójdę.

Lieaibolmmai zachwiał się lekko, jakby jej odmowa sprawiała mu ból.

– Póki nie przyjdzie, tam będziesz bezpieczniejsza.

– Nie pójdę.

Zdjął maskę i spojrzał na dziewczynę.

– Proszę – rzekł z życzliwością w oczach. – Łatwiej będzie, jeśli się zgodzisz.

Podszedł doń inny Noaidi i go podtrzymał. Lieaibolmmai drżał, stojąc sztywno, niby drzewo ostatkiem sił opierające się rozszalałej wichurze. Mało prawdopodobne, by człowiek, który z własnej woli

poddawał się takim katuszom, tolerował kolejne próby oporu.

Adisła pomyślała o tym, co zrobiła własnej matce, o rozpacz, co jak ten pies skomlała w jej głowie każdego dnia i o swej, najwyraźniej nikłej, szansie na to, że kiedykolwiek powróci do normalnego życia. Potem zeszła do pieczary wraz z resztą Noaidich. Ku jej zaskoczeniu, Lieaibolmmai poszedł z nimi.

W miejscu, w którym korytarz zwężał się i zniżał tak bardzo, że musiała pochylić głowę, by się precyzyjnie, znajdował się gwałtowny spadek. Pionowa rozpadlina. Opośadał o ścianę opierał się płaski głaz, duża skalna płyta. Pod nim znajdowało się kilka drewnianych klinów. Adisła spojrzała i przeszedł ją dreszcz. Na bogów, przecież oni zamierzali ją tam zamknąć!

Lieaibolmmai złowił jej spojrzenie.

– To tylko na wszelki wypadek – uspokajał. – Jeśli okaże się człowiekiem, jak się spodziewamy, nie będzie takiej potrzeby.

Adisła zastanawiała się, co też Noaidi ma na myśli, atoli wołała raczej nie znać odpowiedzi, więc już nic nie powiedziała.

Jeden z Noaidich pokazał jej, jak się obwiązać liną, by zsunąć się w dół. Gdy opadała, towarzyszyły jej jeno ciemności i zapach mokrej skały. Zniżyła się na jakieś pięć wysokości człowieka i poczuła pod sobą nierówne podłoże. Nie była tam sama – Lieaibolmmaia też opuszczono na linie, zwiotczałego niby wisielec. Odwiązał się i siedział przez chwilę, ciężko dysząc. Potem delikatnie popchnął ją w mrok.

Ostrożnie posuwała się do przodu, jedną ręką obmacując sklepienie, drugą – boczną ścianę, stopami wyszukując kolejne uskoki. Szli i szli, aż uszli całkiem spory kawał, jak się zdawało. Wtem poczuła, że korytarz się rozszerza; Lieaibolmmai nakazał jej się zatrzymać. Skrzeszał parę iskier i podpalił knot w lampie z olejem wieloryba. Z ciemności wychynęła wprost na Adisłę głowa wilka, z obnażonymi kłami i wściekłym spojrzeniem. Krzyknęła, lecz szybko pomiarkowała, że była to jeno rzeźba, choć wielce przerażająca. Przyćmione światło wydobyło z mroku jaskinię, pokrytą wysmarowanymi runami, gdzie strumyczek wody sączył się do sadzawki na tyłach. Szaman wepchnął jej w ręce krzesiwo i trochę podpałki, postawił obok na ziemi sak i zdjął swój gruby płaszcz z renifera.

– Dla otuchy – rzekł.

- Co tu się dzieje? – zapytała Adisla.
- Magia jest niby mowa. Pozwól nam ujrzeć właściwe słowa.
- Na co mam czekać?
- Zobaczysz w swoim czasie.
- Jak długo jeszcze? Ile czasu muszę tu być?
- Niedługo, jak sądzę. Trudno powiedzieć. Szykujemy magię najlepiej, jak umiemy. Czasem trudno go znaleźć. Dziś. Za wiele dni. Nie wiem.

Z góry doszły ich dźwięki bębnienia i inkantacje.

Lieaibolmmai posłał Adisle smutny uśmiech. Potem się odwrócił i pochłonał go mrok. Adisla posłyszała jeszcze odgłos dźwigania go na górę i delikatne szuranie wciąganej liny. Została sama, pośród ciemności i wilgoci.

40. POLOWANIE NA WILKA

Feileg się obudził. Wokół niego rozlegało się krakanie kruków. Gorączka ustąpiła, a rana zaczynała się goić. Usiadł i rozejrzał się wokoło. Chwilę potrwało, nim rozum ogarnął to, co ujrzały oczy. Tam bowiem, gdzie wcześniej otaczała go rodzina, jej serdeczne uśmiechy, gdzie płonął ogień, teraz była jeno ruina.

Rzecz jasna, już nie pierwszy raz miał do czynienia ze zwłokami, nierzadko przez siebie uśmierconych ludzi, atoli nigdy nie widział na oczy czegoś choćby podobnego do tej krwawej jatki. Ciała zostały straszliwie poharatane; mężczyzn nie sposób było odróżnić od kobiet, a dzieci od zwierząt. Jak długo tu leżał? Spojrzał na trupy. Zaczynały już gnić.

Głędana scena nie napawała go wstrętem, ni żołądek nie podchodził mu do gardła, co mogłoby stać się udziałem człowieka, który nie przeżył połowy życia jako wilk. Atoli Feilega przeszły ciarki. Odkąd zaczął poszukiwania dziewczyny, powracało do niego człowieczeństwo; cierpienie zaczęło ponownie coś znaczyć. Czuł lata, których brutalnie pozbawiono dzieci łowców, czuł zabrane im czułości i radości. Ponownie pomyślał o swej matce, o rozstaniu z rodziną, które odczuł niby utratę kończyny.

Głowił się, co począć. Nie miał pojęcia, jakie ci ludzie mieli zwyczaje albo jak powinno się obchodzić z ich zmarłymi. Ptaki już tu były, a wiedział, że i wilki niedługo się pojawią, gdy ciemności potrwają na tyle długo, by mogły podejść niezauważone. To mu się zdało dobrym rozwiązaniem, tedy jeno odłożył ich rytualny kamień na pień, który służył za ołtarz, postawił obok bęben i odszedł.

Nietrudno było wysledzić Waliego. Ziemia była mokra, acz nie rozmiękła, przeto miejscami ślady stóp księcia od razu rzucały się w oczy. Gdzie indziej trawę znaczyła krew.

Feileg pomyślał o tym, co widział na łodzi, o ucieleśnieniu nawałnicy, którym stał się Wali. Przed oczami stanął mu widok księcia posilającego się pomiędzy ciałami. Wilkolud, choć niemało śmierci

spowodował swymi rękoma i zębami, w życiu nie kosztował ludzkiego mięsa. Nigdy nie miał takiej potrzeby w zimie, gdy zwierzęta były słabe i łatwo padały jego łupem, ni sposobności latem, gdy większość podróży odbywano morzem. Zresztą Kveld Ulf nie uczył go podobnych praktyk, wiedział bowiem o chorobach, których można się nabawić od kanibalizmu, i szaleństwie, które praktyka ta za sobą pociąga.

Był pewien, że to Wali zaatakował łowców reniferów. Urok, pod którym się znajdował, pochłonął go całkowicie. A mimo to Feileg czuł, że nie ma innego wyboru niż podążać za księciem. Ten szukał Adisli, co oznaczało, że obaj dążyli do tego samego celu, spleceni nicią przeznaczenia i miłością do tej samej dziewczyny. Atoli gdy już uwolni Adisłę i ona go poślubi, poprosi ją, by zwolniła go z przysięgi i zabije Waliego.

Przez wiele dni szedł śladem Waliego na wschód, polegając na węchu, śladach i intuicji łowcy. Na przełęczy pomiędzy jakimiś ciemnymi górami natknął się na jaskinię. Czuł, że Wali się w niej zatrzymał na dłuższy czas. Książę stracił już wiele ze swej normalnej powściągliwości, czego najlepszym dowodem było leżące na ziemi u wylotu jaskini ludzkie gówno. Feileg dostrzegł, że było ono lepkie i pełne niestrawionych resztek. Pachniało krwią. To potwierdziło jego obawy.

Nie chciał tam spać, tedy ruszył za Walim przez przełęcz.

Gdy tak zdążał na wschód, robiło się coraz zimniej, a niebo coraz bardziej szarzało. Krajobraz stał się bardziej jałowy; rachityczna tundra karłowatych drzew i krzewów zdających się kurczyć na wietrze. Feileg jadł to, co zabrał z łodzi – nie potrafił się zmusić do wzięcia jadła rodziny z namiotu, choć wiedział, że by mu się przydało. Pił ze strumieni, a gdy padało, krył się w jaskiniach i wykrotach. Mijały tygodnie, a on jął odnajdywać oznaki tego, że Wali nie porusza się już tak szybko jak wcześniej. Książę regularnie się zatrzymywał, raz to w jaskiniach, raz to pod gołym niebem, atoli teraz pozostawiane odchody pachniały inaczej. Prócz woni człowieka było w nich coś jeszcze. Coś, co Feileg znał lepiej niż jakikolwiek inny zapach na świecie. Zapach wilka.

Po kolejnych wielu dniach podróży góry się skończyły, a Feileg znalazł się na skraju rozległej równiny schodzącej ku niskim pagórkom nad morzem. Rozejrzawszy się trochę, znalazł miejsce, gdzie trawa

została spłaszczona. Podążył za śladami i przed sobą ujrzał rzeszę kruków. Gdy podchodził, hurmą wzbily się w niebo, niby duchy, podrywając się z ciała, które skubały. Nieboszczyk okazał się łowcą. Feileg podniósł leżące opodal łuk i strzały. Nie używał ich od dziecięcych czasów, jak i innego oręża, atoli teraz każda pomoc była mile przez niego widziana. Kruki obserwowały go z oddali.

– Posilicie się, gdy już skończę, lecz ani chwili wcześniej – krzyknął.

Przykłęknął nad trupem. Czaszka była przerżnięta na dwoje. To nie ptaki mu to zrobiły.

Dalsze pół dnia wędrówki przyniosło kolejne odkrycie. Widział, że coś odpoczywało pod osłoną skały, a przygnieciona trawa sugerowała, że nieprędko się wyniosło z tego miejsca. Prowadziły stąd ślady, atoli nie Waliego. To było coś większego, coś na dwóch nogach, acz stawiające ogromne kroki. Feileg obwąchał ślady stóp, wyczuwając tę samą sygnaturę: wilk. Dalej zauważył też inne tropy – racice renifera i szerokie koleiny po saniach na mokrej trawie – które zatarły wszelkie ślady księcia. Nad łędem zawisły ciemne chmury. Wielkie płatki śniegu jęły spadać na ziemię i skórę Feilega, drażniąc ją chłodem.

Zgubiwszy trop Waliego, Feileg po prostu podążył czymś, co wyglądało jak ścieżka ku morzu. Jak długo już śledził księcia? Księżyc dwa razy zdążył stanąć w pełni, a teraz, gdy już się pojawiał, przypominał srebrny sierp na nocnym niebie. Atoli tej nocy nie miał być widoczny. Nadciągała niepogoda, a w okolicy ani widu schronienia. W ciągu tych dwóch miesięcy Feileg odzyskał siły, tedy dotąd utrzymywał niezgorsze tempo. Wtem spostrzegł wyspę. Długi płaski bochen skały, niby odbicie chmur, białą wyrwę w ciemnej tkance morza.

Był bez płaszcza, nosił na sobie jeno wilczą skórę i wytarte spodnie, które Danowie na dworze Hemminga dali mu z litości, koszulę i opończę zabraną z okrętu. Miał coś jeszcze, by uchronić się przed chłodem, ale się zawahał. Zabrał łup z drakkara Danów, i od tego czasu dyndał mu wokół szyi, aliści dotąd nie zdobył się na odwagę, by go użyć. Już samo jego dźwiganie zdawało mu się zdradą zasad wpojonych mu przez Kvelda Ulfa. Atoli teraz dostrzegł w nim sens. Przez większość życia podczas chłódów zwyczajnie owijał stopy kawałkami skóry renifera. A teraz, po raz pierwszy od dawien dawna, Feileg wzuł

parę butów. Były trochę za duże, acz dość wygodne. Zastanawiał się, czy powinien wypchać je trawą, by je ocieplić, jak to robili kmiecie.

W głowie posłyszał głos Bragiego: „Czyżbyś mi tu wymiękał, synu?”. Feileg uśmiechnął się w duchu, a wspomnienie rozgrzało go bardziej niż jakakolwiek odzież.

Zwęszył coś w podmuchu wiatru. Renifery. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Doszedł go tętent racic, ten charakterystyczny dźwięk, który wydają nawet na miękkiej trawie. Intuicja podpowiadała mu, że zwierzęta przystanąły. Ruszył przed siebie, przez krainę wzbierającego mlecznego puchu, biegi już, by nie dopuścić do siebie chłodu, z nadzieją, że zabije renifera i wpełźnie na noc w jego ciepłe wnętrze. W błędnym świetle dnia zauważył ruch i pomiarkował, iż renifery miały towarzystwo. Wokół nich przemykały jakieś postacie; zwierzęta były przywiązane do płaskich drewnianych sanek.

Feileg zwolnił i przeszedł do chodu. Po przeciwnej stronie wyspy zauważył niewyraźne sylwetki zmierzające ku górze, jakby spieszyły na jakieś zgromadzenie.

Dotarł nad niski klif nad krótką plażą ze srebrzystych kamyków. Morze pod nim zdawało się gniewać. Bębnienie i wycie niosły się po wodzie, dobiegając jego uszu. Zaczął się czuć bardzo dziwnie, jakby tracił panowanie nad członkami. Poszedł dalej, tam, gdzie renifery, i zobaczył coś na kształt własnego lustrzanego odbicia. Człek obok sanek nosił wilcze futro, niemal takie samo jak on, jeno białe. Zaś kolejny przyodziął się w płaszcz z czarnych piór; włosy miał przystrzyżone i postawione na sztorc, niby ptasie pióra. Nie zwrócili na niego uwagi, dokończyli pętać nogi zwierzętom i zeszli ku plaży. Poszedł za nimi w stronę morza, gdzie tamci zaczęli spychać małą łódkę na wzburzoną wodę.

Feileg działał teraz pod wpływem impulsu; jego umysł wypełniały wycie i bębnienie. Musiał znaleźć schronienie. Ci ludzie mogli mu je znaleźć. Odrzucając łuk łowcy i strzały, pognął przed siebie, pomógł zepchnąć łódkę i wszedł na nią wraz z tymi dwoma. Nie odezwali się ani słowem, jeno podźwignęli go na pokład. Zaczęli krótką, acz przerażającą, podróż na wyspę.

Łódka przybiła do malutkiej plaży pod klifem. Jęli gramolić się na górę. Łomot przybrał na sile, a podczas wspinaczki towarzysze Feilega dobyli własnych bębnow i przyłączyli się do rytmu. Na górze

Feileg znalazł się na płaskowyżu. Pięć dziesiątek ludzi w zwierzęcych maskach stało naprzeciw niego, a każdy bębnił, zawodził, szczeakał lub ryczał. Ten widok go sparaliżował.

Wtem, jakby na komendę, zapadła nagle cisza. Ludzie się rozstapili, a mały człek w wilczej masce postąpił naprzód. Był słaby i wyraźnie cierpiał z bólu. Podszedł do Feilega, spojrział mu w twarz, potem odwrócił się do swych braci i powiedział coś w nieznanym języku.

Bębnienie ponownie ożyło, a Feilega pochwytyły czyjeś ręce. Przed twarzą wymachiwano mu talizmanami i ikonami, oblewano go wodą, a potem poniesiono go w głąb wyspy. Opierał się, walczył, szamotał i obalał ludzi na ziemię, atoli było ich zbyt wielu – pchając, niosąc, kopiąc i okładając obuchami, popędzali go do przodu. Dobyto powrozów i zarzucono je na niego; gdy się wyswobadzał, oplątywały go kolejne. Bębnienie zdawało się pozbawiać go sił, i w końcu, jak nietrudno było przewidzieć, został spętany. Choć wtedy już więzy nie były konieczne. Bębny zdążyły już bowiem wemknąć się do jego umysłu, skutecznie unieruchamiając członki.

Zaciągnięto Feilega do jaskini, do jej olbrzymiego wylotu, który zdawał się zmieniać zbrocze w rozdziawioną paszczę jakiegoś szkaradnego potwora. Wepchnięto go do środka przy rozedrganym świetle lamp, a gdy schodził w dół, długie cienie wyciągały się ku niemu niby wszędobylskie odnoża pajaków. Wtem, kędy podłoże opadało, człek w wilczej masce postąpił naprzód, w jednej ręce dzierżąc pochodnię, a w drugiej połyskliwy żelazny nóż.

– Panie – rzeki po wikińsku. Skłonił głowę i odwrócił Feilega w stronę mroku. Płynnym ruchem przeciął mu więzy na rękach i silnie popchnął go w płecy.

Feileg próbował się odwrócić i zaatakować, ale jakoś nie mógł zmusić ciała do posłuchu. Runął w ciemność. Wylądował twardo, a upadek na chwilę pozbawił go powietrza. Gdy przyszedł do siebie, posłyszał przyspieszony oddech kogoś starającego się opanować, a mimo to zachłystującego trwogą.

– Kto zacz? – zapytał płaczący głos.

– Pani? – odparł Feileg.

Odpowiedział mu szloch. Był pewien, że to Adisla. Mimo łkania nie wątpił, że to jej głos.

- To ty? Poprzysięgłem cię chronić, pamiętasz? Adisla, to ty?
- To ja – potwierdził głos.
- Pani – rzekł, a ona przyłgnęła do niego, wypowiadając jego

imię.

Ponad nimi ucichło bębnienie.

Lieaibolmmai odwrócił się do braci. Przemówił głosem słabym, acz stanowczym.

– Już nie jest spętany, a duch go odszuka. Gdy wilk zgłodnieje, wyłoni się i zrobi to, co trzeba, by przyjąć boga.

Ponownie ozwały się krzyki i wycie, choć bardziej przenikliwe. Adisla w mroku tuliła do siebie Feilega.

– Zabijesz mnie?

– Zginę za ciebie – rzeki wilkolud, rozwiązując więzy u kostek.

Na górze Lieaibolmmai usiadł i wyjął bęben. Minęły już dwa miesiące od rozpoczęcia ostatniego etapu inkantacji przywołującej wilka; czarownik obficie spływał potem. Choć jego magia stale rosła w siłę od dnia, w którym zmierzył się z Jabbmeaaakką, boginią zaświatów, nie miał pewności, czy wilk naprawdę przybędzie. Odpowiednie ukształtowanie magii, by go przywołać, zabrało całe lata, wiele miesięcy mozolnej pracy. Potem wyrwał coś bogini, jasną błyszczącą runę, która zdawała się giętka, rosnąca niby drzewo. Medytował nad tym symbolem w swej inkantacji i czuł, że wilk zbliża się do niego. A tu raptem, dwa miesiące temu, coś się zmieniło, i stracił to stworzenie. Tak mu się przynajmniej zdawało. A jednak przybyło, i było dokładnie takie, jakim je ujrzał tego pierwszego dnia na moczarach. To właśnie tę twarz zobaczył w wizjach. Czarownik mógł oddać się przemianie.

Miesiąc, może dłużej, potrwa, nim osiągnie to, czego było mu trzeba, aliści Lieaibolmmai nie miał nic przeciwko czekaniu. Jakiś czas temu rozesłał umyślonych po całym swym kraju, zaważwał wszystkich mądrych mężów, odciągając ich od polowań na wieloryby i renifery, a teraz był gotów zebrać owoce swych wysiłków. Wiedział, że wielu Noaidich jest słabych i nie przeżyje do końca rytuału, że niektórzy przemierzili niezliczone kilometry, by się tu dostać. Mimo to był kontent. Ten czy ów odłączy się, lecz inni zajmą jego miejsce. On i ci, którzy go zaczęli, będą mogli odpoczywać i ponowie przyłączać się do rytuału podług własnego uznania.

Czuł się fizycznie wyczerpany, lecz gotów. Niedysiejszy pojedynek z boginią przydał mu magicznej mocy. Wydarł jej wiedzę, widział, jak przepadają jej osiągnięcia i zmusił ją do przekazania mu tajemnic, tych wrzaskliwych run, które zabierał ze sztywniejących rąk martwych sióstr. Ta bitwa jednak i jego kosztowała niemało. Runy wibrowały mu w głowie, spędzając sen z powiek, napełniając go dziwną energią i niepożądanymi wrażeniami. Lieaibolmmai był człkiem dobrodusznym, acz nie dość silnym, by oprzeć się symbolom. Bez ustanku czuł się chory, rozkojarzony i wcale szalony.

Pomyślał o runie, co była niby włócznia, długa i spiczasta. Skupił się na niej, by przydać sobie zdecydowania. Tak też się stało, choć obudził się w nim również niebываły gniew. Runy były szalenie niebezpieczne i nie dawało się ich kontrolować – niektóre rozszalałe niby rwący strumień obrazów i dźwięków, który groził pozbawieniem zdrowych zmysłów, inne objawiające swój wpływ w łagodnej postaci, acz z drugim dnem głębokich prądów wciągających w paszczę szaleństwa.

Śpiew rozlegał się bez przerwy, a noce się wydłużyły. Na niebie pojawiły się cudowne kolorowe smugi, lisie ognie wzywające duchy niebiańskich lisów na zgromadzenie³⁷. Lieaibolmmai wiedział, że omen nie może być lepszy. Lis był bowiem najbardziej magicznym ze stworzeń i pobłogosławił ich obrządek, uderzając ogonem w śnieg, aż iskry poleciały ku niebu w odcieniu świecącej zieleni.

Skupił się na obrazie, który widział kiedyś w umyśle, wyobrażeniu leżą mrocznej bogini, na tym straszliwym urwisku. Musiał zaszcześcić ten widok w umyśle wilka, by ten wiedział, gdzie ma się udać, gdy po przemianie wyłoni się z jaskini.

Przez dwa tygodnie śpiew nie ustał ni razu. Feileg i Adisla, pogrążeni w mroku, całkowicie stracili poczucie czasu. Do jedzenia mieli jeno to, co w plecaku, do picia – jeno wodę w ciurkającym strumyczku. Adisla, mniej nawykła do fizycznych trudów niż Feileg, gasła w oczach.

³⁷ Lisi ogień (dosł. tłumaczenie fińskiego *revontulet*) oznacza zorzę polarną; określenie pochodzi z legend o lisie z północy, który miał biec przez śnieg, zamiatając ogonem i posyłając płatki ku niebu; dawniej zorzę często uważano za omen.

Feileg zaś, choć jego ciało pozostawało silne, pod wpływem nieustannej inkantacji odchodził od zmysłów. Pocił się i kasłał, gdy nawiedzała go wizja Ściany Trolli. Nie była mu nieznaną, tak jak czarownikom. Niegdyś wielokrotnie polował w tamtej okolicy, chodził po krainie u stóp tamtej góry i spoglądał na nią z nabożnym lękiem.

– Działaj, a wtedy opuścisz tę pułapkę. Wyrusz ku swemu przeznaczeniu – mówił jakiś głos w jego głowie. – Zabij i bądź wolny.

Czuł przemożną chęć, by coś uczynić, atoli nie wiedział co. Pragnął się do czegoś zbliżyć. Tylko do czego? Przez tę niewiedzę czuł się nieszczęśliwy i skonfundowany. Był niby ten niewolnik, co nagle odkrywa, że jego pan wykrzykuje polecenia w niezrozumiałym języku; chciał działać, lecz nie wiedział, co począć. Adisla poczuła, że Feileg się trzęsie. Sama była słaba i okropnie głodna.

Na zewnątrz, na powierzchni, w bladym świetle arktycznego świtu, Lieaibolmmai, nienaturalnie rozbudzony, czuł się, jakby przekroczył granicę zmęczenia. Odłączył się od rytuału, by trochę się posilić, by dać odpocząć głosowi i po raz pierwszy od wielu dni postarać się zasnąć. Teraz już niemal nie słyszał śpiewu. Ze wszech stron otaczały go runy, jak gdyby miały własną świadomość – unosząc się w powietrzu, bulgocząc, trzaskając, sycząc, czasem nawet rozbrzmiewając głęboką muzyczną nutą. Już mu jednak pomogły. Osiągnął wyższy stan, w którym mógł czuć zwierzęce serce tego wilka w jamie i przemawiać do niego, kierować nim, wskazywać mu, gdzie ma się udać. Wcześniej już wielokrotnie kontaktował się z wilkiem za pośrednictwem długich i skomplikowanych rytuałów, odzywał się do niego ze znacznych odległości, i słyszał odpowiedź zwierza. A ten w jamie zdawał się zwykłym człowiekiem. Jednakowoż Lieaibolmmai wiedział, że to on – to jego twarz ukazały mu runy. Uznał to za kolejne zawirowanie magii, kolejny owoc obłędu, w który sam się wpędził.

Wtem szare powietrze przeszło wycie. Lieaibolmmai zadrżał, nie mogąc pojąć, dlaczego go to dziwi, ale czując niepokój. Pozostali Noaidi na skale popatrzyli po sobie. Im też wycie wydało się osobliwe. Nie zgadzała się perspektywa, o ile w przypadku dźwięku można mówić o perspektywie. Brzmiało, jakby dochodziło z daleka, głucho, acz zarazem głośno, jakby z bliska. Nikt nie pomyślał o najprostszym wyjaśnieniu. Takim mianowicie, że odgłos wydawało stworzenie o wiele większe niż każdy wilk, jakiego dotąd słyszeli.

Tymczasem w jaskini Feileg poderwał się z ziemi, czując zimną trwozę. Wiedział, lepiej niż ktokolwiek, że to wołanie wilka było czymś nienaturalnym.

Lieaibolmmaia straszliwie bolała głowa, lecz mimo to się uśmiechnęła. Wilki z doliny uświetniały przybycie wilczego boga, tego był pewien. Wycie z głównej wyspy rozległo się ponownie. Bardzo głośne, pomyślał czarownik, zaiste, bardzo głośne. Noaidich przeszła fala strachu i ekscytacji zarazem. To wycie było jeno skutkiem ubocznym magii, uspokajali się. Nie wątpili, że oto nadchodzi obrońca.

W dole, na plaży, wołając ku nim, wysiadał właśnie z łodzi jakiś młodzieniec. Po akcencie Lieaibolmmai rozpoznał w nim Noaidiego ze wschodu. No tak, ci jak zwykle spóźniają się na ceremonię. Ucieszył się z tej myśli, uradował z chwilowej łączności z przyziemnym światem, z dala od przerażającej obecności run.

– Wilk! Wilk nadchodzi! Jest tuż-tuż! – wrzeszczał młodzieniec.

Lieaibolmmai przysunął się do ognia. Czyżby ten chłopak naprawdę wyczuwał wilka, czy raczej po prostu starał się nadrabiać entuzjazmem tam, kędy nie stało mu punktualności?

– Dobądź bębna i przyłącz się, bracie – odkrzyknął mu mężczyzna obok Lieaibolmmaia, głosem zachrypniętym od śpiewu.

– Czarny wilk z oczami niby lisi ogień! On jest tam, na równinie! On tam jest!

– On jest tutaj – rzeki Lieaibolmmai.

Podmuch wiatru zmroził mu ramię. Odwrócił się, by spojrzeć na Noaidiego obok siebie. I ze zdziwieniem zobaczył, że mężczyzna, choć wciąż stoi, nie ma już głowy.

41. WILKOŁAK

Wali się zgubił, naprawdę pobłądził. Bębny już go nie nawoływały. Wciąż słyszał je w głowie, atoli nie czuł już pragnienia, by za nimi podążyć. Rytm przybrał na sile. Rozumiał jego żądania – nakazywał mu rozwinąć się we wnętrzu, dopełnić się. Okazał się jednak łatwy do zignorowania. Wali zdążył już zabić kilka stworzeń i to pomogło mu urosnąć, jak sobie przypominał. A gdy spotęźniał, bębny straciły nad nim władzę. Mimo to i tak się rozwijał, ale pod wpływem własnej magii, gwałtownej i nieodpartej, niby fala przyboju.

Choć jego ciało przepelniał wigor, to umysł dopadło zaćmienie. Miał problemy z uporządkowaniem myśli. Przemykały mu przez głowę obrazy z życia, pojawiając się i zaraz znikając, niby góry w okrywie przelotnych chmur. Czuł tęskne pragnienie, młodzieńczą świerzbłącą pokusę działania, atoli nie potrafił wymyślić, co też chce uczynić. Nie spał od wielu dni i miał wrażenie, jakby nie pasował do swej skóry. Raz serce łomotało mu bez powodu i bał się, że umrze, a potem nagle ogarniał go błogi spokój i, nie wiedzieć czemu, czuł zadowolenie z siebie.

Spojrzał na swe ciało i zdało mu się ono czymś pięknym. Ręce miał silne i ogromne, mięśnie potężne i mocno zarysowane, a zęby jawiły się w ustach niby lśniące noże.

Miał świadomość tego, że zapomniał o wielu, naprawdę wielu rzeczach. Nie potrafił odszukać w pamięci tego, jak właściwie znalazł się w tej jaskini. Przez chwilę czy dwie przypominał sobie, czemu tak ważne było zrozumienie przyczyny tego, że leży nagi pod ziemią, z dala od wszystkiego, co poznawał. Atoli wkrótce wylatywało mu to z głowy, a chęć poznania własnego losu zanikała. Bez trudu jednak przypominał sobie wyśmienity smak mięsa, które się poruszało, a potem zatrzymywało, zdobyczy, która oddawała mu swą moc, i miał wrażenie, że trawiąc mięso swych ofiar, wchłaniał również ich wspomnienia, a raczej nastroje i odczucia.

Przez jakiś czas Wali bawił się kamieniami na dnie jaskini,

rzucając jednym o drugi, jakby był dzieckiem. Siedział z nieskończoną cierpliwością, obserwując padający śnieg, jak mogłaby robić kobieta czekająca na powrót łowcy. Wyobraził sobie mężczyznę, którego zaskoczył w dolinie, zobaczył trzęsące się ręce próbujące założyć strzałę na cięciwę. Wspomnienie strachu łuczника było wyborne – pachniało niczym piekącą się chleb.

Gdy spał, nawiedzały go częste sny o Adisli. Ale też o wilku. Spętanym, boleśnie okielznanym więzami, które wrzynały się w ciało. A ten okropny miecz nie dawał szcękcom się zawrzeć! Ogarnęło go jedno z tych dziwnych uczuć, które mają sens li tylko we śnie. Zamrugał, porażony światłem poranka. Śnił o wilku, jak wiedział, ale zdawało mu się, że wilk też śnił o nim, albo raczej – śnił jego. Miał wrażenie, że nie istnieje poza umysłem boga, a granica między nim a wilkiem jest czymś nad wyraz nikłym, niemal nieznaczącym dla ich zgodnej wspólnoty bólu. Po wielokroć odczuwał jego zniewolenie jako własne, miażdżące, związane, skrępowane wrażenie, które nagle ustępowało, błyskawicznie przeradzając się w ulgę i zadowolenie. Gdy się przebudził, kończyny miał dłuższe, a zęby większe.

Nie wiedział, jak długo spoczywał w tej jaskini – tygodnie czy miesiące – atoli było mu chłodno, gdy jasność umysłu w końcu do niego wróciła, w chwili między głodem a nasyceniem. Zupełnie jakby ta równowaga pragnień uwolniła jego myśli.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzył się wokół. Padał śnieg, niebo było zachmurzone, a światło anemiczne. Brzask. Powietrze tonęło w zapachach. Za górami w tyle poruszał się jakiś niedźwiedź – spóźniony na sen zimowy, jak wyczuł – a w dole na równinie zbierali się ludzie. Hen w oddali majaczyło morze, fioletowe i niebieskie, a pośród niego wyspa. To tam zdążali ci ludzie; zwęszył, jak poruszają się, przemierzając równinę. Śmierdzeli potem i brudem, silnie i nęcąco. Były z nimi renifery, jeden wykastrowany, może więcej? Ich kał i mocznik wydzielały mało intensywną woń.

Przez nieruchome powietrze doleciały go głosy. Zamienił się w słuch. Trzy odległe tętna, jedno zwierzęce, dwa ludzkie. Teraz zobaczył: dorosły i młodzieniec prowadzili renifera ciągnącego sanki, do których przytwierdzono sak z żywnością i płytki bęben.

Zobaczył, jak spoglądają w górę ku jaskini, atoli jego nie postrzegali. Wyraźnie rozważali zatrzymanie się na noc, z powodu

narastającej śnieżycy. Dyskutowali nad czymś, jeden wskazywał ku dalszej części ścieżki, drugi w górę, ku jaskini. Wali widział, że gdzieś się spieszyli i zastanawiali, czy zdążą tam przed zmrokiem, pomimo coraz trudniejszych warunków na dworze. Dorosły wyciągnął rękę przed siebie i pozwolił, by spadło na nią trochę śniegu. Potem pokręcił głową; podróżni wyruszyli w górę zbrocza.

Wali chyłkiem wycofał się w głąb jaskini, aż plecami dotknął tylnej ściany. Ślina napłynęła mu do ust, a członki zdawały się bardziej rozluźnione. Ludzie dotarli do wylotu pieczary. Do środka ze świstem wleciał kamień, potem kolejny. Sprawdzali, czy wewnątrz nie ma jakiegoś dzikiego zwierza. Usłyszał, jak mówią do siebie. Wychynawszy ze skrywającego go cienia, zobaczył, że mężczyźni uważnie przyglądają się czemuś na ziemi. Dorosły roztarł to między palcami i spojrzął na młodzika. Potem wzruszył ramionami i wstał. Wali dojrzał, że ma włócznię. Mężczyzna wbił wzrok w mrok jaskini, podniósł kolejny kamień i rzucił go do środka, a ten przeleciał tuż obok Waliego.

Wtem zagrzmiął ryk. Wali poczuł łomot serca, napięcie mięśni i zawroty głowy. Młody odskoczył z krzykiem, a mężczyzna się roześmiał. To on naśladował niedźwiedzia. Zdawało się, że ten żart obu uspokoił. Zabrali się do ustawiania ogniska i podprowadzili renifera na górę. Zwierzę za nic nie chciało wejść do środka; w końcu młodzik dał za wygraną i zostawił je przywiązane u wylotu jaskini.

Zapach ogniska pokrzepił Waliego i przeniknął do jego umysłu zdecydowanie głębiej niż jakikolwiek znany mu aromat. Dym zdawał się niepodobny do tych, które dotychczas miał okazję wachać. Czuł, że drzewo, które posłużyło na ognisko, było silne, nawadniane z podziemnego strumienia, że nie ścięto go dla drewna, a zerwano zeń jeno kilka gałęzi.

Wali pomyślał o Adisli. Li tylko jej obecność w umyśle odводziła go od poddania się bestii w jego wnętrzu. Jeśli uda mu się ją znaleźć, to może poczuje się lepiej. Coś mu dolegało, czuł to, coś jakby choroba. Nie chciał jednak lekarstwa, nie chciał na powrót stać się tym, kim był niegdyś; po prostu pragnął poczuć się dobrze, nie doznawać tego straszego duszącego wrażenia ograniczenia i cielesnej nieprzystawalności. Była to miłość niby głód, gwałtowna i samolubna.

Mężczyźni coś piekli, atoli ich własny odór o wiele bardziej

nęcił Waliego. Pot, ślina, wydzielina gruczołów pod włosami i skórą, to wszystko zdawało się niby skwierczące poduszczenie do zabójstwa. Wtem ogarnęła go nagła fala wstrętu, a myśli przyprawiły o mdłości.

Podróżnicy byli zmęczeni, a ognisko miło grzało. Posnęli tedy, kędy siedzieli, nawet nie ściągając futer. Wali bezszelestnie wyszedł z cienia. Zaskoczyło go, jak bardzo byli mali. Światło na śniegu deformuje perspektywę, tedy niemożliwością było odgadnąć ich wzrost z daleka. Ci ludzie byli karłami, stworzeniami jak żywcem wyjętymi z legend. Ten dorosły, gdyby wstał, sięgałby Waliemu ledwie do pasa; chłopak był jeszcze niższy. Renifer stał się niespokojny. On też był malutki, choć w pełni dojrzały, z szerokim porożem – i stary – atoli o wiele mniejszy niż każdy dorodny samiec, jakiego wcześniej widział. Także i wylot jaskini jakby się skurczył. Gdy po raz pierwszy Wali wchodził do środka, nie mógł dotknąć sklepienia. Teraz musiał niemal się zgarbić, by stanąć. Znać w tym było jakąś magię pomniejszającą, tego był pewien.

Usiadł przy ognisku i się ogrzał. W głowie kłębiły mu się myśli. Przypomniał sobie Disę, palenisko w jej domu, zimowe wieczory z Adisłą u boku, pomyślał o krwi, posmaku i rozkosznym zapachu zabijania, wspomniął, jak Bragi chwycił go za ramię na langskipie, mówiąc mu, że wszystko będzie dobrze, pomyślał o spustoszeniach czynionych przez swoją furję, o pokrwawionych trupach.

Obserwował śpiących ludzi i czuł żądzę, by ich zabić. Coś go jednak powstrzymywało – jakby duch jego samego prześladował to, czym się stał, odciągając go od nieuniknionego. Ogień był ciepły i pachnący. Położył się. Zasnął i śnił o tym, że znów jest sobą, mężczyzną, który kocha kobietę, i pomyślał, że to mu wystarczy.

Obudził go krzyk. I światło. Jeden z karzełków krzyczał, a drugi trzymał włócznię. Ich ruchy zdawały się Waliemu wielce powolne i ocieźzale. Mężczyzna cisnął włócznię. Wali uchylił się bez trudu.

Przejął go zapach ich trwogi, zagrzewając do ataku, atoli zwalczył pokusę. Sen o osobie, którą niegdyś był, wciąż był żywy w jego umyśle – wciąż mógł być tym człowiekiem. Próbował się odezwać, powiedzieć im, że nie mają powodów do obaw, aliści gdy otworzył usta, doznał szoku. Jaskinię wypełnił niski hurgot, niby grom pośród wzgórz. Dopiero po chwili pomiarkował, że zawarczał.

Młodzian w popłochu, na czworaka, próbował wyminąć Waliego. Dorosły zaś podniósł kamień i się zamierzył.

„Zabij ich dla mnie całą setkę”. W beznamiętnych słowach odezwało się echo tego, co ukryte między nimi, tego, co Adisla naprawdę miała na myśli. „Powróć. I znów bądź ze mną”. Wspomnienie zdusiło gniew, a on stanął jak wryty. Chłopak zdołał się już odczołgać z dała od Waliego i krzychał do mężczyzny, by zrobił to samo. Ten tak też uczynił, dając nura pod Walim, ku miejscu, gdzie spłoszony renifer rzucał się na wszystkie strony.

Ludzie odwiązali zatrwożone zwierzę i rzucili się do ucieczki, tak szybko, że niemal sturlali się ze zbocza. Wali podszedł do wylotu jaskini, usiadł, ciężko dysząc, i obserwował, jak tamci, wymachując rękami, pędzą przez równinę w stronę morza. Śnieg już nie padał, ale i tak widoczność była mocno ograniczona.

Wali czuł się wstrząśnięty. Wcześniej doznał nieodpartej żądy, by ich zabić, a jednak się zbuntował – przeciwstawił się tej nieznannej chorobie, czy urokowi, która zaćmiwała mu umysł – i zwyciężył. To mu dawało szansę na powrót do Adisli.

Ludzie biegli przez jakiś czas, a potem się zatrzymali. Spojrzeli w tył, na niego, i zobaczyli, że ich nie ściga. Stali w miejscu, rozmawiając. Wali widział, że się kłócą, czuł w powietrzu ich podenerwowanie. Potem jeden odszedł ku morzu i tej odległej wyspie, a drugi przywołał i złapał renifera. Z saku na jego grzbiecie wyjął coś jakby szeroki talerz, puścił zwierzę samopas, i zaczął zmierzać z powrotem w stronę Waliego.

Obserwując, jak nadchodzi, Wali nie czuł niczego, nie więcej emocji niż wówczas, gdy patrzył na niebo czy morze. Człowiek zbliżał się powoli. Uderzał w bęben. Dobywający się z niego rytm był inny niż ten wcześniej zasłyszany, ten, który przywiódł go w to miejsce, ten, co umilkł, gdy Wali wszedł do jaskini. Wolniejszy i bardziej rozmyślny, wspomagany donośnym śpiewem. Wali poczuł zapach strachu, ale i podniecenia.

Mężczyzna podszedł bliżej i zatrzymał się u stóp kamienistego zbocza prowadzącego w górę, do wylotu jaskini. Stał tam, świdrując Waliego spojrzeniem, uderzając w bęben i gestykulując.

To wszystko nic nie znaczyło dla Waliego, pogrążonego w sobie, trzymającego drzwi do krwawej łaźni swych myśli zamknięte na

głucho. Wiedział, co pragnie zrobić – zjeść tego głupca, a potem dopaść jego towarzysza i zrobić z nim to samo. Ale nie zrobi tego. Czemu? Nie pamiętał już powodu, wiedział jeno, że to ważne, by się powściągnąć. Wali słyszał tętno bębniarza, wyczuwał krew płynącą przez jamy jego ciała, niemal czuł w powietrzu zapach jego obecności.

Oddech tego człeka był ciepły z podniecenia, a jego skórę opływał strach. Doprowadził bębnienie do kulminacji, łomocząc w skórę, potem silnie uderzył po raz ostatni i rzucił pałeczkę na ziemię naprzeciwko Waliego. W jego oczach błyszczało wyzwanie i oczekiwanie. Nagle twarz mężczyzny przybrała inny wyraz. Jego czar nie zadziałał. Wali, teraz już bardziej wilk niż wilkolud, wyrwał mu serce.

42. TRIUMF CZAROWNIKA

Skałę zalała fala paniki. Odpoczywający Noaidiowie starali się pomóc tym wciąż zatraconym w mocy bębnow i śpiewu. Niektórzy łatwo się przebudzili, inni w ogóle, i trzeba ich było pozostawić na pewną śmierć, gdy tymczasem ich bracia szukali schronienia na wyspie. A tego było jak na lekarstwo.

Lieabolmmai ocknął się, leżąc plackiem na ziemi, ukryty w mroku wejścia do jaskini, szperając w futrach w poszukiwaniu noża. Doszedł go dźwięk, jakby chlupot człeka idącego przez bagno, i zobaczył, jak potwór przebija tylnymi łapami pierś Noaidiego w ptasiej masce.

Olbrzymie stworzenie było szkaradne. Czarna wilcza głowa z oczami błyszczącymi niczym szmaragdy wieńczyła ciało, które było wykoślawionym półśrodkiem między człkiem a wilkiem, trzy razy większym od najbardziej postawnego człowieka, jakiego Lieabolmmai kiedykolwiek widział. Stworzenie sadziło na czterech łapach: tylne i przednia lewa były wilcze, zaś przednia prawica, której używał do rozrywania i miażdżenia Noaidich, przypominała nienaturalnie wielką ludzką dłoń.

Spadł na zaskoczonych czarowników niczym grom z jasnego nieba. Niektórzy cięli go nożami, inni obrzucili kamieniami, kilku strzeliło z pękatych łuków, atoli większość w te pędy rzuciła się w stronę łodzi, które miały ich zabrać z dala od wyspy.

Lieabolmmai pozbiierał myśli. Azali nie skrepował tego wilka? Tak długo nawiedzał go w snach, przywoływał za pomocą bębna, rozkazał mu wejść do jaskini i odprawił wszystką magię tak, jak ukazały mu runy. Słyszał też rozmowy dziewczyny z wilkiem, które nie pozostawiały wątpliwości, że znali się i byli dla siebie ważni. Czyż wilk nie pojawił się dokładnie w takiej formie, jaką czarownik zobaczył w wizjach? Czymże było to coś?

Poczuł, że mimowolnie się zmoczył. Weź się w garść, myśl, upomniał się w duchu.

Wtem pomiarkował, że go oszukano. Jakimś sposobem bogini go zwiodła. Schwycił wilka w pułapkę, tyle że nie tego, którego szukał. A jednak dotknął jego umysłu, biegał wraz z nim w cieniu przepastnych gór, wciągał jego rozkosz zabijania. Nie potrafił tego zrozumieć.

Lieaibolmmai był zacnym człkiem. Nie czerpał przyjemności z czarnej magii, którą mu ukazano, i poszukiwał mocy wyłącznie po to, by się bronić, nie zaś dla niej samej. Wiedział, co musi uczynić – oddać dziewczynę, co ją porwał i wilkoluda, którego zaklął, i spróbować się z tego wymigać. Wszedł w głąb jaskini i zrzucił linę do jamy.

– Wilk tu jest – rzekł w stronę ciemności. – Zostańcie tam, póki nie skończy zabijać. Zrobię wszystko, co w mej mocy, by go opanować. Po...

Nie dane mu było dokończyć zdania. Pierwotny zmysł podpowiedział mu, że ma coś za plecami, coś gorszego niż karkołomny upadek z wysokości. Postąpił ku ciemnościom.

Na dole szybu Feileg i Adisla posłyszeli głuchy plask upadającego ciała Lieaibolmmaia, a potem jego krzyk. Wyrwał sobie rękę ze stawu i nie mógł opanować rozdzierającego bólu.

Potem na dno jamy opadło lekko coś innego. Jakieś stworzenie.

Z mroku doszły ich odgłosy odruchu wymiotnego i kaszlu. Stworzenie młóciło, warczało i raz po raz kłapało paszczą. Adisla usłyszała, jak węszy nozdrzami, przeszukując mrok. Była bliska załamania. Nie potrafiła skupić się na niczym innym, myśleć o niczym innym, tylko o tych okropnych odgłosach dobiegających z gardła stworzenia, pomiędzy którymi jakby słyszała słowa.

– Kochana ma – mówiła istota. – Odnalazłem cię.

43. POŚWIĘCENIE

Wali. Tym mianem wciąż można było określić to, co stało przed Adisłą w mroku jamy.

Jak wielką zmianę trzeba przejść, nim zatraci się siebie? Jak wiele klepek można wymienić w poszyciu statku, nim będzie to nowy okręt?

Ze szcęk Waliego ściekała krew czarowników, jego umysł wypełniał zapach ich strachu, a mimo to teraz, gdy odnalazł Adisłę, przemknęło mu przez myśl wspomnienie tego, kim był kiedyś. Niewyraźne, ledwo dostrzegalne, niby odległy brzeg za mgłą. Miał oto przed sobą dziewczynę, którą pokochał od pierwszego wejrzenia. Zdusił w sobie pozostałe wrażenia zmysłowe – przepyszny aromat niepokoju, który do niej przylgnał, soczystość jej mięsa, a nawet bijącą od niej groźbę. Ona nie była taka jak on, a każde żywe stworzenie, które nie było mu podobne, zdawało się teraz wraże i niebezpieczne.

– Nie – chlipnęła Adisła. – Nie. – Nie widziała w mroku niczego, zupełnie niczego, atoli to jeno pobudzało jej wyobraźnię, przydając stworowi okropności – jego chrypiącemu głosowi, ciepłu oddechu.

– Odnalazłem cię, jako żem przysiągł – rzeki Wali.

– Wyjdź stamtąd.

Złęczona Adisła cofnęła się, chwytając dłoń Feilega.

– Czym jesteś? – zapytała łamiącym się głosem.

– Twym ukochanym. To ja, Wali.

Noaidi próbował zacisnąć zęby, by stłumić ból, lecz cierpienie było tak ogromne, że nie mógł powstrzymać jęków. Zbolełe postękiwania świętego męża wabiły Waliego na posiłek. Jego skóra zdawała się napinać, mięśnie czerpały moc z wężącego za ofiarą głodu.

– Nie zbliżaj się – nalegała Adisła. Jej ciałem, wtulonym w Feilega, wstrząsnęły drgawki. Wali widział ich wyraźnie, i poczuł, że jego zęby mimowolnie się obnażają, a nogi gotują do skoku. Zmusił się

do pozostania w miejscu.

– To on – odezwał się Feileg. – Widziałem początek jego przemiany. To jest księżę.

Adisla pokręciła głową.

– Pozwól, że cię stąd zabiorę – rzekł wilk.

Adisla głośno wciągnęła powietrze i cofnęła się jeszcze bardziej.

– Nie pójdę.

– Lepsze to niż wilgoć i ciemności – stwierdził Feileg.

– Idź. Jeśli ci pisana śmierć, to i tak cię nie minie.

– Nie lękam się śmierci, tylko jego.

– On jest taki, jakim chcą go Norny. Idź już.

Atoli i tak nie poszła. Feileg popchnął ją do przodu.

Potem trwoga zabiła wszelką jej myśli i nie opierała się już, gdy Wali ją podnosił. Jej ciężar nie stanowił dla niego żadnego problemu, tedy bez trudu podźwignął ją na górę szybu, a potem, używając ludzkiej ręki, podciągnął i siebie. U wylotu jaskini stało trzech Noaidich. Słońce za ich plecami weszło, złocąc kamienie w środku i wydobywając wnętrze pieczary z mroku. Wtenczas go ujrzeni i jęli szyc doń z łuków. Wali zasłonił Adislę plecami. Strzały uderzały mocno, atoli nawet go nie drasnęły. Opuścił dziewczynę, odwrócił się; i pobiegł ku nim warcząc i chrypiąc. Rozpierzchli się w panice, a on wrócił do Adisli.

Starła się zebrać siły, nie dla siebie, ale dla niego.

– Pamiętasz, kim byłeś?

– Pamiętam bukwicę, którą mi przypięłaś, gdy po raz pierwszy wyruszyłem na wojnę. Pamiętam cię nad rzeką, słońce połyskujące na wodzie i to, jak ganiałaś za braćmi od brzegu do brzegu. Pamiętam, jak mnie pocałowałaś, gdy ostatnio się widzieliśmy. Pamiętam ciebie, Adislo, tedy pamiętam też siebie.

Adisla spojrzała na niego. Gdzieś w jego mimice, w przekrzywieniu głowy, dostrzegła swego Waliego. To był on, tedy jak mogła się go bać?

– Wiesz, czym się stałeś? – zapytała.

Stworzenie pochyliło głowę.

– Jestem czymś l-lepszym – wydukał.

– Nie, Wali, nie jesteś. Musisz do mnie wrócić – przekonywała.

– Musimy przemóc to przekleństwo. – Feileg znalazł się u jej boku. Wspiał się po jednej z lin, którą Lieaibolmmai spuścił do szybu.

– To wydaje się błogosławieństwem – odparł wilk. – Jestem taki silny, a świat taki piękny.

– W naszym życiu mamy jedno jeno błogosławieństwo i jedno jeno przekleństwo – przekonywała. – Siebie nawzajem. Znalazłeś mnie, a ja znajdę ciebie. Są czarownicy, którzy ci pomogą. Zaniesiemy im dary, których zażądamy za twoje ocalenie.

W umyśle Waliego ciało Adisli skrzyło się zapachami, rozbrzmiewało jej lękiem. Doznał też innego wrażenia, nawet bardziej przekonującego. Będą razem już na zawsze, jeśli ją pożre. Staną się jednością. Czyż nie byłaby to miłość najgłębsza z możliwych? Nie! Ich więź była silniejsza niż głód. Jej miłość ogarniała go, studząc jego zapędy, niby zimna woda rozgrzane żelazo, i wykuwała ostrze silnej woli.

– Cóż chcesz, abym uczynił, Adislo?

– Poczekaj tu, na tej wyspie.

– Nie panuję nad sobą.

– To pozwól nam sobą pokierować. Wali, to jest pułapka i schronienie. Wejź w jej głąb i pozwól nam cię tu trzymać. Przyniesiemy ci ratunek, obiecuję.

– Pomrę z głodu.

– Twój głód jest gorszy, gdy nasycony. To będzie chwalebne cierpienie i obiecuję ci, mój kochany, że się skończy.

Olbrzymia bestia przekrzywiła głowę, jakby rozważając te słowa.

Wali ujrzał strzałę w locie, atoli wiedział, że go chybi, więc ją zignorował. Nie przeszło mu przez myśl, gdzie trafi gdzie indziej. A uderzyła w nogę Adisli. Dziewczyna okręciła się i twardo runęła na ziemię.

Łucznik zginął dla niej, zabity nie z powodu trafienia, a by głód Waliego mógł się nasycić jakimś mięsem, byle nie Adisli. Dziewczyna próbowała wstać, a jej niezdarne ruchy rozpały do czerwoności wszystkie wilcze zmysły, pobudzając Waliego, by ją pochłoniął.

Jednym susem doskoczył do niej i przystanął. Mężczyzna, który walczy ze sobą, by ją oszczędzić, wilk, którym niemal się stał, z odrazą buntujący się przeciw temu ograniczeniu. Nie. Tak. Nie. Tak. Tak!

Feileg odepchnął go na bok, okładając pięściami i otwartą dłonią, starając się odwrócić jego uwagę od zbolętej dziewczyny. Wilk

powoli odwrócił ku niemu pysk, ciemne cielsko zdawało się niemal bezpostaciowe na tle światła u wylotu jaskini.

Feileg krzyczał na Walięgo, starając się do niego dotrzeć.

– Po niej zatracisz się już zupełnie! Po niej będziesz zwierzem, już na zawsze!

Waliemu krew zalała zmysły. Chwał się nad Adisłą, to pochylając się, to odchylając, walcząc, by oprzeć się pokusie jej cierpienia.

Z dołu rozległ się krzyk. Lieaibolmmai spróbował wydostać się z szybu, atoli jego pokiereszowana ręka zawiodła, i spadł. Wilk nachylił się tuż na twarz Adisli. Czują jego ciepły oddech na policzkach, czują muskające szyję zęby. Wali jednak, wciąż obecny w wilku, odciągnął swe zwierzęce ciało do tyłu, odepchnął Feilega na bok i rzucił się do szybu w ślad za czarownikiem. Pokoziółkował w dół, z impetem upadając na dno.

– Jestem zgubiony – rzekł Wali, nie wilczym warknięciem, lecz głosem swego umysłu – i nigdy już nie zostanę odnaleziony.

Lieaibolmmai odczołgał się w mrok, byle dalej od rzeczy, którą przywołał. Wiedział, że bogini wzięła nad nim górę; jego powinność była jasna.

– Zamknijcie nas! – zakrzyknął. – Zamknijcie!

Na górze szybu Feileg napierał na płaski głaz. Ten ani drgnął. Adisła wstała, potknęła się, znów się podniosła i przyszła mu w sukurs. Jakiś Noaidi przybiegł i się przyłączył. Z mozołem przetoczyli kamień po ścianie jaskini, aż zrównał się z wylotem szybu.

Adisła opadła na czworaka przy brzegu jamy. Spojrzała w dół i zobaczyła parę zielonych oczu odbijających światło wschodzącego słońca. Z dna doleciało ją dudniące echo.

– Zapomnij o mnie.

Feileg upuścił głaz.

44. W IMIĘ MIŁOŚCI

Żadnego bębnienia, żadnego śpiewu. Pozostali Noaidiowie byli odrętwiali, bezwładnie spoczywali na nagiej skale, jakby wciąż pogrążeni w transie. Już teraz ptaki zniżały lot, kruki i wrony opadały z nieba z przenikliwym krzykiem, który brzmiał radośnie.

Noaidiowie pomogli Feilegowi ułożyć więcej kamieni na głazie, by upewnić się, że bestia nie ucieknie. Adisla obserwowała to bezradnie, cierpiąc straszliwie, odkąd minął początkowy szok, ustępując falom dojmującego bólu. Gdy jakiś Noaidi się do niej zbliżył, Feileg warknął na niego. Człowiek wskazał jednak na migi malutki sak i gestem dał do zrozumienia, że chce pomóc. Feileg pozwolił mu wyciągnąć strzałę i opatrzyć ranę. Gdy grot usunięto, Adisla nie miała już siły krzyczeć. Potem usiadła na skale, wyraźnie nieobecna. Noaidi podał jej wodę, poczęstował mięsem renifera i podpłomykiem. Tymczasem Feileg powrócił do układania kamieni na głazie.

Słyszał dochodzące z szybu krzyki. Zastanawiał się, na jak długo temu stworzeniu wystarczy determinacji, by pozostać w jamie. Miał jedzenie, miał czarownika. Czy to pokarm sprawi, że wilk urośnie? Czy stanie się dość silny, by się wydostać? Bez różnicy. Do tego czasu dawno ich tu nie będzie.

Gdy nie było już czego dokładać do stosu kamieni, Feileg powrócił do Adisli i objął ją rękami. Odwzajemniła jego uścisk, atoli nie tak serdecznie, jakby tego chciał. Była mu wdzięczna i cieszyła się z tego, że oboje uszli z życiem, aliści go nie kochała. Słyszał, co mówiła Waliemu i wiedział, że była gotowa umrzeć za swego księcia. Do oczu Adisli mimowolnie napłynęły łzy. Feileg pogładził ją po włosach. Niegdyś poprzysiągł sobie, że zabije Walię za to, że go pojmał i siłą odciągnął od wilczego życia. Atoli za tę chwilę w jaskini, za wiedzę, jak to jest kogoś kochać i czuć tę miłość w ramionach, Feileg powinien być Waliemu dozgonnie wdzięczny, bo ten wybawił go od zatury człowieka.

– Uwolnimy go.

– Jak?

– Mówiłem, że mam wiele skarbów na wzgórzach. I nie kłamałem. Ofiaruję je czarownicom, oddam się w ich ręce i poproszę, by ocaliły twego księcia.

– A co potem?

– Jestem wilkiem – odparł – i dość już mam jutra i wczoraj. Umrę lub nie umrę. Pójdę na wzgórze lub nie pójdę. Będę istnieć lub nie będę.

Adisla wspomniała Waliego, spoglądającego na nią z dna jamy. W tych dziwnych zielonych oczach zobaczyła coś ludzkiego. Kochała go i podziwiała bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, gdy pomyślała o jego odwadze. Pozwolił im się zamknąć. On, nie to, co ona, miał śmiałość, by umrzeć. Lecz wtem spojrzała na Feilega, tak podobnego do Waliego z wyglądu, tak odmiennej osobowości. W pewnym sensie bogowie wysłuchali jej modlitw, dając jej nisko urodzonego mężczyznę na podobieństwo Waliego – kogoś, kogo mogła poślubić, a może nawet pokochać.

– Pójdę z tobą – zaproponowała.

– Nie ma potrzeby. Czarownice nie zawsze są litościwe.

– Są mniej litościwe niż Norny? – rzekła Adisla. Spojrzała na niego i ścisnęła jego dłoń.

– To bardzo niebezpieczne – powiedział.

– Feilegu, pójdę z tobą, gdyż przybyłeś tu po mnie i mnie ocaliłeś. Widzę, żeś najprzedniejszym z mężczyzn. Pójdę z tobą, bo chcę odzyskać mego Waliego, atoli zrobię to i z niższych pobudek. Nie mam już domu, nie mam gdzie wracać. Moja matka umarła w najgorszy możliwy sposób, a ja nigdy już nie zdołam patrzeć na chatę, nie mając przed oczami jej śmierci. Jeśli nie mogę być z nim, będę z tobą. A jeśli nie mogę być z tobą, to me życie jest skończone.

Feileg zrozumiał, że dostanie to, czego tak bardzo pragnął, jeśli tylko książę umrze w tej dziurze. Pozostało mu jeno przynieść coraz większe kamienie, może nawet przekonać Noaidich, by przywieźli ich więcej na łodziach, i upewnić się, że to coś pozostanie w zamknięciu, póki się nie zagłodzi.

Po twarzy Adisli płynęły łzy, gdy odwróciła się ku olbrzymiej stercie kamieni nad szybem.

– Chodź – rzekł Feileg. – Pójdziemy do czarownic.

45. ZAKOPANY SKARB

Weles Libor nie był w najlepszym humorze. Nie dotrzymał obietnicy złożonej królowi Hemmingowi, że znajdzie sposób, by pozbyć się księcia i przy okazji zarobić dla niego trochę grosza. To całe sfigowane przedstawienie z ucieczką – odegrane z myślą o tłuszczy – poszło mu całkiem nieźle, atoli nie przewidział ataku piratów. Hemming wpadnie w szal, jeśli Weles powróci bez złota Widłobrodego, gdyż uzna, że kupiec je sobie przywłaszczył. W porównaniu z tym, pomyślał Weles, reszta nieuniknionych trudności, z którymi muszę się mierzyć, wydaje się pestką.

Wprost nie mógł uwierzyć, że tak szybko zgubili Waliego we mgle. Ledwie go odcięli, a zaraz zniknął i wszelki ślad po nim zaginął.

– Na twoim miejscu odciąłbym się od króla – stwierdził Bodwar Bjarki. – Mógłbyś zaszyć się na wschodzie, a on już nigdy by o tobie nie usłyszał.

– Ani nikt inny. Kupiec bez księcia, który go chroni, jest niczym – odparł Weles. – Zresztą, jego imię jest dla mnie warte dziesięci z każdego tysiąca.

Berserka nie da się kontrolować, analizował. Załoga już dawno by się zbuntowała, gdyby nie była tak bardzo wycieńczona i osłabiona atakiem; na okręcie zaczynało brakować żywności. Jego zachowanie podczas bitwy sprowadziło nań pogardę ze strony ludzi i musiał teraz znosić przezwiska typu „barylarz”, „beczkowłaz”, „bekownik” i resztę nie mniej obelżywych inwektyw, które przychodziły im do głowy.

Niemniej jednak Weles objął nieformalne dowództwo nad okrętem, z tego mianowicie względu, że określił jego następny cel. Nie dlatego, że miał jakąkolwiek władzę nad Bjarkim czy najemną załogą, ale dlatego, że tylko on zdawał się mieć jakiś pomysł, co mogą zrobić.

Zatrzymali się na małym targu w Kaupangen, gdzie udało się sprzedać za rozsądną cenę trochę zdobycznego rynsztunku bojowego i nająć pięciu Danów, co wyglądali względnie groźnie, w miejsce niektórych poległych w bitwie. Weles postarał się, by ci Danowie

dowiedzieli się, kto płaci im żold. Wybrał ich z racji muskulatury. Muskulatury i głupoty. Trzeba mu było durni – to było nieodzowne wymaganie dla wyprawy, którą sobie zamyślił. Musiał naopowiadać im trochę kłamstw i nie chciał, by jakiś co bardziej łebski człek go na tym przylapał. Przetrzebiona załoga liczyła tedy zaledwie dwudziestu sześciu ludzi – pięciu pod nim, przynajmniej teoretycznie, i dziewiętnastu pod berserkiem. Szanse na powodzenie dalece odbiegały od ideału, atoli i tak były większe niż wcześniej.

Na szczęście dla Welesa, Bjarki chciał dopaść Waliego tak bardzo jak i on. Poprzysiągł bowiem przyprowadzić księcia do Widłobrodego, a że była to bezdyskusyjna obietnica, tedy na tę chwilę uznawał Welesa za pożytecznego. Bjarki był prymitywnym drabem, ale nie głupcem, i wiedział, że rozum kupca przysłuży się poszukiwaniom. A potem, cóż, najwyżej dopisze się go do listy ofiar piratów.

Weles spojrzął na berserka. Nie umiał czytać w myślach, atoli bez problemu mógł odgadnąć zamysły Bjarkiego. Zrozumiał, że musi się stać dla niego człkiem niezastąpionym.

Gdy Weles zasiadał do rozważenia jakiegoś problemu, to, jeśli istniało rozwiązanie, zwykle je znajdował. W Heithabyr słyszał plotki o tym, że Haarik chce wykorzystać tę wieśniaczkę Waliego jako okup za syna. Nie powiedział o tym księciu, gdyż bardzo szybko się zorientował, że ten nie jest w stanie zapłacić mu za informację ani zaoferować mu innego rodzaju korzyści. Jednakże teraz dostrzegał, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności między nim a Bodwarem Bjarkim zaistniała wspólnota interesów. Dziewczyna podążyła na północ. Haarik także. I tam również zabierze Waliego najsilniejszy prąd, o ile jego okręt nie rozbije się o skały. Wybór był więc prosty – Weles zamierzał popłynąć w górę wybrzeża Ziemi Północnej, znaleźć Wielorybaków i zasięgnąć języka o dziewczynie, Haariku i księciu. Kędy dwoje pierwszych, tam znajdzie się i trzeci, pomyślał.

Był też inny powód, by udać się na północ. Doszły go słuchy o wyspie, na której Wielorybacy składali ofiary swym durnym bogom. Podług plotek, właśnie tam znajdował się jakiś skarb. Bjarki był przekonany, że dostępu do niego broni czarna magia, atoli Weles był innego zdania.

Tak po prawdzie to Weles miał magię i bogów w znikomym poważaniu. Widział, jak jego dzieci bawiły się przy ognisku świętymi

przedmiotami Wielorybaków, dla ozdoby obwieszał ściany gobelinami boga Chrystusa, słyszał, jak ludzie na całym świecie wyśpiewują chwalby pod adresem Wuotana, Odyna, Raedie, Swaroga, Spenta Mainyu³⁸, Jezusa i innych bogów. Wszyscy wydawali mu się tacy sami – jeno obrazkami i rzeźbami, pięknymi co prawda, acz pozbawionymi znaczenia.

O wiele więcej wiary pokładał w sobie, mieczach Hemminga i potędze pieniądza niż w siłach nadprzyrodzonych. Żadna magia nie uchroniła czarownika, który wykonał dziecięcą maskę jego syna, przed odebraniem mu jej, prowadzonemu na krzyż Jezusowi nie wtórowali anielscy obrońcy ni kule ognia ciskane z nieba na zgubę jego wrogów. Weles nawet się śmiał, gdy misjonarz opowiedział mu o ukrzyżowaniu. Co też ten wszechmocny bóg ojciec zrobił, by pomścić syna? Rozdarł zasłonę w świętym przybytku. Rozgniewaj Hemminga, a umęczon zostaniesz, bardziej niż jakiś tam podarty kawałek tkaniny.

A zatem księżę był na północy, Haarik też, a nawet ta dziewczyna, co zdawała się tak ważna, tam była. Podejrzewał, że rolę w jej zniknięciu odegrały magiczne wierzenia, a przyjrzenie się świętym miejscom Wielorybaków pomoże ją ujawnić. Księżę najpewniej będzie gdzieś w pobliżu. Weles pomyślał, że nie zaszkodzi spróbować. Lepsze to niż powrót do Hemminga z pustymi rękami. A może tam naprawdę znajdowało się złoto, choć w to akurat wątpił.

Płynęli nieznośnie wolno, spowalniani dodatkowo przez kłótnie i brak zdecydowania. Cała podróż

³⁸ W kolejności najwyżsi bogowie w mitologiach: Franków (inaczej Wodan), Skandynawów, Saamów (inaczej Jubmel), Słowian, wyznawców zoroastryzmu (wcielenie Ahura Mazdy).

powinna zając im kilka tygodni, nawet pod prąd. Miast tego trwała miesiącami. Berserk chciał ruszyć w pogoń za Walim, atoli zdawał się nie rozumieć, że wpiery trzeba się wywiedzieć, gdzie go w ogóle szukać. Nie było sensu na chybił trafił rozbijać się po wybrzeżu, jak, zdaje się, Bjarki chciał zrobić. Musieli popytać, czy nie zatonął czasem jakiś okręt, czy obcy tamtędy nie przechodzili, czy ktoś nie wziął jeńców.

Wielorybacy byli ludem prostym i przyjaznym. Zrazu wydawali się wrodzy i niepokojący, wymachując włóczniami i ciskając groźby, atoli wystarczyło dać im monetę albo dwie i już mieli cię za swego człeka i niewiniątko – no bo przecież nieprzyjaciel nie dawałby im

monet, nieprawdaż? Tedy robili wszystko, by się odwdzińczyć. Tak, okręt zatonął. Tak, obcy tędy przechodzili. Tak, wzięto jeńców. W ich malutkich wioszczynach na przylądkach za plażami, w ich namiotach i przy ich ogniskach Weles słuchał opowieści o potężnych sztormach, ludziach z płonącymi oczami i księżniczkach z południowych królestw przywiązanych do sań renifera i zabranych na północ, by pożenić je z duchami wody. Najmłodsze z tych klechd, jak się domyślał, pochodziły sprzed pięciu dziesiątek lat.

Przez dwa miesiące marzył okrutnie na łodzi i na łądzie, nim dotarli tam, gdzie kończył się łąd w stronę północy, a wybrzeże skręcało na wschód.

– I co teraz? – zapytał berserk. Było zimno, zimno jak cholera.

– Płyniemy dalej – odparł Weles.

– Po co? Książę rozbił się na wybrzeżu. Powinniśmy zawrócić i tam go poszukać.

– Powiedz mi, Bjarki, blisko stąd do miejsca, gdzie rozbiliście się z synem Haarika?

– Pół dnia pod żaglami na południe. I nie znaleźliśmy tam złota czarowników.

– No tak. Może tedy powinniśmy tak zwyczajnie rzucić okiem w dół wybrzeża? Potem się zobaczy.

Bjarki pokręcił głową.

– Oni rzucili na mnie urok. Stałem się słaby.

– Mniej byś cierpiał uroków, gdybyś nie pił ich wina.

– To nie było wino.

– Aż boję się pomyśleć co, w takim razie. – Weles wiedział to jednak aż nadto dobrze. Zsiadłe mleko, napój, który od zawsze uznawał za wielce niemiły, a którego kosztował zdecydowanie za często podczas swych podróży.

– To był urok – upierał się Bodwar – nie wino. Bębny. To one mnie osłabiały.

Weles uniósł brwi.

– Cóż, jam słabowity od dziecka, tedy nie mam siły, której ci czarownicy mogliby mnie pozbawić. Daj spokój, to tylko rzut okiem. Nie wstydzisz się, że nigdy nie spróbowałeś? Sądzę, że mogę ci zagwarantować jeno skałę na morzu, ale kto wie? Może obłowisz się na tyle, by zapłacić okup Widłobrodemu. Bo poprzysiągłeś, że go splecisz,

prawda? Powinieneś się jakoś wykazać. Póki co ciągną się za tobą same niepowodzenia.

Weles stapał po cienkiej granicy między prowokowaniem berserka do działania a jego gniewem.

Bjarki spojrział na niego.

– Uratowałem cię – rzekł.

– A teraz ja uratuję ciebie. Książę, jeśli wciąż żyw, będzie na tej świętej wyspie. A jeśli nie, to ci święci mężowie z pewnością będą coś o nim wiedzieć. To są spokojni ludzie – poddają się już przy pierwszych oznakach zagrożenia. Jeśli nie ma tam skarbu, to będą przynajmniej futra do zagrabienia.

– Oni są czarownikami.

Darmo było odwoływać się do zdrowego rozsądku berserka. Najlepiej było zgodzić się, że Wielorybacy to potężni czarownicy – jeśli tak, to kiepsko im idzie – i że ich zaklęcia trzeba traktować z należytą powagą.

– O tym już pomyślałem – oznajmił Weles. – Zabrałem z sobą tę oto maskę. Oni używają takich podczas swych obrządków. Ta odbija ich moc.

– Tedy ja ją biorę.

– Skoro tak ładnie prosisz... Ale jeśli nas zauroczą, to przyjdiesz mi z pomocą. Polegam na tobie.

Bjarki skinął głową i wziął od Welesa wilczą maskę. Przyłożył ją do twarzy. Była malutka w porównaniu z masywną czaszką berserka; a wiązania z tyłu ledwie opinały głowę.

– I to mnie ochroni?

– Was wszystkich, załogę też.

– To dobrze. Ale jeśli łziesz, Liborze, zetnę ci głowę.

Weles pomyślał, że jeśli się myli i czarownictwo istnieje naprawdę, to Bjarki może nie być w stanie ściąć niczyjej głowy. A jeśli nie istnieje – cóż, był pewien, że maska zapewniała dobrą ochronę przed ludźmi, którzy na jej właściciela pstrykają palcami i uderzają w bębny. Berserk nie przemyślał tego dokładnie, pomyślał kupiec.

Okręt popłynął na wschód, w dół północnego wybrzeża. Robiło się coraz zimniej, wręcz lodowato. Morze nie zamarzło, atoli zaczęli dostrzegać białe smugi okrywające krajobraz. Wprawdzie niewielkie ognisko balastowe trochę ogrzewało Welesa, ale i tak nie mógł przestać

się trząść. Był to taki podstępny ziąb, który dawało się przegnać na chwilę, siadając przy ognisku lub okrywając się kolejnym futrem, atoli niezmiennie zdawał się znajdować sposób, by wrazić w człowieka swój mroźny palec – chłód przenikający do szpiku kości, opadający z żelazistego nieba.

Dwa tygodnie po zwrocie na wschód zdało się Welesowi, że przybyli do miejsca, którego szukał. Jednak gdy się zatrzymali, miejscowi Wielorybacy rzekli mu, iż poszukiwana wyspa – Domen, zwana też Vargøy, wilczą wyspą czy krwistoczerwoną skałą – leżała jeszcze dalej na wschód. Zostawił im nieco grosza, przy okazji głośno dając wyraz swemu życzeniu, by już teraz mieć tę wyspę pod stopami, atoli tylko garstka miejscowych potwierdziła, że istotnie osiągnął już cel wyprawy. Wielorybacy nie byli przecherami, jak wiedział, po prostu bardzo chcieli mu się przypodobać.

– Jest tam skarb? – zapytał Bjarki, lecz Weles tego nie przetłumaczył. Miast tego zagadnął: – Czy wasz lud uważa ją za bardzo uświęconą?

– Tam są nasi przodkowie. To miejsce przystępu do innych światów.

– I to tam zostawia się ofiary?

– Więcej bogactw, niż możesz sobie wyobrazić.

– Czyli całkiem sporo – stwierdził Weles w swym ojczystym języku. W końcu mam bujną wyobraźnię, dodał w duchu.

– Co powiedział? – dopytywał się Bjarki.

– Wygląda na to, że nie będziemy rozczarowani.

Podążyli dalej, a tydzień później, pod sierpem księżyca, ujrzeli tę wyspę. Świt był błady i zimny a wyspa wyrastała z morza niby bezkształtny garb pokryty cienką warstwą śniegu.

– To tu? – Bjarki przystąpił do Welesa.

– Pasuje, nie sądzisz? Krwistoczerwona skała, tak?

– Mnie się wydaje raczej czarna.

– Wysil wyobraźnię. Choć nie, lepiej się nie kłopotz – zadrwił Weles. Jeszcze cię głowa rozboli, pomyślał. – Po prostu rozejrzyj się, gdzie moglibyśmy przybić do brzegu, dobrze?

– Książę tam będzie?

– Chyba już ustaliliśmy, że nie wiem – przypomniał Weles. – Ale możemy znaleźć tam jakąś wskazówkę. Albo coś innego, co nam

się przyda. A jeśli nie, to następnym razem, gdy usłyszę, jak ktoś mówi o skarbie opodal Ultima Thule, będę mógł rzec temu komuś, że to wierutna bzdura, pic na wodę i duby smalone. A może i nie powiem. Może pošlę ich tutaj, by, tak jak mnie, przymroziło im rzyć do pokładu.

Okręt dopłynął do niewielkiej plaży. Morze było spokojne, więc bez trudu przybili do brzegu. Weles zauważył, że nikt nie wydotanie się z wyspy bez pomocy. Kilka łódek czekało na plaży na stałym lądzie po drugiej stronie wąskiej cieśniny, atoli żadna na samej wyspie.

Weles wysiadł, a w jego ślady poszedł berserk i reszta załogi. Bjarki dźwiżył obnażony miecz. Weles zerknął na broń. Podług jego doświadczenia, w niektórych sytuacjach, miecz bardziej przeszkadzał niż pomagał. Cóż berserk zamierzał zrobić, jeśli dwie setki ujadających Wielorybaków staną do obrony swej świętej wyspy przed najeźdźcami? Czy nie lepiej było wyglądać niegroźnie? Zwłaszcza – i szczególnie – wtedy, gdy w istocie miało się złe zamiary.

Jęli gramolić się pod rdzawe zbocze z sypkich kamieni. Weles pomyślał z przekąsem, że Wielorybacy wybrali sobie wielce nieszczęsne miejsce na wrota do krain ich bogów. Nieraz już odwiedzał różne święte miejsca i niektóre z nich były bardzo przyjemne – skąpane w słońcu ogrody, a nawet winnice.

Zadrzał. Chciał jak najszybciej się stąd wydostać – atoli nie przed znalezieniem tego, po co tu przybył.

– Aha! – zakrzyknął berserk. – Może i miałeś rację, Welesie. – Podniósł z ziemi przedni płaszcz ze skóry renifera. – To będzie warte niezłą sumkę, jak już brud zeszkrobiemy.

Weles zmierzył płaszcz wzrokiem. Był dobrze uszyty i stosunkowo nowy. Zaiste, przyzwoitą cenę by za niego dostali, choć on sam bardziej się skłaniał do założenia go teraz dla ochrony przed chłodem. Poglądził futro i coś przylepiło mli się do ręki. Krew.

– To, jak zwykła mówić moja matula – odezwał się – tragedia, nie plama, bardzo trudna do wyczyszczenia. Do tego zaschnięta. Dużo za to nie dostaniemy.

Poszli dalej i znaleźli jeszcze parę rzeczy. Bębny i buty, ubrania i saki. Wszystkie zbroczone krwią. Potem natknęli się na pierwsze ciało. I kolejne. I jeszcze jedno. Straszliwie pokiereszowane, co do jednego.

– Bogactwo trupów – skomentował Bjarki – skarbnica rzezi.

Weles mógłby się kłócić o dobór słów, ale nie o odczucie. Górna część wyspy była wręcz usiana trupami.

– Lord Odyn nieźle się tu zabawił – dodał Bjarki. Na głowie miał wilczą maskę. Wyglądał cokolwiek idiotycznie, bo sięgała mu ledwie za usta.

– Co racja, to racja – przyznał Weles. Rozejrzał się wokół i ucieszył, że oddał maskę berserkowi. Ktokolwiek, lub cokolwiek, urządził tę krwawą jatkę, najwidoczniej wołał zabijać ludzi o zwierzęcych twarzach.

Naliczyli ze trzydzieści trupów, a raczej tego, co zostały z nich ptaki. Tu sterczał wilczy nos, tam olbrzymi dziób. U nóg kupca leżały spiczaste uszy białego zająca. Weles mógł odczytać, co się tu stało. Ci ludzie porzucili płaszcze i bębny w popłochu, nie chcąc, by coś wadziło im w ucieczce.

Odkopał jedną z leżących masek. Wciąż była w niej głowa.

– Wygląda na to, że ktoś nas ubiegł – skomentował Bjarki – choć zostawił dość futer. Niezawodnie mieli okręt zbyt obciążony złotem.

Był bardziej przyzwyczajony do takich widoków niż Weles, tedy jął kluczyć między trupami, podczas gdy kupiec wstrzymał oddech i próbował wziąć się w garść. Weles rozejrzał się na boki. Wołał się upewnić, że tego czegoś – lub kogoś – odpowiedzialnego za masakrę, nie było na wyspie. Ciała nie wyglądały na leżące tu bardzo długo, a kruki wciąż miały niezgorszą wyzerkę. Jeden dziobał trupa tuż obok, obserwując Welesa; sam zewłok zresztą zdawał się na niego gapić przez oczodoły maski jelenia. Kupcowi zupełnie mu się to nie podobało, tedy przepłoszył ptaka. Jego przeświadczenie o nieistnieniu sił nadprzyrodzonych zawsze była najsilniejsze przy ognisku, gdzie pił z druhami, bardziej niż w takiej dziczy.

Załoga rozproszyła się po wyspie, chcąc zagrabić to, co niezagrabione. Tu czy tam znajdowano pojedyncze futro czy nóż, atoli Wielorybacy byli bardzo biednymi ludźmi. Ich bębny mogą być trochę warte, analizował Weles. Zawsze można im je odsprzedać lub zaofiarować jako dziwo na dworach południa.

– Tu jest twój skarb! – To był głos Bjarkiego, który krzyczał gdzieś z dołu zbocza, od strony morza.

Weles nie mógł wypatrzeć, skąd dochodzi nawoływanie.

Poszedł w dół. Ta rzeź musiała być jakimś rodzajem zbiorowej ofiary, pomyślał.

– Niezgorszy biot, nie? – rzekł Bjarki, jakby czytając w jego myślach. – Stary król Hrutr poświęcił niegdyś dziewięciu niewolników w dzień przesilenia letniego, ale to bije jego wyczyn na głowę i zad razem, jakby nie patrzeć. – Wskazał na jaskinię. – Tam, w dole. Spójrz.

Weles zmrużył oczy i spojrzał w mrok. Nie widział niczego. Ogarnął go niepokój. Zastanawiał się, czy Bjarki aby nie próbuje go zwabić w ciemność jaskini, by tam go zabić. Nie. Berserk nie miałby skrupułów przez rozplatanie mu czaszki w biały dzień, na oczach jarmarcznego tłumu, jeśli naszłaby go ochota. Jeśli Bjarki chciałby go ubić, już dawno byłoby po nim.

– Ty coś widzisz? Bo ja nie bardzo.

Bodwar Bjarki wyjął zgaszoną żagiew z rąk trupa, lekko i ostrożnie, jak gdyby ten człek wciąż żył, i podał ją kupcowi. Weles skrzesał iskrę na trochę strużyny, którą dobył z saka, i przyłożył do głowni. Pochodnia się rozpalila, a oni zeszli w dół.

Podczas zejścia towarzyszyły im roztańczone cienie, rzucane na ściany przez nikle światło pochodni, zdające się raczej brakiem ciemności niż czymś zdolnym rozświetlić wszechogarniający mrok. W mdłym poblasku zobaczyli wymalowane na ścianach runy.

– Umiesz je przeczytać? – zapytał Bodwar Bjarki.

– Skarb – orzekł Weles – i pomyślność. – Nigdy nadmiernie nie zawracał sobie głowy runami, przedkładając nad nie alfabet łaciński. Umiał je czytać, atoli z trudem. Chciał bardzo, by oznaczały to, co „przeczytał”, lecz zdawały się być zwyczajnymi bredniami o duchach i bogach.

– Jak ty w ogóle coś dojrzałeś? – Jego zdaniem było tu ciemno jak cholera.

– To musi być grobowiec.

– Więc tak naprawdę nigdy tu nie byłeś?

– Nie mam zamiaru spuszczać cię z oka, kupczyku. Nie ufam ci. Dać ci choć cię szansy, a dobijesz targu z moimi ludźmi, zostawisz mnie na tym zadupiu, prehandlujesz łódź i jeszcze wykolegujesz ich z zysku.

– W ogóle nie przyszło mi to do głowy – zaoponował Weles. Naprawdę o tym nie pomyślał, atoli dobrze było wiedzieć, że Bjarki

obawiał się buntu; bardzo miło z jego strony, że zasugerował sposób, w jaki można do niego doprowadzić.

Korytarz kończył się okazałym stosem kamieni. Na sklepieniu nie było widać oznak zawaliska, tedy Weles uznał, że ktoś je tam złożył. Na jednym wielkim bloku skały wyryto runę – wyszczerbiony odwrócony zygzak, przecięty prostą linią.

– A cóż to znaczy?

– Nigdy wcześniej takiej nie widziałem – przyznał Weles.

Za ich plecami stało już kilku ludzi, wpatrując się w głąb jaskini przez migotliwe światło.

– To święty znak ich ludu – odezwał się któryś.

– Bardzo możliwe – rzekł Weles – a ten, kto dokonał rzezi, zadbał, by coś tu zakamuflować.

– Niby co?

Weles wzruszył ramionami i się uśmiechnął.

– Tego się nie dowiemy, nim tam nie zajrzemy, prawda? Sugerowałbym wziąć się do roboty.

Bjarki burknął coś niechętnie. Potem chwycił za pierwszy kamień.

46. Z MROKU

Saitada siedziała w strudze światła przezierającej przez szeroki na palec otwór w ścianie górnej partii pieczary. Przyglądała się własnemu odbiciu spoglądającemu z klingi miecza.

Bardzo się zestarzała. Jak bardzo? Nie wiedziała. Nieprzypalona część jej twarzy straciła już urodę – ciasno opinająca kości skóra była blada z braku słońca, brudna i podrapana.

Dużo czasu spędziła w mroku. Pieczary czarownic były bezkresne i głębokie. Zrazu nie wiedziała, że jej chłopców zabrano, tedy pozostawała pod ziemią, czubkami palców muskając ciemność, wyciągając ręce, by dotknąć dziecięcej dłoni, by pogłodzić włosy, nasłuchując płaczu niemowlaków w mroku, utrzymując się przy życiu dzięki wodzie ze strumieni i jadłu wybląganemu od służby czarownic.

Przez lata Saitada nie wiedziała, czemu zabrano jej dzieci. Atoli pełzając przez niewidoczne kominy, wyłaniając się z zalanych syfonów, kędy jej usta kradły centymetr powietrza między wodą a sklepieniem, biorąc świece od służących chłopców i obserwując walkę światła z głębokim mrokiem, słuchała i poznawała. Czarownice, co z najniższych partii jaskiń potrafiły usłyszeć oddech zająca na górskim zboczu, co skałę i lód na Ścianie Trolli miały za jeno kurtynę, przez którą widziały od morza do morza, nie zauważały jej, a ona nie wiedziała, że powinna uznać to za dziwne.

Starsze czarownice, rzecz jasna, w ogóle się nie odzywały, a chłopcy wiedzieli jeno tyle, że musieli się ich bać i im służyć. Ni one, ni oni nie udzielili Saitadzie żadnych informacji o losie jej dzieci. Dziewczęta jednak, nowicjuszki nieobeznane z mrokiem, trzęsły się, dygotały i kurczowo trzymały się starego życia. Saitada przychodziła do nich, przesiadywała z nimi, przytulała je i pokrzepiała, atoli nigdy nie pomyślała, by coś powiedzieć. A te dziewczki czuły potrzebę rozmowy, podzielenia się z kimś swymi obawami, jakby szukały pociechy u własnych matek. Powiedziały jej między innymi o zbliżającym się zagrożeniu, o zgonach i grozie śmierci. A także o

dwóch chłopcach, którzy mieli zjednoczyć się w postaci wilka, który zabije krwiożerczego boga. Jeden z nich miał przyjąć w siebie ducha wilka, zaś drugi posłużyć mu za pokarm, dając bratu potrzebną siłę. Królowa czarownic zabrała chłopców, z których tylko jednemu pisane było przeżyć. Saitadzie w ogóle nie wydało się dziwne, że rozumie język tych dziewcząt. Wiedziała jeno, że jej pacholeta przepadły.

Bez przerwy o nich myślała, ich wspomnienie niby nowotwór zżerało wszystkie inne rzeczy, które widziała, całą dawną świadomość. Po latach samotności nie była już osobą, jeno przyobleczonymi w ciało miłością i nienawiścią – pielęgnującymi pamięć o dzieciach, nienawidzącymi królowej czarownic za to, że je odebrała – obserwującymi, jak śmierć zaczyna się zakradać do pieczar.

Gdy rozpacz Saitady sięgnęła najczarniejszych szczytów, wszystkie dziewczęta umarły. Zeszła w głęboki mrok, spodziewając się śmierci, gdy pięć z nich nie żyło; po jej powrocie nie żyły już wszystkie. Taki sam los spotkał chłopców. Od jednego z nich wzięła hubkę i zapaliła świecę. Nie wiedziała, czemu w ogóle wyłoniła się z ciemnicy – własne motywacje były już dla niej zagadką – atoli w ciągu tygodnia powód stał się jasny. Wróciła, by być świadkiem tego, jak królowa czarownic zabija swe siostry.

Niektóre odchodziły we śnie, inne dusiły się lub ginęły w płomieniach. Bez pomocy służących chłopców większość umarłaby z zaniedbania, atoli Saitada przynosiła im ofiarne jadlo. Nie przez życzliwość. Dostrzegła cierpienie, którego każde zabójstwo dostarczało królowej, i nie chciała, by głód i pragnienie oszczędziły jej udręki. Saitada widziała, że zgony wpędzały czarownicę w obłęd i starała się prowadzić ją ku niemu za rękę, zostawiając sznur czy hubkę, kołki, raz nawet długą szpilkę, którą znalazła w jakiejś odzieży zostawionej w darze. Królowa szybko zrobiła użytek z jej darów.

Saitada wypatrywała nadejścia boga, o którym mówiły jej dziewczęta, atoli nie zobaczyła niczego. Skała, sadzawka i strumyk pozostawały niezmienione w żółtawym świetle ogarka, zastałe powietrze i ociekająca wilgoć nie odmieniały się, gdy płomień dogasał.

Gdy wszystkie czarownice pomarły, spróbowała własnoręcznie zabić królową. Aliści wszelkie próby spęły na niczym. Po dwakroć wyciągała ją za sznur przywiązany do szyi ze Stawów Umarłych, raz wzięła niewielki nożyk, przycisnęła do jej piersi, lecz zaraz odsunęła.

Czyżby runy chroniły królową? Nawet Saitada je teraz wyczuwała, dzwoniące, pluskające i bulgoczące w ciemnościach, gdy czarownica znosiła swe codzienne udręki od wody i zimna. Długo rozmyślała nad tym, jak mogłaby pognębić swego wroga, aż zaczęła ją ogarniać frustracja. Atoli za każdym razem, gdy nastawała na życie wiedźmy, w końcu dawała za wygraną.

Jego miecz znalazła w najniższej partii jaskiń – obijał się jej o kolano, gdy niepewnie stapała po nierównym podłożu. Wiedziała, czym był, jak tylko go pochwyciła – smukłość w zdobionej klejnotami pochwie, ostrość obnażonej klingi.

On zdołałby uśmiercić czarownicę. On mógł zabić każdego. Saitada wiedziała o nim tylko jedno – znała jego imię. Authun. To wystarczyło. Wzięła miecz i poszła pod górę, w stronę światła.

47. ZEJŚCIE

Feileg nie umiał żeglować, tedy byli zmuszeni podróżować łądem. Krajobraz przedstawiał się teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy przybył na północ – przepastne pole bieli rozciągało się aż po dalekie góry. Atoli wiedział dobrze, gdzie powinni iść – wilk zawsze znajdzie drogę do domu – i ruszył na południe pod kłębiącymi się chmurami; za nim podążała Adisla. Z raną na nodze nie mogła iść daleko, ale Feileg posadził ją na sanie zaprzężone w renifera i poprowadził zwierzę. Noaidi, do którego sanie należały, jakoś się po nie nie zgłosił. Wilkolud załadował na nie zdatne do użytku płaszcze z renifera, namiot, futra, rakiety śnieżne i buty, zabrał krzesiwa i mnóstwo hubek. Wziął też włócznię. Nie potrzebował jej do walki, ale chciał mieć znak ostrzegający potencjalnych rabusiów, by gdzie indziej szukali okazji.

Pozostali przy życiu Noaidiowie nie mieli sił i ochoty się sprzeciwiać. Nim Feileg położył na stertę ostatni kamień, ostał się przy nim jeno jeden czarownik. A ten oznaczył kamień runą i też odszedł, uprzednio kładąc go na stosie.

Feileg miał wrażenie, że skądś zna ten symbol. Żałował, że nie zapytał czarownika, atoli nie łączył ich wspólny język. Czy to magicznie wiążąca bestię pieczęć? Albo coś innego; może ostrzeżenie?

Rozmyślał o tym, podczas gdy zmierzali na południe, ku Ścianie Trolli – gdy rozbijał namiot i rozpałał w środku ogień, gdy oddawał Adisli to, co dla niej złapał i zabił. Wilk jest królem zimy, więc Feileg był niemal szczęśliwy, przynosząc zdobycz i pozwalając dziewczynie ją przyrządzić, miast, jak dotychczas, jeść surowe mięso. To było życie, które mignęło mu przed oczami, gdy pocałował ją przy słupie, od którego go odcięła.

Jednak Adisla zamknęła się w sobie. Milczenie zastąpiło łzy. Była pewna, że to przez nią Wali znalazł się w tak tragicznym położeniu. Jej rozumowaniu brakowało logiki, atoli nie mogła pozbyć się przekonania, że jej romans z kimś z o wiele wyższej klasy społecznej, to, co zrobiła matce, nawet jej ustępliwa zgoda na

małżeństwo z Drengim – że to wszystko doprowadziło do tego, co go spotkało. Wyrosła w głębokiej wierze w magię, od dziecka przysposabiano ją do nauki guślarstwa, a nawet podstaw wieszczbiarstwa. Wszystko się ze sobą łączyło, czuła to. Matka powiedziała jej kiedyś, że ludzie stoją na skraju oceanu zdarzeń, który sięga nieznanych wysp i wybrzeży. Ona pozwoliła, by coś złego urosło między nią a Walim. A teraz dojrzało w nim coś o wiele bardziej złowrogiego.

Atoli gdy odpoczywali przy ogniskach a Feileg opisywał niesamowite zdarzenia ze swego dzieciństwa, beznadzieja, którą czuła wobec związku z Walim, zasiała w niej ziarno nadziei na przyszłość z Feilegiem. Stopniowo ją się przed nim otwierać. Mówiła mu o młodości spędzonej z Walim, a potem jeno o sobie i swym życiu z braćmi i, przede wszystkim, z matką. Wilkolud słuchał w milczeniu, a gdy wyznała, co zrobiła Disie, siedział przez chwilę, nim rzekł:

– Chciałbym poznać taką miłość.

– By ją zabić?

– By ją ocalić – poprawił. – Pisane jej było umrzeć, a ona o tym wiedziała. Lepiej szybko, z ręki córki, niż po męczarniach u Danów. Wybrała narzędzie swej śmierci – ciebie, tę, którą kochała. Nie jesteś winna bardziej, niż gdyby to ona sama użyła noża.

– Chciałabym móc w to uwierzyć.

– Sądzisz, że matka życzyłaby sobie, byś nosiła żałobę.

– Nie.

– Czego tedy by chciała?

Adisla podniosła wzrok na lśniące spirale nocnego nieba.

– Bym ułożyła sobie życie, spotkała poczciwego człeka i powiła wspaniałych synów.

Feileg się uśmiechnął.

– Tedy – niech to będzie twoim celem – zaproponował.

Feileg, jak widziała, nie był wilkiem. Szaman nie odebrał mu człowieczeństwa swymi śpiewami i wywarami. Był mężczyzną, zwyczajnym i prostym, kimś wychowanym na prymitywnego brutala, który jednak zaparł się swego dziedzictwa. Byłby z niego dobry mąż, nie wątpiła, a ona z dumą zostałaby jego żoną, jeśliby tylko Norny wcześniej ich ze sobą złączyły.

Kiedy przeprawiali się przez górskie przełęcze, dni były krótkie,

jednak gdy księżyc świecił jasno na niebie, Feileg prowadził ich dalej.

– Wiesz, gdzie idziesz? – zapytała.

– Na południe – odparł. – Te góry rozciągają się niby fałda – od morza aż po Ścianę Trolli. Póki można, trzymajmy się wybrzeża, a potem, wzdłuż gór, dotrzemy, gdzie trzeba.

Adisli aż zapierało dech na widok północnej zimy, posępnych wzgórz i oszalałymi równin, choć kraina zdawała jej się jałowa i groźna w porównaniu z gładką rzeźbą jej nadbrzeżnej ojczyzny. Sanie podskakiwały na wyboistych ścieżkach, atoli futra miło grzały; bywało, że dawała radę się zdrzemnąć.

Podróżowali już od wielu tygodni; śnieg ścielił się gęsto, a teren w oddali zdawał fałdować się w mroczne grzbiety. Gdy się zbliżyli, ujrzeli je, Szczyty Trolli, karbowane granie – niby olbrzymie grzywacze morskiego monolitu. Sprawiały wrażenie przytłaczających, choć droga ku nim nie była trudna – ziemia zmarznięta na kość, rzeki skute lodem. Czasami napotykali chaty. Widać w nich było ślady życia – lecz raczej życia minionego. Nikt nie wychodził, by ich przywitać, nie zaszczerkał żaden pies, ani jedno dziecko nie krzyknęło. Odzienie, pozostawione na słońcu do wyschnięcia, wyblakło i zgniło, a potem zamarzło.

Adisla spojrzała na Feilega i uniosła ramiona w niemym pytaniu: „Co tu się stało?”.

On zrobił to samo.

– Przez te wzgórza przesiąkają koszmary – stwierdził. – Zawsze tak było. Może stały się nie do zniesienia.

Zdawało się, że na tyłach Ściany Trolli strumyk okropności wywołał powódź. Wszystko opuszczone, wszystko w ruinie. W domach żywego ducha.

Poszli w głąb lądu skrajem wzgórz, okrążając je, nim wspięli się pod górę, i przez wąską dolinę.

W ciężkim świetle wieczoru ze szczytów były niewidoczne wilki.

Adisla, której rana już nie dokuczała, spojrzała na Feilega z obawą, atoli wilkolud był spokojny.

– To moi bracia – rzekł. – Witają mnie w domu.

Odpowiedział na ich wołanie, i Adisla zobaczyła zwierzęta. Wcześniej myślała, że patrzy na pojedyncze głązy, atoli teraz te kamienie zaczęły schodzić ze zbocza. Wilki. Feileg uśmiechnął się i

odciął spłoszonego renifera od sań.

– Dobrze nam służył – rozczuliła się Adisła, patrząc w ślad za uciekającym zwierzęciem.

– I tak go dopadną, czy będzie przywiązany do sań, czy nie. Ale przynajmniej zginie wolny. Tak, jak powinien.

Renifer miał odciętą drogę ucieczki – wilki były i przed nim, i za nim. Skręcił w jedną stronę, w drugą, gorączkowo podbiegał to w przód, to w tył. A potem się zatrzymał. Po chwili opadła go wataha.

– Nawet nie próbował uciec – zachnęła się Adisła.

– Wiedział, że nie ma szans. Po co umierać wycieńczonym? Wystarczy, że trzeba umrzeć, nie trzeba przed śmiercią się starać.

– A my co niby robimy?

– Staramy się.

– Mówisz jak Bragi.

– Och, dziękuję. – Nie powiedział jej, że stary woj nie żyje. I bez tego miała już dość zmartwień.

Gdy wilki skończyły się posilać, Feileg wziął na ramię namiot i poszli przed siebie, pod przełęcz. Wataha ruszyła za nimi. Góra przed nimi, już z oddali wydawała się duża. Z bliska była ogromna, większa niż wszystko, co Adisła mogła sobie wyobrazić – strzelista naga smuga szarości i bieli, wyrastająca z dna doliny i niknąca szczytem w chmurze.

– Gdybym ujrzała drzewo świata – odezwała się Adisła, trzymając Feilega za rękę i wyciągając szyję – chyba właśnie tak by wyglądało.

– Wejdziemy w jej głąb – powiedział Feileg.

– Jak?

– Musimy znaleźć wilczą pułapkę.

Adisła od razu pomyślała o Walim, przemienionym i głodującym, pozostawionym w jaskini. Puściła dłoń Feilega i zamilkła.

Feileg poprowadził ich pod górę. U Adisli znów boleśnie odezwała się stara rana. Zaczęła kuleć.

– Mogę iść dalej sam. Tak może nawet będzie lepiej.

– Zostanę z tobą – upierała się. – Teraz jestem z tobą złączona. Na dobre i na złe. Bez ciebie umrę w tej dzicy.

Feileg bardzo chciał ją objąć, powiedzieć, co do niej czuje, atoli dostrzegł determinację, z jaką parla do przodu, jej oddanie księciu, tedy skupił się na wybieraniu bezpiecznej ścieżki.

Podejście w niższe partie było dość łatwe. Wprawdzie dokoła zalegał śnieg, ale piekielny ziąb nie dawał się we znaki, o ile się nie zatrzymywało albo miało ogień na podporządku. Znaleźli nawet ścieżkę wijącą się wokół góry. Adisla zawsze wyobrażała sobie szczyty jako lite ściany pnące się ku niebu, atoli ten często przecinały skalne ustępy. Wdrapywali się po piargach albo po kamiennych usypiskach, potem wzdłuż grzbietów; zdawali się poruszać raczej w bok niż w górę. Ścieżka biegła po zboczu tak stromo, że Adisla musiała wbijać w śnieg koniec drzewca włóczni, by nie runąć w dół.

Światło było tu blade i wyprane z kolorów. Feileg zatrzymał się w miejscu, gdzie szlak kończył się na szerokim obszarze nagiego piargu – występie na grzbiecie, wyżej przechodzącym w lód. Na niezśnieżonej ziemi, pod osłoną wielkiej skały, leżało tu kilka garnuszków, a obok dwie czy trzy butelki.

Feileg chwycił jedno z naczyń i obwąchał.

– Masło – orzekł – choć wylizane do czysta przez mych braci. – Podniósł jedną z butelek i wyjął drewnianą zatyczkę.

– Miód – stwierdził. – Normalni ludzie nie zapuszczają się dalej, by nie popaść w obłąd. To tu zostawia się dary, atoli tych nikt nie zabrał. Patrz!

Wskazał na pobocze ścieżki za ich plecami. Adisla ujrzała na ziemi ciemną plamę.

– To wilcza jama chroniąca dary – oznajmił Feileg. – Przed czarownicami drżą ludzie, nie wilki. Połamałem tkwiące w niej ostre żerdzie.

– Jak wiedźmom w ogóle się udaje zabrać coś stąd przed wilkami?

– Mają sługi. Oni to szybko wynoszą.

Jeden z wilków bezszelestnie znalazł się przy jego ramieniu. Nim poszedł dalej, obwąchał ziemię i zerknął na Feilega. Wyglądał, jakby prosił o wskazówki.

Poszli dalej, w górę i w górę, potem w dół, ku dolinie, znów w górę i w dół, ku kolejnej. Tu ziemia była naga i kamienista. Opodal, z boku wzgórze spływał wodospadem strumyk, wpadając z hukiem do szerokiego stawu, a później opadając po zboczu. Wilk pomknął nad staw. Tuż przed wodą zwierzę przystanęło i podniosło coś w pysku. Adisla i Feileg podeszli do niego. Między szczękami wilka tkwiła

ludzka ręka. A właściwie – dziecięca.

Feileg wciągnął powietrze.

– Stąd to już blisko – zawyrokował – bardzo blisko.

Szukali przez dwa dni, ale nie znaleźli niczego. W okolicy mało było drewna na ogień, zaczynało im braknąć jada, a Feileg nie miał czasu, by cokolwiek upolować – przeczesywał górę, kierując wilki w tę i z powrotem, niby pasterz wierne owczarki. Adisla jeno siedziała w namiocie i starała się ogrzać, pozwalając odpocząć obolałej nodze.

Feileg powrócił nad staw

– Nic – rzekł. – Wilki znalazły ślady dzieci, chodzących w tę i we w tę po całej górze, lecz jedne nachodzą na drugie i tak w kółko. Tu piły, a potem poszły w górę. I znów wróciły. Tak się przynajmniej wydaje.

Adisla spojrzała na wodę. Kryształowo czysta i, o dziwo, niezamarznięta. Znajdowali się całkiem wysoko ponad dnem doliny, a nawet tam rzekę skuwał lód, a każdy staw zlodowaciał na kamień. A tu wciąż płynęła.

– Tu nie ma lodu – zauważyła.

Feileg podążył za jej wzrokiem. Jakoś wcześniej tego nie zauważył. Zanurzył rękę. Ciepła nie była, ale też zdecydowanie nie tak zimna, jak powinna. Do tego przejrzysta, nawet bardzo.

– Zaczarowana? – zapytał.

– Możliwe. Sądziś, że to wejście?

– Może jedno z nich. Podobno jest ich więcej, atoli ni mnie, ni wilkom nie udało się ich znaleźć.

– Wejdiesz tam?

– Tak.

Najpierw jednak rozpałił ognisko w namiocie Noaidich. Potem stał przez kilka chwil nad wodą, ciężko dysząc i sapiąc, rozcierając ręce i w miejscu przebierając nogami. Adisla zastanawiała się, co też on niby robi i pomyślała, że wygląda cokolwiek niepewnie. Wszedł do wody po pas.

– Wcale nie jest zimna – zawołał.

Wszedł głębiej, zrobił parę kroków w przód i w tył i postarał się zanurkować, atoli natychmiast wynurzył się na powierzchnię, dusząc się i wykasłując wodę. Spróbował raz jeszcze, ale z takim samym skutkiem.

– Nic ci nie jest? – zapytała Adisla.

– Nie. – Drżał. Doszedł do siebie i ponownie zanurzył twarz.

Potem rzeczywiście udało mu się zanurkować. Po kilku uderzeniach serca wypłynął, gorączkowo trzepocząc rękoma i wierzgając nogami, rozpaczliwie młócąc dłońmi i zachłystując się wodą. Ciężko dysząc, odnalazł grunt i chwiejnym krokiem podszedł do ogniska, gdzie Adisla utuliła go w ramionach. Jak niegdyś przytulił ją Noaidi, gdy została wyłowiona po skoku za burzę.

Po chwili jego oddech się uspokoił.

– Tam w dole coś jest, jakiś otwór w dnie. Można tamtędy wpłynąć. Spróbuję ponownie.

– Poczekaj chwilę, musisz odpocząć.

Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, wilkolud miał strach w oczach.

– O co chodzi? – zapytała.

– Muszą być inne sposoby, by dostać się do środka.

– A tamtędy można?

– Jest tam lina, do czegoś przymocowana. Sądzę, że gdzieś prowadzi. Ale muszą być i inne wejścia. Chłopcy nie mogą wszystkiego tędy wnosić, bo by zamokło.

– Ale znamy tylko to wejście. Po co szukać kolejnego?

Feileg wzbił wzrok w ziemię.

– Nie lubię wody – przyznał.

– Och, Feilegu – westchnęła Adisla. Przytuliła go do siebie.

Spojrzał jej w oczy, a ona w nagłym porywie przytknęła wargi do jego ust w lekkim pocałunku. Feileg nie wiedział, co powiedzieć, a tym bardziej – zrobić, Adisla odsunęła go, wykonała trzy głębokie wdechy i zanurkowała.

48. SADZAWKA ŁEZ

Przez omyłkę Saitada zrazu poszła na północ, poprzez opustoszałe gospodarstwa, obok domów, w których teraz jeno szczury kryły się przed zimnem. Wzięła stamtąd kilka przydatnych rzeczy – dwa zapleśniałe koce, co zapewniały trochę ciepła, dość szmat, by okryć twarz, przewiązać nogi i zawinąć miecz, oraz kubek do topienia lodu na wodę.

Minęły trzy dni, nim zobaczyła unoszący się z chaty dym, a gdy wymówiła imię Authuna i na migi zapytała, czy tu go znajdzie, ludzie jeno zaśmiali się i wskazali na południe, hen za Ścianę Trolli. Myśleli, że jest przy głupia, mówili jednak, a ona chętnie nadstawiała ucha. Podróż na południe nie należała do bezpiecznych. A ziemie wokół gór były przeklęte. Jakiś czas temu zmory śmierci i cierpienia zstąpiły ze zboczy i wszyscy mieszkańcy się stamtąd wynieśli. Chodziły słuchy, że czarownice umierały, a ich magia skaziła tę krainę. Saitada słuchała w milczeniu. Rozumiała ich, atoli nie pojmowała, jak to możliwe.

Tej nocy jeden z synów gospodarza postanowił sprawdzić, co też ta stara żebraczka ma w swym tobołku. Atoli gdy podszedł, by wyciągnąć zawiniątko z palców śpiącej Saitady, kątem oka zauważył oparzelinę na jej twarzy i w dyrdy wrócił do łóżka. Rankiem, zawstydzony uczynkiem z poprzedniej nocy, podarował jej ciepły płaszcz, stare buty i zgrzebną tunikę, która służyła psu za poślanie. Saitada skłoniła się, by podziękować za gościnę, a potem odwróciła się, rozpoczynając długą podróż na południe.

Poddani Authuna zachowali go w pamięci. W siołach, pośród swych trzód mówili jej, gdzie powinna się udać. Na południu śnieg był lżejszy, choć wiatr bardziej ostry. Ludzie jednak przestrzegali tradycyjnej gościnności wobec podróżnych, której hołdowano w tych stronach, udzielali jej noclegu, a rankiem kierowali we właściwą stronę. Króla znalazła po dwóch dniach marszu w głąb Żelaznego Lasu.

Jakiś myśliwy, kierowany współczuciem z powodu jej twarzy, doprowadził ją do połowy drogi i pokazał jej kierunek, w którym

musiała się udać. Powinna trzymać się między brzozaami, powiedział, i zejść niżej, kędy las przechodzi w jodłowy bór, mieć zbrocze po lewej, Gwiazdę Polarną po prawej, a co do reszty – zawierzyć szczęściu. Po tak długim czasie w mroku, noc przyprawiała Saitadę o zawrót głowy, a jej umysł zdawał się otwarty na niebo. I to jakie! Mieniające się ogniem, zawijasami zieleni i czerwieni; zupełnie jakby bogowie rozpalili swe światełka, pokazując, że radują ich jej uczynki. Nie zatrzymała się, by się przyjrzeć dokładniej. Determinacja i potrzeba ciepła pchały ją do przodu.

Spotkała go dopiero drugiego wieczora, gdy księżyc był w pełni. Siedział na skale, wpatrując się w staw, w większości zamrznięty, atoli tam, gdzie zasilał go mały wodospad, wciąż wolny od lodu. Jego długie srebrne włosy lśniły w świetle księżycy niby sama woda lub wieszczba tego, jak będzie wyglądał wodospad, gdy w końcu skuje go lód. Nie spojrział na nią, wciąż gapił się w staw. Nie odwracając głowy, rzekł:

– Nie oczekuj, że stanę do walki, przybyszu. Już dość wdów wyje w mych snach.

Saitada nie odpowiedziała. Król nie miał ognia ni płaszcza. Siedział nieruchomo, a buchające mu z ust obłoczki pary przywodziły na myśl spowity mgłą gład. W końcu podniósł wzrok.

Żaden włócznik ni berserk nie skłoniłby go do powstania. A Saitadzie się to udało.

– Pani, byłaś stale obecna w mych myślach.

Skłoniła głowę.

– Te myśli przywiodły mnie tutaj – ciągnął, wskazując na staw. – On tu jest, ten człek, którego – widziałas – posłałem na dno oceanu, a także reszta moich pobratymców, których zem odtrącił. Zdaje mi się, że to magiczny staw, zasilany nie przez wodę, lecz przez łzy uczynionych przeze mnie wdów i sierot.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na wodospad, a potem ponownie na Saitadę. Żaden wróg nie zdołałby wprawić go w stan takiego poruszenia.

– Przepraszam – rzekł. – Przepraszam za to, com ci uczynił. Twe oblicze nawiedza mnie w snach. Zabrałem ci dzieci i zostawiłem cię potworom. I w imię czego? By wpłynąć na przeznaczenie, choć wiadomo, że los każdego ustalany jest przy narodzinach. Twe dziecko

nie przyniesie ludowi Horda wiecznotrwalej sławy, a jeśli tak, to w żaden wiadomy mi sposób. A nawet jeśli, to cóż z tego?

Saitada wciąż milczała. Nie żywiła do króla nienawiści. Nie zrobił nic więcej, jeno przerzucił mnie z miejsca na miejsce, pomyślała, tak jak wcześniej trafiłam od kowala do kmiecia, i dalej, do kapłanów. Niewola była przeznaczeniem jej życia. On, w odróżnieniu od czarownic, nie pozbawił jej kontaktu z dziećmi.

Authun widział to inaczej i zapragnął zapaść się pod ziemię ze wstydu. To uczucie zdążyło go już odciągnąć od królestwa, od rodziny i bitew, zmuszając do przesiadywania w mroźnych lasach, corocznego przysłuchiwania się głosom wód i pójścia na wojnę z człowiekiem, którym był niegdyś. A mimo to, gdy przychodzili rabusie, gdy niedźwiedzie atakowały lub zima dawała się we znaki, nie potrafił sobie odpuścić, nie potrafił tak po prostu umrzeć, i zawsze walczył o życie. Polował, choć wolałby raczej zginąć z głodu, pił dopiero gdy konał z pragnienia. Saitada nie miała racji. Authun nie potrafił zabić nikogo, absolutnie nikogo. Nie zdołał się nawet targnąć na własne życie. Nie mógł przekroczyć progu, przez który przepchnął tylu innych. Ta niemoc była mu hańbą, wiszącą nad nim niby potężna pięść, władna w każdej chwili go zgnieść.

– Cóż chcesz, bym uczynił, pani?

Saitada bez słowa wskazała na północ.

– Chcesz bym z tobą poszedł? A czemuż to? Przyniosłaś mi żal i rozpacz. Co jeszcze zamierzasz mi podarować?

Saitada spojrzała mu w oczy i wymówiła pierwsze słowo, oprócz jego imienia, jakie kiedykolwiek wypowiedziała w jego języku, słowo zasłyszane pośród szeptów w jaskiniach czarownic, artykułowane na drgających wargach chłopców, w zduszonym oddechu dziewcząt.

– Śmierć – rzekła. Postąpiła w przód i włożyła zawiniątko, które przyniosła, w jego dłonie. Odchylił tkaninę i w bladym świetle śródleśnej nocy ujrzał pochwę Księżycowego Ostrza. Wyciągnął miecz i przyglądał się, jak wzdłuż klingi przebiega zimna iskra księżyca.

– Tedy pójdę za tobą – zdecydował.

Saitada odwróciła się i opuściła las.

49. MANIFESTACJA

Wysiłki czarownicy skupiały się na Lieiabolmmaiu – na przekazaniu mu wystarczającej ilości mocy, by sam sprowadził na siebie zgubę. Dała mu pętlę, a on włożył w nią głowę i skoczył. Gdy zginął w szczękach wilka, jej umysł się uwolnił.

Znajdowała się w paszczy wilka, najniższej jaskini, leżąc nago na kamiennych zębach i żądając od bogów nagrody za swe cierpienie. Domagała się objawienia. Chciała otworzyć te drzwi, prowadzące głębiej w ziemię, ku spletanemu bogowi, jego wężom i misie. Atoli nie mogła go znaleźć. Korytarze, które zamieszkiwał, wciąż tam były, aliści nie pozostał w nich ślad po Lokim czy choćby echo jego obecności. Pograżona w bólu, frustracji i szaleństwie, nawet nie zauważyła, że przepadł miecz, który zakłęła.

Śmierć Lieiabolmmaia dosięgła ją niby błyskawica, niby wrażenie domu z drzwiami otwartymi wiosną po długiej i srogiej zimie.

Z wielkim wysiłkiem podniosła się z ostrych skał i stanęła we własnej krwi i odchodach. Choć palce królowej doskonale знаły drogę przez tunele, już wcześniej, z myślą o końcu swych katuszy, przygotowała niewielką lampę, wiedząc, że przyda jej się pociecha światła po długiej wędrówce do tak mrocznych miejsc. Rozpaliła lampę i przeniknął ją dreszcz ulgi. Pod jej stopami leżał kawałeczek skóry z wyciętą na nim runą Wolfsangel. Dotknęła go, a symbol odbił się rezonansem w jej duchu. Powrócił do niej. O tak, Odyn był martwy, pożarty przez jedyną rzecz, która mogła go pochłonąć – przez Fenrira Wilka, który przybył na ziemię. Dała powieszonemu bogu jego runy, pozwoliła mu poznać jego prawdziwą naturę, a on rzucił czar, który zabił jego samego.

Chwiejnym krokiem posyła przez tunel tam, kędy strumień bije z ziemi. Złożyła dłoń w miseczkę, by zaczerpnąć wody, a gdy ją podnosiła, trochę przeciekło jej między palcami. Woda spłynęła zbyt szybko, jak jej się zdało. Podniosła kamyk i poturlała go po ręce; wypadł z jej palców i odbił się od skalistego podłoża. Zbyt daleko? Tak

to wyglądało. Jenó Odyn potrafił zatrwożyć skały i strumienie, jenó Odyn mógł sprawić, by powietrze się rozstało, a morza cofnęły. A więc wciąż żył. Nie żałowała wysiłku, a mimo to nie umarł.

Królowa czarownic – choć była teraz jenó panią samej siebie, bo wszyscy jej poddani leżeli pozabijani – zanurzyła się w mrok, wstrząsana drgawkami. Po korytarzach hulało powietrze. Wiedziała, co to jest – oddech boga. On po nią szedł, a ona była sama – bez sióstr potęgujących jej moc, bez rzeszy czarownic, którą mogłaby wysłać przeciw niemu, by go osłabić. Czyżby ją zwiedziono? Czyżby jakaś potężniejsza magia zwróciła jej ręce ku morderstwu?

Poczuta, że jej umysł się wykrzywia. Bóg na nią napierał, wnikał we wszystko wokoło, przesiąkał przez korytarze i jaskinie, by ją otoczyć i zdusić. Odyn po nią przybył – Odyn-pan powieszonych, Odyn-berserk, Odyn-obłęd, wisielec, gwałtownik, zapraszający włócznie, stary jednooki, Odyn-szalony, poeta, Odyn-deszcz, skała, mrok i światło. Czaił się za każdym załomem tunelu, ukrywał się w każdym stawie, atoli ulatywał jej z palców, gdy chwyciła mrok, chlupotał krokami w ciemnościach, gdy go ściagała, chcąc się z nim zmierzyć.

A skoro Odyn był tu, to gdzie podział się wilk? Myślała, że czarownik z północy zdoła przyoblec Fenrisulfra w ziemskie ciało i w efekcie znajdzie własną zgubę. Atoli jeśli ten bębniący szaman nie był Odynem, to wilk nie mógł się ukazać. Była pewna, że wilk objawi się w pełnej krasie jenó wtedy, gdy bóg uświadomi sobie samego siebie. Teraz zdrowe zmysły powracały do królowej wyłącznie w przeblyskach. Wcześniej zabijała i cierpiała, dążąc do magicznego zrozumienia tego, co niezrozumiałe. Teraz miała wrażenie, jakby robaki przeżerały się przez labirynt jej myśli. Schematy i połączenia zniknęły z jej umysłu, wszelkie ich drogi zablokowano, spalono lub rozbito. Przeto jej myśli znalazły sobie inne ścieżki, drążąc przez sieć pospolitych założeń, budując chwiejne mosty między obszarami jej mózgu, które nigdy bezpośrednio się nie komunikowały. Inni nazwaliby to szaleństwem, atoli dla królowej było to błogosławieństwo, które wywalczyła w ciągu wielu lat zabijania i bólu.

Zaiskrzyło w niej nagle zrozumienie. Była pierwszą pośród czarowników wszech płci, mistrzem nad mistrzami. Tak długo ukrywała swe zamiary, nawet przed samą sobą, w obawie, że

uświadomienie sobie własnych zamysłów odkryje ją przed bogiem. Gdyby zrozumiał, że działa przeciwko niemu, uderzyłby na nią. Atoli zwiedziony, nie stanowił zagrożenia. Jeśli jej magiczne wysiłki skupiały się na fałszywym celu, bóg myślał, że ma czas – mógł się ociagać, wahać. A tym samym dawał jej sposobność, by przywiodła wilka do progu istnienia w najlepszy możliwy sposób – przekonując kogoś innego, by zrobił to za nią. Wizje mówiły jej, że nawet przed samą sobą skryła prawdziwą naturę tego czaru i to, który chłopiec posłuży za ziemską powłokę zstępującego boga. Odyn nie był w stanie siłą wyciągnąć z niej tego sekretu, gdyż sama go nie знаła. Tedy bóg nie pomiarkował grożącego mu niebezpieczeństwa, nim jej obrońca nie był gotów.

Przypomniała sobie pętlę wokół szyi pierwszej zmarłej dziewczyny – wisior martwego boga, trzy ciasne zwoje – i zrozumiała, że to było przesłanie – jedna rzecz ukryta w drugiej, a ta – w kolejnej. To była magia najpotężniejszego sortu, magia, która działa niezależnie od czarownika – z niej i przez nią, i owszem, atoli nie można rzec, że jest jej sprawką. To nie było czarowanie; jeno moc przyjęta w dzieciństwie, która teraz sama czarowała za pośrednictwem królowej.

Myśli czarownicy uwolniły się od rozumu i zbłądziły w dziedzinę magicznego myślenia, poza logikę i zdrowy rozsądek, utrzymując jednak najmocniejsze z możliwych powiązanie z rzeczywistością – powiązanie śmierci.

Przytuliła runę do siebie, tę, którą wycięła na kawałku skóry. Przyłożyła ją sobie do warg, dotknęła językiem i wciągnęła jej aromat. Runa pachniała czymś więcej niż jeno zwierzęcą skórą. Smakowała łzami, stosami pogrzebowymi i gnuśnością oczekiwania. Stratą.

Wilk się zbliżał, atoli potrzebował czegoś, by uczynić ostatni krok – cierpienia, co pchnie go w ciało, odpędzając człowieka. Czarownica poczuła na skórze ciepło z powietrza. W wyższych partiach jaskini coś było. Nie szcur i nie ptak. Spojrzała na runę, a jej znaczenia wpłynęły do umysłu – burza, wilkołak, wilcza pułapka. Wiedziała już, że to ta dziewczyna; teraz wyczuła jej ważność. To ona była pułapką zdolną zwabić braci. Fragmenty magicznej układanki zaczynały się zazębiać. Dziewczyna już tu jest, a bracia też przyjdą, jeno wilka brakowało. Runa zdawała się pulsować w jej dłoni. Trzy w jednym, węzeł nieszczęścia, wyrzeczeń i rzezi. Odyn był już tuż-tuż. Czas

najwyższy przywołać obrońcę, wroga martwego boga. Nie będzie łatwo. Wilk urósł, czuła to, i był bliski osiągnięcia pełni swej siły. Stworzenie, mogące stanąć przed mistrzem magii i stracić mu głowę, nie odpowie na wezwania czarownicy. By wymusić jego obecność, potrzeba było czegoś więcej. Czarownica, której umysł był tak złączony z jaskiniami, że czuła w nich każdy ruch, wiedziała, iż dziewczyna weszła do jaskini skarbów. Przyjdzie do niej. Ponownie przytknęła język do runy. Tym razem symbol miał smak krwi.

50. SAMOTNA

A jeśli nie będzie powietrza? A jeśli to prowadzi donikąd?

Adisła szarpała za linę z rosnącą desperacją, zupełnie nic nie widząc. Tunel pod dnem stawu był długi, mroczny i całkowicie zalany wodą, atoli zanurzyła się weń na tyle głęboko, że nie mogła zawrócić. Ciągnęła i ciągnęła, ręka za ręką, dławiąc narastający strach. Sklepienie podwodnego tunelu było gładką skałą. Raz po raz uderzała w nie głową, co zmuszało ją do zginania szyi, by to ramiona przyjęły na siebie siłę uderzenia.

Z trudem stłumiła ochotę, by odetchnąć lub się poddać, by walić głową o sufit i mitrzyć energię. Wtem, nagle i gwałtownie, tunel skręcił w górę. Powietrze uderzyło ją twarz, a ona połykała je wielkimi haustami. Otworzyła oczy. Gęsty mrok. Nic nie widziała, atoli wyczołgała się na chropowate i kamieniste podłoże jaskini. Podźwignęła się i usiadła. Między palcami coś poczuła, coś zimne niby jesienna trawa.

– Halo.

Martwe powietrze w jaskini zdawało się przylegać do skóry. No właśnie, martwe powietrze. To był ten zapach – odór zgnilizny. Adisła przyszła do siebie i sięgnęła do sakwy u boku po krzemień, krzesiwo i hubkę, które Feileg zabrał jednemu z Noaidich. Hubka już do niczego się nie nadawała – czuła, że była przemoczona – atoli krzemień i krzesiwo wciąż były użyteczne. Wyjęła je, uderzyła o siebie i w tym momencie osaczyły ją trupy. Z mroku wychynęły przegniłe twarze. W okropnym, przelotnym przebłysku krzemiennej iskry ujrzała trzech martwych chłopców. To nie trawy dotykała wcześniej, a włosów. Adisła zmówiła cichą modlitwę do Freyji. Teraz, niemal rada panującemu mrokowi, skuliła się plecami do ściany.

Czekała, aż dołączy do niej Feileg, przyciskając do siebie kolana w złudnej pociesze, którą dawało jej tulenie czegokolwiek. Atoli Feileg się nie pojawiał. Myślała, że jej odwaga go ośmieli. Czyżby się myliła? Zmusiła się, by wsłuchać się we własny oddech, upewniając się, że czas

nadal płynie, że odczuwana wieczność jest w rzeczywistości niczym więcej jak tylko kilkoma uderzeniami serca. Feileg wciąż się nie wynurzał.

Starła się wymyślić, co począć. Wracam na powierzchnię, postanowiła. Wymacała linę i przygotowała się do ponownego zanurzenia. Tym razem będzie łatwiej, pocieszała się w duchu – wiedziała już, jak długi jest tunel. Chwyciła linę w ręce i pociągnęła. Tak, wciąż napięta, nadal przymocowana. Zdoła się przeciągnąć z powrotem. I wtedy pomyślała o Walim, zaklętym i opuszczonym w tamtej jamie. Feileg nie był w stanie przepłynąć tunelu i nie było gwarancji, że zdołają znaleźć inne wejście do jaskiń czarownic.

Przyszła jej do głowy okropna myśl. A jeśli Feileg utonął? Czy jego ciało zagradza drogę? Drżąca i zatrwożona, zmusiła się do myślenia. To była Ściana Trolli, a czarownice przyniosły już śmierć niezliczonym bohaterom. Kto wie, czy Feileg nie podzielił ich losu. Dla dobra Waliego, musiała iść bez wilkoluda.

Adisła przygotowała się i przeszukała ciała chłopców, mając nadzieję na znalezienie lampy. Wymacała jeno amulety wokół ich szyj. Wzięła jeden. Temu dziecku nie pomógł, ale ją może poratuje. Człgając się obok chłopców, rozciąła sobie kolana o podłoże. Nic to, i tak będzie musiała przywyknąć. Gdy już była pewna, że dzieci pozostały za jej plecami, ponownie uderzyła w krzemień. W chwilowym przeblasku dostrzegła korytarz prowadzący dalej i w dół, i poszła przed siebie, zanim ponownie skrzesała iskrę, by wybać drogę. Nie spodziewała się, że zobaczy wiele, atoli pomyślała, że może przynajmniej zdoła na czas wypatrzeć spadki terenu, niskie sklepienia czy przepaści. Jednakowoż szła dalej z rozwagą, wymacując drogę przed sobą. Posuwała się wolno, kolana strzykały bólem.

Miała nadzieję, że odnajdzie gdzieś Feilega. Powiedział jej, że pośród wzgórz ukrył wielki skarb. Był naiwny i nie dość szczerwany, by kłamać w takiej kwestii. Skoro mówił, że ma skarb, to miał. Będzie się mogła nim posłużyć jako kartą przetargową, by przekonać czarownice do wykorzystania ich magii, aby przywrócić Waliego do ludzkiej postaci. Teraz jednak mogła im ofiarować jeno słowo, że skarb dostarczy. Azaliż jaką wagę miało słowo kobiety? Być może Feileg bardziej by się nadał – więdźmy chętniej przyjęłyby przysięgę z ust woja.

Adisla próbowała stłumić głębsze przemyślenia. Odkąd pamiętała, kochała wyłącznie Waliego. Teraz się go bała, a Feileg, ze swoją szczerością i życzliwością, dawał jej szansę na proste życie z dala od spraw królów i czarowników. Miłość Adisli do Waliego pochłonęła ją, Feilega, matkę – wszystko, z czym się zetknęła. Gdyby nie to uczucie, Danowie w ogóle by po nią nie przybyli, a jej matka wciąż by żyła, tak jak i mały Manni. Nie mogła atoli porzucić księcia na pastwę losu. Bez względu na wszystko.

Sprawy sercowe były właściwe słońcu i świeżemu powietrzu. – W tunelach Ściany Trolli miała bardziej żywotne zmartwienia. Adisla nigdy dotąd nie zaznała takiej ciemnicy. Zdawała się duszącą ją bestią, a krzemień – kolcem, którym dźgała ją w brzuch, zmuszając dziewczynę do chwilowego odwrotu, przed ponownym przytłoczeniem jej swym ogromem.

Jak zwracać się do czarownicy? Co jej powiedzieć? Nie miała pojęcia. Wpierw, pomyślała, potrzebuję światła. Wzdłuż ścian tunelu było pełno gruzu. Wszak w końcu musi się natknąć na lampę, prawda? Niemożliwością było, że martwe dzieci, które znalazła, przez całe życie tkwiły w mroku.

Brnęła do przodu, bez ustanku; palce zdrętwiały jej od uderzania w krzemień. Na końcu jednego z ciasnych tuneli sklepienie i podłóże schodziły się w wąską szczelinę. Wczołgała się w nią, przecisnęła głowę i ramiona. Potem skrzesała iskrę. Zaskoczona niemal upuściła krzemień.

Nie zwróciła uwagi na pieczarę, na opadające ze sklepienia białe grotty nacieków ni na skalne bruzdy, spośród których zdawały się błyskać ślepia martwych wiedźm. Jej oczy skupiły się na sięgającej aż po sufit stercie połyskliwego złota, okazałej niby ogniowy stos. Uderzała w krzemień raz po raz, i znowu, a pośród mieczy, kolcug, czar i platerów, klejnotów i monet składanych jako danina przez udręczonych koszmarami królów przez dwadzieścia pokoleń, zobaczyła coś o wiele cenniejszego – lampę olejową.

Od szczeliny tunelu do dna grotty było całkiem wysoko. Adisla wiedziała, że gdy znajdzie się na dole, nie będzie mogła zawrócić. Wycofała się więc i tym razem przecisnęła się przez otwór nogami do przodu. Opadła w mrok. Gdy wylądowała, przeszył ją dotkliwy ból; ciemności przeszył jej wrzask, który powrócił echem. Skręciła sobie

kostkę – u tej samej nogi, której niegdyś dosięgła strzała. Już teraz poczuła, że noga zaczyna puchnąć. Cóż, bywa. O wiele bardziej potrzebowała światła. Skrzesła iskrę i podeszła w stronę lampy. Ujęła ją w dłoń i potrząsnęła. Prawie pełna. Ponownie uderzyła w krzemień. I kolejne pięć, może sześć razy, zanim odnalazła wzrokiem to, czego szukała – coś, co by się zatliło – płaszcz z przedniego materiału, którego nigdy wcześniej nie miała okazji dotykać. Wymacała brzeg szaty, wyplotła kilka nitek i skrzesła iskrę. W ten sposób, w domu, rozpalala ogień wielokrotnie, atoli teraz zdawało się jej, że dokonała niesamowicie trudnej sztuki. Nim się podpalka zajęła, Adisla zdążyła już zedrzeć sobie palce do krwi o brzeg krzesiwa. W końcu jednak rozpalila lampę i objęła wzrokiem świetność skarbu królowej czarownic.

Gdy mrok ustąpił, strach Adisli nie przeminął, lecz zmienił swą istotę. Wcześniej tunele zdawały się pełne niewidocznych ślepi, niewidzialnych i głodnych paszcz. Teraz, w ciszy ogromnej pieczary, dziewczyna bała się osamotnienia. Pomiarkowała, że może umrzeć w tych jaskiniach, z pomocą czarownic czy bez niej. W pewnym sensie samotność była najgorszym z możliwych upiorów. Złoto jest wspaniałe, lecz bezużyteczne, pomiarkowała. Nie sposób go wypić czy zjeść. Niemalże czuła, jak z niej kpi.

Ból w kostce przybierał na sile. Skręcona, czy może raczej złamana?

Dało się słyszeć odległy dźwięk, drgnienie powietrza, niby oddech, choć znacznie głośniejsze. Uspokajała się w duchu, że to jeno wiatr, atoli powietrze trwało w bezruchu. Chciała zgasić światło i się schować, pamiętała jednak, że z własnej woli postanowiła zmierzyć się z tym, co czyhało w tunelach. Znów doszedł ją ten dźwięk. Cóż to było? Adisla czuła suchość w gardle. Musiała zwalczyć w sobie chęć zdmuchnięcia lampy.

Chłód zjeżył jej włosy na skórze i wywołał dreszcze. Płomień zamigotał. A może tylko jej się zdawało? Ogarnęła ją panika. Podniosła się na nogi, atoli zapomniała o kostce. Z krzykiem opadła na kolana, niemal upuszczając lampę. Płomień zatrzepotał, prawie zgasł. Zmusiła ręce, by uniosły lampę wysoko do góry. Rozejrzała się dokoła.

Omali nie zamarło jej serce. Nad nią stało upiorne dziecko, kościste, brudne, o twarzy dorosłej kobiety i oczach topielicy.

A potem opanował ją spokój. Pomiarkowała, że to mrok wykrzywił wizerunek kobiety. Nie była to zwykła jaskiniowa wiedźma, tylko królowa. Wyciągnęła rękę, a jej serdeczny uśmiech powiedział Adisli, by zapomnieć o cierpieniu, o udęce z powodu Waliego, chęci znalezienia Feilega, nawet o dotkliwym bólu w kostce. Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Wiedziała, że ta kobieta cierpi niewyobrażalne katusze, lecz może ukoić te, które stały się jej udziałem. Niewiasta przyodziana była w przednią szatę wyszywaną złotymi nićmi; na jej szyi jaśniała piękna kolia, a jej głowę wieńczyła korona ze szmaragdami, lśniąca niby lód w promieniach słońca. Nawet mrok zdawał się odstępować, przepędzony pięknem tej kobiety.

– Chciałabym, byś pomogła memu Waliemu – ozwała się Adisla. Pani uśmiechnęła się, a Adisla pomiarkowała, że ona o tym wie i już stara się go uwolnić. Jej postawa zdawała się wyrażać pewność, że Wali już teraz wychodzi Adisli na spotkanie i że niebawem koszmar się skończy. Ta kobieta władała potężną mocą i mogła przełamać każdą klątwę, która dosięgła Waliego.

O tak, wszystko będzie w porządku. Pani wniknęła w jej umysł i zesłała wizję, by przynieść jej spokój. Adisla zobaczyła siebie w skąpanym w słońcu gospodarstwie – wokół biegały rozchichotane dzieci, umykające przed starym Bragim, który człapał, udając niedźwiedzia. Obok niej był ktoś jeszcze, Feileg lub Wali, nie miała pewności, który. Czowała się jednak bezpieczna, kochająca i kochana, wśród ludzi, których ceniła ponad wszystko na świecie. Pani ukazała jej przyszłość, a ona była jej za to wdzięczna.

Adisla chwyciła rękę czarownicy i Gullweig poprowadziła ją ku niższym jaskiniom.

51. NAGRODA

Na północy, choć wiatr zaciął niby nóż, a niebo zasnuwały ciemne chmury śniegu, Welesowi Liborowi nie było zimno. A nawet się pocił. Pod ziemią nie mogło go dosięgnąć ostrze wiatru ni śniegu. W rozedrganym świetle pochodni odrzucał kamienie. Miał zamiar pracować w znoju ramię w ramię z wikingami. Znał ich bowiem na tyle dobrze, by wiedzieć, iż gdyby im nie pomógł, niektórzy z nich mogliby sobie pomyśleć, że niegodnym jest nagrody za swe wysiłki.

Wiedział, że najtrudniejsza chwila nadejdzie, jeśli znajdą jakikolwiek skarb. Bodwar Bjarki nie był mu nic winien, załoga także, a nie byli wszak ludźmi jego króla. Pozostało mu przeto polegać na dwóch rzeczach – własnej wiedzy i ich ciemnocie. Z tego powodu bez ustanku prawił o złodziejskich postępkach południowych kupców i o tym, jak to jednego z mężnych wojów podstępem przekonali do oddania połowy smoczego skarbu w zamian za tandetny pas, który – podług słów handlarza – miał należeć do Thora i obdarzać aktualnego właściciela siłą olbrzyma. Tak po prawdzie to nie bardzo wierzył w istnienie jakiegokolwiek skarbu i brakowało mu już pomysłów, jak zapłacić Hemmingowi okup za księcia. Jednakże nic nie szkodziło spróbować. Ten przekrzywiony symbol skarbu i ta wielka pryzma kamieni wyglądały zaiste obiecująco. Tedy musiał udowodnić kompanom swą wartość.

– By dostać najlepszą cenę za łupy, trzeba mieć doświadczonego kupca u boku – przekonywał. – Gdy myślę o tych wszystkich dumnych wojach, co sprzedali swe wielkie bogactwa za bezcen, aż boli mnie serce. Wierzcie mi, gdyby to mnie przyszło spieniężyć smoczy skarb, dostałbym za niego dwa razy tyle, ile jest wart. No, ale w końcu ja wiem, gdzie znaleźć kupców.

Niektórzy z załogantów byli naiwnymi wieśniakami bez większego doświadczenia, więc niemalże spijali słowa z ust Welesa. Bjarki jednak to co innego. Berserk musiał pomiarkować, że jeśli Weles wróci do Heithabyr z ich łupami, to nie zobaczy choćby korca owsa z

nagrody. Weles sądził jednak, iż zdoła go przekonać, że umiejętność targowania może się okazać pożyteczna w neutralnym porcie, gdzie Bjarki nie będzie się musiał obawiać koneksji kupca. Poza tym Bodwar Bjarki miał dług do spłacenia. Gdyby powrócił do Widłobrodego z czymś innym niż monety, król dokonałby własnej wyceny i mogłoby się okazać, że berserk wciąż jest mu coś winien. Kupiec pomyślał, że posłuży się wszystkimi tymi argumentami we właściwym czasie.

W końcu odrzucili ostatni kamień ze sterty i ich oczom ukazał się wielki płaski głaz. Na nim znajdowała się taka sama runa jak na pierwszym, który usunęli – przecięty linią zygzak.

– Co to znaczy? – zapytał Bjarki.

– To klątwa – wytłumaczył Weles. – Z tak ukrytym skarbem trzeba się obchodzić bardzo ostrożnie, jeśli ludzie, którzy go posiadają, pragną uniknąć śmierci. W Bizancjum tym znakiem posłużono się do zabicia samego cesarza.

– A gdzie jest to Bizancjum? – zapytał jeden z wieśniaków.

– Jemu chodzi o Miklagard – wyjaśnił Bjarki.

– A Miklagard to gdzie? – dopytywał się ciekawski.

– Na zachód stąd i trochę w dół – objaśnił Weles. – Wielkie miasto, wielu czarowników nawykłych do zdejmowania klątw. A tej nie dali rady.

Bjarki prychnął.

– Ja mam własny sposób na klątwy – rzekł i poklepał miecz. – W życiu nie spotkałem czarownika, co pozbawiony głowy, zdołałby sobie ją nasadzić z powrotem.

– Od razu widać, żeś nie spotkał czarownika Ptolemeusza, mego przyjaciela. Ten nie takie sztuczki robił ku ucieście gawiedzi.

Wieśniacy aż schylili głowy z wrażenia.

– Chciałbym wypróbować tę jego sztuczkę – stwierdził Bjarki. – Może zabiorę cię do niego w dwóch kawałkach i zobaczymy, czy cię poskłada?

Weles zamilkł. Dość dobrze wyznawał się na meandrach ludzkiej natury, by pomiarkować, że Bjarki jest zdolny spełnić swe groźby. Nie raczył wspomnieć, że berserk, jak sam przyznał, już kiedyś został zaklęty przez czarownika. Może ośmieliła go śmierć ludzi, którzy rzucili na niego urok. Czy to raczej ta idiotyczna wilcza maska dodała mu odwagi?

– A może byśmy tak przeszli do rzeczy? – odezwał się jeden z ludzi. – Nie podoba mi się to miejsce. Rośnie tu żer dla kruków, a ja nie mam ochoty stać się ich kolejnym kąskiem.

Bjarki przytaknął i podszedł do głazu. Był postawnym człkiem, atoli nie miał dość długich rąk, by go objąć. Próbował wsadzić palce od tyłu, lecz głaz ściśle opierał się o pochyłą ścianę korytarza. Potem przykucnął i napał na kamień od przodu. Nie znalazł wystarczającego oparcia dla rąk, by go przesunąć.

– Pozwól, że spróbuję – zaferował się Weles. Podniósł z ziemi jeden z drewnianych klinów i wbił go kamieniem w szparę między głazem a ścianą korytarza. Potem posłał umyślnego na plażę, by ten przyniósł wodę. Gdy załogant powrócił, Weles zwilżył drewno.

– Chcesz go zmyć, czy jak? – zadrwił jeden z wieśniaków.

– Nie inaczej, mój ty niedowiarku – ironizował Weles.

Po kilku chwilach drewno zaczęło pęcznieć, a luka między ścianą a głazem się poszerzyła. Bodwar Bjarki aż pokiwał głową z wrażenia, zaś Weles umieścił w szparze kolejne kliny.

– Jak widać, sam jestem niezgorszym magikiem – rzekł z uśmiechem.

W końcu luka powiększyła się wystarczająco, a Bjarki przystąpił do dzieła. Wcisnął rękę w szczelinę i pociągnął. Płyta ani drgnęła. Berserka dopadła wściekłość. Jął płuć i przeklinać, mamrocząc pod nosem:

– Odyn, wielbiciel wojny, pan śmierci. Odyn, niszczyciel, burzyciel, mocarny gnębiciel. Odyn to szal. Odyn to wojna. Odyn, Odyn, szalony, półślepy. Odyn! Odyn! Aaaaaaaa!

Płyta się uniosła. Bjarki podźwignął ją do pionu. Chwiała się przez chwilę i wyglądało na to, że upadnie z powrotem, lecz nagle przechyliła się ku niemu. Bjarki odskoczył, a głaz z hukiem runął do tyłu. Z otworu w podłożu jaskini uniosło się śmierdzące powietrze i nawet Welesowi, co miał żelazny żołądek, zebrało się na wymioty. Dwóch załogantów musiało się odwrócić i wyrzygać śniadanie. Nawet Bjarki się wzdrygnął, choć dość szybko się opanował i postąpił naprzód.

– To grobowiec – orzekł – i to całkiem świeży – czuć zgnilizną. Chodźcie, chłopcy, to dobry znak. Nikt tu nie był przed nami. Oto ma wolność od przysięgi złożonej Widłobrodemu!

Przyklękął i przymocował linę do skalnego występu nad otworem, który zdawał się specjalnie przygotowany na takie właśnie okazje.

– Dobra nasza – rzekł. – Trochę nam tu pomogli, chłopcy. – Wyszczrzył się. – Kto ostatni na dole, ten golec. – Potem opuścił się w mrok.

Co znajdowało się w jamie? Wali. Nie, nie Wali. W tym czymś ciągle tkwiły myśli Waliego, atoli nie wyrażały one już jego osobowości. Były luźne i nieuporządkowane, ulotne niby spadające gwiazdy. Wspomnienia i przeżycia księcia przypominały miazgę, nachodząc na siebie, a przyjaźń i miłość nie wydawała mu się choć trochę ważniejsza niż dotyk skał pod nogami czy chłód jaskini.

Zrazu pogodził się z uwięzieniem w jamie z powodu miłości do Adisli. Wiedział, jak mało brakowało, by ją zabić, i choć łoskot zamykanej płyty przejął go żalem, to jednocześnie przyjął go z radością. Uwięziony nie mógł wyrzucić więcej krzywd. Gdy zobaczył cierpiącego Noaidiego, zawładnęła nim zwierzęca natura i poddał się swemu przeznaczeniu z całkiem innych powodów. Miał co jeść, a jama dawała osłonę – czemuż miałby nie chcieć tu być? Potem żarła zabrakło, a on gniewnie walił w ściany, podskakiwał ku więżącej go pokrywie, próbował wykopać się na wolność, lecz w końcu, jak każde zwierzę, pogodził się z losem i usiadł.

Już prawie nie pamiętał, kim jest. Jego człowieczeństwo zdawało się niby ławica srebrzystych ryb, zawracająca i pływająca w wodzie, nagle przybierająca kształt i formę, by po chwili pójść w rozsypkę pod olbrzymimi szczękami.

Weles wszedł tuż za Bodwarem Bjarkim. Podczas zsuwania się po linie pokaleczył sobie ręce i zaklął siarczyście, opadając na zagruzowane dno.

Ktoś zrzucił im płonąca pochodnię. Weles podniósł ją i rozejrzał się wokoło. Dotknął ściany – na palcach zostało mu coś lepkiego. Polizał, a potem wytarł język o rękaw. Poznał smak krwi.

Naprzeciw niego Bjarki ostrożnie posuwał się do przodu z obnażonym mieczem.

– Tu są szmaragdy – wyszeptał berserk. – Spójrz, jakie duże.

– Najpewniej tanie agaty – wycedził Weles. – Będę musiał stosownie je wycenić.

Atoli nie były to szmaragdy ni agaty. Jenó ślepią.

52. KRÓL I KRÓLOWA

Ciemność nie jest taka sama jak ostatnim razem, pomyślał Authun. Po drodze spod tylnej strony góry do jaskiń kobieta wyjęła krzemień, krzesiwo, hubkę i dużą garść ogarków z dziury pod skałą. Kiedy schodzili, odpalała świece, jedną od drugiej. Atoli gdy któraś się kończyła, ciemność nie zdawała się ich oblepiać, ni kipieć wrogością i krzywdą.

Nim zeszli w dół, kobieta przygotowała go – na swój własny sposób. Zdjęła otoczek w kształcie wilczej głowy, wiszący na rzemieniu na jej piersiach, i jęła mu go zawiązywać wokół szyi.

– To na szczęście? – zapytał.

– Śmierć – odparła.

Nie protestował. Gdy już go miał, nie poczuł się inaczej – z tego, co widział, był to jeno zwykły kawałek kamienia.

Król jakoś nie mógł uwierzyć, że tak łatwo przyszło im znaleźć wejście do jaskiń czarownic. Było pomysłowo oznakowane – wąski przełaz prowadzący w głąb górskiego zbocza, wyróżniający się pozostawionymi u wylotu darami. Tunel miał kształt łyżki o długim uchwycie, rozszerzającym się w wysoką komnatę na końcu. Dostęp do właściwych jaskiń prowadził przez sklepienie tunelu, które osiągnęli, ustawiając na sobie kilka płaskich kamieni i zarzucając na górę linę z przywiązaniem kijem. Żadna sztuka, każdemu by się udało. Szczelina w sklepieniu była niewidoczna na pierwszy rzut oka, atoli gdyby te jaskinie stanowiły jego schronienie, Authun nie spodziewałby się, że wejście pozostanie niezauważone. Wystarczyło, by jakiś ciekawski woj wykazał się intuicją, a wróg bez trudu dostałby się do środka. Czemu tedy wcześniej zawsze wspinał się na Ścianę Trolli, skoro po jej drugiej stronie było coś takiego?

To kazało mu się zastanowić, czy czasem nie zmierza wprost w pułapkę. Upomniał się, że przecież nikt przychodzący do jaskiń nie widzi tego, czego czarownice nie chcą mu pokazać. Czy, wobec tego,

one celowo pozwalały mu wejść? Nim zagłębili się w przełaz, przyjrzał się niezabranym darom przy wejściu – butelkom i garncom, wszystkiemu, czego nie mogły zagarnąć zwierzęta. Czy czarownice w ogóle tu były?

Mimo wszystko nie bał się. Był pewien śmierci i przyjmował ją z radością, więc w jego życiu nie było miejsca na trwogę. Tedy trupy chłopców, pogryzione przez szczury zwłoki dziewcząt, nabrzmiałe ciała kobiet utopionych w stawach i gnijące poczerniałe twarze tych, co zwisały na sznurach ze skalnych występów, sprawiały mu przykrość, o ile przypominały, jak wielu ludzi za jego sprawą spotkał podobny los.

Ciasnota tunelu to jednak kwestia osobna. Authun nie lękał się śmierci, atoli nie miał ochoty się udusić. W kiszkowatych skalnych gardzielach usta i nos zatykały mu jego własne ramiona. Niektóre korytarze były niewiele szersze niż jego głowa, musiał przeto wiercić się i okręcać, by się precyzyjnie na drugą stronę. Zaczął rozumieć, czemu to wejście nie było tak dobrze strzeżone jak te w jaskiniach od strony Ściany Trolli. Przedostający się tędy wróg miał bardzo mocno ograniczone możliwości obrony. Nie sposób walczyć rękami uwięzionymi nad głową. Przeto ta trasa pod pewnymi względami była łatwa, acz zarazem nastęrczała wielu trudności, i to nawet bez grasujących w tunelach koszmarów, posyłanych przez czarownice.

Schodząc, Authun coraz bardziej upewniał się w tym, że one nie żyją. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tak długo trwa przy zdrowych zmysłach? Co też je zabiło? Spoczęli w świetle świecy przy podziemnym stawie. W tafli odbijało się oświetlone sklepienie komnaty, przemieniając ją w migotliwą złotą tarczę. Spojrzał na Saitadę. Czy ta kobieta stała się czarownicą? A może on już stał się ich sługą, przywiedzionym tu, by zabić to, co spowodowało tyle zgonów w tunelach? Odsunął od siebie te myśli. Nic mu po nich. Miał zamiar skupić się jeno na rozmyślaniu o tym, co począć. Działać, jak zawsze, czynić i zabijać, póki sam nie padnie. Nie chciał już więcej śmierci na sumieniu, atoli zmuszony do walki, nie zamierzał się przed nią uchylać. Po prostu inaczej nie potrafił.

Po, jak mu się wydawało, całym dniem wędrówki po jaskiniach, uprzytomnił sobie delikatną poświatę z dołu tunelu, wtórującą światłu ich świecy. Spojrzał na kobietę i położył dłoń na mieczu. Pokręciła głową, co uznał za zapewnienie, że nic im nie grozi.

Ostrożnie posuwając się bliżej, pomiarkował, że światło było odbiciem ich świecy na stercie złota.

Stos oręza, pancerzy, pierścieni i klejnotów – niby marzenie skąpca – sięgał aż pod sklepienie. Niby mówiono, że czarownice zbierały daninę i łupy od tysiąca lat, atoli zdawało się to zbyt krótkim czasem, by zebrać aż taki skarb.

– Ilu musiało zginąć, próbując się tu dostać? – rzekł, tyleż do siebie, co i do kobiety, a potem niemal się roześmiał. Drzewiej uradowałby się, zabrał, ile tylko się dało i powrócił do domu w chwale. Ale nie dziś. Prawie już nie pojmował znaczenia bogactwa. Klejnoty zwano łzami Freyji – na cześć bogini, która rzekomo miała je wypłakać. Dotychczas uważał to za zimowe bajania. Teraz atoli zrozumiał, że łzy i kosztowności są ściśle powiązane z ich losem.

Dotknął kolczugi i tarczy. Obie rzeczy nadgryzł już zęb czasu, acz jakość wykonania sprawiała, że były w dobrym stanie. Kobieta pokręciła głową. Dawała mu do zrozumienia, jak myślał, że nie będzie ich potrzebował w bitwie, którą niebawem ma stoczyć. Jednak coś się w nim odezwało – intuicja czy po prostu ochota – by zginąć tak, jak żył, w bojowym rynsztunku. Pomimo wszystkich samotnych medytacji i dręczących go koszmarów żalu, niektóre proste wojskowe nawyki okazały się niewzruszone. Tak jak kiedyś, w niepewnej sytuacji zawsze korzystał z wszelkiej pomocy, jaką miał na podorędziu. Wdziął kolczugę, znalazł pasujący na głowę pozłacany żelazny hełm i podniósł wspianą tarczę, noszącą znak nie wilka, a kruka. Znak Odyna.

Saitada postawiła ogarek świecy na podłodze, usiadła na najbardziej wygodnym kamieniu, jaki mogła znaleźć, i przyglądała się, jak król się sposobi. Pod nosem znów wypowiedziała to słowo. „Śmierć”.

Nagle u wylotu tunelu coś się poruszyło. Miecz Authuna wyśliznął się z pochwy; zdawał się lśnić w blasku świecy jak płynne żelazo. I znów coś się poruszyło, tym razem w tunelu po lewej. Wtem stanęła przed nim, niecałe trzy kroki dalej. Dziewczynka, wycieńczone i wymizerowane dziecko, przyodziane w długą i pokrzwawioną białą luźną suknię. W rękę trzymała złamane drzewce włóczni, której koniec spalono w ogniu, aż ostał się jeno złowrogi zaostrzony grot, poczerniała igła.

Przedtem Authun widział jej twarz tylko dwukrotnie, a i wtedy

jeno w przelocie. Atoli nie była mu obca – choć chudsza, zagłodzona, bardziej szalona i biała, i tak ją poznał. Kolia u jej szyi płonęła wszystkimi barwami wojny. To była królowa czarownic.

– Pani? – ozwał się Authun.

– Śmierć – wymamrotała Saitada, wskazując na dziecko.

Świeca zgasła. Gdzieś z dołu jaskiń dobył się głos. Przemówił raczej do ciała Authuna niż do jego umysłu, powodując cierpięcie skóry na jego ramionach i szyi, wysuszając mu usta i przyspieszając tętno. To był zaklęty w dźwięku strach – wycie wilka.

Czarownica przemówiła. Głos miała ledwie słyszalny, łamiący się i słaby.

– Odyn?

Saitada potarła krzemień, a w świetle iskry Authun zobaczył, że wiedźma zniknęła. Kobieta ponownie skrzesała iskrę, ale nie udało jej się zatlić hubki.

– Odyn?

Saitada potarła krzemień po raz trzeci, a wiedźma rzuciła się na Authuna, celując kawałkiem włóczni w jego głowę. Złapał go dłonią. Czarownica nie miała dość siły w swych dziecięcych rękach. Authun szarpnął się i wraził koniec włóczni w jej oko. Zapiszczała i znowu zrobiło się ciemno.

Authun nie mógł zrozumieć, czemu zamyśliła sobie zaatakować go w ten sposób. Potrafiła wszak ugotować mózg człowieka oddalonego o pięć dni wędrówki. Czemu więc walczyła z nim w zwarciu? Nagle pomyślał o amulecie na szyi. Było nie było, służył do ochrony przed magią.

– Daj mi światła, kobieto! Potrzyjże ten krzemień!

Wtem uderzyła na niego lawina.

53. POJEDYNEK W JASKINI SKARBÓW

Feileg przeklinał się za niemożność zanurkowania w tunelu. Nie była to kwestia odwagi; po prostu nie umiał tego zrobić, tak jak nie potrafił latać. Członki nie chciały słuchać jego poleceń – wysiłki, by się zanurzyć, doprowadzały go jeno do duszącej frustracji.

Adisla zniknęła, a on pozostał ze straszliwym mętlikiem w głowie. Wszystko, czego chciał, było mu dane w tej krótkiej, ulotnej chwili jej pocałunku. Żałował, że po prostu nie zeszła z nim z tej góry i nie udała się do jego domu na wzgórzach, miast nurkować w stawie. Zrobiła to, by spotkać się z czarownicami, by uratować księcia. Nie miał innego wyjścia. Musiał jej pomóc.

Czekał, aż powróci. Zrobiło się ciemno. Gdy wstał nowy dzień, spróbował ponownie zanurzyć się w stawie. Bez skutku. Ciało wciąż odmawiało współpracy.

Coraz bardziej zdesperowany, jął przetrząsać górę w poszukiwaniu wejścia. W skalnej niecce, ponad zawrotnym urwiskiem, znajdowała się jaskinia, która wyglądała obiecująco – długa i wąska, ze złożonymi u wylotu darami. Atoli, gdy wszedł do środka, poczuł jeno ludzki zapach, ale nie znalazł śladu wejścia. Ponadto sklepienie groty zdawało się niebezpiecznie popękane. Pomyślał, że może w każdej chwili runąć, tedy wyszedł na zewnątrz. Biegał po całej górze, w tę i w tę, szukając czegoś, co mogłoby przypominać drogę do jej środka. W końcu pomiarkował, że nie ma wyboru – musi spróbować znaleźć ją na Ścianie. Wiedział, że tamtejsze wejścia łatwiej będzie zauważyć, choć dostanie się do nich graniczy z niemożliwością.

Wspiął się na szczyt ogromnego klifu i wyżej, na spiczastą grań, gdzie osobliwe i wysokie skalne wychodnie wisały nad nim niby palce monstrialnej ręki wyciągające się ku niebu. To były trolle, którym Ściana zawdzięczała swą nazwę – ponoć zamienione w kamień podczas przyglądania się pięknu jutrzeńki. Spojrzał na krainę w dole. Jestem tak wysoko, pomyślał, że gdybym spadł, minęłoby dwadzieścia uderzeń serca, nim uderzyłbym w ziemię. Pod jego stopami sunęły chmury.

Ścieżka, którą obrał, by dotrzeć w to miejsce, była już wystarczająco karkołomna; nawis poniżej zdawał się niemal niemożliwy do pokonania. Atoli musiał spróbować. Opuścił się, kopiąc nogami w przepastną pustkę pod sobą, stopami szukając jakiejś półki, jakiegoś oparcia. Jednak, podobnie jak w stawie, ciało przejęło władzę nad jego umysłem. Podciągnął się. Przez kilka chwil siedział na krawędzi Ściany, owiewany lodowatym wiatrem, nienawidząc się za swe tchórzostwo. Raptem zobaczył coś na równinie.

Dwaj wędrowcy, het w dole. Nie zwróciłby na nich uwagi, atoli nagle jego ucho złowiło coś, czego nigdy wcześniej nie słyszał. Wycie bólu, wąskie ostrze dźwięku, które zdawało się drgać. Nie w powietrzu, a w jego głowie. Wiedział, kto to jest – Adisla, wzywająca go na ratunek. Przed oczami stanęła mu przekrzywiona runa na kamieniu czarowników i poczuł szarpnięcie, jakby porywała go fala przyboju. Feileg, dla którego język wilków był tak jasny, jak ludzka mowa, wiedział, co oznaczało owo wycie. Straszliwe cierpienie.

Musi się do niej dostać. Może ci wędrowcy w dole będą znali wejście do jaskiń. Był to jednak zamysł zrodzony bardziej z desperacji niż ze zdrowego rozsądku.

Obserwował, jak okrażają Ścianę, a gdy upewnił się co do ich trasy wzdłuż wąwozu, wyruszył im na spotkanie. Wtem osaczyły go wątpliwości. Jak długo nękał te ziemie jako wilk, rozbijając, rwąc i zabierając, co mu się żywnie podobało? Jego przeżycia od chwili pojmania przez księcia sprawiły, że zapomniał, kim jest. Ci ludzie wezmą go za dzikiego zwierza i uciekną. Postanowił, że będzie ich śledzić z oddali i wpieryw dokładnie się im przyjrzy, zanim się zbliży. Tak czy owak, musi się śpieszyć. Schodził z góry szybkimi cichymi susami.

Szedł ich śladem, od grzbietu wąwozu aż na tyły masywu. Zrazu uznał ich za nędzarzy. Kobieta była przyodziana w łachmany, a mężczyzna wcale nie lepiej. Lśniący miecz w rękach mężczyzny świadczył jednak, że różnili się statusem społecznym. Feileg, choć nie miał zbytniego uważania dla złota czy klejnotów, nie mógł wyjść z podziwu dla przepychu pochwy, roziskrzonej białymi refleksami zimowego słońca.

Postanowił zaczekać do nocy, zabrać śpiącemu mężczyźnie miecz, a potem oddać mu go w zamian za informację. Atoli tamci nie

rozbili obozowiska, wędrując dalej, mimo że słońce spłowiło w przydymiony zmrok. Ostatecznie podeszli pod jaskinię, którą Feileg już oglądał. Podążył za nimi do środka, pożytkując całą swą myśliwską biegłość, by zbliżyć się bezszelestnie. Przyglądał się, jak kobieta ustawiała płaskie głązy jeden na drugim. Potem sięgnęła kijem w górę i wyłowiła coś z pęknięcia w sklepieniu. Linę z węzłami. Jęła się po niej wspinać.

Feileg bardzo chciał podbiec, ściągnąć ją stamtąd i samemu wspiąć się po linie w mrok, lecz na dole zauważył sylwetkę białowłosego mężczyzny. Był stary, ale jary. Wciąż silny. Wilkolud nie wątpił, że zdoła go pokonać w walce, atoli nie widział w tym sensu. A kobieta? Feileg wiedział, że siostry nigdy nie opuszczały swej ciemnicy, przeto nie mogła być czarownicą. Zdawała się jednak znać te jaskinie i mogła go doprowadzić do celu.

Tedy jeno obserwował. Podczas gdy kobieta się wspinała, mężczyzna trzymał świecę w wyciągniętej ręce. Potem ona zapaliła drugą, już na górze, i on, za jej przykładem, wspiął się także. Wciągnęli linę, a światło przygasało. Feileg dał im trochę czasu, możliwie najmniej; jak tylko się odważył, chwycił kij i wskoczył na stertę głazów. Poszperał drągiem nad sobą, aż zahaczył o linę i szarpnięciem spuścił ją na dół. Potem się podciągnął. W mroku jego ręka czegoś dotknęła. Drewniana tyczka. Domyślił się, że miała posłużyć do przewrócenia sterty kamieni i zatarcia śladów po osobie wchodzącej do jaskini. Zostawił ją na miejscu.

Po mozolnej wspinaczce, dotarł tam, gdzie przymocowano linę. W tym miejscu szczelina opadała ku poziomemu tunelowi. Zrazu nie było światła, atoli wilki to stworzenia widzące zapachami. Ludzki pot i rybi odór świecy prowadziły go, aż w końcu dostrzegł bladą poświatę.

Zawierając powonieniu, poszedł tropem w dół, przez tunele i wyłomy, gdzie nie widział światła. Feileg zdawał sobie sprawę z tego, że szanse na odnalezienie Adisli przedstawiały się nadzwyczaj mizernie, atoli tych dwoje było jego jedyną nadzieją. Nie wiedział, gdzie zmiierzają, atoli wszelako gdzieś szli i mieli światło. Wszystko było lepsze niż błąkanie się po omacku w ciemnościach.

Posuwając się w dół, zaczął odczuwać, że w mroku czai się coś jeszcze, coś o nieprzyjaznych intencjach. Nie miał wilczego kamienia do ochrony, żadnego podarku od boga, co by go strzegł ode złego.

Ciemność zdawała się sama być niby zwierzę, co ociera się o niego, lizę jego ciało, a nawet go zna. Feileg czuł przez skórę, że coś pełźnie po jego umyśle, obwąchując myśli i znacząc je własnymi zapachami. Coś mu mówiło, że czarownica wie, że on tu jest.

Wiedziony instynktem, starał się zatracić, odciąć od swej ludzkiej strony, stać się jeno polującym w ciemnościach wilkiem, tak jak nauczał go Kveld Ulf. Poczł, że ucisk w głowie zelzał i odstąpił. Wiedźma zniknęła, atoli wiedział, że by spełnić pragnienie Adisli – przywrócić księcia – będzie musiał stanąć z czarownicą twarzą w twarz. Nawet z oddali jej obecność zdawała się niby pajak pełznący po jego mózgu.

Feileg jął się pocić. Światło świecy przestało poruszać się naprzód. Gdy się doń zbliżał, natężało się, a poświata coraz bardziej się złościła. Ostrożnie przemknął wzdłuż ściany do załomu i wyjrzał.

Starzec stał przed czymś, co zdawało się górą złotą. Skarb piętrzył się od podłogi aż po sufit jaskini, a ta nie była niska. Mężczyzna miał na sobie kolczugę i hełm, a w rękę tarczę, zdawało się, przeznaczoną bardziej na pokaz niż na wojnę. Feileg patrzył na postawę mężczyzny w rynsztunku, na pewność siebie, którą ten wydawał się emanować. Zrozumiał, że nie jest to łatwy przeciwnik, żaden tam kupiecki pomagier, którego można by stłuc i patrzeć, czy równo puchnie.

Naprzeciwno starego woja stało dziecko, wymizerowana dziewczynka w brudnej pokrwawionej sukni, dierzająca ułamane drzewce włóczni.

Raptem zgasło światło. W blasku krzesanego krzemienia Feileg dostrzegł mężczyznę i jego towarzyszkę, atoli dziewczynka gdzieś przepadła. Kolejna iskra. I jeszcze jedna; dziecko pojawiło się ponownie, zamierzając się na woja resztką włóczni. Feileg zobaczył, jak ten upada i znowu nastały ciemności.

Nagle zrozumiał. Ta obdarta dziewczynka była czarownicą i jedyną nadzieją dla księcia, ukochanego Adisli. A skoro woj ją atakował, to stawał się przez to jego wrogiem. Panował nieprzenikniony mrok, atoli Feileg złowił uchem oddech mężczyzny. Czł jego pot, słyszał brzęk kolczugi.

Cicho, niby wilk na śniegu, popędził ku niemu i uderzył.

Każdy dotychczasowy przeciwnik Feilega przewracał się na

ziemię po pierwszym ataku, a Authun nie stanowił pod tym względem wyjątku. Król zwałił się z nóg z rozpostartymi rękami, mając Feilega na piersi. Atoli już wtedy, gdy się zderzyli, Feileg wiedział, że czeka go walka. Król nie wydal z siebie ostatniego zszokowanego oddechu, ni chwili nie stracił na analizę sytuacji i podjęcie właściwego przeciwdziałania. Bez chwili wahania unieruchomił rękę, którą Feileg trzymał go za gardło, uderzył nasadą dłoni w staw łokciowy napastnika i zrzucił go z siebie, jednocześnie przekręcając się, by wstać. A wszystko bez pomocy oczu.

Gdyby Feileg był mniej zwinny, Authun miałby go teraz jak na talerzu, wykorzystując jego rękę, by przygwoździć go barkiem do podłogi. A tak Feileg odturlał się i uwolnił się z uścisku Authuna, atoli okoliczności walki były już inne niż na jej początku. Authun się podnosił, a Feileg, niby beczka, odtaczał się byle dalej od niego.

Król nie odpuścił i chwilę potem Feileg poczuł z boku uderzenie gołenią. Woj utrzymywał go w zasięgu, by nie stracić z nim kontaktu. Feileg zrobił przewrót w tył i usłyszał świst miecza przecinającego powietrze.

Skoczył na równe nogi. Gdy Authun się poruszył, kolczuga zabręczała niczym dzwoneczki u sań, dając Feilegowi dokładne pojęcie, gdzie znajduje się jego przeciwnik. Wilkolud skoczył ponownie. Król nie mógł go zobaczyć, aliści usłyszał wydech przy wybicciu. Przykucnął za tarczą, by stać się mniejszym celem, a napastnik przeleciał nad jego głową, niefortunnie upadając na nierówne podłoże.

Z oddali ozwał się posepny dźwięk, niby górski wiatr, choć znajdowali się zbyt głęboko pod ziemią, by go słyszeć.

Upadek wybił Feilegowi powietrze z płuc, a Authun postąpił ku niemu, przyciągnięty ciężkim oddechem wilkoluda.

I znów ten dźwięk. To nie mógł być wiatr, nie tutaj. Do tego brzmiał bardziej jak głos zwierzęcia. Authun uderzył w mrok, atoli jego miecz zaiskrzył na ziemi. I kolejny błysk. Saitada rozpaczliwie próbowała zapalić świecę. W przelotnym świetle król dostrzegł wilkoluda gotującego się do skoku.

Feileg ponownie zwałił się na przeciwnika, lecz Authun zastawił się tarczą i odbił go w bok. Czuł, że jego wróg opada z sił. Żałował, że nie ma z sobą krótszej broni niż Księżycowe Ostrze. Gdyby dopuścił wilkoluda na zasięg ramion, mógłby go z bliska wykończyć

nożem.

Krzemień po raz kolejny uderzył w krzesiwo, a Authun przelotnie ujrzał swego przeciwnika. To wystarczyło. Księżycowe Ostrze cięło z ukosa, trafiając nacierającego Feilega w udo. Wilkolud krzyknął i z impetem rąbnął w króla. Ten obalił go tarczą na ziemię. Feileg wył, atoli Authuna zmroził głębszy dźwięk – dudniące warknięcie, niczym odgłos kamiennej lawiny. Wydobywało się zapewne z paszczy bardzo dużego zwierzęcia, najpewniej niedźwiedzia, i to blisko. Odgłos zdekoncentrował króla, a wilkolud zdołał się odtoczyć.

Feileg nie mógł stać – tyle było jasne dla Authuna, który słyszał, jak jego przeciwnik wlecze się po ziemi w ciemnościach. Mając tak blisko innego wroga, król nie mógł ryzykować przetrząsania mroku, by wykończyć wilkoluda, atoli wiedział, że w walce ludzie podnoszą się i po poważniejszych ranach. Feilega zdradzały stęknienia. Jednak ranny mógł się przydać królowi. Jeśli w jaskiniach rzeczywiście przebywa niedźwiedź, zwabią go pokasywania i jęki człowieka na ziemi. A wtedy Authun dowie się, gdzie są obaj jego przeciwnicy.

Wreszcie Saitadzie udało się zapalić świecę.

Gdy wilkolud próbował się podnieść, za nim zamigotały dwa punkciki zielonego blasku. Oczy Authuna przywykły do światła i król poczuł dreszcz.

To był wilk, atoli większy od jakiegokolwiek widzianego przezeń wcześniej. Większy od człowieka, o połowę większy od każdego białego niedźwiedzia. Jakim cudem dostał się do jaskiń? Tunele z pewnością były zbyt wąskie. Stwór kłapnął paszczą i spojrzął na niego, rżąc i chrypiąc.

– Oj... Ojcz... – Authun mógłby przysiąc, że stwór stara się przemówić. Mógłby, gdyby uwierzył własnym uszom.

Rozluźnił uchwyt na Księżycowym Ostrzu, strząsnął napięcie z członków, wypuścił powietrze i przystąpił do wilka. Po prawej dostrzegł odczołgującego się wilkoluda. A niech mu tam, pomyślał. I tak umrze niebawem z upływu krwi, a nawet jeśli przeżyje, to jeszcze długo nie będzie w stanie zaatakować. Szał pozwalający ludziom zapominać o śmiertelnych ranach, szybko przemija. Authun to wiedział.

Zatrzymał się pięć kroków od stwora. Uderzyło go, że przednia kończyna zwierza była bardziej podobna do ludzkiej ręki niż przedniej

łapy wilka, atoli nade wszystko zauważył jego zęby – każdy wielki niby żelazny nit łączący klepki okrętu.

Król się uśmiechnął. Setna śmierć, pomyślał, godna opowieści skaldów, atoli jej jedynym świadkiem będzie li tylko ta oszpecona kobieta. Niemal żałował, że śmiertelnie ranił swego poprzedniego przeciwnika. Pomyślał, że jego stary druh Varrin bardzo by się uradował, mogąc umrzeć w walce z takim potworem. Przed oczami ponownie stanęła mu twarz topielca. Skazał go na śmierć, i czemuż to? Cóż przyniosła jego ambicja, jaką przyszłość zabezpieczyła, jakież zdobyła skarby?

Stwór znowu jął rzezić i chrypieć. Próbował przemówić? Wszystko jedno. Authun pragnął śmierci, a tu miał wroga idealnego – przeciwnika, którego nie sposób żałować, wstrętnego potwora, demona, którego można zabić bez skrupułów.

Authun wzniosł Księżycowe Ostrze. Mogło się wydawać, że zwierz pomiarkował jego zamiar w tej samej chwili, gdy zrodził się w głowie króla. Z warknięciem natarł na niego, szybki niby błyskawica, obalając na ziemię. Authun upadł plecami na ostry kamień, i choć kolczuga uchroniła go od śmierci, to zupełnie stracił dech.

Nie miał jednak zamiaru się tym frasować.

Feileg zdusił ból i przyglądał się w migoczącym blasku świecy, jak król odtacza się spod szczęk stwora, wykręcając się pod spodem, by ciąć mieczem w górę. Cios sięgnął celu, a twarz Authuna zbryzgała wilcza krew.

Stwór zawył i odskoczył, atoli szybko się otrząsnął i zaszarżował ponownie, tym razem zamachując się niby-ludzkim ramieniem na rękę z mieczem. Authun przygotował się na unik, atoli atak na broń go zaskoczył. Spodziewałby się tego po człowieku, ale nie po zwierzu. Księżycowe Ostrze z brzękiem pofrunęło przez jaskinię. Przedtem żaden przeciwnik nie zdołał wytrącić mu oręża w walce.

Teraz bitwa rozgorzała na dobre. Wilk zamierzał się na króla zębami i pazurami, a ten obracał się, ugiął, uchylał i uskakiwał, a – gdy manewry zawiodły – przyjmował ciosy na tarczę.

Nawet targany bólem, Feileg nie mógł nie podziwiać starego wojaka. Choć bez broni i walczący z takim wrogiem, nie tracił zimnej krwi. Przez cały czas, wymykając się ciosom stwora czy odtaczając się i odkręcając, zmierzał w stronę miecza. Feileg nie mógł się nadziwić, że

towarzyszka króla w ogóle mu nie pomaga. Kobieta jeno siedziała bez ruchu w blasku świecy, spokojna, jakby przysłuchiwała się opowieści przy ognisku.

Król nieuchronnie zbliżał się do miecza. Nie był ranny, choć wilk powyrywał dziury w jego kolczudze i roztrzaskał mu tarczę w drzazgi. Feileg zebrał siły i poczołgał się naprzód. Walka toczyła się niemal tuż nad nim. Stary woj przykleknął, by wymacać miecz. Feileg położył jednak dłoń na Księżycowym Ostrzu, pochwycił je i odpętlzył w cień.

Authun nie zatrzymał się ani na chwilę. Zwyczajnie zmienił kierunek odwrotu, z każdym atakiem wilka wycofując się coraz bardziej w stronę stosu złota i leżącego tam oręża.

Feileg podźwignął się na nogi i pokuśtykał ku najbliższemu tunelowi. Posuwając się, za pomocą rąk, po ścianie korytarza, zagłębiał się w mrok, słysząc coraz bardziej przytłumione odgłosy bitwy. Wymacał drogę; w dół i w dół. Tunel zdawał się nie kończyć, ale Feileg nie mógł sobie pozwolić na odpoczynek. Włókł się przed siebie, byle dalej od starego wojownika, byle dalej od zębów wilka. Po jakimś czasie wyczuł, że znajduje się w większej pieczarze.

Wtem coś usłyszał. Skomlenie. Dochodziło z oddali, a on przez chwilę ośmielił się pomyśleć, że to Adisła. Przesunął dłonią po ścianie jaskini i pokuśtykał dalej, jedną ręką ściskając ranne udo, a pod drugą trzymając Księżycowe Ostrze. Ściana przeszła w kolejny korytarz. Wąski i, całe szczęście, ledwie mieszczący człowieka. Zwierz się tędy nie przecisnie. Z dołu ponownie doszedł go ten głos.

– Pomóż mi. – Aż go ścisnęło w żołądku. To naprawdę była Adisła.

Powlókł się przed siebie, z wielkim trudem posuwając się po nierównym podłożu.

– Pomóż mi! – głos rozbrzmiał głośniejsz. Tak, bez wątpienia, to ona.

Za załomem tunelu Feileg zobaczył światło.

54. TROPEM BÓLU

Stwór był głodny. Apetyt, zgoła wilczy, dopadł go, gdy pierwsze światło pojawiło się – jakby nimb słońca – zza deszczowej chmury, na krawędzi wielkiego głazu, co go tu zamykał. Atoli nie wyzbył się swej zwierzęcej ostrożności i przyczał się w ciemnościach, by zobaczyć, co też go uwolniło. Wilki nie atakowały, póki nie rozeznały się w sytuacji, przeto stwór, mający jeno nikłe pojęcie o swej nieprzeciętnej wytrzymałości, chciał zobaczyć swych przeciwników.

Atoli gdy zeszli oni do jamy, opanowały go zwierzęce uczucia. Każdy zwierz pozostający gdzieś przez dłuższy czas uznaje to miejsce za swoją norę. Stwór poczuł zagrożenie.

Posłyszał słowa, które nie bardzo rozumiał.

– Puść mnie przodem. Ten skarb może być kruchy, a ja powinienem ocenić, jak najlepiej go przenieść.

– Zabieramy wszystko z tego grobowca, kupczyku. Nie zmuszaj mnie, bym w zamian zostawił w nim twe ciało.

Gdy spadała głowa Bodwara Bjarkiego, w umyśle wilka nie było myśli o zemście. Jeno głód.

I tylko głód nim powodował, gdy zobaczył, jak Weles na próżno stara się wspiąć po linie na górę. Dосkoczył do niego i jednym kłapnięciem rozerwał mu plecy. Połknął kawał mięsa, łapą obalił na ziemię i rozorał mu brzuch, pozerając jego słodkie wnętrzości przy wtórze rozdzierających wrzasków kupca.

Może i Wali ucieszyłyby się, widząc, że Weles cierpi za to, co mu kiedyś zrobił, tudzież uznałby to za zbyt ciężką karę za jego przewiny, atoli w ciele wilka nie pozostało dość jego człowieczeństwa, by czuć cokolwiek. Nie był już jednością. Był mnogością, hurmą jednostek, z których każda z krzykiem domagała się uwagi. Czarownik, Wielorybacy, rodzina łowców reniferów, duńscy piraci – oni wszyscy byli w nim, a raczej on był nimi. Jego świadomość przypominała chaotyczną mieszaninę strawionych myśli i osobowości. Umysł był niczym targowisko rozbrzmiewające nieustannym trajkotem oferentów,

starających się zakrzyczeć konkurencję. Jednak ponad nimi wszystkimi rozlegał się dojmujący zew wilka, udzielający wskazówek, dopingujący ciało do działania.

Z góry do jamy spłynęła fala paniki. Ludzie skoczyli do skalnej płyty, by ją na powrót osadzić, atoli żaden nie zdołał jej ruszyć. Zrezygnowani, rzucili się do ucieczki.

Wilk jednym susem wyskoczył z jamy. Na jego drodze stanęły jakieś rzeczy, które krzyczały i waliły go, on jednak odtrącał je na boki, miażdżył w szczękach, pozwalając, by ich soki i nektary ukoili głód po długiej niewoli.

Gdy wszystkie już umarły, położył się, ocieęzały po posiłku, mózg mu odrętwiał, a ciało urosło, robiąc użytek z żarła pod zamrożonym księżycem i zielonoognistym niebem nieustępliwego zimowego mroku.

To nie był Wali. Jego ciało było niby pokrzywiony instrument muzyczny, a sam książę – niby melodia, którą mógł zagrać. Atoli nie zrobił tego ani wtedy, ani przez jakiś czas potem, póki nie usłyszał jej pełnego cierpienia wrzasku, który przebudził go wewnątrz zwierza.

W najniższej jaskini w głębi Ściany Trolli Adisli zdawało się, że leży na cudownym posłaniu ze słomy, okryta drogocennymi futrami. Była w swoim domu. A obok niej matka, Barth Duńczyk, Manni i wszyscy jej bracia. Spokój, który na nią spłynął wraz z pojawieniem się pani, wydawał się niby przytulne ciepło jej łóżka w zimowy poranek.

Adisla wiedziała, że królowa czarownic oczekuje od niej wezwania Waliego. Pani spojrzała jej w oczy i pogłaskała po włosach. Chciała, by Adisla powtórzyła jego imię, dziewczyna to czuła. Wdzięczna za okazaną życzliwość, zrobiła to z ochotą.

Królowa spuściła wzrok na Adislę i skinęła do siebie głową. Starła się działać za pośrednictwem dziewczyny, ukierunkować jej czułe myśli, by wysłać je ku wilkowi i go przywołać. Ale wyraźnie nie mogła osiągnąć upragnionego rezultatu.

Gullweig pozwoliła haczykowatej runie wynurzyć się z otchłani swego umysłu. Na jej widok aż zadrzała. Obecność symbolu zdawała się niemal toksyczna, jakby za długo trzymany mógł ją poparzyć, może nawet zniszczyć. Potem wysłała ją do umysłu dziewczyny.

Adisla wrzasnęła, gdy złudzenie prysnęło. Wcale nie

spoczywała w swoim łóżku, nie było domu ni kochającej rodziny wokoło. Leżała związana na wąskim klinie ostrych kamieni, na krańcu lejkowatej pieczary. Kamienie raniły ją, a dziwne światło olejowych lamp rzucało cienie w kształcie długich okrutnych palców, wyciągających się ku niej, by poszarpać ciało. Cierpiała straszliwie.

Gdy runa wychynęła z umysłu czarownicy, Adisła pojęła, czemu to wszystko miało służyć. Ujrzała wizje śmierci – swojej i Waliego, Feilega i Bragiego, w tym życiu i w kolejnych, rozciągające się na przestrzeni lat. I spostrzegła to, czego nie widziała nawet sama czarownica. Prawdziwe imię Gullweig. A wiedza ta była bardziej przerażająca niż krępujące ją pęta, bardziej niż raniące ją ostre skały, nawet bardziej niż Wali, przemieniony i krwiożerczy. Adisła wiedziała, iż pani oczekuje od niej, że zawoła Waliego. I teraz rozumiała dlaczego.

– Nie zrobię tego – rzekła.

Zamiast pani, stało teraz przed Adisłą blade i przerażające dziecko z postarzałą twarzą. Królowa czarownic otworzyła swój umysł i zdało się, jakby wszystkie duchy i upiory, które Adisła nosiła w sobie, wzniosły się, by ją osaczyć i pociągnąć na dno. Zobaczyła umierającą matkę, martwego Manniego na podłodze, a także Waliego, śliniącego się i mrużącego w tamtej jamie. Rozpaczliwie pragnąc odgonić pochłaniające ją koszmary, Adisła potrzebowała się czegoś uchwycić, czegoś, co rozproszyłoby okropne widziadła. Runa, migocząca i kręcąca się przed nią, jest moim wybawieniem, pomyślała, choć nie miała pojęcia, skąd wzięła się ta myśl. Wpatrzyła się w symbol, skupiła się na nim i w lot zrozumiała, że popełniła straszny błąd. Jej oczy poraziła fala oślepiającego białego światła, a runa – niby rozpalone żelazo – odcisnęła swe piętno w jej umyśle.

Dobyła z siebie przenikliwe wycie, tak spośród warg, jak i z głębi duszy. Więcej niż dźwięk, magiczną emanację. Wali, śpiący jako wilk na skale, zgodnie z oczekiwaniami czarownicy posłyszał ją i zrozumiał, co oznacza ten odgłos. Otrząsnął się z wywołanego trawieniem odrętwienia. Stanął wyprostowany na tylnych łapach i spojrzał na południowy wschód.

Feileg, obserwujący Authuna i Saitadę ze szczytu Ściany Trolli, również to poczuł. Dokładnie w chwili, gdy postanowił podążyć za wędrówcami naokoło góry.

Czarownica była zadowolona. Jej magia nie mogła już

przywołać wilka, był zbyt potężny, atoli ta, którą sam utkał z nitek łączących go z tą dziewczyną, okazała się wystarczająca. Przybędzie, pomyślała, by stać się moim narzędziem.

Setki kilometrów dalej, na wyspie, Adisla i wszystko, co dla niego znaczyła, wysunęło się na czoło myśli Waliego. Dziewczyna znalazła się w niebezpieczeństwie, wiedział to, a on musi pospieszyć jej na ratunek! Przesmyk między wyspą a łądem nie stanowił dlań żadnego wyzwania, tak samo jak rozległe równiny i górskie przełęcze, ani fiordy i bagna, doliny czy klify. Pochłaniał je zachłannymi susami, połykając dystans między sobą a dziewczyną, pędząc do źródła jej krzyku z szybkością, jakiej żaden człowiek – ni koń, a nawet ptak – nie mógł dorównać.

Przewodnikiem, strumieniem, wzdłuż którego mógł podążyć wprost do krynicy cierpienia, było mu echo jej bólu. Lodowata noc dalekiej północy stopniała w blady świt, niewyraźne zarysy gospodarstw i łańcuchów sań przemykały obok, śmigał przez lasy, rozganiał stada reniferów na rozległych równinach, zeskakiwał z górskich grani niby spadająca gwiazda i leciał do celu jak promień po świetlnej osnowie.

Spowolniły go dopiero jaskinie. Jeno siłą woli przepychał swe cielsko w dół, przez tunele. Popędzany krzykiem Adisli, nawet nie myślał o tym, dokąd zmierza. Zagłębiając się pod ziemię, przeciskając się i przedzierając, Wali doszedł nieco do siebie, choć teraz już nie wydawało mu się dziwne, że ma postać olbrzymiego wilka, ni to, że jaskinie skrzyły się niezliczonymi zapachami. Wróciły do niego wspomnienia, atoli jeno przydały mu bólu. Kobieta, którą kochał, straszliwie cierpiała, a jedynym sensem jego życia było odnalezienie jej i ukrócenie mąk.

Wtem, ni stąd, ni zowąd, stanął przed swym ojcem, Authunem, w jaskini pełnej złota. Król wyglądał straszliwie w swym bojowym rynsztunku. Wali próbował mu powiedzieć, że Adisli grozi niebezpieczeństwo. Wiedział, że ojciec nie zrozumie jego troski o byle wieśniaczkę, atoli chciał go przebłagać, poprosić o pomoc. Lecz raptem Authun uderzył na niego, a Wali stał się jakby mimowolnym gościem we własnym ciele, na próżno opierając się wilkowi, który przystąpił już do ataku.

I znowu otoczył go tłum głosów, i znów, niby echo, rozbrzmiało

mu w głowie potworne wycie wilka, dźwięk, który, jak wiedział, był tak samo częścią jego samego, jak miłość do Adisli. Zaczął się gubić, poddając się szałowi zwierzęcia, którym się stał. Authun leżał na ziemi z roztrzaskaną tarczą, bez oręża; nad nim stał wilk, Wali, słabnący niby senny jeździec w gorący dzień, co miał sam trzymać wodze, daje się prowadzić koniowi.

– Pomóż mi. – To był jej głos.

Authun czymś w niego uderzał. Nie czuł niczego.

– Pomóż mi.

Wali wyciągał rękę, starając się zmusić wilcze ciało do reakcji na jej wołanie.

– Pomóż mi!

Wilk wstrzymał atak i stał, dysząc, nad starym wojem. Authun jednak nie znieruchomiał. Wytoczył się spod zwierza i podbiegł do sterty złota. Wyciągnął stamtąd zdobiony klejnotami miecz, odwrócił się i uderzył w plecy przeciwnika, oburącz zamachnąwszy się orężem sponad głowy.

Miecz zagłębił się w kręgosłupie wilka i pękł na dwoje. Wali nie poczuł niczego. Obalił Authuna na ziemię zamaszystym ciosem przedniej lewej łapy.

– Pomóż mi! – Nareszcie Wali odzyskał władzę nad ciałem. Odstąpił od walki i pognął w dół korytarza, w ślad za wołaniem Adisli.

55. FENRISULFR

Feilegowi robiło się niedobrze z bólu i musiał się zatrzymać. Cztery oddechy później ruszył dalej. Doszedł go zapach tranu. Ktoś tam miał lampę. Tak, to stąd ten blask. Włókł się w kierunku światła; tunel zawęzał się w szczelinę. Odetchnął i bokiem przecisnął się na drugą stronę.

Pieczara była nie większa niż wnętrze długiego domu. Po jednej jej stronie sklepienie opadało ku ziemi, tworząc klin wyszczerbionych kamieni na kształt zwierzęcych szczęk. Właśnie tam była Adisła, skrzepowana na ostrych skałach, mokra od krwi. Serce zabiło mu mocniej.

Czarownica, z zakrwawioną twarzą i miazgą w miejscu jednego oka, stała, beznamyślnie wpatrując się przed siebie i trzymając w ręku ułamane drzewce włóczni. Wokół szyi miała zamotany kawałek liny, związany na przedzie w skomplikowany węzeł. Feileg rozpoznał w nim wisielczą pętlę, symbol Odyna. Wilkolud panicznie bał się magicznego dziecka, był przerażony tym, co spotkało Adisłę, atoli zmusił się do mówienia.

– Pani – odezwał się, mówiąc do wiedźmy i równocześnie kuśtykając ku Adisli – szukamy u ciebie audiencji w sprawie wielkiej wagi. Na naszego przyjaciela rzucono urok i przemienił się w wilka. On tu jest, gdzieś w tunelach. Chcielibyśmy prosić, byś użyła swej sztuki, by go ozdrowić. Mam złoto i mogę zapłacić.

Adisła drżała, a Feileg zorientował się, że straciła dużo krwi. Krępowwały ją skórzane pasy, przymocowane do skały zardzewiałymi nitami. Feileg przeciął je Księżycowym Ostrzem. Potem przygarnął Adisłę do siebie i pocałował w czoło. Była słaba, niemal niezdolna się poruszyć, atoli coś mówiła. Feileg nachylił ucho ku jej ustom.

– Widziałam jej umysł – rzekła. – Widziałam jej umysł. Uciekaj. Feilegu, uciekaj.

Pokręcił głową.

– Nie mógłbym uciec, nawet gdybym chciał. A nie chcę –

odparł. – Zostanę tu z tobą. Wszystko będzie dobrze. Ona zrobi to, o co prosimy. Prawda, pani?

Czarownica wciąż milczała. Z góry tunelu doszedł ich grzmot.

– To ona mnie umieściła na tych skałach, Feilegu. Wiele przez nią wycierpiałam.

– Tedy albo cię pomszczę, albo zginie. Ona go ozdrowi.

– Nie, nie rozumiesz.

– Jeno ona nam pozostała. Musimy ją przekonać, żeby spełniła naszą prośbę.

– Nie, Feilegu, nie. – Adisla trzęsła się i łkała.

Wilk, jak czuła dziewczyna, był uzewnętrznieniem jakiejś potężnej i straszliwej magii. Gullweig mniemała, że włada tą mocą, atoli Adisla, mając wgląd w sieć umysłu królowej czarownic, patrzyła na to rozsądniej.

Coś, co było wsobną częścią Gullweig, lecz zarazem czymś wobec niej zewnętrznym i o wiele potężniejszym, naginało ją do swej woli. To coś, czymkolwiek było, zdawało się zimne i głodne. Spodziewało się śmierci w paszczy wilka, a ten zgon łączył się z jej własnym, a także Feilega i Waliego – raz po raz, w nieskończonym cyklu odrodzenia i rzezi. A całą tę żądzę mordu wyrażało pulsowanie runy.

– On ją zabija, a potem znowu i znowu. I nas również. Byłam w jej umyśle; widziałam, że to się wydarzy. Musisz ją zabić, nim on ją dopadnie. On wypełni prorocstwo, a nas spotka zguba.

– Nie pozwolę mu jej zabić – rzekł Feileg stanowczo.

– Jak możesz go powstrzymać?

– Ten miecz go razi. Przepędzę go. Żaden wilk nie chce krwawić.

Starał się, by brzmiało to zdecydowanie, atoli większą nadzieję pokładał w mocy czarownicy niż we własnych umiejętnościach szermierza.

Dało się słyszeć kolejny grzmot, tym razem bliższy, a potem przeraźliwe wycie. Czarownica odwróciła głowę w jego stronę. Feileg nie wątpił, że tunel jest zbyt wąski, by wilk zdołał się przecisnąć. A to pozwoli wiedźmie odprawić czary w bezpiecznej odległości od jego szczęk.

Feileg spojrział w dół, na Adisłę.

– Odzyskasz swego księcia – pocieszał.

– Nie – odparła. – Nie. Widziałam. Widziałam. Zabij ją, Feilegu, zabij ją, póki nie jest za późno. Możemy walczyć z potworem, ale bogowi nie damy rady.

– Ona jest naszym wybawieniem.

– Ona jest naszą śmiercią, teraz i na wieki, twoją i moją, Bragiego i wielu innych. Udreą i zgrozą bez końca. Po wsze czasy szukać będzie śmierci w paszczy wilka. Zabij ją. Zabiją ją, nim on ją zabije.

– Adislo, ma kochana, wilk już tu jest. Przybył i może nas tu trzymać na zawsze. Żaden ze mnie fechtmistrz, a i mocarny woj, człek od kołyski przysposobiany do walki, nie dał rady mu sprostać. Czarownica musi mu pomóc. Możesz znów do niego przemówić? Możesz go udobruchać i dać jej czas na odprawienie nad nim czarów?

– On jest śmiercią, wieczną śmiercią. O mały włos, a zabiłby mnie tam, na północy. Nie wpuszczaj go tu, Feilegu, nie wpuszczaj!

– On już tu jest.

Adisla poddała się grozie i jeno drżała w jego ramionach.

Dźwięk rozległ się jeszcze bliżej, głęboki i gniewny pomruk; atoli brzmiało w nim coś jeszcze. Feileg, co jadł tysiące razy pospołu z wilczymi braćmi, poznał go od razu. Był to odgłos rozszarpywanego ciała, wyłamywanych stawów, miażdżonych kości. A potem usłyszeli trzeci dźwięk, krótki żalorny skowyt, niby wilka złapanego w sidła. Potwór był ranny.

– Ona nas ocali albo umrze.

– Jeśli zginie od jego zębów, to jesteśmy zgubieni. Ona tego właśnie chce. Zabij ją, Feilegu, zabij ją! – Adisla chwyciła go za ramiona. Bredzi w delirium, uznał Feileg, wpędzona w obłęd cierpieniem.

Czarownica wciąż patrzyła się przed siebie, wciąż dzierząc złamaną włócznię. Feileg zastanawiał się, czy aby nie zamierza ugodzić nim Adisli, lecz nie może zdobyć się na odwagę. Kolejny grzmot, zdecydowanie bliższy, a wraz z nim ta przenikliwa nuta bólu. Feileg tak szybko, jak mógł, pokuśtykał do tunelu.

Fala oddechu, ciepłego i cuchnącego, poraziła go niby pięść, spychając z powrotem do pieczary. Kłapiąca paszcza zwierza była niecałe trzy sążnie od niego. Próbował się wdrzeć, tak zdesperowany,

że kaleczył podczas kolejnych prób własne ciało.

A Feileg zyskał szansę, by go zabić. Chwilowo wilk utknął, tylnym łapami drapiąc ziemię, ramionami krusząc i rozbijając wąską szczelinę, próbując przecisnąć przez nią wykręconą głowę. Wilkolud uniósł Księżycowe Ostrze, atoli jakoś nie mógł uderzyć. Powrócił myślą do ucieczki z plaży, do wody. Wali ocalił mu życie. Ale nie tylko to wspomnienie go powstrzymywało. Książę był jego sobowtórem, osobą, którą sam mógłby zostać, gdyby nitka Norn plotła się inaczej. Teraz czuł się z nim związany.

Wycofał się.

– Użyj swej magii, czarownico – rzekł, wskazując na tunel. – Zrób to, albo zabiję was oboje.

Mimo to wiedźma nic nie powiedziała, nic nie zrobiła. Feileg wznosił Księżycowe Ostrze nad głowę, markując cios. Atoli wiedźma nawet wtedy się nie poruszyła. Stała jeno, trzymając tę resztkę włóczni, jakby miała nią żgnąć niewidocznego wroga.

Feileg zatoczył się ku Adisli.

– Gdy wilk wdrze się do jaskini, ja go zajmę. A ty okrąż pieczarę i wydostań się do tunelu. Utknie tu na jakiś czas. Jeśli możesz do niego przemówić, zrób to. Potem ona go ozdrowi albo sama umrze.

– Zabij ją, zabij ją.

Nie było już czasu. Wilk przebił się przez szczelinę i z plaśnięciem zwałił się na ziemię, niby ryba na pokład rybackiej łodzi. Jakby nie miał kości. Nie było to dalekie od prawdy – poruszał jeno tylnymi łapami, a i to jedna z nich zdawała się zwichnięta i odstawiała pod nienaturalnym kątem.

– Idź! – zakrzyknął Feileg. – Idź! – Podźwignął Adisłę na nogi.

Zachwiała się i by upadła, atoli Feileg, nie wiedzieć skąd, wykrzesał z siebie siłę, by ją podtrzymać. Zarzucił jej rękę na swą szyję i pociągnął w stronę tunelu. Uszli zaledwie kilka sążni i upadli.

Wilki wzięli się na podłódze niby węgorz na haczyku, a wiedźma wciąż stała bez ruchu z odłamanym drzewcem w dłoni.

– Śmierć i cierpienie, teraz i na wieki – wystękała Adisla.

Feileg pokręcił głową.

– To jest na wieki – odparł i przycisnął ją do siebie. – Miłość, którą mi posłałaś, gdy rozstaliśmy się nad stawem, miłość, którą teraz dzielimy. Idź, Adislo, i niech ta miłość cię prowadzi.

Spojrzał na wilka. Jego ciało się regenerowało. Feileg usłyszał dźwięk jak przy skręcaniu łba baranowi, a ramiona stwora przybrały właściwy kształt. Zwierz wyciągnął nogi i stawy również wskoczyły na właściwe miejsca.

– Zginiesz.

– Nie lękam się śmierci. Bardziej lękam się żyć, jeśli nie zdołam cię ocalić. Idź. Już! Niegdyś zaryzykowałam życiem, by mnie uwolnić, a teraz robię to samo dla ciebie. Idź!

Wilk głośno odetchnął. Płuca wydały odgłos, jakby miały się rozerwać, rozepchnęły żebra i klatka piersiowa stwora odzyskała kształt.

Adisla ścisnęła dłoń Feilega i pocałowała ją.

– Ty też chodź – zaproponowała.

– Powrócę do ciebie. Obiecuję. – Pchnął ją w stronę tunelu.

– Feileg! – Ręka Adisli wyciągnęła się za nim, atoli dziewczyna nie miała siły, by się poruszyć. Zawrócił do pieczary.

Wilk podniósł się na nogi, kompletny i żwawy. W małej pieczarze Feileg pomiarkował, jak duże było to zwierzę. Miało zielone oczy rozmiaru umba u tarczy, a zęby długie na rozpiętość dłoni. Znacznie przerastał zarówno Feilega, jak i kościstą czarownicę. Stwór spojrzał na Adisłę, leżącą u wylotu tunelu, potem na skały tortur, w końcu na Gullweig. Potem wbił w nią gniewne spojrzenie i obnażył zęby. A ta ani drgnęła, wciąż wpatrując się przed siebie i trzymając uniesione resztki drzewca.

Feileg pomiarkował, co musi zrobić. Nienawidził Waliego, nie znosił go za to, że go spętał i że Adisla go kocha. Jednak czy nie wyszło mu to wszystko na dobre? Gdyby nie Wali, nigdy nie dowiedziałaby się, jak to jest być kochanym, nie poczułby odwzajemnionego pocałunku i nie zobaczyłby czulego spojrzenia kobiecych oczu. Jego los związany z przeznaczeniem księcia i, choć byłoby łatwiej po prostu go ciąć mieczem na miejscu, walka niczego nie rozwiązywała. Miał już jej dość.

Złożył Księżycowe Ostrze u stóp potwora.

– Książę – rzekł – stań się na powrót sobą.

Wilk zarzęził i zachrypiał. Zaczęły się kształtować słowa.

– Jestem tutaj... Jestem tutaj... Jestem ci znany... Jestem...

Wyrażanie myśli w mowie przychodziło mu z widoczną

trudnością.

Feileg przemówił.

– Ta pani, to dziecko, jest twym lekarstwem. Pokłoń się jej i zrób, jak ci zaleci. Jej magia słynie jak świat długi i szeroki. Pozwól jej sobie pomóc, Wali. Przez wzgląd na miłość, której zaznałeś. Przez wzgląd na Adisłę. Ukorz się.

Wilk zniżył głowę i pokłonił się królowej czarownicy.

Po raz pierwszy Feileg zobaczył, jak to przerażające dziecko się porusza. Odwróciła ku niemu głowę i spojrzała mu w oczy. Feileg znów poczuł pajęczę odnóza przemykające po jego mózgu w napływie myśli i odczuć. Zrozumiał, jakim jest głupcem. Wszak jeno wilk odgradzał go od tego, czego pragnął. Bez Waliego, Adisla była jego, jej przeszłość zostanie odcięta a przyszłość wolna. Pomyślał o tym, jaką czuł odrazę, gdy widział księcia szarpiącego ciała na okręcie, zabijającego dzielnego Bragiego, mordującego łowców. Czemu właściwie mieliby go ozdrowić? Już dawno stracił prawo do człowieczeństwa przez swe nieczne uczynki.

Feileg wznosił Księżycowe Ostrze i uderzył.

Gdy jasny łuk miecza przeciął powietrze i utkwiał w boku wroga, Adisla wrzasnęła. Atoli cios wyprowadzono nieumiejętnie i zbyt lekko. Wilk odwrócił się w stronę Feilega, zatapiając w nim zęby, wyszarpując mięso z boku i obalając go na ziemię. Zwierzę zadarło głowę, rozwarło szczęki i przelknęło kąsek. Adisla była zbyt słaba, by się poruszyć.

Czarownica się uśmiechnęła. Kolejny etap był oczywisty. Był jednak czymś więcej niż czarem, był uzewnętrznieniem czegoś wiecznego, potężnego i niezaprzeczalnego – niby runa, pomyślała. Tak, runa. Kciukiem jednej ręki przejechała po kawałku skóry, podczas gdy druga wciąż trzymała fragment włóczni.

Wilk warknął. Jego mięśnie wydeły się niby pęcherzyki, z warg ściekała mu krew brata. Wiedźma czuła, że zwierzę się przeobraża, tym razem nie tyle fizycznie, co pod wpływem magii. Tędy droga, jak ukazała jej runa podarowana przez Lokiego – dwóch braci stających się jednością. Wszystko znalazło się na miejscu, gotowe do ostatniego etapu.

Wiedźma odwróciła w dłoni połamane drzewce, wepchnęła je tępym końcem w ziemię i skoczyła do przodu, nabijając się na nie tak, że szpic wyszedł jej plecami.

Adisli zdało się, że rzeczywistość się rozpada.

56. MARTWI

Czarownica znów była małą dziewczynką, pogrążoną w swych pierwszych wspomnieniach. Co pamiętała? Mrok i chłód, twarze kobiet wysmarowane widmowymi barwnikami, przyćmione światło pochodni i wilgotny zapach jaskiń.

*Powiadają, iż czarami w tunelach ciemnych,
Jako ta czarownica urokami się paralaś
I w tej postaci pomiędzy ludźmi chodzileś.
Zniewieściła twa dusza, coś mi się zdaje.*³⁹

Głos. Królowa czarownic знаła ten głos. To był on. Kto? On. Prześmiewca. Zachichotała. Tak, ten prześmiewca, który wcale nie był taki sprytny, jak mu się wydawało. Loki, ten łgarz, co mniemał, że może

³⁹ Odautorska parafraza drwin Lokiego względem Odyna, zaczerpnięta ze staroeddaicznej *Kłótni Lokiego (Lokasenna)*, przeł. A. Załuska-Strömberg: *A o tobie mówią, żeś zamawiania mruczał w Samsö, żeś uprawiał czary wieszczkom właściwe, jak czarownica latałaś między ludźmi, a moim zdaniem to natura chłopca-nierządnicy!*

trzymać się z dala od spraw bogów i śmiać się do woli. Bynajmniej. Ona go w to wplątała i zmusiła, by on także odegrał swą rolę. Azali mniemał, iż pęta unieruchamiają jeno jego ciało, pozwalając umysłowi swobodnie błąkać się po świecie w człowieczej postaci? Nie. Był usidlony, uwięziony, przyparty do muru i skrępowany, spętany i stłamszony w każdym drgnieniu swych myśli. Już ona go urządziła, tego ryżego chłopca, tego nocnego gościa, tego złośliwca, żartownisia i nieprzyjaciela śmierci.

Czy kobiety ze Ściany Trolli wiedziały, kim była? Obrały ją swoją królową, gdy miała sześć lat. Miała wszystkie runy, ale to wszystkie; jak żaden śmiertelnik przed nią. Azali wiedziały?

Prawda była ukryta przed czarownicą, atoli gdy włócznia rozprzestrzeniła energię bólu po jej ciele, mgła tajemnicy całkowicie się przeredziła. Zabiła ich, wszystkich razem i każdego z osobna,

dziewczeta, chłopców i siostry. Nocą wkradała się do ich umysłów z podszeptem samobójstwa, dusiła, topiła i paliła je w transach. Nie zrobiła tego, by się osłabić, nie był to skrajny środek mający ocalić magiczne zdobycze ich rzemiosła. Zrobiła to, bo była straszliwym i zawistnym bogiem, nienawidzącym czarownic za moc, którą posiadały. Przez długi czas ukrywała swoje zamiary przed sobą samą, w obawie, iż jej ziemską postać mogłaby się zbuntować i próbować uniknąć swego losu. Dotknęła potrójnego wisielczego węzła u szyi. Jedna rzecz ukryta w drugiej, a ta – w kolejnej. Wcześniej myślała, że ukryła wilka przed nim samym, by ukryć go przed bogiem. A tak naprawdę ukryła go przed sobą. Teraz ten podstęp wyszedł na jaw, a ona zrozumiała, po kogo przyszedł wilk. Po nią.

Włócznia zdawała się idealną, podobnie jak pozycja, którą przybrała na podłodze, egzemplifikacją kierującej nią runy. Ułożyła Wolfsangel z własnego ciała.

Była wszędzie, nadzorując; czuła każdy umysł na ziemi, mogąc nań wpływać i go dotykać. Chwila największego bólu zrodziła najpotężniejszą magię.

Wypowiedziała własne imię. „Odyn”. Jej głos załamywał się z racji wielu lat milczenia, atoli siła bożej woli wypchnęła dźwięk przez odporne gardło.

Ciało czarownicy broczyło, a po podłodze rozlewała się kałuża krwi. Wilk pochylił łeb i zaczął ją chleptać. Adisla nie mogła odwrócić wzroku od wydarzeń w jaskini.

Czarownica wstała. Wyciągnęła włócznię z brzucha i spojrzała na wilka, a ten odwzajemnił jej spojrzenie.

– Zaweżwałam cię, byś to zrobił – odezwała się.

Wilki ściągnął wargi, obnażając zęby.

– Tak było i będzie na wieki – ciągnęła – choć dla ciebie nigdy nie będzie to łatwe, Fenrisulfrze.

Adisli zdawało się, że jaskinie przestały istnieć. Nagle bowiem znalazła się pośród rozległej poczerniałej równiny, gdzie przemykały nad nią cienie kruków, gdzie dym przenikał powietrze i dawało się słyszeć wrzawę zamierającej bitwy.

Także i wiedźma się odmieniła. Nie nosiła już tej poplamionej krwią sukni, lecz męski pancerz. W rękach dzierżyła tarczę i straszliwą włócznię.

– Jam jest Odyn – rzekła czarownica – wszechnienawidzący, wszechwidzący, pan wisielców, pan poległych, pan obłądu. Najmądrzejszy w magii i śmiały w boju.

Wilk zaczął skomleć.

– Chodź, Fenrisulfrze. Jesteś zwierzem rzezi, mym wrogiem i popiecznikiem.

Gdy czarownica wysunęła włócznię przed siebie i dźgnęła, wilk skoczył. Chwytał ją zębami za gardło, potrząsając jej ciałem niczym pies szmacianą lalką, aż jej nogi oderwały się od ziemi. Adisla zobaczyła wysypujące się z czarownicy dziwne jasne kształty, niektóre z sykiem opadły na ziemię, inne stopniały niby płatki śniegu, jeszcze inne w nią uderzyły. Miała wrażenie, że faluje. Potem dopadło ją lodowate uczucie, zimne niby północny wiatr, a jeszcze później w jej głowie znalazło się coś, co tupało, srożyło się i oddychało. W końcu doszedł ją zapach niby-świeżej trawy i odczucie ciepła, niby w wiosenny dzień. To były runy, wiedziała, każda ze swą oddzielną mocą. Tak jej powiedziały. Bowiem mówiły.

Czarownica upuściła włócznię i jęła bezradnie walić wilka po pysku. Ten nie rozluźnił uścisku, lecz jeszcze mocniej zacisnął szczękę. Adisla zobaczyła ulewę, słońce, olbrzymie drzewo, co zdawało się sięgać niebios, konie, palenisko. Zwierz paszczą wytrząsał z czarownicy całą jej magię.

Nagle scena się rozplynęła; ściany jaskini powróciły. Wilk stał nad czarownicą, pożerając jej mięso.

Gdy nimb tajemnicy zaczął się łuszczyć, Adisla poczuła moc run i wróciły jej siły. Teraz, wiedziała, magia się dopełniła. Czarownica była Odynem. Bóg osiągnął to, czego chciał – śmierć, swą własną i królowej; byli wszak jednością. Żadny mądrości bóg pogłębił swą wiedzę o śmierci, doświadczając jej. Runy, które ronił, gdy jego ziemskie wcielenie umarło, zdawały się płonąć wewnątrz Adisli, przynosząc jej i zrozumienie, i nieszczęście.

Wilk się posilał zachłannie, wielkimi kęsami pochłaniając ciało czarownicy. Potem zadrgał i zarzęził, zatrząsł się i w końcu położył na ziemi.

Adisla podniosła Księżycowe Ostrze.

Wilk spojrział na nią i rzekł:

– Nie rób tego. Inaczej nie będę w stanie się opanować.

Adisła uniosła oręż nad głowę. Zdawał się niewyważony i nieporęczny. Wcześniej Feileg uderzył stwora z całej siły i, choć go zranił, nie dał rady zabić. Wiedziała tedy, że i ona nie ma najmniejszych szans.

– Jestem gotowa na śmierć – stwierdziła.

– Nie na śmierć – odparł stwór głosem niskim i zachrypniętym.

Ludzka mowa siłą dobytą z wilczego gardła.

– Tyś to, Wali?

– Śmierć wiedźmy uwolniła mnie z krwawych odmętów. To ja.

– Różne dziwy na tym świecie, ale tyś z nich najgorszym.

– Byłem dotknięty urokiem, lecz to już się skończyło.

Znajdziemy czarowników. Oni nam pomogą. Wciąż mogę odzyskać samego siebie.

– Jakim kosztem? Jak wielu już zabiłeś, mój kochany?

– Już nie chcę zabijać.

– Rzeczą wilka jest zabijać, Wali.

– Nie, Adislo, nie.

– Ujrzałam prawdę. Feileg był twoim bratem, a ty go zabiłeś.

Wielki zwierz skłonił głowę.

– To wilk go zabił.

– Tyś wrogiem bogów. Widziałam to. Takie jest twoje przeznaczenie.

– Na powrót stanę się sobą, Adislo.

Pokręciła głową, a po twarzy pociekły jej łzy, znacząc brudne policzki jasnymi smugami.

– Ale ja już nie jestem sobą. Kochaliśmy ponad stan, czym uraziliśmy bogów. Chcę od ciebie odejść, Wali. Chcę umrzeć.

– Jeśli umrzesz, siła mojej miłości przywoła cię do życia z komnat umarłych.

– Ożyję ponownie, Wali. Gdy bóg umarł, wstąpiła we mnie gwałtowna magia, i jestem pewna, że oznacza ona odrodzenie. Atoli żyć będę bez ciebie. Tyś znienawidzony przez martwego boga.

– Jestem częścią jego zamysłu, ujrzałam to na polach poległych. On mnie potrzebuje, bym wypełnił jego przeznaczenie. Jestem zarazem jego wrogiem i pomocnikiem.

– Nie chcę brać w tym udziału, Wali.

Z tyłu doszedł ją jakiś dźwięk, atoli nie odwróciła się, by

sprawdzić, co to jest.

Wilk pochylił głowę ku Adisli.

– Kocham cię – rzekł.

– Tedy o mnie zapomnij. – Uniosła miecz i postąpiła naprzód, by go ugodzić.

Wali poczuł, że drży. Wiedział, że wilk nie powstrzyma się od reakcji na groźbę, atoli on wysilił całą człowieczą wolę, by nie zaatakować dziewczyny. Teraz już rozumiał, kim się stał – zabójcą boga, co odradzać się będzie po tysiąckroć, by ścigać i zabijać Odyna we wszech jego wcieleniach. I gdzież tu miejsce na miłość? A choćby i w nim samym, na przekór potężnym magicznym siłom, które roszczały sobie do niego prawo. Pragnął Adisli, ale zabije ją, jeśli podniesie na niego rękę. Tak jak już wiele razy w życiu, nie miał wyboru – wilk zawsze na przemoc odpowiada przemocą, zwielokrotnioną po tysiąckroć.

Miecz załśnił jasno w jej ręce, a z jego gardła dobył się gniewny pomruk. Starał się sformułować słowa: „To nie koniec. Będziemy znów żyć, a ja nie spocznę, póki cię nie odnajdę i nie poczuję, że mnie kochasz tak, jak kiedyś mnie kochałaś”. Atoli, miast słów, rozbrzmiało jeno krwiożercze wilcze warknięcie.

Adisla zamknęła oczy i uderzyła. Lecz cios nie opadł. Za plecami dziewczyny pojawił się Authun, odbierając jej miecz, postępując naprzód i jednocześnie odpychając ją w bok.

Wali przysiadł na tylnych łapach. Spojrzał na Adisłę i zrozumiał, że jego marzenia właśnie obracają się wniwecz, miażdżone w paszczy wilka. Odwrócili się od siebie; Wali stracił chęć do życia. Był po wsze czasy uwięziony w nieśmiertelnym ciele, w towarzystwie jeno swej wiekuiestej boleści, zespolony raczej z żądzą śmierci obłąkanego boga niż z tak bardzo umiłowaną niewiastą.

Zobaczył straszliwy miecz w rękach swego ojca, poczuł cięcie; wciąż krwawił z boku, choć pozostałe rany już się zagoiły. Norny, pomyślał, przestały pleść nić mego żywota i to do mnie należy wybór, czy mają zacząć ponownie.

Chciał, by to wszystko się rozplynęło, by stał się tym, kim był kiedyś. Wciąż pamiętał Adisłę, dziewczynę znad fiordu, leżącą obok niego na trawie pod cudownym słońcem. Atoli teraz wspomnienie było jeno mrzonką, bo zawędrował za daleko, by kiedykolwiek miało się

ziścić.

Zwrócił ślepiec ku wojowi. Authun odwzajemnił spojrzenie.

W końcu, wreszcie, Wali wydusił z siebie słowo. „Śmierć?”.

– Śmierć – potwierdził Authun.

Księżycowe Ostrze zamigotało w świetle lampy; wilcze ślepiec i zęby błysnęły w mroku.

Gdy się dokonało, miecz upadł na ziemię. Wilk leżał bez życia.

Adisla, otępiała i przeszywana dreszczami, postąpiła naprzód, by spojrzeć na ciała. Nad Feilegiem nachylała się nieznajoma kobieta z oszpeconą twarzą, głaszcząc go po włosach. Adisla podeszła ku niej i spozjrzała. Jego niebieskie oczy były otwarte, nieruchomo białe w sklepieniu. W boku miał straszliwą ranę; wilk rozorał mu brzuch. Jeszcze nie ostygł, atoli oddech się w nim nie ostał. Adisla była pewna, że nie żyje.

Wzięła go w ramiona i pocałowała. W umyśle czuła drżącą obecność runy, co zdawała się tryskać zapachami wiosny, bębnić i szemrać niby deszcz na tafli strumienia. Odrodzenie. Próbowwała przesłać je do niego, by znów stał się pełnią, atoli taka sztuka wymagała długich lat nauki okupionych szaleństwem.

Kobieta z oszpeconą twarzą spozjrzała na nią, a Adisla zrozumiała, co mówią jej oczy. „Jest sposób”.

Nieznajoma wzięła lampę i wyszła z pieczary. Adisla uniosła Feilega w ramionach. Gdy to robiła, runa zdawała się jaśnieć w jej wnętrzu. Podźwignęła go bez trudu, bez trudu pokonała też wyjście z jaskini. Poszła za światłem w górę, przez pogrążone w mroku i cisy tunele, aż poczuła świeże powietrze na twarzy. Na końcu szerokiej pieczary, kędy jasna smużka światła rozszczepiała mrok, kobieta przystanęła i położyła dłoń na ramieniu Adisli. Potem ucałowała Feilega w czoło i musnęła jej policzek.

Adisla postąpiła dalej, czując zapach wiatru, deszczu i zaciągającego od morza chłodu.

Smużka światła powiększyła się. Dziewczyna szła przed siebie. U wylotu jaskini spozjrzała w dal, z półki niemal na samym szczycie stromej Ściany Trolli, mając przed sobą jeno niemal bezdenne urwisko. Przed jej oczami rozciągały się przepastne połacie łąd i morza, zjawiskowe w zieleniach i błękitach.

Pocałowała Feilega i przygarnęła go do siebie.

– Za nadzieję – rzekła i wkroczyła w światło.

Saitada też wstąpiła na półkę. Skądś dochodziło wycie wilka. Rozumiała, co mówi. „Jestem tu. A ty gdzie?”.

Nasłuchiwała przez chwilę. Potem odwróciła się i weszła z powrotem do jaskiń.

57. OPOWIEŚĆ WĘDROWCA

Myśliwi już od trzech dni przeczesywali las w poszukiwaniu wilków. W okolicy pojawiła się nowa wataha, byli tego pewni. Zagryzła kilka owiec, a nawet starą szkapę. Chwycili tedy łuki oraz przynętę i zanurzyli się w puszczy, próbując wpaść na trop zwierząt. Niczego nie znaleźli i zaczęli już myśleć, że jeno mitrężyli czas.

Nagle, gdy długi zmierzch lata zaległ nad drzewami, a księżyc wisiał w pełni na niebie, jakiś wędrowiec przyszedł na ich polanę, chcąc ogrzać się przy ognisku. Dziwnie wyglądał, wysoki i blady, z burzą włosów, które zdawały się niemal nienaturalnie rude. Miał z sobą bukłak miodu, przeto podzielili się z nim jadłem w zamian za kilka kubków.

Nieznajomy był dobrym kompanem, nadto zabawnym, atoli z nastaniem krótkiej nocy rozmowa zesłała na temat religii.

– Widzę, żeście ludźmi nowego wyznania – stwierdził wędrowiec, wskazując na krzyż u szyi jednego z łowców.

– Ajuści, w Chrystusa wierzym – odparł myśliwy. – A ty, jak widzisz, starym zwyczajom hołdujesz.

– Za swą krwawicę wołę pozyskać jak najwięcej bogów – odparł nieznajomy. – Tak mi się zdaje, że wszyscy władcy Asgardu oferują lepszy interes w zamian za me ofiary niż jeden bóg ze wschodu.

Mężczyźni się zaśmiali.

– Są takie miejsca na tych ziemiach, gdzie wyrwaliby ci język za takie słowa – rzekł jeden.

– O tak, ten potulny i miłościw bóg wpada w nielichy szal, gdy się go zezłości, czyż nie?

– Nie grzech bronić bożych przykazań – dodał kolejny.

– Nawet jeśli one mówią, że taka obrona to grzech? – retorycznie zapytał wędrowiec. – Dawnoście się nawrócili? Czy może już was takich matka zrodziła?

– Pięć lat temu o tej porze płaszczyłem się przed fałszywymi bożkami, a potem objawiono mi bożą łaskę – odparł pierwszy.

– Skąd ta zmiana?

– Byłem niewolnikiem, a kościół opłacił mą wolność. Chrześcijanie nie powinni służyć poganom, jak mawia ojciec w niebiesiech.

– A ty?

– Tak samo – przyznał drugi łowca.

– Ze mną było inaczej – rzekł trzeci, mniej rozmowny niż pozostała dwójka, i bystrzejszy.

– A jak?

– Czulem, że starzy bogowie są okrutni – tłumaczył – a ten nowy proponował łagodniejszą wersję. Tak ukochał sobie ludzi, że nawet zesłał syna swego, by umarł za nasze grzechy. Piękna to opowieść, zdaje się, jak to bóg stał się człowiekiem.

– Thor jakoś tego nie robił, co nie? – dopowiedział jego towarzysz.

– Thor może i nie – rzekł wędrowiec – lecz rzeczą wiadomą jest, że starzy bogowie często przybierali ludzką postać.

– Jak to?

– Nie słyszeliście legend? O tym, jak to bogowie potrafiały rozszczepić włos i wyhodować z niego człeka, jak ich wcielenia zapominają o swej boskiej proveniencji i żyją jako zwykli śmiertelnicy. To chyba większe wyzwanie być bogiem i o tym nie wiedzieć, niż stąpać po ziemi, będąc pewnym swej boskości. Jak to czynił Jezus.

– Opowiedz nam jedną z tych legend – poprosił pierwszy łowca.
– Naszła mnie chętka, a księża są dość daleko, bym nie miał nic przeciwko.

Tedy nieznajomy jął snuć opowieść o tym, jak to staremu szalonemu bogu Odynowi przyśniło się, że jest czarownicą na ziemskim padole. Atoli sny bogów nie są podobne ludzkim – zmieniają się w ciało. Czarownica zyskała magiczną potęgę, a bóg stał się zazdrosny o swoje ziemskie wcielenie. Przeto obsypał ją wieszczymi wizjami niby pole nasionami. Potem potężnemu bogu Lokiemu też się coś przyśniło, piękna niewolnica, co przypaliła sobie twarz rozgrzanym żelazem na pohybel swemu właścicielowi. A Loki zakochał się w tym śnie i zstąpił na ziemię, by spłodzić z nią dwóch synów. Jednym był Fenrir Wilk, co miał pożreć bogów, gdy nastanie zmierzch czasu. Drugi był zwykłym człkiem. Oddał ich w darze, jednego królowi, drugiego

czarownicy. Atoli każdy dar od Lokiego jest raczej klątwą, przeto wilk pożarł swego brata i czarownicę, nim król zabił go przedśmiertnym ciosem, tak jak wilk uśmierci Odyna u kresu dni, nim sam zginie. I tym sposobem, jak powiadają, Loki i jego dzieci są zarazem wrogami Odyna i jego sprzymierzeńcami – torują drogę jego przeznaczeniu, choć jest nim śmierć.

– Bogowie się cieszą – ciągnął nieznajomy – widząc legendy o ich przeznaczeniu rozgrywające się na ziemskim padole. Wilk i Odyn walczą od wielu wieków i walczyć będą po wsze czasy. Łatwo dostrzec gdzie, o ile wie się, jak szukać.

– Tedy Judasz był sprzymierzeńcem Jezusa podług twej miary, czy tak?

– Judasz pomógł Jezusowi umrzeć za ludzkie grzechy, jak głosi legenda – zauważył wędrowiec. – Cóż, gdyby to było wbrew woli waszego boga, to by do tego nie doszło, prawda?

– To wola diabła kierowała rękami Judasza – zaproponował pierwszy łowca.

– Wolą diabła jest to, by odpuszczono wszystkie grzechy? – nie dowierzał nieznajomy. – Jeśli tak, to zaiste dziwny to diabeł.

Mężczyźni znów wybuchnęli śmiechem.

– Tedy mamy więcej szczęścia niż ty, panie – odezwał się jeden. – Musim jeno słuchać tego, co mówią nam księży, a nie o tym myśleć.

– Wystarczy nam, jak bóg ześle nam te wilki – stwierdził pierwszy łowca.

– Powinniście poprosić Lokiego – odpowiedział nieznajomy. – To on zsyła wilki.

– My nie modlimy się do fałszywych bożków, panie – odparł drugi.

– Ano, racja. To może powinniście modlić się do własnego boga, by Loki jednak nie zsyłał tych wilków, jeśli los króla i czarownicy może o czymś, zaświadczyć.

– Bez takiego wilka to my się obejdzim – przyznał pierwszy.

Mężczyźni siedzieli przy ognisku, pijąc i rozmawiając do późna. Nieznajomy dobrze znał tutejsze lasy i powiedział im o pieczarze o dzień drogi na zachód wzdłuż brzegu rzeki.

– To znane wilcze leże – oznajmił – i ciągle się tam panoszą, choć łowcy trzebią je bez ustanku.

– Będziemy jej wypatrywać, panie.

Następnego dnia, gdy łowcy się przebudzili, wędrowca już nie było. Nie mając lepszego pomysłu, poszli za jego radą. Nim dotarli do jaskiń wydrążonych siłami natury w niewielkim klifie, sto sążni od rzeki, pięć wysokości człowieka nad ziemią, zapadł już zmrok.

Łowcy rozejrzeli się wokół i, ku własnemu zadowoleniu, spostrzegli wilcze odchody i trochę niewyraźnych pozostałości po zdobyczach. Zatrzymali się na noc opodal, pewni, że wilki udały się na polowanie i nie wrócą, póki w okolicy znajdują się ludzie. Mimo to, następnego dnia postanowili sprawdzić wnętrze jaskiń. Pogoda była piękna, bezchmurna, a na niebie wciąż jaśniał widoczny księżyc.

Wspięli się do wylotu największej pieczary. Pierwszy łowca podniósł z ziemi kamień i wrzucił go do środka, a dwóch kolejnych w napięciu czekało z lukami. Ze środka doszedł ich dźwięk, atoli żaden nie wypuścił strzały w mrok. Wcale niewykluczone, że odpoczywa tam jakiś wędrowiec, a oni, jako przykładni chrześcijanie, nie chcieli mieć na sumieniu zabójstwa. Łowca cisnął do wnętrza kolejny kamień. Posłyszeli jakieś szuranie i coś mignęło im przed oczami. Coś bledszego od wilka. Może świnia?

– Panie wilku, wychodź, wychodź, pókim dobry.

Nic się nie poruszyło. Łowca podszedł bliżej, a jego oczy jęły się przyzwyczajając do mroku. Aż się zachłysnął, gdy zobaczył, co było wewnątrz. Żadna tam świnia czy wilk, jeno chłopiec, z grubsza sześćioletni, z czupryną ciemnych włosów. Wyglądał mizernie, chudy i brudny; jego oczy zdawały się za duże w stosunku do głowy.

– To dziecko! – zakrzyknął łowca przez ramię.

Wyjął jabłko z saka. Chłopiec cofnął się w głąb pieczary.

– Weź, to dla ciebie.

Chłopak ani drgnął.

– To ja sobie zjem. Patrz.

Łowca wgrzył się w jabłko. Dziecko postąpiło w tył.

Myśliwym może i brakowało rozumu, lecz nie wrażliwości. Pojęli, że nieprędko zdobędą zaufanie chłopca. Jako chrześcijanie uważali, że mają obowiązek mu pomóc – wszak niecałe dwie niedziele temu słyszeli z ust księdza przypowieść o dobrym samarytaninie – i postanowili zaczekać, póki do nich nie nawyknie. Wspólnie uznali, że do małego trzeba podchodzić jak do nerwowego zwierza. Przeto zostali

nieopodal, choć nie tak znowu blisko, polowali na ptaki i drobną zwierzynę, piekli mięso nad ogniskiem i zostawiali jadło z wodą u wylotu jaskini. Żaden z nich nie mógł zrozumieć, jakim cudem to dziecko się uchowało. Poganie mieli zwyczaj zostawiania swych chorowitych dzieci w lesie, atoli ten chłopiec wcale nie był cherlakiem.

Dziecko stopniowo oswajało się z ich obecnością, a łowcom udawało się podchodzić doń coraz bliżej. Księżyc był już wąskim lukiem na niebie, nim w końcu chłopiec chwycił zaofierowaną mu dłoń. Myśliwi postanowili, że najlepszym wyjściem będzie zabranie go do wioski i oddanie księżom na wychowanie.

Wyjście z lasu miało im zabrać cztery dni. Nocami chłopak strasznie wiercił się na posłaniu, zrzucając koc, który dali mu łowcy, drapiąc paznokciami ziemię i wyjąc przez sen. Bystremu łowcy zrobiło się go szkoda i wyciągnął rękę, by pogładzić małego po włosach. Nagle dziecko ją chwyciło. Śniło, jak widział mężczyzna, atoli oczy miało szeroko otwarte, uniesione wprost ku sierpowi księżycy.

– Adisła – wymamrotał chłopak przez sen. – Odnajdę cię.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojej żonie Claire za wsparcie podczas pisania niniejszej książki i trafne przewidywania co do jej ostatecznego kształtu. A także Emily Turner za, jak zwykle, przenikliwe i inteligentne komentarze o tekście. Dzięki również składam Tobie, Anno, za podjęcie się monumentalnego zadania, jakim było przeczytanie olbrzymiego pierwotnego maszynopisu. W końcu dziękuję memu ojcu za, między innymi, wczesne wprowadzenie mnie w świat science fiction i fantasy.